

Porywający romans autorki bestsellera New York Times,
Fourth Wing. Czwarte Skrzydło.

GDYBY JEDNAK



REBECCA
YARRROS

„Najprawdziwszy talent do opowiadania historii”.

– „Kirkus Reviews”

„Spod pióra Rebeki Yarros wychodzą słowa czyste, pełne czułości, pulsujące poezją emocji”.

– Tessa Bailey, bestsellerowa autorka „New York Timesa” i „USA Today”

„Ta książka wprawia w zachwyt!”

– „Publishers Weekly”, recenzja *Rzeczy, których nie dokończyliśmy*

„Przejmująca, chwytająca za serce i wielce inspirująca historia miłości”.

– „In Touch Weekly”, recenzja *Ostatniego listu*

„Yarros pisze w sposób poruszający i wciągający, a czytelnicy na własnej skórze odczuwają łamane serca i miłosne wzloty jej bohaterów”.

– „Publishers Weekly”, recenzja *Ostatniego listu*

„Rebecca, jak zawsze zresztą, nie zawodzi – mogę sięgać po jej książki w ciemno!”

– Jen McLaughlin, bestsellerowa autorka „New York Timesa”

**REBECCA
YARROS**

**GDYBY
JEDNAK**

Przełożył
Michał Kramarz

FILIA

*Mojej siostrze Kate.
Poszłabym dla Ciebie na wojnę.
Kocham Cię. Mówię serio.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

NATHANIEL

***Kabul, Afganistan
Sierpień 2021***

Ani trochę nie przypominało to Malediwów.

Zamknąłem oczy i odchyliłem głowę, wystawiając twarz na piekące promienie popołudniowego słońca. Niewiele brakowało, abym za sprawą delikatnego powiewu wiatru przekonał samego siebie, że wilgotne krople ściekające mi po karku i wsiąkające w kołnierz koszuli to nie pot, tylko chłodna morską woda, w której dopiero co pływałem. Już prawie w to uwierzyłem.

W rzeczywistości stałem na płycie kabulskiego lotniska, zachodząc w głowę, jakim cudem podeszwy moich butów nie wtapiały się w rozgrzany do tak wysokiej temperatury asfalt. Być może wyjazd, który mnie ominął, był zemstą losu za to, że nie zabrałem jej ze sobą.

– Miałeś być na urlopie. – Z mojej prawej strony odezwał się znajomy głos.

– Ciii. Jestem. Nie widzisz? – Uniosłem nieznacznie jedną powiekę, tylko na tyle, żeby zerknąć na stojącego obok Torresa i jego gęstą brew, zacienioną przez daszek czapki w barwach kamuflujących.

– Co mam widzieć? Że sterczysz na stojance z łbem odrzuconym do tyłu, jakbyś występował w reklamie kremu do opalania Coppertone?

Kąciaki moich ust lekko się uniosły.

– To żadna stojanka, tylko malutki domek na wodzie gdzieś na Malediwach. Nie słyszysz szumu fal?

Powietrze wypełniło się dobiegającym z oddali rytmicznym dudnieniem łopat śmigieł.

– Jedyne, co słyszę, to jak chrzani ci się w łepetynie – wymamrotał. – To pewnie oni.

Niechętnie otworzyłem oczy i podniosłem wzrok, wypatrując na horyzoncie podchodzącego do lądowania samolotu. Dojrzałem go w ciągu paru sekund.

Znowu ten sam szajs. Choć lubiłem moją pracę za to, że zawsze coś się w niej działo, musiałem przyznać, że powoli zaczynało mnie to nużyć. Cisza i spokój brzmiały dużo przyjemniej niż niekończąca się wojna.

– A tak w ogóle to jak, do cholery, dałeś się w to wrobić? Myślałem, że przydzielono do tego Jenkinsa. – Torres był ciekawy.

– Jenkins złapał wczoraj jakieś świństwo, a nie chciałem prosić Warda, żeby zrezygnował z wolnego. Ma dzieciaki. – Obserwując moment przyziemienia C-130, poprawiłem sobie na ramieniu pas od karabinu. – No i teraz będę musiał niańczyć asystenta senatorki Lauren.

– Łączę się z tobą w bólu, jak zawsze.

– Doceniam to.

Na Torresa, mojego najlepszego kumpla, zawsze można było liczyć. Przyjaźniliśmy się, odkąd wybrano nas do sił specjalnych. A nawet jeszcze wcześniej.

– Mam nadzieję, że do przyszłego tygodnia Jenkins stanie na nogi, a ja będę w drodze na Malediwy, zanim zdążą się tu zlecieć sami senatorowie. – Czuję już owocową nutę drinków z parasolką... A nie, chwileczkę, to jednak metaliczny posmak paliwa lotniczego. No cóż...

– Zdajesz sobie sprawę, że większość facetów, których znam, wykorzystuje przepustkę, żeby wrócić do domu i zobaczyć się z rodziną, prawda? – Torres spojrzął za siebie na resztę chłopaków kroczących w naszą stronę, wyglądających swoje pozbawione naszywek mundury polowe w złudnej nadziei, że po czterech

miesiącach dostawania po dupie w tym kraju da się jeszcze z nimi cokolwiek zrobić.

– Może, ale większość z nich nie ma takiej rodziny jak moja. – Wzruszyłem ramionami. Mama nie żyła od pięciu lat, a jedyną okazją, przy której z własnej nieprzymuszonej woli mógłbym się zobaczyć z ojcem, był jego pogrzeb.

Dołączyli do nas pozostali, ustawiając się w rzędzie przodem do kołującego samolotu. Miejsce po mojej drugiej stronie zajął Graham.

– Mam kierować? – zapytał.

– Tak – odparłem. Zdążyłem już wybrać chłopaków, których chciałem mieć w zespole, dopóki nie wróci Jenkins. Parker i Elston czekali w ambasadzie.

– Nikogo nie brakuje? – sprawdzał major Webb, podchodząc i drapiąc się po niedawno ogolonym podbródku.

– A niech mnie! Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem tę twarz! – rzucił Graham, szczerząc się do dowódcy. Biel jego zębów mocno kontrastowała z ciemnobrązową skórą.

W czasie, gdy samolot manewrował zgodnie z instrukcjami kontrolerów z wieży, Webb mamrotał pod nosem coś na temat polityków.

Przynależność do elitarnych jednostek sił specjalnych miała swoje plusy. Jak choćby swobodę w zwracaniu się do siebie i brak obowiązku golenia zarostu. Z drugiej strony można było zostać wyrolowanym z dawno zaplanowanego urlopu tylko po to, żeby bawić się w ochronę elegancików robiących rekonesans przed przylotem bandy ważniaków z rządu. Rano poświęciłem całą godzinę na zapoznanie się z aktami Grega Newcastle'a. Trafił mi się trzydziestotrzyletni zastępca szefa sztabu senatorki Lauren. Wyglądał na wypacykowanego typa, który po skończeniu prawa na Uniwersytecie Harvarda pofrunął prosto do Kapitolu. Miała się tu zjawić cała grupa takich ludzi, żeby się rozejrzeć na miejscu i złożyć przełożonym raport z tego, jak przebiegało wycofanie naszych wojsk z Afganistanu. Coś mi mówiło, że nie będą zachwyceni tym, co tutaj zobaczą.

– Tak dla przypomnienia... – odezwał się Webb, wyciągając z kieszeni złożoną kartkę i zerkając na wyznaczonych szefów drużyn. – Maroon, dostaliście Bakera z biura kongresmena Garcii –

zaczął, posługując się nazwiskami, które przyjęliśmy na potrzeby tego zadania. – Gold, wam przypadł Turner od kongresmena Murphy’ego. White, zajmiecie się Holtem z biura senatora Liu. Green, odpowiadacie za Astor z biura senatorki Lauren...

– Dostałem akta Grega Newcastle’a – wtrąciłem.

Webb spojrział na trzymany w ręku papier.

– Wygląda na to, że zmienili to w ostatniej chwili. Macie teraz Astor. Zadanie pozostaje bez zmian. Interesują ich głównie prowincje na południu. To ci, którzy starają się ściągnąć żeńską drużynę szachową do Stanów.

Astor. Żołądek podszedł mi do gardła. To przecież niemożliwe. Nie i koniec.

– Wyluzuj – szepnął do mnie Torres. – To powszechne nazwisko.

Racja. Poza tym, kiedy ostatnim razem się ze sobą kontaktowaliśmy, pracowała dla jakiejś firmy w Nowym Jorku. Choć trzeba przyznać, że od tego czasu minęły już trzy lata.

Płaszcz miałem całkiem mokry od deszczu...

Zdusiłem te nieostrożne myśli w załączku i skupiłem się na zatrzymującym się przed nami samolocie nawigowanym przez obsługę naziemną. Rozgrzana asfaltowa nawierzchnia oddawała ciepło drżącymi falami, które zniekształcały obraz właśnie opuszczanej tylnej rampy. Piloci zgasili silniki.

Z kadłuba C-130 najpierw wyłonili się umundurowani lotnicy. Za nimi pojawiła się nieduża grupa cywilów, zapewne wspomnianych asystentów z biur senatorskich. Jednemu z urzędasów żołnierze musieli pomóc zgramolić się na ziemię.

Moje brwi powędrowały w górę. *Poważnie? Facet nie jest w stanie samodzielnie zejść z rampy samolotu, ale uznał, że wycieczka do Afganistanu to dobry pomysł?*

– To jakiś żart? – zadrwił Kellman, a właściwie sierżant White, bo tak mieliśmy go nazywać podczas tej misji. – Tylko nie mówcie, że to akurat mój gość.

– No to zaczynamy – mruknął obok mnie Torres.

Wypuszczałem powoli powietrze, w myślach odliczając do dziesięciu i mając nadzieję, że gdy dojdę do zera, jakimś trafem nabiorę cierpliwości. Nic z tego. Jedna wielka strata czasu.

Lotnicy, zasłaniając sobą podążających za nimi ludzi, szli w naszą stronę z szerokimi uśmiechami na twarzach. Trudno, żeby nie byli zadowoleni. W końcu mieli tylko odstawić gryzipiórków na miejsce. Z całą pewnością nie szczerzyliby się tak, gdyby to oni mieli eskortować niemających o niczym pojęcia, zarozumiałych cywilów podczas objazdu baz wojskowych, jakby były atrakcjami turystycznymi, a nie strefą działań wojennych.

Major Webb ruszył przed siebie. Wojskowi przepuścili do przodu swoje małe stadko. Łącznie sześć osób...

Serce zastygło mi w połowie uderzenia.

Mrugnąłem, a po chwili ponownie – tym razem szybciej. Powiew wiatru rozpędził gorące, rozedrgane powietrze, nie pozostawiając żadnych wątpliwości. Wszędzie poznałbym te złociste włosy w miodowym odcieniu i uśmiech wart milion dolarów. Dałbym sobie rękę uciąć, że za wielkimi szklami okularów przeciwsłonecznych kryły się intensywnie brązowe oczy oprawione gęstymi rzęsami. Poczujęm, jak napinają mi się mięśnie dłoni, zupełnie jakby po tylu latach w dalszym ciągu doskonale pamiętały kształt jej ciała.

To była *ona*.

– Wszystko okej? – zapytał po cichu Torres. – Wyglądasz, jakbyś miał zamiar zwrócić śniadanie.

Nie, wcale nie było okej. Dalej niż do bycia okej było chyba tylko z Nowego Jorku do Afganistanu. Nie potrafiłem odezwać się słowem. Minęło dziesięć lat, odkąd się poznaliśmy, zresztą też na płycie lotniska, tyle że zupełnie innego, a mnie na jej widok nadal odbierało mowę.

Wyciągnęła prawą dłoń do Webba, żeby się z nim przywitać, i poprawiła zsuwający się jej z ramienia pasek dobrze mi znanego plecaka w kolorze wojskowej zieleni. Wciąż go miała? Nim ponownie opuściła ręce, jej palce rozbłysnęły odbitymi promieniami słońca, jakby trzymała w nich lusterko sygnalizacyjne.

Co. Do. Chuja. Moje serce z terkotem wróciło do życia i broniąc się przed tym, co właśnie zobaczyłem, zaczęło łomotać z taką siłą, że sprawiało mi fizyczny ból.

Jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochałem, zjawia się tutaj – w pieprzonej strefie działań wojennych – z pierścionkiem zaręczynowym na palcu. Pierścionkiem od innego mężczyzny. Nie

miałem pojęcia, co to za jeden, ale zdążyłem gnojka znienawidzić. Nie miałem też najmniejszych wątpliwości, że na nią nie zasługiwał. Ja zresztą też nie. To zawsze stanowiło poważny zgrzyt w naszych relacjach.

Odwróciła się w moją stronę. Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy. Trzęsącymi się palcami przesunęła ciemne okulary na głowę, odsłaniając parę dużych brązowych oczu, z których można było wyczytać takie samo zdumienie, jakie mnie w tej chwili ogarnęło.

Na mojej klatce piersiowej zacisnęło się imadło.

Kątem oka widziałem, jak Webb podchodzi do kolejnych osób w szeregu, przedstawiając politykom komandosów odpowiedzialnych za ich bezpieczeństwo. Zbliżał się do nas, zegar odliczający czas do detonacji bomby atomowej tykał coraz głośniej, a my nadal nie odrywaliśmy od siebie wzroku. Dzielily nas góra cztery metry – odległość, która wydawała się równocześnie za duża i zbyt mała.

Zrobiła krok do przodu i wzdrygnęła się, zaciskając palce na włosach porwanych nagłym podmuchem wiatru smagającym każdą możliwą powierzchnię piachem i kurzem, włącznie z jej białą bluzką z rękawami podwiniętymi prawie do łokci. Co ona tu, do cholery, robiła? Nie pasowała do tego miejsca. Powinna siedzieć w jakimś przytulnym narożnym biurze, w którym nikt i nic nie mogłoby jej tknąć... przede wszystkim ja.

– Panno Astor, to właśnie... – zaczął Webb.

– Nathaniel Phelan – dokończyła, lustrując moją twarz, jakby miała już nigdy więcej jej nie zobaczyć, jakby katalogowała każdą najmniejszą zmianę, każdą bliznę, jaka pojawiła się na niej w ciągu ostatnich trzech lat.

– Izzy. – Tylko tyle zdołałem z siebie wydusić, oślepiiony blaskiem diamentu o wadze chyba setek tysięcy karatów, który bił mi w oczy niczym migająca rażącym światłem lampa ostrzegawcza. Za kogo, do kurwy nędzy, zgodziła się wyjść?

– Znacie się? – Brwi Webba wygięły się w łuk, gdy przenosił wzrok to na mnie, to na nią.

– Tak – potwierdziłem.

– Już nie – odpowiedziała równocześnie ze mną.

Kurwa.

– No dobra... – Webb ponownie zmierzył nas wzrokiem, a niezręczność sytuacji nie umknęła jego uwadze. – Ale czy to będzie problem?

Będzie. I to ogromny. Powietrze między nami gęstniało, wypełniane milionami niewypowiedzianych słów, które uparcie wdzierały się w każdą szczelinę jak pustylny piach niesiony wiatrem przez płytę lotniska.

– Zawsze mogę zamienić... – zasugerował Webb.

– Nie – wypaliłem. Za cholerę nie zgodziłbym się, żeby powierzyć jej bezpieczeństwo komukolwiek innemu. Była na mnie skazana, czy jej się to podobało, czy nie.

Webb zamrugał, co było jedynym wyrazem zaskoczenia, jakiego można się było po nim spodziewać, i spojrzął na Izzy.

– Panno Astor?

– Jakoś damy radę. Proszę nie robić sobie kłopotu – odparła z uroczym, niewymuszonym, a jednocześnie nieszczerym uśmiechem, na którego widok przeszły mnie ciarki.

– A więc niech tak będzie – wybąkał niespiesznie Webb, po czym odwrócił się do mnie i, zanim poszedł w swoją stronę, wypowiedział bezgłośnie „powodzenia”.

Izzy i ja wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, podczas gdy wszystkie emocje, które przez ostatnie trzy lata z takim wysiłkiem zakopywałem najgłębiej, jak się dało, przedzierały się z powrotem na powierzchnię. Swoimi pazurami odrywały strupy, odsłaniając ukryte pod nimi rany, które nie zdążyły się jeszcze zabić. Kto by pomyślał, że nasze ponowne spotkanie odbędzie się w takich okolicznościach. Co prawda od początku mieliśmy w zwyczaju wpadać na siebie w najgorszych możliwych chwilach i najbardziej niedogodnych miejscach, więc na dobrą sprawę nie powinniśmy być zdziwieni, że tym razem padło na państwo ogarnięte wojną.

– Myślałem, że mieszkasz w Nowym Jorku – udało mi się wreszcie wychrypieć, choć głosem brzmiącym tak, jakby został przeciągnięty kilkanaście razy po szorstkim chodniku. *Tam gdzie nikt nie będzie próbował wysadzić cię w powietrze.*

– Co ty nie powiesz. – Izzy uniosła brew i poprawiła zsuwający się z jej ramienia plecak. – Zabawna sprawa, bo ja myślałam, że nie żyjesz. Jak widać, oboje byliśmy w błędzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

IZZY

Saint Louis
Listopad 2011

– Piętnaście A. Piętnaście A... – mruczałam pod nosem, przyglądając się numerom siedzeń i przeciskając się zatłoczonym przejściem między rzędami foteli w samolocie regionalnych linii lotniczych. Z każdym krokiem walizka z bagażem podręcznym coraz bardziej wyslizgiwała mi się z klejących się od potu dłoni. Gdy wreszcie wypatrzyłam swoje miejsce i zobaczyłam, że schowek na bagaż nad moim fotelem nie został jeszcze zajęty, odetchnęłam z ulgą. Po chwili jednak zakląłam w myślach, bo miejsce A znajdowało się przy oknie.

Mój żołądek zaplątał się w supeł. Jak mogłam zarezerwować fotel przy oknie? W miejscu, z którego będę dokładnie widzieć zbliżającą się potencjalną katastrofę.

Ale chwileczkę. Siedzenie zajmował już jakiś facet. Miał opuszczoną głowę, spod czapki z logo drużyny hokejowej Saint Louis Blues nie było widać jego twarzy. Być może źle odczytałam swój bilet.

Stanęłam przy właściwym rzędzie, wspięłam się na palce i podniosłam bagaż tak wysoko, jak tylko pozwalały mi wyciągnięte w górę ręce, starając się trafić nim do schowka. Dotknął jego krawędzi, ale na tym się skończyło. Żeby wsunąć go do końca,

musiałabym chyba wdrapać się na fotel... albo urosnąć dobre piętnaście centymetrów.

Jasnofioletowa walizka wysmyknęła mi się z rąk i bez dalszej walki poddała się działaniu grawitacji, wycelowana prosto w moją twarz. Nim zdążyłam w jakikolwiek sposób okazać zdziwienie, olbrzymia dłoń złapała niesforny bagaż, zatrzymując go zaledwie parę centymetrów przed moim nosem.

Jasna dupa.

– Mało brakowało – zza walizki dobiegł niski głos. – Może jednak przyda się pomoc?

– Tak, poproszę – odparłam, starając się pozbierać po zamieszaniu, które niechcący wywołałam.

Jedynym, co zdążyłam zauważyć, była czapeczka Bluesmanów. Facet zdołał zdumiewająco szybko odwrócić się w fotelu, podnieść się z niego, zrobić krok w stronę przejścia między siedzeniami i złapać moją walizkę. Jednym płynnym ruchem. *Imponujące.*

– I po sprawie. – Mężczyzna z łatwością wsunął mój bagaż do schowka nad fotelami.

– Dzięki. Już myślałam, że zdrowo oberwę. I to własną walizką. – Uśmiechnęłam się, podnosząc głowę, wysoko, jeszcze trochę wyżej, żeby spojrzeć na mojego wybawcę.

O rany. Gość był... całkiem niczego sobie. Choć w sumie to mało powiedziane. Jego wygląd powodował opad szczęki, a wyobraźnię rozpalał do czerwoności. Niech ktoś pociągnie za dźwignię alarmu pożarowego! Kanciasty podbródek pokrywała delikatna warstwa ciemnego kilkudniowego zarostu. Nawet rozcięcie i purpurowe stłuczenie znaczące prawą połowę dolnej wargi nie odejmowały mu ani trochę uroku, nie kiedy facet miał takie oczy... Te oczy... Wow! Po prostu: wow! Dwa błękitne kryształki, które pozbawiły mnie wszystkich znanych mi słów. Co do jednego.

No i masz! Stałam nieruchomo, wpatrzona w niego jak w obrazek. Gdyby chociaż były to zalotne spojrzenia, jakimi z całą pewnością obrzuciłaby go Serena, bezwstydnie prosząc o numer telefonu i ostatecznie dostając to, czego chce. Nie. W moim wydaniu było to tępe gapienie się z szeroko otwartymi ustami. Byłam tego świadoma, ale nie umiałam się powstrzymać.

Zamknij usta.

Nic z tego, wciąż się gapisz. Gapisz się na niego. Gapisz się!

– Ja też – odezwał się, unosząc lekko kącik ust.

Wzięta z zaskoczenia, zamrugałam. *Ja też... Że co, proszę?*

– Nie rozumiem?

Jego brwi zmarszczyły się, był równie zdezorientowany co ja.

– Ja też – powtórzył. – Ja też myślałem, że walizka rąbnie cię w głowę.

– Racja. – Odruchowo chciałam założyć kosmyk włosów za ucho, zapomniawszy, że w pośpiechu upięłam je w niechlujny kok, więc nie miałam czego poprawiać. Cudownie. Jakby nie było już wystarczająco niezręcznie, poczułam ciepło rozlewające się po mojej twarzy, co prawdopodobnie oznaczało, że przybrała co najmniej dziesięć różnych odcieni czerwieni.

Facet opadł z powrotem na swoje miejsce, a ja zdałam sobie sprawę, że nasza krótka wymiana zdań stanęła na drodze pozostałym ludziom wsiadającym do samolotu.

– Przepraszam – wymamrotałam do stojącego za mną pasażera, po czym dałam nura w fotel o numerze piętnaście B. – Zabawna sprawa, ale mogłabym przysiąc, że na bilecie miałam wpisane miejsce przy oknie. – Przełożyłam pasek torebki przez głowę, rozpięłam kurtkę i zaczęłam ją ściągać, starając się za bardzo przy tym nie wiercić. Wolałam nie ryzykować, że dźgnę Pana Niebieskookiego łokciem i zrobię z siebie jeszcze większą kretynkę.

– O cholera. – Nagle odwrócił głowę w moją stronę i zrobił skrzywioną minę. – Zamieniłem się miejscami z kobietą w siedem A, żeby mogła usiąść koło dziecka. I pewnie przez przypadek cię podsiadłem. – Sięgnął po wsunięty pod fotel przed nim plecak w kolorze wojskowej zieleni. Miał tak szerokie barki, że musnął nimi moje lewe kolano, gdy się nachylał. – Przesiadźmy się.

– Nie! – wypaliłam.

Najpierw znieruchomiał, a następnie powoli obrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Nie?

– To znaczy... nie cierpię siedzieć przy oknie. Właściwie to boję się latać, więc tak będzie lepiej. – Świetnie, teraz będę paplać bez ładu i składu. – Chyba że wolisz usiąść przy przejściu. – Wstrzymałam oddech w nadziei, że ani trochę mu na tym nie zależało.

Oparł się z powrotem na swoim fotelu i ruchem głowy zaprzeczył.

– Nie, nie trzeba. Przeraża cię latanie, co? – zapytał bez śladu kpiny w głosie.

– No tak. – Poczułam ulgę, a napięte mięśnie ramion w jednej chwili się rozluźniły. Złożyłam kurtkę i upchnęłam ją razem z torebką pod siedzenie przede mną.

– Dlaczego? – dociekał. – Jeśli mogę zapytać.

Po moich policzkach rozlało się ciepło.

– Od zawsze boję się latać. Jest w tym coś takiego, co sprawia, że... – przerwałam i pokręciłam głową. – Rzecz w tym, że statystycznie rzecz biorąc, nic nam nie grozi. Wskaźnik wypadkowości za ubiegły rok wyniósł jeden na jeden i trzy dziesiąte miliona, co stanowiło wzrost w porównaniu z poprzednim rokiem, kiedy wynosił jeden na półtora miliona. Ale jeśli wziąć pod uwagę, ile każdego dnia odbywa się lotów, wychodzi na to, że jazda samochodem jest dużo bardziej niebezpieczna, bo prawdopodobieństwo wypadku na drodze to aż jeden na sto trzy. Choć nie zmienia to faktu, że w katastrofach lotniczych zginęło w zeszłym roku osiemset dwadzieścia osiem osób, a ja nie chciałabym dołączyć do tego grona. – *Znowu trajkoczesz.* Przygryzłam wargi, modląc się w duchu, żeby mój pozbawiony taktu umysł dał mi wreszcie spokój.

– Hmm... – Między brwiami mojego współpasażera zarysowały się dwie wyraźne linie. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Zakładam, że ciebie ten problem nie dotyczy – oceniłam, bo facet wyglądał, jakby absolutnie niczego się nie bał.

– Nie mam pojęcia. Nigdy wcześniej nie latałem, ale odkąd wyłuszczyłaś mi statystyki, nasuwają mi się pewne wątpliwości.

– O Boże, przepraszam. – Moje dłonie wystrzeliły w górę, żeby zakryć usta. – Kiedy się denerwuję, paplam bez namysłu. Do tego mam ADHD. A rano nie wzięłam leków, bo nalałam sobie soku pomarańczowego, postawiłam go na blat i położyłam obok niego tabletkę, ale sok wypła Serena. Musiałam nalać go jeszcze raz, rozproszyłam się i pigułka została w kuchni. Pewnie wciąż tam leży... – Ogromnie zakłopotana, zacisnęłam mocno powieki. Jeden głęboki wdech później otworzyłam oczy i zobaczyłam, że mężczyzna przygląda mi się z uniesionymi brwiami. – Wybacz. Dodajmy do tego

fakt, że o wszystkim za dużo myślę, i proszę bardzo. Trajkoczę jak nakręcona.

Na jego twarz zakradł się drobny uśmiech.

– Nic się nie stało. Tylko co w takim razie robisz w samolocie? – Wyregulował nawiew nad swoim fotelem i podwinął rękawy czarnej koszulki, odsłaniając opalone przedramiona. Gość był nieźle zbudowany. Na widok jego umięśnionych rąk, chcąc nie chcąc, zaczęłam zastanawiać się, czy reszta jego ciała wygląda podobnie.

– Święto Dziękczynienia – rzuciłam, wzruszając ramionami. – Po odstawieniu mnie na uczelnię rodzice wybrali się w rejs dookoła świata. Moja starsza siostra, Serena, jest na trzecim roku na uniwerku Waszyngtona. Studiuje dziennikarstwo. A ponieważ chciałyśmy spędzić ten dzień razem, a ja mieszkam aż w Syracuse, lot samolotem wydawał się najsensowniejszym rozwiązaniem. A ty?

– Lecę na szkolenie dla rekrutów w bazie Fort Benning. Tak w ogóle nazywam się Nathaniel Phelan. Znajomi mówią na mnie Nate.

Sznur pasażerów przeciskających się między fotelami zniknął. Pozostali tylko spóźnialscy, którzy w pośpiechu szukali swoich miejsc.

– Cześć, Nate. Jestem Izzy. – Podałam mu dłoń, a on ją uściśnął. – Izzy Astor. – Nie miałam pojęcia, jak udało mi się wypowiedzieć swoje imię i nazwisko, podczas gdy cała moja uwaga skupiała się na fakturze zrogowaciałej skóry jego dłoni, która całkowicie zakryła moją, oraz na trzepotaniu skrzydeł motyli, które poczułam w brzuchu w reakcji na ciepło jego ciała.

W żadnym wypadku nie byłam jedną z osób, które wierzą, że pierwszy dotyk potrafi razić człowieka piorunem. Takie bzdury to tylko w romansach! A jednak, siedziałam sparaliżowana, przeszyta do szpiku kości nagłym wyładowaniem elektrycznym. Jego oczy delikatnie migotały, jakby on też to poczuł. Towarzyszyło temu trudne do opisanie uczucie... połączenia. Coś jak ten przynoszący satysfakcję moment, kiedy umieszcza się ostatniego z puzzli w układance.

Serena nazwałaby to przeznaczeniem, tyle że ona należała do beznadziejnych romantyczek. Dla mnie było to nic innego jak pociąg seksualny.

– Miło cię poznać, Izzy. – Powoli potrząsnął moją dłońią, a potem, jeszcze wolniej, rozluźnił chwyt, niespiesznie wycofując palce, których koniuszkami pobudzał każde zakończenie nerwowe po wewnętrznej stronie mojej dłoni. – Niech zgadnę. To skrót od Isabelle?

– Właściwie to od Isabeau. – Chcąc zająć czymś myśli, choćby na krótko, sięgnęłam do sprzączki pasa, zatrzasnęłam ją i naprężyłam czarną taśmę na biodrach.

– Isabeau – wymówił moje imię, zapinając swój pas.

– Tak wyszło. Mama uwielbiała *Zakłętą w sokoła*.

Przejsie między fotelami wreszcie całkowicie opustoszało. Wyglądało na to, że wszyscy pasażerowie byli już na pokładzie.

– *Zakłętą w sokoła*? – powtórzył pytającym tonem Nate, lekko marszcząc brew.

– To film z lat osiemdziesiątych, w którym pewna para wkurza złego średniowiecznego biskupa swoją miłością. Biskup zabijał się w dziewczynie, ale ona kocha Navarre'a, więc klecha rzuca na nich oboje klątwę. Navarre nocą przeistacza się w wilka, a jego ukochana w ciągu dnia zamienia się w sokoła, przez co widują się tylko o świcie i o zmierzchu. Isabeau jest tytułową kobietą sokołem. – *Przestań mleć jęzorem! Boże, czemu ja taka jestem?*

– Brzmi dość... tragicznie.

– Szanowni państwo, witamy na pokładzie lotu osiemset dwadzieścia sześć linii Transcontinental – obwieściła stewardesa przez mikrofon.

– Nie jest aż tak tragicznie. Udaje im się przełamać klątwę i wszystko kończy się dobrze. – Nachyliłam się i jakimś szczęśliwym trafem wydobyłam komórkę z torebki bez wytrząsania z niej całej zawartości.

Po podświetleniu ekranu zauważyłam dwie nieodczytane wiadomości od Sereny.

Serena: napisz jak będziesz w samolocie

Serena: nie żartuję!

Oba esemesy dzieliło piętnaście minut.

– Jeżeli ktoś z państwa jeszcze tego nie zrobił, proszę umieścić swój bagaż podręczny w schowku nad siedzeniem albo wsunąć go pod fotel przed sobą. Proszę o zajęcie miejsc i zapięcie pasów – mówiła dalej stewardesa nieco świergotliwym, ale w pełni profesjonalnym głosem.

Wystukałam na telefonie wiadomość do siostry.

Isabeau: wsiadłam

Serena: już się martwiłam

Pokręciłam głową z uśmiechem. Byłam dla Sereny jedynym powodem do zmartwień.

Isabeau: martwiłaś się? Że zgubię się między kontrolą bezpieczeństwa a bramką?

Serena: z tobą nigdy nie wiadomo

Aż *tak* źle przecież ze mną nie było.

Isabeau: Kocham cię. Dzięki za ten tydzień.

Serena: Ja kocham cię bardziej. Napisz jak wylądujesz

Z głośników płynęły dalsze komunikaty personelu pokładowego:

– Jeśli ktoś z państwa zajmuje siedzenie obok wyjścia awaryjnego, proszę zapoznać się ze specjalnymi instrukcjami umieszczonymi na oparciu fotela przed państwem. Jeśli nie życzą sobie państwo wykonywać opisanych tam czynności, gdyby doszło do sytuacji zagrożenia, mogą państwo poprosić stewardesę o zamianę miejsca.

Podniosłam wzrok.

– To my – powiedziałam do Nate’a. – Wyjście awaryjne jest w naszym rzędzie.

Spojrzał na oznaczenia na drzwiach, po czym bez słowa nachylił się, żeby sięgnąć po kartę bezpieczeństwa. Musiałam przyznać, że tylko dodało mu to uroku. Pasażerowie byli właśnie informowani, że na pokładzie samolotu nie wolno palić.

Gdy Nate czytał instrukcję, stewardesa odłożyła mikrofon i zamknęła drzwi. Poczułam, jak przyspiesza mi tętno i ogarnia mnie niepokój. Odblokowałam ekran telefonu, sprawdziłam Instagram i Twittera, po czym ustawiłam w komórce tryb samolotowy, wsunęłam ją do przedniej kieszonki kamizelki i zapięłam zamek. Kiedy do wybijającego szaleńczy rytm serca dołączył ucisk w gardle, skierowałam nawiew na twarz i rozkręciłam go maksymalnie.

Nate odłożył instrukcję bezpieczeństwa z powrotem do kieszeni w fotelu przed nim i poprawił się w swoim, wyglądając z zaciekawieniem przez okno. Lotnisko spowijała gęsta poranna mgła, przez którą mieliśmy już dwadzieścia minut opóźnienia.

– Nie zapomnij o telefonie – odezwałam się, jeszcze zanim personel pokładowy zdążył powiedzieć to samo przez interkom. – Trzeba go przełączyć na tryb samolotowy.

– Nie mam telefonu, więc nie mam co przełączać. – Nate rzucił mi przelotny uśmiech i skrzywił się po tym, jak przesunął językiem po rozciętej wardze.

– Co ci się stało? – Wskazałam palcem na swoje usta. – Jeśli tym razem to ja mogę zapytać?

Zrzedła mu mina.

– Trochę się z kimś pokłóciłem. To długa historia. – Sięgnął do oparcia fotela przed nim i wyciągnął z przymocowanej do niego kieszonki książkę w miękkiej okładce, *Wszystko za Everest* Jona Krakauera.

Czytał książki?! Facet coraz bardziej mi się podobał.

Zrozumiałam aluzję i wydobyłam własną książkę z torebki. *Dwa światy* autorstwa Jennifer L. Armentrout. Otworzyłam ją na stronie zaznaczonej zakładką, mniej więcej w połowie jedenastego rozdziału.

– Proszę personel pokładowy o przygotowanie do kołowania. – Z głośników popłynął głęboki basowy głos.

– Ciekawa lektura? – zapytał Nate, gdy samolot wycofywał spod rękawa.

– Bardzo. Ale coś mi mówi, że raczej preferujesz literaturę faktu. – Skinieniem głowy wskazałam otwartą, na wpół przeczytaną książkę, którą trzymał w rękach. – A jak twoja?

Samolot skręcił w prawo i zaczął się toczyć do przodu. Wciągnęłam głośno powietrze nosem, po czym wypuściłam je ustami.

– Dobra. Naprawdę świetna. Trafiłem na nią na liście stu książek, które powinno się przeczytać przed trzydziestką, albo jakoś tak. Czytam je po kolei. – Zerknął na mnie i zmarszczył czoło. – Wszystko w porządku?

– Tak – odparłam krótko, choć w tym samym momencie czułam, jak przez mój żołądek przetacza się wóz drabiniasty. – Wiedziałaś, że najbardziej niebezpiecznymi etapami lotu są pierwsze trzy minuty po starcie i ostatnie osiem minut przed lądowaniem?

– Nie miałem pojęcia.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Kiedyś brałam środki uspokajające. Oczywiście przepisane przez lekarza. Nie bawię się w nic nielegalnego. Nie żebym miała coś przeciwko, gdybyś lubił czasem... – Słyszałam, co najlepszego wygaduję, i wprawilo mnie to w potworne zakłopotanie. Czemu mój własny umysł tak bardzo mnie nienawidzi?

– Mnie też do tego nie ciągnie. Dlaczego przestałaś brać pigułki? – Nate zamknął książkę.

– Zwalają mnie z nóg i pewnego razu mało co nie przegapiłam przesiadki w Filadelfii. Stewardesa musiała mną zdrowo potrząsnąć, żebym się obudziła, a potem zasuwałam co sił w nogach do swojej bramki. Drzwi do rękawa były już zamknięte, wszyscy zdążyli wejść na pokład, ale jeszcze mnie wpuszczono. Od tamtej pory niczego nie łykam.

Samolot ustawił się za innymi maszynami w kolejce do kołowania. *Przestań wyglądać przez okno. Dobrze wiesz, że to tylko pogarsza sprawę.*

– Wcale się nie dziwię. – Nate odchrząknął. – To co tam studiujesz w Syracuse? – Ta jawna próba oderwania mojej uwagi od tego, co działo się wokół, sprawiła, że kąciki moich ust powędrowały w górę.

– Public relations – zdradziłam, z trudem powstrzymując śmiech. – Zazwyczaj dość dobrze radzę sobie w kontaktach z ludźmi. Przynajmniej dopóki w grę nie wchodzi samolot.

– Moim zdaniem całkiem nieźle ci idzie. – Uśmiechnął się szeroko i, niech Bóg ma mnie w opiece, na jego prawym policzku pojawił się

dołeczek.

– A ty? Dlaczego zaciągasz się do armii? Czemu nie pójdziesz na studia? – Ja też zamknęłam książkę i odłożyłam ją na kolana.

– Nie miałem większego wyboru. W liceum byłem nie najgorszym uczniem, ale nie na tyle dobrym, żeby załapać się na stypendium. Pieniądzy w domu nie starcza nawet na kablówkę, a co dopiero na czesne. Nie będę ukrywał, że rodzice potrzebują mojego wsparcia. Prowadzą małe gospodarstwo na południe od Shipman w Illinois – przerwał i na chwilę odwrócił wzrok. – W zasadzie farma należy do mamy. Dostała ją w spadku po moim dziadku. Tak czy owak, armia opłaci mi studia, więc idę do wojska.

Pokiwałam głową, choć nawet się nie oszukiwałam, że rozumiem jego sytuację. Sama dorastałam w zgoła odmiennych warunkach. W moim przypadku pytanie brzmiało, dokąd wybiorę się na studia, a nie, czy w ogóle będę studiować. Mama i tata w żartach nazywali czesne inwestycją w ekspansję rodzinnej spółki, ponieważ w pełni finansowali moją edukację. Nie musiałam dokonywać tak trudnych wyborów jak Nate.

– A co zamierzasz robić po studiach?

Jego brwi znów się ściągnęły.

– Nie wybiegam myślami tak daleko. Może zostanę nauczycielem. Lubię angielski. Na przykład coś związanego z literaturą. A może spodoba mi się w wojsku. W siłach specjalnych mogłoby być nawet ciekawie.

– Panie i panowie, z tej strony kapitan. Przede wszystkim chciałbym powitać państwa na pokładzie bezpośredniego lotu osiemset dwadzieścia sześć do Atlanty. Jak zapewne państwo zauważyliście, mamy tego poranka dosyć gęstą mgłę, przez którą wszystko odbywa się wolniej niż zwykle. Przed nami na start czeka jeszcze dwadzieścia jeden samolotów, więc minie dobre czterdzieści minut, a może nawet więcej, zanim wzbijemy się w powietrze.

Przez kabinę przetoczył się zbiorowy pomruk niezadowolenia. Ja też wydałam z siebie rozgoryczone stęknienie. Czterdziestominutowe opóźnienie nie sprawi, że ucieknie mi samolot do Syracuse, ale na przesiadkę zostanie mi bardzo mało czasu.

– Dobra wiadomość jest taka, że gdy tylko przebijemy się przez mgłę, pogoda powinna nam sprzyjać, wobec czego spróbujemy

nadrobić trochę czasu podczas lotu. Bądźmy cierpliwi i dziękuję, że lecicie razem z nami.

Wokół nas rozległa się seria krótkich dzwonek. To inni pasażerowie, z całą pewnością zaniepokojeni dalszym przebiegiem podróży i ewentualnymi przesiadkami, naciskali guziki służące do przywołania personelu pokładowego.

– Masz przesiadkę w Atlancie? – zapytałam Nate'a.

– Tak, do Columbus, ale z kilkugodzinnym zapasem – odpowiedział i dotknął kciukiem zranionej wargi.

– Jakby co, mam przy sobie maść z antybiotykiem – zaproponowałam. – Tylenol też się znajdzie, jeśli cię boli.

Jego brwi powędrowały w górę.

– Trzymasz w torebce zestaw pierwszej pomocy?

Moje policzki po raz kolejny się zaczerwieniły.

– Tylko to, co najpotrzebniejsze. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek utknie na pasie startowym z obcym facetem, który z powodu jakiejś długiej historii ma rozcięte usta. – Uśmiechnęłam się powoli.

Jego łagodny śmiech był niemal niesłyszalny.

– Nic mi nie będzie. Bywało gorzej.

– Niespecjalnie mnie to przekonuje. – Hmm. Na jego nosie uwagę zwracało nieznaczne zgrubienie i siłą rzeczy zaczęłam się głowić, czy nie został kiedyś złamany.

Tym razem Nate zaśmiał się głośniej.

– Zaufaj mi. To nic takiego.

– To chyba nie było takie drobne nieporozumienie.

– Rzadko bywają drobne – odparł i zamilkł.

Poczułam nieprzyjemny ucisk w piersi, gdy tylko zdałam sobie sprawę, że wsadzam nos w nie swoje sprawy. W dodatku nie pierwszy raz.

– A więc... co jeszcze przeczytałeś spośród stu książek, których nie można przegapić?

– Hmm... – Spojrzał w górę, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał. – *Outsiderów*, napisała to...

– S. E. Hinton – dokończyłam. *Cholera, weszłam mu w słowo*. – No proszę. Jestem niemal pewna, że rozdają tę książkę każdemu

potencjalnemu rozrabiace w pierwszej klasie liceum. – Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

– Chwilunia... – Odsunął się jak oparzony. – Po czym niby można poznać... – wskazał gestem na siebie – że jestem rozrabiaką? Wychowałem się na farmie.

Roześmiałam się, zapominając na moment, że cały czas powoli toczyliśmy się w kierunku pasa startowego.

– Z taką muskulaturą? Z taką buźką? Z tą rozciętą wargą? Z obtartymi knykciami? – Zerknęłam na miejsce, w którym podwinięty rękaw spotykał się z odsłoniętą skórą jego przedramienia. Spod materiału widoczne były zawijasy wykonane czarnym tuszem. – Do tego jeszcze tatuaże? Idealny materiał na rozrabiakę. Założę się, że zostawiłeś za sobą multum złamanych serc.

– Kto używa słowa „multum” w normalnej rozmowie? – Jego uśmiech sprawił, że sama uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. Rozrabiaka czy nie, nie miałam wątpliwości, że na ten widok niejedna była gotowa ściągnąć majtki. Kto wie, gdybyśmy nie siedzieli w samolocie, być może właśnie rozważałabym pierwszą w życiu przygodę na jedną noc. – Tak się składa, że wiem kto. *Grzeczne studentki.*

– Przyznaję się do winy. – Spojrzałam na niego z uniesionymi brwiami. – Masz nawet zamyślony wyraz twarzy atrakcyjnego mola książkowego. Wypisz wymaluj Jess Mariano.

– Co to za jeden? – Nate zamrugnął, lekko zdezorientowany.

– Jess Mariano – wydusiłam. Dla takich oczu mogłabym umrzeć. Ich odcień przypominał tafle błękitnych polodowcowych jezior w Silverton. – No wiesz, ten z *Kochanych kłopotów*.

– Nie oglądałem. – Nate pokręcił przecząco głową.

– Gdybyś miał kiedyś okazję, po prostu pamiętaj, że w zasadzie jesteś Jessem, tylko... wyższym i przystojniejszym. – Nie zdążyłam w porę ugryźć się w język.

– Przystojniejszym, tak? – droczył się ze mną, rzucając mi porozumiewawcze spojrzenie, które natychmiast podniosło temperaturę mojego ciała o dobry stopień albo i dwa.

– Zapomnij, że to powiedziałam. – Oderwałam od niego swoje skrępowane spojrzenie i rozpięłam kamizelkę. Czemu nagle zrobiło

się tak gorąco? – Co jeszcze masz na liście lektur?

Nate delikatnie zmrużył oczy, ale przystał na tę oczywistą sugestię zmiany tematu.

– Przeczytałem już *451 stopni Fahrenheita*, *Władcę much*, *Ostatniego Mohikanina*...

– To dopiero był świetny film – westchnęłam. – Scena, w której obiecuje, że ją odnajdzie, po czym rzuca się przez wodospad? Coś niesamowitego! Klasyka romansu.

– Obejrzenie filmu się nie liczy! – Nate pokręcił głową, śmiejąc się pod nosem. – I to nie jest żaden romans, tylko powieść przygodowa z wplecioną w fabułę historią miłości. Do romansu temu daleko.

– Jak możesz twierdzić, że to nie romans?

– Bo książka trochę się różni od filmu – wyjaśnił, po czym wzruszył ramionami.

– Czym?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Tak! – Uwielbiałam ten film. Razem z kubelkiem lodów skutecznie zaleczał rany złamanego serca.

– Cora umiera.

Szczęka mi opadła, na co Nate lekko się skrzywił.

– Sama dopytywałaś.

– Teraz już na pewno tego nie przeczytam. Lepiej zostanę przy filmie – mruknęłam.

Samolot akurat podjechał kawałek do przodu. Wyglądanie przez okno nadal nie miało większego sensu. Widoczność była do dupy.

Kolejne minuty upłynęły nam na wymianie uwag na temat kilku następnych książek z listy Nate'a. Niektóre z nich, na przykład *Wielkiego Gatsby'ego*, czytałam w liceum, inne natomiast, jak choćby *Kompania braci*, nie trafiły dotąd w moje ręce.

– No dobra, a co znalazłoby się na twojej liście stu książek? – zapytał.

– Dobre pytanie. – Odchyliłam głowę, żeby się zastanowić. Samolot wciąż się toczył. – Z całą pewnością *Duma i uprzedzenie*. Do tego *Na wschód od Edenu*...

– O rany, miałem dosyć Steinbecka po *Gronach gniewu*.

– *Na wschód od Edenu* jest dużo lepsze. – Pokiwałam z powagą głową, jakby moja opinia była faktem. – Co jeszcze... *Opowieść*

podręcznej i *Nieśmiertelne życie Henrietty Lacks* też mnie wciągnęły. A właśnie, czytałeś już *Igrzyska śmierci*? Trzeci tom wyszedł w ubiegłym roku i jest genialny.

– Jeszcze nie. Dopiero co skończyłem *Przygody Hucka Finna* i teraz sięgnąłem po to. – Wskazał wzrokiem trzymaną na kolanach książkę. – Może powinienem przerzucić się na coś bardziej współczesnego.

– Przecież Huck Finn jest świetny. Nie ma to jak żeglowanie po Missisipi.

– Dobrze się czytało, to prawda – przyznał. – Na szkoleniu raczej nie będę miał czasu na czytanie, ale spakowałem kilka książek tak na wszelki wypadek. – Na chwilę się zamyślił. – Znajomy, który odbył przeszkolenie rok temu, powiedział mi, że na wejściu prawie wszystko zabierają. W razie czego włożyłem iPoda do podpisanego zamykanego woreczka.

– Ile... – Zaciśnięłam usta, nim wypłynęła z nich reszta słów. To nie moja sprawa, ile miał lat, choć wyglądał mniej więcej na mojego rówieśnika.

– Ile mam lat? – dokończył pytanie, a ja potaknęłam. – W zeszłym miesiącu skończyłem dziewiętnaście. A ty?

– Mam osiemnastkę w marcu. Dopiero zaczęłam studia. – Przesunęłam kciukiem po krawędzi swojej książki, żeby tylko zająć czymś ręce. – Nie denerwujesz się?

– Lotem? – Jego brwi nieznacznie się ściągnęły.

– Pójściem do wojska. Bierzemy udział w kilku wojnach. – Margo, moja współlokatorka, kilka lat wcześniej straciła starszego brata w Iraku, ale nie zamierzałam o tym wspominać.

W skrzydła samolotu uderzył silny strumień pływu do odladzania.

– Słyszałem to i owo. – Znów ten dołeczek. Nate wziął głęboki wdech i spojrzał przed siebie, jakby chciał dobrze przemyśleć odpowiedź. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że się nie boję śmierci i umierania. Ale prawda jest taka, że wszędzie wokół nas toczą się jakieś wojny. Po prostu niektóre konflikty widać wyraźniej niż inne. Już nieraz ktoś się na mnie rzucał, a następnym razem będę przynajmniej uzbrojony. Zresztą z mojego punktu widzenia gra jest warta świeczki. Pomyśl tylko... Gdybyś nie wsiadła do tego samolotu, nigdy byśmy się nie spotkali. Podjęłaś ryzyko i otrzymałaś

nagrodę, prawda? – Spojrzał w moją stronę, pochwycił i przytrzymał moje spojrzenie.

Ogarnęło mnie nagłe pragnienie opuszczenia samolotu, które jednak nie miało nic wspólnego z obawą przed lotem, bo moje myśli krążyły wyłącznie wokół Nathaniela. Gdybyśmy spotkali się na kampusie albo w moim rodzinnym Denver, ta rozmowa nie musiałaby się skończyć po paru godzinach, kiedy wylądujemy w Atlancie.

Z drugiej strony, gdybyśmy znajdowali się teraz tam, a nie tu, wcale nie jest powiedziane, że ta rozmowa w ogóle by się odbyła. Raczej nie miałam w zwyczaju zagadywać przystojnych facetów. To była działka Margo. Zwykle celowałam w tych bardziej niepozornych, nie mierząc tam, gdzie mogłabym nie sięgnąć.

– Mogłabym wysłać ci książki – zaproponowałam naprędce. – Jeśli będzie ci wolno czytać i nie starczyłoby ci tego, co ze sobą zabierasz.

– Mówisz poważnie? – W jego szeroko otwartych oczach malowało się zaskoczenie.

Pokiwałam głową, a uśmiech, który w odpowiedzi posłał mi Nate, przyspieszył mój puls do niewyobrażalnego wręcz tempa.

– Proszę personel pokładowy o przygotowanie do startu. – W kabinie pasażerskiej rozległ się głos pilota. Wyglądało na to, że wreszcie nadeszła nasza kolej.

Steward znajdujący się najbliżej nas poprosił osobę siedzącą kilka rzędów przed nami o złożenie stolika, a następnie energicznym krokiem wrócił na swoje miejsce, usiadł przodem do pasażerów i zapiął pas.

W reakcji na świst zwiększających obroty silników obiema dłońmi mocno chwyciłam podłokietniki. Samolot wystrzelił przed siebie, z ogromną siłą wciskając mnie w oparcie fotela. Mgła rozrzedziła się na tyle, że można było dostrzec brzeg pasa startowego, który uciekał nam spod kół z coraz większą prędkością. Mocno zacisnęłam powieki i wzięłam uspokajający nerwy wdech, zanim ponownie je otworzyłam.

Nate odwrócił się w moją stronę i wyciągnął do mnie otwartą dłoń.

– Dam radę – wydusiłam przez zacisnięte zęby, starając się pamiętać, by nabierać powietrza przez nos i wypuszczać je ustami.

– Bez obaw. Nie gryzę.

A, chrzanić to.

Chwytałam jego dłoń, a Nate splótł swoje palce z moimi, rozlewając przyjemne ciepło po mojej lodowatej, wilgotnej skórze.

– Śmiało, możesz ją miętosić, ile chcesz. Nie takie rzeczy znosiłem.

– Żebyś potem nie żałował. – Zacisnęłam dłoń, ile sił w mięśniach, aż zbieleły mi kostki. Im szybciej pędziliśmy, tym krótszy i płytszy stawał się mój oddech.

– Jakoś w to wątpię. – Pogładził moją skórę kciukiem. – Trzy minuty, zgadza się? Trzy pierwsze minuty po starcie?

– Tak.

Przysunął lewy nadgarstek do naszych złączonych dłoni i nacisnął palcem kilka guzików. Stoper rozpoczął odliczanie.

– Proszę bardzo. Jak tylko upłyną trzy minuty, będziesz mogła się odprężyć aż do lądowania.

– Słodki jesteś. – Opony dudniły po nawierzchni pasa. Samolot cały się telepał, gnając z coraz większą prędkością. Oplotłam dłoń Nate'a tak mocno, że prawdopodobnie pozbawiłam jego palce dopływu krwi, tyle że byłam zbyt zajęta próbą utrzymania w miarę równomiernego oddechu, by poczuć jakiegokolwiek zakłopotanie.

– Różnie mnie nazywano, ale „słodki” jeszcze nie byłem. – Nie pozostał mi dłużny i też ścisnął moją dłoń.

Samolot oderwał się od ziemi.

– Zapytaj mnie o coś – palnęłam, żeby tylko odciągnąć myśli od czarnych wizji torpedujących umysł. – O cokolwiek. – Mój puls zdążył już wystrzelić w kosmos.

– Okej. – Zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Zauważyłaś, że sosny się kołyszają?

– Co takiego?

– Sosny. – Nate spojrzał na zegarek. – Ludzie zachwycają się kołyszącymi się palmami, a przecież sosny zachowują się tak samo. Nic mnie tak nie uspokaja jak widok falujących na wietrze sosen.

– Sosny... – Zadumałam się. – Nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

– A widzisz. Jaki jest twój ulubiony film?

– *Titanic* – rzuciłam z automatu.

Samolot zaczął się wznosić, gwałtownie nabierając wysokości, przez co żołądek chyba wyrzucił mi się na lewą stronę.

– Poważnie?

– Serio. – Kiwnęłam szybko głową. – Co prawda wiadomo, że zmieściliby się razem na tych drzwiach, ale cała reszta bardzo mi się podobała.

Nate zaśmiał się łagodnie i pokręcił głową.

– Jeszcze dwie minuty.

– Dwie minuty – powtórzyłam, starając się zmusić siłą woli swój oddech do uspokojenia się i usiłując przełknąć zalegającą mi w gardle gulę. Prawdopodobieństwo stania się ofiarą katastrofy lotniczej było bliskie zeru, a mimo to właśnie wczepiłam się z całej siły w cudownego nieznajomego, który miał wszelkie podstawy, by sądzić, że brakuje mi co najmniej paru klepek.

– Jaka jest twoja ulubiona pora dnia? – zapytał. – Wybacz, ale robię, co mogę, żeby cię czymś zająć.

– Zachód słońca. A twoja?

– Wschód słońca. Bo nigdy nie wiadomo, co przyniesie nowy dzień.

Nate rzucił przelotne spojrzenie na morze szarości roztaczające się za oknem. Pochyliłam się i sama też w nie na chwilę zerknęłam. Przez gęstą mgłę mogłam dostrzec krawędź skrzydła, ale wszystko inne ginęło w mętnej zawieszynie. Może to nawet lepiej, że nie widziałam ziemi.

Silniki zawyły potężnie.

– Co do... – zaczął Nate.

Zgrzyt metalu trącego o metal zmroził moje serce.

Skrzydło samolotu zmieniło się w kulę ognia.

ROZDZIAŁ TRZECI

NATHANIEL

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

– Chyba poszło całkiem nieźle – usłyszałem pęczniejący od kąśliwości głos Torresa, gdy odprowadzałem wzrokiem Izzy oddalającą się z resztą delegacji. Nie tupnęła nogą, nie miotła na mnie gromów, nawet nie obrzuciła choćby krótkim spojrzeniem. Po prostu poszła za Webbem w stronę opancerzonych samochodów czekających przy brzegu pasa startowego. Zbyła mnie, jakbyśmy wcale nie mieli za sobą dziesięciu lat znajomości.

Parsknąłem, ale kąciki moich ust i tak mimowolnie uniosły się w wyrazie uznania. *Dobrze to rozegrała.*

– To ona, prawda? – Torres zapytał, gdy ruszyliśmy za politykami.

– Ja pierdolę, prawie bym jej nie poznał.

Polityczka. Przecież Izzy nie znosiła polityki. A przynajmniej tak zawsze twierdziła. Tyle opowiadała o poświęceniu się pracy w sektorze non-profit, o niepoddawaniu się naciskom rodziców, którzy chcieli, żeby realizowała ich własne cele poprzez swoją karierę. Jak widać, całe to gadanie na nic się zdało.

Jednak podjęła tamtego dnia decyzję. Gdy przyszło co do czego, okazała się nieodrodną córką Astorów.

Choć narastał we mnie gniew, szybko rozlewający się gorącem po całym ciele, odepchnąłem go na bok. Rozum od zawsze podpowiadał mi, że jeśli Izzy stanie przed takim wyborem, pójdzie

w kierunku wskazanym przez rodzinę, a mimo to widząc na własne oczy rezultat tej decyzji, poczułem się jak raniony tęym nożem.

– Sierżancie Green. – U mojego boku pojawił się Graham i zrównał ze mną krok. – Masz ochotę wtajemniczyć mnie w to, co tam się wydarzyło?

– Nic wartego uwagi – wymamrotałem pod nosem, odrywając wzrok od podrywanych wiatrem włosów Izzy i rozglądając się kontrolnie wokół. Opuściłem na nos przesunięte na głowę ciemne okulary taktyczne, żeby osłonić wzrok przed jasnym słońcem.

Jasny chuj, co ona tu robiła?

– Bo uwierzę. Ani trochę nie wyglądało to na przypadkowe spotkanie z byłą. – Graham nawet nie próbował kryć sarkazmu.

– To nie jest moja eks – zaprzeczyłem, bo nigdy nie dotarliśmy z Izzy do tego etapu. – Jeszcze chwila, Graham, i zetrę ci ten głupi uśmiezek z twarzy.

– Gorzej niż eks – mruknął Torres. – To jego niedoszła.

– Oho, ktoś tu jest drażliwy. – Graham przestał się szczerzyć. – Nie rozumiem, czemu zrezygnowali z chinooka.

Mruknąłem z aprobatą. Rano miałem głęboko w dupie, że delegacja polityków odmówiła transportu dyplomatycznym czarterem, jak go nazywaliśmy, czyli opancerzonym śmigłowcem z lotniska prosto do amerykańskiej ambasady. Co prawda siedmiokilometrowa trasa była wystarczająco bezpieczna, przynajmniej na razie, ale różnica polegała na tym, że nie wiedziałem wtedy, że jedną z ochraniających osób będzie Izzy. Chciałem ukryć ją za wszystkim, co kuloodporne. A jeszcze bardziej pragnąłem odesłać ją daleko stąd. Jak najdalej. Koniec kropka.

Gdy dotarliśmy do konwoju, delegaci rozdzielili się pomiędzy dwa środkowe auta spośród czterech ustawionych jeden za drugim czarnych SUV-ów. Holt, czyli facet, za którego odpowiadał Kellman, wdrapał się do drugiego pojazdu. Izzy wsiadła za nim.

Kiedy już prawie zniknęła we wnętrzu samochodu, z ramienia nagle zsunął się jej plecak. Chwyciłem go za pasek w ostatniej chwili, nim wylądował na asfalcie. Oliwkowa tkanina była miękka i miejscami powycierana, wyściełana podszewka wygniotła się od wieloletniego noszenia, a w pobliżu zamka nadal widniał cylindryczny ślad po nadpaleniu.

Wstrzymałem oddech, a moje usta wykrzywił gorzki uśmiech, gdy podawałem jej plecak i podniosłem wzrok, żeby napotkać jej spojrzenie, podobnie jak moje ukryte za ciemnymi szklami. To zdecydowanie utrudniało odczytanie jej myśli. Spokojną i opanowaną mową ciała nie zdradzała absolutnie niczego, ale w jej oczach zawsze można było znaleźć to, czego się szukało. Czy była teraz tak samo rozbita jak ja, czy jednak trzy lata milczenia rzeczywiście uczyniły ją tak obojętną?

– Pani torba, panno Astor – powiedziałem wolno, podczas gdy moją twarz owiewało chłodne powietrze wydmuchiwane przez klimatyzację.

Rozchyliła usta i przełknęła ślinę, po czym wzięła ode mnie torbę i położyła ją sobie na kolana.

– Dziękuję.

– Czy można zwiększyć nawiew? – Holt zapytał kierowcę, mocując się z krawatem, pod którym po jego ciemnoczerwonej szyi spływały krople potu.

Siedzący za kierownicą Graham odwrócił się przez ramię i łagodnie się zaśmiał.

– Przykro mi. Klima jest już ustawiona na maksa. Po prostu gorąco tu jak cholera.

Holt opadł ciężko na oparcie siedzenia, wyglądając przy tym, jakby ktoś właśnie zastrzelił mu ukochanego pieska.

– Do kurwy nędzy – mruknął cicho słyszący to Kellman, zajmując miejsce na odwróconych tyłem do kierunku jazdy krzeselkach w tylnej części auta.

Szybki rzut oka potwierdził, że bagaże załadowano już do ostatniego wozu, a wszyscy delegaci bezpiecznie zajęli miejsca w pojazdach. Ponownie rozejrzałem się wokół, mimo że dokładnie to samo robiło sześciu pozostałych operatorów, i zauważyłem lekkie skinienie głową przez Webba, zanim zniknął w samochodzie prowadzącym kawalkadę.

Pora ruszać.

– Zapnij pas – poleciłem Izzy i zamknąłem drzwi, nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

No dobrze. Wsadziłem ją za tyle kuloodpornego szkła, ile tylko miałem pod ręką. Usiadłem na fotelu obok kierowcy i zatrzasnąłem

za sobą drzwi.

– Jedziemy. – Wskazałem ręką ruszający przed nami samochód, przed którym strażnicy właśnie otwierali bramę.

Do moich nozdrzy wdarł się słodki zapach cytryn pomieszany z perfumami Chanel No. 5, który dał sygnał do ataku myślom, na walkę z którymi nie miałem teraz czasu. Imadło obejmujące moją pierś zacisnęło się mocniej – tylko trochę, za to boleśnie. Owszem, pierścionek na jej palcu był czymś nowym, ale pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Nadal pachniała długimi letnimi nocami.

Graham wrzucił bieg i ruszył za poprzedzającym wozem, zabierając nas na ulice Kabulu. Moje zmysły uległy wyostrzeniu, wzrok rejestrował każdy szczegół otoczenia i skanował wszystkie mijające nas pojazdy, wypatrując ewentualnego zagrożenia.

– Ile mniej więcej czasu zajmie nam dojazd do ambasady? – odezwał się Holt, wycierając chusteczką pot z karku.

Kellmanowi szykował się niezły ubaw z tym gościem. Facet będzie mu uprzykrzał życie przez cały najbliższy tydzień. Zresztą mnie też raczej nie czekała nuda.

Isabeau Astor, we własnej pieprzonej osobie, siedziała tuż za mną, dzieliło nas ledwie pół metra. Po raz pierwszy od tamtej deszczowej nocy w Nowym Jorku, kiedy wszystko poszło nie tak. W którym momencie zrezygnowała z pracy w tamtej firmie? Kiedy postanowiła zatrudnić się w biurze senatorskim? Jej rodzice z pewnością byli wniebowzięci. Tym ludziom zawsze zależało wyłącznie na tym, co świadczyło o statusie społecznym. Co jeszcze zmieniło się w ciągu ostatnich trzech lat?

Skup się.

– To zależy od tego, jak duży będzie ruch i czy informacje o państwa przyjeździe dotarły do facetów, którzy lubią wyrażać swoje poglądy polityczne za pomocą granatników – odpowiedział Graham, za sprawą swojego południowego akcentu niemiłosiernie przeciągając ostatnie słowo.

Coś wypalało mi dziurę w tyle głowy i doskonale wiedziałem, że jeśli tylko się odwrócę, zobaczę wlepione we mnie oczy Izzy. Gdybym to ja siedział za nią, mój wzrok tak samo utkwiłby w niej. Nie uległem jednak pokusie i skoncentrowałem się na otoczeniu, bo

właśnie pokonaliśmy pierwszy kilometr trasy i ruch uliczny zaczął gęstnieć. Jeszcze trochę i wjedziemy do „zielonej strefy”.

– To będzie jakieś... pięć minut? Dziesięć? – uparcie dopytywał Holt, próbując ściągnąć z siebie marynarkę.

Musiałem powstrzymać się z całych sił, żeby nie przewrócić oczami.

– Już dawno bylibyśmy na miejscu, gdybyśmy polecieeli śmigłowcem – zauważył Kellman, obserwujący przez tylną szybę sytuację za naszym autem.

– Zdecydowano, że lot helikopterem nie świadczyłby dobrze o naszej wierze w bezpieczne wycofanie z Afganistanu – oznajmiła Izzy, poprawiając sobie plecak na kolanach.

– Kto taki, do cholery, uznał, że wizerunek to najważniejsze, o co należy się martwić w strefie działań wojennych? – Obrzuciłem ją krótkim spojrzeniem przez ramię. Zanim na powrót się odwróciłem, zdążyłem zauważyć, jak podbródek Izzy unosi się o dobrych parę centymetrów.

– Senator Liu – wyjaśnił Holt.

– No proszę, a więc ci sami ludzie, którzy w przyszłym tygodniu będą latać tu i tam opancerzonymi śmigłowcami, wam kazali pojechać autami – rzucił zgryźliwie Graham, stale utrzymując wystarczająco dużą odległość od jadącego przed nami samochodu.

– Jak tu nie kochać polityków.

Minęliśmy punkt wyznaczający drugi kilometr. Mieliśmy dobry czas.

– To, jak nasza wizyta zostanie odebrana, *jest* ważne – upierała się Izzy.

Co takiego? Zarówno serce, jak i rozum podpowiadały mi, żeby wsadzić ją do pierwszego lepszego samolotu, a ona przejmowała się odbiorem społecznym senatorskiej delegacji?

– Ja pierdolę, już sam fakt, że stawiasz taką maskaradę ponad własne bezpieczeństwo, jest wystarczającym powodem, dla którego nie powinno cię tu w ogóle być – warknąłem przez ramię, unosząc przy tym brwi, żeby nie miała wątpliwości, że kieruję te słowa właśnie do niej. Odwracając wzrok, uchwyciłem kątem oka, jak zaskoczona otwiera usta. *Skoncentruj się na zadaniu, Nate.*

– My tylko wykonujemy swoją pracę... – zaczął Holt.

– A odkąd to wolno ci decydować, gdzie powinnam, a gdzie nie powinnam być? – odcięła się Izzy, piorunując mnie groźnie zmrużonymi oczami.

Graham uniósł błagalnie wzrok, ale cały czas bacznie obserwował drogę.

– Chcesz odbyć tę rozmowę tutaj? – Może to wcale nie było głupie rozwiązanie, skoro w jadącym aucie nie mogłem się do niej zbliżyć. Wciąż nie byłem pewien, czy bardziej miałem ochotę porządnie nią potrząsnąć, żeby przemówić jej do rozumu, czy jednak bardziej pragnąłem całować ją tak długo, aż ten cholerny pierścionek zsunie się jej z palca.

Kim on mógł być? Jakiś ciągnący kasę z rodzinnego funduszu powierniczego elegancik, który przypadł do gustu jej rodzicom? Ktoś z koneksjami politycznymi i rodowodem, jakiego zawsze dla niej chcieli?

– Chciałam ją odbyć trzy lata temu – odparła wyzywająco, przy czym pochyliła się do przodu tak mocno, aż dało się słyszeć kliknięcie mechanizmu blokującego pas, którym była przypięta.

– Czy coś mnie ominęło? – zapytał wolno Holt, rozpinając guzik przy kołnierzyku koszuli.

– Nie! – huknęła Izzy.

– Tak – odezwałem się równocześnie z nią.

– Hmm... – Holt spoglądał na przemian to na Izzy, to na mnie, ale posłuchał głosu rozsądku i już się nie odzywał.

– Tyle napięcia nie towarzyszy nawet wymianie ognia – wymamrotał Graham.

– Zamknij się – wycodziłem. Miał absolutną rację, co tylko bardziej mnie wkurzało.

Po kolejnych czterech kilometrach, które pokonaliśmy w kompletnej ciszy, wjechaliśmy do „zielonej strefy”. Do ambasady dotarliśmy na tyle szybko, że emocje nagromadzone w aucie nie zdążyły jeszcze całkowicie opaść. Ozdobne szkło układające się na fasadzie budynku we wzór przypominający jodełkę pełniło funkcję czysto dekoracyjną. Zastłaniało betonową ścianę, która miała oprzeć się sile eksplozji. Nie miałem tylko pewności, czy ta solidna konstrukcja wytrzyma obecność Izzy i mnie pod jednym dachem.

Graham zaciągnął hamulec postojowy, wysiadłem z auta i poprawiłem pasek od karabinu. A kiedy otworzyłem drzwi, żeby wypuścić swoją podopieczną, moim oczom ukazała się Izzy siłująca się z pasem bezpieczeństwa.

– Co za. Głupie. Cholerstwo. – Z całych sił ciągnęła za pas, jednocześnie raz za razem wciskając kciukiem przycisk zwalniający klamrę.

Ten widok przygasił buchający ogień szalejącej we mnie frustracji. Mało tego, musiałem wręcz powstrzymać uśmiech, bo zachowywała się zupełnie jak... Izzy. Jeszcze chwila takich nerwów i bezskutecznej szarpaniny, a pewnie zaczniesz gadać jak najęta.

Boże, jak bardzo brakowało mi tej jej niczym nieskrępowanej paplaniny.

– Pomogę ci. – Nachyliłem się do środka.

– Nie trzeba. – Przesunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy i rzuciła mi spojrzenie, które wyrażało więcej niż tysiąc przekleństw.

Wycofałem się z rękoma uniesionymi w geście poddania, pozwalając jej dalej wściekle szamotać się z upartym pasem. Rozejrzałem się odruchowo wokół, a ponieważ staliśmy w cieniu, sam też przesunąłem okulary na głowę.

Webb zdążył już wysiąść z auta prowadzącego konwój.

– Nie. Powinno. Cię. Tu. Być! – Izzy wysyczała każde słowo osobno między kolejnymi szarpnięciami za pas, ewidentnie przedrzeźniając moje słowa.

– Jeśli mówisz o sobie, to masz rację. To ostatnie miejsce na Ziemi, do którego pasujesz, Iz. – *Czy życie było jej niemiłe?*

– Dobrze wiedzieć, że wciąż jesteś kutasem. – Z każdym pociągnięciem pasa mechanizm napinający pochłaniał kawałek taśmy, przez co stawała się coraz krótsza. – Co jest nie tak z tym pieprzonym badziewiem?!

Nie czekając na pozwolenie, dałem nura do auta i szybkim ruchem mocno nacisnąłem przycisk klamry, uwalniając Izzy z opresji. Cofnęła ręce jak oparzona, przy czym drasnęła moją dłoń pierścieniem na swoim palcu.

– Może jestem kutasem, ale przynajmniej potrafię odpiąć pas w samochodzie.

Nasze spojrzenia się skrzyżowały, a dzieląca nas niewielka przestrzeń iskrzyła napięciem, które bez trudu zatrzymałoby pracę szamoczącego się w mojej piersi czterojamowego organu. *Za blisko.*

Czym prędzej wygramoliłem się z auta, żeby napęłnić płuca świeżym powietrzem, mimo że smakowało przygnębieniem, i zapewnić jej – a przy okazji też sobie – trochę miejsca na oddech.

– Zapomniałem, ten pas lubi się zaciąć – wyjaśnił Graham z fotela kierowcy.

– I teraz mi o tym mówisz – mruknęła pod nosem Izzy, a jej policzki oblały się purpurą.

– Wszystko w porządku, Isa? – usłyszałem zza pleców głos Holta.

Delegaci kierowali się w stronę strzeżonego wejścia do budynku ambasady.

– *Isa?* – Z zaskoczenia aż cofnąłem się o krok, podczas gdy Izzy wysiadła z wozu i zarzuciła sobie plecak na ramię.

– To właśnie ja – odparowała, przechodząc tuż obok i nie zaszczycając mnie choćby krótkim spojrzeniem.

– Ma na imię Isab... – zaczął tłumaczyć Holt.

– Wiem, jak ma na imię – wszedłem mu w słowo.

Webb przyglądał się naszej wymianie zdań z boku, czekając, aż pozostali chłopacy wejdą ze swoimi podopiecznymi do ambasady. Jego lekko przechylona głowa sugerowała, że w ciągu góra pięciu minut czekała mnie rozmowa dyscyplinująca. Jakby nie wystarczyło, że Izzy znała moje prawdziwe imię – o czym zresztą będę musiał z nią pogadać – to jeszcze zachowywałem się jak dureń. W dodatku doskonale zdawałem sobie z tego sprawę. Co gorsza, nie potrafiłem tego powstrzymać.

– Zawsze znałem cię jako Izzy. – Ruszyłem za nią, przechodząc między drzewami, które rzędami rosły przed głównym wejściem do gmachu.

W jednej chwili zeszytniała i odwróciła się twarzą do mnie, niemal tuż pod nosem Webba.

– Izzy to osiemnastoletnia dziewczyna, którą trzeba trzymać za rękę. Już od dawna nią nie jestem. A jeżeli moja obecność tutaj stanowi dla ciebie problem, równie dobrze możesz wyznaczyć do eskortowania mnie kogoś innego, bo mam tu ważniejsze rzeczy do roboty niż udowadnianie ci *czegokolwiek* przez najbliższe dwa

tygodnie. – Wycelowała we mnie palec, ale cofnęła go, zanim zdążył dotknąć mojego torsu. Następnie obróciła się na pięcie i zamaszystym krokiem wmaszerowała do ambasady.

– A więc nadal jest wkurzona? – zapytał Torres.

Zignorowałem go, podobnie jak piekący ból w klatce piersiowej, który spróbowałem złagodzić długim, wyrażającym frustrację wydechem.

– Zapytam o to ostatni raz, sierżancie Green. – Webb wyrównał ze mną krok, gdy szliśmy do środka za pozostającymi po naszą opieką delegatami. – Czy będą z tego kłopoty? Bo muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałem cię tak rozkojarzonego. Ani razu.

Pewnie dlatego, że nikt i nic nie rozpraszało mojej uwagi tak jak Isabeau Astor. Żeby chociaż oślepiła swoim blaskiem tylko na moment. Nie, ta kobieta była niczym meteor będący w stanie doszczętnie zniszczyć cały mój świat, a zarazem jak spadająca gwiazda, która potrafi spełniać najskrytsze marzenia.

Zza szklanej ściany obserwowałem, jak wita się z ambasadorem w sali konferencyjnej, wykazując się przy tym wyćwiczonym opanowaniem, które musiało wynikać z doświadczenia i obycia, o których nie miałem najmniejszego pojęcia. Być może miała rację. Może nie była już moją Izzy... Nie żeby kiedykolwiek nią była. To nie do końca tak.

– Trochę nas kiedyś łączyło – przyznałem. Choć „trochę” było sporym niedopowiedzeniem. Nasza relacja miała trudną do sprecyzowania naturę, której nigdy w pełni nie pojąłem.

– Co ty nie powiesz! Ale czy to stanowi przeszkodę? Twój zmiennik powinien stanąć na nogi w ciągu paru dni, a wtedy możesz pofrunąć na te swoje Malediwy.

– Muszę się zastanowić. – Odkąd Izzy postawiła stopę na płycie lotniska, ani przez chwilę nie pomyślałem o moim malutkim, w dodatku opłaconym z góry, domku na wodzie.

Zerknąłem na Torresa.

– Czemu gapisz się na mnie, jakbym miał ci do powiedzenia coś, czego jeszcze nie wiesz?

W odpowiedzi przechylił tylko głowę w bok.

Na widok Izzy uśmiechającej się do ambasadora i podającej mu dłoń moja szczęka mimowolnie się zacisnęła.

– Daj mi znać do wieczora – zakomenderował Webb i ruszył w stronę sali konferencyjnej. – Dodali do trasy dwa dodatkowe punkty, więc wycieczka rusza jutro z samego rana – zawołał jeszcze przez ramię.

Wślizgnąłem się do pustego korytarza, żeby pozbierać się do kupy.

– Zamierzasz przekazać ją Jenkinsowi? – zapytał Torres, opierając się plecami o ścianę obok mnie.

– Instynkt podpowiada mi, żeby tego nie robić – odparłem cicho. – Tyle że Jenkins podszedłby do tego po prostu jak do kolejnego zadania.

– Misja jakich wiele – przytaknął Torres. – Słuszna uwaga.

Jenkins nie wpatrywałby się w jej oczy, nie delektowałby się jej uśmiechem, nie wodziłby wzrokiem po jej ciele. Byłby stuprocentowo skoncentrowany na robocie.

– Ale ze mną będzie bezpieczniejsza.

– Dlatego że ją kochasz? – dociekał Torres, na co pokręciłem głową.

– Dlatego że Jenkins nie jest gotowy oddać za nią życia.

– A nie przyszło ci nigdy do głowy, że umieranie za kogoś może być odrobinę przereklamowane?

– Mam tak każdego dnia. – Wyrzuty sumienia wykręcały mi żołądek.

– Nie to miałem na myśli. Pewnego dnia będziesz musiał zakopać to poczucie winy.

– Może tak, ale jeszcze nie dzisiaj.

Torres westchnął, pocierając palcem nasadę nosa.

– Dobra, gadanie o tym w kółko i tak niczego nie zmieni. Obaj doskonale wiemy, co zamierzasz zrobić.

Pokiwałem głową. Chroniłem Izzy od zbyt dawna, żeby przestać akurat teraz, i to tylko dlatego, że mogłoby to stawiać nas w niezręcznej sytuacji.

Graham minął korytarz, w którym staliśmy, ale w ostatniej chwili musiał nas dostrzec, bo nagle zawrócił.

– O, tu jesteś, szefie. – Pomachał trzymaną w ręku kartką. – Nowy plan imprezy.

Razem z Torresem odepchnęliśmy się od ściany, po czym wziąłem dokument od Grahama.

- Kunduz? – przeczytał Torres zaglądający mi przez ramię.
 - Dopisała dwie prowincje na północy – dodał Graham. – Myślałem, że senatorka Lauren chciała skupić się na południu. Szachistki i te sprawy, prawda?
 - Zgadza się – mruknąłem, badając wzrokiem zmiany w planie, które z całą pewnością wprowadziła Izzy.
- Coś tu nie grało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

IZZY

Saint Louis
Listopad 2011

Samolotem szarpnęło w bok, a ja poczułam, jak wszystkie wnętrzości wywracają mi się na lewą stronę. Ogień buchający spod skrzydła przypominał pióra z ogona feniksa niosącego śmierć. Silnik, z którego unosiły się kłęby dymu, nagle ucichł, a jego szum zastąpiła kakofonia innych dźwięków.

Wrzask ludzi i zgrzyt metalu. Stękające z przeciążenia mechanizmy. Świst drugiego silnika usiłującego samodzielnie utrzymać maszynę w powietrzu.

Nie mogłam oddychać, nie potrafiłam zebrać myśli. Słyszałam jedynie krzyki pasażerów, gdy samolot niespodziewanie zanurkował i przechylił się na lewy bok. Podłokietnik wbił mi się między żebra. Kabinę zalał deszcz toreb i walizek wypadających z otwierających się schowków nad fotelami. Coś twardego uderzyło mnie w ramię. Jeszcze więcej krzyków.

Moje palce z całych sił zacisnęły się na dłoni Nathaniela.

– Straciliśmy silnik. – Chwycił mnie jeszcze mocniej. – Ale raczej damy...

Silnik po prawej zaczął się krztusić i w końcu też się poddał.

Z każdej strony docierały do mnie przerażone wrzaski.

Jak to możliwe? Czy to się działo naprawdę? Straciliśmy *oba* silniki. Logika była okrutna i nie pozostawiała złudzeń. Nigdzie nie

polecimy. *Spadamy.*

Musiałam wypowiedzieć – albo wykrzyknąć – te słowa na głos, bo w jednej chwili Nate przysunął się do mnie, położył dłoń na moim policzku i nachylił się tak blisko, jakby próbował odciąć mnie od wszystkiego, co rozgrywało się wokół.

– Spójrz na mnie – rozkazał.

Zmusiłam się, żeby przenieść wzrok z przerażającego widoku za oknem na wwiercające się we mnie z uporem niebieskie oczy, które po chwili całkowicie opanowały moje pole widzenia. Nie dostrzegałam już niczego więcej.

– Będzie dobrze. – Mówił to z takim spokojem, z takim przekonaniem, że wydało mi się to kompletnie porąbane w zestawieniu z okolicznościami.

– Ale nie jest dobrze! – odezwałam się zduszonym szeptem. Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydobyć, bo samolot wciąż gwałtownie opadał pod dużym kątem. Jedyłą ulgą było to, że maszyna nie leciała już przechylona na bok.

– Zachowajcie spokój! – zawołał jeden ze stewardów, gdy samolot zaczęło telepać, a metalowy kadłub wibrował wokół nas z taką intensywnością, jakby lada moment miał się rozpaść na kawałki.

Zduśiłam wzbierający mi w gardle krzyk i skupiłam się na twarzy Nate'a.

– Mówi kapitan. – W kabinie rozległ się zdenerwowany głos. – Przygotować się na zderzenie.

Zginiemy.

Moje serce pompowało krew w tempie, od którego aż szumiało mi w uszach. Jego szaleńcze łopotanie zlewało się ze spanikowanymi wrzaskami pozostałych pasażerów.

Oczy Nate'a raptownie się rozszerzyły. Zabrał rękę z mojego policzka, ale nadal trzymał mnie za dłoń. Zaczęliśmy stosować się do instrukcji.

– Głowa w dół! Głowa w dół! Głowa w dół! – wykrzykiwali rytmicznie członkowie personelu pokładowego. – Nie podnosić się!

Zgięłam się wpół, opierając czoło na kolanach i zakrywając głowę prawą ręką. Lewa pozostała spleciona z dłonią Nate'a. Właśnie tak mieliśmy runąć na ziemię.

– Będzie dobrze – obiecał, starając się przyjąć mniej więcej taką pozycję jak ja, podczas gdy obsługa ponawiała wciąż te same komendy. – Patrz tylko na mnie. Nie jesteś sama.

– Nie jestem sama – powtórzyłam głucho.

Nasze dłonie zaciskały się jedna na drugiej tak mocno, że równie dobrze moglibyśmy stanowić w tej chwili jeden organizm.

– Głowa w dół! Głowa w dół! Głowa w dół! Nie podnosić się!

O dziwo, całe moje dotychczasowe życie wcale nie przeleciało mi przed oczami. Żadnego sprzeciwu ze strony duszy zawiedzionej tym, że w ciągu osiemnastu lat spędzonych na tym świecie nie zdażyłam osiągnąć niczego istotnego. Ani jednego objawienia, o jakich opowiadali ludzie, którzy otarli się o śmierć. Pewnie dlatego, że nie miałam otrzeć się o śmierć.

Miałam umrzeć. To miał być koniec.

Serena...

– Głowa w dół!

Uderzyliśmy w coś z ogromną siłą i moje ciało wystrzeliło do przodu jak pocisk. Pas werznął mi się w brzuch, a ręce i nogi zwiotczały, całkowicie poddając się prawom fizyki.

Cisnęło nami w lewo i mój bok eksplodował bólem. Przez ułamek sekundy wydawało się, że unosimy się w nieważkości, po czym wbiliśmy się z powrotem w ziemię niczym kamień posłany w taflę jeziora pod niewłaściwym kątem, tonący po zaledwie jednym odbiciu.

Każda najmniejsza kość w moim ciele była stłuczona.

Rąbnęłam głową w blat rozkładanego stolika.

Coś ciężkiego napierało na moje plecy, gdy sunęliśmy z łoskotem po wertepach przy akompaniamencie zgrzytającego metalu i przeszywających krzyków. Ziemia pod nami ryknęła przeraźliwie i niepodziewanie wszystko ogarnęła ciemność.

Chyba... zatrzymaliśmy się.

Podniosłam głowę, świat rozmywał mi się w oczach. W zalewającym mnie mroku ledwo mogłam rozpoznać oparcie siedzenia w rzędzie przede mną.

Czy to już? Czy tak wyglądała śmierć? Żadnego anielskiego chóru, żadnych fal kosmicznej energii... tylko... to? Cokolwiek to miało

być? Czułam się jak kołysana do snu, jakbym z każdym oddechem odrobinę się unosiła, a po chwili opadała.

Zamigotały zielone lampki awaryjne, rozświetlając wnętrze kabiny w dokładnie tej samej chwili, gdy ciemność za oknami nagle zniknęła.

Zamrugałam kilkakrotnie, starając się wyostrzyć wciąż zamglony wzrok.

Kobieta w fotelu po drugiej stronie przejścia otworzyła usta, ale brzęczenie w moich uszach zagłuszało każdy dźwięk, który z siebie wydawała. W rękach trzymała niemowlę, które nie przestawało bezgłośnie krzyczeć.

Raptem poczułam na policzku przyjemne ciepło, które obróciło moją głowę w przeciwną stronę.

Nathaniel.

Żył... podobnie jak ja.

Jego usta otworzyły się i zamknęły, wzrok szukał moich oczu, a po twarzy ciekła mu strużka krwi, mająca swoje źródło gdzieś nad lewym okiem.

– Co chcesz powiedzieć?! – zawołałam. – Jesteś ranny! – Podniosłam trzęsącą się dłoń i przyłożyłam ją do twarzy Nate'a.

Usta chłopaka znów się poruszyły. Nieoczekiwanie przez zasłonę uporczywego pisku wypełniającego moje uszy zaczęły się przedzierać inne dźwięki. Ktoś chyba mówił przez mikrofon.

– Musimy stąd wyjść! – wykrzyknął Nate, a jego słowa wreszcie do mnie dotarły. – Izzy! Musimy stąd wyjść!

W jednej chwili mój słuch zaatakowały szloch i spanikowane wrzaski. Zupełnie jakby ktoś bez ostrzeżenia włączył pilotem dźwięk w telewizorze.

– Ewakuacja! Ewakuacja! – komenderował głos dobiegający z interkomu.

Jakimś cudem udało nam się przeżyć, tylko co dalej?

– Nic ci nie jest? – zapytałam.

– Muszę otworzyć drzwi! – Nate uścisnął moją dłoń, po czym rozplótł nasze palce i odpiął mój, a potem swój pas. – Dasz radę otworzyć swoje? – wrzasnął do kogoś po drugiej stronie.

– Już otwieram! – odpowiedział nieznajomy głos.

Nate wstał, zasłaniając mi swoimi szerokimi plecami całkowicie widok, i dopadł do dźwigni odblokowującej wyjście awaryjne.

Coś lodowatego objęło moje stopy. Zimno momentalnie przeniknęło mnie do szpiku kości.

– O mój Boże, jesteśmy w wodzie – powiedziałam do siebie. Wpadliśmy do rzeki.

Zdezorientowani ludzie się potykali, przepychając się w przejściu między rzędami foteli.

Nate'owi udało się zwolnić mechanizm i obiema rękoma wypchnął drzwi na zewnątrz.

– Ewakuacja! Ewakuacja! – w dalszym ciągu nawoływano przez głośniki.

Sięgnęłam ręką pod swoje siedzenie i wymacałam nadmuchiwany kapok. Drugi wyjęłam spod miejsca, które zajmował Nate. Oba zawiniątka wcisnęłam pod kamizelkę i szarpnięciem zapięłam zamek. Uznałam, że włożymy je później.

Mężczyzna po przeciwnej stronie kabiny kłął, na czym świat stoi, mocując się z drugimi drzwiami. Wtórowało mu zanoszące się płaczem niemowlę.

– Izzy! – Nate się odwrócił i chwycił moją dłoń, podciągając mnie z fotela. Woda sięgała mi już kostek i wciąż się podnosiła.

W zamieszaniu wywołanym narastającą paniką ktoś potrącił moje ramię.

Nate wydostał się przez wyjście awaryjne i – ani na sekundę nie puszczając mojej ręki – wyprowadził mnie wprost na oblodzone skrzydło.

Znajdowaliśmy się na samym środku rzeki Missouri.

– Stań po tamtej stronie! – krzyknęłam do Nate'a. Widziałam, jak woda obmywa przednią część skrzydła.

Zacisnął szczękę i już chciał pokręcić przecząco głową, ale ostatecznie rozluźnił palce, uwalniając moją dłoń. Ustawiliśmy się po obu bokach wyjścia.

– Niech mi pani poda rękę! – Wyciągnęłam dłoń w stronę kobiety, która miała trudności z wydostaniem się na zewnątrz. Uniósł obie ręce, a Nate i ja wspólnie wciągnęliśmy ją na skrzydło samolotu.

– Zostaw tę cholerną walizkę! – Nate wrzasnął do środka, nim udzielił pomocy następnemu z pasażerów.

– Właśnie otworzyli drugie drzwi – poinformowała nas kobieta, która jako kolejna już osoba opuszczała kabinę. Stopy rozjeżdżały się jej na pokrytym warstwą lodu metalu.

– Ostrożnie! – zawołałam, przytrzymując ją, żeby nie straciła równowagi.

Jedna osoba za drugą. Pomagaliśmy każdemu po kolei.

– Proszę podać mi dziecko! – Sięgnęłam po niemowlę, które jedna z kobiet tuliła w ramionach. Przycisnęłam do piersi różowe zawiniątko, z którego dobiegał rozdzierający serce płacz małej dziewczynki, podczas gdy Nate pomagał jej mamie wdrapać się na skrzydło.

– Dziękuję! – Odebrała ode mnie córeczkę i przeszła dalej, żeby nie blokować przejścia.

Woda coraz śmieiej lizała krawędź skrzydła. Kiedy Nate wydobywał na zewnątrz kolejną osobę, przesunęłam się nieco w bok, chcąc zobaczyć dziób samolotu. Przednie wyjście ewakuacyjne było otwarte, na rzece unosiły się tratwy ratunkowe, a członkowie personelu pokładowego pomagali pasażerom zejść na wodę. Ta wlewała się już do środka samolotu, sięgając im aż do kolan. Jakiś mężczyzna z trudem podciągał się do szybko zapełniającego się rozbitkami pontonu.

– Toniemy – oznajmiłam.

Nate pokiwał głową.

Ile osób zostało jeszcze w środku? Ile mieliśmy czasu, zanim woda całkiem wypełni kadłub?

Mężczyzna. Kobieta. Kolejny mężczyzna. Przerażone dziecko. Wyciągaliśmy ich kolejno z wnętrza samolotu aż do momentu, gdy na skrzydle brakowało miejsca, a ze środka nikt już nie wzywał pomocy.

– To już wszyscy? – zawołał Nate, wsuwając głowę przez drzwi.

Zero odpowiedzi, tylko chlupot wody moczącej siedziska foteli.

Usłyszałam głośny plusk, a po chwili następne. Niektórzy z pasażerów wskakiwali do wody. Od brzegu dzieliło nas mniej więcej pięćdziesiąt metrów.

Nate przeszedł na moją stronę drzwi i chwycił mnie za dłoń.

– Trzeba płynąć wpław – powiedziałam tak spokojnym tonem, na jaki tylko potrafiłam się zdobyć. Raczej nie mieliśmy co liczyć na

ratunek na miarę cudu na rzece Hudson.

– No – mruknął Nate.

– Ja nie umiem pływać! – Stojący obok chłopiec się rozplakał, chowając twarz w kurtce swojego taty.

Kapoki!

– Proszę. – Sięgnęłam pod kamizelkę, wydobyłam stamtąd plastikową torebkę, rozerwałam ją zębami i podałam ojcu chłopca.

– Nie zabrałem naszych. – Mężczyzna spojrzał na mnie z przerażeniem w oczach.

– Proszę wziąć mój. Poradzę sobie. – Posłałam mu dodający otuchy uśmiech i dla pewności pokiwałam jeszcze głową. Następnie jeszcze raz wsunęłam dłoń pod rozpiętą kamizelkę. – Twój też wzięłam – rzuciłam do Nate'a, przyciskając mu paczuszkę do piersi.

Zamrugał, ewidentnie zaskoczony, spojrzał na kapok i stanowczo pokręcił głową.

– Zostaw dla siebie.

– Nie potrzebuję – zapewniłam. – Przez sześć lat należałam do drużyny pływackiej.

Kilkukrotnie przenosił wzrok ze mnie na kapok i z powrotem, po czym rozejrzał się po pozostałych pasażerach.

– Gdzie jest mama z niemowlęciem? – zawołał Nate.

Mniej więcej w połowie długości skrzydła w górę wystrzeliła jej ręka.

– Podajcie to do niej – poinstruował ojca stojącego obok nas.

Kapok przechodził z rąk do rąk, aż przesyłka dotarła do adresatki.

Wokół zaczęło robić się żółto, gdy kilka osób włożyło swoje kapoki i przystąpiło do ich pompowania.

Woda zaczęła przykrywać koniec skrzydła, więc wszyscy cofnęliśmy się bliżej kadłuba, choć nikt nie miał złudzeń, że samolot lada moment zatonie i spocznie na dnie rzeki, wobec czego przeniesienie naszego ciężaru w inne miejsce nie pomoże utrzymać go na powierzchni.

Maszyna znienacka pochyliła się do przodu, dwie osoby zsunęły się ze skrzydła do wody, a całą resztę stłoczonych na nim rozbitków ogarnęła panika.

– Spójrz na mnie – zarządził krótko Nate, chwytając mój podbródek między kciuk i palec wskazujący i podnosząc go.

Czy zawsze wyglądał tak niewyraźnie?

– Cholera, masz gigantyczne źrenice – mruknął pod nosem. Skrzywił się, gdy przesunął palcami po moim czole. – I do tego nabiłaś sobie porządnego guza. Dzwoni ci w uszach? Masz zamglony wzrok?

– Jedno i drugie.

– Doznałaś wstrząśnienia mózgu. – Rozejrzał się, patrząc ponad moją głowę, po czym odwrócił się gwałtownie, żeby spojrzeć na tonący dziób samolotu. Okna kokpitu właśnie znikają w rzece, za chwilę miała nadejść kolej na przednie drzwi. – Wszyscy wysiedli, nic więcej nie możemy zrobić, a za parę minut będziemy pod wodą. Musimy dopłynąć do brzegu. Dasz radę?

W boku czułam bolesne klucie.

– Będę musiała.

Pokiwał głową i mocniej zacisnął palce na mojej dłoni.

– Skaczymy razem. O tej porze roku woda ma niewiele ponad dziesięć stopni.

Znowu plusk, tym razem gdzieś po drugiej stronie samolotu.

– Nawet nie mamy drzwi, na których nie byłoby dla ciebie miejsca. A już myślałam, że poczuję się jak bohaterka mojego ulubionego filmu. – Przywołałam drżący uśmiech na twarz.

– Widzę, że żarty się Ciebie trzymają. To dobrze.

Samolot gwałtownie zanurkował dziobem i straciłam równowagę. Pozostali na skrzydle pasażerowie z krzykiem ześlizgiwali się do wody.

– O, kurwa! – Gdy zarzuciło mnie w stronę krawędzi, dłoń Nate'a zacisnęła się na mojej niczym imadło i mocno przyciągnął mnie do siebie, obejmując ramieniem w pasie.

Za moimi żebrami nastąpiła eksplozja obezwładniającego bólu. Promieniował z taką intensywnością, że ledwo łapałam oddech.

– Mam Cię! A teraz wiejmy stąd! – Ustawiliśmy się bokiem do tylnej krawędzi skrzydła, które, gdy maszyna jeszcze mocniej się pochylała, raptem się uniosło. Kadłub stękał niczym konający człowiek, woda pochłonęła już przednie drzwi i kolejno znikają pod nią boczne okienka. – Skaczymy! – zarządził Nate. Staliśmy ramię w ramię, twarzami do brzegu. – Gotowa?

– Gotowa. – Z trudem przełknęłam ślinę, przygotowując się na lodowate powitanie, jakie z całą pewnością zgotuje mi rzeka.

– Na trzy. – Spojrzał na mnie, po czym skierował wzrok w miejsce, w którym mieliśmy wylądować. – Jeden.

– Dwa – odliczałam dalej.

Samolot wydał z siebie ostatnie tchnienie i z przerażającym stukotem zaczął się coraz szybciej zanurzać w mętnej toni.

– Trzy – rzucił pospiesznie Nate.

Skoczyliśmy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

IZZY

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

To przez niskie ciśnienie, prawda? W końcu miasto położone było na znacznej wysokości. Właśnie dlatego nie mogłam głęboko odetchnąć ani nabrać wystarczająco dużo powietrza, żeby złagodzić uczucie pieczenia w klatce piersiowej. Przecież to nie miało zupełnie *nic* wspólnego z jego osobą.

Kogo ty chcesz oszukać.

Przez lata kreśliłam tysiące najróżniejszych scenariuszy ponownego spotkania z Nate'em, ale takiego obrotu spraw nie przewidziałam. Wyobrażałam sobie, że pewnego deszczowego wieczoru zjawi się pod moimi drzwiami, może nawet wmaszeruje pewnym krokiem do mojego waszyngtońskiego biura i oznajmi stanowczo, że nie mogę poślubić Jeremy'ego. W porządku, akurat ta wizja była trochę przesadzona, choć co tu ukrywać – taka myśl raz czy dwa przeleciała mi przez głowę.

Obróciłam kciukiem ciężki, krzykliwy pierścionek na palcu, po czym kilkakrotnie przeszłam się po apartamencie w tę i z powrotem.

Nate był tu, gdzie ja. Mężczyzna, którego uważałam dawniej za bratnią duszę, przebywał w tym samym mieście. Mało tego, w tym samym *budynku*. Czułam, jak przyspiesza mi puls. Musiałam mocno chwycić się resztek zdrowego rozsądku, żeby zwalczyć pokusę odnalezienia go i albo wykrzyczenia mu prosto w twarz wszystkiego,

co przez niego przeszedłam, albo wtulenia się w niego tak mocno, że żadne z nas nie byłoby w stanie swobodnie oddychać. A może nawet jednego i drugiego.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Jeremy.

Cholera, wciąż miałam go na linii.

– Słucham. – Pokręciłam głową i wyrzuciłam przez okno, omiatając wzrokiem dziedziniec ambasady w nadziei, że dojrzę gdzieś Nate'a... Jeśli akurat gdzieś tam się kręcił.

Odprowadził mnie do mojego apartamentu z szorstką uprzejmością sugerującą, że wolał trzymać się ode mnie z daleka. Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę ostatnie trzy lata.

– Mówiłem, że cię przeproszam...

Moje myśli zagłuszyły resztę wymówek Jeremy'ego.

Pewnych spraw nie naprawią choćby najbardziej wylewne przeprosiny.

– Powiedziałaś ci, że potrzebuję trochę czasu. – Opadłam ciężko na zdecydowanie zbyt obszerny fotel, będący częścią kompletu wypoczynkowego w salonie.

– Ale nie wspomniałaś, że wybierasz się na drugi koniec świata załatwiać sprawy Lauren! Oboje dobrze wiemy, że to Newcastle miał tam polecieć – warknął Jeremy. – Jeśli potrzebowałaś czasu, żeby...

– Wyraźnie usłyszałam, jak nerwowo przetyka ślinę. – Żeby podjąć decyzję, równie dobrze mogłaś zostać w Waszyngtonie. Ewentualnie pojechać do Sereny...

Serena. Zrobiło mi się niedobrze, zalała mnie fala mdłości tak gęsta, aż poczułam kwaśny posmak na języku.

– Posłuchaj, Jer, mój przyjazd tutaj nie ma nic wspólnego z tobą ani twoimi wyborami. To moja decyzja i dotyczy wyłącznie mnie samej. Gdybyś chociaż odrobinę interesował się tym, o czym mówiłam ci przez ostatnich sześć tygodni... – Potarłam palcem nasadę nosa i wydałam z siebie bezsilne westchnienie. – Ale przecież miałeś dosyć własnych zajęć, prawda? – Rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu zegara. Było szesnaście po ósmej wieczorem, a jet lag solidnie dawał mi się we znaki. Mój organizm miał gdzieś, która była godzina, zależało mu tylko na tym, żebym pozwoliła mu się zdrzemnąć. Ale mózg doskonale zdawał sobie

sprawę, że muszę się jak najszybciej zaaklimatyzować, a wcześniejsze położenie się do łóżka wcale w tym nie pomoże.

– Isa, oboje byliśmy ostatnio zapracowani. Po prostu... przegadajmy to jak dorośli. – Jego protekcjonalny ton tylko mnie mierzył.

– Nie jestem gotowa, żeby to przegadać – oświadczyłam w chwili, gdy rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi. – Ktoś przyszedł. – Wstałam i skierowałam się w stronę wejścia.

– Niech zgadnę. Ben Holt się zjawił, żeby cię pocieszyć? – wypalił Jeremy. – Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać.

– Wręcz przeciwnie, ta rozmowa *właśnie* dobiegła końca – odparłam uniesionym głosem i otworzyłam drzwi zamaszystym ruchem, wykazując się przy tym gracją ubzdryngolonej lamy. Odbiły się z impetem od odbojnika, ale dokładnie w tym momencie zza progu wystrzeliła czyjaś wielka dłoń i chwyciła drzwi, nim trzasnęły mnie w biodro. Razem z tajemniczą dłonią pojawiło się wytatuowane przedramię, które znałam co najmniej tak dobrze jak własne.

W wejściu stał Nathaniel, ubrany od stóp do głów w czarny mundur bojowy, do kompletu z kamizelką kuloodporną i małą słuchawką ze zwisającym z ucha zakręconym kabelkiem, dzięki której prawdopodobnie pozostawał w kontakcie z pozostałymi ninja, którzy eskortowali nas z lotniska.

Najpierw niechlujny zarost i pozbawiony oznaczeń mundur, a teraz to? Nate najwyraźniej nie próżnował przez ostatnie trzy lata.

– Musimy pogadać – oznajmił i skinął głową w kierunku pokoju za moimi plecami. – W środku.

Pieczenie w piersi nie tylko nie ustąpiło, ale gwałtownie przybrało na sile, zamieniając się w żywy ogień, grożący wypaleniem mnie od środka. Te oczy od początku tak na mnie działały. Tak głęboki odcień błękitu zasługiwał na własną nazwę w palecie kolorów. Jednak ciepło, które zawsze od nich biło, jakby osłabło, sprawiając, że stojący przede mną mężczyzna wydawał mi się bardziej obcy niż tamtego poranka, kiedy razem wskoczyliśmy do rzeki Missouri.

Mimo to lodowate spojrzenie zdławiło narastającą we mnie złość.

Oczywiście Nate wyglądał jak żywcem wyjęty z hollywoodzkiego filmu akcji, a ja nie miałam niczego, co posłużyłoby mi za tarczę, choćby rzes pociągniętych porządną maskarą.

– ...nie na tym polega związek dwojga ludzi! – ujadał mi prosto do ucha Jeremy, kończąc tyradę, która niemal w całości mnie ominęła.
– Przyjadę po ciebie. Polecę samolotem rodziców. Jutro rano mogę być na miejscu.

– Teraz – szepnął Nate, a jeden z mięśni jego szczęki mocno się naprężył.

– Muszę kończyć – poinformowałam Jeremy'ego i nacisnęłam czerwoną słuchawkę, nie pozostawiając mu ani chwili na odpowiedź.

Cofnęłam się o krok, żeby wpuścić Nate'a. Gdy wchodził do apartamentu, lekko się o mnie otarł, a do moich nozdrzy dotarł odurzający ziemisto-miętowy aromat. Wciąż pachniał jak dawniej. Czy tę woń, wyraźnie mówiącą „chodź się ze mną pieprzyć”, wydzielają pory w jego skórze, czy można było dostać ją w jakiejś perfumerii?

Nate tymczasem bez słowa obszedł cały salon, zaglądając nawet za zasłony, po czym wmaszerował do sypialni, jakby był u siebie.

Siła przyzwyczajenia.

– Nie chowam nikogo pod prysznicem, Nathaniel – zawołałam do niego, opierając się pośladkami o krawędź biurka i odkładając komórkę na jego blat. Jeremy mógł poczekać. Nie miałam odpowiedzi, których ode mnie oczekiwał. Jeszcze nie. A może nigdy nie będę ich miała.

– Bardzo zabawne – odpowiedział Nate z sypialni.

Czułam, jak napinają się wszystkie mięśnie w moim ciele, szykując się na batalię z Nate'em, który nie chciał mnie tu widzieć, a zarazem jakąś część mojej duszy ogarniały dziwny spokój i opanowanie tylko dlatego, że znalazłam się z tym dupkiem w jednym pokoju.

– Upewniam się tylko, czy ktoś nie czyha za zasłonami na twoje życie. – Wrócił do salonu swoim pewnym i równym krokiem. Podeszedł do okna wychodzącego na dziedziniec, skinął głową na cokolwiek, co tam zobaczył, po czym odwrócił się do mnie.

– Nikt nie czyha na moje życie. – Inaczej sprawa wyglądała w odniesieniu do mojej szefowej, ale miała przylecieć dopiero w kolejnym tygodniu, zresztą informacji o jej wizycie nie podano do wiadomości publicznej.

– Owszem – powiedział i utkwiał we mnie poważne spojrzenie, przyglądając mi się z drugiego końca pokoju – czyhają. Co tu, do

cholery, robisz, Izzy?

Izzy. Niewiele osób jeszcze mnie tak nazywało. Gdy tylko przekroczyłam próg biura senatorki Lauren, z automatu stałam się Isą.

– Mogłabym zadać ci dokładnie takie samo pytanie – skontrowałam, krzyżując ramiona na piersi. Z moich policzków buchał żar, skutecznie podsycany przez zbyt ciepłą bluzę z kapturem z logo Uniwersytetu Georgetown. Spod nogawek spodni od piżamy wystawały mi bosa stopy. Szykowałam się do spania, a nie na konfrontację z Nate'em.

Nate. Minęły całe trzy lata i tak miało wyglądać nasze ponowne spotkanie? Nie wrócił do mnie, nie przeprosił za to, że zniknął bez śladu. Trafiliśmy na siebie po raz kolejny wyłącznie dlatego, że byliśmy niczym magnesy, którymi los najwyraźniej uwielbiał się bawić.

Porąbana sprawa.

– Ładna słuchaweczka – mówiłam dalej. – Przynajmniej wiedzą tu, jak można się z tobą skontaktować. – Usiłowałam przełknąć kluczę w gardle. Zbyt wiele emocji walczyło w moim sercu o dominację, jedna dusząca drugą, a ostatecznym zwycięzcą zostało poczucie krzywdy, czyniące wypowiedane przeze mnie słowa ostrymi i zjadliwymi.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

Jego szczęka drgnęła, poruszona napinającymi się mięśniami.

– Słucham. Cokolwiek dusisz w sobie przez cały wieczór, chcę to wreszcie usłyszeć. – Skrzyżował ręce na piersi, przyjmując identycznie obojętną pozę jak ja, tyle że jemu wyszło to o wiele lepiej. Z pewnością pomagał mu w tym mroczny wizerunek bezwzględного najemnika, choć dobrze wiedziałam, że skoro przydzielono go do ochraniania naszej delegacji, w dalszym ciągu musiał pracować dla rządu.

– Zostawiłeś mnie. – Słowa same popłynęły mi z ust.

Nate zmarszczył brew.

– Serio? Ja zostawiłem ciebie? Tak to zapamiętałaś? Trochę przeinaczasz fakty. Widać, że zostałaś polityczką pełną gębą, tak jak chciał tatuś.

– Zniknąłeś! – Odepchnęłam się od biurka, napędzana wzbierającym we mnie od lat gniewem. – Żadnego listu! Ani jednego e-maila! Twoje profile w socjalach? Skasowane. Telefon? Nie ma takiego numeru! – Wściekłość poprowadziła mnie przez cały pokój, aż moje bose stopy stanęły tuż przed czubkami jego butów. Z uniesioną głową piorunowałam wzrokiem twarz, która nawiedzała moje sny, a czasem i koszmary. – Zapadłeś się pod ziemię! – Lata niepewności, zastanawiania się, czy nic mu nie groziło, czy nie został ranny, czy nie stało się coś jeszcze gorszego, nareszcie znalazły ujście. – Masz pojęcie, jak długo cię szukałam? Poleciałam do Peru, tak jak planowaliśmy. Na Borneo też. Minął prawie rok, zanim zrozumiałam przekaz.

Coś przemknęło ukradkiem przez jego twarz. Żal?

– Tym sposobem do niczego nie dojdziemy. – Zrobił krok w bok i oddalił się ode mnie, kierując się do drzwi. – Nie przekręciłaś nawet cholernego zamka. – Trącił ręką zasuwkę zwisającą smętnie na łańcuszku i odwrócił się, opierając się plecami o drzwi. – Powinnaś teraz siedzieć w szykownym biurze tamtej kancelarii w Nowym Jorku, więc zapytam jeszcze raz. Co ty tu robisz?

– Zmieniam świat. I wydaje mi się, że postępuję zgodnie z czyjąś sugestią. – Poczłapałam po miękkim dywanie do aneksu kuchennego i wyciągnęłam z lodówki dwie butelki wody. – Chcesz jedną? – Choć byłam na niego wściekła, odruchowo chciałam o niego zadbać. Boże, żal mi samej siebie.

– Pewnie, dziękuję – odpowiedział już łagodniejszym tonem. – A to... – wskazał ręką na wnętrze apartamentu – ...nie to miałem na myśli, kiedy z moich ust padła ta sugestia. – Złapał butelkę, którą rzuciłam w jego stronę. – Ale z całą pewnością pokrywa się to z ambicjami twoich rodziców, prawda?

Wzruszyłam ramionami i odkręciłam nakrętkę.

– Tak ułożyło się moje życie. – Wzięłam spory łyk, licząc na to, że haust wody pomoże udroźnić moje zaciśnięte gardło. – Co cię bardziej wkurza, Nate? Fakt, że nie jestem w miejscu, w którym mnie zostawiłeś? Czy to, że poznałam cię w takim wydaniu, w jakim nigdy nie chciałeś, żebym cię zobaczyła?

– Tutaj nie jest bezpiecznie. – Obracał butelkę między dłońmi, jawnie ignorując moje pytanie. – W tym kraju panuje kompletny

burdel.

Uniosłam lekko głowę.

– Ale właśnie po to tutaj jesteś, czyż nie? Żeby chronić takich jak ja? Tym się teraz zajmujesz? Gdzie się podziewałeś przez ostatnie trzy lata?

Znowu drgnięcie szczęki.

– Tego akurat nie mogę ci powiedzieć. Zasady gry się nie zmieniły, stały się tylko bardziej restrykcyjne. – Otworzył swoją butelkę i wypił duszkiem połowę jej zawartości.

Tyle lat, a on nadal nie chciał się przede mną otworzyć. Wyglądało na to, że jego świat wcale tak bardzo się nie zmienił. W przeciwieństwie do *mojego*.

– W porządku. Ale skoro nie przyszedłeś, żeby wyjaśnić mi, co się stało w Nowym Jorku, a ja nie zamierzam skorzystać z twojej rady i wyjechać, to co właściwie robisz w moim pokoju?

– Nie powinno mnie tu być.

– Co ty nie powiesz. Wątpię, żeby ochroniarz Holta przesiadywał u niego i osuszał jego minibar.

– Nie to miałem na myśli. – Kąciki ust Nate'a powędrowały nieco w górę, choć nie był to uśmiech z prawdziwego zdarzenia. Całe szczęście, bo przynajmniej nie pojawił się ten jego dołeczek.

Nic mnie tak nie ogłupiało, jak widok tego niewielkiego wgłębienia w policzku.

– Zlituj się i podaruj sobie tę wojskową enigmatyczność. – Odrobinę zmrużyłam oczy. – Bo zakładam, że nadal służysz w armii? – Zapowiedziano nam, że naszą ochroną zajmą się komandosi z jednostek specjalnych, a na jego lewej piersi znajdował się czarno-biały imiennik z nazwiskiem. Tyle że zamiast *Phelan*, wyszyto na niej *Green*.

Jakimkolwiek nazwiskiem się posługiwał, nadal wyglądał nieprawdopodobnie dobrze. Ktoś tu nie odpuszczał sobie treningów w siłowni.

Przestań.

Co takiego sprawiało, że podczas przebywania z Nathanielem Phelanem w jednym pomieszczeniu czułam się na powrót osiemnastolatką?

– Tak, wciąż jestem w armii. Tyle że w tej części, o której się nie mówi – odpowiedział wolno, unosząc przy tym brwi. – A jeśli chodzi o mój telefon, e-mail i socjale... Wszystko zostało wyczyszczone.

– Rozumiem. – Ta odrobina niewymuszonej szczerości, jakkolwiek śladowa by nie była, pozwoliła ziarenku nadziei zagnieździć się w moim sercu. – Więc dlatego... nie istniejesz. – Dni i miesiące po zniknięciu Nate'a doprowadzały mnie do szału, ale jakaś część mnie od początku wiedziała, dlaczego przepadł jak kamień w wodę. To zawsze było jego marzeniem.

Ja zaś marzyłam dawniej, że uda mi się odwieść go od jego realizacji.

Pokiwał głową.

– Green? – Wskazałam na naszywkę z nazwiskiem. – To twój znak wywoławczy czy coś w tym stylu?

– Nie. Te nazwiska – spojrzał na swoją pierś – są dla was, nie dla nas. Będziesz musiała się tak do mnie zwracać. O ile zostaną. Mówiłem już, że nie powinno mnie tu być. – Na chwilę przeniósł wzrok na okno, jakby patrzenie mi w oczy było dla niego czymś... bolesnym.

– W takim razie gdzie powinieneś być? – Czy w jego życiu był teraz ktoś inny? Ktoś, komu przysługiwało prawo, żeby wiedzieć, czy dotarł bezpiecznie do domu? Czy ktoś na niego czekał? Poczulałam mdlące ukłucie zakwaszającej umysł zazdrości.

– Na urlopie na Malediwach. – Miał na tyle przyzwoitości, żeby przyjąć choć trochę zakłopotany wyraz twarzy.

Zaskoczona zamrugałam.

– Wybierałeś się na Malediwy? – Zagotowałam się z oburzenia. – Ciekawe, bo myślałam, że Malediwy przypadają dopiero na październik. – Czy nasza umowa absolutnie nic dla niego nie znaczyła? Oczywiście, że *nie*. I dobitnie okazywał mi to przez ostatnie trzy lata.

– No tak. – Wzdrygnął się. – Ale sierżant Brown się rozchorował, więc zgodziłem się go zastąpić.

– Niech zgadnę. *Sierżant Brown* to nie jego prawdziwe nazwisko?

– Zgadłaś. – Wypił resztę wody i z powrotem zakręcił butelkę. – A potem z samolotu wyszłaś ty.

– I? – Wzruszyłam obojętnie ramionami i zmusiłam się do udawanego uśmiechu. – Nadal możesz polecieć na te swoje Malediwy. Wystarczy, że przypiszesz mnie do kogoś innego. – Z tonu mojego głosu dobiegały pustka i fałsz. Zresztą nie bez powodu. Nieważne, jak bardzo wściekła byłam na Nate'a, jak źle potoczyły się sprawy, kiedy ostatnim razem przebywaliśmy w jednym pomieszczeniu, nie potrafiłam znieść myśli, że mógłby znowu odejść. Nie kolejny raz. Nie w taki sposób.

– Taa, jasne. – Zaśmiał się niepewnie i utkwiał we mnie wymowne spojrzenie. – Żeby to było takie proste.

Moje serce na parę uderzeń wypadło z rytmu. Powietrze zgęstniało i się naelektryzowało, wpatrywaliśmy się sobie w oczy, stojąc nieruchomo po dwóch stronach dzielącego nas pola minowego. Jeden fałszywy ruch i oboje się wykrwawimy.

– Wiem – przyznałam łagodnie. – To nie jest proste. Nigdy nie było.

Nate skinął lekko głową i odwrócił wzrok. Czar prysł. Wciągnęłam głośno powietrze.

– Czegoś tu nie rozumiem. Zamierzasz spędzić dwa tygodnie w jednym z najbardziej nieprzyjaznych miejsc na ziemi, jeżdżąc z prowincji do prowincji, tylko po co? Poczujesz się lepiej, jeśli na własne oczy przekonasz się, że sytuacja w tym kraju *nie* jest ani trochę stabilna?

Naprężyłam się jak struna.

– Jesteśmy tu po to, żeby na podstawie własnych obserwacji sporządzić raport z przebiegu wycofania naszych wojsk, i dobrze o tym wiesz.

– I nie ma szans, żebyś się spakowała i wyjechała? – Spojrzał mi błagalnie w oczy.

– Nie. – Byłam bliska wyjawienia mu prawdy, lecz w ostatniej chwili się powstrzymałam. Czy gdyby znał prawdziwy powód mojego przyjazdu, mogłabym liczyć na jego pomoc? Czy może chciałby wtedy jeszcze szybciej mnie stąd odprawić? – Odwiedzę kilka miejsc, o co poprosiła mnie senatorka Lauren, a potem przywitam ją, kiedy sama przyleci tu w następnym tygodniu. Podobno nikt nie wie...

– Że tu jesteście. Tak, wiem. Już nie raz to słyszałem. – Przeczesał dłonią gęste ciemne włosy i powoli wypuścił powietrze ustami.

Westchnienie to przeniknęło do każdej komórki w moim ciele, aż stało się częścią mnie.

– W porządku. W takim razie garść informacji organizacyjnych – mówił dalej Nate. Odepchnął się od drzwi i rzucił pustą butelką do kosza. Trafił bez najmniejszego problemu. – Jestem sierżant Green. Żaden Nate. Nie wolno ci mówić do mnie Nate. Ani na zewnątrz, ani tutaj. Nigdzie. Jasne?

– Skoro nalegasz. – Nate podszedł bliżej, więc musiałam odchylić głowę, żeby utrzymać kontakt wzrokowy. Nie byłam pewna, czy wynikało to z faktu, że sama byłam boso, a on miał na nogach solidne bucior, czy może było to wynikiem trzyletniej rozłąki, ale facet wydawał mi się *ogromny*.

– Nalegam. W moim zawodzie anonimowość jest obowiązkowa. Tutaj możesz wojować, ile chcesz, i być... – przez moment szukał odpowiedniego słowa – prawdziwą Izzy, ale tam – wskazał na drzwi – tam musisz słuchać, co mówię, i zawsze robić to, o co proszę.

– Nate... – zaczęłam odruchowo. Kurwa, to będzie trudniejsze, niż myślałam.

Jedna z jego brwi powędrowała w górę.

– Jak. Tylko. O coś. Poproszę.

– Zawsze byłeś taki upierdliwy? – odpyskowałam.

– Całkiem zabawnie jest usłyszeć to właśnie od ciebie.

Przewróciłam oczami i założyłam ręce na pierś.

Nate otaksował mnie wzrokiem i skrzywił się, pospiesznie podnosząc spojrzenie. Skupił się na jakimś punkcie gdzieś ponad moją głowę i wziął głęboki wdech.

– Będę ci towarzyszył podczas wszystkich spotkań, będę przy każdym twoim posiłku i będę zawsze stał pod drzwiami, kiedy będziesz sikać.

– Bardzo obrazowe.

– Gdybyś mnie potrzebowała, będę po drugiej stronie korytarza. Tej i każdej nocy, dopóki zostaniesz w Afganistanie. Jeśli coś będzie ci groziło, naciśnij ten przycisk. – Wcisnął mi do ręki malutki pilot wielkości mojego kciuka. Do guzika dołączona była czarna nylonowa smycz do zawieszenia na szyi. – Naciskasz i od razu się zjawiam.

Spojrzałam na trzymane w dłoni urządzenie i parsknęłam z sarkazmem.

– A więc tak można zdobyć twój numer? Wystarczy wpakować się w sam środek działań wojennych?

– Izzy – szepnął Nate i zrobił dwa kroki do tyłu, zostawiając między nami jakiś metr wolnej przestrzeni.

– O, nie. – Wsunęłam magiczny guziczek do kieszeni. – Skoro nie mogę mówić do ciebie Nate, ty nie będziesz nazywać mnie Izzy. Tak będzie uczciwie.

– Okej, ale za cholere nie będę zwracał się do ciebie Isa – odparował. – Nie jestem twoim ojcem.

Moim ojcem. No tak, wiedział przecież, że tata zwracał się do mnie, używając właśnie takiego zdrobnienia. Zresztą Nate wiedział o mnie całą masę rzeczy, których na dobrą sprawę nie powinien wiedzieć, ale on był Nate'em, a ja byłam Izzy. I bez względu na to, w jak bardzo popieprzonej sytuacji się znaleźliśmy, z faktami się nie dyskutowało. To, co się między nami kiedyś wydarzyło, zostanie z nami już na zawsze.

– W takim razie będę dla ciebie panną Astor.

– Życzę udanego wieczoru, *panno* Astor. – Zasalutował w żartach i ruszył do drzwi. – Zgarnę cię jutro skoro świt i od razu ruszamy w drogę.

Znaliśmy się tyle czasu i tym teraz dla siebie byliśmy? Nie do końca obcymi sobie ludźmi, wrogami też nie... Znajomymi, którzy żywią do siebie urazę?

– Czyli zostajesz? – Mój głos lekko zadrżał, co nie uszło uwadze Nate'a, bo zatrzymał się w pół kroku, zanim się do mnie odwrócił.

– Nie chcesz wyjechać, więc ja też nie mogę. Praw fizyki nie oszukasz – odpowiedział i zmrużył oczy. – Ale ciebie też miało tu nie być, prawda? W tym pokoju powinien spać Greg Newcastle.

Zbladłam.

– Możesz śmiało przypisać mnie do kogoś innego – zaproponowałam jeszcze raz, starając się na szybko coś wymyślić. Ale Nate nie dał się zwieść.

– W takim razie dlaczego wsiadłaś do samolotu? Czyżby Newcastle też się rozchorował?

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Hmm. A więc się nie rozchorował. To była twoja decyzja – przerwał i przechylił głowę. – Dlaczego dopisałaś Kunduz

i Samangan do planu podróży? Nie było ich na liście, zanim tu przyleciałaś. – Powoli kroczył w moją stronę.

Kurwa, kurwa, kurwa.

– Całe towarzystwo trzyma się wschodnich prowincji, a Newcastle miał się skupić na Kandaharze. Wspominano coś o żeńskiej drużynie szachowej, którą senatorka Lauren chciałaby wydostać z kraju.

– Chwila moment, to akurat *mój* projekt. Sama wszystko koordynowałam. Newcastle chciał tylko spać śmietankę.

Nate zatrzymał się tuż przede mną, przyglądając mi się z takim uporem, jakby mógł przejrzeć mnie na wylot, gdyby tylko wystarczająco mocno się postarał.

– A mimo to dorzuciłaś do planu wycieczki dwie prowincje na północy.

– Nate – wyszeptałam, kolejny raz łamiąc zasady.

– Co przede mną ukrywasz?

– Ja... – Pokręciłam głową i zamknęłam oczy. Potrafiłam kłamać jak z nut – wszystkim, ale nie jemu.

– Nawet nie myśl, żeby wciskać mi kit. – Delikatnie ujął mój podbródek między kciuk i palec wskazujący, po czym lekko go uniósł. – Co jest grane?

Otworzyłam oczy, a moje serce zamarło. Koniec końców pod całym tym uzbrojeniem krył się Nate. *Mój* Nate. Pomógłby mi, jestem tego pewna... O ile tylko sama nie będę narażać się na niebezpieczeństwo. Taki byłby jego warunek. Z drugiej strony, jeżeli uważał, że już sama obecność w Afganistanie zagrażała mojemu życiu, istniało duże prawdopodobieństwo, że gdy tylko pozna prawdę, przywiąże mnie do fotela w najbliższym samolocie wylatującym z Kabulu.

– Co takiego jest na północy, Isabeau? – Moje imię było w jego ustach ledwo słyszalnym szeptem.

– Serena.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

NATHANIEL

Saint Louis
Listopad 2011

Woda była *lodowata* i utrudniała nabieranie powietrza do płuc, gdy gorączkowo staraliśmy się dotrzeć do brzegu. Miałem przynajmniej nadzieję, że płyniemy we właściwym kierunku. Mgła niespecjalnie ułatwiała nam nawigację, podobnie jak nurt niosący nas w dół rzeki razem z resztą pasażerów, którzy podobnie jak my walczyli z nieubłaganym żywiołem.

Ich reakcje były zróżnicowane. Jedni zachowali stoicki spokój, inni zaś wpadli w histerię. Ja natomiast zrobiłem to, co zawsze robiłem, kiedy wszystko się pierdoliło – obrałem sobie jeden konkretny cel. Było nim utrzymanie Isabeau przy życiu.

– Dajesz radę? – zapytałem Izzy, co chwila tracąc ją z oczu w falach rzeki Missouri. Za sobą zostawiliśmy samolot, który zdążył już całkowicie zniknąć pod wodą i wypluwał z siebie ostatnie pęcherzyki powietrza uciekające na powierzchnię.

Jasna dupa, to naprawdę się działo!

– Nigdy wcześniej nie pływałam w butach – odparła, szcękając zębami, a jej twarz wykrzywił grymas niemający wiele wspólnego z uśmiechem.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz – rzuciłem i podpłynąłem bliżej. Rzeka zdawała się wydzierać mi z rąk każde pokonane pół metra, moje serce waliło jak oszalałe.

Z oddali usłyszałem czyjeś wołanie o pomoc, ale niemal od razu ktoś na nie odpowiedział. Oby jak najwięcej osób zostało wciągniętych na tratwy, pomyślałem. Szczególnie tych, którzy nie potrafią pływać. Z ulgą stwierdziłem jednak, że wszyscy wokół nas jakoś sobie radzą.

Trochę się uspokoiłem, gdy przez mgłę dojrzałem porośnięty drzewami brzeg.

– Już blisko – oznajmiłem Izzy, starając się miarowo wykonywać naprzemienne ruchy rękoma, żeby dotrzymać jej tempa.

– Dzięki Bogu. – Skrzywiła twarz i sapnęła, ale mimo to parła przed siebie.

– Coś nie tak? – Poczułem ucisk w piersi, gdy obraz w moim lewym oku poczerwieniał i stał się niewyraźny. Ręka, którą przetarłem szybko czoło, była zakrwawiona. *Świetnie.*

– Nie licząc katastrofy lotniczej? – Zmusiła się do ironicznego uśmiechu drgającego w rytm narzucany przez jej dygoczące ciało. – Wszystko okej, trochę bolą mnie żebra, to pewnie nic takiego. To tobie leci krew.

Może i tak, ale to nie ja miałem rozszerzone źrenice. Wystarczająco często zbierałem w życiu cięgi, żeby wiedzieć, czym objawia się wstrząśnienie mózgu.

– Ta krew to pewnie tylko powierzchowna rana. Grunt to dotrzeć do brzegu. – Skręciło mnie w żołądku. Dobrze znałem to nieprzyjemne uczucie. Za każdym razem, gdy mnie dopadało, podpowiadało, żebym zachował czujność i przenikliwość, ostrzegając mnie przed złudną powierzchownością danej sytuacji. Zawsze cieszyłem się dobrym instynktem. I tylko dlatego udało mi się przetrwać dziewiętnaście lat pod jednym dachem z własnym ojcem.

Przed nami kilkoro pasażerów wciągało kolejne osoby na brzeg. Mężczyznę z synem zniosło nieco dalej w górę rzeki, ale też zbliżali się już do lądu. Nigdzie nie widziałem jednak kobiety z niemowlęciem.

Skup się na Izzy.

Gdy tylko moje stopy znalazły oparcie na kamienistym dnie, natychmiast objąłem Izzy ramieniem i ciągnąłem za sobą, dopóki nie poczuła gruntu pod nogami. Niebiosa musiały chyba mieć nas w opiece, bo trafiliśmy na fragment linii brzegowej o w miarę

łagodnym nachyleniu. Zresztą wszystko, co się stało tego dnia, można było poczytywać za prawdziwy cud.

Uważając na obolałe żebra Izzy, podciągnąłem nas oboje na skarpe, a potem jeszcze pół metra wyżej, pomiędzy drzewa. Gdzie my, do cholery, byliśmy?

– Ratunku! – Zza pleców usłyszeliśmy wołanie dziecka. Obejrzałem się przez ramię, ale jedna z kobiet ruszyła już na pomoc, żeby przyciągnąć chłopaka w żółtym kapoku do brzegu.

– Dziękuję. – Izzy obdarzyła mnie niewyraźnym uśmiechem, gdy posadziłem ją przy pniu najbliższego drzewa. – Chcę pomagać innym – upierała się, trzymając się dłonią za lewą stronę klatki piersiowej.

Uklęknąłem przy niej, modląc się w duchu, żeby niebieskawy odcień jej ust oznaczał jedynie wychłodzenie organizmu.

– Mogę rzucić okiem? – zapytałem, sięgając do jej kamizelki.

Potaknęła, po czym oparła głowę o drzewo. Po jej mokrej twarzy spływały krople wody. Jakimś cudem udało mi się zdrętwiałymi z zimna palcami rozpiąć zamek i unieść jej koszulę. Na widok tego, co pod nią zobaczyłem, zakląłem pod nosem.

– Nie ma krwi, ale stłuczenie jest porządne. Nie zdziwiłbym się, gdybyś miała złamane żebra.

– To by wyjaśniało, dlaczego tak boli. I chyba oberwałam też w ramię. – Otarła mi ręką czoło i wsunęła dłoń w moje włosy. – Masz paskudne rozcięcie tuż nad czołem.

– Nie szkodzi. To mi tylko doda uroku. Nie wiem, czy wiesz, ale laski leczą na blizny. – Przyjrzałem się jej rozszerzonym źrenicom, które zajmowały zdecydowanie zbyt dużą część tych pięknych brązowych oczu.

– Pomocy! – wykrzyknął ktoś.

Izzy odruchowo wyrwała się do przodu.

– Mowy nie ma. Zostajesz tutaj. – Powstrzymałem ją stanowczym spojrzeniem. – Nie żartuję. Zostajesz. Tutaj. Zaraz wracam.

– Tylko... wróc żywy. – Oparła się z powrotem o drzewo.

– Taki mam zamiar. – Zeskoczyłem ze skarpy i zacząłem pomagać przy wyciąganiu kolejnych rozbitków z rzeki. Kamień spadł mi z serca, gdy mama z niemowlakiem dotarła do brzegu. Po dziesięciu

minutach wszystkich udało się już wydostać z wody. Z wyjątkiem ludzi na tratwach, które prąd poniósł w dół rzeki.

Nim przedostałem się przez zdezorientowany, szlochający tłum uratowanych pasażerów i wróciłem do Izzy, wyziębione mięśnie i ustępująca adrenalina wprawiały w drżenie całe moje ciało.

– Widzisz? – Uniosła prawą dłoń i uśmiechnęła się do mnie blado.
– Nigdzie nie poszłam.

– To dobrze, bo nie jestem w formie, żeby za tobą ganiać. – Usiadłem obok niej i objąłem ją ramieniem, przyciągając do siebie niestłuczonym bokiem. Widoczność uległa poprawie na tyle, że mogłem sięgnąć wzrokiem do połowy szerokości rzeki. – Trzeba cię trochę rozgrzać.

– Przeżyliśmy katastrofę lotniczą. – Wtuliła się we mnie i oparła głowę w tym cudownym miejscu tuż nad sercem. Moje tętno zwolniło, bicie serca się uspokoiło.

– Przeżyliśmy katastrofę lotniczą – powtórzyłem, obejmując dłonią policzek Izzy i pochylając głowę, żeby na nią spojrzeć. – Teraz zostało nam tylko poczekać na pomoc.

– Nie możemy być aż tak daleko od lotniska. Niedługo po nas przyjadą.

– Z pewnością.

Wokół nas rozsiedli się inni rozbitkowie. Wszyscy byli w szoku, lecz ich oszołomienie przyjmowało najróżniejsze formy, od cichego płaczu przez głośny szloch po... zupełny brak łez, a jedynie tępe wpatrywanie się w przestrzeń przed sobą.

– Pomyśl tylko. Gdybyśmy byli bohaterami książki, rozbilibyśmy się pewnie w samym środku alaskańskiej głuszy albo jako jedyni ocaleni musielibyśmy schronić się w opuszczonej chacie.

Śmiech zadudnił w mojej piersi pomimo... cóż, pomimo wszystkiego, co nas spotkało.

– Nie zapominaj, że w środku znaleźlibyśmy zapasy jedzenia jak dla kompanii wojska.

Co było ze mną nie tak? Dopiero co po raz pierwszy w swoim życiu wsiadłem na pokład samolotu, przed chwilą przeżyłem katastrofę lotniczą, a teraz żartowałem sobie z kobietą, której właściwie nie znałem, przytulając ją do siebie tak, jakbyśmy jednak znali się od lat.

Gdy Izzy, śmiejąc się, parsknęła, wyszczerzyłem radośnie zęby. Nie minęła jednak chwila, a jej rysy stężały, co automatycznie starło mi uśmiech z twarzy.

– Nie... nie czuję się dobrze.

Przesunąłem dłoń z jej policzka na szyję, żeby sprawdzić puls. Nie spodobało mi się to, co wyczułem pod palcami. Tętno miała niepokojąco szybkie. Nie do końca wiedziałem, co z tą wiedzą począć, ale domyślałem się, że nie zwiastowało to niczego dobrego, szczególnie w połączeniu z bladą cerą, wstrząśnięciem mózgu i kąpielą w lodowatej rzece.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. Lada chwila zjawi się pomoc. – Gdzieś w oddali rozległy się syreny. – Słyszysz? Założę się, że jadą do nas. Oby tylko prowadziła tu jakaś droga.

– Nie jesteś zmęczony? – zapytała Izzy, mocniej się we mnie wtulając. – Bo ja jestem potwornie zmęczona.

– Tylko nie zasypiaj. – Strach przejął mnie dreszczem zimniejszym niż oblepiające przemoczone ubranie. Musiałem zająć ją rozmową, choćby nawet czymś głupim. Tylko o co... Mam! – Gdybyś musiała zdecydować, wybrałabyś popcorn czy m&m'sy?

– Co?

– Popcorn czy m&m'sy? – powtórzyłem.

– Jedno i drugie.

Ciekawe.

– Gdybyś mogła zamieszkać w dowolnym stanie, dokąd byś się przeniosła?

Jej głowa osunęła się bezwiednie na moją pierś.

– Izzy?! Dokąd byś pojechała?!

– Do Maine.

– Czemu do Maine? – Próbowałem określić kierunek, z którego dobiegało wycie syren, ale na próżno.

– Nikt z mojej rodziny tam nie mieszka – wymamrotała. – Zero oczekiwań.

Zawodzenie policyjnych kogutów było coraz głośniejsze. Obejrzałem się przez ramię, wychylając głowę zza drzewa.

– Znaleźli nas! – krzyknąłem.

Niedaleko zatrzymał się radiowóz, z którego wyskoczył policjant mówiący coś do gruszki radia.

– Ściągamy pomoc! Karetka będzie za cztery minuty!

Ojciec małego chłopca, którego ramię było odgięte pod nienaturalnym kątem, ruszył w stronę funkcjonariusza. W jego ślady poszło kilka następnych osób.

Znów dopadło mnie to uczucie. Jakby kotwica ciągnęła mnie na dno.

– Izzy, jaką masz grupę krwi?

– Zero Rh plus – mruknęła. – Tak wyobrażasz sobie tekst na podryw? – Kolejne słowa wypowiadała coraz niewyraźniej.

– Chciałbym – wyszeptałem. Nie sądziłem jednak, żeby taki facet jak ja miał jakiegokolwiek szanse u dziewczyny takiej jak ona. Nawet jej nieskładny bełkot zalatywał wyżynami społecznymi. – A jakieś alergie?

– Co?

– Na co jesteś uczulona?

Narastająca kakofonia wyjących przeciągle syren sugerowała, że nadciąga wsparcie.

– Na skorupiaki. A ty?

– Nie mam żadnych uczuleń – odpowiedziałem. – Nic więcej? Tylko na skorupiaki?

– Och, jeszcze na... penicylinę. – Odchyliła głowę i skierowała na mnie szklany wzrok. – Chcesz od razu poznać całą moją historię medyczną?

– Bardzo chętnie – przytaknąłem. Czułem, jak serce łomocze mi tym szybciej, im bliżej było słyhać nadjeżdżające karetki.

Spojrzała na mnie, jak gdybym to ja bełkotał, a nie ona.

– Kiedy miałam siedem lat, złamałam rękę. Skakałam na trampolinie, a Serena... – Jej wzrok nagle zniknął pod powiekami.

– Izzy! – Delikatnie nią potrząsnąłem. – Pobudka!

Gwałtownie otworzyła oczy.

– Opowiedz mi o Serenie. – Wstałem, zmuszając nogi do posłuszeństwa, i wziąłem Izzy na ręce. Właśnie przyjechały dwa pierwsze ambulanse. – Jaka ona jest?

– Idealna – westchnęła. Jej głowa łagodnie objęła się o moją pierś.

– Jest piękna i mądra. I zawsze wie, co powiedzieć.

– To musi być rodzinne. – Odpuściłem sobie pierwszą karetkę, wokół której już stłoczyli się ludzie, i od razu skierowałem się do

drugiego pojazdu.

– Nate?

– Hmm? – Stałem na środku drogi gruntowej, którą nadjeżdżał następny ambulans, zmuszając jego kierowcę do zatrzymania się.

– Nie zostawiaj mnie, okej? – poprosiła szeptem, ledwo słyszalnym na tle ryczących syren.

– Nie zostawię cię. – Ratownicy uciszyli jazgot karetki i wygramolili się z pojazdu. Pochwyciłem spojrzenie jednego z nich. – Musicie jej pomóc!

Izzy zwiotczała w moich ramionach, jej ciężkie powieki ostatecznie się poddały.

– Daj ją do tyłu! – Facet potruchtął do tylnych drzwi, które ktoś gwałtownie otworzył od środka. Sekundę później we dwójkę wysuwali już nosze.

– Połóż ją tutaj – poleciła ratowniczką, a ja ułożyłem Izzy na białym prześcieradle. – Co jej dolega? – Wskoczyła do pojazdu, odpychając mnie na bok i od razu przystępując do badania.

– Mówiła, że bołą ją żebra. – Przeczesałem palcami swoje włosy. – Tutaj ma wielkiego siniaka, a tętno ma...

– Kurwa mać – szepnęła do siebie ratowniczką, sprawdzając Izzy puls. Drugi z medyków zakładał na jej przedramię rękaw ciśnieniomierza.

– ...mocno przyspieszone – dokończyłem. – Zaczęła bełkotać i... – Cholera, co jeszcze mi mówiła? – Bolało ją ramię. Lewe ramię.

– Ma hipotensję – odnotował ratownik i oboje wymienili spojrzenia, które biorąc pod uwagę okoliczności, raczej nie mogły oznaczać niczego dobrego. – Zabieramy ją.

– Jak ona się nazywa? – padło pytanie, gdy medycy przypinali Izzy pasami do noszy i ładowali ją do ambulansu.

– Izzy – odparłem, powstrzymując się ze wszystkich sił, żeby nie odepchnąć któregoś z medyków i samemu nie wpakować się do karetki. – Isabeau... – Jak to szło? Jak ona się, do cholery, nazywała? – Astor! Ma alergię na penicylinę. Krew zero Rh plus.

Kierowca rzucił się biegiem wokół auta, żeby wskoczyć do szoferki.

– Jada tylko krewni – oznajmiła ratowniczką w ambulansie, podłączając Izzy do jakiejś aparatury. – Rozumiem, że jest pan... – Kobieta podniosła na mnie pytający wzrok.

Nie zostawiaj mnie.

– Mężem. – Zrobiłem krok do przodu i wspiąłem się do karetki. – Jestem jej mężem.

* * *

Pęknięta śledziona. Tak powiedziano mi cztery godziny wcześniej.

Cztery bardzo długie godziny, w trakcie których jedynym, co robiłem, poza przebraniem się w suchy komplet odzieży medycznej oraz zadzwonieniem do mamy i zapewnieniem jej, że nic mi się nie stało, było przesiadywanie w poczekalni. Tam na przemian wpatrywałem się to w relację telewizyjną z miejsca katastrofy puszczaną na ogólnokrajowym kanale, to we wskazówkę sekundową dużego zegara wiszącego nad drzwiami.

Starłem się też nie przejmować leżącą przede mną sztywną podkładką z zaciśniętymi w niej formularzami do wypełnienia. Skąd miałem wiedzieć, gdzie Izzy była ubezpieczona?

Może stąd, że podałeś się za jej męża.

Operacja miała potrwać nie dłużej niż jakieś dziewięćdziesiąt minut, a mimo to chirurdzy z jakiegoś powodu pracowali o wiele dłużej. Ta świadomość sprawiała, że już od dobrych dwóch godzin nerwowo poprawiałem się na najbardziej niewygodnym krześle świata.

Co, jeśli pogorszyłem jej stan, kiedy ją podniosłem? Albo gdy wyciągałem ją z rzeki?

– Jest pan pewien, że niczego panu nie potrzeba? – zapytała mnie przedstawicielka linii lotniczych z troską i jednocześnie z przerażeniem w oczach. Chyba wszyscy byliśmy tego dnia nieco zbici z tropu. Kobieta spisała nasze nazwiska, gdy tylko przetransportowano nas do szpitala – podałem jej również dane Izzy. Od tego czasu krążyła między kilkudziesięcioma osobami, które stopniowo zwoziły kolejne ambulanse.

Jeśli wierzyć wiadomościom podawanym w telewizji, pasażerów z rozbitego samolotu rozparcelowano między trzy miejscowe szpitale.

– Niczego mi nie trzeba – zapewnilem ją. Po założeniu jedenastu szwów na czole nie wymagałem dalszej pomocy medycznej.

– Okej. – Jej uśmiech miał być chyba pokrzepiający. – Aha, dzwonił z armii i powiedzieli, że przyślą po pana kogoś miejscowego, ale to było parę godzin temu.

Spiąłem się. Przecież obiecałem Izzy, że nie zostawię jej samej.

– Pan się nazywa... – wysłanniczka przewoźnika spojrzała na swoją listę – Nathaniel Phelan, zgadza się? Miał pan lecieć na przeszkolenie wojskowe?

Potaknąłem, obracając w dłoni swój przemoczony portfel.

– Pewnie wszyscy mają ręce pełne roboty – dodałem.

Poklepała mnie z pewną niezręcznością w ramię i podeszła do kolejnego z rozbitków. Przez następnych dziesięć minut znów usilnie wpatrywałem się w zegar.

– To on – powiedziała pielęgniarka, wskazując w moją stronę. Moje brwi wygięły się w łuk w nadziei, że towarzyszy jej lekarz. Ale nic z tego. Kobieta stojąca obok pielęgniarki była nieco wyższa od Izzy, miała jasnobrażowe włosy i zmartwione brązowe oczy. Trudno było nie dostrzec rodzinnego podobieństwa.

– Jesteś *mężem* Izzy? – wyparowała, szarżując na mnie niczym byk na widok czerwonej płachty.

Podniosłem się z krzesła.

– Pewnie jesteś jej siostrą. Serena, tak?

Dziewczyna skinęła głową i otarła spływającą po policzku łzę.

– Przepraszam – szepnąłem. – Siedzieliśmy obok siebie w samolocie. Nie jesteśmy małżeństwem.

– To oczywiście – odpowiedziała, również szepem. – Raczej bym wiedziała, gdyby moja mała siostrzyczka wyszła za mąż.

– Skłamałem, bo obiecałem Izzy, że jej nie zostawię. A potem... jakoś tak wyszło, że podpisałem zgodę na operację.

Serena zrobiła wielkie oczy.

– Operację? Gdy dotarłam do punktu informacyjnego dla rodzin, powiedzieli mi tylko, że przewieziono ją tutaj. Minęła dobra godzina, zanim skojarzyłam, że leciała tym samolotem. Od tego czasu biegam w tę i z powrotem. – Przymknęła oczy i wzięła oddech, cała się przy tym trzęsąc. Otworzyła je dopiero po chwili, kiedy odrobinę się uspokoiła. – Co to za operacja?

Wskazałem ręką sąsiednie krzesło i oboje usiedliśmy.

– Ma pękniętą śledzionę i złamane dwa żebra. Doznała wstrząśnienia mózgu i miała krwotok wewnętrzny.

Serena pokiwała głową, przyjmując te informacje z godnym podziwu spokojem.

– W porządku. I podpisałeś zgodę na operację?

– Nie wiedziałem, co robić. – Podałem jej tabliczkę z formularzem.

– Mam nadzieję, że będziesz wiedziała, co tu wpisać.

– Jasne, zajmę się tym. – Spojrzała na dokumentację tak, jakby napisano ją w jakimś obcym języku. – Myślisz, że się z tego wyliże?

– Oby. Pozostawała przytomna aż do momentu, kiedy oddałem ją w ręce ratowników – wyjaśniłem, po czym wróciłem do obracania portfela w rękę i utkwilem wzrok w tarczy zegara.

– Mój Boże, Izzy jest uczulona na...

– Penicylinę – dokończyłem. – Powiedziała mi. Wszystko wiedzą.

Serena oparła się na krzesło i przeniosła spojrzenie na drzwi, przez które w ciągu ostatnich paru godzin wchodzili i wychodzili chirurdzy.

– Całe szczęście, że siedziała obok ciebie.

– Nie wiem, czy nazwałbym szczęściem cokolwiek z tego, co się dzisiaj wydarzyło. Może ewentualnie to, że jakimś cudem żyjemy.

– To akurat największe szczęście.

Drzwi po lewej stronie poczekalni otworzyły się szeroko i do środka weszło dwóch umundurowanych mężczyzn. Nerwy wywróciły mi żołądek do góry nogami.

– Nathaniel Phelan? – odezwał się jeden z nich, rozglądając się po pomieszczeniu.

– To ja. – Uniosłem dłoń i wstałem z krzesła.

– Dzień pełen przygód, co? Masz wypis ze szpitala? – zapytał drugi z żołnierzy.

Potaknąłem.

– Wystarczyło parę szwów.

– Dobrze. W takim razie możemy jechać – zarządził i wskazał ręką na drzwi.

Podniosłem przezroczystą plastikową siatkę z moimi rzeczami osobistymi i podszedłem do wojskowych.

– Czy nie moglibyśmy jeszcze trochę poczekać? Kobieta, obok której siedziałem, nadal jest operowana.

Gdy tylko mężczyźni wymienili spojrzenia, nie miałem wątpliwości, że nie przychylią się do mojej prośby.

– Żona?

– Nie. – Pokręciłem głową.

– Matka? Siostra? Córka? – dopytywał drugi.

– Nie. Po prostu się o nią martwię.

Brwi żołnierza ściągnęły się ze współczuciem.

– Przykro mi, ale kazano nam zapewnić transport do jednostki, więc jeśli ta osoba nie jest najbliższą rodziną ani nawet dalszą krewną, musimy już jechać. Takie mamy rozkazy.

Poczułem ucisk w piersi, ale pokiwałem ze zrozumieniem głową.

– Moment – poprosiłem. Gdy do niej podszedłem, Serena nadal wypełniała formularze. – Muszę jechać.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie oczami o odcień jaśniejszymi niż te należące do Izzy.

– Dziękuję, że się nią zaopiekowałeś.

– Po prostu... – przerwałem, kręcąc głową. Czemu całe życie miałem przejebane? Nawet nie mogłem poprosić jej, żeby do mnie zadzwoniła i dała znać, co z siostrą. – Po prostu powiedz jej, że nie chciałem jechać, ale rozkaz to rozkaz.

– Przekażę jej. Dziękuję. – Wyciągnęła rękę, chwyciła moją dłoń i ją ścisnęła. – Dziękuję. Jestem ci naprawdę wdzięczna.

– Nie ma za co dziękować. – Wziąwszy głęboki wdech, odszedłem w stronę żołnierzy i podążyłem za nimi do wyjścia.

Isabeau musiała stanąć na nogi. Nie było innej możliwości. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że los, jakieś bóstwo czy kosmiczna energia miałyby kazać jej przechodzić przez to wszystko na marne.

Tylko że miałem się tego nigdy nie dowiedzieć.

– Możemy odwieźć cię na lotnisko albo na autobus, jeśli... no wiesz... nie masz teraz szczególnej ochoty na latanie. Pewnie nawet zgodziliby się, żeby przesunąć twoje szkolenie – zasugerował jeden z wojskowych, kiedy wychodziliśmy ze szpitala.

– Nie trzeba. – Mocniej chwyciłem swoją siatkę. Miałem w niej wszystko, co stanowiło moją własność, a do domu nie miałem po co wracać. – Jestem gotowy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

NATHANIEL

***Kabul, Afganistan
Sierpień 2021***

– Zmień zdanie – poleciłem Izzy, gdy tylko następnego ranka otworzyła przede mną drzwi. Dobra, może była to bardziej prośba niż rozkaz. Mimo że od wielu lat nie miałem trudności z zasypianiem, po tym, jak zdradziła mi prawdziwy powód swojej obecności w Afganistanie, przez całą noc niespokojnie kręciłem się w łóżku, co chwila przerzucając się z boku na bok.

Poszukiwania siostry mogły się dla niej bardzo źle skończyć. Każdy krok, jaki Izzy miała postawić poza terenem ambasady, wiązał się z nieuniknionym zagrożeniem, a nasza ochrona została precyzyjnie przygotowana pod kątem szczegółowo rozpisanego planu podróży, nie zaś prób wypatrzenia igły w stogu siana. Mało tego, amerykańscy fotoreporterzy stanowili doskonały cel propagandowy dla wroga, a biorąc pod uwagę chaos ogarniający ten kraj, szanse na odnalezienie Sereny w okienku czasowym, jakie otwierała przed nami wizyta dyplomatyczna Izzy, były znikome.

– Dzień dobry, ciebie też miło widzieć. – Izzy uniosła wymownie brew i przytrzymała drzwi, żebym mógł wejść do środka. – Daj mi ze trzy minuty i będę gotowa.

– Gotowa na zmianę zdania? – Ja pierdolę, ależ ona cudownie pachniała. Ten zapach od dekady przewijał się w moich snach.

– Nie. – Zapięła kilka ostatnich guzików czegoś, co nazwałbym Inianą sportową marynarką. Do torebki włożyła szal i parę słuchawek nausznych. – Gotowa na lot helikopterem. Czy Mayhew jest wyrobiony?

– Czeka już na dole. – Towarzyszący Izzy młodszy asystent nie sprawiał większego kłopotu. Co prawda nigdy nie byłem w nim zakochany, a to mogło rzutować na moją opinię.

– Widzę, że znowu ubrałeś się jak na pogrzeb – oceniła Izzy, taksując wzrokiem mój całkiem czarny mundur bojowy.

– Byle tylko nie na twój. Wyjaśnij mi coś. Jaki dokładnie miałaś plan, przylatując tutaj? – zapytałem i oparłem się plecami o drzwi.

Spojrzała na przewieszony przez moje ramię karabinek M4.

– Naprawdę musisz wszędzie to ze sobą nosić?

– Tak. – Nie zamierzałem wspominać jej o pozostałym uzbrojeniu, które miałem do siebie przypięte. – A więc co planowałaś, Isabeau? Że zjawisz się tutaj i zaczniesz wołać Serenę, wykrzykując jej imię na całe gardło?

Jej policzki delikatnie się zaczerwieniły. Zarzuciła torbę na ramię i spojrzała mi prosto w oczy, unosząc lekko podbródek – jak zawsze, gdy przemawiała przez nią nieugiętość.

– Coś... w tym stylu.

Odchyliłem głowę i oparłem ją na chwilę o drzwi.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś gotowa zrobić dla niej wszystko, podobnie zresztą jak ona dla ciebie, ale to jest jakieś szaleństwo. Od jak dawna tu jest?

– Od pięciu miesięcy. Zaproponowano jej, żeby szybciej zwinęła manatki, kiedy doszło do dość... – skrzywiła się – nagłego przejęcia lotniska w Bagram, co zapowiadało... – Izzy szukała w myślach odpowiednich słów.

– Solidny rozpierdol? – podsunąłem. – Bo właśnie to się teraz dzieje.

– Od początku było wiadomo, że wycofanie nie będzie przebiegać bezproblemowo. – Jej podbródek wzniósł się jeszcze wyżej, o dobrych parę centymetrów. – Nie myślałam jednak, że Serena będzie aż tak uparta, żeby zostać. Szczególnie po tym, jak w kwietniu zredukowano personel ambasady. Tyle że Serena jest... – Izzy umilkła i wzruszyła ramionami.

– Sereną – dopowiedziałem, a Izzy pokiwała głową.
– Jeśli tylko uda mi się ją odnaleźć, przemówię jej do rozumu i wyciągnę ją stąd.

– Czy pozostali członkowie delegacji wiedzą, co kombinujesz?
– Nie. – Zacisnęła palce na paskach swojej torby tak mocno, że nie zdziwiłbym się, gdyby krzyknęły z bólu. – I ufam, że im tego nie zdradzisz.

Odepchnąłem się od drzwi i bez ogródek wtargnąłem w jej przestrzeń osobistą.

– Skąd ta pewność?

Odwróciła wzrok. Widziałem, jak przetyka ślinę, nim z powrotem na mnie spojrzała.

– Bo jesteś mi dłużny przysługę.

– Ja. Dłużny. Tobie? – Z zaskoczenia brwi powędrowały mi aż na czoło. Najwidoczniej Izzy zapamiętała Nowy Jork odrobinę inaczej niż ja.

– Po tym, jak zostawiłeś mnie w... – urwała, przymknęła oczy i powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte usta, na których skoncentrowała się cała moja uwaga.

Poczułem ucisk w żołądku, doskonale pamiętając, jak wspaniale miękkie były jej wargi, kiedy przywierały do moich ust, gdy dotykały mojej skóry.

– Wisisz mi przysługę – powtórzyła, prostując ramiona. Nasze uciekające spojrzenia co chwila na siebie wpadały. – Poza tym rozpuściłam już wici w redakcji Sereny i zawęziłam teren poszukiwań do dwóch prowincji, oczywiście bez... no wiesz... ogłoszenia wszem wobec, że przyjeżdżam tu z rządową delegacją. Pracuje jako fotoreporterka dla „Timesa”. Nie mogła tak po prostu zniknąć, Nate.
– Skrzywiła się. – To znaczy sierżancie Green.

– Ludzie znikają tu każdego dnia.

– Może tak, ale nie Serena. – Izzy wzruszyła ramionami, zupełnie jakby za sprawą tego stwierdzenia mogła otoczyć swoją starszą siostrę niewidzialnym polem ochronnym. Kłopot w tym, że coś takiego nie istniało, a już z całą pewnością nie w tym kraju.

– I jesteś gotowa zaryzykować własnym życiem? – Ja nie byłem. Mimo całej mojej sympatii do Sereny i świadomości tego, jak ważna była dla Izzy, miałem zajębiście jasno określone priorytety.

– Nie sędę, żeby miało do tego dojść. – Izzy pokręciła stanowczo głową. – Oboje wiemy przecież, że ta delegacja wcale nie jest takim sekretem, jakim powinna być. Serena dowie się, że tu jestem. Odnajdzie nas, a ja wpakuję ją do helikoptera i zabiorę ze sobą do domu.

W moich żyłach pulsowało niedowierzenie wymieszane z dużą dawką złości. Cofnąłem się o krok.

– Zamierzasz być *przynętą*?

Izzy zmrużyła oczy.

– Nie udawaj, proszę, że troszczysz się o moje dobro.

– Twoje dobro miałem na względzie przez ostatnich dziesięć pieprzonych lat! – rzuciłem, straciwszy nad sobą panowanie i natychmiast tego żałując. Jasna cholera, ta kobieta spychała mnie ku krawędzi szybciej niż ktokolwiek na całej planecie.

Zapadło między nami milczenie, które wykorzystałem, żeby odzyskać równowagę.

– To w drogę. – Odwróciłem się i wyszedłem z pokoju, przytrzymując dla niej drzwi.

Iskrzące napięcie towarzyszyło nam całą drogę po schodach, aż do lobby na parterze.

– Isa! – Kacey Pierce, jedna z młodszych asystentek senatorki Lauren, wybiegła z jednego z przeszklonych pokoi konferencyjnych z notatnikiem w ręku. – Czy chcesz, żebym zajęła się czymś jeszcze pod twoją nieobecność?

Izzy poprawiła torbę na ramieniu i rzuciła okiem na listę, którą wcisnęła jej do rąk Kacey.

– To będzie raczej wszystko.

Podszedłem bliżej i nachyliłem się, przysuwając usta niebezpiecznie blisko ucha Izzy.

– Poproś ją, żeby zebrała materiały wszystkich amerykańskich dziennikarzy z ostatnich dni, razem z fotografiami, i wydrukowała je, zanim wrócimy.

Izzy błyskawicznie odwróciła głowę i wlepiła we mnie spojrzenie, zostawiając mi ledwie ułamek sekundy na wycofanie się, zanim wszyscy zgromadzeni w lobby staną się świadkami sforsowania przeze mnie nieprzekraczalnej granicy.

– Jednak pomagasz?

– Tylko sugeruję. – Po mało subtelnej kapitulacji zaczekałem przy drzwiach, aż Izzy skończy wydawać polecenia swojej podwładnej. Musiałem przyznać, że z władczością było jej naprawdę do twarzy.

Po chwili byliśmy już przy konwoju, gdzie oczekiwali nas członkowie mojego zespołu. Izzy zaprotestowała, gdy odebrałem jej torbę i wrzuciłem ją na podłogę wozu opancerzonego, a potem wyjąłem z niego kamizelkę kuloodporną.

– Ręce szeroko.

– Chyba sobie żartujesz – skomentowała. Mimo to zrobiła, o co prosiłem. Założyłem jej kamizelkę przez głowę, na której ze swoich blond włosów zaplotła rano praktyczny warkocz.

– To samo pomyślałem, kiedy cię tu wczoraj zobaczyłem, a to przynajmniej zatrzyma kule. – Przełożyłem pasy zwisające z tyłu kamizelki pod jej ramionami i zapiąłem je z przodu z tak chłodnym profesjonalizmem, na jaki potrafiłem się zdobyć.

– Trochę waży.

– Postrzał jest dużo gorszy. – Sięgnąłem do auta i wyciągnąłem z niego hełm balistyczny.

Izzy spiorunowała mnie wzrokiem.

– Serio?

– Nie są takie złe! – zawołał ze środka wozu Mayhew, drugi z młodszych asystentów.

– Nie ma ulgowego traktowania – zapewniłem Izzy, wzruszając ramionami. – Albo to zakładasz, albo zostajesz. – Nie było opcji, żeby kula przestrzeliła jej czaszkę na mojej wachcie.

Wsunęła sobie ze złością hełm na głowę, a następnie wdrapała się do pojazdu i zajęła miejsce obok Mayhew. Ja usiadłem z przodu, na fotelu pasażera, tak samo jak poprzedniego dnia. Za nami do środka władowała się reszta ekipy.

Już chwilę później wyjeżdżaliśmy przez bramę ambasady, kierując się na położony kawałek dalej stadion służący za lądowisko dla śmigłowców. Wjechaliśmy na nie przez otwieraną część ogrodzenia z drutu kolczastego. Na boisku czekało sześć blackhawków z silnikami na różnych etapach rozruchu. Zabieranie Izzy wprost w objęcia niebezpieczeństwa przeczyło nie tylko mojemu instynktowi, ale i zdrowemu rozsądkowi. Wiedziałem jednak, że gdybym jej odmówił, wcale nie zrezygnowałaby ze swoich zamiarów,

tylko przystąpiłaby do ich realizacji bez mnie. Dlatego wyskoczyłem z wozu i otworzyłem jej drzwi. Tym razem odpięła pas bez żadnego problemu.

– Czy to jest... boisko do piłki nożnej? – zapytała Izzy, wysiadając z samochodu.

– Zgadza się – odparłem.

Graham obszedł auto, Torres był parę kroków za nim.

– Który jest nasz? – chciała wiedzieć Izzy.

– Bierzemy dwa z przodu.

– Dwa? – Spojrzała na mnie, zdezorientowana.

– Owszem. – Pokiwałem głową. – Lecimy dwoma na wypadek, gdyby coś się stało, na przykład jeden zostałby zestrzelony.

W jej oczach zamigotał lekki niepokój.

– Black, Rose i czterech piechociarzy polecą drugą maszyną – zakomunikował Graham, odsuwając się na bok, żeby zrobić miejsce dla Holta. Facet potknął się i stracił równowagę, próbując wygramolić się z wozu za Mayhew.

– Jest tak cholernie gorąco – wymamrotał Holt, kręcąc szyją w prawo i w lewo, na co znajdujący się za jego plecami Kellman zareagował wywróceniem oczu.

– Może być, polecimy pierwszym – odpowiedziałem Grahamowi, po czym odwróciłem się do Kellmana. – Powodzenia z tym tutaj. – Uśmiechnąłem się słabo, patrząc na Holta, który właśnie ocierał sobie kark z potu.

– Chyba powinienem ci życzyć tego samego. – Rzucił uszczypliwe spojrzenie na Izzy stojącą przed rzędem blackhawków z szeroko otwartymi oczami, na które po chwili opuściła ciemne okulary. – Wygląda na to, że ktoś tu ma stracha.

Ja pierdolę, kurwa! Co ona sobie myślała?!

Podszedłem do niej, wywołując swoimi butami miniaturową burzę piaskową, złapałem ją za łokieć i nachyliłem się do niej, żeby mogła mnie usłyszeć pomimo coraz głośniejszego wycia rozpędzających się wirników.

– Domyślam się, że w dalszym ciągu boisz się latać?

– Jest dobrze. – Wyszarpnęła łokieć z mojej ręki. – Będzie... dobrze.

– To nie są wielkie, mięciutkie samoloty, w których można założyć słuchawki i udawać, że jest się gdzieś indziej – ostrzegłem, gdy ruszyliśmy w stronę pierwszego helikoptera.

– Dam sobie radę – odkrzyknęła, piorunując mnie spojrzeniem rzuconym przez ramię, gdy wdrapywała się na pokład maszyny, mijając w drzwiach siedzącego w nich cekaemistę.

– Fajnie będzie – rzucił Torres z wyszczerzonymi zębami.

Przewróciłem oczami i wsiadłem do śmigłowca.

Blackhawki budowano z myślą o transporcie żołnierzy. Zająłem miejsce bezpośrednio za plecami jednego z pilotów, naprzeciwko Izzy. Pilotka obróciła się w swoim fotelu i podała mi słuchawki z mikrofonem. Podziękowałem jej skinieniem głowy, założyłem sprzęt na hełm i włączyłem go, mikrofon pozostawiając na razie wyciszony.

Izzy zapięła się z zaskakującą sprawnością, po czym wyjęła słuchawki nauszne z torby, która musiała chyba kosztować więcej, niż wynosił mój miesięczny żołd. Przyjrzała się im z wyraźną konsternacją.

Nie było możliwości, żeby jej się udało założyć je na hełm, a zmuszanie Izzy do lotu bez podkładu muzycznego było... czymś do nie pomyślenia. Torturą, na którą nie miałem zamiaru jej skazywać.

Wrzuciła słuchawki z powrotem do torby i utkwiała wzrok w oknie, starając się udawać, że wszystko było w jak najlepszym porządku. Zdradzały ją jednak wyprostowane plecy, zaciśnięte między zębami usta i zbielełe palce wpijające się w siedzisko podczas startu maszyny.

W momencie kiedy oderwaliśmy się od ziemi, jej spojrzenie pochwyliło moje i w jednej chwili przeniosłem się w zupełnie inne miejsce. Nie byliśmy już w wojskowym śmigłowcu, tylko na pokładzie lotu osiemset dwadzieścia sześć spadającego wprost do rzeki Missouri. Znów wpatrywaliśmy się sobie prosto w oczy, trzymając się mocno za ręce.

Izzy przymknęła powieki, a ja odpiąłem swój pas, poprawiłem karabin i wydobyłem airpodsy z kieszonki na kamizelce kuloodpornej. Następnie zsunąłem się z siedzenia i klęknąłem przed nią.

Gdy tylko musnąłem jej kolano, otworzyła gwałtownie oczy i utkwiała we mnie wzrok. Aż zakłuło mnie w sercu na widok strachu czającego się w tej brązowej głębi. Szybko zamrugła, usiłując to zamaskować. Rzecz w tym, że nigdy nie potrafiła niczego przede mną ukryć.

Sięgnąwszy w górę, wsunąłem jej słuchawki do uszu, po czym wróciłem na swoje miejsce, całkowicie świadom tego, że Izzy śledzi każdy mój ruch, nawet gdy poprawiała lekko airpods, żeby nie wysunęły się jej z uszu.

Mimo że na pokładzie mieliśmy niemal komplet pasażerów, odnosiłem wrażenie, jakby poza naszą dwójką nikogo w pobliżu nie było. Wyciągnąłem z kieszeni telefon, odłączony od sieci, za to z muzyką pobraną na kartę pamięci, i przewinałem listę utworów. Stuknąłem palcem w *Northern Downpour*. Helikopter wznosił się ponad Kabul, obierając kierunek na Dżalalabad, a my nie spuszczaaliśmy się z oczu.

Rozchyliła usta i patrzyła na mnie w sposób, który... Jasna cholera, równie dobrze mógł być teraz rok dwa tysiące jedenasty albo dwa tysiące czternasty. Lub też jakikolwiek inny spośród tych, kiedy los krzyżował nasze drogi. To była jej ulubiona piosenka, a zarazem jedna z niewielu rzeczy, co do których się zgadzaliśmy. Jej drżący oddech i nierównomierne falowanie piersi prawie dokonały wyłomu we wzniesionym przeze mnie murze obronnym.

Siedzieć obok niej i mieć ją przed oczami, tyle że bez dotykania i bez dopytywania, co za jeden wsunął na jej palec pierścioneł, było piekłem, przez które nie chciałem przechodzić, a jednak byłem gotów bez wahania znieść najgorsze katusze, jeśli dzięki temu mogłem ujrzeć ją ten jeden ostatni raz.

Co by nie mówić, była moją Isabeau.

Poruszając bezgłośnie ustami, wtórowała wokaliście, po czym oderwała ode mnie wzrok i przeniosła spojrzenie na własne kolana.

Nachyliłem się i podałem jej swój telefon, żeby mogła samodzielnie wybierać, czego chce posłuchać. Oparłem się z powrotem na siedzeniu i z obszernej kieszeni w spodniach wyjąłem kieszonkowe wydanie *Koloru purpury*, noszone ze sobą od paru tygodni, i zacząłem czytać.

Gdy późnym popołudniem wróciliśmy do ambasady, panowało w niej niemałe poruszenie, doprawione odrobiną chaosu.

Spotkanie Izzy z miejscowymi władzami w Dżalalabadzie trwało zaledwie godzinę, może nawet krócej, ale to, czego się tam dowiedziała, nie uspokoiło ani jej, ani mnie. W powietrzu unosiły się desperacja i jednocześnie determinacja. Miałem nadzieję, że silniejsza okaże się ta druga.

Informacje, jakie nam przekazano, kiedy parę godzin temu wsiadaliśmy z powrotem do śmigłowca, jedynie potwierdziły to, co wszyscy zdążyli już sami wywnioskować – kraj ulegał coraz większej destabilizacji. Zarandż, stolica prowincji Nimruz na południu, została tego dnia zajęta przez talibów. Rozczarowujące, choć w zasadzie można się było tego spodziewać.

– A to najnowsze artykuły nadesłane przez amerykańskich dziennikarzy z Afganistanu – dodała Kacey, wciskając swojej przełożonej żółtobrązową teczkę, gdy już zreferowała jej wydarzenia z całego dnia. Właśnie wspinaliśmy się po schodach, kierując się do pokoju Izzy.

– Doskonale, dziękuję. Zmyję z siebie tylko kurz i zejdem na kolację – oznajmiła Izzy, po czym zostawiła Kacey przed wejściem do pokoju i zamknęła jej drzwi przed nosem.

Skinąłem młodszej asystentce głowę i stanąłem pod apartamentem, jakbym obejmował przed nim wartę. Po trzydziestu sekundach nacisnąłem klamkę. Drzwi się otworzyły.

– Cholera, Izzy, nie możesz zamykać ich na klucz? – rzuciłem ze złością, zatraskując za sobą drzwi i ryglując je od środka.

– Wiedziałam, że wejdiesz za mną – odezwała się z sypialni, zrzucając w progu buty. – Teczka leży na stole.

Wziąłem ją do ręki i przekartkowałem wsunięte do niej artykuły.

– W ogóle nie powinno ich tu być – mruknąłem pod nosem, wypatrując w kolejnych materiałach imienia Sereny. – Amerykanie już od miesiący są ostrzegani, żeby stąd jak najszybciej wypieprzać.

– Znasz Serenę – powiedziała Izzy, zsuwając z ramion marynarkę i ciskając ją na łóżko. Nic dziwnego, że chciała się jej z siebie pozbyć. Było cholernie gorąco. Kręciła się po pokoju w samych spodniach od dresu i koronkowej podkoszulce na ramiączkach.

Nie, wcale nie zwróciłem uwagi na to, jak jej piersi unoszą się i opadają pod cienkim materiałem. To byłoby czystym szaleństwem.

– Owszem, znam Serenę. – Gdy dotarłem do ostatniego z artykułów, pokręciłem głową. – Nie przesłała niczego ani dzisiaj, ani wczoraj, a relacja z zeszłego tygodnia nie podaje dokładnej lokalizacji. Będzie trzeba sprawdzać dzień po dniu, aż trafimy na jej imię.

Oczy Izzy rozbliły, a kącki jej ust rozciągnęły się w uśmiechu, który przyspieszył mój puls.

– Nate, ty naprawdę zamierzasz mi pomóc?

Boże kochany, ten uśmiech, te oczy...

– Na to wygląda. Zależy mi, żebyś jak najszybciej się stąd zawinęła – powiedziałem i wskazałem na jej pierścionek. – Założę się, że jemu też.

Jej gwałtowny wdech dał mi jasno do zrozumienia, że przekroczyłem granicę, ale miałem to gdzieś. Właśnie tym dla siebie byliśmy: jedną wielką przekroczoną granicą, za którą żadne z nas nie powinno było nigdy się zapuszczać.

Odłożyłem plik kartek na stół i bez słowa wyszedłem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

IZZY

Saint Louis
Listopad 2011

– Okej, udało mi się zorganizować twixa, butterfingera i dość podejrzaną paczkę sunchipsów – poinformowała mnie Serena, wchodząc ze swoimi łupami do pogrążonej w półmroku szpitalnej sali. – W automacie nie było zbyt dużego wyboru. – Spojrzała odruchowo na telewizor, dopiero po chwili reagując na to, co pokazywano na ekranie, i zwinęła mi z łóżka pilota. – Oglądanie tego chyba nie jest najlepszym pomysłem.

Rzuciłam się po odebrane mi urządzenie, ale siostra odskoczyła poza zasięg moich rąk.

– Cholera. – Opadłam na łóżko, starałam się oddychać jak najgłębiej, żeby choć trochę stłumić rwący ból w lewym boku.

– O kurwa, przepraszam, Iz. – Serena skrzywiła się, po czym oddała mi pilota i usiadła w fotelu obok łóżka, który okupowała, odkąd obudziłam się tego ranka. Twierdziła jednak, że czuwała przy mnie od poprzedniego wieczoru. Dwa złamane żebra i pęknięta śledziona wywinęły niezły numer mojemu układowi krwionośnemu, ale kilka transfuzji później... cóż, przynajmniej nie byłam martwa.

Dzięki niemu.

Nikt nie stracił życia w katastrofie, co należało uznać za cud, patrząc na zdjęcia z miejsca wypadku.

– Po prostu liczę na to, że relacja w telewizji pomoże mi trochę rozjaśnić pamięć – wyjaśniłam Serenie, podnosząc się nieco na poduszce i od razu tego żałując. – Boże, jak boli.

– No to naciśnij ten mały zaczarowany guziczek. – Nachyliła się nade mną i włożyła mi do ręki przycisk pompki podającej środki przeciwbólowe. – Wczoraj przeszłaś operację. No i wygramoliłaś się z rozbitego samolotu. Opuść sobie trochę i klikaj. No dalej, klik, klik.

– To w niczym nie pomoże. Jedynie zaciemni mi umysł i mnie uśpi. – Oglądałam właśnie kolejną powtórkę amatorskiego nagrania wypadku, nakręconego przez wędkarza, który akurat łowił na rzece Missouri. Wyglądało to... przerażająco. Pojawiliśmy się znikąd, niczym ryczący pocisk przecinający mgłę. Wbiliśmy się z impetem w wodę, o mały włos nie zahaczając łodzi tego mężczyzny.

– Jesteś pewna, że chcesz sobie wszystko przypomnieć? – zapytała łagodnym tonem Serena, podając mi twixa, mój ulubiony batonik.

Rozerwałam opakowanie i zatopiłam zęby w słodkiej karmelowej dobroci. Przeżuwaszając i połykając kolejne kęsy, zbierałam myśli.

– Przede wszystkim nie mogę sobie przypomnieć tego, co się działo po tym, jak już wydostaliśmy się z rzeki. Pamiętam start, moment, w którym zdałam sobie sprawę, że się rozbijemy, a nawet zamieszanie podczas opuszczania samolotu. Woda była taka zimna... – Pokręciłam głową. – Ale nie pamiętam jego imienia.

Wszystko inne było na swoim miejscu – zatroskanie w jego oczach, dotyk jego dłoni, gdy wyciągał mnie na brzeg. Pilnował, żebym nie straciła przytomności, i mnie rozśmieszał, a potem zaniósł do karetki. Tak przynajmniej powiedziały mi pielęgniarki. Gdyby tego nie zrobił, wykrwawiłabym się pod tamtym drzewem.

– Przykro mi. – Serena westchnęła i zaczęła dobierać się do paczki czipsów. – Chciałabym pamiętać, ale byłam zbyt spanikowana, żeby to zarejestrować. – Rzuciła mi spojrzenie z ukosa. Wciąż oglądałam relację z akcji ratunkowej. Zanim na miejsce dotarły ekipy telewizyjne, mnie już dawno tam nie było. – Niezły był z niego przystojniak, chociaż tyle mogę ci powiedzieć.

– Pamiętam przecież, jak wygląda. – Przewróciłam oczami. Zapamiętałam też, co czytał, jak również to, że dorastał na farmie i że zaciągał się do armii, żeby zdobyć pieniądze na studia. Umknęło

mi jedynie jego imię oraz większość tego, co nastąpiło po tym, jak posadził mnie pod drzewem.

– Tak bardzo się o ciebie martwił, że podawał się za twojego męża. Podpisał zgodę na twoją operację i załatwił wszystko, co trzeba. – W kącikach ust Sereny zatańczył prowokujący uśmieszek. – Jakimś cudem znał też twoją grupę krwi i wiedział, na co jesteś uczulona, a to znaczy, że musiałaś być na tyle przytomna, żeby mu o tym powiedzieć. I mówię poważnie – utkwiała we mnie wzrok – lekarz stwierdził, że ze wstrząsem mózgu nie powinnaś oglądać telewizji.

Westchnęłam całą sobą, a narastająca we mnie irytacja spłynęła aż do nakrytych kołdrą stóp. Nacisnęłam jednak guzik i wyłączyłam telewizor. Niemal w tej samej chwili do sali weszła pielęgniarka na kontrolę. Na szczęście zostawiła przygaszone światło, bo moja głowa co parę sekund eksplodowała z siłą miliarda ton dynamitu.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytała, odnotowując moje parametry życiowe na karcie zawieszanej na łóżku.

Karta.

– Nie, dziękuję. Niczego mi nie trzeba. – odparłam z uśmiechem.

Pielęgniarka wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Serena, weź kartę.

Między brwiami mojej siostry pojawiły się dwie zmarszczki.

– Co?

– Karta. – Machnęłam ręką w stronę przodu łóżka. – Skoro podpisał zgodę na operację, musi tam być jego nazwisko.

– Ano racja! – Zerwała się z fotela, porzucając napoczęte przekąski na stoliku nocnym. – Może to jednak ty powinnaś studiować dziennikarstwo.

Właśnie, studia. Jasna dupa, będę przecież musiała wrócić do Syracuse, ale na samą myśl, że miałabym wsiąść do samolotu... nie, po prostu nie było takiej opcji. Nie sądziłam, żeby same środki uspokajające miały wystarczyć. Musiałabym chyba pozostać nieprzytomna przez cały lot, a więc ktoś musiałby mi towarzyszyć. A mimo to i tak trzeba by mnie pewnie siłą wciągać na pokład.

– Jak ja się dostanę z powrotem na uczelnię? – zapytałam retorycznie półgłosem.

Serena opuściła bok łóżka i usiadła na jego krawędzi, zapadając się nieco w materac, po czym wręczyła mi kartę.

– Coś wymyślimy. To, że planują cię stąd jutro wypisać, nie znaczy, że musisz od razu wracać na północ, Iz. Nie ma pośpiechu. Jestem pewna, że mama i tata rozumieją, jeśli postanowisz dać sobie trochę czasu. A jeżeli nie chcesz czekać, odpuśćcie sobie część zajęć i pojedziemy autem. – Wzruszyła ramionami. – Żaden kłopot. Zresztą rodzice pewnie przyjadą tu za parę dni i wtedy będą mogli zabrać cię do domu do Kolorado. O ile będziesz miała ochotę.

– Dziękuję. – Wzięłam od niej kartę i położyłam ją sobie na kolanach. – Po prostu nie wiem, jak miałabym się zmusić, żeby wsiąść do samolotu.

A czy on wsiadł? Czy poprzedniego dnia, kiedy opuścił szpital pod eskortą żołnierzy, od razu odstawili go na najbliższy lot do Fort Benning? Jasne, bałam się latania, ale przynajmniej wczorajsza przygoda nie była moim jedynym doświadczeniem ze wzbijaniem się w powietrze.

– Jakoś to ogarniemy – zapewniła mnie siostra w chwili, kiedy zadzwonił leżący na szafce obok łóżka telefon, na którego dźwięk obie podskoczyłyśmy.

Nachyliłam się, ale nie mogłam go dosięgnąć. Szwy w moim boku wyraziły bezlitosny sprzeciw. Choć może to złamane żebra albo pęknięta śledziona wszczęły ten bolesny bunt. Skąd niby miałam to wiedzieć? Całe moje ciało wyładowywało na mnie swoją niemą frustrację.

Serena szybkim krokiem obeszła łóżko i odebrała telefon, odgarniając sobie z twarzy długie włosy. To było niepojęte, ale nawet po dwudziestu czterech godzinach spędzonych w szpitalu prezentowała się... idealnie. Gdybym tak bardzo jej nie kochała, nie cierpiałabym jej z czystej zazdrości.

– Halo? – odezwała się do słuchawki. Odpowiedział jej stłumiony głos, a brwi Sereny wygięły się w dwa łuki. – Och, dzięki Bogu! Wysłałam wiadomość przez biuro armatora, ale nie wiedziałam, ile czasu minie, zanim do was dotrze. Kiedy wracacie? – „Mama i tata”, wymówiła bezgłośnie, słuchając tego, co mieli jej do powiedzenia. – Ma się dobrze. Jutro ją wypuszczają. Pęknięta śledziona, już zoperowana, wstrząs mózgu, złamane żebra, siniaki i otarcia, ale najgorsze ma za sobą. Jest obok mnie, jeśli chcesz... – urwała i zmarszczyła czoło.

Wyciągnęłam przed siebie pustą dłoń.

– Poważnie? – Jej twarz stężała. – W takim razie możesz sam jej to powiedzieć. – Serena przymknęła powieki i przełknęła ślinę, a następnie podała mi telefon.

Strach wykręcił mój wystarczająco już sponiewierany żołądek.

– Halo?

– Isa! – odezwał się tata. – Och, skarbie. Tak mi przykro, że cię to spotkało.

Zapiekły mnie oczy, ale powstrzymałam łzy. Tak samo zareagowałam po przebudzeniu, kiedy ujrzałam Serenę siedzącą obok łóżka. Zupełnie jakby odczuwane przeze mnie emocje nie mieściły się w moim ciele.

– Nic mi nie jest – wydusiłam z siebie.

– Tak nam powiedziała Serena – dodała mama, a ja wyobraziłam sobie, jak oboje próbują uczestniczyć w rozmowie, nachylając się do trzymanej między sobą słuchawki. – Tak się cieszę, że jest tam z tobą i że będzie się tobą opiekować przez następnych parę dni.

– Dopóki nie wrócicie? – Przyciskając telefon ramieniem do ucha, zaczęłam kartkować arkusze przypięte do podkładki.

– Cóż – westchnęła mama. – Skarbie, dobrze wiesz, jak długo czekaliśmy, żeby wybrać się w ten rejs, jeśli więc twoje życie ani zdrowie nie są zagrożone, nie ma tak naprawdę powodu, żebyśmy teraz wracali, prawda?

Zamrugałam, na chwilę całkiem nieruchomiejąc. Serena przysiadła na brzegu łóżka, skąd uważnie mnie obserwowała, wlepiwszy we mnie spojrzenie, którego za wszelką cenę starałam się unikać.

– Zobaczymy się przecież w święta. To już za cztery tygodnie. Poza tym jestem przekonana, że nie będziesz chciała narobić sobie zaległości na uczelni, a właśnie tym by się skończyło, gdybyśmy teraz wrócili do domu – ciągnęła mama.

– A więc nie wracacie? – Musiałam wypowiedzieć to na głos, żeby zyskać pewność, że właśnie to mi przed momentem powiedzieli. Moi rodzice byli mistrzami w formułowaniu zawitych wypowiedzi, które można było interpretować na wiele sposobów.

Serena chwyciła moją dłoń i zacisnęła na niej palce.

– Skoro wypuszczają cię już jutro, to znaczy, że wracasz do zdrowia – ocenił tata, przyjmując rzeczowy ton, dokładnie taki, jakim

posługiwał się w biurze. – Zdaję sobie sprawę, że ta sytuacja tobą wstrząsnęła, Isa, ale to doskonała okazja, żeby stawić czoła wyzwaniu i pokazać, na co cię stać.

Doskonała okazja?

– Nic mną *nie wstrząsnęło* – zaprzeczyłam, czując, jak coś zgniała moje serce. – To była katastrofa lotnicza. Samolot, którym leciałam, runął na ziemię. Musiałam wydostać się przez wyjście awaryjne na skrzydło i mimo krwotoku wewnętrznego płynąć wpław do brzegu. – A oni i tak nie zamierzali skrócić wakacji.

– I jesteśmy z ciebie dumni! – Mama brzmiała, jakbym właśnie zdobyła medal. – Widać, że wszystkie te lata w drużynie pływackiej na coś się przydały.

Szkoda, że nie raczyli zjawić się na ani jednych zawodach.

– Wiemy, że twój samolot się rozbił, Isa – wtrącił tata. – Dlatego, co chyba oczywiste, udostępniłem ci bez ograniczeń swoją kartę kredytową, żebyś mogła zabukować kolejny lot do Syracuse. Nie musisz się niczym martwić. Za wszystko zapłacimy.

Nie musisz się niczym martwić, może z wyjątkiem naszej nieobecności. Jasna sprawa.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nam dziękować. Pokryjemy wszelkie koszty związane z podróżą. – Tata zaśmiał się sam do siebie. – I nie możemy się doczekać, aż wrócimy i pokażesz nam list gratulacyjny od dziekana.

Chyba sobie ze mnie jaja robicie.

– Oczywiście wrócimy do domu, jeśli naprawdę tego od nas oczekujesz, Isabeau – dodała mama już łagodniejszym tonem. – Jestem pewna, że otrzymalibyśmy zwrot za pozostałą część rejsu. Zawsze możemy dokończyć go w przyszłym roku, prawda?

– Nie cackaj się tak z nią, Rose. Serena mówiła przecież, że jutro zostanie wypisana ze szpitala, a to oznacza, że nic jej nie jest. W dodatku jest Astorką. Mam rację, Isa? – zapytał tata. – Astorowie robią to, co do nich należy.

Oni naprawdę oczekiwali, że poradzę sobie jak zwykle, że zaliczę tę próbę celująco. I co ja miałam, do cholery, zrobić? Poprosić rodziców, żeby zrezygnowali z jedynych w ciągu ostatnich dziesięciu lat wakacji, podczas których tata nie pozostawał w ciągłym kontakcie

ze swoim biurem? Podniosłam wzrok na Serenę, która wciąż przyglądała mi się ze współczuciem i pełnym empatii uśmiechem.

– Razem damy radę – wyszeptwała. – Tak jak zawsze.

Pokiwałam głową i odchrząknęłam, pozbywając się z gardła guli, która zaczęła się w nim rozgaszczać.

– Nic mi nie jest. Serena odwiezie mnie na uczelnię.

– Oczywiście, że to zrobi – odparł tata dumnym głosem. – Widzimy się w święta. Wiem, że to było dla ciebie straszne, ale cieszę się, że mogliśmy z tobą porozmawiać. Kochamy cię.

– Kochamy cię! – powtórzyła mama. – W następnym porcie kupimy dla ciebie coś wyjątkowego.

Okaż mi prezentami, jak wielką miłością mnie darzysz...

– Świetnie. Też was kocham.

Obie pożegnałyśmy się z rodzicami, po czym Serena odłożyła telefon na stolik.

– Tak mi przykro, Iz. Naprawdę myślałam... – Westchnęła i opadła ciężko na fotel.

– Nie, wcale tak nie myślałaś – zaproponowałam spokojnym głosem.

– Nie wciskajmy sobie nawzajem kitu. – Najważniejsza dla rodziców była firma prowadzona przez tatę. Na drugim miejscu uplasowali się oni sami. Z kolei Serena i ja od początku byłyśmy ozdobami, które należy wypolerować i wystawić na pokaz. Biorąc to pod uwagę, przebieg rozmowy z nimi nie powinien być dla mnie zaskoczeniem, a mimo to czułam ból, gdy nabierałam powietrza do płuc.

– Masz przecież mnie. – Siostra nachyliła się do mnie. – Zawsze możesz na mnie liczyć.

– Wiem. – Objęłam na moment jej dłoń i wzięłam roztrzęsiony wdech. Płacz niczemu nie służył, wobec czego skupiłam całą swoją uwagę na pliku kart spoczywającym na moich kolanach. Wertowałam je, aż nie dotarłam do pierwszego wypisanego dokumentu. – Jest!

Serena wstała i pochyliła się nad łóżkiem.

– Jesteś pewna, że facet nie jest lekarzem? Bo jego pisma za cholerę nie da się odczytać.

– Nathaniel – mruknęłam pod nosem, przesuwając palcami po jego podpisie, którego pozostałej części nie potrafiłam rozszyfrować.

– Jakim cudem wyczytałaś cokolwiek z tych bazgrołów? – Serena z niedowierzaniem pokręciła głową. – Ja tu widzę tylko N i... cokolwiek miało to być.

– Nate. – Moje usta rozszerzyły się w uśmiechu po raz pierwszy, odkąd się wybudziłam. – Znajomi nazywają go Nate. – To było wszystko, co potrafiłam sobie przypomnieć, i prawdopodobnie wszystko, co kiedykolwiek uda mi się na jego temat ustalić, ale mogłam przynajmniej przypiąć imię do twarzy mężczyzny, który uratował mi życie.

* * *

Dwa miesiące później stanęłam na wycieraczce przed wejściem do akademika. Poprawiłam torbę na ramieniu i otrzepałam biały puch z butów. W Kolorado też zdarzały się opady śniegu, więc nie było to dla mnie nic nowego, jednak Syracuse potrafiło naprawdę zasypać, szczególnie w styczniu. Miejscami zasy sięgały mi aż do pasa.

Przeszłam do pomieszczenia ze skrytkami pocztowymi, pełnego rozmawiających ze sobą studentów. Obracając pokręteł, wprowadziłam szyfr do mojej szafki. Zdziwiłam się, kiedy w środku znalazłam charakterystyczny pomarańczowy świstek, który oznaczał, że miałam do odebrania przesyłkę.

Mama i tata nie należeli do rodziców wysyłających dzieciom paczki z zapasami. W dodatku widziałam się z nimi niespełna tydzień wcześniej, zanim wróciłam do stanu Nowy Jork po przerwie świątecznej. Z całą pewnością nie oni byli nadawcami. Może w takim razie Serena coś mi przysłała?

Zatrzasnęłam skrytkę, cisnęłam cotygodniową ulotkę z ofertą zamówienia karty kredytowej do kosza i udałam się do okienka, przy którym mogłam odebrać tajemniczą paczkę. Przede mną w kolejce czekały tylko dwie osoby.

– Hej, Izzy! – zawołała z lobby z silnym południowym akcentem Margo, moja współlokatorka. Ruszyła w moją stronę, zostawiając za sobą mokre ślady na i tak już ubłoconej podłodze.

– Cześć – odpowiedziałam. – Jak było na psycho?

– Bez szału – odparła, wzruszając ramionami. Gdy przesunęliśmy się do przodu w kolejce, Margo strzepnęła śnieg ze swoich

kruczoczarnych włosów. – Omawialiśmy zespół stresu pourazowego.
– Rzuciła mi wymowne spojrzenie. – Nie myślałaś może, żeby...
przepracować to z terapeutą?

Co za subtelność.

– Nie cierpię na PTSD. Boję się latać samolotem. – Właśnie z tego powodu po świętach Serena i ja przyjechałyśmy tu wynajętym samochodem aż z Kolorado, wbrew protestom ojca twierdzącego, że nie mogę sobie pozwolić, żeby strach przed lataniem w czymkolwiek mnie ograniczał.

– W następstwie traumatycznego przeżycia, jakim była pierdzielona katastrofa lotnicza – wyłożyła pouczającym tonem. Kolejka znów się przesunęła.

– Bałam się latania już przed wypadkiem.

– Awizo? – poprosił mężczyzna za ladą, więc podałam mu karteczkę. Odwrócił się i zniknął na zapleczu.

– Chodzi o to, że terapia naprawdę mi pomogła po tym, jak straciłam brata – powiedziała cicho.

Coś kazało mi się odwrócić i na nią spojrzeć. Myśl, że kiedykolwiek mogłabym stracić Serenę, była dla mnie czymś niepojętym.

– Więc może tobie też by pomogło, gdybyś z kimś to przegadała – zasugerowała. – Dzielę z tobą pokój. Wiem, że od czasu wypadku gorzej sypiasz. Nie masz nic do stracenia. A z tego, co mówią nam na zajęciach, wynika, że im szybciej porozmawiasz o tym z profesjonalistą, tym lepiej.

Może miała rację. W najlepszym wypadku usłyszałabym, że wszystko było ze mną okej i że ewentualnie powinnam rozważyć alternatywne środki transportu.

– Zastanowię się nad tym.

– Świetnie! – Objęła mnie ręką w pasie.

– Astor? – zapytał mężczyzna w okienku, przesuwając po blacie paczkę. Brązowy karton był szeroki na trzydzieści centymetrów, długi na jakieś czterdzieści pięć i wysoki mniej więcej na piętnaście.

– To ja. – Sięgnęłam po formularz, który mi podał, i złożyłam podpis w miejscu na nazwisko odbiorcy.

– Od kogo to? – dopytywała Margo.

– Nie wiem. – Gdy podniosłam pakunek z lady, okazał się zaskakująco lekki. Odczytałam naklejoną na paczce etykietę

adresową: – Linie lotnicze Transcontinental. – Nieprzyjemnie skręciło mnie w żołądku.

– Czy to ogromny czek w ramach przeprosin za ból i cierpienie?

– Nie mam pojęcia. – Co takiego mogli mi przysłać? Poduszkę, żebym lepiej się wysypiała? Tysiąc kuponów na bezpłatne przeloty, których nigdy nie miałabym odwagi wykorzystać?

Wjechałyśmy windą na trzecie piętro. Miałam zajęte ręce, więc Margo otworzyła swoim kluczem drzwi do naszego pokoju. Na jego wyposażenie składały się proste meble – po dwa identyczne łóżka, biurka i małe komody. Za to wystrój był autorskim dziełem Margo. Wszystko było utrzymane w kolorze żarówki różu i limonkowej zieleni, zupełnie jakby całe wnętrze wyjęto wprost z reklamy kolekcji Lilly Pulitzer.

Postawiłam pudło na swoim biurku, rozciąłam taśmę i wyjęłam ze środka list leżący na granatowym plastikowym worku.

Szanowna Pani Astor,

w związku z zamknięciem wstępnego śledztwa mającego wyjaśnić przyczyny niefortunnego incydentu z udziałem lotu 826 zwracamy należące do Pani rzeczy osobiste znalezione w schowku pod zajmowanym przez Panią w trakcie lotu fotelem. Mimo że wiele przedmiotów wykonanych z papieru uległo zamoczeniu i całkowitemu zniszczeniu w wyniku zanurzenia samolotu, postanowiliśmy zwrócić Pani to, co udało się odzyskać.

Najmocniej przepraszamy za niedogodności wynikające z wydłużonego czasu oczekiwania na zwrot Pani własności.

Z poważaniem

Linie lotnicze Transcontinental

Parsknęłam śmiechem i przeczytałam ostatnie zdanie na głos.

– Przepraszają za niedogodności z powodu utraconego bagażu.

– I ani słowa o utracie śledziona? – Margo zajrzała mi przez ramię.

– Hej, może to moja torebka! – Z zapalem wyciągnęłam worek z kartonu. Pewnie była zniszczona po tym, jak przeleżała kilka tygodni na dnie Missouri, ale ja też zostałam dość mocno poturbowana, więc będzie świetnie do mnie pasować. Rozerwałam

kciukami folię, która opadła na boki, odsłaniając oliwkowozielony wojskowy plecak.

Moje serce zamarło. Żeby na powrót podjęło pracę, musiałam wziąć głęboki wdech.

– To mi nie wygląda na torebkę – rzuciła Margo z pobrzmiewającym w głosie śmiechem.

– To nie moje. – Odłożyłam plecak na niezajętą część biurka. – To jego.

Przyjaciółka stanęła obok mnie z brwiami wygiętymi w dwa imponujące łuki.

– *Jego*, znaczy się... faceta jak ze snów, który uratował ci życie niczym uroczy pół księżę i pół ratownik z rzeczno oddziału *Słonecznego patrolu*?

Tak się składało, że dość często wspominałam o nim w rozmowach z Margo. W dodatku poświęcałam zbyt wiele czasu na zastanawianie się, jak sobie radził, marząc o jakimkolwiek sposobie nawiązania z nim kontaktu. Zasługiwał na dużo więcej niż krótkie podziękowanie, ponadto obiecałam przecież, że będę mu podsyłać książki, jeśli tylko będzie mu wolno czytać w trakcie szkolenia.

Jeśli w ogóle jeszcze je odbywał. Moje pojęcie na temat funkcjonowania armii było niemal zerowe, więc nie potrafiłam nawet oszacować, ile czasu zajmowało takie przeszkolenie.

– Właśnie jego. – Plecak musiał zostać wyprany, ponieważ wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy Nate zaczął wyciągać go spod siedzenia, żeby się przesiąść. – Siedział na moim miejscu.

– Otwórz – zasugerowała Margo, nachylając się nad biurkiem.

Odpięłam zamek i zajrzałam do środka. Znalazłam tam przyjemnie miękką, nieco już sfatygowaną bluzę z kapturem z logo Saint Louis Blues i iPoda zamkniętego w woreczku strunowym. Gdy nacisnęłam przez plastikową folię guzik, urządzenie ożyło, a na wyświetlaczu pojawiła się nazwa zespołu Panic! at the Disco.

– Podejrzewam, że reszta rzeczy do niczego się nie nadawała.

– Przykro mi, że to nie twoja torebka – stwierdziła Margo, po czym odwróciła się w stronę zajmowanej przez siebie części pokoju.

– A mi nie – wyszeptałam. Jak to możliwe, że czułam taką... więź z kimś, kogo właściwie nie znałam, z kim spędziłam zaledwie parę godzin? Nie chodziło nawet o to, że wyciągnął mnie z lodowatej rzeki

ani że zaniósł mnie na rękach do ambulansu. Trzymał mnie za dłoń przez cały czas, gdy samolot spadał na ziemię, choćby na chwilę nie urywając kontaktu wzrokowego.

Wcisnęłam bluzę z powrotem do plecaka i gwałtownie nabrałam powietrza. Na metce, tuż pod uchwytem, na wewnętrznej krawędzi, permanentnym markerem napisano *N. Phelan*.

Moje policzki rozciągnął uśmiech sięgający od ucha do ucha. Wiedziałam już, jak się nazywał. Mógł być gdziekolwiek, zajmować się czymkolwiek, ale znałam jego imię i nazwisko. Dzięki temu mogłam go odszukać, chociażby po to, żeby oddać mu plecak.

Nathaniel Phelan.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

IZZY

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

– Sierżancie Green – przywitałam się następnego dnia. Niesiona przeze mnie sterta teczek z ułożonym na górze smartfonem niebezpiecznie chwiała się z każdym krokiem, gdy szłam w stronę wejścia do sali konferencyjnej, którą nasz zespół zaanektował jako prowizoryczne biuro na czas pobytu w ambasadzie. Przed drzwiami wartę pełnił Nate. W zasadzie nie miałam nic przeciwko zwracaniu się do niego zupełnie innym nazwiskiem, skoro wydawał się całkiem inną osobą.

A jednak wsunął mi do uszu słuchawki i puścił *Northern Downpour*, żeby odwrócić moją uwagę podczas startu helikoptera. I co ja z tym miałam, do cholery, zrobić? W tamtej chwili, na tle szarawego, posępnego krajobrazu osób, którymi się staliśmy, ujrzałam przelotnie ludzi, którymi dawniej dla siebie byliśmy.

– Panno Astor. – Nate skinął głową z wytrenowanym wzrokiem skierowanym prosto przed siebie.

– Isa! – usłyszałam zza pleców. To Ben Holt gnał przez lobby, lawirując w gęstniejącym tłumie Amerykanów szukających pomocy w murach ambasady. Spodziewałam się, że lada moment poślizgnie się niczym bohater szalonej kreskówki, ale w ostatniej chwili udało mu się wyhamować, choć niewiele brakowało, by na mnie wpadł.

– Pali się? – zapytałam, poprawiając wysuwające mi się z rąk teczki.

– Przesłałaś wczoraj po powrocie raport do senatorki Lauren? – Jego strapione czoło marszczyło się między ściągniętymi brwiami. Westchnęłam, wiedząc już, dokąd to zmierza.

– Owszem. Wysłałam jej moje pierwsze wrażenia z wczorajszych spotkań, jak tylko wróciliśmy. – Było już późne popołudnie i po lotach w obie strony, które spędziłam z mięśniami w całym moim ciele napiętymi do granic możliwości, byłam skrajnie wyczerpana nie tylko emocjonalnie, ale też fizycznie, jednak praca to praca. – Kacey pracuje właśnie nad nieco ułagodzoną wersją. – Wskazałam głową moją asystentkę siedzącą za szklaną ścianą.

– Kurwa – mruknął pod nosem, na sekundę odchylając głowę. – Czy ty zawsze musisz być taka do przodu? – W jego brązowych oczach czaiła się zaczepka. – Gdybyś od czasu do czasu sobie odpuściła, wszyscy byśmy na tym skorzystali.

– Nie do przodu – upomniałam go w chwili, gdy moja komórka zabręczała, oznajmiając, że ktoś próbuje się ze mną skontaktować – tylko ze wszystkim na bieżąco. Jeśli nie złożę swoich notatek, młodszy asystenci nie mogą zacząć pracy nad raportem. – Z każdym wibrującym dzwonkiem telefon przesuwiał się coraz bliżej krawędzi sterty teczek. Na ekranie wyświetlały się imię i zdjęcie Jeremy'ego.

Jasna dupa. Od rana dzwonił już trzeci raz.

– Pozwól, że pomogę – powiedział Ben, sięgając po komórkę, tyle że spóźnił się o ułamek sekundy. Smartfon zsunął się z teczki i spadł na błyszczącą posadzkę, odbijając się od niej po pierwszym uderzeniu. Nate, w przeciwieństwie do ślamazarnego Bena, wykazując się niemalże kocim refleksem, złapał mój telefon, zanim ponownie grzmotnął o podłogę.

Byłam w pełni świadoma wyrastającego obok mnie rosnącego ciała Nate'a. Gdybym nie wpatrywała się w jego twarz w oczekiwaniu na ewentualną reakcję, nie zauważyłabym ledwo dostrzegalnego, trwającego nie więcej niż sekundę drgnięcia jego brwi, gdy spojrzał na ekran telefonu.

– Odrzuć połączenie – powiedziałam łagodnie, a moje serce tłuło jak oszalałe na myśl, że Nate mógłby odebrać.

Nie byłam gotowa na rozmowę, jakiej oczekiwał Jeremy, ani na tę zupełnie inną, jakiej sama potrzebowałam. A już tym bardziej nie było możliwe, żeby to Nate z nim rozmawiał. Nie. Nie mogłam na to pozwolić. Nate nie znał Jeremy'ego, za to Jeremy z całą pewnością wiedział, kim jest Nate. I trudno było się dziwić, że nie pałał do niego sympatią. Samej też nie paliło mi się do potyczki z duchem na oczach narzeczonego.

Rzecz w tym, że Nate nie był już duchem, tylko człowiekiem z krwi i kości. Stał tuż obok mnie, pachnąc gumą miętową, na punkcie której od zawsze miał obsesję. A to oznaczało, że doskonale wiedziałam, jak smakowałyby teraz jego usta.

– Jesteś pewna? – Błękitne oczy Nate'a uniosły się i napotkały moje spojrzenie. Jego palec zawisł nad przyciskiem z czerwoną słuchawką.

– Absolutnie. – Pokiwałam głową. W życiu nie byłam niczego bardziej pewna.

– Rany, ale jesteś szybki! – zauważył Ben, zapuszczając żurawia nad moimi teczkami, żeby dojrzeć wyświetlacz telefonu. – Jeremy, co?

Nate przyglądał się komórce o sekundę dłużej i nie miałam wątpliwości, że zapamiętywał każdy możliwy szczegół wyglądu Jeremy'ego – tak jak miał w zwyczaju, ewidencjonując informacje do późniejszego wykorzystania. Następnie stuknął palcem w ekran, żeby odrzucić połączenie, i zamiast odłożyć telefon z powrotem na teczkę, które trzymałam w rękach, wsunął go do bocznej kieszeni moich czarnych prostych spodni.

Nie dotknął mnie przy tym dłonią, ale – jasny gwint – poczułam się, jakby to zrobił.

– Jak właściwie mają się sprawy między wami? – zapytał bez ogródek Ben, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecność Nate'a.

– Jest... – Z niemałym trudem przełknęłam ślinę i kątem oka spojrzałam na Nate'a, ale zdążył już się wycofać na swoje miejsce przy drzwiach, gdzie znów przyjął nieruchomą pozę. Z każdą sekundą akta wydawały mi się coraz cięższe. – Jest, jak jest.

– Wiesz, krążą różne pogłoski. – Ben potarł kark i skierował na mnie współczujące spojrzenie, do którego zdążyłam już przywyknąć

w ciągu minionych sześciu tygodni. – Ale nic nie mówiłaś, więc nie chciałem naciskać...

– Doceniam to – odparłam, przerywając mu w pół zdania. – Wolałabym skupić się na tym, co mamy tu do zrobienia. Sprawy z Waszyngtonu zostawiłam w Waszyngtonie. – Decyzja, której podjęcie mnie czekało, nie była przeznaczona do upublicznienia, a już tym bardziej w plotkarskim świecie stołecznej polityki, gdzie chcąc nie chcąc, zawsze było się na świeczniku.

– To zrozumiałe. – Jego głos złagodniał. – Gdybyś jednak chciała z kimś pogadać – sięgnął do mojego ramienia – wiesz, gdzie mnie szukać. – Skinął z życzliwością głową, minął mnie i wszedł do sali konferencyjnej.

– Wezmę to od ciebie. – Nate zrobił krok w moją stronę i zabrał dokumenty z moich rąk, nie czekając na odpowiedź. Prawie westchnęłam, czując fizyczną ulgę. – O cokolwiek cię pytał, niczego mu nie mów.

– Naprawdę? – zapytałam, odwracając się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Facet... – Czoło Nate'a pokryło się zmarszczkami, co zdradzało, że szukał właściwych słów. – Facet jest zbyt łasy na informacje. Coś mi mówi, że lepiej na niego uważać.

– Jasne. – Ledwo powstrzymałam uśmiech. Trafił w samo sedno. – Chciał się ze mną umówić już w pierwszym tygodniu mojej pracy w Kapitolu i chyba nigdy nie pogodził się z odmową.

Nate ściągnął brwi i zerknął przez szybę do pomieszczenia konferencyjnego.

– Goście, którzy czekają, aż kobieta znajdzie się w dołku, żeby do niej startować, są nic niewartymi gnojkami.

– Zapamiętam sobie. – Zacisnęłam usta między zębami, żeby tylko się nie uśmiechnąć.

– Co?

– Zawsze potrafiłaś ocenić czyjś charakter już po paru minutach znajomości i nigdy nie widziałam, żebyś się mylił. – Wzruszyłam ramionami i szybko odwróciłam wzrok. – Wiesz, że nie potrzebujemy strażnika pod drzwiami, prawda? Jesteśmy w ambasadzie.

– Mówiłem ci przecież, że przez następne dwa tygodnie będą nas dzielić co najwyżej jedne drzwi. Będzie tak, dopóki nie zajmiesz

wygodnego i bezpiecznego miejsca w samolocie wracającym do Stanów. – Spojrzenie Nate'a przemknęło po teczkach z dokumentami.

– A ty zostaniesz tutaj, mam rację? – wyszeptałam, czując ucisk w żołądku. Zapakowanie mnie do samolotu było gwarancją tylko mojego bezpieczeństwa, nie jego. Jego własne życie nigdy się dla niego nie liczyło.

– Tych nazwisk nie ma w planie podróży – zauważył z konsternacją.

– To wnioski o wydanie SWI – wyjaśniłam. – Specjalnych wiz imigracyjnych.

– Dla ludzi, którzy tu dla nas pracują – dodał. – Wiem, czym są SWI. Po co ci stos takich wniosków?

– Można rozpatrywać je sprawniej, więc pomyślałam, że będziemy w tym pomagać w przerwach między spotkaniami. – Obejrzałam się przez ramię na zatłoczone lobby. – Weszłam do poczekalni i każde krzesło było zajęte. Ambasada jest tym przytłoczona.

– To prawda – przyznał Nate. – Miło widzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają. – Odwrócił się i otworzył przede mną przeszklone drzwi. – Nadal starasz się uratować wszystkich wokół, tylko nie siebie.

* * *

Woda zalewające moje stopy była strasznie zimna, panika unieruchomiła wszystkie mięśnie w moim ciele, zdrętwiałe palce nie mogły poradzić sobie z rozpięciem pasa bezpieczeństwa. Zanurzaliśmy się i nic nie mogłam z tym zrobić. Pozostało mi jedynie siedzieć i czekać, aż utonę. Szarpałam za klamrę pasa coraz mocniej i mocniej, nie słyszałam niczego poza krzykami ludzi. Woda sięgała już moich kolan, próbowałam wołać o pomoc, ale moje gardło odmówiło posłuszeństwa.

Nagle wokół zapadła kompletna cisza. Rozejrzałam się, ale nikogo już nie było. Wszyscy zniknęli, wydostali się przez wyjście ewakuacyjne po drugiej stronie samolotu.

Zostałam sama.

Porzucono mnie.

Zmusiłam się do krzyku, głos miałam zniekształcony, woda podniosła się na wysokość moich ud, oświetlenie przy podłodze zgasło. Zaczynało brakować mi powietrza. Kończył mi się czas. Czekala mnie śmierć. Kadłub coraz szybciej nabierał wody, która dotarła już do moich piersi, a ten cholerny pas wciąż nie dawał się odpiąć.

Spojrzałam w lewo, gdzie dostrzegłam otwarte wyjście ewakuacyjne, do którego jednak nie byłam w stanie dotrzeć.

Nie tak powinno być.

Nie zostawiłby mnie tu. Nigdy mnie nie zostawił. Aż do czasu, kiedy ja...

– Izzy! – Nate wskoczył do samolotu, brnąc przez lodowatą wodę. Odpiął mój pas jednym sprawnym ruchem. Tyle że wyglądał inaczej. Był lepiej zbudowany. Starszy. Silniejszy. Na naszywce na kuloodpornej kamizelce widniało nazwisko „Green”.

To był tylko sen.

Gwałtownie nabierając powietrza, podniosłam się w łóżku z sercem walącym jak opętane. Próbowałam uspokoić oddech. Moja podkoszulka była całkiem przepocona. Żebra ścisnęły mi płuca niczym imadło, utrudniając oddychanie, lecz z każdym wdechem i wydechem stopniowo zwalniały chwyt. Tyle wystarczało, żeby uciec z koszmaru. Musiałam jedynie uświadomić sobie, że to sen.

Gdy zsunęłam się z łóżka, otarłam się nagimi kolanami o szorstką wykładzinę.

Wróciłam do rzeczywistości.

– Nazywam się. Isabeau. Astor – wydusiłam z siebie przez zaciśnięte gardło. – Byłam pasażerką lotu osiemset dwadzieścia sześć. – No i proszę. Skleciłam pełne zdanie. – Spadliśmy do wody. Udało mi się wydostać. – Słowa te wryły mi się w pamięć przez lata uczęszczania na terapię, choć za każdym razem przyjmowały nieco inną formę, w zależności od tego, co mi się śniło. – Dopłynęłam do brzegu. Przeżyłam. – Nim skończyłam mówić, moje gardło rozluźniło się na tyle, że mogłam wziąć głęboki wdech. A po chwili drugi. – Przeżyliśmy.

Spojrzałam na zegar. Była czwarta nad ranem.

Świeże powietrze. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Piknięcie zamka zaalarmowało mnie, że drzwi mojego pokoju zostały otwarte. Po chwili trzasnęły, ale skąpe światło księżyca wpadające przez okna nie pozwalało mi zbyt wiele dostrzec w mroku.

– Izzy?

– Tutaj. – Moje naprężone ramiona opadły z ulgą. Ten głos mógł należeć tylko do jednej osoby.

– Krzyczałaś. – Jego cień wypełnił wejście do sypialni. W rękach trzymał pistolet.

– Jestem tu sama – uspokoiłam go, obejmując się ramionami w pasie.

Nate przeszedł obok mnie, zajrzał do łazienki, a potem sprawdził okolice okna. Dopiero wtedy pstryknął włącznik lampki na stoliku nocnym.

– O kurwa. – Było to jedyne ostrzeżenie, po którym usłyszałam dźwięk wsuwania broni do kabury. Wtedy Nate niespodziewanie wziął mnie na ręce i przycisnął do swojej piersi.

– Nic mi nie jest – zapewniłam, co jednak nie powstrzymało mnie przed wtuleniem się w tak dobrze znane mi ramiona. Nie miał już na sobie grubej kevlarowej kamizelki. Trudno, żeby nosił ją o czwartej nad ranem. Ubrany był w czarną koszulkę z miękkiej bawełny, przez którą czułam na policzku równomierne bicie jego serca.

– Taa, jasne. – Zaniósł mnie do salonu, gdzie usiadł na kanapie. Wciąż trzymając mnie w ramionach, zapalił lampkę na stole. – Cholera, jesteś cała przemoczona.

Powinnam była się przesunąć, umknąć na drugi koniec sofy, zamiast tego jednak ułożyłam wygodniej nogi i zwinęłam się w kłębek na jego kolanach. Zrobiłam to z prostej przyczyny – na całym świecie nie znalazłabym dla siebie bezpieczniejszego miejsca.

– To był tylko koszmar. – Zadrżałam, gdy chłód oblał moją spoconą skórę.

Nate sięgnął ponad swoim ramieniem, pociągnął koc przewieszony przez oparcie kanapy, okrył mnie nim i objął ręką. Drugą wolną dłonią zaczął gładzić moje ramię jednostajnym, uspokajającym ruchem.

– Może gorąca kąpiel?

– Żadnej wody. – Pokręciłam głową, ledwo powstrzymując się przed wygięciem się w łuk i wtuleniem twarzy w jego szyję. Za tak cudowny zapach, aromat mydła doprawionego miętą, powinni skazywać na więzienie.

– Samolot – domyślił się Nate, opierając podbródek na mojej głowie.

– Samolot.

W trakcie kilku następnych minut, które upłynęły w idyllicznej ciszy, moje tętno zwolniło, zrównując się z tempem bicia serca Nate'a. Była to jedna z rzeczy, które uwielbiałam w spędzaniu z nim czasu. Nie musieliśmy wypełniać każdej sekundy słowami.

– Tobie też się zdarzają? – zapytałam. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam opuścić jego kolana, wysunąć się z jego ramion, a mimo to nie potrafiłam się do tego zmusić.

– W zasadzie już nie. – W dalszym ciągu powoli przesuwał palcami w górę i w dół mojego ramienia.

– Co się zmieniło?

– Inne sytuacje, których byłem świadkiem, okazały się bardziej traumatyzujące – odparł łagodnie. – A jeśli już mi się zdarzają, zwykle śnię o tym, że nie mogę cię wydostać na zewnątrz albo że porywa cię nurt rzeki. Dalszego ciągu nigdy nie ma. Nieustannie walczę, żeby doprowadzić cię do brzegu. – Jego dłoń się zatrzymała i palcami ścisnął moje ramię. – A jak u ciebie? Jak często miewasz koszmary?

– To zależy. Zazwyczaj tylko wtedy, kiedy mam dużo na głowie i jestem zestresowana albo gdy dzieje się coś, co jest poza moją kontrolą. – *Tak jak teraz.* – Wygląda na to, że wszystkie te lata terapii poszły na marne – spróbowałam zażartować.

– Jeśli zdarzają się rzadziej niż kiedyś, raczej było warto.

Mógł tak twierdzić, ale wątpiłam, żeby samemu zrobił cokolwiek w tym kierunku w ciągu ostatnich trzech. Szczególnie że zawsze się przed tym wzbraniał.

Gdy znowu zapadła cisza, niestosowność sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, uderzyła mnie z całą swoją siłą.

– Czy pocieszasz w ten sposób wszystkich swoich podopiecznych?

– Rzadko kiedy – zakpił i pokręcił głową. Wiedziała, że gdybym podniosła wzrok, ujrzałabym drobny uśmiech wykrzywający jego usta. Ten sam, na którego widok zawsze miałam przemożną ochotę go pocałować.

Nie mogłam tak dłużej. Nie mogłam wtulać się w niego jak gdyby nigdy nic, jakbym nie była czyjąś narzeczoną.

Ale czy naprawdę nią jesteś?

Zmieniłam nieco ułożenie głowy i mój policzek natrafił na coś twardego. Odsunęłam się, żeby się temu przyjrzeć.

– Właśnie się ubierałem, kiedy cię usłyszałem – wytłumaczył, wyciągając spod koszulki łańcuszek, na którym zawieszona było coś na kształt nieśmiertelnika, tyle że owiniętego czarną taśmą. O ile dobrze pamiętałam, robiło się tak po to, żeby metalowa tabliczka nie grzechotała podczas skradania się.

– To by wyjaśniało brak obuwia – stwierdziłam, podnosząc się z jego kolan i zabierając ze sobą koc. Dziwne, że nosił nieśmiertelnik, skoro nie było mi wolno zwracać się do niego, używając jego prawdziwego imienia. Minęło tyle lat, w trakcie których całkowicie odmieniłam swoje życie, on zaś tylko głębiej okopał się na tej samej pozycji.

Nate odchrząknął i odsunął się na drugi koniec kanapy. Na środkowej poduszce, swoistej ziemi niczyjej, pozostały tylko moje stopy.

– Co robiłeś na nogach o tak wczesnej porze? – zapytałam, szczerzej zakrywając się kocem w celu ukrycia faktu, że do spania nie zakładałam stanika. Zupełnie jakby Nate nie miał wielokrotnie okazji oglądać mojego nagiego ciała z każdej możliwej strony.

– Wróciłem z siłowni.

Opuściłam spojrzenie do poziomu jego biodra, do którego miał przypiętą kaburę.

– I pierwszym, co robisz po wzięciu prysznic, jest sięgnięcie po spluwę?

– Co ja słyszę. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, bezwstydnie obnosząc się z tym swoim dołeczkiem. Moje serce na chwilę zgubiło rytm. – *Spluwę.*

Boże, już lepiej było dalej się w niego wtulać, bo nie mogłam mu wtedy patrzeć prosto w oczy. To już dziesięć lat, a one dalej

sprawiwały, że czułam mrowienie na udach. Ten facet mógł nic nie robić, jedynie na mnie patrzeć, i jestem przekonana, że doszłabym, gdyby wpatrywał się we mnie wystarczająco mocno. Aż zacisnęłam palce na krawędzi pledu.

Nate zmarszczył brew.

– Nie masz pierścionka.

Ciepło rozlało się po moich policzkach. Cofnęłam dłoń i schowałam ją pod kocem.

– Zdejmuję go na noc – wytłumaczyłam. Cholerstwo było nieporęczne i haczyło o pościel. A może po prostu potrzebna mi była pieprzona przerwa od noszenia symbolu przynależności do Jeremy'ego. – Jest... niezbyt wygodny – dokończyłam tak nieprzekonująco, że nie oszukałabym chyba nikogo, nawet siebie.

– Domyślam się, że taki diament na palcu może... ciążyć. – Mimo że odwrócił wzrok, zdążyłam zauważyć, jak drgnęła jego szczęka.

Poczucie winy było jak kamień przywiązany do mojego serca. Na język cisnęły mi się tysiące słów, które chciałam wypowiedzieć. W pewnej chwili jednak pamięć podsunęła mi widok jego pleców, odzianych w przemoczoną deszczem kurtkę, gdy szedł korytarzem w moim nowojorskim mieszkaniu, kierując się do drzwi. Nie odwrócił się, choć wołałam do niego, raz za razem powtarzając jego imię. Wspomnienie to powodowało bolesny ucisk w piersi.

– Jak niby mamy to zrobić?

– Co zrobić? – Nate pochylił się i oparł łokcie na kolanach.

– Być przez następne dwa tygodnie tak blisko siebie, ignorując... wszystko? – odparłam szeptem.

Nate schował nieśmiertelnik z powrotem pod koszulkę.

– Jeszcze tylko dwanaście dni – odpowiedział cicho. – I nie mamy wyboru.

– Nate. – Ruszyłam się, żeby przysunąć się bliżej, ale przygwoździł mnie spojrzeniem, pod wpływem którego zastygłam.

– Nie, Izzy. – Pokręcił głową. – Mam tylko jedną słabość, która siedzi teraz pół metra ode mnie, choć powinna być na drugim końcu świata. – Maskę, którą nosił niczym pancerz, opadła, a ból skrywający się w jego oczach wystarczył, żebym wciągnęła łapczywie powietrze. – Tak więc proszę cię, choć raz w życiu miej litość i po prostu... – Zacisnął powieki. – Po prostu o tym zapomnij.

Przyglądałam się rysom jego twarzy, tatuażowi poruszającemu się i falującemu na jego przedramieniu, gdy zwinął dłonie w pięści. Każda część jego ciała była naprężona, jakby szykował się do walki, której nie mogłam zobaczyć. To było nieuczciwe z mojej strony. Ja znalazłam się tu z własnego wyboru, natomiast on zdecydował się zostać wyłącznie przez wzgląd na mnie.

– Okej – odezwałam się po chwili. – Zapomnę.

– Dziękuję. – Rozluźnił się i przeniósł wzrok na stolik kawowy. – Co to takiego? – Wskazał teczkę leżącą na blacie.

– Najnowsze teksty amerykańskich dziennikarzy – odpowiedziałam. – Kacey musiała mi je podzucić, kiedy już spałam. Wcześniej się położyłam.

– Ma klucz?

– Tak. Jest młodszą asystentką. Nie stanowi zagrożenia, Nate. – Przewróciłam oczami.

– Musisz ryglować drzwi od środka – wymamrotał pod nosem, sięgając po teczkę.

– Ale gdybym je zamknęła, ty też byś tu nie wszedł, prawda? – rzuciłam wyzywająco. Podwinęłam pod siebie nogi i wzięłam od niego materiały.

Nate tylko parsknął.

– Chyba nie myślisz, że kawałek metalu stanowi dla mnie przeszkodę, gdy słyszę twój krzyk?

Już miałam zauważyć, że skoro on mógłby wywarzyć zaryglowane drzwi, to samo mógł zrobić ktoś inny, ale zachowałam to spostrzeżenie dla siebie. Zamiast tego zaczęłam kartkować wydruki. Gdy dojrzałam jej nazwisko, z wrażenia aż wstrzymałam oddech.

– Nate – szepnęłam, wciskając mu kartkę do rąk. – Nie ma jej na zdjęciu, ale to artykuł Sereny.

Założę się, że jeśli sprawdzę teraz swój telefon, będzie czekało na mnie powiadomienie z Google Alerts.

Nate wpatrywał się chwilę w fotografię, po czym westchnął.

– Jest w Mez.

– Gdzie? – Wbrew zdrowemu rozsądkowi przysunęłam się bliżej, żebym też mogła spojrzeć na zdjęcie. Nasze ramiona się zetknęły.

– Ten budynek. To Błękitny Meczec. – Palcem pokazał gmach widoczny w tle. – Jest w Mazar-i-Szarif, a przynajmniej niedawno

tam była.

Chciało mi się śmiać z radości, ponieważ przesłała artykuł poprzedniego wieczoru. Tak wynikało z umieszczonej na wydruku daty.

– Ale żyje.

– Żyje – potwierdził Nate.

I wiedzieliśmy już, gdzie jej szukać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

NATHANIEL

Tybee Island, Georgia
Czerwiec 2014

– Siódemka do narożnika – wykrzyknąłem, obracając czapkę na głowie, tak by daszek znalazł się z tyłu, zanim nachyliłem się nad stołem bilardowym i wbitem bilę do luzu po raz trzeci z rzędu.

– Niech cię cholera, Phelan – mruknął Rowell i w błagalnym geście uniósł wzrok ku sufitowi. Reszta kumpli ryczała ze śmiechu i kibicowała mi z uniesionymi butelkami. – Czy ty musisz tak napieprzać tym kijem?

– Sam chciałeś, żebyśmy zagrali – odparłem ze złośliwym uśmiechem, rozglądając się wokół. W rogu naszego ulubionego baru plażowego w Tybee Island znajdował się okupowany przez naszą zgraję stół. W jego sąsiedztwie ustawione były jeszcze trzy inne stoły, do tego parkiet taneczny, na którym zawsze zalegał piasek, oraz bar otwierający się na brzeg oceanu, skąd napływała cudowna morska bryza, prawdziwe zbawienie latem w Georgii, nawet o dziesiątej wieczorem. – Trójka, luzu boczna. – Akurat gdy posłałem bilę do kieszeni, z umieszczonych za mną, dudniących niemiłosiernie głośno kolumn popłynął kolejny utwór. Z ogłuszającego pisku, jaki wypełnił salę, wywnioskowałem, że parkiet musiała zająć większa grupa kobiet.

Gust muzyczny miały całkiem niezły. *Miss Jackson* nie był co prawda moim ulubionym kawałkiem z repertuaru Panic! at the Disco,

ale plasował się dość wysoko na liście. Co było moim faworytem? Zdecydowanie *Northern Downpour*... czyli ostatnia piosenka, której słuchałem, zanim wszedłem na pokład lotu osiemset dwadzieścia sześć.

Kurwa mać, po co w to brnąłem? W pamięci znów rozbłysnęły mi migawki zapierających dech w piersiach brązowych oczu. Tych samych, które wraz z ich właścicielką śniły mi się od dwóch i pół roku. *Isabeau*.

– No to żegnaj się z kolejnymi dwiema dychami. – Rowell oparł się plecami o ścianę, po czym bez entuzjazmu sięgnął po portfel, który po tym wieczorze miał być dużo lżejszy.

– Może trochę się nad nim ulitujesz? – zapytał Torres, przeczesując dłonią swoje ciemne, krótko przystryżone włosy. Po dwóch latach w jednym plutonie, w tym roku spędzonym razem w afgańskim piachu, stał się kimś w rodzaju mojego najlepszego przyjaciela.

– A po cholere miałbym to robić? – Szykowałem się do następnego strzału. – Szóstka do narożnika. – Chwilę później Rowell zbiedniał o kolejne dwadzieścia dolców. – Pewnie żałujesz, że nie obstawileś mniej, co? – rzuciłem do niego, odwracając się przez ramię.

– Myślałem, że jesteś prostym chłopciakiem z farmy w Illinois – odparł i przebiegł wzrokiem po pozostałych członkach naszego oddziału, którzy bawili się tego wieczoru z nami. – Czemu nikt mi nie powiedział, że gość jest szulerem bilardowym? – Wszyscy tylko pokręcili z rozbawieniem głowami.

– Gaduła z niego – zaśmiał się Torres i pociągnął łyk piwa.

– A niech mnie – odezwał się Fitz, przechylając swoje tyczkowate ciało w bok, żeby lepiej widzieć, co się dzieje za moimi plecami. Właśnie studiowałem rozmieszczenie bil na stole. Za mocno podkręciłem poprzedni strzał, więc do następnego musiałem podejść pod chujowym kątem. – Jeśli mnie wzrok nie myli, na parkiet właśnie wyszedł cały autobus studentek.

Niemal wszystkie głowy chłopaków z plutonu odwróciły się jak na rozkaz, co ani trochę mnie nie dziwiło. Byli wśród nas sami single. Większość żonatych gości wolala spędzić ostatni weekend przed wylotem na misję razem ze swoimi rodzinami.

– To mi wygląda na wieczór panieński – ocenił Torres, a jego usta powoli ułożyły się w szeroki uśmiech. Ja tymczasem obszedłem stół, żeby ustawić się w jak najlepszym miejscu do wyprowadzenia uderzenia. W polu mojego widzenia znalazła się grupa roztańczonych kobiet. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, miały na sobie wściekle różowe podkoszulki na ramiączkach. Na środku utworzonego przez nie kółka tańczyła dziewczyna ubrana na biało, z podświetlanym welonem ślubnym na głowie.

Wieczór panieński jak się patrzy.

– Byłoby mi łatwiej, gdybyś w międzyczasie wbił chociaż parę swoich bil, Rowell – skwitowałem, pochylając się mocno nad stołem i próbując się skoncentrować.

W odpowiedzi Rowell tylko burknął.

Tuż przed uderzeniem podniosłem na chwilę wzrok. Akurat kiedy tańcząca najbliżej nas dziewczyna zaczęła szaleć do refrenu, unosząc wysoko ręce i pozwalając, by jej blond włosy wirowały na wszystkie strony.

Było to zaledwie przelotne spojrzenie, ale wystarczyło, żeby wybić moje serce z rytmu i wytrącić mnie z równowagi. W rezultacie dłoń ześlizgnęła mi się z kija i całkiem schrzanilem strzał. Biała bila potoczyła się po zielonym filcu zupełnie nie w tym kierunku, co powinna. Zamarłem.

– Szczęście musiało cię kiedyś opuścić – roześmiał się Rowell, podczas gdy ja stałem nieruchomo, w skupieniu przyglądając się bawiącym się kobietom.

To nie była ona. Inna blondynka przesunęła się na skraj parkietu. A może była to ta sama dziewczyna? Czy mój umysł mógł wywinąć mi aż taki numer?

Może to przez muzykę? Muzykę, która znów przywołała wspomnienia?

Niemożliwe, żeby to była ona.

Jednak nagły przyptyw adrenaliny pulsującej w moich żyłach wykrzykiwał co innego. Rzuciłem kij bilardowy pierwszej z brzegu osobie i zerwałem się z miejsca.

– Phelan! – wołał za mną Fitz, ale zanim choćby pomyślałem, żeby mu odpowiedzieć, znalazłem się już w gęstym, roztańczonym tłumie.

Z głośników popłynął kolejny utwór, stroboskop zaczął migotać, twarze wokół mnie się rozmazywały, stawały się niewyraźne. Odwróciłem się w lewo, potem w prawo i znowu w lewo, w krótkich rozbłyskach światła przyglądając się kolejno wszystkim tańczącym kobietom w różowych podkoszulkach. Łącznie było ich sześć... nie, jednak siedem.

Ale żadna z nich nie była nią.

Kurwa. Czy ja traCIłem zmysły? Widziałem sporo pojebanych akcji podczas misji, zresztą katastrofa samolotu też z pewnością odcisnęła ślad w mojej psychice, mimo że starałem się nad tym nie rozwodzić, ale żeby doświadczać halucynacji? Aż tak popieprzony chyba nie byłem?

– Wszystko git? – zapytał Torres, podchodząc do mnie od lewej, gdy zastygłem pośrodku pulsującego parkietu.

– Wydawało mi się, że kogoś zobaczyłem.

Ta kobieta była brunetką. Tamta miała rude włosy. Blondynka! Ale nie ten uśmiech. Nie te oczy.

– Tak myślałem. Zerwał się, jakby ci się dupa paliła.

– Boisz się, że teraz moja kolej i cię ogram? – dobiegł mnie z prawej głos Rowella, ale mimo buńczucznego tonu jego lekko zmarszczona brew zdradzała obawy o przegraną.

Niemal jak za sprawą łaskawego losu lub innej równie potężnej, sprzyjającej mi siły tłum rozstąpił się na ułamek sekundy. Tyle jednak w zupełności mi wystarczyło. Ja pierdołę! Przy barze stała Isabeau Astor we własnej osobie. Założyła kosmyk włosów za ucho, odslaniając swój pełen profil, a serce o mało co nie wyskoczyło mi spomiędzy żeber.

– Mam lepsze rzeczy do roboty – rzuciłem do Rowella, ledwo zaszczycając go spojrzeniem, i ruszyłem między rozbawionych ludzi.

– Lepsze niż zgarnięcie stu sześćdziesięciu baksów? – dopytał, przekrzykując muzykę.

– Oddaję mecz walkowerem – zawołałem przez ramię. – Kasa jest twoja!

Tłum ponownie się zagęścił. Przeciskając się ostrożnie między podskakującymi do rytmu imprezowiczami, przedostałem się na drugą stronę parkietu.

Do Izzy, siedzącej na stołku w miejscu, gdzie kontuar zakręcał, dołączyła panna młoda. Gdy zająłem miejsce tuż za rogiem baru, skąd dokładnie widziałem twarz Isabeau, napadła mnie cała zgraja wymykających się spod kontroli emocji. Otworzyłem usta, by się odezwać, po chwili jeszcze raz, ale moja głowa świeciła pustkami. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że w ogóle mnie nie rozpozna, tym bardziej jeśli wziąć pod uwagę wstrząśnienie mózgu, którego doznała w wypadku. I choć tak często ją sobie wyobrażałem, wielokrotnie o niej marzyłem, to ani razu nie przyszło mi na myśl, że kiedykolwiek mógłbym znowu ją zobaczyć, więc nawet przez chwilę nie zastanawiałem się nad słowami, jakich mógłbym wtedy użyć.

Izzy mnie nie zauważyła, całkowicie pochłonięta próbami przywołania barmana, za to jej towarzyszka odwróciła się w moją stronę. Zmarszczyła brew, gdy tylko zdała sobie sprawę, że przyglądam się jej przyjaciółce.

Pora wreszcie się odezwać, zanim uzna mnie za jakiegoś świra, szczególnie że sytuacja była już wystarczająco niezręczna.

– Śniłem o tobie chyba z milion razy – powiedziałem na tyle donośnie, żeby Isabeau usłyszała mnie pomimo otępiająco głośnej muzyki. *Głodziutko, Nate, nie ma co. Niczego lepszego nie mogłeś wymyślić?*

Izzy przewróciła oczami, nawet nie spojrzawszy w moim kierunku.

– Nie jest zainteresowana. – Panna młoda nachyliła się, zasłaniając sobą koleżankę, i pokręciła przecząco głową. – Zaufaj mi, dopiero co wyszła z popieprzonego związku. Nie masz tu czego szukać.

– Jest zainteresowana. Wiem, co mówię. – Uśmiechnąłem się szeroko, doceniając lojalną troskę przyjaciółki.

Izzy parsknęła kpiąco i całkiem się odwróciła, celowo mnie ignorując. Wyglądała równie pięknie jak ostatnim razem. Może nawet piękniej, niż zapamiętałem. W barze pełnym członków bractw studenckich cieszących się przerwą wakacyjną i żołnierzy relaksujących się przed wylotem na zagraniczną misję musiano już nie raz i nie dwa robić do niej podchody.

– A skąd ty możesz wiedzieć, co ją interesuje, a co nie? – Panna młoda obrzuciła mnie lekko zamglonym spojrzeniem. – Mamy babski

wieczór. Więc może wracaj, skądkolwiek... – wskazała ręką pozbawiony nadruku czarny tiszert opinający moją pierś – z jakiegokolwiek siłowni wylazłeś.

– Lubię cię – oznajmiłem pannie młodej, po czym oparłem się o kontuar, żebym mógł widzieć Izzy. – Wiem, że uwielbia czytać i boi się latać.

Izzy zastygła, po czym lekko drgnęła, jednak nadal patrzyła w przeciwną stronę.

– Ślepy traf – fuknęła dziewczyna i splotła ramiona.

– Wiem też, że jest uczulona na skorupiaki i penicylinę – ciągnąłem.

Oczy Izzy robiły się coraz większe. Zaczęła się powoli obracać.

– A w torebce nosi tylenol i maść z antybiotykiem.

Wzrok Izzy napotkał moje spojrzenie. Gdy mnie rozpoznała, jej cudowne brązowe oczy zabłyśły, a usta nieznacznie się rozchyliły. Wyglądała na co najmniej tak zaskoczona jak ja.

– Aha, jej grupa krwi to zero Rh plus... – Choć wydawało mi się to niemożliwe, uśmiechnąłem się jeszcze szerzej. – O niczym nie zapomniałem?

Izzy zsunęła się ze stołka i ominęła pannę młodą. Kiedy podeszła bliżej, tak blisko, że dzieliły nas zaledwie centymetry, wstrzymałem oddech.

– Nathaniel Phelan?

– Hej, Isabeau Astor.

Zakrzyknęła radośnie i skoczyła na mnie, zarzucając mi ramiona na szyję. Z łatwością ją chwyciłem, rozłożyłem szeroko dłonie na jej plecach i mocno ją do siebie przytuliłem. Nie było ani trochę niezręcznie. Odniosłem wrażenie, jakbym nareszcie wrócił do domu. Ostatnim razem poczułem taką ulgę, gdy udało nam się wydostać na brzeg po katastrofie samolotu.

– Mam twój plecak – powiedziała, odsuwając głowę nieco do tyłu, żeby dobrze przyjrzeć się mojej twarzy. Zupełnie jakby szukała blizny ukrytej pod czapką.

– Co takiego? – Postawiłem Izzy z powrotem na podłodze, zmuszając swoje dłonie, żeby ją puściły.

– Twój plecak. – Posłała mi uśmiech, na którego widok moje serce urosło, rozpychając się w piersi. Jasna cholera, nawet nie

wyobrażałem sobie, że w jednej chwili poczuję tę samą więź, która połączyła nas w samolocie. Wszystko to wydawało się zbyt piękne, mimo że świeciło mi prosto w twarz. – Linie lotnicze wysłały go do mnie, bo siedziałeś na moim miejscu.

– Nie żartuj. – Ze zdziwienia podniosłem wysoko brwi.

Pokiwała głową, uśmiechając się tak samo szeroko jak ja.

– Mam też twoją bluzę i iPoda. Nie do wiary, że naprawdę włożyłeś go do woreczka strunowego. Ale działa! Szczeka mi opadła, kiedy się włączył. Oczywiście nie zabrałam ich tutaj, zostały w moim mieszkaniu w Waszyngtonie, ale nawet nie wiem, w którym są kartonie, bo nie miałam jeszcze czasu, żeby się rozpakować między absolutorium, przeprowadzką i do tego wieczorem panieńskim Margo – plotła jak najęta, cały czas przekrzykując muzykę.

Plotła tak jak wtedy i chyba nie było niczego wspanialszego na całym świecie.

– O ja pierniczę, czy to jest Facet z Samolotu? – zapytała przyszła panna młoda, a więc wspomniana Margo, wpatrując się we mnie, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Tak! – potwierdziła Izzy. – Dasz wiarę? Nate, to jest Margo. Margo, to jest Nate. – Wzięła przyjaciółkę pod ramię. – Była ze mną, kiedy dostałam plecak.

– Cześć, Margo. – Udało mi się na sekundę oderwać wzrok od Izzy i skinąć jej koleżance.

– Cześć, Facecie z Samolotu! – Cmoknęła Izzy w policzek. – Gdybyś mnie potrzebowała, będę na parkiecie! – Wymachując rękoma, pobiegła do pozostałych druhen.

Izzy i ja zostaliśmy sami, wpatrzeni jedno w drugie. Wokół nieustannie dudniła muzyka.

– Napijesz się czegoś? – Nagle uświadomiłem sobie, że przecież nie bez powodu podeszła wcześniej do baru.

Potaknęła, po czym oboje odwróciliśmy się do kontuaru. Gdy uniosłem prawą dłoń, żeby przywołać barmana, nasze ramiona otarły się o siebie. Ja pierdolę, zupełnie jakbym znowu miał szesnaście lat! To niewinne muśnięcie przeszło mnie na wskroś.

– Ty też bez procentów? – zapytała, kiedy płaciłem za nasze napoje.

– Wypiłem już kilka piw. – Wzruszyłem ramionami. Mowy nie było, żeby alkohol rozmył mi choć jedną spędzoną z nią sekundę. – Usiądziemy na zewnątrz?

– Pewnie.

Przecisnęliśmy się przez wypełniający bar tłum i wyszliśmy na patio otwierające się na plażę. Jeden z dwóch wysokich stolików tuż przy krawędzi tarasu był wolny, więc wdrapaliśmy się na dostawione do niego krzesła barowe. Znowu utkwiliśmy w sobie spojrzenia, tym razem we względnej ciszy.

– Ładnie tu – odezwała się Izzy.

– Świetnie wyglądasz – powiedziałem w tym samym momencie.

Oboje się uśmiechnęliśmy.

– Dzięki, ale to pewnie tylko dlatego, że akurat nie mam krwotoku wewnętrznego. – Wzruszyła figlarnie ramionami.

– Rzeczywiście trochę wtedy zbladłaś – rzuciłem z uśmiechem i wziąłem łyk coli.

– Nie pamiętam niczego od chwili, kiedy doплыliśmy do brzegu – przyznała cicho, ścierając palcem krople pojawiające się na jej szklance.

– Ale przecież... – Zmarszczyłem brew. – Wyznałaś mi miłość po wsze czasy i całkowite oddanie. Obiecałaś, że będziemy mieć trójkę dzieci i domek z ogródkiem. – Cholera, nie było łatwo zachować powagi. Jej oczy tańczyły radośnie w łagodnym świetle lampek ogrodowych.

– Bardzo śmieszne.

Wziąłem głęboki wdech, segregując w myślach wspomnienia z tamtego dnia. Wszystko, co się wtedy wydarzyło, było niewiarygodnie wręcz surrealistyczne.

– Pomogłem ci dojść do drzewa, żebyś mogła pod nim usiąść – zacząłem, a następnie zreferowałem jej wszystko, co potrafiłem sobie przypomnieć.

– Uratowałaś mi życie – stwierdziła, gdy dotarłem w swojej opowieści do momentu, kiedy ambulans zabrał nas do szpitala.

– Neeee. To akurat zasługa ratowników medycznych.

– Tu jesteś! – zawołał Fitz z przeciwnego końca patio. – Zniknąłeś.

– Spojrzał na koszulkę Izzy. – I to razem z uczestniczką wieczoru panieńskiego, jeśli dobrze widzę.

– Izzy, to jest Fitz – przedstawiłem ich sobie.

Izzy wyciągnęła dłoń, a Fitz ją uściskał.

– Cześć. Nazywam się Isabeau Astor i jestem żoną Nate'a.

Musiałem zakryć usta dłonią, żeby nie opluć stołu colą.

– Jego żoną? – Fitz spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi. – Czy Justin i Julian o tym wiedzą, skoro mają się za jego najlepszych kumpli?

Rowell i Torres z całą pewnością nie mieli pojęcia, że nakłamałem załodze karetki, żeby wbrew regulaminowi zabrano mnie do szpitala razem z obcą kobietą.

– A przynajmniej tak wynika z mojej kartoteki medycznej – dodała Izzy ze śmiechem, czym wywołała we mnie prawdziwą lawinę uczuć, rozbudzając nawet te emocje, które ze wszelkich sił starałem się odstawiać w ciemny kąt, gdy wylatywałem na misję.

Jakoś udało mi się przełknąć napój bez robienia z siebie pośmiewiska.

– Mówiłaś przecież, że niczego nie pamiętasz.

– Siostra mi o tym powiedziała. – Izzy rozparła się na krześle.

– Twoja siostra musiała ci powiedzieć, że jesteście małżeństwem?

– zdziwił się Fitz, opierając łokcie na stoliku. – Chętnie posłucham dalej. Phelan prawie nic nam o sobie nie mówi.

– Skłamałem ratownikom, że bym mógł wsiąść razem z nią do ambulansu – wyjaśniłem.

– Po wypadku – dopowiedziała Izzy. – Siedzieliśmy obok siebie, kiedy samolot spadał na ziemię.

Fitz gwałtownie obrócił głowę w moją stronę, jakby miał ją zamocowaną na sprężynie.

– O kurwa, przeżyliście katastrofę lotniczą?

Wzruszyłem niewinnie ramionami.

– A myślałeś, że skąd ma... – Izzy nachyliła się nad stołem i wyciągnęła rękę po moją czapkę. Pochyliłem głowę do przodu, żeby mogła ją zdjąć. Trzymając czapkę w jednej dłoni, drugą odgarnęła krótkie kosmyki moich włosów z zamiarem pokazania Fitzowi blizny, którą w ciągu ostatnich dwóch lat niejednokrotnie miał okazję oglądać. – To? Wiedziałaś, że zostanie ci blizna!

– Jedenaście szwów – uściśliłem.

– Masz tę bliznę po *katastrofie lotniczej*?! – Głos Fitz'a załamał się przy końcu pytania.

– Ano tak – przytaknęła Izzy i założyła mi z powrotem czapkę, po czym usiadła.

– Sądziłem, że jesteśmy kumplami! – Fitz złożył dłonie na piersi, udając, że chwyta się za serce.

– Bo jesteśmy – zapewniłem.

– Kumple mówią sobie o tym, że przeżyli katastrofę lotniczą – dodał pouczającym tonem.

– Torres wie. – Znów wzruszyłem ramionami.

– Okej, to już jest cios poniżej pasa. – Dramatyzując, zaczął się słaniać, jakby został dźgnięty nożem. – Powiedziałaś Torresowi, ale pozostałym nie?

– Może chciałem zachować tę historię na właściwy moment.

– Niby na jaki? Na tę misję zamiast na poprzednią?

– Na tę misję? – zapytała Izzy. Widok niepokoju w jej oczach sprawił, że poczułem ukłucie w sercu. Poza mamą nikt inny się o mnie nie martwił. W jednej chwili radosny dotąd nastrój gdzieś uleciał.

– No tak. – Pokiwałem głową. – Niedługo wyjeżdżamy.

– Kiedy? – Między jej brwiami zarysowały się dwie drobne zmarszczki.

– Bardzo niedługo. – Wylatywaliśmy pojutrze, ale nie była to informacja podawana do wiadomości publicznej.

Fitz odchrząknął.

– Dobra, wracam do środka, żeby popatrzeć, jak Rowell daje przy stole wycisk Torresowi. Miło było poznać, pani Phelan.

– Technicznie rzecz biorąc, to on jest panem Astorem – poprawiła go z uśmiechem, który jednak nie znalazł odzwierciedlenia w jej oczach.

– Wcale mnie to nie dziwi. Dobry chłop z niego. Oddany sprawie feminista. – Fitz klepnął mnie w ramię i odszedł od baru.

Na chwilę szum fal rozbijających się o brzeg zagłuszył muzykę płynącą z wnętrza lokalu.

– Możesz mi chociaż powiedzieć, dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Afganistan. – Ciągłe trąbili o tym w mediach, więc raczej nie zdradzałem tajemnicy wojskowej.

Uśmiech całkiem zniknął z jej twarzy.

– I już raz tam byłeś?

Potaknąłem.

– Wróciliśmy niecały rok temu, ale dołączyłem do jednostki trochę później i urwałem się nieco wcześniej, więc nie spędziłem tam pełnej zmiany. – Wybuch miny pułapki zakończył moją służbę miesiąc przed czasem, ale przynajmniej nadal byłem żywy.

– A teraz lecisz tam znowu? Tak szybko? – W jej oczach zamigotało oburzenie. – I to ma być *fair*?

– *Fair* nie jest słowem, które pasuje do służby wojskowej. – Poprawiłem się na krześle.

– Więc po to tu jesteś? – Kiwnęła głową w stronę baru. – Chwila oddechu przed wylotem?

– Yhm. Stacjonujemy w Hunter. Jakieś pół godziny drogi stąd. – Skwapliwie korzystając z nadarzającej się okazji, szybko zmieniłem temat. – A ty mieszkasz w stolicy i przyjechałaś tu na wieczór panieński?

– Dopiero co się tam przeniosłam, żeby studiować prawo.

Wykonałem w myślach szybkie dodawanie, ale wynik się nie zgadzał.

– Nie powinnaś zaczynać teraz ostatniego roku?

– Zdobyłam dyplom rok wcześniej. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała pokazać, że to nic takiego. Od razu jednak uciekła wzrokiem, wpatrując się w swoją szklankę o sekundę zbyt długo. Wiedziałem, że coś było na rzeczy i raczej miało to negatywny wydźwięk. – W każdym razie Margo pochodzi z Savannah i chciała urządzić wieczór panieński w takim miejscu, żeby jej siostry nie miały za daleko, bo samo wesele odbędzie się w przyszłym miesiącu w Syracuse. Wylatujemy jutro rano.

– I akurat tak się złożyło, że na całe dwanaście godzin znaleźliśmy się w tym samym miejscu w tym samym czasie. – Nie potrafiłem oderwać od niej oczu. Starłem się zanotować w pamięci każdy szczegół jej pięknej twarzy. Tu i ówdzie można było dostrzec subtelne zmiany będące rezultatem upływu dwóch i pół roku. Poza tym wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. – To dopiero przypadek.

– Szczęśliwy traf – dodała z uśmiechem, co przemówiło bezpośrednio do mojego penisa. Gdyby nie okoliczności, bez wahania zaprosiłbym ją na randkę. Kłopot w tym, że mieszkała osiemset kilometrów stąd, a mnie właśnie wysyłano na zagraniczną misję.

– Nie chciałem cię zostawiać. – Słowa same popłynęły z moich ust. Izzy zrobiła wielkie oczy.

– W szpitalu – dopowiedziałem. – Chciałem zostać, dopóki się nie wybudzisz. Upewnić się, że wszystko z tobą dobrze. Ale przyjechali po mnie z komendy uzupełnień.

– Wiem, Serena mi powiedziała. – Izzy westchnęła. – Nie mogłam przypomnieć sobie, jak się nazywasz. Wszystko było trochę zamglone przez to wstrząśnienie mózgu. Ze swojej kartoteki odszyfrowałam imię *Nathaniel*. Swoją drogą, bazgrzesz jak kura pazurem. A potem trafił do mnie twój plecak i pod malutką klapką znalazłam podpis właściciela – *N. Phelan*. Linie lotnicze nie chciały udzielić mi żadnych informacji, sprawdzałam w internecie, ale... nie istniejesz w sieci. Żadnych socjali. Kompletnie nic.

– Jakoś nie przekonuje mnie obnoszenie się ze swoim życiem przed przypadkowymi osobami. – Szukała mnie. *Mnie*. Faceta, którym nie interesowali się nawet jego własni rodzice. Nie raczyli zjawić się ani na przysiędze po ukończeniu szkolenia dla rekrutów, ani gdy zostałem komandosem. Choć akurat mamy za to nie obwiniałem.

– Dorobiłeś się przynajmniej telefonu? – Uniosła w górę jedną brew.

Odchyliłem się w bok i wydobyłem komórkę z tylnej kieszeni spodni. Popchnąłem ją po blacie jako dowód. Izzy wzięła telefon do ręki i uśmiechając się szeroko, odblokowała ekran. Gdy stuknęła po nim palcami, bijące od niego światło rozjaśniało jej uśmiech.

– Proszę bardzo. – Oddała mi urządzenie. – Wysłałam do siebie esemesa. Będiesz mógł przesłać mi adres, na który mam zwrócić twoje rzeczy. Czy możemy teraz poruszyć temat twojego gustu muzycznego?

– Zatrzymaj wszystko. A co, masz coś do Panic! at the Disco? – zapytałem, wsuwając telefon z powrotem do kieszeni.

– W żadnym wypadku. Zaraziłeś mnie tą kapelą, ale Radiohead? Pearl Jam? Zauważyłeś, że lata dziewięćdziesiąte już minęły? – droczyła się.

– Chwila, chwila. Połowa kawałków na tym iPodzie jest z tego stulecia. Tak myślę. – Ściągnąłem brwi. – Cholera, już nie pamiętam.

– Za to ja tak. Potrafię wymienić każdą piosenkę. – Wzięła łyk ze szklanki.

– Co ty nie powiesz? – O rany, ależ dobrze było się uśmiechać. Tak naprawdę, szczerze, bez żadnego udawania. Była to jedyna rzecz, o której zapomniałem: jak swobodnie mi się z nią rozmawiało, kiedy siedzieliśmy w opóźnionym samolocie czekającym na swoją kolej na pasie startowym.

– Panic! at the Disco, *Northern Downpour* – zaczęła, unosząc kciuk. – Radiohead, *Creep*. – Podniosła drugi palec. Następnie wyliczyła każdą jedną piosenkę. Aż trudno było mi w to uwierzyć.

– Który utwór najbardziej ci się spodobał? – zapytałem.

– *Northern Downpour*. – Uśmiechnęła się. – Pamiętam, że to robiłeś. Zadawałeś pytania, żeby mnie czymś zająć.

– A może po prostu chciałem cię lepiej poznać.

– W porządku. Ale w takim razie niech to działa w obie strony. Która piosenka jest twoja ulubiona?

– Jak na ironię, ta sama. *Northern Downpour*.

Spędziliśmy tak następnych parę godzin, rozmawiając o muzyce i książkach. Opowiadała o tym, jak radziła sobie na studiach. W rewanżu zdałem jej relację z zajęć, na które chodziłem w ciągu roku, gdy akurat nie ganiałem po afgańskim piachu.

Uchylałem się od odpowiedzi na wszelkie pytania dotyczące wyjazdu na misję. Mimo że Izzy podzieliła się ze mną wieloma szczegółami na temat swojego życia, w tym przypadku musiałem złamać niepisaną zasadę wzajemności. Nie chciałem, żeby wspomnienia z tamtego chujowego roku odebrały mi choćby sekundę z czasu spędzanego w jej towarzystwie.

Godziny mijały nieubłaganie. Gdy wszyscy byli już gotowi, żeby się zbierać – wszyscy z wyjątkiem nas – z ciężkim sercem zmusiliśmy się do rozejścia się każde w swoją stronę. Na pożegnanie mocno ją przytuliłem. Dziewczynę, z którą przeżyłem niewiarygodne chwile.

Dziewczynę, dla której dałbym sobie rękę uciąć, żeby tylko mieć okazję się z nią umówić.

– Leć jutro bezpiecznie, okej? Tym razem nie będę mógł cię wyciągnąć z samolotu.

– Postaram się. – Westchnęła i odwzajemniła uścisk, przylegając do mnie tak idealnie, z perfekcją, która nie istniała dotąd w moim świecie. – A ty wróć stamtąd żywy.

– Postaram się. – Oparłem brodę na jej głowie i przymknąłem oczy, wdychając zapach będący mieszanką słonego powietrza, cytrusów i perfum, których nie potrafiłem rozpoznać, ale których już nigdy miałem nie zapomnieć.

Czułem się, jakby Izzy zabrała ze sobą brakujący fragment układanki, odnaleziony przeze mnie w chwili, gdy ujrzałem ją wcześniej tego wieczoru. Opuściła bar ze swoimi koleżankami, kierując się w stronę wynajętego domku letniskowego, o którym mi wspominała.

Już prawie zniknęła mi z oczu, kiedy Torres i Rowell wyłonili się ze środka po opłaceniu rachunku przy barze.

– Kolesi! – wykrzyknął Fitz. – Minąłeś się z Laską z Rozbitego Samolotu!

– Co? – Torres spojrzał na mnie, po czym natychmiast podążył za moim wzrokiem.

– To była Izzy. – Nie spuszczałem z niej oczu, dopóki nie skręciła za rogiem.

– Chrzaniisz! – Torres zrobił wielkie oczy. – Przegapiłem jedyną prawdziwą Isabeau? Widziałem cię na tarasie, ale nie chciałem przeszkadzać w podrywie... – Pokręcił głową. – To była naprawdę ona?

– Naprawdę ona. – Potaknąłem.

– Jaki rozbity samolot? Co wy pierdolicie? – dopytywał Rowell, gdy szliśmy do auta.

Opowiedziałem im całą historię, odwożąc połowę towarzystwa z powrotem do bazy jako niepijący ochotnik. Reszcie szoferował Fitz.

Minęło dobrych parę godzin, zanim udało mi się zasnąć, a kiedy już odpłynąłem, śniłem o niej. Żadnego samolotu. Żadnej rzeki. Ani jednej karetki. Tylko ona.

Następnego ranka, akurat gdy skończyłem biegać, zadzwonił telefon. Nie rozpoznałem kierunkowego. Odebrałem, ciężko dysząc po czternastu pokonanych kilometrach.

– Halo?

– Nate?

Na mojej twarzy momentalnie zagościł szeroki uśmiech.

– Izzy?

– Tak, to ja. – Zaśmiała się nerwowo. – Słuchaj, nie wyjeżdżasz jeszcze dzisiaj, prawda?

– Nie. – Spojrzałem na spakowane kartony, gotowe do odniesienia do magazynu, ustawione jeden na drugim w rogu mojego pokoju w koszarach. – Czemu pytasz? Wszystko w porządku? – Przekładając komórkę z ręki do ręki, zdjąłem koszulkę i rzuciłem ją na stertę ciuchów przeznaczonych do wieczornego prania, ostatniego przed wylotem.

– Nie wsiadłam do samolotu.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NATHANIEL

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

Ledwo przełożyłem kamizelkę kuloodporną przez głowę i zapiąłem rzepy po bokach, gdy rozległo się trzykrotne łomotanie w drzwi mojego pokoju. Kiedy je otworzyłem, po drugiej stronie czekała na mnie wściekła jak diabli kobieta.

– Co to ma, do cholery, znaczyć, że nie jadę z tobą?! – Izzy krzyczała mi prosto w twarz ze zwiniętymi w pięści dłońmi opartymi na biodrach. Ubrała się, jakby czekała ją kolejny dzień w biurze. Miała na sobie czarne Iniane spodnie i bluzkę z odkrytymi ramionami. Do tego buty na obcasach, na których widok tylko się uśmiechnąłem. A te perfumy? Jak Boga kocham, Izzy była jedyną znaną mi kobietą, która potrafiła spryskać się chanelem w ogarniętym wojną kraju.

– A skąd pewność, że ja się gdziekolwiek wybieram? – zapytałem, oparłszy jedną rękę na framudze, a drugą na klamce.

Podniosła wzrok, a gdy jej spojrzenie zatrzymało się na moim wyposażeniu taktycznym, zmarszczyła brew.

– Ponieważ sierżant Orange, Blue, czy jakkolwiek się niby nazywa, poinformował mnie, że dzisiaj to on będzie pełnił wartę przed drzwiami do sali konferencyjnej, a oboje doskonale wiemy, że nie zamieniałbyś się z inną niańką, gdybyś nigdzie się nie wybierał! – W jej oczach trzaskał ogień.

– Sierżant Black, to po pierwsze. Po drugie nie będziemy się chyba wyklócać na korytarzu jak para nieokrzęsanych studenciaków?

– Proszę bardzo. – Schyliła głowę, żeby przejść pod moim ramieniem, i wmaszerowała do środka. Rozejrzała się po pokoju z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Nie był to apartament, jakim dysponowała Izzy, tylko zwykła jedyńka, za to z własną łazienką, co z mojego punktu widzenia stanowiło całkiem wygodne zakwaterowanie, niewiele gorsze od mojego lokum w Stanach. W warunkach afgańskich był to prawdziwy Ritz-Carlton.

Zdawszy sobie sprawę, że nie uda mi się pozbyć Izzy z mojego pokoju bez wszczynania jeszcze większej awantury, westchnąłem bezradnie i zamknąłem za sobą drzwi, żeby zapewnić nam choć trochę prywatności.

– Myślałem, że chciałaś wydostać stąd Serenę. Musiałem pociągnąć od chuja sznurków, żeby w ogóle zorganizować ten lot i sprawdzić, czy ona nadal tam jest. Dlatego poprosiłem sierżanta Blacka, żeby miał was na oku, skoro nikt z delegacji nie ma dzisiaj żadnych spotkań.

Mieliśmy wyruszyć w drogę – a raczej wzbić się w powietrze – dopiero następnego dnia, ale biorąc pod uwagę sytuację w kraju, miałem nadzieję, że uda mi się przemówić Izzy do rozsądku i odstawić ją do samolotu, jeśli przywiozę ze sobą Serenę.

– Jadę z tobą – oznajmiła stanowczo, unosząc wysoko podbródek.

– Nie ma żadnego powodu, dla którego miałbym cię ze sobą zabrać. – Pokręciłem głową. – Wykluczone.

– Nie będziesz mi mówił, dokąd mogę, a dokąd nie mogę pojechać!

Zrobiłem krok do przodu, tak że czubki podeszew moich butów dotknęły obuwia Izzy.

– Dokładnie na tym polega moja rola jako szefa twojej ochrony. Pamiętaj, że zgodziłaś się słuchać wszystkich rozkazów, gdy jesteśmy w terenie. – Wskazałem ręką na drzwi. – Sceny możesz urządzać tylko tutaj.

Jej oburzenie sięgnęło zenitu.

– Nie urządza scen, Nathanielu Phelanie.

– Owszem. – Kącik moich ust lekko drgnął. – Czy ci się to podoba, czy nie, Isabeau, jesteś starszą asystentką biura senatorskiego, a to

oznacza, że dopóki nie ma konkretnego powodu, żebyś opuszczała bezpieczne mury ambasady, nie zamierzam robić z ciebie tarczy strzelniczej.

– A co, jeśli mam powód?

– Nie masz. Zmieniłem rano plan podróży, gdy tylko odebrałem raport, z którego wynika, że Kunduz może upaść jeszcze dzisiaj. – Zaledwie parę godzin wcześniej Izzy leżała zwinięta w kłębek na moich kolanach, o czym zresztą z desperacją starałem się zapomnieć. Popełniłem błąd, ale gdy tylko zobaczyłem ją klęczącą na podłodze, trzęsącą się jak liść na wietrze, wygrał odruch. Jak zawsze, gdy chodziło o nią. – Nie ma opcji, żebyś odbyła to spotkanie.

Przełknęła ślinę i pokiwała głową.

– Doceniam troskę, choć ani trochę mi się to nie podoba. – Przymknęła oczy i potarła palcem nasadę nosa.

– I prawdę mówiąc, byłbym dużo spokojniejszy, gdybyście wszyscy zapakowali swoje wyglancowane tyłki na pokład najbliższego samolotu i odpuścili sobie całą tę delegację. Szkoda ryzykować, Izzy – przekonywałem błagalnym tonem.

– Mamy swoje obowiązki – odparowała. – Senatorka Lauren będzie tu już w przyszłym tygodniu...

– Co jest błędem. – Cofnąłem się o krok, żeby odpocząć chwilę od cudownej słodyczy jej perfum, która dokonywała bezlitosnej inwazji na moje płuca. – Ten pieprzony kraj rozsypie się dużo szybciej, niż przewidywano.

– Według raportów mamy od sześciu do dwunastu miesięcy – upierała się, choć jej zaciśnięte usta nie pozostawiały wątpliwości. Wiedziała, że nie przesadzałem.

– Jakoś bardziej ufam temu, co widzę na własne oczy w miejscu, które zdążyłem całkiem nieźle poznać, niż optymistycznym założeniom kogoś siedzącego za biurkiem na drugim końcu świata. A to, co się tam dzieje – wskazałem na okno – wcale *nie napawa* optymizmem.

– Nie jestem głupia, Nate. Dobrze to wiem. – W jej oczach rozblęsnęła panika. – Ale gdzieś tam jest Serena.

– A ja wiem, jak ona wygląda. Rzuciłem już temat ludziom w terenie, więc mam nadzieję, że zanim tam dotrę, ktoś zdąży ją

namierzyć. Wrócę przed kolacją.

– Może cię nie rozpoznać – wypaliła.

– Och, daj spokój, to najlepsze, co potrafisz wymyślić? – Uniosłem zaczepnie brew, a ona opuściła wzrok, z którego jednak nie dało się odczytać „Dobra, wygrałeś” ani „W porządku, poddaję się”. Nie, jej zmarszczone czoło sugerowało coś zgoła odmiennego. Czuła się... winna. – Co zrobiłaś, Isabeau?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Mazar-i-Szarif nadal jest bezpieczne – rzuciła.

Nie do wiary!

– Chyba cię do reszty porąbało, jeśli naprawdę tak sądzisz. Wczoraj talibowie zajęli Szeberghan. Nasz zwiad donosi, że napierają nie tylko na prowincję Kunduz, ale też prowincje Sar-e Pol i Tachar. A co wszystkie te miejsca mają ze sobą wspólnego, Izzy?

– Nie będę siedzieć na dupie i czekać, aż wrócisz, być może z Sereną, być może bez niej. Trudno będzie ci ją przekonać do opuszczenia Afganistanu, ale ja sobie z nią poradzę. Samo odnalezienie jej nic nie da, jeśli nie wsadzimy jej do helikoptera – obstawała przy swoim, przy czym w jej głosie kryło się coś jeszcze... Nie mówiła mi wszystkiego.

– *Każda* z tych prowincji leży na północy – powiedziałem, lekceważąc jej argumentację. Być może byłem ostatnim dupkiem, ale nie miałbym problemu z tym, żeby skrępować Serenę i przerzucić ją sobie przez ramię, jeśli miało to sprawić, że Izzy jak najszybciej zwinie się z tego kraju. – Jeżeli Samangan upadnie, prowincja Balch, razem z Mazar-i-Szarif, zostaną odcięte. Rozumiesz?

– Rozumiem, że im dłużej Serena tam zostanie, tym większe jest ryzyko, że już nigdy się stamtąd nie wydostanie, dlatego zrobiłam to, co musiałam zrobić.

Zmieniła plan spotkań. Wyczytałem to z jej frustrująco pięknych oczu. Dokładnie w chwili, gdy zdałem sobie z tego sprawę, ze słuchawki w moim uchu odezwał się głos Webba.

– Sierżancie Green.

Nacisnąłem guzik, żeby włączyć mikrofon.

– Mówi Green.

– Twój wylot został opóźniony, żeby delegaci mieli czas na zbiórkę, skoro plany właśnie uległy zmianie. W południe spotykają się z urzędnikami i grupą amerykańskich cywilów w Mez.

Rozmawiając z przełożonym, cały czas patrzyłem Izzy prosto w oczy.

– Uważamy, że to bezpieczne, sir?

– Rozkazy przyszły bezpośrednio z biura senatorki Lauren. Wygląda na to, że ma wśród tych ludzi swoich wyborców. Mamy ich ewakuować.

– Przyjąłem. – Kurwa. Jebana. Mać! Wyciszyłem mikrofon i nachyliłem się do Izzy. – Wyrolowałaś mnie.

– Tak – szepnęła, przesuwając językiem po dolnej wardze, ewidentnie zdenerwowana. – Ale uratujemy...

– Nie – uciąłem. – Nie chcę tego słuchać. Jeszcze raz wywiniesz taki numer i wypisuję się z interesu. – Ryzykowała swoim życiem, a myśl o tym przeżerała się przez moje żyły niczym kwas. Serena zrobiłaby dla niej dokładnie to samo, tyle że nie kochałem z całego serca Sereny, tylko Izzy. Zawsze liczyła się wyłącznie Izzy. – Albo mi zaufasz, albo to się nie uda.

Chciałem wycofać te słowa, gdy tylko je wypowiedziałem, ponieważ to właśnie dlatego nam się nie udało. A w zasadzie jej i mi, bo *nas* tak naprawdę nigdy nie było. Tego, co powstało między Izzy a mną, nie dawało się jasno zdefiniować.

– Ja tylko... – zaczęła.

– Musisz mi zaufać. Inaczej nic z tego nie będzie – powtórzyłem, a ona potaknęła.

– Przepraszam.

– Lepiej włóż inne buty. – Otworzyłem drzwi i wskazałem ręką korytarz.

Dwie godziny później zajmowaliśmy miejsca w jednym z czterech blackhawków lecących do Mez, którym miał towarzyszyć chinook.

– Czy ten chinook nie będzie nas spowalniał? – wydarł się Holt, przekrzykując łopocące wirniki.

– Jest szybszy od nas – odkrzyknął Kellman, gdy sprawdzał pas swojego podopiecznego. Oczywiście gdy tylko podjęto decyzję o wylocie, troje pozostałych delegatów też postanowiło wybrać się w teren, żeby „ustalać fakty”. Politycy mieli brzydki zwyczaj posyłania

swoich podwładnych w miejsca, do których sami nie ryzykowałiby podróży.

Izzy przypięła się na miejscu naprzeciwko mnie. Jej ruchy były swobodne, nie zdradzały strachu przed lotem. Siedząc przede mną, w pełni opanowana, w niczym nie przypominała przygniecionej wspomnieniami kobiety, którą podnosiłem nad ranem z podłogi. Patrzyłem na wytrawną profesjonalistkę, nie na przestraszoną dziewczynę ubraną w spodenki od piżamy i podkoszulkę. Gdy jednak po chwili zacisnęła mocno palce na siedzisku, dostrzegłem pierwsze pęknięcia w jej starannie utrzymywanej fasadzie.

Nachyliłem się i, tak jak poprzednim razem, wsunąłem jej do uszu swoje airpods. Nasze spojrzenia się spotkały i – niech to diabli! – przyspieszył mi puls. Jej oczy, tak samo przerażone i zarazem ufne jak wtedy, gdy dziesięć lat wcześniej trzymaliśmy się za dłonie w nurkującym ku ziemi samolocie, sprawiły, że przez chwilę poczułem się, jakby znowu była moja. Jeżeli jej reakcja na wczorajszy telefon była jakąś wskazówką, była związana z kimś imieniem Jeremy. Najwidoczniej *Jeremy* był dla niej wystarczająco dobry. Gwarantował stabilność. Pewnie miał też dość forsy, żeby udobruchać jej rodziców, jeśli sugerować się wielkością diamentu.

Dopisałem *Jeremy*'ego do listy typowych imion dla chujków z bractw studenckich, gdzie będą mu towarzyszyć Chad i Blake. Ale palant czy nie, to właśnie jego wybrała. Ja byłem tylko kołesiem gotowym polecieć dla niej do strefy działań wojennych. Nie miało znaczenia, ile czasu upłynęło, nadal nie potrafiłem odpuścić. To nie jej wina, że wciąż ją kochałem. Sam to sobie zrobiłem.

Podaliśmy Isabeau telefon, żeby mogła sama decydować, czego posłuchać. „Ty wybieraj” – powiedziała, bezgłośnie ruszając ustami, i oddała mi komórkę. Zalała mnie fala wspomnień słonecznych dni w Savannah. Z niespokojnym sercem zacząłem przesuwając listę utworów w poszukiwaniu odpowiedniej piosenki.

Śmigłowiec oderwał się od ziemi akurat w chwili, gdy puściłem akustyczną wersję *This Is Gospel*. Izzy otworzyła szeroko oczy. Tuż przed refrenem odwróciła wzrok. Mimo że nie miałem swoich airpodsów, w myślach słyszałem każde słowo wokalisty proszącego, żeby ukochana pozwoliła mu odejść. Tak dobrze znałem ten kawałek. Należał do jej ulubionych numerów.

Rzecz w tym, że to ja byłem tym, który powinien odpuścić.

* * *

– Możemy poczekać jeszcze góra dziesięć minut – oznajmiłem Izzy, która omiatała wzrokiem wyludniające się tymczasowo przez nas okupowane pomieszczenie na lotnisku w Mazar-i-Szarif. Bolesne wyczekiwanie rysujące się na jej twarzy ścisnęło mnie za serce.

– Dziesięć minut to może być za długo – mruknął Torres, przechodząc obok mnie.

Nie miałem zamiaru ryzykować i zabierać Izzy do miasta ani gdziekolwiek dalej niż dwie minuty biegiem od lądowiska dla helikopterów. Amerykanie i miejscowi kwalifikujący się do otrzymania specjalnych wiz imigracyjnych zebrali się tu w ciągu ostatnich trzech godzin, omawiając zasady i warunki ewakuacji. W tym samym czasie przedstawiciele lokalnych władz złożyli raporty członkom senatorskiej delegacji.

Kilkadziesiąt osób, dysponujących już wizami i gotowych do natychmiastowej ewakuacji, czekało na pokładzie chinooka. W sali zostało tylko paru spóźnialskich, którzy wypełniali przywiezione przez Izzy i pozostałych delegatów dokumenty w celu przyspieszenia procesu wydawania wiz.

– I nie pozwolisz mi się rozejrzeć? – zapytała ponownie Izzy z przygasającą nadzieją w oczach.

– Wyjście do miasta i wykrzykiwanie imienia Sereny z dachów może przynieść nie taki skutek, jakiego oczekujesz. – Nie cierpiałem jej za tę naiwność, a jednocześnie byłem za nią wdzięczny. Dowodziło to, że dobrze wykonywałem swoją robotę, chroniąc ją przed horrorami wojny. Dopóki się tu nie zjawiała, żeby sama ich poszukać. – Według miejscowych kontaktów Serena wie, że jest tu ktoś, kto chce się z nią widzieć.

– Ale nie mówiliście, że chodzi o mnie? – Izzy nagle przeniosła na mnie spojrzenie z pleców opuszczającego pomieszczenie cywila, któremu właśnie pomogła. Dzielił nas blat stołu, przy którym siedziała.

– Pytasz, czy rozgłaszałem po całej okolicy, że przylatuje tu asystentka amerykańskiej kongresmenki, żeby szukać igły w stogu

siana? Nie, nie zrobiłem tego. Bo wolę cię żywą.

Spiorunowała mnie spojrzeniem i odsunęła się na krześle, którego nogi zaskrzypiały na posadzce wyłożonej linoleum. Kątem oka odnotowałem reakcje wszystkich osób nienależących do mojej drużyny ani do delegacji Izzy. Ostatnich kilku cywilów kierowało się już w stronę drzwi, bo Graham właśnie przystąpił do zamykania interesu.

– Nie zostawię jej tutaj – syknęła Izzy, starając się być jak najciszej.

Zerknąłem wymownie na stojącego u jej boku tłumacza. Mężczyzna wycofał się o parę kroków, zostawiając nam więcej przestrzeni. Za to Torres kręcił się w pobliżu. Jak zawsze, gdy wyczuwał, że mogę wybuchnąć.

– Będziesz musiała, jeśli nie zjawi się w ciągu dziesięciu minut. – Nachyliłem się do niej. – Obiecałaś, że będziesz grzeczna, i trzymam cię za słowo. Odlatujemy za dziesięć minut bez względu na to, czy Serena będzie na pokładzie, czy nie.

Twarz Izzy stężała. Zmrużyła oczy.

– Żebym przez następne... nie wiem jak długo, zastanawiała się, czy w ogóle żyje? Wciąż zamęczając się myślami, czy mogłam powiedzieć albo zrobić coś, co ściągnęłoby ją do domu? Nie, Na... – Skrzywiła się, ale niemal natychmiast odzyskała panowanie nad sobą. – Sierżancie Green, nie zrobię tego, nie powtórzę tego błędu.

– Chyba nie mówi już o swojej siostrze – szepnął Torres, nim się oddalił.

– Słuszna uwaga – odparłem, a Izzy uniosła swój drobny, lecz jakże uparty podbródek. – Panno Astor – zacząłem od początku, zniżając głos, w pełni świadom kręcących się wokół ludzi – nie kontroluje pani decyzji podejmowanych przez drugą osobę, jak również nie ponosi pani odpowiedzialności za konsekwencje dokonanych przez tę osobę wyborów. – Już sam fakt, że dotarliśmy tak daleko bez odbywania tej rozmowy, zakrawał na cud. Za cholerę nie miałem jednak zamiaru bawić się w żaden szyfr czy inne niedopowiedzenia, zresztą nie było to choćby w minimalnym stopniu odpowiednie miejsce na taką dyskusję.

– Jesteś pewien? – Objęła się rękoma w pasie, uważając, by nie pociągnąć długiej jedwabnej chusty z nadrukiem, która zakrywała jej

głowę. – Bo miałam kilka lat, żeby się nad tym dobrze zastanowić, i jestem przekonana, że gdybym tylko spojrzała na *tę osobę* i powiedziała „proszę, wracaj do domu”, może ten ktoś by mnie posłuchał. – Szukała wzrokiem mojego spojrzenia, gdy usiłowałam pozbierać swoje serce z podłogi, na którą zostało brutalnie ciśnięte.

Nigdy o to nie poprosiła. Nie powiedziała tego otwarcie. Z drugiej strony ani razu nie dałam jej do zrozumienia, że mógłbym zostać.

– Hej, Isa, gotowa do powrotu? – zapytał Holt, podchodząc do nas. Zatrzymał się i zerknął krótko na Izzy, potem na mnie. Jego idealnie wyregulowane brwi wygięły się w dwa łuki. – Przeszkodziłem?

– Nie – odpowiedziałem.

– Tak – wypaliła Izzy.

– Okej... Dobra, to może my z Bakerem i Turnerem już polecimy – oznajmił, powoli się wycofując.

Kellman zagwizdał, zaganiając Holta do drzwi. W pomieszczeniu pozostali tylko Graham i paru innych operatorów. Gdybym nie obiecał jej tych dziesięciu minut, Izzy siedziałaby już przypięta w blackhawku szykującym się do startu.

– Czy kiedykolwiek o mnie myślałeś? – dociekała, znizywszy głos do szeptu.

Zacisnąłem szczękę, walcząc z przemożną chęcią, żeby wyjawić jej prawdę. *Każdego pierdolonego dnia.*

– To podchwytliwe pytanie – odpowiedziałem wreszcie.

Izzy zamrugła.

– Nie w tym rzecz. Czy choć raz pomyślałeś, jakie to uczucie czekać *latami* i zastanawiać się, czy walczysz w jakimś obcym kraju, czy może już... nie żyjesz? – Ostatnie dwa słowa wypowiedziała zduszonym głosem. – Czy masz w ogóle pojęcie, ile razy płakałam tak długo, aż usnęłam z wycieńczenia, przerażona myślą, że zostałeś gdzieś pochowany? Tym, że nawet nie wiedziałabym, gdzie szukać twojego grobu?

Kurwa. Mój żołądek zawiązał się w ciasny supeł. Wypuściłem powoli powietrze, mając pełną świadomość, że mój zespół robi, co może, żeby zapewnić nam trochę przestrzeni.

– To nie jest właściwy moment.

– Nigdy nie było właściwego momentu – zripostowała. – To zawsze było problemem, prawda? Miło, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

Prosisz, żebym zignorowała – wskazała na mnie, potem na siebie – *to wszystko*, a potem odpieprzasz akcję z tą piosenką w helikopterze? Przykro mi, *sierżancie Green*, ale w przeciwieństwie do ciebie nie każdy potrafi tak po prostu odejść i nawet nie obejrzeć się za siebie. Ale przecież powierzono ci kolejną misję do wykonania, mam rację?

Graham, stojący na środku pokoju, uniósł nagle brwi, ale gdy zgromiłem go wzrokiem, odwrócił się do nas plecami.

– Wygląda na to, że chyba nieźle na tym wyszłaś – wyszeptałem, spoglądając wymownie na jej pierścionek.

Izzy przełknęła ślinę i wsunęła lewą dłoń za łokieć, żeby ukryć diament na palcu. Miała przy tym na tyle przyzwoitości, żeby okazać... skrucę?

– Każdego dnia – odezwała się cicho. – Każdego cholernego dnia googlowałam twoje nazwisko, sierżancie Green, bojąc się, że w końcu trafię na nekrolog. Nie zapominaj, że byłeś pierwszym hasłem, jakie ustawiłam w Google Alert. Więcej tego *nie zniosę*, a zatem nie ma mowy, żebym musiała to powtarzać z Sereną.

Odwróciłem wzrok, próbując nabrać powietrza mimo żeber boleśnie zaciskających się na moich płucach. To powiadomienie uratowało mnie kiedyś przed obłędem. *Ona* uratowała mnie przed utratą zdrowia psychicznego. Zawdzięczałem jej tak wiele, że do końca życia nie będę w stanie się jej w pełni odwdzięczyć. Mimo to nie zamierzałem dać się wypatroszyć poprzez rzucenie łączących nas relacji na stół sekcyjny. Pewnych rzeczy nigdy nie będę w stanie jej powiedzieć, do niektórych spraw za nic w świecie nie wrócę. Nie pisałem się na powtórkę z rozrywki tylko po to, żeby Izzy mogła zamknąć pewien etap swojego życia, zaspokoić potrzebę domknięcia, o którym pitołił każdy psycholog. Ale to? Tyle akurat mogłem jej dać.

– Nigdy nie zmieniłem upoważnienia – powiedziałem łagodnym tonem, zniżając głos tak bardzo, że nikt poza nią nie mógł mnie usłyszeć, bo nie wiedzieć czemu, prawie zaczęliśmy do siebie krzyczeć.

– Nie rozumiem? – Zamrugwała.

– Niczego nie zmieniałem w papierach. – Pokręciłem głową. – Gdyby cokolwiek mi się stało, ktoś by cię o tym poinformował.

Prawdopodobnie z pominięciem detali dotyczących tego gdzie, jak i dlaczego. Ale powiadomiono by cię, gdybym zginął. Pewnie odszukanie cię zajęłoby im parę dni, bo ostatnim twoim adresem, jaki znałem, był ten nowojorski.

Wyraz jej twarzy złagodniał, ale bijący z jej oczu smutek ciął mnie na plasterki z chirurgiczną, śmiertelną precyzją.

– Gdy wrócisz do swojego prawdziwego życia, pamiętaj o jednym – ciągnąłem, a moje dłonie mimowolnie zaciskały się w pięści na myśl o olbrzymim diamentcie na jej lewej dłoni. – Brak wiadomości to dobra wiadomość. Chyba że wołałabyś, żebym to zmienił, skoro niedługo pewnie nie będziesz się już nazywać Astor, a twój narzeczony mógłby się niełicho zdziwić, że zostajesz powiadomiona o...

– Nie. – Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy. – Nie zmieniaj tego. To znaczy... oczywiście dopóki nie znajdzie się ktoś, kto powinien wiedzieć więcej ode mnie. – Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę i uciekła spojrzeniem. Po chwili, niespiesznie odwracając wzrok, z powrotem spojrzała mi w oczy. – Czy jest ktoś, komu należy się taka wiedza?

– Proszę tędy – odezwał się Elston, otwierając szeroko drzwi wejściowe, czym uchronił mnie przed odpowiedzią na niezręczne pytanie Izzy.

– Dziękuję, sierżancie Rose – zza jego pleców dobiegł kobiecy głos.

Głos, który znałem. Gdy obracałem głowę w stronę wejścia, serce na sekundę przestało mi bić w nadziei, że to rzeczywiście podziałało.

Izzy zerwała się z miejsca. Nawet nie próbowałem jej zatrzymać, kiedy w pośpiechu mijiała stoły i przemykała pędem obok Grahama. Elston ledwo zdążył uskoczyć na bok, gdy rzucała się przyproowanej przez niego kobiecie na szyję.

– Serena!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

IZZY

Tybee Island, Georgia
Czerwiec 2014

– W życiu nie posądziłabym cię o zamiłowanie do ciasteczek i śmietanki – stwierdziłam, oblizując podwójną porcję lodów waniliowo-orzechowych. Włóczyliśmy się z Nate’em bez celu po Tybee. W ramach walki z bezwzględnością wilgotności powietrza włosy zebrałam w bezładny kok, wystawiając tym samym szyję i ramiona na promienie czerwcowego słońca.

– Ja z kolei nie posądzałabym cię o jedzenie lodów o dziesiątej rano – odparł, czarując mnie tym przeklętym dołeczkiem. A jego oczy? Rany boskie, były dokładnie tak hipnotyzujące, jak zapamiętałam.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Gdy zamieniał się ze mną miejscami, żeby iść częścią chodnika bliżej jezdni, palcami musnął dolną partię moich pleców. Jeśli mowa o seksownych gestach pozbawionych wyraźnego seksualnego podtekstu, ten oceniałam na zajebicie mocną dwunastkę w dziesięciostopniowej skali. Co ani trochę nie uspokajało mojego tętna.

Poprzedniego wieczoru, w chwili gdy go rozpoznałam, coś we mnie rozkwitło. Nieważne, jak bardzo chciałabym na powrót stać się tą Isabeau, którą byłam jeszcze dzień wcześniej, nie potrafiłam. Nie w obliczu zagadkowego, chaotycznego, bezsensownego poczucia, że byłam w jakiś sposób związana z tym mężczyzną.

Z mężczyzną, do którego zadzwoniłam przed dwiema godzinami z lotniska, siedząc na walizce w hali odlotów pod czujnym okiem Margo, zamartwiającej się, że zostanie wystawiona do wiatru. Sama w ogóle się tego nie obawiałam. Nawet nie przeszło mi to przez myśl. Nie zostawił mnie w samolocie, nie porzucił mnie w rzece. Nate dał mi się wystarczająco dobrze poznać już dwa i pół roku wcześniej. Bałam się za to, że swoją porywcznością pokrzyżowałam mu szyki.

– Na pewno nie popsułam ci planów? – Spojrzałam na niego ponad lodami wystającymi z wafelka. – Chyba nie myślałam zbyt racjonalnie, kiedy przebukowałam rano swój lot. Po prostu stałam tam, patrząc, jak pozostałe dziewczyny oddają bagaż i... Nie mogłam. – Boże, zaczynałam paplać i już nic nie mogło zatrzymać potoku słów. – Nie mogłam wyjechać, jeśli istniała jakakolwiek szansa, żeby spędzić z tobą choćby pięć minut. Wiem, że to brzmi trochę – zmarszczyłam nos – napastliwie. Co gorsza, nie pomyślałam nawet, żeby zapytać cię wczoraj, czy może z kimś się spotykasz, bo przecież czemu miałbyś się z kimś nie spotykać? Być może masz dziewczynę, a ja weszłam ci w paradę...

– Izzy – wtrącił, unosząc brwi skryte pod daszkiem czapki Saint Louis Blues i obejmując dłonią moje nagie ramię. Cholera, jakie to było przyjemne. – Nie mam dziewczyny. Gdybym miał, powiedziałbym ci o tym wczoraj i nie byłoby mnie tu dzisiaj. – Kącik jego ust ułożył się w delikatny uśmiech. Poczułam mrowienie na udach. – Albo nie miałbym już dziewczyny.

Czy to znaczyło, że jego też coś do mnie przyciągało?

– A więc nie popsułam ci planów nagłym zwrotem akcji?

Zaprzeczył kręceniem głowy.

– Nie mógłbym wyobrazić sobie lepszego ostatniego dnia w Stanach. O ile odczepisz się od moich lodów ciasteczkowo-śmietankowych. Tym bardziej że sama masz w tej kwestii gust osiemdziesięcioletniej babci.

– Wcale nie – prychnęłam, stając w obronie swojego ulubionego smaku lodów.

Ostatni dzień w Stanach. Już nazajutrz wylatywał. Zrobiło mi się ciężko na sercu.

– Wanilia z orzechem – droczył się. – Przecież to relikwiarz z końca dziewiętnastego wieku. Prababka wszystkich lodów. – Odgryzł z drugiej strony kawałek mojego deseru.

– To klasyka gatunku. – Obliziałam swoje lody.

W jego oczach, śledzących ruch mojego języka, zamigotał płomień.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. – Pokręcił z niedowierzaniem głową, wpatrując się we mnie zapewne w taki sam sposób, w jaki ja patrzyłam na niego, z nabożną wręcz czcią.

– Mam tak samo. – Odwróciłam się i ruszyliśmy z miejsca, kontynuując spacer wzdłuż malowniczej uliczki.

– Siedzę w okolicy od kilku lat, więc moja obecność tutaj nie jest aż takim zaskoczeniem. – Wziął kolejny kęs lodów, tym razem własnych. – Ale to, że trafiliśmy na siebie akurat tu, to już nadzwyczajny zbieg okoliczności.

Kto tak robił? Kto jadł lody, odgryzając je po kawałku?

Ktoś, kto nie ma czasu czekać, aż się rozpuszczą.

Wyrzuciłam niedojedzone lody, bo zamawiając swoją porcję, ewidentnie kupowałam je oczami, z pominięciem zdrowego rozsądku. W oddali dostrzegłam księgarnię.

– Nadal brniesz przez swoją listę książek?

– Powoli. – Znowu wgryzł się w swój deser, miażdżąc wafelek. – Trudno znaleźć czas na czytanie między nauką i użeraniem się z ludźmi próbującymi mnie zastrzelić, ale czasem uda mi się wyszarpać wolną chwilę.

Zastygłam w pół kroku. Nate odwrócił się i spojrzał spod ściągniętych brwi w moje szeroko otwarte oczy.

– Cholera, przepraszam. Pewnie nie przywykłaś do słuchania takich rzeczy.

– W porządku. – Zmusiłam się do uśmiechu. Ale wcale nie było w porządku. Ani trochę. Myśl o tym, że ktoś mógłby go zastrzelić, była... wprost niepojęta.

– Wcale nie. Zapomnij, że to powiedziałem. – Wyrzucił nędzne resztki swoich lodów do pobliskiego kosza na śmieci i rozejrzał się wokół. – Mam pewien pomysł. – Wyciągnął do mnie dłoń, którą chwyciłam.

– Prowadź.

* * *

Dwie godziny później siedzieliśmy na podwójnej drewnianej huśtawce na plaży w północnej części miasteczka. Nate delikatnie nami bujał, a ja leżałam z nogami wyciągniętymi ponad jego kolanami, ze stopami opartymi na poręczy. Druga poręcz, ta pod moimi plecami, wrzynała mi się nieco między żebra, gdy wertowałam *Obcą*, zakreślając swoje ulubione fragmenty wściekle żółtym flamastrem. To samo robił Nate z egzemplarzem *Their Eyes Were Watching God*.

Ani trochę mi to nie przeszkadzało. Nie przypomiinałam sobie, żebym kiedykolwiek w swoim dwudziestojednoletnim życiu spędziła wspanialsze chwile.

– Nie do wiary, że wybrałaś akurat tę książkę – mruknął, zerkając na mnie, nim pociągnął zakreślaczem grubą kreskę w poprzek jednej ze stron kartkowanej przez siebie powieści.

Pomysł Nate'a był... przeuroczy. Zabrał mnie do księgarni, gdzie miałam wybrać jedną ze swoich ulubionych książek, której moim zdaniem jeszcze nie miał okazji czytać. Sam zrobił to samo, po czym kupił obie książki, dorzucając do tego dwupak żółtych flamastrów.

– Odrobina romansu ci nie zaszkodzi – rzuciłam z uśmiechem. Lekka morska bryza zaszleściła kartkami opasłego wydania w miękkiej okładce. – Poza tym właśnie kręcą serialową adaptację *Outlandera*. Premiera ma być chyba w sierpniu. Jeszcze mi podziękujesz.

– W sierpniu będę jeszcze na misji. – Gdy poprawiał trzymaną w rękę książkę i brzegiem dłoni musnął moje kolano, motyle w brzuchu zatrzepotały skrzydełkami. Zwracałam uwagę na każdą najmniejszą rzecz w jego zachowaniu, od subtelnie seksownego sposobu, w jaki zaginał daszek swojej czapki, po staranność, z jaką rozpylał mleczko do opalania na mojej skórze, żebym się nie spiekła na słońcu w dżinsowych spodenkach i górze od bikini, w które się przebrałam, gdy postanowiliśmy wybrać się na plażę. – A ty będziesz rozpoczynała zajęcia, prawda? – Przerzucił na następną stronę, przebiegając wzrokiem zamieszczony na niej tekst.

– No tak, w Georgetown – odpowiedziałam. Wyszukiwałam najbardziej romantyczne fragmenty do zakreślenia, próbując wyobrazić sobie minę czytającego je Nate'a. Miał być wtedy na drugim końcu świata.

– Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą z tego powodu. – Spoglądając na mnie spod daszka czapki, przechylił głowę lekko w bok. – Z tego, co się orientuję, to jedna z lepszych uczelni.

– To prawda. – Uniosłam rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem i wyraźniej go widzieć. – Oczywiście cieszę się, że mnie przyjęto. Po prostu... – Westchnęłam i przeniosłam wzrok na rodziny spędzające niedzielę na plaży.

Nate się poruszył, a jego dłonie na chwilę obramowały moją twarz, gdy wsuwał mi na głowę swoją czapkę.

– To na słońce.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się w reakcji na ten jakże miły gest i przesunęłam opuszkami palców po krawędzi daszku. – Ani razu nie włożyłam twojej bluzy – palnęłam. Cholera, trzeba było wziąć rano leki na ADHD. Był jednak weekend i miałam lecieć samolotem, poza tym tabletki zawsze psuły mi apetyt, a czasem lubiłam coś przekąsić, tak dla czystej przyjemności. Wyszło, jak wyszło, i teraz paplałam wszystko, co tylko ślina przyniosła na język.

– Powinnaś – odezwał się. – To znaczy nosić moją bluzę. Zresztą masz ją dłużej niż ja. To samo z plecakiem i iPodem. W zasadzie należą teraz do ciebie. – Na scenę wkroczył słynny dołeczek, a mój puls zerwał się do biegu. – I wiesz co? Oficjalnie przekazuję ci je na własność.

– Nie chcesz, żebym ci je odesłała? – Była to jedyna wymówka, jaka przyszła mi do głowy, która uzasadniałaby proszenie Nate'a o podanie swojego adresu. Zakładałam, że przez najbliższy rok, dopóki nie wróci do kraju, nie będą do niego dochodziły esemesy.

– Nie. I w sumie podoba mi się myśl, że miałabyś ją nosić. O ile nie jest zmaltretowana po kąpieli w rzece. – Zrobił minę udającą obrzydzenie. – Jest obleśna?

– Nie – zaśmiałam się. – O dziwo, wcale nie, choć białe elementy nie są już tak jasne, jak prawdopodobnie były kiedyś. Ale wszystko inne, co miałeś ze sobą, musiało ulec zniszczeniu, bo niczego więcej nie odesłali.

– Dostałaś z powrotem swoją torebkę?

Pokiwałam głową.

– Przyszła miesiąc po twoim plecaku. Miałam w niej dowód osobisty, co pewnie pomogło w identyfikacji.

– Pewnie tak. – Spojrzał z powrotem na książkę, ale jego flamaster zawisł nieruchomo nad papierem. – Nadal boisz się latać? – zapytał łagodnym tonem. – Zawsze zastanawiałem się, czy ten wypadek...

– Sprawił, że jestem jeszcze bardziej popieprzona? – podpowiedziałam, zakreślając wyjątkowo pikantny wers.

– Nie ująłbym tego akurat takimi słowami, ale skoro już o tym wspomniałaś... – Rzucił mi przepraszające spojrzenie.

– Nie latałam przez półtora roku – przyznałam. Ominęłam następny rozdział, żeby przejść od razu do moich ulubionych fragmentów. – Terapeuta miał sporo pracy. Z tym i z koszmarami. – Mimo rosnącej temperatury powietrza poczułam chłodne mrowienie, które za wszelką cenę chciało wspiąć się po moim kręgosłupie. – Ale dla obu problemów znalazłam mechanizmy obronne.

– Mechanizmy obronne?

– Yhm. Co prawda nie potrafię panować nad atakami paniki. W końcu naprawdę przeżyliśmy katastrofę lotniczą. Owszem, wszystko skończyło się w gruncie rzeczy dobrze, ale już nigdy nie będę potrafiła przekonać siebie, że prawdopodobieństwo takiego wypadku jest bliskie zeru, bo mój strach ugruntował się na dobre. – Zmrużyłam oczy. – A ty nie miałeś problemów z lataniem po tym, co się stało?

Nate wzruszył jednym ramieniem.

– Odstawiono mnie na najbliższy samolot wylatujący z Saint Louis, więc po prostu... – Jego grdyka poruszyła się, gdy przełykał ślinę. – Poleciałem. Powtarzałem sobie, że gdyby wszechświat chciał mnie uśmiercić w katastrofie lotniczej, zrobiłby to za pierwszym razem. Za to doskonale rozumiem kłopot z koszmarami. Też muszę sobie powtarzać: „to już minęło, teraz jesteś w domu”. Widziałem to na YouTube jakiegoś terapeuty.

Uniosłam wysoko brwi.

– Na *YouTube* jakiegoś terapeuty?!

– W moim fachu adnotacja psychiatry w papierach raczej nie pomaga. – Zakreślił kolejny wers i mówił dalej: – W takich chwilach

robię to, co muszę, a potem idę dalej. Myślę, że podobnie jak ty – zrobił pauzę i spojrzał na mnie – też mam swój mechanizm obronny.

– Jest w ogóle coś, czego się boisz? Przecież czegoś musisz się bać, prawda?

– Jasne. Boję się, że stanę się taki jak mój ojciec. – Sięgnął do leżącego obok huśtawki plecaka i coś z niego wyjął. – Gumę?

– Nie, dzięki. – Wyglądało na to, że poruszony temat nie podlegał dalszej dyskusji.

Nate wziął do ust kawałek gumy do żucia. Tak upłynęła nam następna godzina – bujaliśmy się na plaży, zakreślając dla siebie fragmenty swoich ulubionych książek. Zanim skończyliśmy, słońce wisiało już wysoko na niebie, a moja skóra lepiała się od potu.

– Co powiesz na kąpiel? – zapytałam, wskazując głową na brzeg oceanu.

– Nie mam nic przeciwko. – Schowaliśmy książki do jego plecaka i podeszliśmy bliżej wody, wybierając miejsce z dala od pozostałych plażowiczów. Nieoczekiwanie Nate wydobyl ze swojego ekwipunku dwa ręczniki. – To ostatnie, co muszę spakować – od razu odpowiedział na moje niewypowiedziane pytanie, więc chyba musiałam wyglądać na zaskoczoną.

Zaczęliśmy się rozbierać, co w moim przypadku oznaczało jedynie zsuniecie z bioder dżinsowych szortów i zrzucenie sandałów. Toczyłam ze sobą zaciekłą walkę, żeby nie gapić się na ciało Nate'a, gdy przeciągał koszulkę przez głowę, ale przegrałam. I to z kretesem. Być może jednak usprawiedliwiał mnie fakt, że Nathaniel Phelan został wprost stworzony do tego, by na niego patrzeć, podziwiać go, bez skrępowania ślinić się na jego widok.

Jego brzuch wyglądał jak żywcem wycięty z reklam marki odzieżowej Abercrombie, poprzecinany mięśniami, które na przemian to marszczyły się, to naprężały, oraz ukośnymi wypukłościami prowadzącymi wprost do jego spodenek kąpielowych. Aż ślinka ciekła na myśl, że mogłabym śledzić te linie językiem. Miał dobrze zbudowaną klatkę piersiową i silne ramiona, a każdy centymetr jego skóry, który mogłam dostrzec, był opalony na apetyczny brąz.

– Gotowa? – zapytał. Uśmiechnęłam się z satysfakcją, gdy zatrzymał wzrok na moim bikini. Nie byłam w tak doskonałej formie

jak on – moje krągłości dobitnie świadczyły o tym, ile czasu w ostatnim roku poświęciłam na naukę – lecz sposób, w jaki jego spojrzenie mnie rozgrzewało, sprawiał, że czułam się... piękna.

Zdjęłam z głowy jego czapkę i rozpuściłam włosy.

– Gotowa.

Weszliśmy do wody. Zachłysnęłam się, gdy pierwsza chłodna fala uderzyła w mój rozgrzany słońcem brzuch. Nate tylko się roześmiał, po czym zanurzył się cały w oceanie z pewnością siebie godną kogoś, kto robił to o wiele częściej niż ja. Kiedy się podniósł, woda sięgała gumki jego szortów. Widok spływających po nim kropeł dosłownie mnie unieruchomił.

Zamrugłam i podeszłam o krok bliżej. Uniosłam dłoń, prawie dotykając nią srebrnych kresek, które niemal całkowicie niknęły między mocno zarysowanymi mięśniami.

– Co się stało?

Jego szczęka na moment się napięła, ale szybko przywołał na twarz uśmiech.

– Rozerwałem sobie śledzionę podczas ostatniego turnusu w Afganistanie. Mamy teraz pasujące do siebie blizny.

Nastąpiła krótka cisza, w trakcie której obmywały nas fale, a moje oczy z każdą sekundą robiły się coraz większe.

– Katastrofa lotnicza? – spróbowałam zażartować.

– Mina pułapka.

Nagle temperatura mojego ciała zrównała się z otaczającą nas zimną wodą.

– Wyleciałeś w powietrze?

– Samochód, którym jechałem, wyleciał w powietrze. – Wyciągnął rękę i chłodnymi palcami założył mi kosmyki włosów za ucho. – Nie patrz tak na mnie, Izzy.

– Jak? – wyszeptalam prawie bezgłośnie. Kolejna fala smagnęła mnie nieco wyżej. – Jakbym się martwiła?

– Moja mama martwi się o mnie tak bardzo, że nikt więcej już nie musi. Nic mi nie jest. Widzisz? – Uniósł ramiona i zaczął powoli się obracać, jednak nie delektowałam się widokiem jego nagich pleców i piersi tak jak jeszcze przed paroma minutami. Teraz widziałam miejsca, które mogły zostać zranione. Każdy najmniejszy narażony na atak fragment jego ciała.

– Lubisz to? – zapytałam, gdy z powrotem odwrócił się do mnie przodem. – To, co robisz?

– Jestem w tym dobry – odparł, wzruszając ramionami.

– To nie to samo.

– Mówi babka, która nie wydaje się zbyt podekscytowana faktem, że zaczyna studia na Georgetown w wieku dwudziestu jeden lat. – Zmarszczył swoją ciemną brew.

– Ale mnie nikt nie próbuje zabić – rzuciłam.

– I właśnie dlatego nie mam nic przeciwko temu, co robię. – Podszedł bliżej i położył otwartą dłoń na moim biodrze, przytrzymując w pionie, gdy wyjątkowo wysoka fala chciała porwać mnie w stronę brzegu. – Skoro tutaj nikt nie próbuje cię zabić, to znaczy, że moje działania tam przynoszą skutek. Staram się na to tak patrzeć. *Muszę* tak na to patrzeć.

– Ale czy o tym marzyłeś?

– Chyba nie nadażam. – Jego palce się napięły, a ja próbowałam powstrzymać się przed poddaniem się jego dotykowi.

– Czy jest to coś, czym zamierzasz zajmować się do końca życia? Czy taką wybrałeś dla siebie drogę? – *Powiedz, że nie. Powiedz, że zrezygnujesz po trzech latach, tak jak mówiłeś wtedy w samolocie.*

– Jestem w tym naprawdę dobry, Iz – powiedział cicho. – Zostałem już komandosem. A jak wrócę, prawdopodobnie będę aplikował do sił specjalnych. Obiecałem mojemu kumplowi Torresowi, który ma to we krwi, bo jego tata służył w jednostce Delta Force, że zastanowię się, czy nie złożę papierów razem z nim.

Jeśli wróci.

– Chcesz mi powiedzieć, dlaczego nie chodzisz z gigantycznym uśmiechem na twarzy z powodu przyjęcia na studia prawnicze na Georgetown? – Nate zmienił temat, a ja zrozumiałam aluzję.

– Bo to nie było moje marzenie. – Robiąc krok w tył, zanurzyłam się na chwilę w wodzie. Pozwoliłam, by nieustępliwa siła napierających na moje ciało fal przypomniała mi, jak malutcy byliśmy oboje w zestawieniu z otaczającym nas światem. Następnie stanęłam na nogach i odgarnęłam włosy z oczu.

– Więc czyje to było marzenie? – Zmarszczył brew. Wchodziliśmy coraz głębiej, poziom wody pomiędzy kolejnymi falami sięgał tuż poniżej moich piersi.

Odwróciłam wzrok od jego przenikliwego niebieskiego spojrzenia.

– Nie musisz mi mówić. Nie mam zamiaru zmuszać cię do dzielenia się czymś, co chcesz zachować dla siebie. – Uniósł ręce ponad głowę i strzelił kostkami w palcach. – Nie ma powodu, dla którego miałbym prawo wiedzieć takie rzeczy. Znamy się... jak długo? Góra osiemnaście godzin, jeśli zsumować czas, który spędziliśmy razem.

Na te słowa musiałam się z powrotem odwrócić.

– Dwa i pół roku – poprawiłam go. – Znamy się od dwóch i pół roku. Nie planowałam kończyć studiów przed czasem, ale mój starszy o rok ekschłopak chciał, żebym wyjechała razem z nim. – Moje usta wypełnił cierpki posmak. – Rodzice byli zachwyceni pomysłem, że wyjdę za Covingtona...

– Byliście zaręczeni? – Opuścił wzrok, żeby spojrzeć na moją dłoń, jakby wcześniej mógł coś przeoczyć. – I czym, do cholery, jest Covington?

– Nie. – Pokręciłam głową. – I nie czym, tylko *kim* jest Covington. – *No przecież!* Zaśmiałam się gorzko z własnej głupoty. – Boże, jak cudownie, że tego nie wiesz. Wspaniale, że nie potrafisz wymienić każdego senatora, który wywodzi się z jego rodziny, że nie znasz wartości ich majątku. Uwierz mi, mój ojciec wypluwa z siebie takie informacje jak komputer. Na samą myśl, że mogłabym wżenić się w taką rodzinę, zaczynał się ślinić. Dzięki temu zyskałabym wszystko, czego rodzice pragnęli dla siebie samych, choć utrzymywali, że chcieli tego dla mnie. Dlatego ojciec zaoferował, że opłaci studia na Georgetown, jeżeli zdobędę szybciej dyplom w Syracuse i wyjadę z...

– Gnojkiem – podsunął Nate. – Nie chcę znać jego imienia. Jeśli był na tyle durny, żeby cię stracić, co sugeruje przedrostek „eks”, jest po prostu gnojkiem.

Tym razem w moim śmiechu nie było ani śladu goryczy.

– Czemu nie, niech będzie. *Gnojek* oczywiście też dostał się na Georgetown, więc zaczęło się planowanie – przerwałam i westchnęłam. – Muszę przyznać, że nawet przyjemnie było choć raz spełnić oczekiwania własnych rodziców. Przyjechali na absolutorium i urządzili wielkie przyjęcie. Wynajęliśmy mieszkanie w pobliżu kampusu, wpłaciliśmy zadatek, wszystko było

załatwione... – ucichłam, marszcząc czoło. – Powinnam była się na nim poznać, gdy tylko Serena powiedziała mi, że go nie lubi. Jest niespotykane dobra w ocenianiu ludzkich charakterów. – Zdażyliśmy wejść na tyle głęboko, że poruszałam się w górę i w dół wraz z kolejnymi falami. – Skończyło się tym, że tuż przed rozdaniem dyplomów przyjęto go do Yale z listy rezerwowej i teraz mieszka w New Haven.

– Zostawił cię dla *uczelni*?

– No... – wybełkotałam, pokonana przez następną falę, która całkiem mnie zaskoczyła. Nate przyciągnął mnie do swojego twardego jak skała torsu. Moje serce pominęło jedno uderzenie, mimo że jego biło z zaskakującym spokojem pod moją dłońią rozczapierzoną na jego piersi. *Skoncentruj się*. – A ponieważ jestem naiwna, próbowałam utrzymać nasz związek na odległość. Tyle że on... – przez chwilę szukałam właściwych słów – grzecznie mi odmówił, zapewne biorąc pod uwagę fakt, że na Yale otaczało go multum kobiet, które wywodziły się z zamożnych rodzin. Miał więc w czym wybierać.

– Gnojek – mruknął Nate.

– Gnojek – zgodziłam się. Jednak w tamtym momencie, kiedy obmywała mnie chłodna woda, a pod palcami czułam ciepłą skórę Nate'a, towarzyszyła mi nieopisanie ogromna wdzięczność wobec losu za niedawny powrót do statusu singielki. Nate był całkowitym przeciwieństwem Gnojka. Otwarty, wręcz brutalnie szczery, niesamowicie odważny i nadzwyczaj ostrożny w relacjach ze mną. – Moi rodzice nadal się nie pozbierali po tym miażdżącym zawodzie. Już *prawie* wydali mnie za Covingtona. Tak więc utknęłam na Uniwersytecie Georgetown, bo goniłam za czyimiś marzeniami, i jeszcze nie wykombinowałam, co z tym fantem zrobić.

– Poszukaj sposobu, żeby przekuć te marzenia na własne – zasugerował, podnosząc mnie, gdy nadeszła kolejna fala. – Znajdź sposób, żeby zmieniać świat na lepsze.

Ośmielona bliskością i jego dotykiem, uniosłam ręce i przeczesałam palcami jego mokre włosy. Nazajutrz o tej porze miałam być już w Waszyngtonie, Nate zaś w drodze na wojnę.

– Gdybym mogła zmieniać świat, zrobiłabym wszystko, żeby cię tu zatrzymać.

Przez jego twarz przemknął cień czegoś, czego nie potrafiłam nazwać, ale co wyglądało w dużej mierze jak tęsknota.

– Do tego byłaby chyba potrzebna uchwała Kongresu – zauważył, po czym opuścił wzrok na moje usta.

– Wygląda na to, że będziesz musiał pojechać, bo nigdy nie ciągnęło mnie do polityki – wyszeptałam. Uderzona w plecy przez falę, mocno przylgnęłam do ciała Nate'a.

– Mnie też nie. – Objął mnie ramieniem. – Izzy?

– Nate? – Boże kochany, nie mogłam oderwać oczu od jego ust.

– Pocałuję cię teraz. – Stanowczość, z jaką wypowiedział te słowa, zarumieniła skórę na moich policzkach.

– Czyżby? – Obliziałam dolną wargę, czując na języku słoną wodę.

– Ano tak. – Powoli nachylił się do mnie, dając mi więcej czasu na zgłoszenie ewentualnego sprzeciwu, niż było potrzeba. – Ale jeżeli nie chcesz...

– Chcę. – Odchyliłam głowę i wygięłam się w łuk, muskając wargami jego usta. Niby nic wielkiego, zaledwie widmo pocałunku, a mimo to rozbudziło każde zakończenie nerwowe w moim ciele. Każde z nich go pragnęło.

Jego błękitne oczy rozblęskły zdumieniem. Przyciągnął moje usta do swoich i zatopił się w nich bez reszty. Jego wargi były chłodne, w przeciwieństwie do języka, który splótł się z moim. Nagle moje myśli pochłonęła wybuchowa mieszanka mięty i morskiej soli. Na mojej skórze raz po raz następowały drobne wyładowania elektryczne.

Więcej. Potrzebowałam więcej.

Palce Nate'a zanurzyły się w moich włosach, odchylił moją głowę mocniej do tyłu, żeby całować mnie jeszcze intensywniej. Seks nie był mi obcy, ale nigdy dotąd nie byłam całowana w taki sposób. Przejął władanie nad moimi ustami z taką determinacją, jakby miało od tego zależeć dalsze bicie jego serca. W pocałunku Nate'a przenikały się oszałamiająca finezja i zniewalające pożądanie.

To był najlepszy pocałunek w historii... wszystkiego.

Jęknęłam z rozkoszy. Ani na chwilę nie odrywając ode mnie ust, wziął mnie na ręce, tak że nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości. Oplotłam Nate'a nogami w pasie, kostki skrzyżowałam w zagłębieniu w dolnej partii jego pleców, gdzie pasowały jak ulał.

Całowanie Nate'a nie tylko stanowiło ziszczenie wszystkich moich marzeń – okazało się lepsze, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam.

– Jasna cholera – zaklął, odsunąwszy się od moich ust, gdy oboje straciliśmy już oddech i ciężko dyszeliliśmy. Oparł czoło na moim.

– Nie to, czego oczekiwałaś? – Zaplotłam palce na jego karku, uniesiona przez falę, która nawet nie wzruszyła Nate'em. Woda przyjemnie chłodziła moją rozgrzaną skórę.

– Wprost przeciwnie. – Złożył pocałunek na moim podbródku, potem na szyi, a wreszcie wrócił do ust. – To dokładnie to, czego się spodziewałem. A nawet dużo więcej. Kurwa mać, *wiedziałem*, że właśnie tak z tobą będzie.

– Chemia – mruknęłam, choć wcale nie to słowo chodziło mi po głowie. *Przeznaczenie*. Nie było innego wyjaśnienia. Nie dało się tego inaczej wytłumaczyć.

– To coś więcej niż chemia, ale nie wydaje mi się, żeby definiowanie tego było uczciwe. Nie teraz, kiedy zostało nam zaledwie parę godzin do twojego lotu. – Przyglądał się mojej twarzy, jakby zapisywał w pamięci każdy najdrobniejszy szczegół.

– Kiepsko zgraliśmy się w czasie. – Zacisnęłam uda na biodrach Nate'a, delikatnie cmokając go w policzek.

– Zgraliśmy się kompletnie do dupy – dodał, sunąc dłońmi w dół moich pleców, jednak bez opuszczania ich na pośladki. Szkoda, że tego nie zrobił. Pragnęłam być z nim w każdy możliwy sposób, aż do zachodu słońca.

– W takim razie daj mi tych kilka godzin.

Przyłgnął do mnie całym ciałem. Oddech Nate'a stał się urywany, gdy całowałam bok jego szyi – raz, drugi, trzeci.

– Izzy – wyjęczał, po czym zacisnął palce w moich włosach i delikatnie mnie od siebie odsunął. Pożądanie płonące w jego oczach przyćmiło wszystkie pozostałe emocje. – Nie chcę godzin. Chcę nocy. Dni. Tygodni. Chcę zaciągnąć cię do pokoju, zamknąć za nami drzwi i nie wychodzić stamtąd, dopóki nie poznam każdego milimetra twojego ciała, dopóki nie skosztuję każdego miejsca, w które lubisz być całowana, dopóki nie odkryję wszystkich sposobów, w jakie można doprowadzić cię do orgazmu, dopóki twój głos nie ochrypnie od wykrzykiwania mojego imienia. To jakieś... – urwał i pokręcił głową.

– Tak. Po trzykroć tak. – Wszystko, co przed chwilą wymienił, brzmiało kusząco.

– Chciałem powiedzieć, że to jakieś szaleństwo. – Uśmiechnął się szeroko, a ja niemal się rozpląnąłam, pochwycając wzrokiem mignięcie dołączka. – I pewnie za tydzień, w kółko odtwarzając w myślach każdą sekundę tej chwili, będę miał ochotę nakopać sobie samemu do dupy za te słowa, ale najbardziej pragnę tego, czego nie mamy, Izzy. Czasu.

– Wiem. Ja też. – Chciałam, żebyśmy mieli szansę, taką prawdziwą. Żeby bez pośpiechu spróbować i zobaczyć, czy mogłoby się z tego coś narodzić. – Czy to znaczy, że skończyłeś już mnie całować?

– Chyba, kurwa, żartujesz. – Zatopił się w długim, powolnym pocałunku, zamieniając wcześniejsze szaleńcze tempo na niespieszne, uwodzicielskie. – Będę cię całował, kiedy tylko o to poprosisz, Isabeau Astor.

– Obiecujesz? – zapytałam, układając nadal przywierające do niego usta w uśmiech.

– Obiecuję.

Dotrzymał słowa, całując mnie tak długo, aż skóra na naszych palcach zmarszczyła się pod wpływem wody. Całował mnie, gdy wycieraliśmy się ręcznikami, kiedy szliśmy do jego auta, a także przed bardzo późnym lunchem. Po nim zresztą też.

Całował, dopóki moje wargi nie spuchły, a ja nie zaznajomiłam się dokładnie z fakturą jego ust, podobnie jak Nate zapoznał się z moimi.

Moja walizka została nadana, książka wybrana dla mnie przez Nate'a trafiła do mojego bagażu podręcznego. Gdy odprowadzał mnie do punktu kontroli bezpieczeństwa na lotnisku, moje gardło zaciskało się coraz bardziej z każdym krokiem.

Co, jeśli czas, którego tak pragnęliśmy, nigdy nie nadejdzie?

Co, jeśli na tym się skończy?

Co, jeśli...

– Przestań. – Odwrócił mnie i ujął w dłonie moją twarz. – O czymkolwiek teraz myślisz, po prostu przestań.

Szczypały mnie oczy i dobrze wiedziałam, że to nie wina słońca ani słonej wody.

– Co, jeśli nie wrócisz do domu?

Nate zmarszczył brew, powoli się do mnie przysunął i złożył pocałunek na moim czole.

– Wrócę – zapewnił.

– Nie wiesz tego. – Miękka tkanina koszulki Nate'a na jego piersi została uwięziona między palcami moich dłoni zaciśniętych w pięści.

– Nie musisz się martwić. Zajeście trudno mnie zabić. – Mocno mnie przytulił, opierając podbródek na głowie.

– Mówisz to tak, jakby twoje słowa miały mnie powstrzymać przed zamartwianiem się każdego dnia przez następny rok.

– Nie. – Chwycił moje ramiona i nieznacznie się odsunął, wpatrując się we mnie z taką intensywnością, że aż zaparło mi dech w piersi. – Nie rób tego. Ani mi się waż siedzieć na tyłku i się o mnie martwić. Nie marnuj sobie życia czekaniem na mnie, Izzy.

Otworzyłam usta, ale pozostały bezgłośnie. Brakowało słów, które mogłyby opisać, co się działo się z moim sercem, zepchniętym do samej krawędzi, mogącego w każdej chwili runąć w przepaść... albo pęknąć na pół.

– Nie zrobię ci tego. – Położył dłoń na moim policzku i gładził go kciukiem. – Jesteś warta czegoś więcej.

– A jeśli ja chcę sobie to zrobić? – Ja pierdolę, czy mój głos się łamał?

– Nie rób tego – błagał, zniżając ton głosu do szeptu. – Dopiero co wyrwałaś dla kogoś całe swoje życie z korzeniami. Nie trać kolejnych miesięcy dla kogoś innego – przerwał i ściągnął brew. – I nie myśl, że to dlatego, że cię nie chcę czy przez jakieś inne bzdety. Boże, czego ja bym dla ciebie nie zrobił, gdybym tylko... mógł.

– A więc gdzie nas to stawia?

– Jesteśmy... – Nate z trudem przełknął ślinę i wziął szarpany wdech. – Jesteśmy nami. Nate'em i Izzy.

– Niezdefiniowani – powiedziałam cicho, przypomniawszy sobie jego wcześniejsze słowa, kiedy mówił, że próba przyczepienia etykiety do niewytłumaczalnego byłaby w tych okolicznościach nie na miejscu.

– Jeśli będziesz miała ochotę do mnie pisać, też będę pisał. A jeżeli nie, nie będę na ciebie naciskał. Chcę, żebyś żyła w Waszyngtonie pełną piersią.

– Nawet jeśli oznaczałoby to poznanie kogoś innego? – zapytałam wyzywająco. Może było to mało dojrzałe zagranie, ale miałam to w nosie. Nie miałam zamiaru się powstrzymać, skoro lada moment mieliśmy zdeptać dar zesłany nam przez los tylko dlatego, że Nate ubzdurał sobie, że bym na niego nie czekała.

Przytrzymał przez chwilę mój wzrok swoim pewnym siebie, uporczywym spojrzeniem i pokiwał głową.

– Nawet jeżeli wiązałoby się to z poznaniem kogoś innego. Każda sekunda spędzona z tobą była podarunkiem, na który nie zasługiwałam, i nie chcę zarzucać sobie, że coś cię omija... że z czegoś rezygnujesz przede mną.

– A za rok? – Wtuliłam policzek w jego dłoń.

– Może krócej, ale wolę nastawiać się na pełen turnus.

– Co będzie, kiedy wrócisz do domu?

Nate westchnął, po czym pochylił głowę i pocałował mnie tak, jakby całkiem zapomniał, że stoimy na środku lotniska. Całował mnie, jakby nikt nas nie widział, jakby następnego dnia już nic na nas nie czekało.

– Wiesz, co jest najlepsze w niedefiniowaniu tego?

– Moja niechciana wolność? – mruknęłam pod nosem, a Nate się roześmiał.

– Nie. Możliwości, Izzy. Właśnie tym jesteśmy. Możliwością.

Możliwość. Z tego samego powodu uwielbiał wschód słońca.

Serce krzychało, by go nie wypuszczać. Ale zrobiłam to, bo Nate właśnie tego chciał, a ja, prawdę powiedziawszy, prawdopodobnie właśnie tego potrzebowałam. Ledwo zakończyłam dwuletni związek. Rzucanie się z rozpędu w kolejny i ryzykowanie, że obciążę go bagażem emocjonalnym, z którym siłą rzeczy nie zdążyłam się uporać, było ostatnim, co chciałabym uczynić Nate'owi. Jeżeli kiedykolwiek mieliśmy spróbować, miał rację – ten czas jeszcze nie nadszedł.

Pocałowałam go ostatni raz i cofnęłam się o krok.

– Tylko... wróc żywy. – Były to ostatnie słowa, jakie zapamiętałam z dnia, kiedy nasz samolot runął na ziemię, ale uznałam je za odpowiednie również do tej sytuacji. Nie byłam tylko pewna, jak to o nas świadczyło.

– Taki mam zamiar. – Uniósł kącik ust, lecz nie uraczył mnie pełnym uśmiechem.

Zamrugalam.

– To samo powiedziałaś...

– Wiem. – Odsunął się i wsunął dłonie do kieszeni spodnek. – Pamiętam wszystko, co się z tobą wiąże. A teraz wsiadaj do tego samolotu, żebym to też mógł zapamiętać.

– Możliwości? – Bolesny ucisk w piersi sprawiał, że z trudem oddychałam.

– Najlepsze z możliwych. – Posłał mi szeroki uśmiech, na jego policzku na ułamek sekundy pojawił się dołeczek, po czym Nate zniknął w tłumie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

IZZY

Mazar-i-Szarif, Afganistan Sierpień 2021

– Serena! – Rzuciłam się na swoją zszokowaną starszą siostrę, obejmując ją ramionami tuż nad plecakiem, który miała na sobie, i mocno ją do siebie przyciskając. Serce waliło mi tak dziko, że nie zdziwiłabym się, gdyby lada moment wyrwało mi się z piersi. Podziałało! Znalazła się! Opłaciło się ciągnąć za te wszystkie sznurki, żeby zająć miejsce Newcastle’a, bo *odnalazłam* Serenę. Wydawało się to zbyt łatwe, za proste, ale nie zamierzałam przecież zlorzeczyć na sprzyjające mi szczęście.

Zabierałam siostrę z powrotem do domu.

– Iz? – Serena zeszywniała na sekundę, zanim jej ręce powoli mnie oplotły. Dzielił nas tylko aparat zawieszony na jej szyi. – Isabeau? – Siostra chwyciła dłońmi moje ramiona i lekko się ode mnie odsunęła, lustrując mnie swoimi szeroko otwartymi brązowymi oczami. – Co ty tu, do diabła, robisz?! – wykrzyknęła. Na jej twarzy malowało się coś na kształt przerażenia, między brwiami zarysowały się dwie zmarszczki.

– Jak się czujesz? – Nic nie mogło przepędzić mojego uśmiechu. Znalazłam ją. Choć... w zasadzie to znalazł ją Nate.

Serena wyglądała, jakby przydał jej się dobry miesiąc solidnego wysypiania się. Nie zaszkodziłoby też porządnie wyprać jej praktycznej rozpinanej koszuli i niebieskiej chusty, którą niechcący

pociągnęłam, mocno przytulając do siebie siostrę. Ale to wszystko były drobiazgi.

– Ja nie żartuję! – Wpiła się palcami w skórę moich ramion, jej spanikowany głos wybrzmiał o ton wyżej. – Nie powinno cię tu w ogóle być!

Zamrugałam, zbита z tropu. Spodziewanie się, że Serena może być poirytowana moim wtrącaniem się w jej sprawy, a zobaczenie tego na własne oczy – to dwie różne rzeczy.

– Przyjechałam po ciebie.

– Że co?!

Okej, poirytowanie było pewnym niedopowiedzeniem. Serena była wściekła.

Za jej plecami powstało jakieś zamieszanie. Obejrzała się przez ramię.

– On jest ze mną. To mój tłumacz – odezwała się do jednego z kumpli Nate'a. Sierżanta White'a? Graya? Browna? Zresztą to bez znaczenia.

Operator – że posłużę się terminologią używaną przez Nate'a – opuścił broń i pozwolił wejść do środka mężczyźnie z krótką brodą. Ten szybko zajął miejsce obok Sereny, przyglądając się nam obu z zaskoczeniem, ale też zrozumieniem, którego mnie akurat brakowało.

– Izzy, to jest Taj Barech, mój tłumacz. – Serena przedstawiła mi swojego towarzysza. – Taj, to moja siostra, o której tyle ci mówiłam. Ta sama, *która powinna być w Waszyngtonie*. – Kilka ostatnich słów wycedziła, kierując je wprost do mnie.

– Miło cię poznać. – Taj przywitał się ze mną skinieniem głowy i pełnym energii uśmiechem.

– Mnie ciebie również – odparłam, akurat gdy podszedł do mnie Nate.

Na jego widok oczy Sereny niemalże wyszły z orbit, a szczęka dosłownie jej opadła.

– Chyba sobie jaja robicie.

– Dobrze cię widzieć, Sereno – odezwał się Nate, jedną rękę trzymając na karabinie, który miał przewieszony przez ramię. – Żadnych zdjęć mnie ani moich chłopaków.

– Znam zasady, jeśli chodzi o takich jak ty. – Zmrużyła oczy i zabrała dłonie z moich ramion. – Nie wierzę, że naprawdę pozwoliłeś Izzy...

– Nie musiał mi *na nic* pozwalać! – wypaliłam, robiąc krok w tył. – Uwierz mi, gdyby Nate miał tu cokolwiek do powiedzenia, zawijałabym się stąd pierwszym lepszym samolotem.

– Gdybym miał coś do powiedzenia, w ogóle byś tu nie przyleciała – burknął Nate, nim zwrócił się do Sereny. – Zajęła miejsce innego delegata. Nie wiedziałem, że się tu wybiera, dopóki nie zobaczyłem, jak wysiada z samolotu. W przeciwnym razie spróbowałbym ją przed tym powstrzymać.

– Wiecie co, pieprzcie się *oboje!* – Zaplotłam ramiona na piersi. – Jestem dorosłą kobietą, która sama o sobie decyduje. Szkoda, że żadne z was nie potrafi tego zrozumieć.

– To była zła decyzja, Isabeau – rzuciła Serena podniesionym głosem. – Masz w ogóle pojęcie, jak tu jest niebezpiecznie?

– Przepraszam... co? Nie mogę zrobić trzech kroków poza swoją sypialnię, żeby sierżant Kwaśna Mina – wskazałam na Nate'a – nie śledził każdego mojego ruchu. Więc owszem, jestem świadoma tego, że nie jest tu bezpiecznie. A ty? Bo jakoś nie widzę przy tobie uzbrojonej ochrony.

Taj spojrzął kolejno na każde z naszej trójki, po czym przechylił głowę w bok.

– To wygląda na sprawy rodzinne. Będę... gdzieś indziej. – Powoli się wycofał, choć w prawie pustym pomieszczeniu niespecjalnie miał się dokąd oddalić.

– Słuchaj, fajnie jest mieć wreszcie kogoś po swojej stronie w kwestii wycieczki Isabeau do Afganistanu, ale... – zaczął Nate.

– Założenie, że wzięłabym twoją stronę w jakiegokolwiek sprawie, jest z natury błędne. – Serena zgromiła Nate'a wzrokiem.

– Ale czeka na nas śmigło – dokończył, całkiem ignorując zaczepki mojej siostry. – Za chwilę startujemy.

– W takim razie zabieraj ją stąd – odparła Serena.

– Świetnie, to idziemy – rzuciłam, odwracając się do wyjścia. – Klótnię dokończymy w ambasadzie.

– Chwila! Myślisz, że lecę z wami? – zapytała Serena, podbiegając do mnie i chwytając mnie za łokieć. Zatrzymałam się w pół kroku

i obróciłam na pięcie, żeby na nią spojrzeć. Strach zaczynał mościć się na dnie mojego żołądka.

– A myślisz, że niby po co tu przyjechałam?

Złość trzaskająca w oczach Sereny przygasła, jednak żal, który ją zastąpił, nie był dla mnie wielką pociechą.

– Izzy, nie mogę wyjechać. Mam robotę do wykonania. Przystano mnie tu na pełne sześć miesięcy. Zostało mi jeszcze trzydzieści dni.

– Ale ten kraj... – urwałam i tylko pokręciłam głową.

– Rozpada się – odpowiedział za mnie Nate, krocząc energicznie w naszą stronę. – Ten kraj się rozpada.

– I moim zadaniem jest właśnie relacjonowanie tych wydarzeń – oznajmiła Serena z taką stanowczością, jakby raz na zawsze zamykało to toczoną przez nas dyskusję.

– Nie mówisz poważnie... – Moje słowa były ledwo słyszalnym szeptem.

– Bardzo poważnie. – Poprawiła paski swojego plecaka. – Zajmuję się tutaj dokładnie tym, czym powinnam. To najdłuższa korespondentka, jaką mi powierzono. Walczyłam o to i nie mam zamiaru kończyć przed czasem tylko dlatego, że robi się niebezpiecznie. Wróciłabym do biura na tarczy.

Nate uniósł dłoń do słuchawki w uchu i przechylił głowę w bok.

– Pracuję nad tym – warknął swoim profesjonalnym tonem, do którego zdążyłam już przywyknąć. Następnie spojrzał na Serenę. – Serena, ja wszystko rozumiem, ale nie będziesz tu bezpieczna. Wiesz o tym. Ja o tym wiem. Izzy o tym wie. W ciągu ostatniej doby upadły trzy prowincje. Szanuję zaangażowanie, z jakim traktujesz swoją pracę, ale wiedz, że przez wzgląd na twoją siostrę nie cofnę się nawet przed błaganiem cię, żebyś wsiadła do helikoptera.

Co to było? To nie był głos sierżanta Greena, tylko Nate'a. Mojego Nate'a. Podniosłam na niego spojrzenie i moje serce zabiło szybciej. Gdzieś tam pod grubą warstwą kuloodpornego kevlaru i kilogramami śmiertelnie żelastwa nadal krył się ten sam facet, który tulił mnie nad ranem, gdy wybudziłam się z koszmaru. Ten sam chłopak, który przed dziesięcioma laty wyciągnął mnie z wraku samolotu.

– Trudno, żebyś nie rozumiał mojego oddania pracy, prawda? – skomentowała Serena z westchnieniem. – Do diabła, przecież to

przez twoje poświęcenie się armii Izzy wylądowała w biurze senatorki Lauren. Zamierzasz chociaż szybciej urwać się z misji?

Nie. Zrobiła. Tego. Obróciłam się gwałtownie do Sereny, ale nie zwróciła uwagi na moje ściągnięte paniką brwi, bo nadal wpatrywała się w Nate'a.

– Co takiego? – zapytał.

Serena prychnęła kpiąco.

– Poważnie uważałeś to za najzwyczajniejszy przypadek, że Izzy ostatnie trzy lata poświęciła na pracę dla kobiety, która stara się przepchnąć ustawę mającą zakończyć wojnę? Że wyjechała do Waszyngtonu zaraz po tym, jak ty... – Jej głos nagle zamarł.

Jeden z mięśni w jego szczęce lekko drgał, gdy Nate powoli odwracał wzrok, żeby odszukać moje spojrzenie. Poczułam, jak skręca mnie w żołądku.

Kurwa. Nie miało znaczenia, że projekt tej ustawy od początku był skazany na porażkę ani to, że dosłownie tłukłam głową w ceglany mur, żeby osiągnąć w tej kwestii choćby drobne postępy. Ostatnich parę lat spędziłam na bezowocnych próbach doprowadzenia do końca konfliktu, który kilkakrotnie zabierał Nate'a z moich ramion. A teraz się o tym dowiedział.

W jego błękitnych oczach czytałam jak w otwartej księdze. Zaskoczenie mieszało się w nich z niedowierzaniem, wyparciem, a także z uczuciem, które bałam się uznać za prawdziwe, a nawet je nazwać. Patrzył na mnie tak samo, jak robił to przed wydarzeniami z Nowego Jorku. W ścianie, którą wtedy za sobą wybudował, niespodziewanie pojawiła się wyrwa.

– Jasna dupa! Miałeś to za przypadek. Naprawdę nie wiedziałeś...

– wymamrotała pod nosem Serena.

Nie potrafiłam odwrócić oczu. Nie umiałam się odezwać. Nie mogłam ani potwierdzić, ani zaprzeczyć nagiej prawdzie wyjawionej mu przez Serenę. Zdemaskowała mnie zaledwie paroma słowami. Choćbym miała na sobie najgrubszą kamizelkę kuloodporną świata, nic nie mogło powstrzymać mojego durnego, tęskniącego serca przed pragnieniem oddania się w ręce Nate'a.

– Izzy, bardzo cię przepraszam – odezwała się cicho Serena.

Nate zamrugał i oderwał ode mnie wzrok.

– Wiem. Odlot za pięć minut – mówił przez radio, a kiedy skończył, spojrzał na Serenę. – Sprawa wygląda następująco. Za pięć minut pakuję Isabeau z powrotem do śmigłowca. Mam nadzieję, że też znajdziesz się na pokładzie.

Moja siostra przełknęła głośno ślinę i skierowała spojrzenie na Taja rozmawiającego z sierżantem Jakiegoś-Tam-Koloru.

– Nawet gdybym chciała, a nie chcę, to nie mogę go tu zostawić. Nie dostał jeszcze wizy.

– Złożył już wniosek? – zapytałam. – Bo jeśli tylko to cię tutaj trzyma, mogę...

– Jest rozpatrywany. – Serena podeszła do mnie i objęła moją twarz dłońmi. – Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy pierwszy raz poprosiłaś mnie, żebym odpuściła korespondentkę ze strefy działań wojennych?

– Że ignorowanie trudnej sytuacji nie pomoże ludziom, którzy się z nią zmagają. – Moje gardło niemal całkiem się zacisnęło, razem z resztą ciała przyznając się przed sercem do porażki w tym starciu.

– Nadal tak uważam. Jeśli wyjadę, nikomu nie pomogę. A tak mogę być przynajmniej naocznym świadkiem tego, co będzie się działo.

– Nie wracasz ze mną, prawda? – Głos załamał mi się przy ostatnim słowie.

Serena pokręciła głową.

– Zbyt ciężko na to pracowałam, żeby teraz się wycofywać.

Przygryzłam wargi, próbując przewyciężyć uporczywe pieczenie oczu. Pasja, za którą zawsze podziwiałam Serenę, mogła wpędzić ją do grobu, a ja nie miałam bladego pojęcia, co z tym zrobić.

– Dam wam minutę, ale nie dłużej – zakomunikował cicho Nate, zanim odszedł w stronę Taja.

– Nie będę mogła tu wrócić – wyszeptałam. – Pociągnąłem za wszystkie możliwe sznurki, żeby się tu dostać, i mam wrażenie, że Nate zrobił to samo.

Serena się uśmiechnęła.

– Tylko ty mogłaś tyle poświęcić, żeby mnie odszukać, i właśnie za to cię kocham. – Nachyliła się i przywarła swoim czołem do mojego.

– Ale nie mogę wyjechać. Jeszcze nie.

– A co, jeśli prowincja upadnie szybciej niż za trzydzieści dni? – wydusiłam z trudem. – Powiedz, proszę, że w porę stąd uciekniesz. Nie zostawię cię tu, jeśli...

– Wyjadę, jeśli tylko prowincja upadnie.

– Obiecuj mi to.

– Obiecuję. Nie zamierzam żegnać się z życiem. Ale nie mogę zostawić Taja. Porzucenie na pastwę losu człowieka, który tyle dla mnie zrobił, byłoby potwornym okrucieństwem. Nie będzie tu bezpieczny. Nie po tym, jak mi pomagał, jak przez ostatnich kilka lat współpracował z naszym rządem. Dobrze wiesz, że zamordują go przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Nagle rozbudziła się we mnie nadzieja.

– Mogę zająć się jego papierami. Zrobię, co mogę, żeby popchnąć sprawę do przodu. Departament Stanu nie wyrabia.

– Doceniam to. – Jej dłonie znów spoczęły na moich ramionach. – Pamiętaj, że jestem tu z własnego wyboru. To, co się tutaj dzieje, jest ważniejsze ode mnie.

– Nie dla mnie. – Skrzywiłam się. – I tak, zdaję sobie sprawę, jak egocentrycznie to brzmi.

Serena się roześmiała i wciągnęła mnie w objęcia.

– Tęskniłam za tobą. Cokolwiek by się działo, za miesiąc zamykam zlecenie. Ani się obejrzysz, a będę z powrotem w domu.

Podeszli do nas Nate i pozostali operatorzy, ale nie potrafiłam wypuścić jej z rąk, nawet gdy przez salę przetoczył się niespodziewany podmuch wiatru, jakimś cudem gorętszego niż stojące w miejscu, duszące powietrze w pomieszczeniu.

– Trzymaj się Nate'a – szepnęła Serena. – Facet ma parę wad, ale zrobi wszystko, żeby włos nie spadł ci z głowy.

– A niby skąd to wiesz? – Znalazłam w sobie wystarczająco dużo siły, żeby odsunąć się od siostry i dobrze się jej przyjrzeć. Jej usta złożyły się w uśmiech.

– Bo widzę, jak na ciebie patrzy. Wygląda na to, że niewiele się w tej kwestii zmieniło.

Pokręciłam głową.

– Odkąd tylko wysiadłam z samolotu, zachowuje się jak kompletny palant. A patrzy na mnie wyłącznie dlatego, że przydzielono go do mojej ochrony. Jestem zadaniem do wykonania. – Nie była to jednak

do końca prawda. Czując na sobie jego spojrzenie, obejrzałam się przez ramię. Czekał na mnie w drzwiach. Odwróciłam się z powrotem do Sereny. – Ale przez minutę albo dwie był... Nate'em. Próbujemy jakoś się odnaleźć w tej dość niezręcznej sytuacji.

– Czyżby? – Cofnęła się o parę kroków. Jej palce zsunęły się po moich ramionach, po czym chwyciły obie dłonie. – Skoro musiałam obiecać, że wyjadę stąd, jeżeli prowincja upadnie, ty też musisz mi coś przyrzec.

– Co takiego mam ci w zamian obiecać? – Ścisnęłam jej dłonie, powtarzając sobie w myślach, że to nie ostatni raz, kiedy się widzimy. I mimo że w to wierzyłam, trudno było mi tak po prostu odejść.

– Obiecuj, że nie wyjdiesz za Jeremy'ego. – Szturchnęła palcem mój pierścionek.

Zamrugałam. Niemożliwe, żeby wiedziała.

– Dlatego że pasuje mamie i tacie? Czy dlatego, że nigdy go nie lubiłaś? – Wygłosiła swoją opinię na jego temat głośno i wyraźnie jeszcze tego samego wieczoru, kiedy Jeremy mi się oświadczył. Było to podczas cieszącego się wielką renomą, zawsze gromadzącego licznych gości przyjęcia świątecznego wyprawianego przez naszych rodziców.

– Ani jedno, ani drugie. – Ściszyła głos, a jej postawa złagodniała, gdy wyszczerzyła się do mnie, zupełnie jakbyśmy siedziały w naszym mieszkaniu w Waszyngtonie, a nie szlajały się po kraju ogarniętym wojną. – Dlatego że widzę, jak ty na niego patrzysz. – Rzuciła wymowne spojrzenie ponad moim ramieniem. – Nie ma sensu wychodzić ze jednego faceta, kiedy kochasz innego.

– Wcale nie... – Chciałam wyszarpać dłonie z jej uścisku, ale za mocno je trzymała.

– Właśnie że tak. – Ścisnęła moje palce, po czym je puściła. – Zresztą Jeremy nigdy nie był dla ciebie wystarczająco dobry. Przestań godzić się na mniej, niż zasługujesz. Nie musisz iść ścieżką wytyczoną przez mamę i tatę. Chyba że sama tego chcesz. – Cofała się powoli, krok za krokiem. – Widzimy się za miesiąc. Zamówimy pizzę z tej małej knajpki niedaleko naszego starego mieszkania. Boże, jak dawno nie jadłam pizzy. – Uśmiechnęła się

jeszcze raz, a potem odwróciła się i wyszła przez drzwi, zabierając ze sobą Taja.

Jakoś zmusiłam się, żeby podejść do Nate'a.

Jakoś udało mu się zaprowadzić mnie do helikoptera.

Jakoś dawałam radę oddychać, gdy startowaliśmy, zostawiwszy moją siostrę w Mazar-i-Szarif.

Nate znowu wsunął mi do uszu swoje słuchawki. Przez całą drogę powrotną do Kabulu puszczał mi moje ulubione piosenki, które jednak ledwo docierały do mnie przez gęstwinę myśli. Odnalazłam ją, przytulałam, a teraz znowu jej nie było. Do wylotu do Stanów pozostało tylko dziesięć dni.

Czy istniał jakikolwiek sposób, żeby do tego czasu przekonać Serenę do wyjazdu?

Jak mogłam na to pozwolić?

– To nie twoja wina – powiedział cicho Nate, otwierając przede mną drzwi samochodu, gdy dotarliśmy pod ambasadę. Byłam tak pochłonięta własnymi rozmyślaniami, że nie zauważyłam nawet, kiedy dojechaliśmy do celu.

– Dlaczego mi to mówisz? – Na szczęście tym razem nie musiałam szarpać się z pasem. Mogłam od razu wysiąść z wozu.

– Bo cię znam, Izzy. I znam twój tok rozumowania.

Niestety miał rację.

– Mimo to mam poczucie, że zawałam sprawę. – Żar bezlitośnie lał się z nieba, gdy szliśmy w stronę wejścia do gmachu.

– Taką podjęła decyzję. – Minęliśmy strażników, a Nate otworzył drzwi. – Serena zawsze była uparta jak osioł, gdy chodziło o jej pracę.

Potaknęłam. Racja, lecz ani trochę nie uśmierzyło to mojego bólu. Pewną ulgę przyniosło za to świeże powietrze owiewające nasze twarze, gdy wkroczyliśmy do foyer i skierowaliśmy się do klatki schodowej. Pragnęłam wczłgać się do łóżka i odespać tę kompletną, rozdzierającą serce porażkę. Tak się szczęśliwie złożyło, że nikt z moich podwładnych na mnie nie czekał, miałam więc szansę przemknąć do swojego pokoju niezauważona.

Nate i ja wspinaliśmy się po schodach w zupełnej ciszy.

– Czy to, co powiedziała Serena, jest prawdą? – zapytał, gdy doszliśmy już prawie do moich drzwi. – O tym, dlaczego zatrudniłeś

się u senatorki Lauren? O tym, dlaczego zajęłaś się polityką?

W jednej chwili znieruchomiałam.

O. *Mój. Boże.* Prawie zapomniałam, że Serena niechcący mnie wydała. Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle ktoś wyszedł z następnego pokoju, ratując mnie przed koniecznością szukania sposobu na wybrnięcie z tej kłopotliwej sytuacji.

– Do cholery, cały dzień tu na ciebie czekam – odezwał się gniewnie mężczyzna. Nate i ja spojrzeliśmy równocześnie w głąb tonącego w półmroku korytarza, którym z bezsporną determinacją maszerował ku nam jakiś facet. Z każdym krokiem jego oblicze nabierało wyrazistości, zwiastując katastrofę.

Nie był to po prostu jakiś facet, tylko Jeremy we własnej osobie.

Żołądek wykręcało mi na wszystkie możliwe strony.

– Mam już dosyć wysłuchiwania, że nie chcesz rozmawiać. – Sięgnął ręką do mojego ramienia i mocno chwycił je powyżej łokcia.

– Leciałem taki kawał... – zaczął, ale nagle urwał, gdy Nate szarpnął nim w drugą stronę. Ciało Jeremy'ego uderzyło o ścianę obok mnie, a Nate docisnął przedramię do jego tchawicy.

– Nikt cię nie nauczył, że nie dotyka się damy bez jej pozwolenia?

– Naprężona postawa Nate'a emanowała czystym gniewem.

Jasna cholera!

– Nie! – Położyłam dłoń na ramieniu Nate'a. Jeśli wyrządziłby krzywdę Jeremy'emu, miałoby to opłakane konsekwencje dla kariery, której poświęcił całe swoje życie. – Zostaw go. Jest w porządku. Nic mi nie jest.

– Isa... – wydusił z siebie z trudem Jeremy.

– Znasz go? – zapytał mnie Nate, mrużąc oskarżycielsko oczy.

– Tak. – Pokiwałam głową, próbując w międzyczasie przełknąć ogromną gulę w gardle. Jeremy nigdy wcześniej nie chwycił mnie w taki sposób.

– Oczywiście, że mnie zna! – wychrypiął Jeremy, teatralnym gestem naciągając kark.

Nate opuścił swoje przedramię i zrobił krok do tyłu. Przez wszystkie te lata nie miałam okazji porównać obu mężczyzn stojących jeden obok drugiego. Różnice były przerażające.

Jeremy był wyglansowany, od starannie ułożonych, naželowanych brązowych włosów, po buty od Armaniego. Miał idealną twarz

o nieskazitelnej cerze. Nie miałam wątpliwości, że lada moment przywoła na nią swój uśmiech polityka, absolutnie pewien, że za jego sprawą jest zdolny przeciągnąć wszystkich na swoją stronę.

Tyle że nie znał Nate'a. Nathaniel był od niego o blisko dziesięć centymetrów wyższy, do tego pokaźnie umięśniony i otaczała go aura „zagraj ze mną w chuja i spróbuj szczęścia”. Na uśmiech Nate'a trzeba było sobie zasłużyć. A każda blizna znacząca jego ciało czyniła go... bardziej autentycznym.

– Jestem jej narzeczonym! – wyjaśnił Jeremy i poprawił krawat od Hermès, który dostał ode mnie na urodziny.

Krawat od Hermès. Gdy wokół trwa wojna!

Ból, który mignął w oczach Nate'a, nie umknął mojej uwadze. Szybko jednak zamaskował swoje uczucia, przenosząc spojrzenie na Jeremy'ego, żeby tym razem ocenić go pod zupełnie innym kątem. Jego wzrok zatrzymał się na identyfikatorze przypiętym do klapy marynarki Jeremy'ego.

Napisano na niej *Jeremy Covington*.

Ciało Nate'a zeszywniało jeszcze bardziej niż przedtem.

– Nie wiem, za kogo ty się, do cholery, masz – zaczął Jeremy, szturchając Nate'a w pierś.

Niezbyt dobry pomysł.

– Jest moim ochroniarzem – wytłumaczyłam szybko. – Może lepiej... – Cholera, było źle. Bardzo, bardzo źle. Musiałam odciągnąć go od Nate'a, zanim sprawy zupełnie wymkną się spod kontroli. – Może lepiej wejdźmy do mojego pokoju i pogadajmy. – Moja dłoń drżała, gdy szukałam w torbie klucza, ale Nate zdążył już wydobyć swój.

Otworzył sprawnie pokój i odsunął się na bok, przytrzymując drzwi Jeremy'emu, który wkroczył dumnie do mojego apartamentu. Ruszyłam za nim, zatrzymując się na chwilę, by spojrzeć na Nate'a wpatrującego się z profesjonalną obojętnością w pustą przestrzeń przed nim.

– To skomplikowane.

– Mnie wydaje się to dość proste. – Jego drwiące parsknięcie było prawie niesłyszalne, jednak nie do końca. – Wychodzisz za Gnojka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

IZZY

Georgetown
Październik 2014

Od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie urlop. Może nie w tym roku, bo moja przepustka, zwana też wakacjami, przypada akurat w połowie semestru na twojej uczelni, ale może w przyszłym roku wybralibyśmy miejsce, w którym żadne z nas jeszcze nie było, i po prostu byśmy tam pojechali. Zapomnielibyśmy o wszystkim na tydzień albo dwa, żeby po prostu... być. Wiem, że pewnie zwiedziłaś dużo więcej świata niż ja. Kiedy dorastałem, nie było nas stać na podróże, ale tak się składa, że jedynym plusem wyjazdu na misję jest możliwość zaoszczędzenia kupy forsy. Jeśli się na to piszesz, prześlij mi razem z odpowiedzią listę miejsc, które chciałabyś zobaczyć. Pojedźmy gdzieś, gdzie jest ciepło, Izzy. Gdzieś, gdzie jest plaża. Gdzieś, gdzie mógłbym XXXXX.

Ten fragment musiał skreślać tyle razy, że długopis zrobił w papierze dziurę na wylot. Westchnęłam i odłożyłam list na blat w kuchni. Jak można tak bardzo tęsknić za kimś, z kim spędziło się tak mało czasu?

– Ile razy już to czytałaś? – zapytała stojąca przede mną Serena, która właśnie kończyła szykować obiad przy wyspie kuchennej.

– Raz. Może dwa. – Podobnie jak Nate, we wszystkim, co złe, starałam się doszukiwać czegoś dobrego. Może i *Gnojek* wybrał zamiast mnie studia na Yale, za to po tym, jak dostała pracę w redakcji „The Washington Post”, do mojego dwupokojowego mieszkania wprowadziła się Serena. Lubiła się biczować, że nie wzięli jej do „Timesa”, ale dla mnie liczyło się wyłącznie to, że miałam ją tuż pod bokiem.

– Chyba ze sto razy – wymamrotała, obracając grillowany na patelni ser na drugą stronę.

– Wiesz, że też mogę gotować, prawda? – Góra sera była dość mocno przypalona. – Przez ostatni rok w Syracuse mieszkałam z Margo. To nie tak, że nie radzę sobie w kuchni.

– Ty masz się uczyć. – Wycelowwała we mnie szpatułką oblepioną roztopionym serem. – Uczyć się, Isabeau. Nie wykuwać na blachę listy miłosne od Nate’a.

– To nie są listy miłosne. – Zabrałam szybko kartkę z blatu, na wypadek gdyby odrobina sera postanowiła pofrunąć wyjątkowo daleko i wylądować na mojej korespondencji. – Dał mi jasno do zrozumienia, że nie jesteśmy parą.

– Bo uwierzę. – Zmarszczyła brew.

– Kiedy tak robisz, wyglądasz jak mama – mruknęłam pod nosem.

Serena parsknęła i wyrwała mi list z rąk.

– Odszczekaj to! – zażądała, trzymając kartkę nad opiekającym się serem, który zaczął już dymić.

– Zaraz wywołasz pożar!

– Odszczekaj. To. – Wymachiwała listem tuż nad patelnią.

– Dobra, odszczekuję, co powiedziałam! – Rzuciłam się do przodu, ale siostra zdążyła odskoczyć poza zasięg moich rąk, po czym zaczęła czytać. – Serena!

Zagwizdała cicho, opierając się pośladkami o szafkę.

– Facet umie pisać.

– Wiem. – Złapałam uchwyt patelni i zsunęłam ją z palnika. Następnie otworzyłam okno w nadziei, że nie uruchomi się znowu czujnik dymu i nie zaalarmujemy po raz kolejny naszych wyczulonych na hałas sąsiadów spod 3C.

– „Obiecuj mi, że nie pozwolisz, aby życie uciekało ci między palcami” – przeczytała na głos końcówkę listu, podsumowując te

słowa długim westchnieniem. – Widzisz, nawet facet, który jest w tobie ewidentnie zakochany, chciałby, żebyś częściej wychodziła do ludzi. Trochę to co prawda dziwne, ale jeśli miałyby cię to przekonać, to jestem jak najbardziej za.

– Po pierwsze Nate *nie jest* we mnie zakochany. Jeśli facet kocha kobietę, nie puszcza jej luzem pomiędzy innych mężczyzn, życząc jej dobrej zabawy pod jego nieobecność. – Choć pojmowałam jego tok rozumowania i doskonale go rozumiałam, nie znaczyło to, że się z nim zgadzałam.

– W tym przypadku? – Serena pomachała kartką, rozganiając resztki smrodliwego dymu. – Ktoś, kto cię kocha, powiedziałby ci właśnie coś takiego. Muszę przyznać, że podziwiam gościa. Równie dobrze mógłby cię zamknąć gdzieś w Georgii i zostawić cię tam usychającą z tęsknoty. Zamiast tego pomyślał, co byłoby najlepsze *dla ciebie*. – Zrobiła głupią minę. – Chyba znalazłaś ostatniego porządnego faceta na całej planecie. I nie obchodzi mnie, co myślą o nim mama i tata.

Moi rodzice nie wiedzieli zbyt wiele na temat Nate'a, jednak ani przez chwilę nie kryli, że ich zdaniem randkowanie z zawodowym żołnierzem stanowiło niemalże moralny upadek, zwłaszcza po byciu wybranką Covingtona. Gdy to usłyszałam, nie miałam nawet ochoty wyjaśniać im, że wcale nie byliśmy parą. Nie wspomniałam też, że z mojego punktu widzenia Nate, kimkolwiek dla mnie był, we wszystkim przewyższał Jeremy'ego. Ten drugi wysłał mi przed tygodniem wiadomość na Insta, którą z radością zignorowałam. Gość musiał najpierw dorosnąć.

– A czemu tak ci zależy na wyciągnięciu mnie z domu? – Przysiadłam na kuchennym stołku i zaczęłam szukać w telefonie jakiegoś jedzenia z dowozem.

Poczułam się, jakbyśmy znowu były dziećmi, które musiały radzić sobie same, podczas gdy mama i tata bawili się na kolejnym przyjęciu. Z tą różnicą, że obie byłyśmy dorosłe. Tak jakby. Moja definicja dorosłości obejmowała samodzielne opłacanie rachunków, jednak całą resztę wydatków, a więc chesne, zakup podręczników i czynsz za mieszkanie, w dalszym ciągu pokrywał tata. Nie byłam więc najlepszym przykładem niezależności. W przeciwieństwie do Nate'a.

– Ponieważ jest jeszcze całkiem sporo w miarę przyzwoitych facetów, którzy nie są stale poza zasięgiem. – Serena podniosła głowę i spojrzała na mnie. – A poza tym przydałoby się, żebyś chociaż parę razy w tygodniu włożyła wieczorem coś innego niż... to.

Opuściłam wzrok i przyjrzałam się bluzie Nate'a.

– A co jest z nią nie tak?

– Nic. – Przewróciła oczami. – Swoją drogą, jak tam Paul? Parę dni temu byłeś z nim na drugiej randce, dobrze liczę?

– Patrick – poprawiłam siostrę. Właśnie znalazłam pobliską restaurację, która oferowała rozsądny czas dostawy. – Prawie na pewno nic z tego nie wyjdzie.

– A to zaskoczenie. – W jej oczach zamigotało udawane, prześmiewcze zdziwienie. – Niech zgadnę. Oboje studiujecie prawo na Georgetown, więc macie zbyt wiele wspólnego. On chce zajmować się polityką, a ty się nią brzydzisz. Wygląda niczego sobie, ale jednak cię nie kręci. Jest miły, tyle że nie zapada w pamięć? Aha! I do tego jest dostępny, masz go pod ręką, a to przecież z automatu skreśla każdego potencjalnego adoratora Isabeau Astor.

– Jest na drugim roku, interesuje go prawo spółek i bardziej niż we mnie jest zapatrzony w swój telefon. – Patrick nie patrzył na mnie, jakbym była odpowiedzią na każde pytanie. Tylko raz mnie pocałował, a w jego pocałunku było tyle emocji co w resztkach obiadu sprzed trzech dni. Poza tym... Westchnęłam.

Nie był Nate'em.

Żaden facet nim nie był.

– Wymienimy się. – Pomachałam swoim smartfonem. – Stawiam kolację, jeśli oddasz mi list.

Siostra przechyliła głowę w bok i utkwiała wzrok w trzymanej w ręku kartce.

– Wielka szkoda, że wymazał ten fragment. Założę się, że był pikantny.

– Serena!

– No dobra. Masz tu swój list od twojego niechłopaka. – Wręczyła mi arkusz papieru, po czym wstukała swoje zamówienie na ekranie mojej komórki.

Złożyłam kartkę starannie na pół i wsunęłam z powrotem do koperty, żeby schować ją razem z pozostałą korespondencją. Tym razem Nate przysłał mi też paczkę, w której znalazłam trzy kolejne książki z pozakreślanymi fragmentami. Ja również przygotowałam dla niego parę powieści, a w dodatku zaczęłam kompletować paczkę urodzinową, którą powinnam nadać w ciągu najbliższych kilku dni, dopóki istniała jeszcze szansa, że dotrze do adresata na czas. Jak do tej pory spakowałam do niej gumę miętową, ciasteczka czekoladowe, do których miał słabość, mimo że się do tego nie przyznawał, oraz bluzę z logo Uniwersytetu Georgetown do noszenia w czasie wolnym na terenie jednostki czy też – jak sam to nazywał – bazy operacyjnej.

– Wiesz co? Myślę, że powinnaś przyjrzeć się wyborom do Kongresu z naszego okręgu – odezwała się Serena, podając mi telefon.

– Startuje ktoś ciekawy? – Wepchnęłam komórkę do tylnej kieszeni dżinsów. – A może ktoś cię zainteresował, bo jesteś zaangażowaną dziennikarką, której misją jest szukanie prawdy i sprawiedliwości?

– A czy jedno z drugim nie może iść w parze? – Wrzuciła spalony ser do kosza na śmieci i wstawiła patelnię do zlewu.

– Zazwyczaj nie.

– Jedna z kandydatek oparła swój program na planie zakończenia wojny w Afganistanie.

Zaintrygowana, szybko odszukałam wzrok siostry.

– Pomyślałam, że może cię to zainteresować. – Serena nachyliła się do mnie, opierając łokcie na niedużej wyspie kuchennej. – Nie jestem pewna, czy wystarczy jej głosów, żeby dostać się do Kongresu. Zresztą nie wydaje mi się, by przepchnięcie takiej ustawy było w ogóle możliwe. Nie w obecnym klimacie politycznym. Ale jeśli babka wygra, tata mógłby pewnie pogadać z tym czy z tamtym, żeby załatwić ci u niej staż.

– Miałabym iść w politykę? – Pokręciłam głową. – Nie, dziękuję. A pociąganie sznurków przez tatę zawsze wiąże się z czymś więcej. Zresztą postanowiłam już, że będę pracować w sektorze non-profit. – Tam gdzie mogłabym rzeczywiście działać coś dobrego.

– Tatuś będzie zachwycony. – Serena wyszczerzyła zęby. – Powinnaś mu o tym powiedzieć w święta. Zrobi się czerwony jak

bożonarodzeniowe dekoracje.

– Twoje dziennikarstwo jakoś przełknął. – Sięgnęłam po leżący najbliżej mnie zeszyt, po czym otworzyłam go na pierwszej pustej stronie i wypisałam w słupku po lewej cyfry od jeden do dziesięciu.

– Bo nadal miał nadzieję, że będziesz jego kluczem do odrobiny politycznej władzy jako żona Covingtona. Tata chce mieć polityka w rodzinie bardziej niż którąkolwiek z nas.

– Smutna prawda – przyznałam, bo ostatnich parę lat dobitnie nam to pokazało. – Mogłybyśmy dać mu chociaż jednego wnuka z dyplomem MBA, który przejąłby stery rodzinnego biznesu Astorów.

– Nie po to zapierniczam i zrywam się ze smyczy tatusia, żeby w zamian założył mi uprzęż i zabrał mnie na spacer w tę stronę, którą sam uważa za słuszną. Nic z tego. – Serena pokręciła stanowczo głową.

– Tu się zgadzamy. Ale nie będę psuła rodzicom świąt. Wyjawię im swoje plany w marcu, kiedy przyjadą na moje urodziny.

Serena zrobiła krzywą minę, ale szybko przywołała się do porządku.

– Posłuchaj... wiem, że cieszysz się na ich przyjazd, ale może lepiej... – urwała i przygryzła dolną wargę.

– Może lepiej się nie nastawiać? – dokończyłam za nią, skoro sama nie potrafiła.

– Właśnie.

– Przyjadą. – Uniosłam brwi, stawiając opór sceptycyzmowi siostry. – Obiecali. Zresztą zarezerwowali już hotel.

– Po prostu nie chcę, żebyś była zawiedziona. Znowu. Nie nazwałabym naszych rodziców szczególnie solidnymi. Właśnie dlatego uważam, że powinnaś znaleźć sobie kogoś naprawdę *niezawodnego*. – Zerknęła na leżący przede mną zeszyt.

– Nate jeszcze ani razu mnie nie zawiódł. – Wpatrywałam się w pustą listę, obracając w myślach moje nowe ulubione słowo – *możliwości*. Gdzieś, gdzie jest plaża. Gdzieś, gdzie Nate mógłby całować mnie w morzu. Wyobrażałam sobie, że właśnie to napisał w pokreślonej części listu.

– Aha, babka nazywa się Lauren – odezwała się po chwili Serena.

– Jaka babka?

– Ta, która kandyduje do Kongresu. Eliana Lauren.

– Poczytam o niej. – Mogłam przynajmniej sprawdzić, czy warto oddawać na nią głos.

Stuknęłam długopisem przy jedynce, a potem zapisałam jedno krótkie słowo.

Fidzi.

* * *

Do grudnia kolekcja listów z zagranicy rosła gwałtownie, podobnie jak poziom mojego stresu. Studia prawnicze okazały się trudniejsze, niż sądziłam. Przed egzaminami semestralnymi nie miałam prawie w ogóle czasu na czytanie dla przyjemności i siłą rzeczy przestałam nadążać z odpisywaniem na korespondencję nadsyłąną przez Nate'a.

Godne podziwu było to, że Nate ani słowem nie skomentował faktu, że milczałam przez niemal cały miesiąc. Po prostu pisał do mnie kolejne listy, zaznaczając w nich, jak bardzo był ze mnie dumny, że brnęłam przez tak wymagające studia.

Święta Bożego Narodzenia przyjęły formę niezręcznej ekstrawagancji wypełnionej zbyt kosztownymi prezentami i niezgrabnymi uściskami z poklepywaniem po plecach. Gdy jednak nadszedł styczeń, odzyskałam dawną równowagę.

Nigdy nie przepraszaaj za to, co musisz zrobić. Tak napisał Nate w liście, który dostałam pod koniec stycznia.

W lutym udało mi się nie spieprzyć nowego związku przez aż trzy tygodnie. W czwartym dałam sobie spokój. Zbiegło się to w czasie z rezygnacją rodziców z przyjazdu do Waszyngtonu na moje urodziny. Ważniejsze okazało się otwarcie nowego biura taty w Chicago.

Nie znałam ojca Nate'a, a on sam nigdy nie wyjaśnił mi, dlaczego tak bardzo obawiał się, że stanie się taki jak on, ale o własnym tacie zaczynałam myśleć podobnie. Nie oczekiwałam, że będę oczkiem w głowie rodziców, jednak miło byłoby od czasu do czasu zmieścić się w pierwszej dziesiątce ich priorytetów.

– Znowu? – zapytała Margo w marcu podczas naszej cotygodniowej telekonferencji.

– Cztery randki, cztery szanse – odparłam, przyciskając komórkę do ucha ramieniem, bo składałam akurat ostatnią partię prania. – Nie wszystkie jesteśmy szczęśliwymi mężatkami w wieku dwudziestu dwóch lat.

– Nie jesteś jeszcze dwudziestodwulatką – przypomniała. – Urodziny masz dopiero jutro.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Rozwiesiłam swoją ulubioną koszulę, a bluzę Nate’a włożyłam do szuflady pod łóżkiem. – Nie widzę sensu w trzymaniu kogoś przy sobie, jeśli wiem, że nic z tego nie będzie.

– Nigdy nic z tego nie będzie, dopóki naprawdę nie spróbujesz – odpowiedziała swoim pouczającym tonem.

Z salonu dobiegł głośny chichot.

– Ktoś tam się chyba dobrze bawi – zauważyła Margo.

– Do Sereny przyszedł chłopak, dlatego ukrywam się w sypialni.

– A jak w szkole?

– Dobrze, mam. – Uśmiechnęłam się, gdy przyjaciółka parsknęła.

– Serio. O dziwo, nie mam żadnych zaległości, a skoro jest piątek wieczór, mam cały weekend na oglądanie seriali albo...

– Pisanie do Nate’a – podsunęła śpiwnie Margo.

– Zaczynasz gadać jak Serena.

– Serena uwielbia Nate’a. A ja... – umilkła nagle.

Upuściłam pusty kosz na pranie na podłogę mojej klaustrofobicznie małej garderoby.

– No dalej, mów.

– A ja... powstrzymam się od wydania werdyktu, dopóki nie będzie jasności, czy jesteście sobie naprawdę pisani, czy ciągnie was do siebie wyłącznie trauma po przeżytej katastrofie.

– Skoro już o tym mowa, jak idzie ci psychomagisterka? – zapytałam, by zmienić temat, mimo że niejednokrotnie sama się nad tym zastanawiałam. Ale przecież to, jak bardzo za nim tęskniłam przez te wszystkie miesiące, musiało znaczyć coś więcej. Choć spędziliśmy ze sobą niewiele czasu, poza tym wymienialiśmy jedynie listy, miałam wrażenie, że znałam Nate’a lepiej niż tamtego gnojka Jeremy’ego. W listach, w przeciwieństwie do pozbawionych głębi randek w kinie, nie było miejsca na pieprzenie o niczym.

– Z jednego przedmiotu ledwo co ciągnę – przyznała Margo.

– Rzeczywiście ledwo ciągniesz? – zapytałam i zrobiłam pauzę. – Czy po prostu grozi ci trójka?

– To jedno i to samo.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Nieprawda. A tak na poważnie, to czy mogę ci w czymś pomóc?

– Oprócz przeprowadzenia się z powrotem na gęsto zalesione północne rubieże kraju i zabierania mnie każdego popołudnia na kawę, żebym mogła oglądać twoją ładną buźkę?

– No tak. Może poza tym. – Usłyszałam dzwonek do drzwi. Opadłam jednak beztrosko na łóżko, przekonana, że Serena otworzy.

– W takim razie nie. Pozostaje ci tylko wysłuchiwać mojego marudzenia przez telefon.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Izzy! – zawołała mnie siostra.

– Muszę kończyć. Chyba przywieźli nam kolację. – Gdy się pożegnałyśmy, zakończyłam połączenie.

– Izzy! – Serena wrzasnęła ponownie.

– Już idę! – Podciągnęłam miękkie flanelowe spodnie od piżamy nieco wyżej na biodra i zapięłam do końca bluzę z logo uniwerski Georgetown, pod którą nie miałam stanika, żeby nie zgorszyć towarzysza Sereny w ciągu dwóch sekund, jakie zajmie mi porwanie porcji jedzenia i czmychnięcie z powrotem do swojej pieczary.

Gdy otworzyłam drzwi sypialni, wpadłam wprost na Serenę z wyszczerzem niepokojąco wręcz podobnym do słynnego Kota z Cheshire.

– Tak? – zapytałam.

– Ulatniam się na weekend. Współlokator Luke'a wyjechał z miasta, więc mamy wolną chatę. Właśnie pakuje moją torbę. – Wyglądała na tak szczęśliwą, że nie chciałam przypominać jej o moich urodzinach, które przypadały nazajutrz.

– To fantastycznie! Bawcie się dobrze! – Zmusiłam się do uśmiechu, modląc się w duchu, żeby go nie przejrzała.

Mocno mnie przytuliła.

– Będziesz miała najlepsze urodziny w swoim życiu. Tylko obiecaj mi, że wyściubisz nos z mieszkania.

– Tak zrobię. – Małe, niewinne kłamstewko. Wyjdę z domu, owszem, ale tylko po kawę na drugą stronę ulicy. Miałam już w planach intensywną nasiadówkę na kanapie przed telewizorem.

Serena wypuściła mnie z objęć i przyjrzała się uważnie mojej twarzy, jakby poddając mnie badaniu wariografem.

– Okej. W kuchni masz kolację. Kocham cię, Iz.

Ścisnęła moją dłoń, po czym szybkim krokiem ruszyła do wyjścia, po drodze chwytając za rękę swojego chłopaka. Zatrzasnęła za sobą drzwi, zanim zdążyłam przejść do salonu.

– Dziwne, ale okej – mruknęłam pod nosem i odwróciłam się do kuchni, skąd dolatywał zapach świeżo dostarczonej chińszczyzny.

Dosłownie podskoczyłam na widok przystojnego mężczyzny opierającego się jak gdyby nigdy nic o kuchenną szafkę, zupełnie jakby właśnie tam było jego miejsce, nie gdzieś w obcym kraju na drugim końcu świata. Miał na sobie džinsy i kurtkę, której nie zdążył nawet rozpiąć. U jego stóp leżał zmęczony częstymi podróżami plecak w barwach wojskowego kamuflażu. Pomimo zmęczenia wyraźnie odznaczającego się w jego niebieskich oczach wyglądał tak cholernie cudownie, że niemal zapierało mi dech w piersi.

– Nate? – Był tutaj. Wrócił do Stanów. Stał w mojej kuchni.

– Hej. – Uśmiechnął się szeroko, ujawniając swój dołeczek.

Moje serce ruszyło z kopyta niczym koń wyścigowy, podobnie zresztą jak ja sama. Zajęło mi mniej niż sekundę, żeby przeskoczyć ponad kanapą. Co z tego, że porzrzucam poduszki?! Nie zamierzałam tracić czasu na omijanie przeszkód. Nate złapał mnie w ramiona, jeszcze zanim wylądowałam po drugiej stronie.

– Jesteś tu – wymamrotałam prosto w ciepłą skórę jego szyi, ze stopami w powietrzu, gdy mocno mnie do siebie przytulał.

– Wszystkiego najlepszego, Isabeau – powiedział.

Lepszego prezentu *w życiu* nie dostałam.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

IZZY

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie plecami. Gdy patrzyłam na Jeremy'ego rozglądającego się po apartamencie, moje serce biło jak oszalałe, choć wcale nie z radości. Obejrzał kącik wypoczynkowy, rzucił okiem do aneksu kuchennego. Najwyraźniej rozmowa, której unikałam jak ognia przez ostatnich sześć tygodni, miała się odbyć, czy tego chciałam, czy nie.

W szybkim tempie narastała we mnie złość, rozgrzewając skórę do czerwoności. Jak śmiał tak po prostu się tu zjawić?

Zawsze możesz poprosić Nate'a, żeby wykopał go stąd na zбитy pysk.

Miałam jednak poważne wątpliwości, czy po wymianie zdań w korytarzu Nate będzie jeszcze w ogóle chciał ze mną rozmawiać. Bez wątpienia właśnie dzwonił po swojego zmiennika.

Wychodzisz za Gnojka. Mój Boże, jego mina wyrażała coś dużo gorszego niż poczucie bycia zdradzonym. Nate był... zawiedziony. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że znał moje wcześniejsze relacje z Jeremym, trudno było go za to winić.

Zresztą sama też byłam sobą zawiedziona dlatego, że tak długo to ciągnęłam. Pierścionek na moim palcu ciążył niczym kotwica, nie pozwalając odpłynąć od osoby, która – jak wreszcie zaczynało do mnie docierać – nigdy na mnie nie zasługiwała.

– Twój pokój jest ładniejszy od tego, w którym ulokowali mnie – odezwał się Jeremy, ściągając granatową marynarkę, pod którą miał perfekcyjnie odprasowaną koszulę. Ubrał się, jakby miał przemawiać przed Senatem, a nie wybierał się do Afganistanu. Gdy rozwiesił już marynarkę na oparciu krzesła przy biurku, odwrócił się do mnie i otaksował swoim brązowym spojrzeniem z taką samą oceniającą manierą, z jaką przed momentem lustrował wnętrze pokoju. Delikatna zmarszczka na jego czole zdradzała, że mój wygląd pozostawiał w jego oczach co najmniej tyle do życzenia, co jego zakwaterowanie.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęliśmy się spotykać na studiach w Syracuse, miałam całkiem w dupie, co sobie o mnie pomyśli, jak bardzo nie podobają mu się moje pogniecione spodnie czy pokryta kurzem bluzka. Nie musiałam już robić na nim wrażenia.

Ta myśl sprawiła, że nabrałam nieco pewności siebie.

– Co tu robisz? – Ściągnęłam chustę, wrzuciłam ją do torby i skrzyżowałam ramiona na piersi. Po nieudanej próbie przekonania Sereny, żeby poleciała razem z nami, była to ostatnia rzecz, z jaką w tamtej chwili miałam ochotę się mierzyć.

Nie potrafiłam znaleźć słów, które opisywałyby to, co się, do cholery, działo, ani to, jak się przez to czułam. Wszystkie porażki, jakie w życiu poniosłam, wróciły do mnie jednego dnia jak zły sen. Zmieniłam się w płataninę iskrzących przewodów elektrycznych pod napięciem, które mogły eksplodować w zetknięciu z najmniejszą choćby prowokacją.

– Jak zawsze bez owijania w bawełnę, prawda, Isa? – Podszedł bliżej, zaszczycając mnie jednym ze swoich pięciu perfekcyjnie wyćwiczonych uśmiechów. Wybrał numer cztery, który odmalowywał pewną skruchę, a jednocześnie przypominał, że chłopcy zawsze będą chłopcami.

Isa. Nazywał mnie tak, bo takiej formy użył mój ojciec, kiedy nas sobie przedstawił.

Uniosłam dłoń, zatrzymując go gestem w połowie salonu. Zbity z tropu, ściągnął swoje wypielęgnowane brwi.

– Niech zgadnę, pożyczylesz od tatusia prywatny odrzutowiec? – Przechyliłam zaczepnie głowę. – Czy może to przystanek na trasie kampanii?

– Wyobraź sobie, że przez tę małą wycieczkę musiałem odwołać aż trzy wystąpienia. – Uśmiech zniknął z jego twarzy. Podrapał się po podbródku. – Wystąpienia, w trakcie których miałaś mi towarzyszyć.

– Nie zamierzałam brać w tym udziału, nawet gdybym została w Stanach. – Pokręciłam głową i ruszyłam w stronę małego stolika za kanapą. Odłożyłam na niego torbę i rozruszałam zeszywniałe ramiona. – Nie powinno cię tu być, Jeremy. Poprosiłam cię, żebyś dał mi trochę przestrzeni, a ganiając za mną przez pół świata, raczej mi tej przestrzeni nie zapewniasz.

– Daj spokój, Isa. – Pora na uśmiech numer trzy. Chłopcę niewinność, po którą sięgał zawsze, gdy chciał dostać to, co sobie upatrzył. Dokładnie w ten sposób sprawił, że uwierzyłam w zasadność dania mu drugiej szansy. – Myślałem, że lubisz wszystkie te śmiałe, romantyczne gesty z książek, które czytasz. Przyleciałem do ciebie w sam środek wojny. Czy to nie pokazuje, jak bardzo cię kocham? Jak wiele jestem gotów zrobić, żeby się nam udało?

Zbliżył się do mnie, lecz nadal trzymałam go na odległość kanapy.

– Coś mi mówi, że zdążyłeś się już obfotografować na parterze, jak udajesz, że pomagasz przyjmować wnioski wizowe, albo jak jesteś pochłonięty rozmową z przyszłymi obywatelami, omawiając z nimi najlepsze sposoby na ewakuowanie ich z tego kraju.

W jego oczach błysnęło zaskoczenie, a następnie opuścił spojrzenie, śledząc wzrokiem własne palce sunące po podłokietniku tapicerowanej sofy.

– Oczywiście zrobiłem, co trzeba, by przekonać mojego ojca, że lot będzie można opłacić z budżetu kampanii.

– Nie masz tego jeszcze dosyć? Ciągłego płaszczenia się przed swoim ojcem? Bóg mi świadkiem, że ja mam. – Nie zdawałam sobie z tego nawet sprawy, dopóki słowa nie wypłynęły z moich ust. Dałam się uwięzić w niemającym końca cyklu zaspokajania oczekiwań wszystkich mężczyzn w moim życiu, wyłącznie po to, żeby porzucili mnie, kiedy tak im będzie wygodniej. Niespodziewane spotkanie z Nate'em tylko rozjaśniło mi ten obraz, ponieważ zamiast przełamać ten schemat, niestety on też stał się jego częścią.

– Daj już spokój, Isa. Wiesz, że nie mam szans na wygraną bez wsparcia ojca... Gramy w grę. Tym się zajmujemy.

– Racja. Nie rób sobie kłopotu, wsiadaj z powrotem do samolotu. – Gdybym tylko umiała przewrócić oczami jeszcze mocniej, chyba wyskoczyłyby mi z orbit. Polityka zawsze była dla niego najważniejsza. Był to jeden z wielu powodów, dla których moi rodzice darzyli go większym uczuciem niż ja.

– Poleć ze mną. – Błagalny wyraz twarzy, jaki przybrał Jeremy, z całą pewnością nie był wyćwiczony, czym o mały włos nie przedarł się przez moją obronę.

– Jeśli będę musiała jeszcze raz wysłuchiwać, jak niebezpiecznie tu jest... – zaczęłam.

– Nic z tych rzeczy – odparł, kiwając ochoczo głową. – Żywię ogromny szacunek dla pracy, jaką tu wykonujesz. Ta delegacja będzie świetnie wyglądała w twoim życiorysie i stanie się doskonałym tematem przyszłych wywiadów, ale...

Moje oczy zapłonęły gniewem. Oczywiście! Jeremy wszystko przeliczał na punkty procentowe w sondażach wyborczych.

– Ale co?

Skulił się, po czym szybko przywołał na twarz jeszcze raz uśmiech numer trzy.

– Ale mieliśmy umowę. Miałaś wspierać mnie w trakcie kampanii, a ja zgodziłem się, że nie będę naciskał, żebyś porzuciła swoją karierę, kiedy już zostanę wybrany.

Otworzyłam usta, ale po chwili je zamknęłam. Następnie powtórzyłam cały proces, wciąż nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Czy tobie naprawdę wydaje się, że będę uwieszać się na twoim ramieniu po tym, jak weślę do twojego gabinetu i zastałam w nim Clarisse Betario rozłożoną na twoim biurku jak lunch? – Na samo wspomnienie tego, co wtedy zobaczyłam, aż zrobiło mi się niedobrze. Za to serce pozostało dziwnie niewzruszone.

– To było... niefortunne – przyznał. – Ale nie udawaj wielce zrozpaczonej. Zbyt dobrze się znamy, żebyśmy mogli się oszukiwać. Byłaś wkurzona. Może trochę zakłopotana...

– Już bardziej upokorzona! – Moje dłonie zacisnęły się w pięści, paznokcie wbijały się w skórę. – Wszyscy w biurze wiedzieli, co jest

grane! I uwierz mi, z miłą chęcią opowiedzieli mi, że nie był to jednorazowy wybryk. Miałeś z nią romans przez sześć miesięcy! A na zapowiedzi naszych zaręczyn nawet nie zdążył jeszcze wyschnąć tusz!

Jeremy wziął wolno głęboki wdech, a jego wzrok na chwilę uciekł w bok, co oznaczało, że w popłochu szukał odpowiedzi. Jako polityk powinien nauczyć się kontrolować ten odruch.

– Przykro mi, że wprowadziłem cię w zakłopotanie, Isa. Szczerze tego żałuję.

Zamrugalam, nie wierząc własnym uszom.

– Ale nie żałujesz tego, że mnie zdradzałeś? – Spodziewałam się po nim wszystkiego, ale nie tego, że przyjmie akurat taką taktykę.

– Umawialiśmy się, że nie będziemy się nigdy okłamywać. – Wyprostował ramiona.

– Owszem, bo tylko w ten sposób mogliśmy to jeszcze posklejać po tym, co stało się po zakończeniu studiów w Syracuse! – Jak mogłam być taką kretynką, żeby ponownie mu zaufać.

– Już zawsze będziesz mi to wypominać? – Przeczesał dłonią włosy, mierzwiąc idealnie brązowe kosmyki. – Myślałem, że zostawiliśmy to za sobą!

– Pewnie, po prostu przeszliśmy do następnego etapu. Pieprzenia się z podwładnymi. Tak trzymać, gratuluję! – Uniosłam teatralnie oba kciuki, po czym zrzuciłam ze stóp buty. Na całe szczęście na spotkanie w Mazar-i-Szarif włożyłam obuwie z płaską podeszwą, jednak moje obolałe nogi nadal miały mi ten wypad za złe.

– Posłuchaj, byłem przekonany, że omawialiśmy kwestię otwartego związku...

– Może ty omawiałaś! – Trzasnęłam otwartą dłonią o blat stołu. Łupnięcie pierścionka o drewno poniosło się echem, wysadzając tamę zatrzymującą we mnie potok obrzydzenia. – Nie wyraziłam zgody. Dobrze wiedziałeś, że nigdy bym na coś takiego nie przystała. W życiu bym się nie zgodziła!

– Twój ojciec chciałby...

– Mój ojciec nie podejmuje decyzji za mnie. – Docierało do mnie, jak prawdziwe były te słowa, lecz tylko dlatego, że wreszcie pojęłam, jak fałszywe były dawniej. Nawet Jeremy został wybrany przez mojego tatę, nie przeze mnie, a ja byłam tak głodna jego aprobaty,

że zgodziłam się postąpić wbrew sobie i dać drugą szansę związkowi, który na dobrą sprawę nie zasługiwał na pierwszą. – Ale choćby nie wiem, z jak wielką desperacją tata łaknął rodzinnych powiązań politycznych, nigdy nie pogodziłby się z tym, że przyjmuję coś, mimo że zasługuję na więcej. A patrząc na ciebie, Jeremy, w końcu dostrzegam, że zasługuję na o wiele więcej.

Jeremy głośno przełknął ślinę, po czym spojrzał na moją dłoń.

– Skoro nadal nosisz pierścioneł, to znaczy, że jest nadzieja.

– Nie zdjęłam go, ponieważ twoje postępowanie odebrało mi mowę – odparłam, mijając go w drodze do aneksu kuchennego. – Nie wiem, jak miałabym wytłumaczyć ludziom, dlaczego już go nie noszę.

– W takim razie go nie zdejmuj – zaproponował i poszedł za mną.

Wyjęłam z lodówki butelkę wody, ale nie raczyłam poczęstować go drugą. Za dużo już ode mnie wziął. Odkręciłam nakrętkę i wypłam duszkiem niemal połowę zawartości, zanim odstawiłam butelkę na blat szafki.

– Jeśli mamy być ze sobą absolutnie szczerzy, wyłóżmy karty na stół – powiedziałam, zapierając się dłońmi o blat i wskakując na niego tyłkiem. – Żadne z nas tak naprawdę tego nie chce. Wszystko to zostało zaaranżowane przez innych ludzi wyłącznie na pokaz.

– Ale nie tylko dla dobra mojej kariery. Twojej też – rzucił i poluzował krawat.

– Nigdy nie chciałam bawić się w politykę – dodałam, kręcąc przecząco głową.

Jeremy się zaśmiał, jednak nie był to radosny, melodyjny śmiech, latami dopracowywany przez niego do perfekcji. Biła od niego surowość, wręcz brzydota, ale przynajmniej był autentyczny.

– Po co udawać. Oboje dobrze wiemy, z jakiego dokładnie powodu zajęłaś się polityką. – Wsunął dłonie do kieszeni spodni. – I dlaczego nadal *tu* jesteś.

Zacisnęłam palce na krawędzi blatu, przygotowując się na zjadliwy atak słowny z jego strony, jeden z tych, które uczyniły go niegdyś gwiazdą w biurze prokuratora okręgowego. Jakby nie patrzeć, praca w służbie społeczeństwu wyglądała w papierach dużo lepiej niż adwokatura w sektorze prywatnym.

– Nie zachowuj się, jakby wcale nie było nas troje. Przez cały czas! Odkąd tylko dwa lata temu wpadliśmy na siebie w Waszyngtonie. – Zmrużył oczy. – Myślisz, że nie rozpoznałem tego twojego ochroniarza? Przecież jego zdjęcie wisiało na lodówce w twoim mieszkaniu przez pierwszy rok naszego związku. Nigdy nie przestał się dla ciebie liczyć. Może i sypiałem z innymi kobietami, ale do cholery, żadnej z nich nie kochałem.

Z innymi *kobietami*? Ależ ja byłam naiwna!

– Jak mieliśmy zbudować pełen oddania i zaangażowania związek, skoro od samego początku w twoim sercu nie było dla mnie miejsca? – ciągnął Jeremy. – Może nie spodoba ci się to, co powiem, ale oboje wiemy, że to on stał między nami przez ostatnie dwa lata. Zacząłem się więc rozglądać za kimś, kto naprawdę by mnie zechciał, w przeciwieństwie do ciebie. Nie miało znaczenia, że zostawił cię wtedy w Nowym Jorku, bo i tak wciąż do niego wzdychasz.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze, lecz nie zaprzeczyłam.

– Uważaj na słowa, Jeremy.

Uniósł dłonie i wycofał się o dwa kroki, wychodząc z aneksu kuchennego.

– Wielkie niebiosa! Boże broń, abym tylko nie mówił źle o świętym Nathanielu Phelanie. Powiedz mi, czy to przez niego nie odbierałaś telefonów ode mnie? To dla niego tak ochoczo zajęłaś miejsce Newcastle'a w składzie delegacji? Wiedziałaś, że tu będzie? Zafundowałaś sobie dobrą zabawę, taką samą, za jaką mnie chcesz wpędzić w poczucie winy?

– Nie jestem ci winna żadnych wyjaśnień – odpowiedziałam, unosząc podbródek. – Ale żebyś nie myślał sobie, że jestem choć trochę podobna do ciebie, to nie. Nie szukałam Nate'a. Tak się złożyło, że pełni tu służbę i został oddelegowany do zapewnienia mi ochrony.

– Trudno, żeby było inaczej. – Jeremy wpatrywał się uparcie w ścianę, jakby próbował dostrzec Nate'a stojącego po drugiej stronie. – Tak to już z wami jest, prawda? Magia sprawia, że niespodziewanie pojawiaacie się w swoim życiu.

– Do czego zmierzasz? – Nate'a i mnie łączyło coś, co budziło we mnie pogardę, ale też wywoływało zachwyty. Nie było o czym

dyskutować, a już na pewno nie z tym człowiekiem.

Jeremy wyrwał do przodu, chcąc złapać mnie za ramię, ale w ostatniej chwili wysunęłam ją z jego dłoni.

– Dotknij mnie jeszcze raz, a będę krzyczeć. Będziesz trupem w parę sekund. Nate’a nie obchodzi, kim jest twój tatuś. – Groźba ta wyfrunęła z moich ust, nim zdążyłam się dobrze zastanowić, czy mądrze było ryzykować karierą Nate’a dla sytuacji, w której powinnam była poradzić sobie sama.

Mimo wszystko podziałało, bo Jeremy cofnął się o krok.

– Pieprzyłaś się z nim? – Jego twarz pokryła się czerwonymi plamkami. – Tym razem też?

– Naprawdę mnie o to pytasz? To nie ja zdradzałam cię na lewo i prawo. – Zsunęłam się z blatu. Ramiona opuściłam swobodnie wzdłuż ciała, gotowa w każdej chwili sięgnąć po guzik alarmowy schowany w kieszeni, na wypadek gdyby Jeremy postanowił wywinąć jeszcze jakiś numer.

– Przycisnął mnie do ściany, Isa. – Kącik ust Jeremy’ego uniósł się lekko w górę, jednak nie powstał z niego uśmiech numer dwa, czyli pogardliwy uśmieszek. – Dość porywcza reakcja, nie sądzisz? Wręcz niebezpieczna, gdybyś chciała znać moje zdanie.

– Jest. Moim. Ochroniarzem – wycodziłam każde słowo z osobna.

– Ochroniarz wykręciłby mi nadgarstek. A twój chłoptaş dobrał mi się do gardła. – Jeremy zamilkł, a po chwili zamrugał i wyraz jego twarzy uległ całkowitej przemianie. Wyglądał, jakby coś sobie kalkulował. – Chwileczkę. To może zadziałać.

– Słucham? – Każda minuta spędzona w towarzystwie tego faceta przekonywała mnie o czymś zupełnie odwrotnym.

– Mimo że godzi to w moją dumę, mogę zgodzić się na kompromis. Przyjechałam tutaj, żeby cię odzyskać, i dokładnie to zamierzam zrobić. Chcesz się na mnie odegrać? W porządku. Proszę bardzo. Zatrzymaj go sobie, a ja zachowam... dyskrecję. – Oto i on, uśmiech numer jeden. Polityk pełną gębą.

Szczęka mi opadła.

– Nie dostrzegasz tego? – Jeremy wzruszył ramionami, tyle że przerażająco pogodnie. – To idealny układ. Nasze rodziny dostaną to, czego chcą, nasze kariery będą się rozwijać w najlepsze, podczas gdy satysfakcję będziemy znajdować poza domem. To

przecież nic nowego. Połowa związków w Waszyngtonie jest odgrywana na pokaz. Pomyśl o tym nie jak o małżeństwie, a bardziej jak o spółce partnerskiej. O sojuszu.

Wpatrywałam się w niego oniemiała, biernie przyglądając się, jak wszelkie uczucia, które niegdyś żywiłam do tego mężczyzny, kurczą się i obumierają. Być może od początku byłam świadoma, że nasz związek niósł ze sobą wiele dodatkowych korzyści, ale pomimo to żyłam w przekonaniu, że opierał się na miłości i wzajemnym przywiązaniu.

Tępy ból niepokojący moje serce na wspomnienie niewierności Jeremy'ego był jednak niczym w porównaniu z utrudniającym oddychanie kluciem, które powodowała świadomość tego, że tuż za ścianą jest Nate. *Niech to szlag!* Jak mogłam się tak oszukiwać? I to przez całe dwa lata?

– To doskonałe rozwiązanie – ciągnął Jeremy, co chwila kiwając głową z entuzjazmem. – Wszyscy dostaną to, czego chcą.

– Tyle że ja nie chcę *ciebie*. – Szarpnęłam za pierścionek, ściągając go z palca.

– Nikt jeszcze nie wywęszył, co się stało. Zdążymy wszystko naprostować. Powiemy, że przyleciałem tutaj wiedziony obawami o twoje bezpieczeństwo, a media to łykną. – Zignorował mnie. Zapatrzony gdzieś w głąb pokoju, wypluwał z siebie kolejne słowa: jak ograć to na swoją korzyść, jak poradzić sobie z ewentualnymi nieprzewidzianymi skutkami.

– Jeremy – odezwałam się na tyle stanowczym głosem, że się do mnie odwrócił.

– Co? – Jego ściągnięta brew wyglądała niemal komicznie.

– Popęłniłam błąd. Przepraszam. – Sięgnęłam po jego dłoń.

Gdy nasze opuszki delikatnie się musnęły, wyraz twarzy Jeremy'ego złagodniał.

– W porządku. Wszystko da się naprawić. Wciąż chcę się z tobą ożenić.

Wcisnęłam pierścionek do jego ręki, po czym zakryłam klejnot rodzinny jego własnymi palcami.

– Ale ja nie chcę za ciebie wychodzić. Popęłniłam błąd, wychodząc z założenia, że moje uczucia wobec ciebie rozwiną się, jeśli dam im wystarczająco dużo czasu. Popęłniłam błąd, ulegając woli swoich

rodziców tylko dlatego, że tak było wygodnie, bo myślałam, że wreszcie spotkam się z ich aprobatą. Popełniłam błąd, zadowolając się kimś, kto ewidentnie nie rozumie, czym są miłość, oddanie ani wyłączność. Nigdy nie będę tym, czego chcesz, a ty nigdy nie dasz mi tego, na co zasługuję. Popełniłam błąd, przyjmując twoje oświadczenia, i właśnie ten błąd naprawiam.

Jeremy spojrzał na swoją zaciśniętą pięść.

– Nie mówisz poważnie.

– Owszem. – Wykorzystując element zaskoczenia, minęłam go i podeszłam do biurka, przy którym zostawił swoją drogą marynarkę. Wzięłam ją do ręki, a następnie skierowałam się do drzwi i sięgnęłam do klamki.

– Nie – upierał się, obróciwszy się, by na mnie spojrzeć. Kręcił głową z przesadną wręcz emocjonalnością. – Nie odmawiasz mi. To niemożliwe.

Westchnęłam i otworzyłam drzwi. Resztki mojej złości zalewała właśnie fala litości.

– Och, Jeremy. Ktoś powinien był ci odmówić już dawno temu.

Jego oczy niemal wyszły z orbit.

– Halo – powiedziałam w stronę korytarza. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że warty pod moimi drzwiami nie pełnił Nate, tylko sierżant Gray.

Poczułam, jak żołądek wywraca mi się na lewą stronę.

– Panno Astor? – odezwał się sierżant Gray, unosząc swoje gęste brwi.

– Ano tak. – Ocknęłam się i zmusiłam do uśmiechu. – Przepraszam. Pan Covington właśnie wychodzi. Czy mógłby pan dopilnować, żeby wrócił do swojego pokoju? – poprosiłam.

– Isa! – Jeremy nie dawał za wygraną.

Sierżant Gray zdusił uśmiech, nim zdążył pojawić się na jego twarzy.

– Oczywiście. Panie Covington, o ile dobrze wiem, pański apartament jest tuż obok.

– Pierdolić to! – Jeremy przeszedł koło mnie ciężkim krokiem, wyrywając mi z rąk swoją marynarkę. – Pożałujesz tego, Isa. A kiedy już pożałujesz, możliwe, że nie będę chciał przyjąć cię z powrotem.

Sierżant Gray zignorował ten wybuch ze stoickim spokojem.

Pozwoliłam Jeremy'emu mieć ostatnie słowo, doskonale zdając sobie sprawę, że inaczej rozmowa nie miałaby końca. Gadałby aż do skutku.

– Dziękuję – zwróciłam się do sierżanta Graya. Gdy kiwnął mi głową, zamknęłam za sobą drzwi, przekręciłam zamek i oparłam się o nie plecami, osuwając się po nich wolno, dopóki mój tyłek nie wylądował na podłodze.

Powinnam być wściekła na tak wiele rzeczy. Na ciągle polityczne rozgrywki mojego ojca, na nonszalanckie podejście Jeremy'ego do swoich zdrad, wreszcie na mój własny udział w czymś, co od samego początku ewidentnie nie miało prawa się udać.

Gniew pochłaniający moje myśli był jednak tak nieujarzmiony, ponieważ Jeremy w jednej kwestii miał absolutną rację. Nieważne, kogo bym poznała, z kim bym się spotykała albo kogo próbowałabym pokochać. Nate zawsze stałby między nami, nawet jeśli fizycznie by go tam nie było.

Nie dało się oddać komuś serca, którego wcześniej się nie odzyskało.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

NATHANIEL

Georgetown
Marzec 2015

– Możemy spędzić ze sobą tylko dwa dni, a ty postanowiłeś zabrać mnie do baru? – zawołała Izzy, zagłuszana wypełniającym klub nocny dudniącym basem, gdy przyglądaliśmy się ciałom ciasno upchanym na zatłoczonym parkiecie.

– Obiecałem twojej siostrze, że wyciągnę cię z domu – odpowiedziałem. – Taki zawarłem z nią układ w zamian za to, że utrzymała mój przyjazd w tajemnicy. – Moje tętno pulsowało niespokojnie w reakcji na przytłaczający tłum, jego bliskość, jego wielkość. Od wyjścia dzieliło nas zbyt wielu ludzi. Za dużo osób, żeby ogarnąć wzrokiem, co robiły poszczególne dłonie, kto mógł po coś sięgnąć. W chuj za dużo ludzi.

Nie był to najlepszy pomysł, ale stoczyłem nie lada walkę, żeby dostać specjalną zgodę na otrzymanie przepustki na weekend przed ukończeniem szkolenia reintegracyjnego z resztą mojego oddziału. Tyle że ta myśl w żaden sposób mnie nie uspokoiła.

– Na pewno jesteś zmęczony po nieprzespanej nocy – podjęła temat, a między jej brwiami zarysowały się dwie drobne kreski. Jasna cholera, już prawie zapomniałem, jak długie miała rzęsy. Zdjęcia nie oddawały w pełni jej urody.

– Daję radę. Nie będziemy spędzać twoich urodzin, zamartwiając się o mnie. – Wyglądało na to, że moje zmagania z bezsennością

nie były tak dyskretne, jak sądziłem. Ale przynajmniej udało mi się nie złamać danej samemu sobie obietnicy, żeby przekimać na kanapie i trzymać ręce przy sobie. Gdy patrzyłem na nią teraz, ubraną w wiążaną bluzkę z dekoltem w szpic i dżinsy, które zostały chyba wprost stworzone po to, żeby opinać jej pośladki, nie miałem wątpliwości, że powinni ogłosić mnie świętym. Do diabła, należało mnie kanonizować już poprzedniego wieczoru, kiedy Izzy zaproponowała, żebym położył się spać razem z nią, a ja zdołałem odmówić.

Niczego nie pragnąłem bardziej, niż przyciągnąć ją do siebie i zacząć od miejsca, w którym przerwaliśmy dziewięć miesięcy wcześniej. Z moim językiem wsuniętym do jej ust i jej nogami oplatającymi mnie w pasie. Jednak Izzy o pewnych sprawach nie miała pojęcia, a mnie nie opuszczało przeczucie, że gdyby się o nich dowiedziała, nie zechciałaby mnie w swoim łóżku, nawet gdybyśmy mieli tylko obok siebie spać.

Nie miało znaczenia, jak bardzo chciałem być z Izzy, skoro logicznie rzecz biorąc, nie mógłbym z nią być. Nie graliśmy w jednej lidze. Była poza moim zasięgiem i to pod każdym względem. Niebawem ruszy w świat, żeby odmienić życie na lepsze. Mnie wychodziło tylko pozbawianie go innych. Stałem się człowiekiem niepomierne bardziej brutalnym niż mój ojciec. Z tą różnicą, że on przynajmniej nikogo nie zabił.

– Dalej – rzuciłem, wyciągając do niej rękę. – Postawię ci drinka, którego obiecałem Serenie.

– Jeden drink i wychodzimy. – Izzy splotła palce z moimi, a ja się poczułem, jakbyśmy znowu znaleźli się na pokładzie tamtego samolotu, koziółkując w stronę niepewności. Zalało mnie dobrze znane ciepło. Cudownie przyjemne, trudne do pomylenia z czymkolwiek innym.

– Zgoda. – Poprowadziłem nas przez tłum, starając się dławić narastające ciśnienie krwi, które zdawało się gwałtownie wzrastać wraz z każdą ocierającą się o nas osobą. Zajęliśmy dwa ostatnie wolne miejsca przy barze.

Izzy wybrała stółek bliżej drzwi, a ja przysiadłem na swoim nieco bokiem, tak żebym mógł ją dobrze widzieć i jednocześnie ukradkiem spoglądać przez ramię, ilu ludzi znajdowało się za nami. Między

narożnikiem kontuaru a ścianą naliczyłem ich ledwo pół tuzina, więc nie było najgorzej. Niemniej sytuacja nadal była nieciekawa. Ludzie blokowali nam drogę do każdego wyjścia.

– Na co masz ochotę? – zapytałem już ciszej, skoro umknęliśmy z bezpośredniego pola rażenia wielkich głośników. – Piwo? Tequila? Cosmo?

– Nie... – Izzy zabębniła pomalowanymi paznokciami o blat, lustrując wzrokiem półki z alkoholem.

– Co podać? – odezwała się barmanka i szeroko się do mnie uśmiechnęła.

Jeszcze kilka lat wcześniej ta brunetka byłaby w moim typie. Ale ostatni rok pokazał mi, że moim typem była Isabeau Astor. Nie tylko jasne włosy, brązowe oczy czy usta bardziej aksamitne niż jedwab. Nie tylko bystry umysł, zaraźliwy śmiech czy skłonność do mówienia na czternaście różnych tematów jednocześnie. Ideałem było dla mnie wyłącznie zebranie tego wszystkiego w jednej osobie. Nie liczył się nikt inny. Z każdym wypowiedzianym przez nią słowem, każdym ujawnionym przez nią sekretem i za każdym razem, gdy mnie rozśmieszyła, zakochiwałem się w niej jeszcze bardziej. Oczywiście składano mi różne propozycje, kiedy siedziałem w afgańskim piachu. Nie łudziłem się też, że Izzy grzecznie na mnie czekała, tym bardziej skoro nalegałem, żeby tego nie robiła. Tyle że nie było drugiej takiej kobiety jak Izzy.

Co stawiało mnie, a właściwie nas oboje, w paskudnym położeniu.

– Kieliszek szampana – odpowiedziała Izzy z uśmiechem.

– Szampana? – dopytała kobieta, nachylając się nad barem, niepewna, czy dobrze usłyszała.

– Tak – potwierdziła Izzy, po czym sięgnęła do torebki i podała barmance swoje prawo jazdy. – Mam dziś urodziny.

– Już się robi. Wszystkiego najlepszego. – Uśmiechnęła się i oddała Izzy dokument. – A dla ciebie? – Odwróciła się do mnie i pochyliła w moją stronę, choć nie odezwałem się jeszcze ani słowem.

– Poproszę yuenglinga – zamówiłem i wyjąłem portfel. – Weźmiemy całą butelkę szampana, jeśli nie sprzedajecie go na kieliszki.

– Jasne – odparła brunetka, zabierając się do pracy.

– A więc co ci się dzisiaj najbardziej podobało? – zapytała Izzy. – Jak zaciągnęłam cię do mojej ulubionej pizzerii? Do mojej ulubionej cukierni na moje ulubione babeczki? A może kiedy przewlekłam cię przez cały kampus?

– Wszystko. Dlatego że byliśmy razem – odpowiedziałem szczerze. Ta dziwna zdolność do mówienia bez ogródek w jej obecności była jednym z najwspanialszych aspektów naszego... czegokolwiek, co nas łączyło. Żadnych gier, zabaw w niedopowiedzenia, zero flirtowania. Przy Izzy mogłem być dokładnie tym, kim byłem, i mówić dokładnie to, co myślałem.

Ten dzień był niewątpliwie wart wielogodzinnej podróży z Savannah. Nie udałoby się to bez nieocenionego wsparcia Sereny. Gdy tylko odezwałem się do niej z konta na Instagramie, do którego założenia uparcie przekonywała mnie Izzy, i zdradziłem, że szykuję niespodziankę dla jej siostry, Serena zareagowała z nieskrywanym entuzjazmem. W trakcie krótkiej wymiany wiadomości zdążyłem się od niej dowiedzieć, że ich rodzice znowu wypięli się na młodszą córkę, jak zawsze zresztą, oraz że Izzy z nikim się nie spotyka.

Nie ma co ukrywać, poczułem... ulgę. W odniesieniu do braku chłopaka, nie sytuacji z rodzicami. Nie żebym uważał, że Izzy powinna być samotna. Wręcz przeciwnie. Byłem po prostu samolubnie zadowolony, że będę miał ją tylko dla siebie przez cały weekend.

Izzy uśmiechnęła się do mnie z nienacką, tak pięknie, aż zaparło mi dech w piersi.

– To poczekaj, aż wrócimy do domu i zmuszę cię do obejrzenia *Zaklętej w sokoła*.

– Filmu o twojej imienniczce? – Kąciki moich ust powędrowały w górę. – Nie mogę się doczekać. – Mógłbym siedzieć i przyglądać się, jak ktoś czyta książkę telefoniczną, gdybym tylko miał obok siebie Izzy... Nie byłem za to pewien, jak długo wytrzymam w zatłoczonym barze, zanim ulecą ze mnie nędzne resztki zdrowia psychicznego.

– Gdybyś do końca życia miał oglądać tylko jeden film, co byś wybrał? – zapytała Izzy.

– Ciężka sprawa. – Spojrzałem w jej oczy i od razu wiedziałem, co robi. To samo, co ja robiłem dla niej na pokładzie samolotu.

Próbowała zająć mnie pytaniami.

– Więc lepiej dobrze to przemyśl.

– *Władca Pierścieni: Powrót króla* – odpowiedziałem po chwili. – Ale kto wie, może po dzisiejszym seansie zmienię odpowiedź na *Zaklętą w sokoła*.

Izzy nachyliła się do mnie i musnęła moje wargi swoimi ustami. Wszystkie zakończenia nerwowe w moim ciele przeszły w tryb najwyższej gotowości.

– Dziękuję za dzisiaj – szepnęła.

Wsunąłem palce w jej włosy, przyciągnąłem ją do siebie i zatopiłem się w jej ustach, ale język trzymałem za zębami. Gdy tylko jej zasmakowałem, nagła fala pożądania błyskawicznie dotarła do każdej najmniejszej komórki mojego organizmu. Utrzymanie się w ryzach nie było łatwe, jednak jakoś dałem radę. Nie zamierzałem całować jej tak, jak bym chciał, na oczach tych wszystkich ludzi, dlatego wycofałem się, zanim poszliśmy na całość.

Izzy uśmiechnęła się prosto w moje usta, po czym położyła sobie rękę na piersi.

– Nawet nie wiesz, jak mocno bije mi teraz serce. – Dotknęła palcami niewielkiego wisiorka w kształcie kłódki, który kupiłem jej na urodziny. Protestowała, bo małe gówienie zapakowane w nieduże niebieskie pudełko kosztowało majątek, ale uznałem, że elegancka biżuteria to coś w sam raz dla dziewczyny z klasą.

– Moje też. – Być może to wyznanie nie zabrzmiało najpiękniej, ale przy Izzy nie czułem przymusu szukania poetyckich określeń.

– Proszę bardzo – odezwała się kelnerka, która właśnie wróciła i postawiła przed nami zamówiony alkohol.

Izzy wyprostowała się na swoim stołku, a ja natychmiast okryłem się żałobą po utracie kontaktu z jej ustami.

– Dzięki. – Szybkim ruchem położyłem na blacie swoją kartę płatniczą, żeby Izzy nawet nie przyszło do głowy sięgać po portfel. – Proszę doliczyć do rachunku.

– Rozliczymy się od razu – zaproponowała Izzy, chwytając między palce smukłą nóżkę kieliszka. – Wypijemy tylko po jednym. – Spojrzała w moją stronę i dodała: – Dziękuję.

– Wydrukuję paragon. – Barmanka skinęła i zabrała moją kartę do kasy.

– Jesteś pewna, że tylko po jednym? – zapytałem z uniesionymi brwiami. – Dziś są twoje urodziny. Piszę się na wszystko, na co tylko masz ochotę.

– Nie chcę się upić ostatniego wieczoru, kiedy mam cię dla siebie – odparła, wzruszając ramionami.

Początkowo chciałem się sprzeciwić, ale doskonale wiedziałem, jak się czuje. Sam też zamierzałem zapamiętać każdą sekundę spędzonego razem z nią czasu.

– Wszystkiego najlepszego, Isabeau. – Uniosłem butelkę z piwem.

– Dzięki, Nate. – Uśmiechnęła się i stuknęła butelkę swoim kieliszkiem. – Cieszę się, że przyjechałeś.

– Ja też.

Po tym, jak barmanka oddała moją kartę płatniczą, zostaliśmy z Izzy przy barze, przez ponad pół godziny rozmawiając o jej zajęciach na uczelni. Niespiesznie popijała szampana, ja za to ledwo tknąłem swoje piwo. Za każdym razem gdy usiłowała skierować rozmowę na to, jak radziłem sobie na misji, ostrożnie odbijałem piłeczkę z powrotem do niej. Ze wszystkich sił starałem się skupiać wyłącznie na jej uśmiechu, na błyszczących oczach, na przytłaczającym pragnieniu, by zostać z nią na zawsze. Pragnieniu, z którym za cholerę nie wiedziałem, co zrobić. Ale ściany coraz bardziej się wokół mnie zacieśniały. Ludzi było coraz więcej, byli coraz bliżej. Co chwila ktoś przeciskał się obok nas, by dotrzeć do baru. Ktoś wpadł na moje plecy, ktoś sięgnął do kieszeni po... po portfel.

Tylko po portfel.

Nie po broń.

Byłem przecież w Stanach, nie w Afganistanie.

Kurwa. Poprzednim razem nie było ze mną aż tak źle. Tyle że wtedy nie spędziłem całych dziewięciu miesięcy w piekle, a moja służba nie była przedłużana i to kilka razy. W teorii rangersi powinni wyjeżdżać częściej, za to na krócej, ale chyba nie sprzyjało nam szczęście. Co prawda tym razem nie zostałem ranny, musiałem jednak aż czterokrotnie salutować przed prowizorycznymi nagrobkami ułożonymi z butów i karabinów. Gdyby nie...

Nie tutaj, Nate. Wziąłem głęboki wdech, napęlniając powietrzem każdy zakamarek płuc, i wepchnąłem cały ten szajs z powrotem do

pudełka, tam gdzie było jego miejsce. Przeniosłem wzrok z powrotem na Izzy i zobaczyłem, że wpatruje się we mnie swoimi cudownie pięknymi oczami, jakby potrafiła rozprawić się nimi z najgorszym gównem tego świata.

– A gdybyś musiał wybrać sobie kogoś do pary na wypadek apokalipsy zombie, kto by to był? – zapytała, po chwili unosząc palec wskazujący. – Z wyjątkiem obecnych tu osób. Nie ma tak łatwo.

– Pewnie Rowell. – Torres wybrałby swoją dziewczynę, więc niefajnie byłoby odciągać faceta od miłości jego życia. Nawet w czysto hipotetycznych okolicznościach. – Wyszliśmy razem z niejednego bałaganu.

– Ma to sens. A teraz zbierajmy się stąd – oznajmiła Izzy.

– Nie wypitaś do końca. – Nie było mowy, żebym zepsuł jej urodziny tylko dlatego, że nie potrafiłem wziąć się w garść.

Izzy przewróciła oczami, wypita duszkiem resztę szampana i odstawiała kieliszek na blat.

– Właśnie dopiłam drinka, którego obiecałeś Serenie. – Zsunęła się ze stołka i wyciągnęła do mnie rękę. – A resztę wieczoru naprawdę wolałabym spędzić w domu. Z tobą.

– Nawet nie zatańczymy? – Rzuciłem okiem na zatłoczony parkiet, a wszystkie mięśnie odruchowo się we mnie napięły.

– Nawet nie zatańczymy. – Splotła palce z moimi, a ja nie potrafiłem się jej postawić. Skoro chciała wracać, musiałem zabrać ją do domu.

Poprowadziłem nas z powrotem przez zbiorowisko imprezowiczów i wyszliśmy z klubu. Rześkie marcowe powietrze, które owiało moją twarz, było najprawdziwszym zbawieniem. Po raz pierwszy odkąd weszliśmy do środka, mogłem w pełni odetchnąć.

– Wszystko okej? – dopytywała Izzy, gdy ruszyliśmy chodnikiem w stronę jej mieszkania, od którego dzieliło nas sześć przecznic.

– „Okej” to pojęcie względne. – Zatrzymałem się, podniosłem jej dłoń do ust i złożyłem pocałunek na jej wierzchniej stronie. Ten dotyk był zupełnie niewinny, a mimo to zapach jej perfum skierował moje myśli na czysto fizyczne terytorium. Chciałem rozłożyć ją pod sobą i całować każdą część jej ciała tak długo, aż ten zapach odcisnie się

piętnem w moim umyśle, zastępując wszystkie złe wspomnienia, których w ostatnich latach nazbierałem całkiem sporo.

– Nie opowiadasz, jak minęło ci tych dziewięć miesięcy – zauważyła Izzy, zaciskając palce na moich. Znów ruszyliśmy przed siebie. – W listach też ani słowa.

Zanim przeszliśmy na drugą stronę ulicy, rozejrzałem się w jedną, potem w drugą stronę, szukając jednocześnie odpowiednich słów, jeśli takie w ogóle istniały.

– Pisanie do ciebie było dla mnie ucieczką. Nie chciałem cię tym obarczać.

– Nawet jeśli chcę wiedzieć? – Wzdrygnęła się. – Cholera, to nie zabrzmiało dobrze. To znaczy... Nawet jeśli chcę cię wysłuchać?

– Wiem, co miałaś na myśli – odparłem łagodnie, przyciągając ją nieco bliżej. Robiło się chłodno. Uparła się, żeby nie zabierać płaszcza, ale miałem przynajmniej wymówkę, żeby ją objąć. – Tyle że to nie jest rozmowa na urodziny. – *Ani na żaden inny dzień.*

– Aha. – Wolno pokiwała głową. – Rozumiem.

Resztę drogi pokonaliśmy w niezręcznej ciszy, której wprost nie cierpiałem. Do tej pory wszystko z Izzy zawsze było... proste, a ja właśnie wzniosłem między nami mur. Uznałem jednak, że tak będzie lepiej. Nie chciałem, żeby okropieństwo tego, co działo się w Afganistanie, w jakikolwiek sposób ją dotknęło. Niemniej miałem poczucie, że dzielące nas ogrodzenie ciągnie się za nami aż do mieszkania.

Wszedłem za Izzy do kuchni, gdzie odłożyła torebkę na blat i wzięła do ręki pudełko, które przynieśliśmy wcześniej z cukierni.

– Babeczkę? – zapytała. Odstawiła kartonik na szafkę, wsparła się na niej rękoma i wskoczyła tyłkiem na blat. – Na filmach zawsze podjadam coś słodkiego. – Machając delikatnie stopami w powietrzu, otworzyła górę pudełka. Czekają w nim dziesięć babeczek, których nie daliśmy rady zjeść po południu.

Przyjmując wysuniętą do mnie gałązkę oliwną, pochylilem się, żeby zobaczyć, co było do wyboru.

– Nie wyglądasz mi na fana wanilii – droczyła się, przyglądając się słodkim wypiekom. – Może marchewkowa?

Pokręciłem głową, delikatnie się przy tym uśmiechając.

– Torres je uwielbiał. Jak Boga kocham, przez cały rok pożerał jedną dziennie. Nie mogę już na nie patrzeć. – Dopiero po chwili zorientowałem się, że Izzy wstrzymała oddech. – Izzy? – Spojrzałem w jej szeroko otwarte, wystraszone oczy.

– Torres. To twój najlepszy przyjaciel, prawda?

– No tak. Jeden z kilku. – Pokiwałem głową, wpatrując się z niepokojem w jej twarz.

– Och, nie. Czy on... kiedy cię nie było... – Zacisnęła usta w cienką kreskę, a ja wreszcie zrozumiałem, o co pyta.

– Nie, Iz. Torres żyje i ma się dobrze. – Pokręciłem głową i dla pocieszenia lekko ścisnąłem dłońią jej kolano. – Musiał zrezygnować z marchewkowych babeczek, kiedy złożył papiery do sił specjalnych. – Zresztą przez parę ostatnich miesięcy próbował namówić mnie do tego samego, ale wciąż się wahałem.

Z ciała Izzy momentalnie spłynęło całe napięcie.

– Okej. Ulżyło mi.

– Ale Fitz nie wrócił. – Wziąłem babeczkę, która wyglądała na cytrynową, upewniwszy się przedtem, że w pudełku została jeszcze druga taka sama. Fitz wybrałby czekoladową. Głośno wciągnąłem powietrze, próbując stłumić ukłucie bólu zapowiadające falę głębokiego smutku, po czym upchnąłem go do ciemnego pudła z całą resztą syfu.

– Co takiego?

Kurwa. Nie powinienem był tego mówić.

Przyszpilony wzrokiem Izzy, przerwałem odwijanie babeczki z papierowej foremki.

– Fitz. Poznałaś go...

– Na Tybee. Pamiętam – wyszeptała. – On... zginął?

Skinałem głową.

– Jakiś miesiąc po wyjeździe. Dostaliśmy się pod ogień... – urwałem w pół zdania. Nie bez powodu oddzielałem jedno od drugiego. A teraz, proszę bardzo, roztrzaskiwałem w drobny mak resztki mojego spokoju.

– Nate, tak mi przykro – powiedziała półgłosem, kładąc mi dłoń na ramieniu.

– W porządku. – Wróciłem do odpakowywania babeczki, skupiając się na trzymanej w ręku słodyczy i odganiając w myślach obrazy krwi

tryskającej z ciała Fitz'a. – Nie ty go zabiłaś. – Trzeba było natychmiast zmienić temat. – Który smak jest twój ulubiony?

Między nami zawisła cisza.

Gdy podniosłem wzrok, napotkałem spojrzenie Izzy. Spojrzenie, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Wyglądała, jakby nie wiedziała, co powiedzieć ani jak się zachować, jakbym po raz drugi jednego wieczoru zniszczył bez troskę i nieskrępowanie, z jakimi budowaliśmy naszą relację.

– Którą lubisz najbardziej? – zapytałem ponownie. – Oglądamy film, pamiętasz?

– Red velvet – odpowiedziała Izzy, powoli wyciągając z pudełka babeczkę o tym smaku.

Odstawiłem swoją i pomogłem jej zejść z szafki, choć dobrze wiedziałem, że poradziłaby sobie sama. Gdy opuszczałem ją na podłogę, poczułem na sobie krągłości jej ciała, co sprawiło, że zapłonąłem żywym ogniem. Jej pociemniałe oczy tylko podsycaly szalejące we mnie płomienie.

Staliśmy tak przez dłuższą chwilę. Moje dłonie zastygły na jej biodrach, spojrzenie Izzy utkwilo w moich oczach, jej policzki nabierały koloru, a jej pierś unosiła się i opadała w coraz szybszym tempie.

– Film – przypomniałem jej. I sobie.

– Racja. – Oblizła językiem dolną wargę, a ja musiałem zdusić w sobie jęk. – Przygotuj się na doskonałe kino – oznajmiła, po czym przeszliśmy do salonu i rozsiedliśmy się na kanapie. Izzy oparła głowę na moim ramieniu. Znowu rozkoszowałem się cudownym spokojem.

Wcale nie zepsułem wszystkiego, odcinając ją od mroku w moim umyśle.

Dwie godziny później, gdy przez ekran przewijały się napisy końcowe, Izzy spojrzała na mnie wyczekująco.

– I co sądzisz?

– Sądzę, że to do dupy, że mogli się widywać tylko o świcie i o zmierzchu – oceniłem, wpatrując się w telewizor.

– Ale przecież kończy się dobrze – odparła ze śmiechem. Podciągnęła jedną nogę pod siebie i obróciła się na kanapie tak,

żeby mieć mnie na wprost siebie. Podczas tego manewru otarła kolanem o moje udo.

– Co nie znaczy, że lata, które im tak upłynęły, nie były do dupy. – Pokręciłem głową.

– Ooo, Nate. – Izzy uśmiechnęła się od ucha do ucha i ujęła moją twarz w dłonie, odciągając mnie od napisów na ekranie. – W głębi serca jesteś romantykiem.

Parsknąłem.

– Oskarżano mnie już o wiele rzeczy, Isabeau. Ale jeszcze nigdy o bycie romantykiem. – Na całym świecie były tylko dwie osoby, do których miałem słabość. Tak się składało, że Izzy należała do tego elitarnego grona.

Opuściła wzrok na moje usta, a ja wbiłem pięść w poduszkę leżącą obok niej, żeby tylko nie pozwolić swoim rękom na wędrówkę w stronę Izzy.

– Wiesz, na co się zdecydowałam? – zapytała.

– Co? – Skóra po wewnętrznej stronie moich dłoni domagała się kontaktu z ciałem Izzy.

Przysunęła się bliżej. Tak blisko, że jej usta znalazły się zaledwie parę centymetrów od moich.

Niech to chuj, dłużej *nie wytrzymam!* Czułem już jej smak, słyszałem delikatne sapnięcia między pocałunkami. Wspomnienie Izzy nie opuszczało mnie ani na moment przez ostatnich dziewięć miesięcy.

– Fidzi – szepnęła prosto w moje usta.

– Jakie Fidzi? – Krew musiała chyba całkowicie zalać moje szare komórki.

– Fidzi – powtórzyła, dosłownie zarażając uśmiechem. Następnie usiadła okrakiem na moich kolanach, przodem do mnie. – Właśnie tam powinniśmy wybrać się na wakacje. Jest tam ciepło. Są piaszczyste plaże. Daleko od reszty świata, więc nie musiałbyś martwić się tłumami ludzi.

– Lubię plaże. – Kiedy ostatnim razem odpoczywałem na plaży, była tam ze mną Izzy. Moje dłonie powędrowały na jej biodra, wiedzione tętniącym we mnie podnieceniem.

– Świetnie. A więc Fidzi. – Przeczesała palcami moje włosy, a ja całkowicie poddałem się jej dotykowi. Jej wargi lekko musnęły moje

usta. – Mógłbyś całować mnie w oceanie.

To by było na tyle. Ciasno splecione włókna moich dobrych intencji zostaną lada chwila rozsuptane. Niewiele brakowało, żebym pękł i rzucił ją na kanapę.

– Nate? – Usta Izzy bezwstydnie mnie kusiły.

– Hmm?

– Pocałuję cię teraz.

Użyła dokładnie takich samych słów, jakimi zapowiedziałem pocałunek w Georgii. Ale niech mnie chuj! W jej ustach zabrzmiały chyba z milion razy seksowniej.

Nie czekając ani chwili dłużej, pocałowałem ją pierwszy. Stęknąłem z rozkoszy, gdy otworzyła przede mną usta. Smakowała tak cholernie słodko, kiedy pieściliśmy językami swoje wargi, z zapamiętaniem przypominając sobie ich kształt. Całowanie się z Izzy było spektakularną detonacją rozkoszy, dokładnie tak jak zapamiętałem, i tysiącrotnie bardziej uzależniająca, niż mogłem sobie wyobrazić.

Zatopiłem palce w jej włosach, przechylając nasze głowy tak, by znalazły się pod wygodniejszym kątem. Pocałunek wymykał się spod kontroli. Piersi Izzy napierały na mój tors, jej biodra kołysały się w przód i w tył, jej oddech zrównał tempo z moim. Właśnie tu było moje miejsce. Wszędzie tam, gdzie była ona.

Więź, która nas łączyła, może i była niedefiniowalna, ale też niezaprzeczalna.

– Prawie zapomniałam, jak dobrze nam to idzie – wydyszła Izzy pomiędzy kolejnymi pocałunkami.

– Myślałem o tym każdego dnia. – Zmieniłem nieco ułożenie jej bioder i zacząłem poruszać swoimi, żeby nie miała żadnych wątpliwości, o czym myślałem w tym momencie.

– Tęskniłam za tobą. – Całowała najpierw moją brodę, potem szyję. Zsunęła dłonie po ramionach, a następnie zaczęła gładzić klatkę piersiową. – Wiem, że nie powinnam była. Że to kompletnie nielogiczne...

Dłoń wsuniętą w jej włosy zacisnąłem w pięść i przyciągnąłem jej usta z powrotem do swoich, używając rozgrzanych warg i wilgotnego języka, by powiedzieć jej, że czuję dokładnie to samo. Moje palce zawędrowały z biodra Izzy na jej plecy. Zakradły się pod bluzkę i zaczęły głaskać skórę w zagłębieniu kręgosłupa.

Pod wpływem delikatnego dotyku aż się zachłysnęła, wydając z siebie odurzający dźwięk, który w całości łapczywie pochłonąłem.

– Coś mi mówi, że wszędzie jesteś taka wrażliwa – snułem domysły, wodząc palcami w górę i w dół po gładkiej skórze jej pleców.

– Chcesz się przekonać? – Po chwili majstrowania przy wiązaniu bluzki jej poły opadły swobodnie na boki, odsłaniając błękitny koronkowy stanik, którego miseczki obejmowały piersi Izzy z taką finezją, że nie mogłem oderwać od nich oczu.

– Ja pierdolę – wymsknęło mi się w formie gardłowego stęknienia.
– Cholera, Isabeau, jesteś idealna.

– Dotykaj mnie.

Nie musiała mówić mi tego dwa razy. Położyłem ręce na jej biodrach, skąd zacząłem wolno przesuwając je w górę, przez zwężenie na wysokości pasa, następnie coraz wyżej, żebro po żebrze, aż dotarłem do podtrzymywanych przez koronkowy materiał pełnych piersi, które ledwo zmieściły mi się w dłoniach.

– Widzisz? Pasują jak ulał.

Izzy się zaśmiała, a następnie przywarła do mnie ustami, czym sprawiła, że moja żądza ostatecznie zerwała się z łańcucha, przeganiając resztki dobrych intencji. Tonąłem w smaku jej ust, w pomruku jej delikatnego pojękiwania, czując sutki twardniejące pod warstwą tkaniny w reakcji na pocieranie ich przeze mnie kciukami.

Całując, liżąc i ssąc jej skórę, przedzierałem się w dół jej szyi, następnie przez obojczyk, by wreszcie chwycić jedną dłonią jej pośladek i unieść Izzy nieco wyżej, tak żeby zębami móc drażnić wypukłość jej brodawek. Materiał stanika, choć koronkowy, uniemożliwiał mi dostanie się do tego, czego chciałem i pożądałem. Pociągnąłem więc w dół miseczkę, obnażając jedną z piersi i rozkoszując się łagodnym krzykiem Izzy, gdy wciągnąłem jej nabrzmiały sutek między usta.

– Nate! – wydyszała, wbijając się paznokciami w moje ramiona.

Mój penis coraz mocniej napierał na rozporek, byłem jednak wdzięczny za tę fizyczną barierę. Hamowała moje zapędy, kiedy odsłaniałem drugą pierś, by zrobić z nią to samo co z pierwszą.

– Jesteś taka wrażliwa – powiedziałem z ustami tuż przy jej skórze, gdy ciało Izzy lekko zadrżało.

– A może reaguję tak tylko na ciebie – odparła Izzy zadyszany i diabelnie seksownym głosem.

Nie chciałem, żeby ktokolwiek inny dotykał ją w ten sposób.

Moja. Los, Bóg czy też inna energia rządząca wszechświatem – cokolwiek to było, to doprowadziło mnie właśnie do niej. Była moja.

Tyle że wcale nie do końca. Istniał jakiś powód, dla którego nie powinniśmy tego robić, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć jaki.

Odsunąłem od siebie tę myśl i wpiłem się w jej usta. Po chwili objąłem ją ramieniem za plecami i przerzuciłem nas na bok, tak że Izzy znalazła się pode mną. Zły pomysł. Moje biodra wpasowały się w zgrabne krągłości jej ciała, jakby stanowiły dwie części tej samej układanki.

Jej dłonie przesunęły się po moich plecach w dół, następnie podciągnęły moją koszulę i pokonały tę samą drogę jeszcze raz, tylko że w przeciwnym kierunku, tym razem po nagiej skórze. Gdy napierałem na nią biodrami, wydobywając z niej najśłodszy jęk, jaki kiedykolwiek słyszałem, pożegnałem się z ostatnimi strzępkami zdrowego rozsądku.

– Jeszcze raz – zażądała Izzy, zsuwając dłonie na moje pośladki.

Złożyłem na jej szyi gorący pocałunek, po czym dałem jej to, czego oboje pragnęliśmy. Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiegło rozgrzane do czerwoności pożądanie. Całując Izzy, czułem się, jakbym znowu miał szesnaście lat i ani trochę się nie kontrolował, nie miał w tych sprawach żadnego doświadczenia i kierował się wyłącznie ślepą, pierwotną żądzą.

– Powiedz, czego chcesz – wyszeptalem pomiędzy kolejnymi pocałunkami, przesuając usta w dół szyi, schodząc aż do piersi, po których wodziłem językiem. Najpierw po jednej, za chwilę po drugiej.

– Chcę, żebyś mnie dotykał – odpowiedziała, unosząc głowę w poszukiwaniu moich ust, gdy znów naparłem na nią biodrami. Dzieliło nas zbyt wiele przestrzeni. Mieliśmy na sobie za dużo ubrań. Choć w zasadzie to chyba dobrze... tak mi się przynajmniej wydawało, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć *dłaczego*.

– Powiedz mi jak. – Chciałem słyszeć wypowiedziane przez nią słowa, gdy przykładałem usta do wrażliwej skóry tuż pod jej biustem,

obcałowywałem jej płaski brzuch i muskałem wargami blizny będące pamiątką po katastrofie lotniczej.

– A może to ty powiesz mi, jak *chciałbyś* mnie dotykać – odrzekła wyzywająco, szeroko się uśmiechając, nawet kiedy zbliżałem się już do guzika jej dżinsów i jej ciało wygięło się w łuk.

Podniosłem głowę i napotkałem jej spojrzenie.

– Chcę rozpiąć twoje spodnie i wsunąć palce między te cudowne uda, żeby sprawdzić, jak bardzo mokra jesteś.

Izzy rozchyliła usta, jej oczy się zaszklily.

– A potem będę chciał zanurzyć się w tobie palcami, pieścić cię i drażnić. – Dotarłem dłonią do guzika w jej dżinsach, wypatrując ewentualnych oznak zawahania ze strony Izzy. – Ale muszę wiedzieć, że ty też tego chcesz. – Choć błyszczące oczy i urywany oddech mówiły same za siebie, potrzebne mi było jednoznaczne potwierdzenie.

Nie miałem zamiaru spieprzyć sprawy z powodu błędnie odczytanych komunikatów. Nie uśmiechało mi się też, żeby Izzy godziła się na więcej, niż była gotowa zrobić.

– Właśnie tego pragnę – zapewniła, kładąc dłoń na mojej i przesuwając ją tuż nad guzik spodni.

Jasna dupa!

Bez odrywania wzroku od jej oczu odpiąłem guzik i rozsunałem zamek rozporka. Izzy pokiwała zachęcająco głową, przygryzając przy tym dolną wargę. Ten drobny gest sprawił, że kompletnie straciłem nad sobą panowanie. Uniosłem się nad nią, wydobyłem jej wargę ustami spomiędzy zębów, po czym całowałem aż do utraty tchu. Gdy zakradłem się palcami pod cienki materiał jej koronkowej bielizny, Izzy wessała mój język do ust. Głośno jęknąłem.

Poczułem się jak w niebie. Gorącym, śliskim, delikatnym jak aksamit rajy.

– Jesteś tak zajebicie mokra, że mógłbym wsunąć się w ciebie cały jednym ruchem. – Środkowym palcem zataczałem okręgi po jej techtaczce. Znow wygięła plecy w łuk.

– Nate! – Izzy docisnęła biodra do mojej dłoni.

Wypowiedziała moje imię tak zmysłowo, że kutas niecierpliwie zapulsował.

Spraw, żeby zrobiła to jeszcze raz.

– Jesteś taka rozgrzana – szepnąłem w trakcie kolejnego pocałunku i jednocześnie wsunąłem w nią palec. – Założę się, że spaliłabyś mnie żywcem. – Trzeba było przyznać, że to mógłby być całkiem niezły sposób na zejście z tego świata.

Czując bijące z niej ciepło, drżałem niczym nastolatek. Jej mięśnie zaciskały się na moim palcu, którym rytmicznie w nią wchodziłem, odnotowując dokładnie w myślach, co wywołuje u niej ciężki oddech, co sprawia, że mocniej napiera na mnie biodrami.

– O mój Boże – jęknęła Izzy, wbijając się paznokciami w skórę moich pleców. Boleśnie, a zarazem przyjemnie. Zareagowała tak, bo właśnie dołożyłem drugi palec, marząc o tym, żeby zastąpić oba palce penisem.

Pożądanie nie było dla mnie niczym nowym, tym razem miałem jednak do czynienia z czymś zupełnie mi nieznanym. Nigdy wcześniej nie żyłem po to, by usłyszeć westchnienie kobiety, nie wstrzymywałem razem z nią oddechu, nie byłem tak skoncentrowany na dawaniu jej rozkoszy, by dążenie do zaspokojenia samego siebie przestało się liczyć. W tym momencie Izzy stała się całym moim światem. Nie tylko chciałem doprowadzić ją do orgazmu. Ja tego *potrzebowałem*.

Kciukiem pieściłem jej łechtaczkę, ani na chwilę nie przestając. Po każdym pchnięciu zaciskałem lekko palce, raz za razem docierając nimi do punktu, w którym Izzy wyrzucała biodra w górę, a jej oddech na sekundę się urywał.

– Cudowna Isabeau. – Pocałowałem ją delikatnie, gdy jej uda się zacisnęły i zaczęły drżeć. – Jesteś najpiękniejsza. – Wystarczył już tylko niewielki nacisk mojego kciuka, a Izzy dotarła do krawędzi, za którą czekało spełnienie. Krótkie, łapczywe wdechy, zaciskające się na moich palcach mięśnie w jej wnętrzu i jej ciało naprężone pod mną jak struna nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości.

– Nate... – Izzy kołysała biodrami do przodu i do tyłu, ujeżdżając moją rękę, dążąc do tego, czego potrzebowała. W akcie desperacji docisnąłem swojego sztywnego penisa do jej uda, żeby resztkami sił powstrzymać się przed zdjęciem z niej majtek i wejściem w nią.

Nie mogłem tego zrobić. Nie wybaczyłaby mi. Przecież jeszcze nie wiedziała...

Gdy wreszcie doszła, z ust Izzy wydobył się krzyk, jej plecy wygięły się w imponujący łuk, a jej cipka z całą siłą zaciskała się na moich palcach. Obserwowanie, jak ta wspaniała kobieta osiąga szczyt, ze świadomością, że byłem odpowiedzialny za doprowadzenie jej do niego, było najbardziej spektakularnym momentem całego mojego popieprzonego życia.

Wtuliłem twarz w jej szyję, delikatnie całując jej miękką skórę i wdychając słodki zapach jej perfum. Dopiero kiedy rozluźniła się pode mną, wysunąłem palce z jej rozkosznie ciepłego wnętrza. Zanim usiadłem, pocałowałem ją jeszcze raz w usta.

Nagle przypomniałem sobie, dlaczego przejście do kolejnego etapu zamieniłoby mnie w kompletnego dupka.

Izzy spojrzała na mnie lekko zamglonym wzrokiem i też usiadła, sięgając ręką do moich dżinsów.

– Nie możemy – wypaliłem nagle i zerwałem się z kanapy, jakby się paliła, prawie potykając się o stolik kawowy. *Gładziutko, Nate.*

– Czemu nie? – Izzy uniosła brew i rzuciła wymowne spojrzenie na moje krocze. – Nie jestem ślepa, Nate. Przecież widzę, że tego chcesz.

– Żebyś wiedziała, że chcę. Ale nie w tym problem – odpowiedziałem, kręcąc głową. To niedająca mi spokoju myśl, że sprawię jej ogromny zawód, powstrzymała mnie przed dalszym działaniem. Isabeau zasługiwała na wiele więcej niż na kogoś, kto wpada i wypada z jej życia niczym huragan. Zasługiwała na kogoś, kto będzie mógł dać jej wszystko.

– Czy to dlatego, że zaproponowałam wyjazd na Fidżi? – zapytała.

Musiałem nieustannie przywoływać się do porządku, żeby patrzeć jej w oczy, a nie na jej nagie piersi sterczące nad zsuniętym z nich stanikiem.

– Nie. Bardzo chciałbym polecieć z tobą na Fidżi. – Cholera, nadal czułem w ustach smak jej skóry i byłem niemal pewien, że już do końca życia, gdy tylko do moich nozdrzy dotrze nuta jej perfum, będzie mi sztywnieć w ciągu sekundy.

– Okej, w takim razie o co chodzi?

Spojrzałem w te duże brązowe oczy i przez chwilę rozważałem kłamstwo, dzięki któremu mógłbym podtrzymać ostatnie tchnienie szczęścia, ale nie potrafiłem się na to zdobyć.

– Nie mogę jechać nigdzie wcześniej niż w dwa tysiące siedemnastym roku.

Izzy zebrała poły rozsuwanej bluzki i zawiązała je w pasie, zakrywając materiałem swoje niesamowite ciało.

– Dlatego że nie masz czasu? Musisz wrócić do domu? Jeśli chcesz odwiedzić mamę, doskonale to rozumiem.

– Nie – zaprzeczyłem i pokręciłem głową. – Kiedy wróciłem parę dni temu, przyleciała się ze mną zobaczyć – dodałem. Zresztą mama wiedziała, że choć kocham ją całym sercem, nie postawię nogi w rodzinnym domu, póki ten gnojek oddycha. – Nie możemy tego zrobić, bo mimo że bardzo bym chciał, żeby było inaczej, nie jest teraz na to najlepszy moment.

– Nie jest? – Izzy z niepokojem podciągnęła kolana do piersi. Na ten widok aż skręciło mnie w żołądku.

– Ano nie jest. Zostałem oddelegowany na nowy posterunek. Za trzy miesiące przenoszę się do bazy Lewis-McChord. W stanie Waszyngton.

– To nie ten Waszyngton, na który liczyłam – skomentowała Izzy, a jej ramiona opadły pod ciężarem zawodu. Następnie założyła swoje długie jasne włosy za uszy.

– Ano nie... – przyznałem, z trudem przełykając ślinę. – Nie chciałem mówić ci o tym w dniu urodzin... – Kurwa, co ja w ogóle próbowałem powiedzieć? – Nie żebyś powinna się tym przejmować...

– Oczywiście, że przejmuję się tym, że wysyłają cię na cholerny drugi koniec kraju. – Izzy wstała i objęła się rękoma w pasie. – Wiem, że nie mam prawa niczego oczekiwać, w końcu wtedy w Savannah postawiłeś sprawę jasno, dając mi do zrozumienia, że nie jesteśmy parą, ale jednak miałam nadzieję... – urwała, przymknęła oczy i wydała z siebie długie, sfrustrowane westchnienie. – Nie wiem, na co miałam nadzieję.

– Za to ja wiem. – Podeszedłem do niej i ująłem jej twarz w dłonie. – Miałem nadzieję, że będę dużo bliżej ciebie niż cztery i pół tysiąca kilometrów stąd. Liczyłem na to, że moglibyśmy stać się dla siebie czymś więcej niż możliwością.

Izzy uniosła rękę i położyła ją na mojej piersi.

– Ja też – szepnęła.

I proszę bardzo. Wszystko, co musiało zostać powiedziane, a zarazem wszystko, czego nie mogliśmy zrobić.

– Jak długo tam zostaniesz? – zapytała.

– Prawdopodobnie trzy lata – odpowiedziałem tak łagodnie, jak tylko potrafiłem.

Izzy wstrzymała na chwilę oddech, a obraz toczącej się w jej oczach walki emocji niemal rozdarł mnie na pół.

– Trzy lata – powtórzyła cicho.

– To nie wszystko. – Jasna cholera, unikałem tego tematu jak ognia, odkąd przekroczyłem próg jej mieszkania, a teraz maszerowałem prosto w płomienie. – Oddział, do którego mam dołączyć, szykuje się do wylotu za parę miesięcy. Kolejna runda za granicą. – Ledwo wypowiadałem następujące po sobie słowa, wyraźnie widząc, jak każde z nich coraz mocniej wbija jej ostrze prosto w serce.

– To znaczy że... – Dolna warga Izzy zadrżała. – Wracasz tam?

Przesunąłem kciukiem po jej ustach, próbując zignorować narastający ucisk w piersi.

– Zawsze będę tam wracał, Isabeau. Wyjazdy stają się krótsze, za to częstsze. Chyba że akurat wydłużą nam turnus. Studiujesz prawo, więc masz na głowie ważniejsze rzeczy niż facet, który nie jest w stanie zbliżyć się do ciebie na mniej niż kilka tysięcy kilometrów ani regularnie się z tobą widywać.

– A zgodziliśmy się, że nie warto zaczynać czegoś na odległość. – Kąciki ust Izzy uniosły się w smutnym uśmiechu. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Racja. Nie zrobiłbym ci tego. Nawet jeśli będę w Stanach, pewnie będę odbywał jakieś szkolenia niezbędne do rozwoju zawodowego. Mielibyśmy dla siebie jedynie weekendy. – Weekendy, o których myśl trzymałaby mnie przy życiu. Nie mogłem jednak pozwolić, by życie Izzy też toczyło się w taki sposób.

– Może dałabym radę z weekendami. – Zacisnęła dłoń w pięść, ciągnąc materiał mojej koszuli.

– Do czasu. Aż nie stałyby się czymś, co złamie nas oboje. Ostatnie dziewięć miesięcy ciągnęło się w nieskończoność. Tęskniłem za tobą w każdej sekundzie każdego dnia, Izzy. A nie jesteśmy nawet parą. Wyobraź sobie, jak przeorałyby nas trzy lata. –

Pochyliłem głowę, przykładając do jej czoła własne. – Zabilibyśmy tę możliwość, którą jesteśmy, zanim na dobre byśmy spróbowali. Nie chcę marnować tej szansy, rzucając się za nią, dopóki nie jesteśmy na to gotowi.

– Więc po co tu przyjeżdżałeś? – zapytała cicho, szukając mojego wzroku.

– Bo nie potrafiłem nie przyjechać. – Prawda była niezwykle prosta, a mimo to wszystko komplikowała.

– I właśnie tego dla nas chcesz? – Izzy podniosła dłoń i położyła ją na moim karku. – Kim mamy dla siebie być? Korespondencyjnymi przyjaciółmi? Dobrymi kumplami? Chcesz, żebym umawiała się z innymi facetami, a ty będziesz spotykał się z innymi dziewczynami?

Moja broda lekko zadrżała.

– Oczywiście, że tego nie chcę – udało mi się jakimś cudem wydusić. Opowiadała mi o gościach, z którymi randkowała, gdy byłem na misji. Wszyscy byli studentami prawa. Wszyscy mieszkali na miejscu. Każdy z nich miał niewspółmiernie większe szanse, żeby ją uszczęśliwić. – Ale inaczej się nie da. Chcę, żebyś cieszyła się życiem, Izzy. Chcę, żebyś chodziła na zajęcia i z radością wyczekiwała piątkowych wypadów na miasto. Chcę, żebyś się uśmiechała, miała wiele powodów do radości i nie spędzała całych miesięcy zamknięta w pokoju, czekając na mnie. Nie mógłbym patrzeć, jak marnujesz swój czas. Chcę, żebyśmy dostali kiedyś szansę, na jaką zasługujemy, ale w tym celu oboje musimy mieć pewność, że nadszedł odpowiedni moment, a teraz... jeszcze nie teraz.

– Myślałeś kiedyś, żeby zrezygnować? – Wyszepcane przez Izzy pytanie było ledwo słyszalne, intonacją zaś balansowało na granicy prośby.

– I czym miałbym się zajmować? – odparłem, unosząc głowę.

– No, nie wiem. – Izzy wzruszyła ramionami i lekko się uśmiechnęła, choć na próżno było szukać w tym uśmiechu śladów radości. – W samolocie mówiłeś, że chcesz uczyć.

To marzenie już dawno temu odeszło w niebyt.

– Moglibyśmy przeprowadzić się dokądś, gdzie można obserwować, jak wierzchołki sosen chwieją się na wietrze –

ciągnęła. – Do jakiegoś kurortu narciarskiego. Albo do jednej z tych wież, z których wypatruje się pożarów w lasach.

– Bo właśnie po to zdobywałeś wykształcenie – zażartowałem.

– Oj, przestań. Uruchoń wyobraźnię. – Pociągnęła mnie za koszulę i spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem. – Poudawajmy trochę razem.

Opuściłem dłonie na biodra Izzy i przyciągnąłem ją do siebie, ignorując pulsowanie penisa, który wciąż nie tracił nadziei, że zmienię zdanie. Łudził się na marne. Izzy znaczyła dla mnie dużo więcej niż przygoda na jedną noc. Byłem gotów poczekać tak długo, jak będzie trzeba.

– Moglibyśmy otworzyć restaurację – zaproponowałem, szeroko się uśmiechając.

– Potrafisz gotować?

– Ani trochę. – Wzruszyłem ramionami i gorzko się zaśmiałem.

– Ja umiem przyrządzić całkiem niezły grillowany ser.

Pocałowałem ją w czoło.

– No i widzisz. Otworzymy knajpę z grillowanym serem.

Izzy się roześmiała, kręcąc głową.

– Wystarczy tego. Pora do łóżka.

Położenie się spać oznaczało, że umkną nam ostatnie godziny przed moim wyjazdem.

– Przepraszam, że zepsułem ci urodziny – szepnąłem. – Nie miałem takiego zamiaru.

– Do północy zostało trzydzieści minut – zauważyła Izzy, wskazując spojrzeniem zegar na ścianie. – Więc jeszcze nie wszystko stracone, jeśli tylko zgodzisz się pójść ze mną do łóżka. Nawet jeżeli tylko po to, żeby spać.

– Tylko po to, żeby spać... – powtórzyłem, doskonale zdając sobie sprawę, że leżenie w jednym łóżku z Izzy skończy się nieprzespaną nocą, że aż do świtu będę odtwarzał w myślach każdą seksualną fantazję, jaka przyszła mi do głowy w ciągu minionych dziewięciu miesięcy. I choć zapowiadało się to na niezwykle wyszukaną formę tortur, zamierzałem się im poddać.

Izzy powoli się ode mnie odsunęła i ruszyła do sypialni.

Poszedłem za nią.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

NATHANIEL

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

– Będziesz się tu ukrywał cały poranek? – zapytał mnie Torres, opierając się plecami o drzwi z nogami skrzyżowanymi w kostkach.

– Jest dopiero siódma i wcale się nie ukrywam. – Przerzuciłem stronę w czytanej przeze mnie książce, ignorując kumpla. Siedziałem na łóżku, oparty o zagłówek, z wyprostowanymi nogami.

– A wygląda, jakbyś się chował.

Przed nikim się nie ukrywałem. Byłem już ubrany, uzbrojony i gotowy do działania w każdej chwili. Po prostu nie pełniłem akurat służby. Zastępował mnie Graham, który powinien bez trudu poradzić sobie w dyskretnym pilnowaniu Izzy jedzącej śniadanie z Gnojkiem.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – zapytałem Torresa, sięgając do stolika nocnego po zakreślacz, by zaznaczyć fragment tekstu. Pociągnąłem pisakiem aż do połowy wersu. Książka co prawda z całą pewnością nie trafi nigdy w ręce Izzy. Zresztą pozakreślanych w ten sposób tytułów zgromadziłem już chyba kilkadziesiąt. Wszystkie były dokładnie opisane i zapakowane do pudeł. *Ciężko pozbyć się starych nawyków.*

– Sterczę tu tylko dlatego, że najwyraźniej nie potrafisz się ogarnąć – odparł i wzruszył ramionami. – W przeciwnym razie właśnie przekonywałbyś ją, żeby odpuściła sobie wypad do Kandaharu.

– Jestem wystarczająco ogarnięty. – Zorientowałem się, że przeczytałem ten sam akapit dwukrotnie, dałem za wygraną i zamknąłem książkę. – Na tyle, by zrozumieć, że wybijanie jej czegokolwiek z głowy nie leży w zakresie moich obowiązków. Ma od tego kogoś innego.

Gnojka. Izzy wychodziła za *Gnojka*. Mimo wszystkiego, przez co ten zasraniec ją przeciągnął, przyjęła jego zaręczyny i wsunęła sobie na palec lewej dłoni otrzymany od niego pierścionek.

Potarłem ręką tors, tuż nad mostkiem, czując, jak zawieszony na łańcuszku niewielki szczęśliwy amulet przesuwają się po mojej skórze. Już od dawna nie zostawiałem go w domu przed wylotem, przestałem postrzegać go jak zły omen. A gdy tylko na chwilę go zdjąłem, od razu zakładałem z powrotem.

– Jasne. Widać, że gra gitara – rzucił z kpiną Torres i przewrócił oczami. – Jak Boga kocham, nic tak nie chrzani ci we łbie jak ta babka.

– Wcale nie chrzani mi we łbie – zaproponowałem, otwierając zamkniętą przed chwilą książkę gwałtowniej, niż wymagała tego sytuacja.

– Może właśnie w tym problem. – Torres odepchnął się od drzwi i przeszedł przez pokój. – Kiedy ostatnim razem znaleźliście się w jednym pomieszczeniu i nie wylądowaliście w łóżku?

Odłożyłem książkę na szafkę obok łóżka, bo czytanie nie miało najmniejszego sensu, gdy Torres robił do mnie swoje psychoterapeutyczne podchody.

– W Nowym Jorku.

– Tak myślałem. – Na chwilę umilkł, pocierając dłonią kark. – Chcesz ściągnąć Jenkinsa, żeby przejął od ciebie obiekt?

– Nie. – Choćbym nie wiem jak był na siebie wściekły czy zawiedziony faktem, że Izzy się ustatkowała, nie miałem zamiaru wycofywać się w trakcie misji, a tym bardziej stawiać jej w położeniu, w którym mogłaby stać się jej jakakolwiek krzywda.

Ktoś zapukał do pokoju. Przekląłem pod nosem, zrzuciłem nogi z łóżka i podniosłem się, żeby otworzyć drzwi. Stał za nimi Graham.

– Świetnie, niech teraz on się trochę poużera z twoimi humorami – rzucił złośliwie Torres, wyslizgując się na korytarz.

– Spłynęły nowe informacje – oznajmił Graham z poważną miną. – Mamy odprawę.

– Idziemy. – Przewiesiłem karabin przez ramię i zamknąłem za sobą drzwi. Nadeszła pora, żeby stawić czoła rzeczywistości. I Gnojkiowi.

Może rzeczywiście się ukrywałem.

Pół godziny później, gdy byliśmy już po odprawie, nie tylko przestałem unikać Izzy, co zacząłem się za nią rozglądać. Znajdowałem się w kraju ulegającym gwałtownej destabilizacji i w każdych innych okolicznościach całkowicie poświęciłbym się mojemu jedynemu zadaniu, jakim było wydostanie z tego miejsca jak największej liczby Amerykanów.

Ale sytuacja była wyjątkowa i w pierwszej kolejności musiałem zatroszczyć się o Izzy.

Przeszedłem przez zatłoczony hol ambasady, kierując się do sali konferencyjnej okupowanej przez członków senatorskich delegacji. Wkroczyłem do środka, mijając Parkera, który pełnił wartę przy drzwiach. Wypatrzenie Izzy pośród panującego w pomieszczeniu uporządkowanego chaosu zajęło mi całe dwie sekundy.

Stała w przeciwnym rogu, z telefonem przyciskanym ramieniem do ucha, podczas gdy jej asystenci przesuwali teczki z dokumentami wzdłuż krawędzi długiego stołu. Ktoś o mało co nie strącił z blatu laptopa. Nerwy brały górę chyba nie tylko nad nami.

Po szybkim zlustrowaniu otoczenia, by upewnić się, że nigdzie w pobliżu nie ma Gnojka, ruszyłem w stronę Izzy. Była ubrana w eleganckie granatowe spodnie i bluzkę w nieco jaśniejszym odcieniu. Włosy upięła w niski kok, który wyglądał na zdolny do przetrwania pod hełmem balistycznym.

Nie było przecież mowy, żebym wypuścił ją z budynku bez zabezpieczonej głowy.

– Oczywiście, że pani nie przeszkadza – powiedziała Izzy do słuchawki, dopiero po chwili reagując na mój widok. – To pani nie śpi w środku nocy.

Miała lekko zaczerwienione oczy, ale nie była to czerwień sugerująca bezsenność z powodu wielokrotnego szczytowania, z którą w jej wydaniu – ku swojej rozpacz – byłem tak dobrze zaznajomiony. Nakładając makijaż, odwaliła kawał świetnej roboty,

jednak skóra pod jej cudownie brązowymi oczami była spuchnięta. Musiała płakać. Uniosła brodę i przytrzymała moje spojrzenie, jakby czekała, czy będę śmiał cokolwiek na ten temat powiedzieć.

– Jasna sprawa, senatorko Lauren – mówiła dalej Izzy.

– Musimy pogadać – odezwałem się, zniżając ton głosu do szeptu, żeby nie usłyszała mnie jej rozmówczyni.

Izzy westchnęła.

– Chyba są jakieś obawy o nasze bezpieczeństwo – wyjaśniła do telefonu. – Szef naszej ochrony chce zamienić ze mną słowo.

Pokiwałem głową.

– Zapytam go. – Izzy zakryła dłonią mikrofon w telefonie. – Czy dzisiejszy wyjazd jest bezpośrednio zagrożony?

– Twoja obecność w tym kraju jest bezpośrednio zagrożona. Wczoraj upadły trzy kolejne prowincje.

Izzy otworzyła szeroko oczy, a palce zacisnęła tak mocno na swojej komórce, że zbieleły jej knykcie.

– Ale nie prowincja Balch – uspokoilem ją. – Mazar-i-Szarif jeszcze się trzyma.

Z ust Izzy wydobyło się pełne ulgi westchnienie. Odkryła mikrofon.

– Pani senatorko, mamy tu pewien problem. Jeśli to nie kłopot, proszę chwilę poczekać, aż przejdziemy w bardziej ustronne miejsce.

Izzy wskazała ręką drzwi, a ja skinąłem i wyprowadziłem ją z sali konferencyjnej do jednego z pustych sąsiednich biur. Szybko rozejrzałem się po niewielkim pomieszczeniu i przekręciłem zamek w drzwiach. Następnie Izzy położyła telefon na zagraconym biurku, przełączając go na tryb głośnomówiący.

– Mamy panią na głośniku, ale w pomieszczeniu jesteśmy tylko ja i sierżant Green – wyjaśniła Izzy, zakładając ręce na piersi. Coś mi nie pasowało w tym geście, ale nie potrafiłem rozgryźć co dokładnie.

– Sierżancie Green, rozumiem, że jest pan szefem ochrony mojego zespołu? – zapytała senatorka głosem zaskakująco rześkim jak na to, że w Waszyngtonie dochodziła północ.

– Tak jest, proszę pani.

– Co może mi pan powiedzieć na temat bezpieczeństwa planowanego na dzisiaj wyjazdu Isy do Kandaharu?

Przez ułamek sekundy próbowałem udawać, że stojąca przede mną kobieta nie była Izzy, tylko kolejną ochranianą przeze mnie delegatką podczas jednej z wielu podobnych misji. Tyle że nie potrafiłem się oszukiwać.

– Kandahar budzi spore obawy. Miasto od miesięcy pozostaje obleżone i choć nie zostało *jeszcze* zajęte, sześć dni temu ogłoszono ewakuację cywilów, a lotnisko bywa celem ataków. Wolałbym nie zabierać tam panny Astor w obecnej sytuacji. Wizy ewakuowanych są tutaj, a o ile mi wiadomo, na jutro planowane jest wyciągnięcie stamtąd naszych ludzi przez afgańskie siły powietrzne. Szczerze mówiąc, nie widzę celu w tej podróży. Owszem, to świetna okazja do strzelenia paru fotek, ale zdjęcia można równie dobrze zrobić jutro, gdy wszyscy dotrą już do Kabulu. Uważam, że osobiste dostarczenie dokumentów przez pannę Astor naraziłoby ją na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

Izzy przeniosła ciężar na drugą nogę i oparła się o w miarę czysty fragment biurka.

– Nie dbam o niebezpieczeństwo – powiedziała do telefonu.

– A ja wręcz przeciwnie – odparła senatorka. – Tylko że to komplikuje sprawę w świetle tego, o czym muszę ci powiedzieć.

Spiąłem się, słysząc ton głosu polityczki.

– Otrzymałmśmy dzisiaj wieczorem telefon od trenerki i wygląda na to, że nie czują się komfortowo z przedstawionym im planem ewakuacji.

– Nie? – Izzy ściągnęła brwi.

– Nie. Twierdzą, że uwzględniając sytuację w mieście, nie ufają żołnierzom podającym się za członków afgańskich sił powietrznych, które mają oczywiście przeprowadzić tę akcję.

– Kurwa mać – wymamrotałem pod nosem, pocierając palcem nasadę nosa.

Izzy zganiała mnie spojrzeniem.

– Rozumiem – dodała.

– Newcastle zapytał, co przekonałoby ich do wylotu, i wspomniał przy tym, że jesteś w kraju, myśląc, że doda im to trochę otuchy – ciągnęła senatorka.

Ledwo powstrzymałem się przed dalszym klęciem, doskonale wiedząc, do czego zmierza ta rozmowa.

– Powiedzieli, że ufają tylko tobie, Isa.
Niech to chuj. Nie cierpiałem, gdy miałem rację.

– Aha. – Izzy zacisnęła dłonie na krawędzi blatu. – Bo nie mają zaufania do wojska?

– Nie wierzą, że żołnierze są tymi, za kogo się podają – wtrąciłem.

– To niestety częsty problem. Zakładam, że wasi ludzie znajdują się w ukryciu na wypadek, gdyby miasto upadło?

– Tak – odparła Izzy. – Mieli zostać przetransportowani...

– Dzisiaj na lotnisko, żeby jutro się ewakuować – dokończyłem. – To dlatego spotkali się tam z tobą w sprawie wydania wiz.

Izzy potaknęła.

Mój umysł wszedł na wyższe obroty.

– Jeśli znajdę operatorkę, która zajęłaby miejsce panny Astor, czy to wystarczy?

Izzy pokręciła głową, a senatorka Lauren w tej samej chwili odpowiedziała:

– Obawiam się, że nie.

– Na etapie planowania rozmawialiśmy na Skypie – wytłumaczyła Izzy. – Wiedzą, jak wyglądam.

W biurze zapadła cisza.

– Isa, nie zamierzam prosić cię, żebyś próbowała wydostać stamtąd te dziewczęta, sama narażając się na niebezpieczeństwo...

– zaczęła senatorka.

– Nie możemy tak po prostu ich tam zostawić – przerwała jej Izzy, krzyżując spojrzenie z moim.

– Czy da się to zrobić bezpiecznie... Przepraszam, nie znam pana imienia, sierżancie – zauważyła polityczka.

– To celowe, proszę pani. – Przeniosłem wzrok na oprawioną mapę Afganistanu wiszącą na ścianie, analizując w głowie informacje przekazane nam na odprawie, dokonując szybkiej oceny zagrożeń i myśląc o młodych dziewczynach, których jedyną winą była inteligencja, dzięki której zdobyły wykształcenie. – Jest ich szóstka?

– Do tego rodzice – podsunęła Izzy. – I kilkoro rodzeństwa.

Pokiwałem głową.

– Na chwilę obecną kontrolę nad lotniskiem w Kandaharze sprawują afgańskie siły specjalne. Jeśli uda się przewieźć tych ludzi

na lotnisko, poszczęści nam się z lądowaniem i pozostaniemy jak najkrócej uziemieni, jest to wykonalne. – Z pewnością znienawidziłbym każdą sekundę tej akcji, ale plan był wykonalny.

– Przy minimalnym zagrożeniu dla panny Astor i amerykańskich obywateli? – chciała się upewnić senatorka.

– Z całym szacunkiem, proszę pani, ale na chwilę obecną nie ma w tym kraju czegoś takiego jak minimalne zagrożenie. Jednak jeżeli te dziewczęta zostaną tam, gdzie są, znajdą się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

– Isa? W życiu nie prosiłabym cię o to, żebyś ryzykowała własnym życiem.

– Wiem – odparła Izzy, po czym głośno przetłknęła ślinę. Włosy miała upięte w ciasny kok, a mimo to chciała odruchowo założyć za uszy niewidzialne kosmyki. Była zdenerwowana.

– Dzisiaj może być ostatnia szansa – dodałem. – Biorąc pod uwagę tempo, w jakim ten kraj się rozsypuje, Kabul upadnie w ciągu najbliższego miesiąca, jeśli nie wcześniej. Nie mam bladego pojęcia, jak długo utrzyma się Kandahar.

– Dane wywiadowcze dawały nam od sześciu do dwunastu miesięcy – powiedziała cicho senatorka Lauren.

– Sytuacja zmienia się dynamicznie, proszę pani.

– Polecimy jeszcze dzisiaj – oznajmiła Izzy, prostując ramiona. – Zadzwońię do trenerki Niaz. Mam jej numer.

Po wymianie kilku ostatnich uprzejmości i po tym, jak szefowa życzyła jej powodzenia, Izzy zakończyła połączenie.

– Masz godzinę, żeby pożegnać się z Gnojkiem, a potem wylatujemy – rzuciłem na odchodnym, opuszczając biuro i zostawiając w nim Izzy.

Wyglądało na to, że czekała nas wycieczka do Kandaharu.

* * *

Wszyscy pozostali członkowie delegacji Izzy mieli pozostać na miejscu. Zaledwie trzy godziny później ruszyliśmy w drogę w sile trzech operatorów z mojego zespołu i czterech innych, bo tego dnia żaden z delegatów nie planował opuszczenia ambasady. Gdy grupa

czterech blackhawków z nami na pokładzie odrywała się od ziemi, żałowałem, że nie dysponujemy większą siłą ognia.

Tak jak podczas wcześniejszych lotów, Izzy usiadła naprzeciwko mnie i wyglądała przez okno. Podałem jej telefon i słuchawki, jednak tym razem nie włożyłem ich do jej uszu. Szybko wyciągnąłem książkę i ostentacyjnie odwróciłem wzrok, zanim zdążyła odrzucić moją ofertę.

Po tym, jak poprzedniego wieczoru natknąłem się na korytarzu na Covingtona, nie byłem pewien swojej reakcji, gdyby Izzy jeszcze raz dała mi do zrozumienia, że nie byłem dla niej wystarczająco dobry.

Udało się jej nawiązać kontakt z trenerką Niaz i drużyna szachowa zmierzała na lotnisko. Byli przerażeni i nieufni, zgodnie z tym, co mówiła senatorka Lauren, i ani trochę się im nie dziwiłem. Przy odrobinie szczęścia spędzimy na ziemi mniej niż godzinę i zawiniemy się stamtąd, nim talibowie dowiedzą się o naszej obecności i wymierzą w nas moździerzami.

Ta optymistyczna myśl nie powstrzymała jednak mojego serca od bicia tym mocniej, im mniejsza odległość dzieliła nas od Kandaharu.

Gdy lądowaliśmy, wrzuciłem książkę do plecaka i przewiesiłem go sobie przez ramię. Telefon i słuchawki, zwrócone mi przez Izzy, schowałem do jednej z kieszonek munduru. Dystans między nami był namacalny, bolesny, ale też konieczny. Niespodziewane zjawienie się Gnojka okazało się jakże potrzebnym przypomnieniem, że pierścionek na palcu Isabeau nie wziął się znikąd.

Kolejno wysiadaliśmy z maszyn, których silniki powoli zwalniały obroty. Nie była to moja pierwsza wizyta na kandaharskim lotnisku, ale równie dobrze mogła okazać się ostatnią. Zniszczenia będące skutkiem ostrzałów, o których nam donoszono, widać było gołym okiem. Charakterystyczne łuki zdobiące lotniskowe zabudowania zostały nadkruszone, z kolei pod ogrodzeniem z drutu kolczastego zalegały sterty gruzu. Pas startowy też został uszkodzony.

Słońce paliło odkrytą skórę moich przedramion, kiedy szliśmy szybko zwartym szykiem w stronę budynku terminalu, gdzie miał czekać na nas łącznik z afgańskiej armii. Prowadziłem Izzy tuż przy swoim boku, nieustannie się rozglądając i dokładnie odnotowując każdy szczegół otoczenia. Na szóstej osłaniał nas Graham.

Wyznaczony do kontaktu z nami oficer sił zbrojnych Afganistanu stał na końcu pasażu łączącego pas startowy z terminalem. Towarzyszyło mu sześciu żołnierzy. Wszyscy wyglądali, jakby przeszli przez piekło i nawet się nie łudzili, że ominie ich powtórka z rozrywki.

– Trzydzieści centymetrów – odezwałem się do Izzy, gdy łopot wirników ucichł na tyle, że mogłem usłyszeć własny głos.

– Chyba sobie trochę dodajesz – rzuciła cicho w odpowiedzi, mocniej chwytając pasek niedużej torby przewieszanej przez ramię.

– Mądrała – wymruczałem. – Trzydzieści centymetrów to maksymalna odległość, na jaką wolno ci się ode mnie oddalić, dopóki tu jesteśmy.

– Nie ufasz afgańskiemu wojsku? – zapytała półgłosem.

– Niektórym z nich jak najbardziej. – Moje ręce wciąż spoczywały na karabinie. – Ale nie udałoby mi się tak długo tu przeżyć, gdybym wierzył każdemu, kogo napotkam. – A już z całą pewnością nie zamierzałem podejmować tego ryzyka z Izzy u mojego boku.

– Przyjęłam do wiadomości. – Izzy spojrzała na mnie ukradkiem, gdy byliśmy w połowie ścieżki. – A co, jeśli będę musiała siku? Czy w takiej sytuacji również obowiązuje zasada trzydziestu centymetrów?

– Z chęcią podam ci papier toaletowy.

– Bardzo obrazowe. – Izzy zmarszczyła nos.

– Sama zaczęłaś. Zresztą będziemy tu góra godzinę, pamiętasz? Wytrzymasz.

Gdy podeszliśmy do oficera łącznikowego, ucisnąłem dłoń młodego kapitana. Pozostali ani na chwilę nie spuszczaali rąk z broni.

– Czy ewakuowani są gotowi? – zapytałem.

– Przyjechali przed trzydziestoma minutami – powiedział mężczyzna, prowadząc nas do wnętrza terminalu. Dwójka naszych operatorów została przy wejściu, żeby je zabezpieczyć i mieć na wszystko oko. – Może i wygryzają nas z przedmieść, ale wciąż kontrolujemy drogę na lotnisko.

– Dobrze to słyszeć. – Gdyby stracili tę drogę, nie dałoby się ewakuować nikogo z miasta. Byliśmy całkowicie otoczeni.

Klimatyzacja jeszcze pracowała, co było dla nas miłą niespodzianką i wielką ulgą. Podłogę i krzesła pokrywała warstwa

pustynnego pyłu, a dwa z okien znajdujących się na linii mojego wzroku zabezpieczono dyktą.

Izzy uniosła dłoń do paska pod swoim podbródkiem.

– Nie ściągaaj tego – powstrzymałem ją.

– Mogę przestraszyć dziewczęta, jeśli wejdę do nich ubrana, jakbym szykowałą się na bombardowanie – szepnęła w odpowiedzi.

– Szczerze wątpię, by na tym etapie spodziewały się czegokolwiek innego. – Minęliśmy grupki wojskowych i cywilów czekających na ewakuację. – Chyba zapominasz, że dla tutejszych dzieciaków wojna to nic nowego, nie tak jak w Stanach. Hełm zostaje na swoim miejscu.

– Zamierzasz być taki miłutki do końca wyjazdu? – zapytała Izzy, ściągając brwi. Wciąż jednak dotrzymywała mi kroku.

– Tak.

– To wygląda obiecująco – odezwał się Graham, wskazując ręką na większą przestrzeń po naszej prawej.

Spojrzałem w tym kierunku, żeby zobaczyć, co miał do zaproponowania. Stały tam rzędy krzesel, które tworzyły coś, co musiało stanowić kiedyś ekskluzywną poczekalnię. Żadne okna nie były zabite deskami. W razie czego można było przestrzelić szybę, wydostać się prosto na pas startowy i rzucić się biegiem do śmigłowców. W trakcie pospiesznej ewakuacji bylibyśmy nieco wyeksponowani, ale naszą pozycję dałoby się obronić i mielibyśmy kontrolę ogniową nad bezpośrednim otoczeniem.

– Tu będzie dobrze – oznajmiłem afgańskiemu oficerowi. – Możecie przyprowadzić ewakuowanych.

– Czekają przecież...

– Tutaj – dodałem tonem, który nie pozostawiał miejsca na dyskusję.

Mężczyzna wyrzwał przez okno, spoglądając w stronę naszych helikopterów, po czym skinął głową i w języku paszto rozkazał dwóm swoim podkomendnym odeskortować do nas członkinie drużyny szachowej. Pozostali z naszych operatorów rozeszli się do różnych części pomieszczenia, żeby zyskać lepszy ogląd sytuacji.

– Za chwilę tu będą – powiedział kapitan, już po angielsku. – Możemy zrobić dla was coś jeszcze?

– Nie trzeba, dziękuję – odparłem. – Z pewnością nie narzekacie tu na brak roboty.

– Nie, ani trochę. – Uścisnął moją dłoń i odszedł, zostawiając z nami dwóch żołnierzy.

Izzy i ja staliśmy pośrodku poczekalni.

– Posłał po nich żołnierzy? Jesteś pewien?

Potaknąłem.

– Znam pasztuński.

– Jakżeby inaczej. – Izzy pokręciła głową. – To jakaś nowa umiejętność?

– Nie. – Uważnie skanowałem otoczenie, odczuwając pewien niepokój. Co prawda powinniśmy być w tym miejscu bezpieczni, jednak Izzy stanowiła łakomy i drogocenny kąsek dla wroga.

– A więc tylko kolejna rzecz, o której mi nie powiedziałaś – mówiła cicho, ale kąśliwie.

– Liczba języków, jakimi się posługuję, nie wydawała mi się na tyle istotną informacją, żeby zamieszczać ją w listach do ciebie. A nie chciałem marnować twojego czasu na rzeczy nieistotne. Ale ty najwyraźniej... – Zacisnąłem mocno szczękę, żeby powstrzymać następne słowa. Nie było to ani odpowiednie miejsce, ani właściwy czas na tę rozmowę.

Izzy uniosła głowę i spiorunowała mnie zmrużonymi oczami.

– Po prostu to powiedz.

Zaoponowałem, kręcąc głową.

– Wiem, że jesteś wściekły za tę sprawę z Jeremym. Widziałam rozczarowanie w twoich oczach. Znam cię wystarczająco dobrze, sierżancie Green, żeby odczytywać twoje emocje. A przynajmniej zawsze tak myślałam. – Izzy splotła ręce na piersi i zabębniła palcami o ramię.

– Nie masz pojęcia, co myślę o Gnojku.

– Jakby sam pseudonim nie mówił wszystkiego. – Jej palce poruszały się coraz szybciej.

Wzbierał we mnie gniew, za nic mający sobie protesty zdrowego rozsądku.

– Ja pierdołę, przecież zostawił cię samą na Georgetown – powiedziałem najciszej, jak potrafiłem.

– Owszem.

– Zmusił cię, żebyś pozdawała szybciej egzaminy, porzuciła przyjaciół i zapisała się na uczelnię, która nie była dla ciebie nawet szkołą pierwszego wyboru, a potem cię *zostawił* – wydusiłem z siebie i rzuciłem jej spojrzenie z gatunku „co do chuja”.

Stojący pod pobliską ścianą Torres uniósł czujnie brew. Musiał stamtąd wszystko słyszeć.

– Pamiętam. Przecież tam byłem.

– Tak się składa, że ja też. – Zerknąłem na pozostałych członków zespołu. Wszyscy robili dokładnie to, co do nich należało. Byłem jedynym, który wdawał się w licealne przepychanki słowne i wyklócał się z kobietą, która nawet nie była moją eks.

– Może spuść trochę z tonu. Nie tylko Jeremy mnie odtrącił.

Zignorowałem ten przytyk, bo miała absolutną rację. Tyle że najwyraźniej jemu wybaczyła, mnie zaś potraktowała zupełnie inaczej.

– Kiedy się w ogóle zeszlście? Jeszcze przed Nowym Jorkiem? – To by akurat wszystko wyjaśniało.

– Nie! – syknęła Izzy. – Dopiero, jak przeniosłam się do Waszyngtonu. Rodzice zaprosili mnie na lunch, a Jeremy był tam razem ze swoją rodziną... – urwała i westchnęła. – Zresztą nie muszę ci się z tego tłumaczyć.

– Nie musisz – przyznałem. – Za to żadne *jego* tłumaczenia nie wystarczą. Zasługujesz na o wiele... więcej.

W chwili, gdy Izzy gwałtownie obróciła głowę w moją stronę, jednocześnie wydarzyły się trzy rzeczy.

Wreszcie zrozumiałem, co nie grało mi w sposobie, w jaki Izzy przez cały dzień trzymała przy sobie dłonie. Nie chodziło wcale o dłonie, tylko o to, czego brakowało na jednej z nich. Na palcu nie było pierścionka zaręczynowego.

W tej samej chwili zobaczyłem dziewczęta z drużyny szachowej idące korytarzem pod eskortą afgańskich żołnierzy.

A na to wszystko usłyszałem odgłos eksplozji na pasie startowym.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

IZZY

Georgetown Grudzień 2016

Była dziewiąta rano, więc w Afganistanie musiała być szósta trzydzieści wieczorem, co oznaczało, że być może jadłam o tej samej porze co Nate. Oczywiście u niego była to kolacja, ja zaś grzebałam widelcem w małej stercie śniadaniowych panekjków. Mimo to wyobrażałam sobie, że siedzimy razem przy jednym stole.

– I właśnie dlatego specjalizuje się w działalności charytatywnej. Prawda, Izzy? – Serena zapytała tonem dopominającym się o moją uwagę.

Zamrugałam, a gdy podniosłam wzrok znad talerza, napotkałam ściągniętą brew siostry wpatrującej się we mnie ponad restauracyjnym stolikiem.

– Jasne. Pewnie. Dokładnie tak – potwierdziłam. W zamyśle miała to być podwójna randka, ale niezbyt dobrze szło mi odgrywanie swojej roli. Przeniosłam spojrzenie na Ramona, obecnego chłopaka Sereny, a potem na kolegę, którego chciał ze mną zapoznać.

Cholera. Jak on miał na imię? Sam? Sandy? Shane? Na pewno coś na „s”. Wyglądał nawet całkiem, całkiem. Miał ładne brązowe oczy, gładką opaloną skórę i dodający mu uroku uśmiech. Rzecz w tym, że...

Że byłam beznadziejnym przypadkiem.

– Wspaniale, że koncentrujesz się na pomaganiu innym – odezwał się bezimienny facet, szczerząc się do mnie rzędem białych zębów.

– A ty? – zapytałam. Widzicie? Potrafiłam podtrzymać rozmowę.

Chłopak zmarszczył swoje ciemne brwi.

– Zajmuję się nowymi technologiami, pamiętasz?

Serena kopnęła mnie pod stołem.

– Oczywiście! – Spojrzałam na siostrę spod byka. – Chodziło mi o to, w jakim kierunku chcesz poprowadzić swoją karierę w tej branży.

– Aha – odparł. Znów ten uśmiech. – Skupiam się teraz na rynku finansowym, staram się, by usługi bankowe stały się bardziej dostępne w odległych lokalizacjach...

Tak odległych jak obecne zakwaterowanie Nate'a. Wędrujące w jego stronę myśli zagłuszyły resztę technologicznego monologu.

Boże, co ze mną było nie tak? Od miesiący nie byłam w stanie utrzymać żadnego związku, a teraz znowu wybierałam bujanie w obłokach zamiast dać szansę facetowi, którego miałam na wyciągnięcie ręki. Może z tego samego powodu nie udało się Nate'owi. Spotykał się z kimś przez parę miesięcy. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nasze wspólne wakacje na Fidżi – zarezerwowane na czerwiec – dojdą do skutku. Okej, byłam też trochę zazdrosna. Na zdrowie mi to raczej nie wyszło.

W ciągu osiemnastu miesięcy, które minęły od naszego ostatniego spotkania, wymieniana przez nas korespondencja zmieniła formę z listowej na elektroniczną. Jednak odkąd znowu wyleciał do Afganistanu – straciłam już rachubę, który to już raz – e-maile przychodziły z mniejszą częstotliwością.

Na stole zawibrował mój telefon, a Serena zerknęła na mnie z ukosa, gdy go podniosłam, żeby odczytać wiadomość. Żadnego esemesa, tylko e-mail. Miałam ustawione cotygodniowe alerty z Google'a i właśnie nadeszła kolejna porcja wybranych artykułów. Nic więcej.

A jednak więcej. Zamarłam na widok nagłówka.

Nathaniel Phelan.

Wstrzymałam oddech i zaczęłam stukać raz po raz w gładką powierzchnię ekranu, jakbym w ten sposób mogła sprawić, że aplikacja wczyta się szybciej. Nic mu się nie stało. Nie mogło. Żadna

inna możliwość nie wchodziła w grę. A mimo to nie mogłam nabrać tchu.

Kliknęłam link i zobaczyłam, jak otwiera się strona z nekrologami. Moje uszy wypełniło głucho dudnienie.

Nie!

Mój świat przestałby istnieć, gdyby go w nim zabrakło, gdziekolwiek miałby być.

Zamrugałam, gdy na ekranie pojawił się artykuł. *Alice Marie Phelan*. Przebiegłam wzrokiem treść nekrologu, czując nieprzyjemne szarpnięcia w żołądku. *Pozostawiła męża Davida i osierociła jedyne go syna Nathaniela*.

Umarła mama Nate'a. Jej pogrzeb miał się odbyć na cmentarzu o czwartej po południu. Jeszcze tego dnia.

Nate musiał być załamany.

– Muszę iść – oznajmiłam niespodziewanie, wyciągnęłam z portfela dwudziestodolarowy banknot, położyłam go na blacie i rzuciłam się biegiem do drzwi, nim Serena zdążyła mnie zawołać.

* * *

O trzeciej czterdzieści cztery po południu wygramoliłam się z samochodu, który wynajęłam na najmniejszym lotnisku, jakie kiedykolwiek widziałam, i rozłożyłam parasol, który przezornie zabrałam ze sobą. Miałam zaledwie godzinę na przebranie się w jedynym wolnym hotelu w miasteczku, który zresztą okazał się najdroższym. Czarna sukienka szczęśliwym trafem czekała wyprasowana w szafie w moim mieszkaniu, więc mogłam od razu zapakować ją do walizki stanowiącej bagaż podręczny. Co z lotem powrotnym? Kupienie biletu nie było łatwym zadaniem, ale jakoś temu podołałam.

Zawsze byłam przekonana, że Illinois w grudniu było zasypane śniegiem. Zamiast niego jednak w czasie mojego parasola siekł lodowaty deszcz. Obeszłam wypożyczonego sedana od przodu i wkroczyłam na cmentarz. Serce mocno mi biło, gdy zbliżałam się do niedużej grupki osób. Obcasy zapadały mi się w mokrej zbrązowiałej trawie.

W kieszeni zabręczała komórka. Gdy udało mi się wydostać ją z kieszeni płaszcz, na ekranie widoczna była wiadomość.

Mama: Serena mówiła, że wybiegłaś rano ze śniadania?

Akurat *teraz* postanowiła się o mnie martwić?

Pokręciłam z niedowierzaniem głową i wsunęłam smartfon z powrotem do kieszeni.

Ludzie ruszyli przed siebie, a ja poszłam za morzem parasolek. Po chwili znalazłam się przy ostatnim rzędzie trzydziestu paru składanych krzesłek ustawionych w dwóch szeregach wzdłuż linii wyznaczonej przez nagrobki.

Gdy żałobnicy rozchodzili się między krzesła, dostrzegłam barwne wieńce przy zamkniętej trumnie umieszczonej na podwyższeniu pod szerokim zielonym baldachimem. Niektórzy od razu zajmowali miejsca po jednej lub po drugiej stronie, inni najpierw dochodzili do końca i dopiero potem zawracali, żeby usiąść.

Ci drudzy składali kondolencje rodzinie zmarłej.

Nagle dopadły mnie lekkie mdłości, więc mocniej zacisnęłam dłoń na rękojeści parasola. Właśnie dotarło do mnie, że być może popełniłam błąd. Byłam tak zaaferowana dotarciem tu na czas, że nawet przez chwilę nie zastanowiłam się, czy w ogóle *powinnam* tu przyjeżdżać.

Niewykluczone, że Nate wcale nie chciał mnie tu widzieć, że towarzyszył mu ktoś inny. Przecież mnie tu nie zapraszał. Nie zadzwonił.

A może to Nate'a tu nie będzie, a ja właśnie dołączyłam do grona kompletnie obcych mi ludzi. Tak czy owak, nie miałam pewności, czy byłam tu mile widziana. Może najlepiej będzie po prostu zająć któreś krzesło.

Moja kieszeń znów zawibrowała, więc wydobyłam z niej telefon. Ekran przecinała kolejna wiadomość od mamy.

Mama: ISABEAU ASTOR, masz mi natychmiast odpisać.

Mama: Jeszcze chwila i zarządzę poszukiwania!

Wystukałam krótką odpowiedź.

Isabeau: Zmarła mama mojego przyjaciela Nate'a. Jestem na pogrzebie. Pogadamy później.

Schowałam komórkę, mając nadzieję, że tyle wystarczy, żeby mama przestała świrować.

– Wielka szkoda – powiedziała kobieta idąca za mną. – Alice była prawdziwym aniołem.

– Ten zakręt zawsze był niebezpieczny. Carl mi powiedział, że ślady opon pokazują, że chłopak Marshallów zjechał na jej pas – dodała jej towarzyszka, ścisząc głos, gdy mijałyśmy trzeci rząd mokrych od deszczu krzesel. – Zderzyli się czołowo.

Mama Nate'a zginęła w wypadku samochodowym.

– Popatrz tylko na nich – ciągnęła pierwsza z kobiet, wzdychając przy tym ciężko. – Nie potrafią nawet stanąć obok siebie.

Obejrzałam się dyskretnie przez ramię i zobaczyłam kobietę o kasztanowych włosach przeciętych pasemkiem siwizny. Była nachylona w prawo, żeby widzieć, co dzieje się przede mną.

– Obie dobrze wiemy, że chłopak nie zjawił się w domu, odkąd zaciągnął się do armii – odparła druga. – Zawsze był lekko zdziczały.

– A dziwisz mu się po tym, jak David... – zaczęła pierwsza, lecz nagle urwała. – Cóż, nikt z nas w żaden sposób mu nie pomógł, prawda?

Przedemną zebrało się parę osób, więc sama też nachyliłam się w prawo.

I wtedy go zobaczyłam.

Poczułam się, jakby ktoś wbił sztylet w moje serce. Zmusiłam się jednak, by oddychać. Nate stał ze stoickim spokojem przy krawędzi baldachimu na końcu przejścia między krzesłami. Nieustępliwy deszcz wsiąkał w jego włosy i moczył materiał czarnego trencza. Pokiwał głową kobiecie, która coś do niego powiedziała. Gdy odeszła, uściśnął dłoń czekającego za nią mężczyzny, po czym obrócił się w lewo do kogoś, kogo nie mogłam dostrzec, i powtórzył całą sekwencję.

Nie potrafiłam oderwać wzroku od jego profilu. Kolejka składających kondolencje przesuwiała się do przodu, a Nate

z pustym, pozbawionym emocji wyrazem twarzy witał każdą z osób w dokładnie taki sam sposób, wykonując powtarzalne, zrobotyzowane ruchy. Widok ten sprawiał mi fizyczny ból.

– Bardzo mi przykro, synu. Twoja matka była wielkim skarbem – powiedział do Nate’a starszy mężczyzna stojący przede mną.

– Dziękuję – odpowiedział Nate, potrząsając wyciągniętą do niego dłoń. W jego głosie nie było ani krzty życia, zero intonacji.

Gdy mężczyzna się odwrócił i ruszył w przeciwną stronę, zrobiłam krok do przodu i zajęłam zwolnione przez niego miejsce. Podnosząc wzrok na Nate’a, odchyliłam parasolkę do tyłu.

– Isabeau? – Jego zaczerwienione oczy rozszerzyły się, gdy napotkały moje spojrzenie.

– Tak mi przykro z powodu twojej mamy, Nate. – Uniosłam parasol tak, żebyśmy oboje byli osłonięci przed deszczem.

Wpatrywał się we mnie w milczeniu przez kilka kolejnych uderzeń serca, by wreszcie wyciągnąć ręce i wziąć mnie w objęcia. Zaplótł ramiona na moich plecach, a ja wtuliłam się w niego, kładąc policzek na chłodnej, mokrej klapie jego płaszcza. Czułam, że każdy mięsień w jego ciele jest naprężony.

– Przyjechałam, jak tylko się dowiedziałam – szepnęłam.

Nate musiał pochylić głowę, bo gdy wypowiadał następne słowo, poczułam ruchy jego szczęki na swojej głowie, tuż przed miejscem, w którym upięłam włosy w kok francuski.

– Dziękuję.

– Później pogadamy – obiecałam.

– Zostań. – Oplatające mnie ramiona rozluźniły się, a kiedy zrobiłam krok w tył, Nate chwycił moją wolną dłoń i lekko pociągnął mnie ku swojemu lewemu bokowi. Zanim przywitał się z kolejnym z żałobników, zacisnął swoje przemarznięte palce na moich.

Starłam się trzymać parasol tak, by deszcz omijał Nate’a. W kolejce zostało już tylko kilka ostatnich osób, ale każdej z nich uprzejmie dziękowałam skinieniem głowy – a przynajmniej miałam nadzieję, że wyszło uprzejmie – za kondolencje składane synowi kobiety, której nie będę już miała okazji poznać.

Kobiety, którą Nate kochał z całego serca.

Kiedy ostatnia osoba wyraziła swoje współczucie, a na miejsce pod baldachimem wkroczył duchowny, znalazłam się twarzą w twarz

z mężczyzną, którego nie trzeba było mi przedstawiać. Natychmiast rozpoznałam w nim ojca Nate'a.

Syn był od niego o parę dobrych centymetrów wyższy, ale obaj mieli taki sam nos i takie same rysy twarzy. Z jego oczu, ciemniejszych niż te Nate'a, powiało chłodem, kiedy obrzucił mnie nieżyczliwym spojrzeniem.

– Proszę wszystkich, żeby usiedli – odezwał się duchowny. – Zaczniemy za kilka minut.

Nate wszedł między mnie a swojego ojca, po czym zajął miejsce od strony przejścia. Gdy usiadłam na metalowym krzeselku obok niego, skrzywił się z zakłopotania.

– Wybacz. Pewnie jest ci zimno.

– Nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie – zapewniłam go. By osłaniać Nate'a przed deszczem, trzymałam parasolkę w takiej pozycji, że pozwalałam wodzie wsiąkać w mój wełniany płaszcz. Nate sięgnął ponad moimi kolanami i złapał mnie za lewą dłoń.

– Mieli tylko jeden baldachim – powiedział Nate, wpatrując się w księdza. – Uznałem, że to jej należy się zadaszanie.

– Słuszna decyzja. – Potarłam kciukiem po jego zimnej skórze, żałując, że nie mogłam mocniej go ogrzać.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał, obróciwszy się w moją stronę.

– Ustawiłam Google Alert na twoje nazwisko – przyznałam. – Tylko że wybrałam cotygodniowe powiadomienia. Gdybym dostawała je codziennie, dowiedziałabym się szybciej. Mogłabym wtedy przyjechać wcześniej.

– Dobrze, że jesteś. – Nate zacisnął palce na mojej dłoni. – Gdybym w ostatnim tygodniu był zdolny pomyśleć... o czymkolwiek, pewnie bym do ciebie zadzwonił. Ale chyba nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo chciałem cię mieć dziś przy sobie, dopóki cię tu nie zobaczyłem. – Jego wzrok powędrował w stronę trumny. – Miała wypadek samochodowy. Zginęła na miejscu. – Nate z trudem przełknął ślinę. – O tyle dobrze, że nie czuła bólu.

– To prawda – zgodziłam się, niepewna, co powinnam powiedzieć ani dlaczego krzesło obok mnie pozostało puste. – Naprawdę mi przykro, że ją straciłeś.

– Nie potrafię o niej mówić. Nie przed wszystkimi. Nigdzie. Po prostu nie potrafię.

– Nie musisz.

Nate tylko pokiwał głową. Chwilę potem zaczęło się nabożeństwo. Wydawało mi się niezbyt długie, jednak mogłam je porównać wyłącznie z pogrzebami moich dziadków. Głos zabrały ciotki Nate'a, a jego ojciec wyrecytował biblijny werset. Gdy ksiądz spojrzał pytająco na Nate'a, ten pokręcił przecząco głową. Wiatr przybrał na sile, moja twarz coraz bardziej drętwiała z zimna, ale ceremonia właśnie dobiegała końca.

Wstałam z krzesła, kiedy wstał Nate.

Ruszyłam z miejsca, kiedy ruszył się Nate.

Poszłam tam, dokąd poszedł Nate.

Gdy grabarze byli gotowi do opuszczenia trumny z mamą Nate'a do grobu, wszyscy poza nami i, jak przypuszczałam, najbliższą rodziną Phelanów, zdążyli już opuścić cmentarz.

Ciało Nate'a zeszywniało, kiedy podszedł do nas jego ojciec i stanął przy trumnie.

– Będziemy musieli pogadać o farmie. – Phelan senior postawił stopę przed synem i nachylił się do niego. – Koniec z unikaniem mnie, chłopcze.

Z jego tonu dało się wyczytać wszystko, co powinnam wiedzieć na temat ich relacji.

„Jest w ogóle coś, czego się boisz? Przecież czegoś musisz się bać, prawda?”

„Jasne. Boję się, że stanę się taki jak mój ojciec”.

Chyba właśnie tak powiedział Nate tamtego dnia na plaży.

Nate puścił moją dłoń, uniósł ramię i delikatnie popchnął mnie w tył.

– To nie jest najlepsza pora, Davidzie – odezwała się jedna z ciotek. Przestało padać, więc starsza kobieta składała akurat swoją parasolkę. Włosy miała równie czarne co Nate, a jej wyprostowane ramiona podpowiadały mi, że raczej nie należała do zwolenniczek jego ojca.

Nie wiedząc, co ze sobą zrobić w obliczu narastającego napięcia, też opuściłam parasol i nacisnęłam guzik blokady, żeby go złożyć.

– A niby kiedy mamy o tym pogadać? – warknął ojciec Nate'a. – Nie odezwał się do mnie słowem, odkąd przyjechał do domu.

A wszyscy dobrze wiemy, że jutro wraca do Afganistanu. Jak mamy wtedy gadać?

Już jutro? Zrobiło mi się ciężko na sercu.

– To żadna tajemnica, że zostawiła farmę Nate’owi – zauważyła druga z ciotek, stając obok swojej siostry. – Widziałyśmy testament.

– Farma powinna być moja – upierał się jego ojciec, ale Nate nawet się nie poruszył. – Byłem jej mężem. – Gdy zrozumiał, że nie uda mu się sprowokować Nate’a, odwrócił się do mnie. – Może chociaż twoja ładniutka dziew...

– Nawet się do niej, kurwa, nie odzywaj. – Nate zrobił krok do przodu, jednocześnie nakazując mi gestem, bym się cofnęła.

O ja pierniczę. Znałam Nate’a tyle lat, ale nigdy wcześniej nie widziałam go wściekłego.

– On mówi! – Facet wyrzucił ręce w górę, jakby dziękował Bogu za cud. – To jak, jesteś gotów pogadać o farmie? Mieszkam w tym miejscu o wiele dłużej, niż mieszkałeś tam ty.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. – Nate się cofnął, nadal trzymając przede mną wyciągnięte ramię oddzielające mnie od jego ojca.

– Albo możesz uciec, tak jak zawsze!

– Davidzie! – złajęła go jedna z ciotek.

– Po prostu przyjdź do tego cholernego notariusza i przepisz na mnie nieruchomości – rozkazał ojciec Nate’a głosem bardziej lodowatym niż grudniowa pogoda. – Zrób chociaż tyle po tym, jak nie raczyłeś się pokazać w domu i odwiedzić jej przez pięć ostatnich lat.

Zachłysnęłam się.

– Izzy, odsuń się, proszę – ostrzegł mnie Nate niskim, śmiertelnie poważnym głosem, który po raz pierwszy słyszałam z jego ust.

– Nate? – odezwałam się. Musiał istnieć jakiś sposób na odroczenie wiszącej w powietrzu konfrontacji przynajmniej do momentu, aż pochowają swoją żonę i matkę.

– Proszę cię – powtórzył Nate, nie spuszczając oczu z ojca.

I właśnie dlatego zrobiłam, jak prosił. Cofnęłam się o parę kroków. Skoro Nate ani na chwilę nie odwracał wzroku od swojego ojca, najwyraźniej miał ku temu powody.

– Milutki dla wszystkich wokół, tylko nie dla swojej cholernej rodziny – rzucił ojciec Nate’a, piorunując go spojrzeniem. – Podpisz

te papiery i wracaj do swojego nowego, lepszego życia. Obaj wiemy, że nie chcesz tej farmy. Zresztą za cholere nie wiesz, jak się taką farmę prowadzi.

– Masz rację. Nie chcę farmy. Ale nie zamierzam przepisać jej na ciebie – odpowiedział Nate z ramionami opuszczonymi swobodnie wzdłuż boków ciała.

– A więc chcesz mnie stamtąd wykopać?

Nate pokręcił przecząco głową.

– Jeszcze nie.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – Policzki ojca Nate'a oblały się soczystą czerwienią.

– To znaczy, że póki co możesz tam mieszkać – odparł Nate, wzruszając ramionami.

– Póki co? – Mężczyzna ściągnął brwi, a jego dłonie zacisnęły się w pięści.

Moje tętno przyspieszyło.

– Przez parę miesięcy. Może parę lat. Kto wie. Ale pewnego dnia ją sprzedam – mówił Nate ściszym głosem. Teraz nawet grabarze przerwali pracę, żeby przyglądać się dalszemu rozwojowi wydarzeń. – I nie uprzedzę cię o tym – dodał, kręcąc głową. – Nie. Chcę, żebyś się bał. Chcę, żebyś budził się każdego dnia i zastanawiał, zamartwiał, czy to właśnie tego dnia to, co jej robiłeś, wróci do ciebie i się na tobie zemści. Chcę, żebyś czuł ten sam lęk, jaki czuła mama, gdy co wieczór czekała, aż wrócisz do domu, nie mając pojęcia, w jakim będziesz nastroju, nie wiedząc, czy zrobisz sobie z niej worek treningowy, czy może akurat wybierzesz sobie mnie.

Poczułam ucisk w żołądku. Przed czterema laty Nate wsiadł na pokład samolotu z rozciętą wargą. Co powiedział wtedy o zranionych ustach? O popękanych knykciach?

„Już nie raz ktoś się na mnie rzucał, a następnym razem będę przynajmniej uzbrojony”. Mówił o swoim ojcu!

– Może i żałuję, że nie wracałem do domu, żeby ją odwiedzić – ciągnął Nate. – Wiedziała jednak, że przyrzekłem sobie nigdy nie oddychać tym samym powietrzem co ty. Najbardziej jednak żałuję, że choć próbowałem, nie udało mi się jej przekonać, żeby też cię zostawiła.

– Ty mały gnojku! – Jego ojciec wyprowadził cios, ale zanim zdążyłam krzyknąć, Nate chwycił ręką wymierzoną w niego pięść.

– Będiesz się teraz musiał dużo bardziej postarać, jeśli chcesz mnie uderzyć. – Kostki na dłoniach Nate'a zbiały, a jego ojciec zaskowyczał, wyszarpując rękę z uścisku syna. – Nie jestem już chuderlawym nastolatkiem. Latami tępiłem takich bydlaków jak ty. Już się ciebie nie boję.

Z szeroko otwartych oczu mężczyzny biła wściekłość, gdy rozmasowywał obolałą dłoń, powoli się wycofując.

– Pożałujesz tego. – Na dźwięk jego lodowatego głosu przeszły mnie ciarki.

– Wątpię.

– Chciałbyś mi przyłożyć? Co, chłopcze? – Facet nie dawał za wygraną, unosząc kąciki ust w złośliwym uśmiechu.

– Owszem. – Nate opuścił ręce. – Ale nie zrobię tego. Właśnie tym się różnimy.

– Tak sobie wmawiaj – rzucił jeszcze ojciec Nate'a, po czym splunął na ziemię, obrócił się na pięcie i dumnym krokiem poszedł do niebieskiego forda f-150 zaparkowanego przy krawężniku.

Jasna dupa! Nate dorastał w takich, a nie innych warunkach i niezależnie od tego jakimś cudem wyrósł na... Nate'a.

Gdy powoli odwrócił się w moją stronę, przez sekundę odnosiłam wrażenie, że patrzę na kogoś zupełnie innego. Ten człowiek nie był Nathanielem, którego znałam. Nie miałam wątpliwości, że stojący przede mną mężczyzna był na wojnie, widział jej okropieństwa i robił rzeczy, których nigdy w pełni nie pojmę.

Mimo to ani trochę się go nie bałam.

– Odprowadzę cię do samochodu – oznajmił stanowczym tonem.

Skinęłam głową, a Nate położył mi delikatnie dłoń na dolnej części pleców. Do mojego wynajętego sedana szliśmy w zupełnej ciszy, bo po raz pierwszy w życiu zabrakło mi słów. Nate'a przepełniały napięcie i niepokój, z którymi nie wiedziałam, co zrobić. Straciłam grunt pod nogami.

W kieszeni zaczął rytmicznie pobrzękiwać mój telefon. Sięgnęłam po niego odruchowo, ale palce miałam wciąż zmarzniete i odbierając połączenie, niechcący przełączyłam komórkę w tryb głośnomówiący.

– Mamo, oddzwonię...

– Powiedz mi, że nie wyszłaś z randki z obiecującym inżynierem, żeby uganiać się za tym żołnierzem, Isa. Jak Boga...

Dźgnęłam palcem ekran, wyłączając głośnik, i przyłożyłam komórkę do ucha.

– Mamo! Zadzwoń później. – Po moich policzkach rozlało się palące zakłopotanie. Nate wszystko *słyszał*.

– Wykazujesz się kompletnym brakiem rozsądku w swoich wyborach.

– To są moje wybory. Zadzwoń, jak wrócę do Waszyngtonu. – Ze złością nacisnęłam czerwoną słuchawkę i z duszą na ramieniu podniosłam wzrok na Nate'a. – Przepraszam cię. To... moja mama.

Szczeka Nate'a lekko drgnęła.

– Nie masz za co przepraszać. Nie powiedziała o mnie niczego, co nie byłoby prawdą.

– Ona cię nawet nie zna – przekonywałam go, kiedy dotarliśmy do samochodu i zamieniłam komórkę na kluczyki.

– Gdzie się zatrzymałaś? – zapytał, po czym od razu parsknął. – Nie wiem, po co pytam. Przecież w miasteczku jest tylko jeden hotel.

– Mieszkam w apartamencie prezydenckim – odpowiedziałam, otwierając drzwi auta, które, jak się okazało, zapomniałam wcześniej zaryglować. – Resztę mieli zajęta.

Pokiwał głową, a jego opalona broda znowu zadrżała.

Byłam zmarznięta i przemoczona, ale niech Bóg mi świadkiem, całą sobą odczuwałam przygniatający Nate'a ból.

– Mogę zostać.

Nate odwrócił się i spojrzał w stronę cmentarza.

– Nie. Jestem wdzięczny, że przyjechałaś. Naprawdę. Ale chcę teraz pobyc z nią sam. – Jego twarz wykrzywił osobliwy grymas. – O ile pozbędę się ciotek.

– W porządku.

– Przykro mi, że musiałaś to oglądać – dodał, nie patrząc na mnie.

– Przykro mi, że musiałeś przez to przechodzić – odparłam. Wyciągnęłam rękę do jego przemokniętego płaszcza, zdesperowana, by go dotknąć, by móc w jakikolwiek sposób przynieść mu pociechę. – Powiedz mi, czego ci potrzeba, Nate.

– Jak coś wykombinuję, dam ci znać, Izzy – odpowiedział, po czym odszedł, a ja go nie zatrzymałam.

* * *

Zawiązałam pasek szlafroka, a następnie rozczesując szczotką mokre włosy, przeszłam do sypialni mojego hotelowego apartamentu. Nareszcie rozgrzałam się na tyle, że wróciło mi czucie w palcach u stóp.

Serena zdążyła już do mnie zadzwonić i przeprosić za przypadkowe wygadanie się przed mamą na temat mojego nagłego urwania się ze śniadania. Nie miałam jej tego za złe. Z mamą natomiast sprawy miały się zupełnie inaczej. Odniosłam wrażenie, że skopała leżącego, choć dobrze wiedziałam, że to we mnie celowała.

Nie potrafiłam znaleźć słów, które opisałyby zalewający mnie żal z powodu tego wszystkiego, przez co Nate musiał tego dnia przejść, oraz mojej całkowitej bezużyteczności, jeśli chodziło o uratowanie go przed choćby częścią tych przykrości. Nie śmiercią matki. Nie okrucieństwem ojca.

Usiadłam na brzegu łóżka i sprawdziłam telefon w nadziei na jakąś wiadomość albo nieodebrane połączenie. Jakikolwiek sygnał, że Nate nie zamierzał spędzać tej nocy samotnie, nie po tym, jak jego uczucia zostały obdarte ze skóry i pozostawione same sobie, by powoli się wykrwawiać. Na widok pustego ekranu głośno westchnęłam i przełknęłam gulę, która zaczęła rozpychać się w moim gardle na samą myśl, że być może pocieszała go już inna kobieta.

Weź się w garść, Isabeau. To nie był mój facet. Nie w takim znaczeniu tego słowa. Nie miałam prawa być zazdrosna, jeśli znalazł oparcie i pociechę w kimś innym. Odłożyłam szczotkę na stolik nocny, tuż obok moich lekarstw na ADHD, po czym zabrałam prawie pustą tacę z polerowanej połaci stołu jadalnianego. Cheeseburgera, którego dostarczyła mi na niej obsługa hotelowa, pochłonęłam dobre dwie godziny wcześniej, gdy tylko przestały działać moje tabletki. Otworzyłam drzwi wejściowe, odstawiłam tacę na podłogę w korytarzu i szybko się odwróciłam, żeby czmychnąć z powrotem do pokoju, zanim ktoś mnie zobaczy w szlafroku sięgającym jedynie

do ud. Już miałam przekroczyć próg, ale moją uwagę odwrócił dzwonek windy na drugim końcu korytarza.

Z kabiny wyłonił się Nate, przeczesujący dłońmi mokre włosy, nadal ubrany w garnitur z pogrzebu.

Gdy tylko nasze spojrzenia się spotkały, ruszył zamaszystym krokiem w moim kierunku, z każdą sekundą pochłaniając dzielący nas dystans, skoncentrowany wyłącznie na dotarciu do obranego celu. Moje tętno oszalało, serce z hukiem pompowało krew. Godziny, które upłynęły od naszego rozstania, nie wystarczyły, by ukoić jego nerwy. Wciąż niebezpiecznie balansował na krawędzi między tym, kim był, mieszkając w rodzinnych stronach, a tym, kim był teraz... tym, w kogo zamieniały go ciągle wyjazdy na zagraniczne misje.

W ciągu paru sekund, jakich potrzebował, by do mnie podejść, zdałam sobie sprawę, że nie ma dla mnie znaczenia, jaką wersję Nate'a dostanę. Byłam nieodłącznie związana z każdą z nich. Człowiek, którym był, mieszkając w tym miasteczku, wydostał mnie z wraku samolotu. Facet, którym się potem stał, zwałił mnie z nóg nad oceanem w Georgii. A mężczyzna, którym był teraz... tym, który sprawiał, że przyspieszał mi puls, i którego tak bardzo pragnęłam...

O mój Boże!

To uczucie rozlewające się wewnątrz mojej piersi...

Byłam w nim zakochana.

A on już następnego dnia wylatywał z powrotem do Afganistanu.

Szurając nogami, cofnęłam się do pokoju, ale przytrzymałam dla niego drzwi. Wszedł za mną, pachnąc deszczem i ledwo wyczuwalnymi pozostałościami wody kolońskiej.

– Potrzebuję... – odezwał się, obróciwszy się do mnie, gdy zamknęłam drzwi. Chaos panujący w jego krystalicznie niebieskich oczach niemal rzucił mnie na kolana. – Potrzebuję ciebie.

– Okej. – Potaknęłam głową.

– Izzy. – Była to jednocześnie prośba i ostrzeżenie. Otaksował wzrokiem całe moje ciało i niespokojnie się poruszył. Tego spojrzenia nie dało się pomylić z niczym innym. Dokładnie tak samo wpatrywał się we mnie w dniu moich urodzin w ubiegłym roku. Bił od niego żar pożądania. – Chyba nie rozumiesz...

– Dobrze wiem, co masz na myśli – wyszeptałam.

Nate skrzyżował spojrzenie z moim. Już sekundę później moje plecy natrafiły na drzwi, a usta Nate'a złączyły się z moimi.

Smakował tak samo, ale pocałunek w niczym nie przypominał tych, które wymienialiśmy wcześniej. Tym razem było to starcie języków i zębów, zupełnie jakby każdy napotkany przez niego problem mógł zostać zapomniany, jeśli tylko całkowicie się we mnie zatraci. Całowałam go z taką samą intensywnością, chcąc mu pokazać, że może dostać ode mnie wszystko, czego potrzebuje.

Wiedziałam, że nigdy by mnie nie skrzywdził ani nie zmuszał do czegoś, na co nie byłam gotowa. A byłam gotowa na wszystko. I pragnęłam go równie mocno jak on mnie.

Jego usta były chłodne, za to język, który oplatał się wokół mojego, ciepły. Poza tym cały był zimny i mokry od deszczu. Ubrania miał z całą pewnością całkowicie przemoczone. Jego dłonie prześlizgnęły się po materiale szlafroka, po czym chwycił moje uda pod pośladkami i uniósł mnie opartą o drzwi, tak by nasze usta znalazły się na jednym poziomie.

Oplotłam go nogami w pasie, a ręce zarzuciłam mu na szyję, mocno się go trzymając, podczas gdy Nate całował mnie mocniej i coraz gorliwiej. Z jego włosów kapłała woda, krople spływały mu po policzkach, ale to nas nie powstrzymywało. Lekko pociągnęłam zębami za jego dolną wargę, następnie wciągnęłam jego język do swoich ust, rozkoszując się jęknięciem, które zadudniło w jego piersi.

Pożądanie rozlewało się po moich żyłach niczym gorąca lava, rozgrzewając moją skórę do czerwoności. Również na udach, które przyjęły na siebie chłód przemoczonego garnituru.

Nate ruszył się z miejsca i bez przerywania pocałunku zabrał mnie w głąb apartamentu. Nie obrał jednak kursu na sypialnię. Posadził mnie na stole jadalnianym, dzięki czemu mogłam wreszcie się do niego dobrać. Po krótkiej batalii z mokrym krawatem udało mi się go poluzować na tyle, że mogłam zdjąć go przez głowę Nate'a. Zsunęłam z jego ramion namokłą marynarkę, która opadła na podłogę z głośnym kłapnięciem.

– Opuść nogi – zakomenderował między namiętymi, odurzającymi pocałunkami.

Rozplotłam kostki za jego plecami i pozwoliłam, żeby nogi opadły mi swobodnie ze stołu.

– Doskonale. – Dłonie Nate’a sunęły w górę moich ud, a gdy dotarły pod materiał mojego szlafroka, poczułam drżenie w podbrzuszu. Wiedziałam już, co potrafią jego ręce, szczególnie te niesamowicie zwinne palce. Byłam zwarta i gotowa.

Ale dotyk, którego tak niecierpliwie wyczekiwałam, nie nadchodził.

Zabrałam się do rozpinania guzików jego koszuli, ale robiłam to po omacku, nie chcąc ani na sekundę odrywać od niego ust. Gdy wreszcie uporałam się z ostatnim guzikiem, wyszarpnęłam koszulę ze spodni i jakimś cudem udało mi się odpiąć mankiety, uwalniając jego nadgarstki. Nate przez cały ten czas z zapalem pieścił moje uda. Ciągnęłam oblepiający jego ciało mokry materiał, jednocześnie wystawiając usta, policzki i szyję na kolejne pocałunki. W końcu uparta koszula dała za wygraną.

Następnie odchyliłam się lekko od niego, żeby dobrze mu się przyjrzeć.

– Nate – wyszeptałam, oniemiała na widok jego ciała, które doprowadził ćwiczeniami do absolutnej perfekcji. Zmienił się przez ostatnich osiemnaście miesięcy. Tors miał wyrzeźbiony jak dawniej, przecinające brzuch naprężające się wypukłości rozbudzały apetyt i wyobraźnię, był jednak dużo *bardziej* umięśniony. Cudownie głębokie bruzdy ciągnące się w dół po bokach jego brzucha, które zdawały się wołać „zerznij mnie”, aż się prosiły, żeby podążać wzdłuż nich językiem. Gwałtownie podniosłam wzrok do jego oczu. – Jesteś niesamowity.

– Pragnę tylko ciebie, Izzy. – Objął dłonią mój kark. – Nie ma znaczenia, jak daleko jadę ani jak długo mnie nie ma. Ciągle o tobie marzę. Nawet jeśli wiem, że jesteś z kimś innym...

– Nie jestem – zapewniłam go, zdecydowanie potrząsając głową.

– Albo kiedy *ja* jestem z kimś innym... – kontynuował, a moje serce nagle zgubiło rytm.

– A jesteś? – zapytałam i odchyliłam się od niego, opierając się rękoma o blat stołu. Czekałam, aż serce zacznie mi z powrotem miarowo bić. Nate nie był mój. Ja nie byłam jego. Taką zawarliśmy umowę.

A mimo to od zawsze należał do mnie.

Ja zaś zawsze należałam do niego.

– Nie. Od ponad sześciu miesięcy – odpowiedział. Spojrzał na mnie, a ja przeklełam w myślach łączącą nas więź, tę irracjonalną zazdrość, która zakwaszyła mój umysł, gdy czytałam jeden z listów, w którym Nate wspominał o kobiecie, z którą się spotykał. – Ale nawet wtedy, choć przyznając się do tego, wyjdę na kompletnego dupka, pragnęłam tylko ciebie, Izzy.

– Wiem. – Potaknęłam głową. – Mam dokładnie tak samo.

Przycisnął swoje usta do moich. Pocałunek był delikatniejszy niż poprzednie, ale równie namiętny i tak samo żarliwy. Pozbawił mnie tchu, odebrał świadomość i rozpędził wszelkie zahamowania, które nie zdążyły mnie jeszcze opuścić.

Wtedy pochylił się nade mną, opuszczając mnie do tyłu, dopóki moje plecy nie spoczęły płasko na blacie.

– Chcę cię zobaczyć – oznajmił, zanim ponownie zaczął mnie całować.

Odszukałam rękoma pasek mojego szlafroka, pociągnęłam go i pozwoliłam, żeby połty materiału rozsunęły się na boki, podobnie jak za pierwszym razem, gdy Nate oglądał mnie w całej okazałości.

Uniósł głowę, wodził wzrokiem po moim nagim ciele, zatrzymując wzrok na dłużej w miejscach, których nie widział wcześniej.

– Jasny chuj, jesteś wprost... doskonała.

– To samo mówiłeś ostatnim razem. – Uśmiechnęłam się szeroko, starając się nie wiercić pod żarem bijącym z jego spojrzenia.

– Nic się w tej kwestii nie zmieniło – dodał Nate i odszukał mój wzrok. Pożądanie, które dostrzegłam w jego oczach, sprawiło, że dosłownie się rozplynęłam i całkiem rozluźniłam na twardej powierzchni stołu. – Pocałuję cię teraz, Isabeau Astor.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

– To też już mówiłeś.

– Wiem. – Nate posłał mi zniewalający uśmiech, na sekundę ujawniając swój dołeczek. Potem chwycił moje golenie i zgiął mi nogi w kolanach, tak że stopy oparły się o krawędź blatu. Następnie rozchylił moje uda na tyle szeroko, żeby...

O Boże!

Zachłysnęłam się powietrzem, gdy przywarł do mnie ustami, muskając językiem moją cipkę, docierając nim do łechtaczki. Było mi

tak cholernie dobrze, że nie mogłam powstrzymać krzyku. Dłonią odszukałam jego głowę i zaczęłam przyciągać go bliżej.

– Smakujesz jak dar z niebios – rzucił, a ja uniosłam na chwilę głowę. Zdażyłam spojrzeć mu w oczy, zanim wrócił do przerwanych pieszczot, posyłając do każdego zakątka mojego ciała potężny zastrzyk czystej rozkoszy.

Był najseksowniejszym facetem, jakiego widział świat, a tego wieczoru miałam go tylko dla siebie, mogłam dotykać go, ile zechcę.

Zalała mnie kolejna fala uniesienia. Wraz z każdą pieszczotą jego języka moje plecy wyginały się w naprężony łuk. Gdy wciągał moją łechtaczkę między swoje wargi, cała drżałam. Kiedy wsunął we mnie palce, najpierw jeden, po chwili drugi, zaczęłam mimowolnie poruszać biodrami do przodu i do tyłu, domagając się jeszcze więcej, upominając się o swoje jękami.

Nagle bez ostrzeżenia unieruchomił moje biodra, dociskając je przedramieniem do stołu, żebym mogła dostać tylko tyle, ile Nate zamierzał mi dać. Doprowadzał mnie do szaleństwa. Drażnił mnie, gdy chciałam poczuć go w sobie. Wysuwał się ze mnie, kiedy chciałam, żeby trwało to dłużej. Sprawiał, że dotarłam do granicy, a gdy czułam już słodczy zbliżającego się orgazmu, już miałam rozładować narastające we mnie napięcie, w ostatniej chwili odpuścić.

– Nate! – Szarpnęłam go za głowę, kiedy rozpoczynał kolejną rundę błogich tortur.

– Czego ci potrzeba, Izzy? – zapytał, wydmuchując lekko powietrze z ust wprost na moją rozgrzaną skórę. Z trudem złapałam oddech, znów wyprężając się z całych sił.

– Potrzebuję ciebie! – Pragnęłam Nate'a na każdy możliwy sposób. Lepiej nie potrafiłam wyrazić tego, co czułam.

– Będiesz krzyczeć, jeśli mnie nie dostaniesz? – Musnął językiem łechtaczkę.

– Tak!

– Oszalejesz, jeśli za chwilę nie znajdę się w tobie? – Spojrzał mi w oczy i przytrzymał spojrzenie. Więził mnie, lecz nie wbrew mojej woli.

– Tak – powtórzyłam, tym razem szeptem.

Nate pokiwał głową.

– To dobrze. Bo ja potrzebuję dokładnie tego samego. – Zanurzył się z powrotem między moimi udami i nagle świat wokół nas przestał istnieć. Nie pozostało nic poza ustami Nate’a, jego językiem i palcami, za pomocą których z imponującą wprawą sprawiał mi coraz większą rozkosz. Cudowne uczucie nadciągającego spełnienia wzbierało w podbrzuszu, aż całe moje ciało wyprężyło się niczym struna.

Nie wytrzymałam. Błogość zalała mnie z taką siłą, że z gardła wydobył się głośny krzyk. Być może kryły się w nim jakieś słowa. Może jego imię. A może było to wołanie o ciąg dalszy. Wszelkie docierające do mnie odgłosy zlewały się w głuche wycie, gdy kolejne fale uniesienia targały moim ciałem. Nim dotarło do mnie, co się dzieje, znów zaczęło narastać we mnie napięcie. Nate był już bliski doprowadzenia mnie do drugiego orgazmu.

– Ciebie! – zażądałam, wplatając palce w jego włosy. – Chcę ciebie, Nate.

Przyciągnął mnie do samej krawędzi stołu. Wciąż nieco otumaniona, jak przez mgłę usłyszałam brzęk klamry paska i rozdarcie plastikowego opakowania, po czym szeroka główka naprężonego penisa Nate’a znalazła się tuż przy cipce.

Nate oparł rękę na stole obok mojej głowy, a przed oczami nagle wyrosła mi jego piękna twarz.

– Powiedz, że naprawdę tego chcesz.

– Już mówiłam. – Ujęłam jego policzki w dłonie, zapamiętując każdy szczegół jego wyglądu. Krystalicznie czysty błękit oczu, rozszerzone źrenice, zarumienione policzki. Miał rację... Jeśli nie poczuję go w sobie, z całą pewnością oszaleję.

– Powiedz to jeszcze raz. – Szczeka Nate’a zadrżała. Ręką chwycił moje biodro.

– Chcę ciebie, Nathanielu – wyszeptałam, unosząc się, żeby go pocałować. – Więc bierz się do roboty.

Nate na moment przytrzymał moje spojrzenie, jakby dopuszczał możliwość, że jeszcze zmienię zdanie, po czym wszedł we mnie, z każdym pchnięciem wsuwając się nieco głębiej, wypełniając każdy centymetr mojego wnętrza, domagając się więcej i więcej. Gdy dotarł do samego końca, nie było już mnie. Nie było jego. Byliśmy tylko my.

Przyjęłam go w całości, aż oboje jęknęliśmy z rozkoszy.

Nie zapytał mnie, czy wszystko w porządku. Nie musiał, skoro rytmicznie napierałam na niego biodrami, nie przestając go całować. Było lepiej niż w porządku. Było jak w pieprzonej bajce!

Nate cofnął biodra, niemal całkowicie się ze mnie wysuwając, a następnie ponownie się we mnie wbił. Krzyknęłam i oplotłam go ramionami, gdy przystąpił do brutalnie miarowego wchodzenia do mojego wnętrza. Powoli, za to z dużą siłą.

– Może. Chodźmy. Do. Łóżka. – Słowa wypowiedane przez Nate'a przedziały kolejne pchnięcia bioder.

– Łóżko później. Teraz mocniej. – Tylko tyle byłam w stanie wyartykułować. Ograbił mnie niemal ze wszystkich słów, które nie były jego imieniem.

– Zrobimy to jeszcze raz? – zapytał bez odrywania się od moich ust. – Nie tylko na stole?

– Tyle razy, ile dasz radę – zapewniłam. Nie potrafiłam pojąć, jakim cudem Nate był w stanie formować spójne myśli. Skrzyżowałam kostki na wysokości dolnej partii jego pleców i zaczęłam kołysać biodrami, wychodząc naprzeciw każdemu pchnięciu.

– Przyjmuję wyzwanie. – Wyszczерzył się, ujawniając swój dołeczek.

Moje serce było gotowe w każdej chwili eksplodować miłością do tego faceta.

Nate nie przestawał namiętnie mnie całować. Nasze języki ocierały się o siebie w takim samym rytmie, w jakim we mnie wchodził, stopniowo doprowadzając moje ciało do kolejnego szczytu. Z trudem łapaliśmy oddech, ciężko sapaliśmy. Nasze ciała złączały się raz za razem, a każde pchnięcie bioder Nate'a sprawiało mi jeszcze większą rozkosz niż poprzednie, aż nie dotarłam do krawędzi, za którą czekała otchłań przyjemności. Każda część mnie napięła się tak mocno, że mój oddech zamienił się w krótkie, urywane dyszenie.

– Ja pierdolę, ale jest mi z tobą dobrze – odezwał się Nate, równie zziębnięty co ja. – Nigdy się tobą nie nacieszę. Tym, jak mnie do siebie dociskasz. Tym, jak twoja skóra przywiera do mojej. Tym, jak twoje oczy ciemnieją. O, tak. Właśnie. Tak.

Sięgnął dłonią między nasze ciała i dał mi dokładnie to, czego potrzebowałam, następnym pchnięciem zrzucając mnie w przepaść spełnienia.

W ciągu jednego oddechu rozpadłam się na setki fragmentów i zostałam poskładana z powrotem w jedną całość. Jego imię zastygło na moich ustach, moje palce zacisnęły się na jego plecach. Ogarniająca mnie euforia była nie do opisanego, pozostawała niepojęta i niezgłębiona. Całkiem oszołomiona, mogłam jedynie dać się nieść fali, podczas gdy biodra Nate'a nacierały na mnie w dzikim pędzie, niosąc go ku własnemu spełnieniu, skoro ja zostałam już zaspokojona.

Nagle zatrząsnął się nade mną i doszedł z głośnym jękiem. Podparł się drugą ręką, nim jego bezwładne ciało zdążyło przygnieść mnie do stołu.

Wpatrywaliśmy się w siebie, żadne z nas nie mogło uspokoić oddechu. Jedno patrzyło w drugie, jakbyśmy dysponowali kluczami do wszechświata. Powoli wróciłam duchem do swojego ciała i pozwoliłam, by moje nogi zsunęły się z pleców Nate'a.

– Tyle razy, ile dam radę – zaczął, układając usta w najpiękniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałam. – Tak mówiłaś, zgadza się?

Potaknęłam ruchem głowy.

– Mamy tylko tę noc – dodał, ściągając brew. Dobrze wiedziałam, co chciał powiedzieć.

Ten wieczór niczego między nami nie zmieniał. To wciąż nie był właściwy czas. Nazajutrz wracał do swojego oddziału, a ja wylatywałam z powrotem do Waszyngtonu.

– W takim razie nie traćmy czasu – zasugerowałam. Palcami pogładziłam jego policzek.

Nie straciliśmy ani minuty.

Ale gdy następnego dnia wsiadałam do samolotu, nie mogłam powstrzymać łez.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

IZZY

Kandahar, Afganistan Sierpień 2021

W jednej chwili klóciłam się z Nate'em, a w drugiej rzucił mnie na ziemię, zakrywając swoim ciałem. Wokół sypało się potłuczone szkło, serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, a moje kompletnie znieruchomiło.

Huk kolejnego wybuchu zagłuszył krzyk dziewcząt i ich rodziców.

– Rakiety! – zawołał jeden z operatorów, ale nie mogłam dostrzec który.

– Kurwa – przeklął Nate. Następnie wziął mnie w ramiona i przycisnął do piersi. Podniósł się z podłogi i pobiegł przed siebie, poruszając się w niehumanoidalnym tempie, niosąc mnie za pobliską ścianę. Gdy moje stopy ponownie znalazły się na posadzce, kucnęliśmy i Nate otoczył mnie ramieniem. Przywołał gestem ręki drużynę szachową, wołając coś do nich w nieznanym mi języku.

Rzucili się w naszą stronę akurat w momencie, gdy rozbrzmiała eksplozja, a obok nas przebiegła grupka afgańskich żołnierzy. Jeden po drugim nastąpiły trzy kolejne wybuchy.

Usta wypełnił mi metalowy posmak strachu. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby zginęły przeze mnie młode, niewinne Afganki, gdyby mój przyjazd tutaj miał kosztować *Nate'a* życie.

– Wiem. Aż się tam prosicie o trafienie – odezwał się niespodziewanie Nate. W jego ręku zobaczyłam guzik radia. Nie

mówił do mnie. – Jazda stamtąd. Zabierzcie cekaemy.

Wraz z kolejną eksplozją zadrżała ściana, za którą się ukrywaliśmy. Nate mocniej mnie do siebie przycisnął.

– Nic nie możemy zrobić – wyjaśnił, choć wcale nie pytałam. – Odpalają rakiety daleko stąd. Pozostaje nam tylko czekać.

Pokiwiałam głową, próbując przywołać na twarz dodający otuchy uśmiech, który chciałam posłać dziewczynce siedzącej najbliżej mnie. Miała na imię Kaameh. Zapamiętałam ją z dokumentacji, nad którą spędziłam wiele godzin. Jej matka starała się osłaniać córkę najlepiej, jak mogła. Pozostałe szachistki też skuliły się w objęciach rodziców, tylko jedną z dziewcząt osłaniał żołnierz afgańskiej armii.

Łopot wirników docierający do środka przez rozbite okna stawał się coraz mniej słyszalny. Śmigłowce odlatywały z lotniska.

Aż się poderwałam, gdy eksplodowała kolejna rakietka. Nate nawet nie drgnął, cały czas uważnie rozglądając się wokół. Za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, zawsze pozostawał czujny, wciąż obserwował innych ludzi, miał baczenie na wszystko, co się wokół działo. Teraz zrozumiałam dlaczego. Reakcje, które latami tak bardzo mnie martwiły, tutaj z pewnością nie raz pozwoliły mu ujść z życiem.

Następna minuta upłynęła w zupełnej ciszy, bez kolejnych detonacji. Druga tak samo.

– Chyba już koniec – odezwał się sierżant Gray z przeciwległego końca poczekalni, gdzie stał z plecami przyciśniętymi do ściany.

– Zgadza się – zawołał ktoś inny.

– Śmigła odleciały. Nie mieli na co czekać – dodał kolejny z operatorów.

Na policzku poczułam dłoń Nate'a. Uniósł moją brodę i zapytał:

– Nic ci nie jest?

Potrząsnęłam głową, bo język odmówił mi posłuszeństwa.

Nate odsunął się ode mnie i dokładnie mi się przyjrzał, gdy pozostali operatorzy podeszli, żeby upewnić się, czy żadna z szachistek ani ich rodzice nie zostali ranni.

– Jesteś cała – ocenił po chwili Nate.

Zaczęłam raz po raz kiwać głową. Nie mogłam przestać.

– Już dobrze, Izzy – uspokajał i przyciągnął mnie do siebie. – Jesteś w szoku, buzuje w tobie adrenalina. To zaraz minie. Musisz

głęboko oddychać.

Zmusiłam płuca do nabrania powietrza, a potem jego wypuszczenia. Jeszcze raz. I znowu. Powtarzałam tę sekwencję tak długo, aż moje galopujące serce nie zwolniło do truchtu, a potem całkiem się nie uspokoiło.

– Bardzo dobrze – powiedział Nate łagodnym tonem, delikatnie przesuwając dłoń w górę i w dół moich pleców. – Gray, rozeznaj się w sytuacji.

Sierżant Gray zerwał się z miejsca.

– Gdybyś mogła mieć jedną jedyną supermoc, co byś wybrała? – zapytał Nate.

Zamrugłam, wciąż nieco dezorientowana.

– No dalej, Iz. Uruchoom wyobraźnię.

– Chciałabym biegać tak szybko, żebym nie musiała już nigdzie latać – wydusiłam z siebie. Obróciłam głowę i podniosłam wzrok na Nate'a. Gdy na mnie spojrział, w jego oczach dostrzegłam troskę, ale poza tym wydawał się kompletnie niewzruszony tym, co się działo. – Zawsze myślałam, że będę spokojna i opanowana, jeśli dojdzie do czegoś takiego – dodałam szeptem. – A ja po prostu zastygłam.

– Chcesz mi powiedzieć, że Isabeau Astor jednak jest człowiekiem? Że nie jest idealna? – Posłał mi uśmiech, dorzucając do niego słynny dołeczek, czym znowu odebrał mi mowę.

– Znasz każdą moją wadę.

– Włącznie z paskudnym gustem, jeśli chodzi o facetów – droczył się.

Parsknęłam kpiąco.

– No i wróciła Izzy – skwitował Nate, po czym przesunął kciukiem po moim policzku. Podniósł się i pomógł mi stanąć na nogi. – Nie chcę cię martwić, ale czeka nas długa noc.

– Bo helikoptery odleciały. – Pokiwałam głową. – Jesteśmy pozostawieni sami sobie.

– Pozostawieni sami sobie i otoczeni przez wroga – uzupełnił. – Ale spokojnie, nasi wrócą tu uzbrojeni po zęby. Do tego czasu musimy zadbać o swoje bezpieczeństwo. – Uniósł lekko kącik ust. – Jakby co, zasada trzydziestu centymetrów nadal obowiązuje.

Przewróciłam oczami i wzięłam się w garść. Gdy witaliśmy się z ludźmi, nad których ewakuacją pracowaliśmy od miesiący,

z wyrazu twarzy Nate'a zniknęła cała wesołość.

* * *

Później tego wieczoru rozsiedliśmy się w połowie VIP-owskiej poczekalni na drugim piętrze, skąd operatorzy mogli bacznie obserwować otoczenie budynku. Na zmianę obejmowali wartę. Podczas gdy jedni wychodzili na patrol, inni odpoczywali na kanapach albo łapali chwilę snu.

Wszyscy z wyjątkiem Nate'a, który nie odstępował mnie na krok, a wprowadzoną przez siebie zasadę trzydziestu centymetrów złamał tylko raz, gdy ze stanowczością poinformowałam go, że sama podam sobie papier toaletowy. Dobrze chociaż, że pozwolił mi zdjąć z głowy hełm, gdy komandosi upewnili się już, że teren lotniska jest bezpieczny. Prawdziwe walki toczyły się wiele kilometrów dalej.

Lotnisko spowijała ciemność, a światło w poczekalni było przygaszone. Większa część oddziału właśnie zasiadała do posiłku. Jak się okazało, na akcję zawsze wyruszali z własnym prowiantem. Wcześniej podzielili się jedzeniem z dziewczynkami i ich rodzinami, spośród których większość zasnęła, kładąc się wzdłuż lotniskowych krzesełek, zupełnie jakby byli podróżnymi czekającymi na opóźniony lot.

– Wcale tak nie było – odezwał się sierżant Rose, wskazując palcem na Graya. Reszta się roześmiała.

Nate kręcił tylko głową i lekko się uśmiechał, gdy jego kumple opowiadali sobie kolejne historie. A przynajmniej zakładałam, że byli jego kumplami. Mimo że nie nosili na mundurach swoich prawdziwych nazwisk, zdążyłam zauważyć, że z niektórymi był blisko zaprzyjaźniony. Widok uśmiechu na twarzy Nate'a, choćby dyskretnego i krótkotrwałego, odurzał moje zmysły. Złapałam się na tym, że mu się przyglądam. Chciałam się przekonać, czy znowu się uśmiechnie.

– Co? – zapytał nagle, przyłapując mnie na gorącym uczynku.

– Właśnie myślę, że od dawna nie widziałam, żebyś się uśmiechał. A do tego jesteśmy na lotnisku.

– Pieprzone lotniska – rzucił żartobliwie, w dodatku z dołeczkiem. – Powinnaś coś zjeść – powiedział, podając mi otwartą, podgrzaną

paczuszkę czegoś. – To podobno spaghetti. I wierz mi, że to najlepsza z dostępnych opcji. – Zerknął na tarczę swojego zegarka. – Podejrzewam, że twoje lekarstwa powoli przestają działać, więc zaraz dopadnie cię głód.

Zaskoczona, otworzyłam szeroko usta.

– Pamiętasz – odparłam, biorąc od niego paczuszkę z jedzeniem.

Nate potaknął.

– No dobra, skoro jesteśmy w zaufanym gronie... – zaczął Gray, rozsiadając się na krześle ustawionym naprzeciwko nas. Miał obok siebie radiostację, co pewnie oznaczało, że odpowiadał za komunikację. – Bądź tak miła i opowiedz nam o tymże tu obecnym sierżancie Greenie.

Wszyscy operatorzy, włącznie z gościem siedzącym w oknie, jak na zawołanie zwrócili się w moim kierunku.

– Nic z tego – zaproponował Nate, kręcąc głową.

Wzięłam pierwszy kęs. Nic wykwinętego, ale powinno uciszyć burczenie w brzuchu.

– No dalej – marudził Gray. – Przecież widać, że się dobrze znacie.

– Wyszczrzył się do mnie i uniósł wysoko brwi. – Nie mam racji? Założę się, że masz w zanadrzu całą masę historii, których ten facet w życiu nam nie opowie.

Skrzyżowałam pod sobą nogi, siadając po turecku w szerokim fotelu, i zerknęłam w stronę Nate'a.

– To dlatego, że jesteście bandą narcyzów, którzy cały czas gadają tylko o sobie – zripostował Nate i spiorunował wzrokiem Graya.

– W przeciwieństwie do ciebie, panie tajemniczy – zrewanżował się Black. Chyba. Byłam niemal pewna, że blondyn był właśnie sierżantem Blackiem. Z kolei siedzący w rogu facet z ciemną brodą nazywał się Lilac albo jakoś równie głupio.

– Rzuć nam chociaż jakiś ochłap. – Gray nachylił się, składając ręce jak do modlitwy. – Proszę. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

Wzięłam kolejny kęs makaronu i spojrzałam kontrolnie na Nate'a. Popatrzył na mnie i przewrócił oczami.

– Dobra. Tylko... – zaczął i westchnął. – Mam do ciebie zaufanie.

Skinęłam głową, doskonale rozumiejąc, co miał na myśli. Skoro nie dzielił się z nikim szczegółami swojego życia osobistego, musiał

mieć ku temu powody. Mnie też niewiele zdradził.

– A co chcielibyście wiedzieć? – zapytałam.

Gray ucieszył się jak dziecko i usiadł na podłodze, jakbyśmy mieli opowiadać sobie historie na obozie harcerskim.

– Od jak dawna znasz się z naszym sympatycznym kolegą?

– Od prawie dziesięciu lat. – To chyba wystarczająco niewinna informacja.

– Wyklął się z jajka? Przyleciał statkiem kosmicznym? – dopytywał Lilac. – A może wychował się w dżungli jak George prosto z drzewa?

– Nie – zaśmiałam się. – Dorastał na farmie. – *Farma*. Zerknęłam ukradkiem na Nate'a, zastanawiając się, czy jego ojciec nadal tam mieszkał, czy też nieruchomości została już sprzedana, jak wygrażał się ojcu.

Nate pochwycił moje spojrzenie, a jego twarz złagodniała.

– Na farmie? – Gray nie dowierzał, robiąc wielkie oczy. – Poważnie? – zapytał Nate'a.

– Poważnie. – Nate pokiwał głową, po czym odwrócił wzrok, lekko się uśmiechając.

Wzięłam następny kęs.

– Czym nas jeszcze zaskoczy panna Astor? – ciągnął Black, zacierając ręce.

– Lubi ciasteczkowo-śmietankowe lody – powiedziałam z szerokim uśmiechem.

– Zdrajczyni – zarzucił mi Nate, mimo że jego oczy właśnie rozbłysły.

Przez chwilę zapomniałam, że jesteśmy w Afganistanie. W moich myślach przenieśliśmy się na ulicę w Tybee Island. Śmialiśmy się i flirtowaliśmy, spoglądając na siebie zza swoich porcji lodów. Niemal czułam na języku smak waniliowo-orzechowego deseru. Wydarzyło się to całe wieki temu, a zarazem ledwie wczoraj. Gdzie się podział ten czas?

Właśnie tym był dla mnie Nate. Kimś odległym jak dawne czasy i jednocześnie kimś tak bliskim jak poprzedni dzień. Tak bliskim jak trzydzieści centymetrów.

– Coraz bardziej mi się to podoba – ucieszył się Gray, zerkając to na mnie, to na Nate'a. – Był kiedyś żonaty?

Mało brakowało, a zakrztusiłabym się spaghetti, ale jakoś udało mi się je przełknąć. Czy Nate poznał kogoś i ożenił się w ciągu niemal trzech lat, odkąd widzieliśmy się w Nowym Jorku? Gdyby tak było, ci goście z pewnością by o tym wiedzieli, skoro spędzał z nimi tyle czasu. I czemu ta myśl była niczym ostrze noża wbijanego mi w serce? Przecież jeszcze dzień wcześniej nosiłam na palcu pierścionek od Jeremy'ego. Nie mnie było oceniać cudze wybory.

Ale najwyraźniej nic nie mogło powstrzymać mnie przed szaleniem z zazdrości o kobietę, której nie znałam i nigdy nie poznam. Miałyby dla siebie jego serce, uśmiech i radość. W nocy zasypiałaby w jego objęciach, mogłaby dotykać jego ciała, urodziłaby mu dzieci...

Nienawidziłam jej.

– Czy to znaczy, że nie? – upominał się o odpowiedź Gray.

Ale Nate nigdy nie wykreślił mnie z papierów. Nadal figurowałam w nim jako najbliższa osoba.

– Tylko raz – odezwałam się wreszcie, ignorując szeroko otwarte usta Nate'a.

– Serio? – Brwi Lilaca powędrowały w górę.

– Serio. – Wyszczrzyłam zęby. – A przynajmniej tak powiedział pielęgniarkom, żeby nie wykopały go z poczekalni, kiedy mnie operowano.

Nate parsknął i rzucił:

– Już zawsze będzie się to za mną ciągnęło.

– Coraz lepiej! Okej, to o co chodzi z tą otaśmowaną zawieszka, którą wszędzie nosi? – zapytał rozbawiony Gray.

Zmarszczyłam brwi i spojrzałam w bok na Nate'a. Cały zeszywniał.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia – odpowiedziałam, starając się odwrócić uwagę od reakcji Nate'a na pytanie kumpla. – Za to mogę wam powiedzieć, skąd się wzięła ta blizna. – Uniosłam ciepłą dłoń Nate'a i odwróciłam ją w stronę Graya, żeby mógł zobaczyć przecinającą jej wierzch bliznę.

– Błagam, niech to będzie coś kompletnie debilnego – prosił sierżant Brown. – Wciąż czekamy na coś naprawdę dobrego.

Szeroko się uśmiechnęłam.

– Koralowiec na Fidżi. Zgubiłam naszyjnik, a kiedy Nate po niego zanurkował, pociął sobie rękę. – Nasze spojrzenia na moment się

spotkały, przez co przytrzymałam jego dłoń nieco dłużej, niż powinnam, nim ostatecznie ją puściłam.

– To musiał być niczego sobie naszyjnik – orzekł Gray. – Koralewiec tnie jak pojebany.

– Był – odpowiedziałam bez odrywania wzroku od Nate'a, przypominając sobie, jak się ze mną kochał, gdy wróciliśmy tamtego popołudnia z nurkowania. Na samo wspomnienie zrobiło mi się ciepło, a biorąc pod uwagę to, jak pociemniały jego oczy, niewykluczone, że Nate również na nowo przeżywał te chwile. – To wciąż moja ulubiona biżuteria, tym bardziej że dostałam ją od ciebie dwa razy. Najpierw na urodziny, a potem, jak udało ci się go wydobyć z dna oceanu.

– Od początku było ci w nim do twarzy – powiedział Nate łagodnie. – Godzinami stałem niezdecydowany u jubilera.

Okład z lodu, który umieściłam na swoim sercu, gdy Nate ponownie zjawiał się w moim życiu, właśnie się rozpuścił, w jednej chwili całkowicie topniejąc. To, co kiedyś nas połączyło, nadal było na swoim miejscu, równie namacalne jak dawniej. Głęboko to zakopaliśmy, uparcie ignorowaliśmy, próbowaliśmy spalić żywym ogniem, ale nigdy się nie poddało. Przynajmniej nie z mojego punktu widzenia.

Jeśli o mnie chodzi, to zawsze będzie trwało.

Odezwało się radio, odrywając Graya od rozmowy. Wziął do ręki zestaw słuchawkowy, najwyraźniej odpowiadając na wezwanie.

– A jakieś krępujące historie? Coś, co moglibyśmy użyć przeciwko niemu? – zapytał Rose. O ile nie myliłam go z sierżantem Lilakiem, czego nie dało się wykluczyć.

Nate zmarszczył jedną brew.

– Nie – odparłam, kręcąc przecząco głową. Odwróciłam się od Nate'a i uśmiechnęłam się do Rose'a. Założmy, że z nikim go nie pomyliłam. – Przykro mi.

– Green – odezwał się Gray, unosząc słuchawkę.

Nate wstał i podszedł do przeciwległego rzędu foteli, naruszając tym samym zasadę trzydziestu centymetrów.

– Czy on się w ogóle czegoś boi? – zapytał Gray, podsiadając Nate'a. – Pająków? Nietoperzy? Ogórków?

Roześmiałam się, słysząc pytanie o ogórki, i pokręciłam głową. Nate zakładał słuchawki. Dobrze wiedziałam, czego się boi, ale nie miałam prawa wyjawiać tego sekretu. A z tego, co zdążyłam zauważyć, daleko mu było do stania się kimś pokroju jego ojca.

– Mówi Navarre – powiedział do mikrofonu tak cicho, że ledwo go usłyszałam w natłoku coraz bardziej niepoważnych sugestii rzuconych w moją stronę. Koty. Przytulanie. Węże. Nate nie bał się żadnej z tych rzeczy, więc nie reagowałam na zaczepki jego kumpli.

– Navarre? – szepnęłam, obserwując, jak prostują się ramiona Nate'a, gdy wysłuchiwał tego, co do niego mówiono. Jego odpowiedzi już do mnie nie dotarły, zagłuszone przez rozmowy pozostałych komandosów.

– To jego znak wywoławczy – odpowiedział cicho Gray. – Te wszystkie kolory są po to, żebyście nie wiedzieli, kim jesteśmy. Znaki wywoławcze są potrzebne, żeby było wiadomo, z kim rozmawiamy przez radio.

Navarre. Świat zawirował wokół mnie.

Kochanek Isabeau, ofiara klątwy, przez którą może widywać swoją wybrankę tylko o brzasku i o zmierzchu. Skazany na darzenie jej miłością, ale niemogący jej dotykać. Bez szans na wzięcie jej w ramiona. Bez szans na zbudowanie z nią prawdziwego wspólnego życia.

– Wszystko dobrze? – zaniepokoił się Gray.

Potaknęłam.

Wyglądało na to, że Nate'owi też nie udało się zerwać łączącej nas więzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

NATHANIEL

Tacoma, stan Waszyngton Czerwiec 2017

– Wcale nie próbujesz przekonać mnie do rezygnacji z wyjazdu na trzy godziny przed lotem – mruknąłem z fotela pasażera wozu Torresa, gdy zasuwaliśmy w stronę lotniska.

Zasuwaliśmy, bo kumpel namówił mnie jeszcze na ostatni trening, zanim wyjadę.

– Oczywiście, że nie. – Rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym wyprzedził jadącego dużo wolniej SUV-a i przeciął za jednym zamachem trzy pasy ruchu. – Widziałem, ile zabuliłeś za bilety – dodał i zmarszczył swoje ciemne brwi.

– Śmiało, nie krępuj się. Wiem, że jest jakieś „ale”. – Gdy rozpędzeni wpadliśmy na zjazd z autostrady, musiałem mocno przytrzymać się uchwytu na drzwiach. Zaczynałem żałować, że nie pojechałem na lotnisko sam. Mogłem po prostu zostawić auto na płatnym parkingu.

– Zdajesz sobie w ogóle sprawę, jakiego mieliśmy farta, że przyjęli nas obu? – zapytał Torres, a chwilę potem ostro zahamował przed czerwonym światłem.

Fakt, że zaliczyłem testy psychologiczne, zakrawał na niemały cud. Na szczęście miałem wprawę w udzielaniu takich odpowiedzi, jakie inni chcieli usłyszeć.

– Pewnie, że tak – odpowiedziałem. Ostatnich dziewięć tygodni spędziliśmy w Karolinie Północnej, udowadniając rekruterom z sił specjalnych, na co nas stać. Udało się nie tylko nam dwóm, ale też Rowellowi i jeszcze jednemu gościowi z naszego oddziału, Piersonowi. W sumie nic dziwnego, skoro cała nasza czwórka od półtora roku trenowała w każdej wolnej chwili, zarówno na misjach, jak i pomiędzy nimi.

Zgotowaliśmy sobie prawdziwe piekło, ale było warto.

Pierson nie posiadał się ze szczęścia, ale dla Torresa, Rowella i mnie miał to być jedynie przystanek przed dalszą drogą. Myśl, która przyszła mi dawno temu do głowy, gdy siedziałem w samolocie obok Izzy – że fajnie byłoby zostać komandosem w siłach specjalnych – właśnie stawała się rzeczywistością. Byłem cholernie dobry w tym, co robiłem, a chciałem być jeszcze lepszy. Zamierzałem zostać najlepszym pośród najlepszych.

– I tak po prostu pofruniesz sobie na Fidżi, dobrze wiedząc, że mamy tylko kilka tygodni do stawienia się w Fort Bragg. – Światło zmieniło się na zielone i Torres skręcił w kierunku lotniska.

– Rozmawialiśmy z Izzy o tym wyjeździe od kilku *lat* – odparłem, dopiero w połowie zdania zauważając, jak defensywnie to zabrzmiało. – Wakacji nikt mi nie przedłuży. Wrócę na czas, żeby zebrać manele, zanim pojedziemy do Fort Bragg.

Nie widziałem jej od sześciu miesięcy, od pogrzebu mamy, a warunki, na jakich się wtedy rozstaliśmy, nie były do końca jasne. Spędziliśmy wtedy razem noc, nie rozmawiając o śmierci mojej mamy, o braku perspektyw na wspólną przyszłość ani o niczym istotnym, co dotyczyło życia poza hotelowym pokojem. Gdy wychodziłem, Izzy mocno spała, zaspokojona po upojnej nocy. Jej zgrabne długie nogi zaplątane były w pościel. Zdecydowałem się jej nie budzić, obawiając się niezręcznego pożegnania.

Tę noc niejednokrotnie odtwarzałem w swoich snach.

Jej matka wściekła, że córka ugania się za jakimś żołnierzem... to wspomnienie z kolei nawiedzało mnie w koszmarach. Świadomość, że nie graliśmy z Izzy w jednej lidze, to nie to samo co usłyszenie tego prosto z ust jej matki.

– Tylko mi spróbuj nie wracać. Jesteśmy przecież dogadani, że idziemy w to razem. – Torres spojrzał na mnie z ukosa.

– Wiem, wiem – rzuciłem od niechcienia i pokręciłem głową. Facet był moim najlepszym przyjacielem i nie było drugiego gościa, z którym tak dobrze mi się pracowało, ale w ostatnim czasie zrobił się jakiś marudny. A może to ja zapomniałem o bożym świecie, myśląc wyłącznie o spotkaniu z Izzy. – Wiadomo. Zaliczyć szkolenie kwalifikacyjne, a potem już tylko Delta Force.

– Będzie zajebicie. – Torres wyszczerzył się od ucha do ucha. – Mój staruszek spadnie z krzesła, jak się dowie, że idę w jego ślady.

Widząc, jak kumpel się z tego cieszy, nie mogłem się nie uśmiechnąć.

– Czy twoja niedziewczyna już wie? – zapytał, gdy zatrzymał auto przed halą odlotów.

Poczułem dziwny ucisk w żołądku. Wygramoliłem się z pikapa Torresa, zamknąłem za sobą przednie drzwi, by po chwili otworzyć tylne, za którymi leżał mój bagaż.

– Powiedziałaś jej, prawda? – Wyraz jego twarzy wyrażał po części krytykę, a po części zmartwienie. – Bo o ile znam Izzy, będzie oczekiwała jakichś konkretów. Tym bardziej że właśnie skończyła studia.

– Powiem jej – zapewniłem Torresa, zarzuciłem sobie plecak na ramię i wytargałem walizkę z samochodu na chodnik.

– A niby gdzie się, do cholery, według niej podziewałaś przez ostatnich parę miesięcy?

Skrzywiłem się.

– Nie wyjaśniałem jej tego.

– Ale wie chociaż, że wróciłaś?

– Tak... Wysłałem jej parę tygodni temu e-mail, żeby się upewnić, czy nasz wyjazd jest aktualny. – Wszystko, co miałem jej do powiedzenia, wymagało rozmowy w cztery oczy, a do tej pory nie mieliśmy ku temu sposobności.

– Serio zamierzasz wsiąść do samolotu w nadziei, że Izzy zjawi się na lotnisku w Los Angeles, a potem co... modlić się, że przez ostatnie pół roku nie znalazła sobie faceta, którego mogłaby... no nie wiem, regularnie widywać?

– Mniej więcej – skwitowałem.

Izzy zapewniła, że przyjedzie, choć jej e-mail rzeczywiście był zdawkowy, co złożyłem na karb egzaminów końcowych. Nie

oznaczało to jednak, że nie byłem podenerwowany i pełen obaw, czy nie zmieniła w międzyczasie zdania. Bilety kupiliśmy już w styczniu, rezerwację noclegów wzięłem na siebie, ale utrata poniesionych kosztów byłaby niczym w porównaniu z ciosem, jakim byłaby świadomość, że spieprzyłem sprawę tylko dlatego, że sześć miesięcy temu nie potrafiłem utrzymać rąk przy sobie.

– No tak – rzucił Torres, opuścił na nos okulary przeciwsłoneczne i rzucił mi spojrzenie ponad oprawkami. – Całe to „żyjemy w szarej strefie” koniec końców kopnie cię w dupę.

– Wiem – przyznałem, wzdychając. – Ale dopóki nie skopie mi dupy, nie chcę schrzanić jedynej dobrej rzeczy, jaką mam w życiu.

– Nie zapominaj, że zechcieli cię w siłach specjalnych. To całkiem zajebiste osiągnięcie, jeśli ktoś by mnie pytał. – Torres się do mnie wyszczerzył.

– Prawda. Bo jesteśmy całkiem zajebiści. Dzięki za podwózkę. – Naciągnąłem na czoło daszek czapeczki Saint Louis Blues i zatrasnąłem drzwi.

Pięć godzin później czekałem na lotnisku w Los Angeles pod bramką prowadzącą na lot cztery cztery osiem dwa do Nadi. Z każdą upływającą minutą coraz bardziej nerwowo postukiwałem stopą o posadzkę. Jeszcze raz spojrzałem na kartę pokładową, żeby upewnić się, czy stoję pod właściwą bramką. Nie pomyliłem się.

Tyle że Izzy wciąż się nie pojawiała.

Sięgnąłem po telefon, w pierwszej chwili chcąc do niej zadzwonić. Uznałem jednak, że to żadna różnica, czy dowiem się, że Izzy nigdzie ze mną nie leci teraz czy za piętnaście minut. A przynajmniej tak sobie wmawiałem. W rzeczywistości strach zmroził mi krew w żyłach.

Wymieniane przez nas e-maile stawały się w ostatnich miesiącach coraz krótsze. W trakcie mojej zagranicznej misji i późniejszej rekrutacji do jednostek specjalnych nie mieliśmy też okazji do siebie dzwonić.

Miała przecież prawo się rozmyślić, umawiać się na randki, zakochać się w innym. Bóg mi świadkiem, że gdyby Izzy była moja, tak naprawdę moja, nie byłoby mowy, żebym z lekkim sercem patrzył, jak odlatuje na tygodniowe wakacje na Fidżi z jakimś facetem.

Zegar odliczał kolejne minuty. Obsługa poprosiła zgromadzonych wokół mnie ludzi w luźnych, wakacyjnych ubraniach, wśród których przeważały kwieciste koszule i spodenki z obszernymi kieszeniami, by przygotowali się do wejścia na pokład.

Podniosłem się z krzeselka, zarzuciłem sobie plecak na ramię i dokładnie rozejrzałem się wokół, z nadzieją wypatrując w tłumie jasnych włosów i błyszczących brązowych oczu.

Pierwsze osoby zaczęły wchodzić na pokład samolotu.

Kurwa mać, to się działo naprawdę.

Ale wciąż mogła jeszcze zdążyć. W końcu Izzy nie należała do kobiet, które wystawiają ludzi do wiatru. Zadzwoiłaby do mnie. Napisała. Może nawet posłała gołębia pocztowego, by mnie poinformować, że jest na mnie wściekła albo że po prostu zmieniła zdanie.

Ustawiłem się w kolejce, zeskanowałem bilet przy wejściu do rękawa i ruszyłem przed siebie. Z każdym krokiem coraz mocniej biło mi serce. Do czasu, gdy odszukałem swoje miejsce i spojrzałem na sąsiedni, pusty fotel, bicie serca zamieniło się już w głuchy łomot, od którego aż huczało mi w uszach.

Zająłem siedzenie przy oknie, bo Izzy, taszcząca ze sobą bagaż doświadczeń w postaci przeżytej katastrofy lotniczej, z całą pewnością nie chciała by na nim siedzieć. Pozostało mi tylko jedno – czekać. Odstłoniłem okno i wyjrzałem na płytę lotniska, rozglądając się za czymś, co choć na chwilę by mnie zajęło. Gdy to zawiodło, wyjąłem z plecaka egzemplarz *Paragrafu 22*, w komplecie z zakreślaczem.

Co robić? Wysiąść? Wybrać się na wakacje samemu? A może polecieć prosto do Waszyngtonu i błagać Izzy, żeby zechciała ze mną porozmawiać?

Nagle omiółł mnie zapach perfum Channel, otulając mnie niczym kochanka. Zmartwienie ustąpiło na mojej twarzy miejsca szerokiemu uśmiechowi.

– Mało brakowało – odezwała się Izzy, a ja gwałtownie obróciłem do niej głowę. Właśnie takie były moje pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek do niej wypowiedziałem. Też w samolocie, tyle że mniejszym niż obecny. Miała nieco zaczerwienione i opuchnięte oczy, jakby płakała, ale wiele godzin temu. Za to uśmiech, który mi

posłała, zajmując swoje miejsce, był autentycznie radosny. – Wylecieliśmy z Waszyngtonu z opóźnieniem.

– Hej, Izzy. – Pożerałem ją wzrokiem, chłonąc kolejno widok luźno zaczesanych w kok włosów, kilku miodowych kosmyków opadających jej na twarz oraz kształtnych, miękkich ust. Czułem potrzebę nachylenia się nad malutkim podłokietnikiem rozdzielającym nasze fotele i wycelowania jej do utraty tchu. Całymi miesiącami nie dopuszczałem do siebie myśli, że tak cholernie za nią tęsknię.

– Hej, Nate – odparła cicho Izzy, przyglądając się badawczo mojej twarzy, jakby w poszukiwaniu nowych blizn i ran do skatalogowania. Ale tych, które pojawiły się od ostatniego razu, nie mogła teraz zobaczyć.

– Płakałaś – zauważyłem, znosząc nieprzyjemny skręt żołądka.

Izzy potaknęła.

– Chcesz o tym pogadać? – zapytałem. Wystarczyło, żeby podała mi nazwisko, a brudną robotę wziąłbym na siebie.

– Zerwałam z kimś, kto mi się podobał – wyjaśniła Izzy i wzruszyła ramionami. – Ten wyjazd nie byłby wobec niego fair. Ale nie żałuję. To była słuszna decyzja. – Zapięła pas, sięgnęła po moją dłoń i zaplotła palce z moimi.

Ciążące na mnie poczucie winy – przecież na dobrą sprawę cierpiała przeze mnie – utrudniało mi oddychanie, jednak wystarczył zwykły dotyk, jej dłoń wsunięta w moją, bym poczuł się jak w domu.

– Izzy – szepnąłem, nie potrafiąc ubrać swoich emocji w słowa, czując narastające klucie w piersi. Nie było takiej rzeczy, której bym nie zrobił, gdyby miało to ochronić ją przed bólem. Nawet gdyby miałyby to oznaczać, że wybierze innego. – Nie musiałaś. I wcale nie musisz ze mną lecieć. Możesz jeszcze wysiąść z tego samolotu. Nie będę miał ci tego za złe.

– Ale ja musiałam z nim zerwać. – Izzy westchnęła, opadła na fotel i obróciła się do mnie tak, że jej policzek przylegał do oparcia. – Nie miało znaczenia, jak bardzo go lubiłam. I tak wolałam spędzić tydzień z tobą niż resztę życia z nim. Nie mogłam oszukiwać ani jego, ani siebie. Wiesz, jak jest.

Wróciłem myślami do związków, które sam zakończyłem dlatego, że niebawem miałem spotkać się z Izzy. Ewentualnie po dojściu do

wniosku, że nie czułem się przy tamtych kobietach ani trochę tak jak w obecności Isabeau Astor.

– Ano wiem. – W piersi zakłuło mnie jeszcze mocniej. Uniostłem jej dłoń, złożyłem na niej pocałunek, przywierając ustami do cudownie miękkiej skóry. Postanowiłem, że jej to wynagrodzę. Musiałem.

* * *

Dwadzieścia cztery godziny później spacerowaliśmy po opustoszałej plaży, a woda obmywała nam stopy. Lecieliśmy jednym samolotem, potem następnym, by ostatecznie paść ze zmęczenia, gdy tylko dotarliśmy do naszego domku na wodzie, którego wynajęcie kosztowało mnie tyle, że wolałbym jak najszybciej o tym zapomnieć.

Przespałem całą noc, chyba po raz pierwszy od lat. Pobudka u boku wciąż jeszcze śpiącej Izzy i możliwość przyglądania się jej rytmicznie unoszącej się i opadającej piersi sprawiły, że poczułem się, jakbym trafił do nieba.

A może byłem w nim właśnie teraz, kiedy patrzyłem, jak ubrana w letnią sukienkę Izzy z uśmiechem wpatruje się w ocean, a promienie słońca głaszczą jej odkryte ramiona.

– To dokąd wybierzemy się w przyszłym roku? – zapytała.

– Nie spędziliśmy tu nawet całego dnia, a ty już pytasz mnie o następny rok? – Wsunąłem rękę do kieszeni, obracając w palcach niewielkie pudełeczko, które zabrałem ze sobą. – Ja wciąż się zastanawiam, co robić dzisiaj. Wypożyczyć skutery wodne czy wybrać się na wędrówkę.

Izzy założyła włosy za ucho i szeroko się do mnie uśmiechnęła.

– Lubię mieć coś w perspektywie. Aż dwa lata zajęło nam dotarcie tutaj, więc kto wie, ile czasu minie, zanim znowu gdzieś wyjedziemy.

– Słuszna uwaga – skwitowałem. Rozejrzałem się wokół, podziwiając urodę wyspy gęsto porośniętej bujną roślinnością i błądy odcień piasku przechodzący w cudowny błękit morskiej toni. Żadne zdjęcie nie oddałoby w pełni piękna tego miejsca. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy.

– Ja też. – Izzy opuściła wzrok na mój tors. W jej oczach zapłonął ogień, na którego widok pożałowałem, że nie zostaliśmy w domku. Nie przywiązywałem się jednak do tej myśli. Z radością trzymałbym

ręce w kieszeniach choćby i przez cały pobyt na Fidżi, gdyby miało od tego zależeć spędzenie tygodnia z Isabeau.

W pewnej chwili Izzy zmarszczyła brew i stanęła przede mną, zagradzając mi drogę.

– Co to takiego? – Przesunęła koniuszkiem palca wzdłuż blizny, ledwo widocznej pod tatuażem pokrywającym moje ramię.

Oczywiście, że zauważyła. Nic nie mogło umknąć uwadze Izzy. Nawet jeśli zdecydowała się nie zadawać pytań, nie poruszać tematów, których nie chciałem omawiać, nie domagać się odpowiedzi.

– Nic, czym należałoby się martwić – zapewniłem ją.

Spojrzała mi prosto w oczy, unosząc wysoko brwi.

– Trafił mnie odłamek – dodałem i wzruszyłem ramionami. – Zaraz po tym, jak wróciłem po pogrzebie mamy... – urwałem, głośno przelękając ślinę. Izzy przytrzymała moje spojrzenie. – Nic groźnego. Wystarczyły cztery szwy i trochę antybiotyków.

Ściągnęła usta i przesunęła dłoń, którą trzymała moje ramię, tak by mogła gładzić bliznę kciukiem.

– Odnoszę wrażenie, że za każdym razem, gdy cię widzę, masz takich blizn więcej.

– Bo tak jest.

– I nie przeszkadza ci to? – Izzy opuściła dłoń. W jednej chwili zrzędnęła jej mina.

– Taką mam pracę. – A jeśli to, co robiłem w Afganistanie, sprawiało, że Izzy mogła czuć się w domu choć trochę bezpieczniej, warto było narażać swoje zdrowie i życie.

Izzy odwróciła wzrok, a ja poczułem nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Ile lat musisz jeszcze służyć, żeby armia opłaciła ci studia?

– Już dawno to odpracowałem. – Pożałowałem tych słów, jeszcze zanim skończyłem je wypowiadać. – A skoro mowa o tym, co za nami... – wyjąłem z kieszeni małe pudełko – chyba nie pogratulowałem ci jeszcze ukończenia studiów prawniczych.

Na widok aksamitnego pudełeczka w mojej wyciągniętej dłoni Izzy zrobiła wielkie oczy.

– Nate...

– To dla ciebie. Weź, proszę. Nie ugryzie cię, Iz. – Wyszczrzyłem się od ucha do ucha.

– Nie rób tego. – Rzuciła mi krótkie spojrzenie, po czym utkwiała wzrok w pudełku.

– Nie kupować ci prezentów? – Potrząsnąłem jej upominkiem tuż przed lekko zadartym nosem. – To co mam niby robić z niewyobrażalnymi ilościami forsy, które zgarniam za pracę w szkodliwych warunkach?

– Nie świecić tym swoim dołeczkiem, żeby odwrócić moją uwagę – wyjaśniła Izzy, a na jej czole zarysowały się dwie urocze zmarszczki.

– Mój dołeczek cię rozprasza? – Cholera, że też o tym nie wiedziałem! Chyba będę musiał częściej wykorzystywać tę sztuczkę. Co będzie jednak trudne, jeśli nie zaczniemy widywać się w krótszych odstępach czasu.

– Nie zmieniaj tematu. Co to takiego? – zapytała, wskazując na pudełko.

– Otwórz i się przekonaj. – Ledwo powstrzymałem się przed wybuchem śmiechu.

– Nate – powiedziała stanowczo i wciągnęła głośno powietrze. – Rzecz w tym, że to małe pudełeczko. Bardzo małe, *obite aksamitem* pudełeczko, a nigdy nie zdefiniowaliśmy tego, co się między nami dzieje. Nie mam z tym problemu, ale wołałabym jednak być przygotowana, jeśli to pudełko jest *tym pudełkiem*. Normalnie zbyłabym to śmiechem, ale jesteśmy na Fidżi, na plaży i...

Dłużej nie mogłem się powstrzymać. Roześmiałem się.

– Wyluzuj, Izzy. To nie jest pierścionek. Nie zrobiłbym ci tego.

– Aha, to dobrze. – Odetchnęła z ulgą, a jej ramiona opadły rozluźnione. – Chwila, chwila – dodała nagle, gwałtownie się do mnie odwracając. – Jak mam rozumieć to, że nie zrobiłbyś mi tego?

Przechyliłem głowę w bok, próbując przygasić nieco swój uśmiech.

– Czy zawsze masz taki problem z przyjmowaniem upominków? Chodziło mi o to, że nie wyskoczyłbym z pierścionkiem zaręczynowym i nie prosił cię o porzucenie wszystkiego, na co tak ciężko pracowałaś, zanim nie damy sobie szansy na zbudowanie czegoś konkretnego. To nie byłoby wobec ciebie uczciwe.

Zresztą nie miałem pewności, czy Izzy w ogóle przyjęłaby moje oświadczenia. Prawdopodobnie nigdy by tego nie przyznała, ale wiedziałem, że pragnęła aprobaty swoich rodziców bardziej, niż

zdawała sobie z tego sprawę. A mi było daleko do wizji dobrej partii dla ich córki. Ani funduszu powierniczego, ani koneksji politycznych.

– Aha – mruknęła Izzy. To „aha” zabrzmiało inaczej niż za pierwszym razem. Nie wiedziałem tylko, czy to lepiej, czy może gorzej.

– Prezent, Izzy. Dla ciebie. – Znowu potrząsnąłem pudełkiem.

– Dziękuję – powiedziała wreszcie i wyrwała mi upominek z ręki.

Zapamiętałem tę chwilę w najdrobniejszych szczegółach. Ekscytację lśniąca w jej oczach, lekko przygryzaną dolną wargę, delikatnie podskakujące na piasku boso stopy. W mojej piersi eksplodowały uczucia, których nie potrafiłem zrozumieć. Jak mogłem tak bardzo potrzebować tej kobiety, a jednocześnie tak rzadko się z nią spotykać? Jak to możliwe, że była dla mnie wszystkim, a mimo to żyła w świecie zupełnie odmiennym od mojego?

Izzy otworzyła pudełko i aż zachłysnęła się z zachwytu. Podniosła na mnie zaskoczone spojrzenie.

– Nate, nie powinieneś...

I proszę bardzo, znowu się szczerzyłem. W żadnej innej sytuacji nie uśmiechałem się tak często i tak szczerze jak w obecności Izzy.

– A właśnie, że powiniennem. Jestem z ciebie niewiarygodnie dumny.

– Musiały kosztować fortunę – oceniła, przyglądając się drobnym kolczykom z małymi diamentami, które zamówiłem w sklepie razem z ozdobnym niebieskim pudełkiem. – Potrzymasz chwilę? – zapytała, podając mi puste opakowanie.

Skinąłem głową i wziąłem je od niej. Izzy wyjęła z uszu kolczyki, które nosiła od rana, po czym zastąpiła je nowymi, te pierwsze odkładając do pudełka.

– Mogę to dla ciebie ponieść – zaproponowałem i schowałem pudełeczko do kieszeni.

– I jak? – Izzy odwróciła głowę bokiem, a słońce rozświetliło drogocenne kamienie.

– Nie są tak piękne jak ty, ale dają radę. – Sięgnąłem po telefon, uruchomiłem aparat i przełączyłem go na przednią kamerę, żeby Izzy mogła zobaczyć, jak cudnie w nich wygląda.

– Zróbmy sobie zdjęcie. – Pociągnęła mnie za ramię, a ja nie oponowałem. Ustawiliśmy się obok siebie i pstryknąłem nam kilka

selfie jedno po drugim, na ostatnim cmokając Izzy w policzek. – Są boskie. Dziękuję za prezent.

– Proszę bardzo. – Pocałowałem ją w czoło, wypuściłem z objęć i ruszyliśmy przed siebie. Była świeżo po rozstaniu, więc raczej nie życzyła sobie ani nie potrzebowała bycia obłapywaną przeze mnie.

– Myślałam o Palau – odezwała się po chwili ciszy, odwracając się do mnie i idąc tyłem. Jej uśmiech lśnił mocniej niż fidżyjskie słońce.

– Palau? – Jasna cholera, ależ ona pięknie wyglądała.

– W przyszłym roku – dodała.

– No tak. – Przełknąłem ślinę, choć z nie małym trudem, bo gardło coraz mocniej mi się zaciskało. – A co powiesz na Peru rok później? Moglibyśmy wdrapać się do Machu Picchu.

O ile dostanę przepustkę. O ile nie będę na żadnej misji. O ile nie będę trenował przed naborem do Delta Force.

– Brzmi całkiem nieźle – odparła Izzy i wyciągnęła do mnie rękę, którą bez wahania chwyciłem. – Ale będę musiała załatwić sobie urlop. Jeśli wyjedziemy w październiku, w nowej firmie będę miała tylko nieco ponad rok stażu. Przy założeniu, że zdam egzamin zawodowy. Niedługo do niego przystępuję. Wciąż trudno mi uwierzyć, że wreszcie skończyłam studia.

– Świetnie sobie poradziłaś.

Przez chwilę spacerowaliśmy w milczeniu, które ostatecznie przerwała Izzy:

– Mam nagranych kilka rozmów kwalifikacyjnych w naprawdę dobrych kancelariach. A przynajmniej takich, które chcą ze mną gadać jeszcze przed egzaminem.

– Opowiedz mi o nich. – Mógłbym słuchać jej do końca świata, a nawet dłużej.

– Jedna mieści się w Bostonie, druga, która bardzo mi się podoba, w Nowym Jorku, tak samo jak trzecia, która podoba mi się jeszcze bardziej. – Spojrzała na mnie spod swoich długich rzęs, a jej policzki się zarumieniły. – Dwie kolejne w Seattle i jeszcze jedna w Tacomie. Akurat wszystkie te stany mają podpisane umowy wzajemne z Dystryktem Kolumbii, więc jeśli zdam egzamin w stolicy, nie powinnam mieć problemu, żeby gdzieś mnie przyjęli.

Zamrugalem, zatrzymałem się i obróciłem się do Izzy.

– Tacoma i Seattle, mówisz...

Izzy skinęła głową i na chwilę wstrzymując oddech, zaczęła szukać w moich oczach odpowiedzi, której na dobrą sprawę nie musiałem jej dawać.

– Tak sobie pomyślałam... Choć wiem, że nie powinnam tego robić, ale ciężko mi się powstrzymać. Dlatego właśnie zerwałam z Lukiem...

Luke. Nie znałem typa, ale już zdążyłem dupka znienawidzić.

– Nie tylko z powodu tego wyjazdu – mówiła dalej. – Od lat wokół siebie krążymy, Nate. *Od lat.* Wciąż sobie powtarzamy, że to nie jest właściwy moment, że zasługujemy na prawdziwą szansę, a nie jakieś niewydarzone udawanie na odległość, prawda? – Izzy podeszła bliżej i objęła ręką mój biceps. – Dotarło do mnie, że nie ma znaczenia, z kim się spotykam. Wszyscy są tylko zapchajdziurami, bo tak naprawdę czekam na ciebie. Czekam na *nas*.

– Izzy. – Przyłożyłem dłoń do jej policzka, łapczywie chłonąc każde jej słowo, a zarazem nie dopuszczając do siebie żadnego z nich.

– Skończyłam naukę, Nate. Mogę pojechać, dokąd chcę. Robić, co chcę. Ty też możesz zrezygnować i zająć się czymś innym, jeśli chcesz. – Zacisnęła mocniej dłoń na moim ramieniu, a napięcie w jej oczach i głosie ugodziło mnie w serce. – Moglibyśmy być razem. E-maile, listy i pozakreślane książki zamienilibyśmy na coś więcej. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy budzić się obok siebie każdego dnia. Albo po prostu spotykałibyśmy się ze sobą. Mogłabym przeprowadzić się do Tacomy, jeśli byś tego chciał...

– Nie będzie mnie w Tacomie – wtrąciłem cicho.

– Co takiego? – Izzy ściągnęła brew.

– Nie mogę zrezygnować i nie będzie mnie w Tacomie. – Musnąłem kciukiem wzdłuż jej kości policzkowej, rozkoszując się delikatnością jej skóry. – Będę w Fort Bragg.

– Fort Bragg?

– W Karolinie Północnej – dodałem, wolno kiwając głową, jakby mogło to złagodzić zadany Izzy cios. – Nie powiedziałem ci jeszcze, gdzie spędziłem ostatnich parę miesięcy. Ani dlaczego rzadziej do ciebie pisałem.

– Myślałam, że wysłali cię za granicę. – Odsunęła się ode mnie.

– Nie. Brałem udział w selekcji. To trochę jak... – Jak, do cholery, miałem to wyjaśnić? – Jak testy kwalifikacyjne do sił specjalnych.

– Torres jednak cię namówił – stwierdziła. – Zawsze o tym marzył, prawda?

– Zgadza się. – Wiedziałem, że chętnie czyta moje listy i e-maile, ale nie miałem pojęcia, że aż tak uważnie. – Zgłosiliśmy się we czterech. Rowell, mój drugi najlepszy kumpel...

– Justin i Julian. Pamiętam.

– ...i jeszcze Pierson. Wszyscy się załapaliśmy.

– Nie dziwi mnie, że się dostałeś. – Izzy zmusiła się do uśmiechu, który jednak nie znalazł odzwierciedlenia w jej oczach. Zrobiła krok do tyłu, uciekając poza zasięg moich rąk. – A więc nie rezygnujesz, tylko pnieś się wyżej.

Znowu potakiwałem, jakbym był jedną z tych zabawnych figurek z nieproporcjonalnie dużą głową na sprężynie.

– No tak. Czeka mnie jakiś rok szkolenia, a potem... – słowa nie chciały mi przejść przez gardło – a potem zobaczymy, gdzie mnie rzucą.

– Potem zobaczymy... – szepnęła Izzy i założyła nieposłuszne kosmyki włosów za ucho. Niepotrzebnie, bo lekki wiatr wiejący znad oceanu niemal od razu znów je rozwiął.

– Wątpię, żeby w Fayetteville mieli takie kancelarie, dla jakich chciałabyś pracować. – Wsunąłem ręce do kieszeni. – Pewnie aplikujesz do wielkich wpływowych firm, prawda? Kupa forsy, eleganckie biura w wieżowcach, drogie garnitury, te sprawy?

– Tak. Rozglądam się za kancelariami, które mogą najwięcej zdziałać, które pozwoliłyby *mi* zdziałać jak najwięcej dobrego, ale... wcale nie muszę. – Zrobiła następny krok w tył, potem jeszcze jeden, aż fale zaczęły obmywać jej stopy.

– Właśnie że musisz. Nie zamierzam być gościem, który cię ogranicza. Dupkiem, który żąda, byś odpuściła sobie wszystko, żeby to on mógł się spełniać. – Wciąż nie ruszyłem się z miejsca, moje stopy częściowo przysypał piach. – Owszem, byłoby łatwiej, gdybym się zgodził, żebyś przeniosła się do Fayetteville i znalazła tam pracę. A po roku znów kazałbym ci się spakować, zostawić wszystko i przeprowadzić się ze mną, dokądkolwiek mnie potem wyślą.

Byłbym z tobą, ty byłabyś ze mną... Tylko że... Ale za jaką cenę... – Opuściłem wzrok i utkwilem go w piasku.

– Jak to jest, że ja wypluwam z siebie słowo za słowem, paplając jak nakręcona, a tobie ich brakuje?

Gdy wolno podniosłem głowę i spojrzałem na Izzy, kąciaki moich ust ułożyły się w uśmiech. Smutny, ale uśmiech.

– Bo się uzupełniamy. Więc tym bardziej nie mógłbym patrzeć, jak z czasem blask w twoich oczach gaśnie i zastępuje go rozżalenie, gdy uświadomisz sobie, że to ja jestem przyczyną tego, że nie osiągasz wszystkiego, na co w pocie czoła pracowałaś. Nie potrafiłbym spojrzeć w lustro, wiedząc, że podcinam ci skrzydła.

– Czyli to już wszystko, co mamy sobie do zaoferowania? – zapytała Izzy, wyrzucając ramiona w górę. – Chwile, które wykrawamy z wielkich bloków czasu? Chwile zbyt krótkie, żebyśmy mogli dzielić się ze sobą swoim życiem?

– Niebo jest bezchmurne. Woda krystalicznie czysta. A ty jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem, Isabeau. Jeśli nawet nie miałoby już być niczego więcej, to i tak jest całkiem niezłe.

Izzy wzięła szarpany wdech.

– Powiedziałam, że wolałabym spędzić tydzień z tobą niż resztę życia z tamtym facetem – urwała, a ja wstrzymałem oddech. – Ale nie chcę czekać w nieskończoność, Nate. Nadejdzie taki moment, kiedy będziemy musieli albo dać sobie szansę, albo dać sobie spokój.

– Wiem. – Ta świadomość przerażała bardziej niż nawiedzające mnie koszmary.

– Nie możemy pozostać tylko przyjaciółmi.

– Wiem – powtórzyłem.

– Może ty byś tak potrafił – ciągnęła, rozchlapując stopą wodę sięgającą jej do kostek – ale ja nie. Już nie, odkąd dowiedziałam się, jakie to uczucie być z tobą. Już nigdy nie będę w stanie spojrzeć na ciebie bez pożądania.

Dzieląca nas odległość, choć tak mała, była dla mnie okrutną torturą.

– Mam dokładnie tak samo.

Ramiona Izzy opadły zrezygnowane. Odchyliła głowę, by spojrzeć na niebo.

– Dlaczego zawsze zgrywamy się tak do dupy? – zapytała.
– Bo to, co w życiu wartościowe, nigdy nie przychodzi łatwo.
– Ale... obiecaj mi, że zastanowisz się nad tym, dopóki tu jesteśmy, okej? – Opuściła wzrok i spojrzała na mnie. – Pomyśl, jak mogłoby być, gdybyśmy stali się dla siebie czymś więcej niż tylko możliwością.

– Pewnie. Tak zrobię. – Izzy nie miała pojęcia, jak często o tym myślałem. Zawsze jednak dochodziłem do takiego samego wniosku. Tyle że nie potrafiłem jej tego powiedzieć.

Uśmiech, jaki Izzy posłała mi w odpowiedzi, był zdecydowanie wart zachowania swoich przemyśleń dla siebie.

– Mamy dla siebie tydzień. Więc na co czekasz, Nathanielu Phelanie? Włóż do wody i zabieraj się do całowania. Spełnij moje sny.

Nie musiała mi dwa razy tego powtarzać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

IZZY

Kandahar, Afganistan Sierpień 2021

Poruszyłam się we śnie, przekręcając się na plecy. Poduszka pod moją głową była ciepła, ale szorstka tkanina poszewki obtarła mi skórę u podstawy karku. Ale zapach – metal i dobrze mi znana mięta z domieszką czegoś cieplejszego – sprawił, że westchnęłam z rozmarzeniem.

Mój umysł nigdy nie dawał się oszukać. Wiedział, że to sen, ale ja zawsze chwytalam się go z całych sił, próbując się zmusić, by zasnąć głębiej, tak aby nie ominął mnie ciąg dalszy.

Na policzku poczułam delikatny dotyk palców. Poddałam się pieszczotom.

– Obudź się, Isabeau.

Jego głos otulił mnie jak aksamit, tak jak każdego poranka podczas wakacji na Fidżi, gdy Nate budził mnie rękoma i ustami, rozpalając moje ciało do czerwoności, nim wsunął się we mnie i doprowadził nas oboje do celu.

– Nie chcę – wymamrotałam. Wybudzenie się oznaczało, że zniknie, a ja spędzę kolejny dzień na zastanawianiu się, gdzie się podział tym razem.

– Musisz – dodał cicho. – Niedługo się zbieramy.

– Zawsze gdzieś się zbierasz – ciągnęłam w półśnie. Poprawiłam głowę na poduszce i ponownie odplynęłam, oddychając miarowo

i głęboko. – Nie myślałaś, żeby wreszcie gdzieś zostać?

– Nie zliczę ile razy. – Palce zaczęły przeczesywać moje włosy. – Ale nie możemy tu zostać. Trzeba się stąd zbierać.

Chwila, nie o tym chciałam śnić. Miałam wrócić do swojego mieszkania w Nowym Jorku. Otworzyć drzwi i zastać go czekającego na mnie. Cofnąć wszystko, co wtedy powiedziałam, i rozegrać to zupełnie inaczej.

– Izzy. – Jego głos nadal był łagodny, ale tym razem bardziej stanowczy.

Zmusiłam się, by otworzyć oczy, za co zostałam nagrodzona widokiem górującego nade mną i wpatrującego się we mnie Nate'a. Boże, nie istniało nic wspanialszego niż budzenie się przy tych oczach, przy tych ustach. Nawet jeśli były ściągnięte w wąską kreskę.

– Nie wszyscy lubią wstawać skoro świt, Nathanielu.

Kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu, a mój puls przyspieszył jak na komendę, w jednej sekundzie wyrywając mnie z ostatnich objęć snu. Miałam ochotę pocałować go w usta, całkiem się w nim zatracić, znów poczuć słodkie zapomnienie, do którego doprowadzał mnie tylko on, nikt inny.

– Możesz nie lubić wschodu słońca, ale nie sądzę, żebyś miała ochotę spędzić kolejną noc na podłodze na lotnisku. A tak będzie, jeśli nie zdążymy na podwózkę do Kabulu.

Zamrugałam i nagle wszystko do mnie wróciło. Utknęliśmy w Kandaharze, a szorstka poduszka wcale nie była poduszką, tylko pokrytym kamuflującym wzorem materiałem spodni Nate'a. Albo zasnęłam z głową na jego kolanach, albo przeniósł mnie w miejsce, w którym sam siedział oparty plecami o ścianę. Serce błagało mnie z każdym uderzeniem, by nie ruszać się, by chłonąć każdą chwilę, gdy Nate patrzył na mnie bez powściągliwości i chłodnej apatii, jakimi obdarzał mnie przez miniony tydzień. Zrzuciwszy pancerz własnej złości, wcale mu się nie dziwiłam, że trzymał mnie na dystans. Otwieranie się przed ludźmi nie leżało w naturze Nate'a, a kiedy przyszło co do czego, zawiodłam go w momencie, gdy najbardziej mnie potrzebował. Oboje byliśmy odpowiedzialni za to, co się wydarzyło w Nowym Jorku.

– Wiesz, że nigdy wcześniej nie spędziliśmy ze sobą aż tyle czasu co teraz? – rzuciłam.

Nate zmarszczył brew.

– Prawie. Fidži z lotami to razem dziewięć dni. Tu mamy dopiero ósmy dzień.

– Wolałam Fidži. Tam przynajmniej nikt do nas nie strzelał.

– Tak już bywa, jeśli człowiek wpakuje się w sam środek działań wojennych, Iz. Ludzie będą do ciebie strzelać.

Nate podał mi dłoń i wbrew głośnym protestom moich obolałych mięśni podciągnął mnie do pozycji siedzącej.

– Spałeś w ogóle? – zapytałam, rozmasowując sobie kark i starając się rozruszać ramiona.

– Trochę tak. – Wstał i się rozciągnął, naprężając mięśnie kryjące się pod tatuażami. – Śmigła już lecą. Mamy jakieś trzy kwadransy, zanim wylądują. Zabierajmy się stąd.

Naruszając zasadę trzydziestu centymetrów, skorzystaliśmy osobno z łazienki. Ale gdy sprawdzałam, jak czują się młode szachistki i ich rodzice, których poinformowano już o planie ewakuacji, Nate nie odstępował mnie na krok.

Miałam nadzieję, że wszystko przebiegnie sprawniej niż poprzedniego dnia.

Z każdą upływającą minutą powietrze przepęłniało coraz większe podenerwowanie. Po plecach spływały mi krople zimnego potu. Bałam się, ale robiłam dobrą minę do złej gry, uspokajając dziewczęta serdecznym uśmiechem. Cała szóstka była dokładnie taka, jak zapamiętałam z naszych krótkich rozmów przez Skype'a. Dociekliwa i skora do żartów. Wszystkie mówiły też nienaganną angielszczyzną i żałowałam, że sama nie wybrałam w liceum języka innego niż francuski. Kto wie, może potrafiłabym wtedy posługiwać się ich ojczyzną mową.

– Wszystkie wizy są w tej kopercie – powiedziałam trenerce Niaz, wręczając jej grubą, zapieczętowaną teczkę, gdy ludzie wokół zbierali swoje rzeczy. – Nie chciałam ryzykować, że coś zgubię.

– Dziękuję. Rozdam je rodzinom, na wypadek gdybyśmy zostali rozdzieleni – wyjaśniła niższa ode mnie kobieta, poprawiając sobie torbę na ramieniu i uśmiechając się do mnie brązowymi, otoczonymi delikatnymi zmarszczkami oczami, w których zbierały się łzy. –

Nawet nie wiem, jak pani dziękować. Przykro mi, że musiała pani przylatywać aż tutaj, ale...

– Nie musi się pani tłumaczyć. – Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło, zalała mnie nagła fala emocji. Nigdy wcześniej nie byłam częścią czegoś tak istotnego, w ciągu dwudziestu ośmiu lat swojego życia nie zrobiłam jeszcze czegoś... mającego tak duże znaczenie. – Cieszę się, że mogłam pomóc – wydusiłam z siebie, ściskając dłonie trenerki.

Do Nate'a podszedł Gray i nachylił się nad jego ramieniem.

– Będą za pięć minut – usłyszałam.

Nate zerknął w moją stronę, a ja skinęłam mu głową.

– Już czas – ogłosił Nate, wypełniając swoim głosem całą poczekalnię. – Trzydzieści centymetrów – przypomniał mi, gdy pozostali operatorzy zajęli się rodzinami, które zostały im przydzielone. Tylko jeden z komandosów stał na dole, pilnując wejścia.

Nate podał mi hełm balistyczny. Włożyłam go na swoją rozczochraną po spaniu głowę. Po chwili założyłam też kamizelkę kuloodporną. Dobrze chociaż, że nie kazał mi w nich spać. Wychodząc z pomieszczenia do holu i dalej na klatkę schodową, minęliśmy stertę paczek z racjami żywnościowymi.

– Nie zabieracie tego? – zapytałam Nate'a.

Pokręcił głową, w pełnym skupieniu obserwując otoczenie.

– Brakuje im tu jedzenia. Są właściwie odcięci od dostaw.

– I tak po prostu ich tu zostawimy? – Podniosłam na niego wzrok, ale nie zareagował. Działał w trybie bojowym. Żadnych uśmiechów ani muskania mnie po policzku. Miałam przed sobą Nate'a w wydaniu, jakiego wcześniej nie było mi dane poznać.

– Nie każdy chce być ratowany, Izzy – odparł i mocniej chwycił karabin. Właśnie maszerowaliśmy przez całą długość budynku terminalu.

– To nasz dom – odezwał się afgański żołnierz po mojej prawej. – Będziemy go bronić do końca.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc po prostu pokiwałam głową. Gdy dotarliśmy do wyjścia, docisnęłam do siebie przewieszoną przez ramię torbę. Przeszliśmy obok bramki, przy której

poprzedniego dnia ukrywaliśmy się przed ostrzałem. Okna rozbite falą uderzeniową po wybuchach zostały już zabite deskami.

– Staraj się głęboko oddychać – poradził mi Nate, kiedy podchodziliśmy do drzwi, przy których wartę pełnili sierżant Black i dwóch żołnierzy z afgańskiej armii.

– A co, jeśli znowu zaczną strzelać w nas raketami? – zapytałam półgłosem, świadoma tego, że parę kroków za nami szły i tak już przestraszone dziewczęta, poruszające się w grupkach podzielonych według śmigłowców, którymi miały odlecieć z Kandaharu.

– Nasi zabrali ze sobą apache – przypomniał Nate. – Jeśli tamci odpalą rakiety, zdradzą swoje pozycje i oberwą od nas dziesięć razy mocniej. – Jego szczeka drgnęła, kiedy doszliśmy do wyjścia i na chwilę się zatrzymaliśmy.

– Racja, zapomniałam, że nie ma nic bardziej logicznego niż wojna. – Szturmująca umysł panika zaburzyła rytm mojego serca. To nie było dla mnie. Musiałam to przed sobą przyznać.

– Po prostu trzymaj się mnie – zarządził cicho Nate. – Zapakuję cię do tego śmigłowca.

Ani trochę w to nie wątpiałam. Wiedziałam też, jak bardzo dzień wcześniej dopisało nam szczęście, że zdążyliśmy wejść do budynku, nim nadleciały pierwsze rakiety.

– Gdybyś mógł uratować mnie albo jedną z dziewczyn...

Nate obrócił się do mnie, ujął mój podbródek między kciuk i palec wskazujący, po czym uniósł go tak, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Nie jestem takim gościem – powiedział niemal bezgłośnym szeptem. Stojąca za nami afgańska rodzina z całą pewnością go nie usłyszała.

– Jakim gościem?

– Trzydzieści sekund – zawołał Gray z końca naszej grupy.

– Gościem, który postępuje honorowo – odpowiedział Nate, szukając wzrokiem mojego spojrzenia. – Nie, jeśli w grę wchodzi ty.

– Nieprawda – spierałam się.

Nate pokręcił głową.

– Różnimy się od siebie, Iz. Zawsze tak było. Dokąd byś poszła, gdybyś wiedziała, że za dwadzieścia cztery godziny świat spotka wielki kataklizm?

Zbita z tropu, zamrugałam. Było to najbardziej osobliwe pytanie, jakie do tej pory padło z ust Nate'a próbującego zająć czymś moje przerażone myśli.

– Serena pewnie relacjonowałaby wydarzenia na bieżąco, a rodzice raczej nie umieliby poprawić mi nastroju... Myślę więc, że poszłabym tam, gdzie mogłabym zrobić jak najwięcej dobrego.

Jego usta wykrzywił gorzki uśmiech. Opuścił wzrok na moje usta, a po chwili puścił mój podbródek.

– Otóż to. Tym się właśnie różnimy.

Zabrakło mi czasu, by dopytać go, co dokładnie miał na myśli. Powietrze wypełnił łoskot wirników. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam cztery helikoptery lądujące na pasie startowym. Nad nimi krążyły dwie kolejne maszyny.

– Jazda! – Nate zawołał przez ramię, a drzwi przed nami nagle zostały szeroko otwarte. Przeprowadził nas przez nie kolejny operator w asyście afgańskich żołnierzy.

Serce waliło mi jak oszalałe, gdy szybkim krokiem szliśmy tą samą drogą, którą pokonaliśmy dzień wcześniej, tyle że w przeciwnym kierunku. Wydawało mi się, że nic nie jest takie samo. Odległość była jakby większa. Ozdobne łuki, pod którymi przechodziliśmy, straciły swój wcześniejszy architektoniczny powab i stały się bardziej... wyeksponowane. A może to ja inaczej na wszystko patrzyłam.

Gdy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Minęliśmy ogromny wyłom w betonowej nawierzchni, którego z całą pewnością nie było tam poprzedniego dnia. Krew pulsowała mi w żyłach pod takim ciśnieniem, że aż huczało mi w uszach. Nate prowadził mnie po chłodnym asfalcie pasa startowego, którego o tak wczesnej porze nie zdążyło jeszcze nagrzać piekące słońce. Kierowaliśmy się do najdalszego śmigłowca.

Cekaemista zainstalowany w bocznym wejściu do maszyny machał do nas ręką, każąc nam wsiadać. Nate dosłownie włożył mnie na pokład blackhawka, unosząc mnie ponad ziemię i zmuszając, bym pierwsza zajęła miejsce w środku. Nie oponowałam. Nie chciałam tracić na to cennego czasu. Odszukałam swoje „ulubione” siedzenie i odsunęłam się, żeby przepuścić Nate'a.

Ale nie było go w śmigłowcu.

Szybko odwróciłam się do drzwi. Nate czekał na płycie lotniska, spoglądając w stronę budynku terminala. Wstrzymałam oddech. Jedną z rzeczy, których nauczyły mnie minione dwadzieścia cztery godziny, było to, że liczyła się każda sekunda. W duchu odliczałam je jedna po drugiej, patrząc na nieruchomego Nathaniela Phelana, wystawionego na wszelkie zło tego świata.

Przy śmigłowcu zjawili się sierżant Lilac wraz z dwójką afgańskich żołnierzy, z których jeden niósł na rękach Kaameh. Gdy mężczyzna postawił dziewczynę na pokładzie maszyny, do środka wsiedli pozostali członkowie jej rodziny. Zdyszani, zajęli miejsca naprzeciwko mnie. Ich piersi falowały, oczy mieli szeroko otwarte. Nachyliłam się i pomogłam Kaameh zapiąć się na siedzeniu, na którym zwykle sadowił się Nate. W tym czasie rodzice dziewczyny podawali sobie z rąk do rąk jej młodszego braciszka, by sami mogli kolejno zapiąć swoje pasy.

Do helikoptera wskoczyli Nate i Lilac, a gdy udo pierwszego z nich przywarło do mojego, wzięłam głęboki wdech. Po chwili następny. I jeszcze jeden. Powtarzałam ten schemat, dopóki całkowicie nie straciłam nad sobą kontroli. Nic mu nie było. Nic nam się nie stało. Choć w myślach próbowałam się uspokajać, rezultat był marny.

Maszyna wystartowała i oderwaliśmy się od ziemi.

Nate sięgnął ręką ponad moimi kolanami i chwycił moją dłoń, zaplatając nasze palce i mocno je ściskając, gdy wylatywaliśmy z Kandaharu. Z każdym pokonanym przez pilota kilometrem mój oddech się wyrównywał. Wiedziałam jednak, że ta chwila nie może trwać wiecznie, że w pewnym momencie Nate puści moją rękę. I tak właśnie się stało.

Rozplótł swoje palce i cofnął dłoń, pozostawiając mnie w czarnej rozpacz. Nadal nie wiedział jednak, że istniał konkretny powód, dla którego mojej lewej dłoni nie zdołał pierścionek. Wciąż nie zdecydowałam też, czy mu o tym mówić, niepewna, czy chciałby się tego dowiedzieć.

Gdy wylądowaliśmy, młode szachistki kolejno mnie przytuliły, po czym razem ze swoimi bliskimi wsiadły do czekających na nie SUV-ów, które miały zawieźć ewakuowanych prosto na lotnisko.

Pożegnanie było krótkie, bez zbędnych fajerwerków, a zarazem idealne.

– Proszę, proszę, ktoś tu czyni dobro – odezwał się Nate, odprowadzając mnie do naszego auta.

– To bardzo przyjemne uczucie – przyznałam i wsiadłam do samochodu. – To być może najlepsze, czego dokonam w całym moim życiu. – Jeśli miała to być kulminacja mojej kariery w Waszyngtonie, z całą pewnością warto było podejmować wszystkie te starania.

Nate zamknął za mną drzwi i zajął miejsce z przodu. Uśmiech nie schodził mi z ust przez całą drogę do ambasady.

Zniknął dopiero, gdy weszliśmy do pogrążonego w chaosie lobby i przez zaniepokojony tłum zauważyłam, że przeszklona sala konferencyjna, zaadaptowana przez moją delegację na tymczasowe biuro, opustoszała.

– Nie musisz znaleźć Gnojka i powiedzieć mu, że nic ci nie jest? – zapytał Nate, mówiąc coraz wolniej, gdy podążył wzrokiem za moim spojrzeniem.

W tej samej chwili podszedł do nas jego dowódca, którego zacięta mina nie zapowiadała raczej niczego dobrego.

– Świetna robota z wydostaniem zespołu – powiedział do Nate'a.

– A gdzie jest *mój* zespół? – zapytałam, czując coraz mocniejszy ucisk w żołądku.

– Departament Stanu ogłosił częściową ewakuację ambasady – wyjaśnił major, patrząc najpierw na Nate'a, a dopiero potem na mnie. – Przykro mi, ale reszta pani delegacji wyjechała parę godzin temu razem z kandydatem do kongresu... Covingtonem, którego zresztą nie miało tu być.

Zachwiałam się. Na szczęście Nate pomógł mi zachować równowagę, kładąc mi dłoń u dołu pleców.

– Jak to, *wyjechali*? – Nate niemalże warknął.

– Senatorowie odwołali swój przyjazd, a ich asystenci zapakowali się do samolotu – dodał major, łagodząc swój głos na widok mojego wyrazu twarzy. – Chyba powinna pani zadzwonić do swojej szefowej.

Wyjechali beze mnie. Zostawili mnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

IZZY

Fidži

Czerwiec 2017

Nie było chyba niczego piękniejszego niż odbicie księżyca falujące delikatnie na tafli oceanu rozpościerającego się za krawędzią tarasu naszego wakacyjnego domku. Obejrzałam się przez ramię, zaglądając do środka przez szeroko otwarte dwuskrzydłowe drzwi, by delektować się widokiem nagich pleców Nate'a śpiącego na połowie łóżka, którą pięć dni wcześniej, przed naszą pierwszą nocą na Fidži, uznał za swoją. Cienka kołdra sięgała nieco powyżej jego bioder, kończąc się tuż nad apetycznymi pośladkami. Łagodne światło lampki ustawionej na stoliku nocnym podkreślało każdy z mięśni rzeźbiących jego ciało, teraz uśpionych i rozluźnionych.

Może jednak dziś palma pierwszeństwa nie należała do księżyca.

Lekka bryza poruszyła aksamitną tkaninę koszuli nocnej na cienkich ramiączkach, sięgającej mi zaledwie do ud. Odwróciłam się z powrotem w stronę wody. Był środek nocy, a nasz taras był osłonięty przed wścibskimi oczami – o ile w sąsiednich bungalowach ktokolwiek był jeszcze o tej porze na nogach – ale w przeciwieństwie do Nate'a, który bez żadnych oporów paradował po domku zupełnie nago, nie pozostawiając mojej wyobraźni ani trochę pola do popisu, ja nie byłam aż tak pewna siebie.

W dodatku nie mogłam zasnąć. Choć Nate doprowadził moje ciało do błogiego stanu euforycznego wyczerpania, mój umysł wciąż

jeszcze pracował na wysokich obrotach na długo po tym, jak ciężkie powieki Nate'a opadły mu na oczy.

Zostały nam zaledwie dwa dni.

Już za dwa dni mieliśmy wracać do Stanów. Do rzeczywistości. Do życia, w którym nigdy nie wiemy, na czym stoimy ani kiedy znowu się zobaczymy. Do życia, w którym odsuwałam od siebie każdego mężczyznę, który zbyt blisko się do mnie zbliżył, wyłącznie dlatego, że nie był Nate'em.

Gdy zerwałam z Lukiem, nie płakałam z rozpaczy. Płakałam, ponieważ po kilku spędzonych z nim miesiącach jedynie go *polubiłam*. Nic więcej. I w dodatku byłam gotowa haniebnie zepchnąć tę sympatię w ciemny kąt.

Miłość? W tym kontekście potrafiłam myśleć tylko o jednym mężczyźnie obecnym w swoim życiu. O facecie, którego nie mogłam mieć. A przynajmniej nie do końca.

Byłam beznadziejnie wręcz zakochana w Nathanielu. Świata poza nim nie widziałam.

On jednak nie chciał wpuścić mnie do swojego serca. Trzymał mnie za to na jego orbicie, pozwalał rzucić pobieżnie okiem na zniszczenia kryjące się pod jego tętniącą powierzchnią, skazując mnie na bezradne przyglądanie się z daleka, jak pojawiają się na nim kolejne blizny.

Być może było tak dlatego, że uratował mi przed laty życie. A może to przez swobodę, jaką czułam tylko w jego obecności, swobodę, dzięki której byłam po prostu sobą, prawdziwą ja. A może chodziło o to, jak patrzył na mnie w trakcie pogrzebu swojej mamy, kiedy przyglądał mi się, jakbym była małą łódeczką dryfującą po oceanie, za wszelką cenę starającą się pociągnąć go za sobą na dno. A może rzecz w tym, że Nate potrafił jednym dotknięciem odebrać mi zdrowy rozsądek.

Cokolwiek sprawiło, że otworzyłam przed nim swoje serce, istniało tylko w połączeniu z Nate'em.

A teraz zostały nam ostatnie dwa dni.

Jak mogłam w tej sytuacji spać i ryzykować utratę choćby jednej godziny z pozostałego nam czasu?

Objęłam się rękoma w pasie i spojrzałam w niebo, wpatrując się w księżyc, jakbym mogła wyczytać z jego tarczy odpowiedzi, których

tak bardzo potrzebowałam. Czy powinnam przenieść się do Karoliny Północnej? Zapomnieć o wymarzonej pracy, żeby móc spędzać z nim tych parę dni w roku, kiedy będzie zaglądał do domu? Mimo że Nate ewidentnie wcale tego nie chciał?

Usłyszałam hałas i odwróciłam się w stronę łóżka.

Nate rzucał się we śnie.

Podeszłam do niego, poruszając się najciszej, jak to możliwe, żeby go nie zbudzić. Przez jakąś minutę przyglądałam się mu uważnie. Następnie usiadłam ostrożnie na łóżku po swojej stronie i powoli podciągnęłam nogi, starając się nie naciskać zbyt mocno na materac.

Jego ciałem znów szarpnęło, a krzyk, który wydobył się z jego gardła, porządnie mnie wystraszył. Męczyły go koszmary.

– Nate. – Nachyliłam się nad nim, delikatnie dotykając jego ramienia. – Nate, obudź...

Zerwał się tak szybko, że moje serce zamarło.

W jednej sekundzie moje plecy wylądowały na materacu, a nade mną wyrósł Nate. Miał szeroko otwarte oczy i przenikliwy wzrok, a jego przedramię... dociskało do łóżka mój obojczyk, podczas gdy druga ręka Nate'a szukała czegoś w pościeli.

– Nate! – zawołałam głośno, czując, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Na jego twarzy wymalowało się autentyczne przerażenie. Oskoczył gwałtownie do tyłu, zabierając swój ciężar z mojego ciała i rozpaczliwie uciekając na krawędź łóżka.

– O kurwa. – Zbladł, jakby odpłynęła z niego cała krew. – Izzy. Boże. Izzy...

Odsunęłam się i oparłam o wezglowie, usiłując bezskutecznie pojąć, co się właśnie, do cholery, wydarzyło.

– Naprawdę cię przepraszam. – Uniósł rękę, jakby chciał nią do mnie sięgnąć, lecz po chwili ją opuścił. – Zrobiłem ci krzywdę?

– Nie. – Trwoga wypełniająca jego oczy boleśnie zakłuła mnie w serce. – Nic mi się nie stało – zapewniłam.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Tak bardzo cię przepraszam.

– Nic mi nie jest, Nate. Przestraszyłeś mnie, nic więcej. – Krew buzowała mi w żyłach z zawrotną prędkością, ale podwyższone

tętno było niczym w porównaniu z uciskiem w sercu, jaki poczułam, słysząc cierpienie w głosie Nate'a. – Nate, spójrz na mnie.

Gdy powoli uniósł głowę, pochwyciłam jego spojrzenie.

– Nie zrobiłeś mi krzywdy – powtórzyłam, kręcąc przecząco głową. Szok ustępował miejsca logice. – Śnił ci się koszmar, a ja cię przestraszyłam. Nie powinnam była cię dotykać. Wiem wystarczająco dużo na temat zespołu stresu pourazowego, żeby o tym wiedzieć, tylko... Po prostu zapomniałam. To ja powinnam cię przeprosić.

– Nie wygłupiaj się – odparł Nate i podciągnął kolana do piersi.

Przysunęłam się bliżej, ale zatrzymałam się w połowie łóżka, żeby zostawić mu trochę przestrzeni.

– Nie dusiłeś mnie. Nie odciąłeś mi dopływu powietrza. Nie rzuciłeś mnie na ziemię. Nie. Zrobiłeś. Mi. Krzywdy.

Nate zsunął się z materaca i wciągnął na siebie suche spodenki kąpielowe.

– I nie zamierzam.

– Co masz przez to na myśli? – zapytałam, skonsternowana, gdy wychodził przez drzwi na taras. – Nate!

– Zdrzemnij się trochę, Izzy. – Odwrócił się do mnie, ale się nie zatrzymał. Szedł dalej, tyle że tyłem. – Nie masz pojęcia, jak mi przykro.

– Chyba jednak... – zaczęłam, ale w tym momencie Nate obrócił się na pięcie i rzucił do wody. Podbiegłam do balustrady, ale w nikłym świetle księżycy nie sposób było zauważyć, gdzie wypłynął na powierzchnię. – Nate! – wyszeptałam najgłośniejszym, jak to było możliwe, nie chcąc obudzić żadnego z naszych sąsiadów.

Ale Nate się nie pojawił.

Czekałam na tarasie przez dwadzieścia minut.

Kolejnych piętnaście, choć może i też dwadzieścia, leżąc w łóżku. A potem, tylko na sekundę, przymknęłam oczy.

* * *

Rano powoli się wybudziłam, wyciągnęłam ręce ponad głowę, a potem opuściłam je, żeby poszukać dłonią śpiącego obok mnie Nate'a.

Ale go tam nie znalazłam.

Otworzyłam szeroko oczy i usiadłam, wpatrując się w pustą część łóżka.

– Tutaj jestem. – Głos Nate'a dobiegał z przeciwnej strony.

Obróciłam się w lewo i zobaczyłam go siedzącego na sofie w rogu pokoju. Zdążył się już ubrać, był gotowy na kolejny dzień. Pod jego oczami wyraźnie rysowały się cienie.

– Spałeś chociaż trochę? – Zsunęłam się z łóżka i usiadłam na przeciwnym końcu kanapy.

– Nie mogłem już zasnąć po tym, jak... – zaczął, ale urwał w połowie zdania i gwałtownie odwrócił wzrok. Następnie pochylił się nad stolikiem kawowym i podał mi kartkę. – Skoro i tak tu siedziałem, przygotowałem listę. Wszystkie miejsca, o których rozmawialiśmy w ciągu ostatnich paru dni.

Wzięłam od niego arkusz papieru, po którym przebiegłam wzrokiem.

– Palau w przyszłym roku, Peru w kolejnym, potem Borneo, Wyspy Kanaryjskie i Malediwy.

– Zapomniałem o czymś? – zapytał Nate, nachylając się i opierając łokcie na kolanach.

– O Seszelach – odparłam.

– Racja. – Wręczył mi długopis. – Dopisz je.

Spojrzałam na Nate'a, po chwili na długopis, po czym wolnym ruchem wzięłam go od niego i zapisałam „Seszele” w pustym miejscu na dole listy. Trochę za mocno nacisnęłam na papier i zrobiłam w nim dziurę.

– Cholera – mruknęłam pod nosem.

– Zarezerwowałem już loty na przyszły rok. Chciałaś lecieć na Palau, prawda? – zapytał, odkładając swoją komórkę na stolik.

Aż się we mnie zagotowało. Co ja miałam z tym, do cholery, niby zrobić?

– Tak po prostu?

Nate pokiwał głową.

– Wstępnie na październik, ale możemy zmienić termin w zależności od tego, w jakiej kancelarii podejmiesz pracę, albo jeśli ja... nie będę na miejscu.

Innymi słowy, jeśli nie będzie akurat na misji.

Odłożyłam kartkę i długopis obok telefonu i usiadłam z powrotem, podciągając pod siebie nogi. Oczy Nate'a zapłonęły żywym ogniem, gdy przesunął wzrok po moim ciele, a ja dałam z siebie wszystko, by zignorować coraz głośniejszy szum pożądania, którego lont został właśnie podpalony.

– Skąd mamy lecieć? Z jakich miast?

Nate, zanim odpowiedział, wziął głęboki wdech.

– Ja lecę z Karoliny Północnej, a ty z Nowego Jorku.

Oniemiała, otworzyłam szeroko usta.

– Korzystając z różnicy czasu, napisałem do Sereny. Twierdzi, że właśnie tam mieści się firma, na której ci zależy. Ta, o której od dobrego roku podobno nie przestajesz mówić.

Nie chciał nawet, żebym rozważyła przeprowadzkę do Karoliny Północnej, żebym była bliżej. Wolał, żeby nadal było tak, jak do tej pory. Żebyśmy byli coroczną przygodą, która mimo swojej ulotności pochłaniała całe moje życie, brała we władanie całe moje serce.

– Ma to jakiś związek z ubiegłą nocą?

– Chciałem, żebyśmy mieli na co czekać. – Przełknął ślinę i mówił dalej: – Od lat o tym rozmawialiśmy, a realizacja tych planów też zajęła nam... lata. A teraz wiemy, że znowu się zobaczymy.

– Nawet jeśli tylko na tydzień?

– Lepszy tydzień niż nic – odparł.

– A jak długo to „nic” ma być dla nas punktem odniesienia? – Wstałam, zapragnąwszy zwiększyć nieco dzielącą nas odległość. – Jak długo mamy podkradać weekend tu, tydzień tam?

– Tak długo, jak będzie trzeba. – Obserwował, jak chodzę w tę i z powrotem. Siedział nieruchomo, od jego ciała bił niesamowity spokój, ale jego oczy uważnie śledziły każdy mój ruch.

– To żadna odpowiedź!

– Tylko taką dla ciebie mam – dodał bez wahania. Był tak wkurwiająco opanowany!

Jak długo jeszcze planował służyć w armii? Czy nie widział, jak wojsko go niszczy? Bo ja widziałam. Jasno i wyraźnie.

– Zamierzasz w ogóle porozmawiać ze mną o tym, co się stało w nocy? – zapytałam.

– Nie ma sensu rozprawiać o koszmarach – stwierdził, wciąż nie spuszczać mnie z oczu. – Miewam koszmary. Ty pewnie też.

– Owszem, chodzę też do terapeuty. – Zatrzymałam się i przysiadłam na brzegu łóżka. – Powiedz, proszę, że zgłosiłeś się do kogoś po pomoc. – Uniosłam otwartą dłoń i dodałam: – I nie, nie zrobiłeś mi wczoraj krzywdy. Nie jestem o to zła. Wiem, że prędzej uciąłbyś sobie rękę, niż byś ją na mnie podniósł.

Nate zacisnął szczękę i odwrócił wzrok, przenosząc spojrzenie na rozpościerający się za otwartymi drzwiami widok.

– Zaliczyłem testy psychologiczne podczas selekcji, więc chyba nie jest ze mną tak źle. Nie mam wpływu na to, co mi się śni, Izzy. Ale wystarczy że pójde do psychiatry, żeby pogadać sobie o koszmarach, i mogę zapomnieć o dostaniu się do sił specjalnych. Od razu mnie wykopią.

– Czego szukałeś wczoraj w nocy? – zapytałam. – Kiedy powaliłeś mnie na materac, drugą ręką próbowałeś coś znaleźć.

Nate wydmuchał powoli powietrze i przeczesał dłonią swoje krótkie włosy.

– Na misjach zwykle trzymam pod poduszką broń, a ponieważ śniło mi się, że... – urwał i pokręcił głową. – Nieważne. Zresztą, szczerze mówiąc, te nocne wydarzenia są jeszcze jedną wśród wielu przyczyn, dla których ty i ja funkcjonujemy w taki, a nie inny sposób.

– Ale my nie funkcjonujemy! – Zerwałam się z łóżka, nie potrafiąc usiedzieć w miejscu. Miałam wrażenie, że jeszcze chwila i wyjdę z siebie, zupełnie jakby w moim ciele przestawały się mieścić targające mną coraz silniejsze emocje. – To nie jest prawdziwy związek. Nie, jeśli nadal będzie tak, jak jest, Nate.

– Nigdy nie mówiłem, że to związek. – Również podniósł się z miejsca, ale nie podszedł do mnie. Przyglądał się tylko, jak kursuje nerwowo po całym pokoju. – Wspólnie uznaliśmy, że nie chcemy schrzanić sprawy, przegapić naszej szansy, pamiętasz? Uzgodniliśmy, że...

– Wiele się zmieniło w ciągu trzech lat – weszłam mu w słowo. – Właśnie tyle na ciebie czekam, Nate. Trzy lata ciągłego porównywania z tobą facetów, z którymi zdarzało mi się umawiać. Bezustannego zachodzenia w głowę, gdzie jesteś i czy jesteś cały. Zastanawiania się, czy kiedykolwiek się przede mną otworzysz, opowiesz mi, co się z tobą dzieje, kiedy wylatujesz na misję.

– Nie chcesz tego wiedzieć – skontrował, wsuwając dłonie do kieszeni. Co za luz, co za opanowanie!

– Właśnie że chcę! Jak mam cię naprawdę poznać, jeśli mi na to nie pozwalasz?

– Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny...

– Nie. Znam cię na tyle, na ile dałeś mi się poznać. – Obróciłam się na pięcie, niemalże robiąc piruet na wypolerowanej drewnianej podłodze. Stałam teraz twarzą do Nate'a, a plecami do drzwi.

– Co chciałabyś ode mnie usłyszeć, Iz? – Przechylił głowę w bok, wkładając maskę, którą widziałam zaledwie kilka razy. Tę samą, którą przywdział na pogrzebie swojej mamy. – To, kim jestem tam, nie ma nic wspólnego z tym, kim jestem przy tobie. Naprawdę nie chciałbym, żebyś poznała tamtego kolesia.

– Co to ma niby znaczyć? – Wkurzało mnie, że ani na chwilę nie tracił rezonu, jakby w ogóle nie przeszkadzał mu wiecznie dzielący nas dystans, nieustannie przesuwająca się linia mety, za którą moglibyśmy wreszcie zbudować związek z prawdziwego zdarzenia.

– To znaczy, że... – urwał i westchnął. – Całkiem dobrze idzie mi rozdzielanie sfery prywatnej od zawodowej. Nauczyłem się, jak odcinać całe to gówno, które dzieje się tam, od mojego życia w Stanach. To jeden z mechanizmów obronnych, o których mówiłaś mi kilka lat temu, pamiętasz?

Pamiętałam.

– A co, jeśli chcę poznać obie części twojego życia?

– Nie chcesz – odparł z pełną stanowczością, kręcąc do tego głową.

– Chcę – upierałam się przy swoim.

– Nie. Nie chcesz. To, że trzymam ten szajs w zamknięciu, nie ma nic wspólnego z dystansowaniem się od ciebie, Iz. Ja cię w ten sposób chronię. Nie powinienem zwałać ci na głowę tego... wszystkiego.

– Dlatego że mi nie ufasz? Nie wierzysz, że będę cię wspierać? – Zrobiłam dwa kroki w jego stronę. – Byłam przy tobie, gdy chowałeś mamę. Zjawiłam się, kiedy mnie potrzebowałeś.

– Zgadza się i wiem, że nigdy ci za to należycie nie podziękowałam...

– Nie musisz mi za to dziękować, Nate. Chciałam przy tobie być! Boże, czemu tego nie łapiesz? Dlaczego nie rozumiesz, że nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka, jeśli wiem, że cierpisz?

– I właśnie *dlatego* o niczym ci nie mówię – powiedział, unosząc głos. – Zapewniam cię, nie chciałabyś wiedzieć o rzeczach, które zrobiłem, ani o rzeczach, które jeszcze zrobię. Nigdy już nie spojrzalabyś na mnie tak samo. Myślisz, że przypadkowe wybudzenie mnie z koszmaru to prawdziwy problem? Nie, to małe piwo. Że nie wspomnę już o tym, że *nie możesz* mnie lepiej poznać, bo wybieram się do sił specjalnych. Większość moich działań będzie utajniona. Izzy, w moim życiu nie było niczego równie dobrego i nieskażonego złem jak ty. Jesteś jedynym źródłem spokoju, jakie znam. Dlaczego miałbym wciągać cię w tę burzę gówna, jeśli nie muszę?

– Więc nigdy się nie dowiem, przez co przechodzisz? Ani jak mogę ci pomóc? – Dłonie zacisnęłam mocno w pięści, w piersi czując równie silny ucisk.

– Ale właściwie dlaczego tak ci na tym zależy?

– Bo jestem w tobie zakochana! – wykrzyknęłam, po czym zachłysnęłam się powietrzem i zakryłam usta obiema rękoma. Jasna dupa, miałam tego nie mówić.

Nate zrobił wielkie oczy.

– Nie, Isabeau – powiedział krótko.

Zakłopotanie piekło mnie w policzki, gdy wycofywałam się tyłem na taras. Przeszło mi przez myśl, że gdybym wskoczyła teraz do wody i zaczęła płynąć przed siebie, w południe dotarłabym do następnej wyspy. W ten sposób uniknęłabym dalszej części rozmowy.

– Nie możesz mnie kochać – dodał Nate, wychodząc za mną z domku i zapamiętałę kręcąc głową. Wyglądał na zdruzgotanego.

– A ty nie możesz mi mówić, co mogę, a czego nie mogę czuć! – Gdy oparłam się plecami o balustradę, nie miałam już dokąd umknąć. – Nie możemy po prostu zapomnieć, że to powiedziałam?

– Nie.

Nate wolno kroczył w moją stronę. Zatrzymał się dopiero, gdy zamknął mnie w potrzasku, chwytając poręcz rękoma po obu stronach mojego ciała.

– Dlaczego nie? Sam prosisz mnie, żebym ignorowała wszystko, co się dzieje, kiedy się nie widzimy. Oczekujesz, że wyżywię się tym, co raczysz mi zdradzać w listach i e-mailach. – Uniosłam brodę z zamiarem zgromienia go wzrokiem, jednak obawa i zmartwienie malujące się w jego oczach skruszyły rosnącą we mnie złość.

– Ponieważ wszystko, co się dzieje, kiedy się nie widzimy, jest nic niewarte – wyjaśnił. – Tylko to ma znaczenie. – Wziął do ręki moją dłoń i położył ją na swojej piersi. – To dla tej rzeczywistości żyję.

Jego serce biło nierównomiernie pod moimi palcami.

– A mimo to nie pozwalasz mi się kochać – zauważyłam.

Pokręcił głową.

– Nie możesz, Iz. Po prostu nie możesz. Nie jestem dla ciebie wystarczająco dobry, jeszcze nie teraz. Spójrz tylko, co się stało w nocy. Wystarczył jeden koszmar, a moja ręka... – urwał i z trudem przełknął ślinę. – To coś więcej niż strach. Jestem autentycznie przerażony, że zmarnuję jedyną szansę, jaką sobie damy. Chciałaś prawdziwego mnie? Więc proszę bardzo. Tak właśnie czuję. Nie mogę sobie pozwolić, żeby cię stracić.

Nate odszukał wzrokiem moje spojrzenie. Usłyszałam pęknięcie dobiegające z okolic mojego serca. Starłam się je zbagatelizować, doskonale wiedząc, że jeśli przyjrzę się mu zbyt uważnie, mogę w nim dostrzec głęboką rozpadlinę.

– Może mnie nie stracisz, ale też nie będę naprawdę twoja – wyszeptałam. I właśnie wtedy to do mnie dotarło. Nate obrał już dla siebie ścieżkę i nie zamierzał pozwolić, żebym poszła za nim. Już zawsze będzie na jakiejś wojnie, a moim przeznaczeniem, o ile nie zdecyduję inaczej, będzie przyglądanie się, jak powoli zmienia się z chłopaka, którego poznałam przed sześcioma laty w tym cholernym samolocie, w kogokolwiek, kim stanie się po wieloletnich walkach.

Szczelina w moim sercu boleśnie się rozszerzała.

– Wezmę tyle, ile mi dasz – skwitował Nate, po czym ujął moją twarz między dłonie i zajrzał mi prosto w duszę. – Będziemy mieć tyle, ile postanowimy sobie dać. – Opuścił powoli głowę i oparł ją na mojej. – Nie mogę ci zaoferować więcej, niż mam, Izzy. Wiem, że to za mało, ale więcej po prostu nie mam.

Gdy tylko musnął ustami moje wargi, tama puściła.

Miałam przerąbane. Jeden dotyk jego ust i całkowicie mu się poddawałam. Wiedziałam, że nie powinnam, ale kochałam go tak bardzo, że byłam gotowa wziąć cokolwiek, pójść na wszelkie ustępstwa.

Tak więc przez następne dwa dni brałam wszystko, co tylko Nate zechciał mi dać. Potem wróciłam do domu, spakowałam się, bo czekała mnie przeprowadzka do Nowego Jorku, gdzie zaoferowano mi pracę, i zaczęłam odliczać dni do momentu, gdy znów go zobaczę. Tym razem na Palau.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

NATHANIEL

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

Delikatnie rzecz ujmując, kraj rozsypywał się na pierdolone kawałki.

Do tego Isabeau odmówiła wylotu do Stanów.

Jeszcze trochę i straci przywilej decydowania.

Od naszego powrotu do Kabulu minęły dwadzieścia cztery godziny, a ambasada pogrążała się w stanie, który można było nazwać najprawdziwszym chaosem. Na każdą przebywającą na jej terenie, szukającą schronienia lub sposobu na opuszczenie Afganistanu osobę przypadało dziesięć kolejnych domagających się wpuszczenia przez bramę. Mogłem sobie tylko wyobrażać, co musiało się dziać w tymczasowej placówce ustanowionej na terenie kabulskiego lotniska.

Siedzieliśmy na stercie beczek z prochem, patrząc z góry na palący się lont. Katastrofa nadchodziła wielkimi krokami. Nikt już nie pytał, czy do niej dojdzie, tylko kiedy to się stanie.

– Herat – powiedział major Webb, wskazując na fotografię wywiadowczą jednej z utraconych prowincji wyświetlaną na ścianie salki konferencyjnej w podziemiach ambasady.

Na odprawie operacyjnej, którą wyznaczono w samo południe, zjawił się cały nasz oddział z wyjątkiem Grahama, który zgodnie z moimi rozkazami miał oko na Izzy. Gdy Webb kliknął, projektor

rzucił na ścianę podobne zdjęcie, tyle że wykonane w innej części kraju.

– Lashkar Gah, a to, jak wiecie, oznacza, że całe terytorium prowincji Helmand dostało się w ręce talibów – mówił dalej dowódca.

Zacisnąłem szczękę.

I tak już napięta atmosfera unosząca się nad stołem, przy którym siedzieliśmy, została jeszcze bardziej rozgrzana, ale nikt się nie odezwał. Spędziliśmy w tym kraju wystarczająco dużo czasu, żeby cały czas mieć świadomość, że wstępne szacunki dotyczące czasu utrzymania przez afgańskie władze kontroli nad państwem były zbyt optymistyczne. Ale na widok tego, jak wszystko się pierdoli, i to na naszej warcie, po prostu brakło słów.

– Do listy możemy też dopisać Kandahar – ciągnął Webb, znowu klikając pilotem. Inne miejsce, te same sceny. Dwa z trzech największych afgańskich miast kontrolowali talibowie.

Komandosi na lotnisku...

– Oddział zero trzy? – zapytał Parker, wygłaszając na głos moje własne myśli, nachylony nad blatem naprzeciwko mnie. Gdyby nie delikatne drgnięcie czarnych wąsów, nic nie zdradzałoby jego poruszenia.

– Na razie utrzymują lotnisko – odpowiedział Webb. – Ale nie wygląda to za dobrze. Są odcięci, ewakuacja tylko drogą powietrzną. Kończą im się jedzenie i amunicja.

– Krótko mówiąc, mają przejebane – ocenił Black. – Przejebane po całości.

– Afgańskie siły specjalne nad czymś pracują – dodał major. – Jeśli zmienią się rozkazy, dam wam znać.

Co znaczyło tyle, że chuja będziemy mogli z tym zrobić. Jeszcze mocniej zacisnąłem szczękę. Nie mogli się stamtąd ruszyć, z każdej strony byli otoczeni i zaczynali przymierać głodem.

– Idziemy dalej... – Webb wyświetlił następny slajd, na którym widniała mapa pokazująca, jak wiele prowincji zostało już zajętych. Wszelkie uczucia, jakie wywołała we mnie informacja o fatalnej sytuacji w Kandaharze, wyrzuciłem z głowy, bo nie tam było ich miejsce. Każda prowincja, nad którą kontrolę przejęli talibowie, zaznaczona była na czerwono. Mapa dosłownie waliła czerwienią po oczach.

– Sporo czerwonego między nami a pewną fotoreporterką – mruknął siedzący za mną Torres.

Jakby trzeba mi było o tym przypominać...

– W nocy wysłano nam trzy tysiące żołnierzy do pomocy, natomiast wszystkim cywilom, afgańskim sojusznikom i dyplomatom polecono się ewakuować. – Major zerknął w moją stronę, a ja skinąłem, doskonale wiedząc, o co mu chodzi. – Z naszych informacji wynika, że jeszcze dzisiaj rząd klepnie wysłanie tu tysiąca rekrutów z osiemdziesiątej drugiej powietrznodesantowej. Naszym głównym zadaniem jest zabezpieczenie lotniska.

Na ścianie pojawiło się kolejne zdjęcie. Przedstawiało tłumy ludzi gromadzące się przed lotniskiem. Oj, tak, lont spalał się coraz szybciej.

– W ciągu ostatnich dwóch dni odprawiliśmy czterdzieści sześć samolotów, ale jak widać, popyt jest większy niż podaż – mówił dalej Webb.

– Ja pierdolę, ale Sajgon – wymamrotał pod nosem Elston, gładząc ręką brodę.

Sięgnąłem po butelkę z wodą i napiłem się z niej, próbując nie dopuścić do tego, by niepokój zacisnął mi gardło. Izzy musiała się stąd wydostać. Gdy tylko znajdzie się w samolocie, będę mógł skupić się na tym, co było do zrobienia.

– Rzecz ostatnia, ale równie istotna. – Webb przerzucił slajd, tym razem wyświetlając widok z lotu ptaka na Kabul. Fotografia, którą wykonano za pomocą drona, pokazywała zatłoczone drogi wjazdowe do miasta, wraz z zaznaczonymi posterunkami kontrolnymi przejętymi przez talibów na obrzeżach niedużej prowincji obejmującej stolicę. – Wróg zbliża się do bram. Chyba można uznać, że prezydent Ghani nie sprawuje już kontroli nad krajem.

Czekał nas taki sam los, jaki spotkał Kandahar.

Krześla zatrzeszczały pod naporem wiercących się na nich ciał.

– Mazar-i-Szarif? – zapytałem.

– Trzymają się – odparł Webb. – Ale trudno powiedzieć, jak długo jeszcze.

A więc podobnie jak ze wszystkim.

– Skoro większość członków delegacji senatorskich została ewakuowana, mamy nowe obowiązki – oznajmił major, rozdając nam

dokumenty z rozkazami.

Nasz oddział podzielono na czteroosobowe drużyny, co nie było niczym zaskakującym. Jednym przydzielono ewakuację ważnych osób, innym powierzono najróżniejsze zadania.

Odprawa dobiegła końca i wszyscy się podnieśli.

– Green – odezwał się do mnie Webb, gdy dosuwałem swoje krzesło do stołu. Skinąłem mu głową i czekałem, podczas gdy reszta kolejno wychodziła z pomieszczenia. Podjął temat dopiero po tym, jak ostatnia osoba zamknęła za sobą drzwi. – Co do panny Astor...

– Odstawię ją na najbliższy samolot – zapewniłem.

– Senatorka Lauren otrzymała od panny Astor wniosek, w którym ta prosi o możliwość pozostania na miejscu i wspierania działań ambasadora – wyłożył major, unosząc jedną brew.

– Zabiję ją. – Potarłem palcem nasadę nosa.

– Senatorka Lauren uznała tę propozycję za... szlachetną... i wyraziła zgodę, o ile panna Astor zostanie stąd bezpiecznie ewakuowana, gdy nadejdzie właściwa pora. A chyba obaj się zgodzimy, że ta pora nadchodzi szybciej, niż byśmy chcieli. Aha, jeszcze jedno. Poproszono nas, żebyśmy dopilnowali, by fotograf strzelił parę fotek asystentce senatorki, jak pracuje w pocie czoła, skoro nie skorzystaliśmy z doskonałej okazji poprawy wizerunku naszych władz przy okazji ewakuowania drużyny szachistek.

– Racja – mruknąłem. Jebani politycy ze swoim pierdolonym PR-em.

Webb zamknął klapę laptopa, a obraz z projektora zamienił się w jednolite niebieskie tło.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć w odniesieniu do tego, że twoja podopieczna ma ochotę zostać dłużej w kraju, który ewidentnie ulega dezintegracji?

– Jej siostra jest fotoreporterką i działa w Mazar-i-Szarif – wyznałem i podrapałem się po czterodniowym zaroście pokrywającym moją twarz. – Panna Astor nie zechce stąd wyjechać, dopóki jej siostra, również panna Astor, nie zrobi tego samego. Kłopot w tym, że nieustępliwość jest najwyraźniej cechą wrodzoną w tej rodzinie, a wiza tłumacza współpracującego z Sereną nie została jeszcze zatwierdzona.

– Hmm... – Dowódca zmrużył oczy, co, jak wiedziałem z doświadczenia, oznaczało, że przetwarza otrzymane informacje i kalkuluje, jak bardzo wpływają na powierzoną nam misję. – Nie jestem w nastroju do użerania się z wkurzoną senatorką ani nie mam zamiaru podrzucać talibom nowego materiału na YouTube'a.

– Ja też nie. – Nie było opcji, żeby Serenę spotkało coś takiego. Webb potaknął.

– Zatrzymaj swój dotychczasowy zespół. Miło będzie, jeśli uda się wydostać stąd obie siostry, szczególnie biorąc pod uwagę ich eksponowane stanowiska, ale naszym priorytetem pozostaje młodsza z panien Astor.

– Przyjąłem. – Poczuję ucisk w piersi. Zależało mi na Serenie i nie chciałem zostawiać jej na pastwę losu, ale nie zamierzałem też poświęcać dla niej Izzy. Tyle że Izzy w życiu by się na to nie zgodziła.

Zostawiłem Webba w salce i wyszedłem na tonący w półmroku korytarz, gdzie natknąłem się na Torresę. Czekał tuż za drzwiami, oparty plecami o ścianę.

– Jak leci? – zapytał, gdy ruszył razem ze mną.

– Świetnie. A nie widać?

– Widziałem mniej zestresowanych kontrolerów ruchu lotniczego, ale skoro twierdzisz, że jest świetnie... – urwał i wzruszył ramionami.

– Bo jest – burknąłem, wspinając się po schodach do zatłoczonego lobby, a potem na kolejne piętro, kierując się do apartamentu Izzy.

W przeszklonej sali konferencyjnej zajmowanej wcześniej przez jej delegację siedzieli teraz pracownicy ambasady, stojący na rżęsach, żeby przeprowadzić jak najwięcej rozmów weryfikacyjnych z ubiegającymi się o wizę.

Na posterunku pod drzwiami do pokoju Isabeau tkwił Graham, który gdy tylko zobaczył mnie idącego w jego stronę, uniósł wysoko ciemne brwi.

– Może skonsultuj to jeszcze z Webbem, ale moim zdaniem za wejście tam powinieneś dostać dwukrotność dodatku za pracę w niebezpiecznych warunkach – rzucił Graham, zerkając ukradkiem na zamknięty apartament.

– A ja mówię, żeby poszukał pan jeszcze raz! – wykrzyknęła Izzy. Drzwi ledwo tłumity jej głos.

– Słyszysz? Coś mi się zdaje, że naporza tam ostrą amunicją.
– Nie boję się jej – skłamałem, lekko unosząc kącik ust. – Ściągnij tu resztę. Nadal mamy pilnować Astorówny – zakomenderowałem.
– Już się robi – potwierdził i odszedł.

Wzięłem głęboki wdech i wszedłem do apartamentu. Izzy przeciągnęła kabel telefonu stacjonarnego aż do kanapy, na której siedziała. Na stoliku kawowym rozłożyła cały wachlarz dokumentów.

– Mówiłam już, że wniosek został przesłany, więc niech pan szuka dalej – warknęła Izzy, nie zaszczyciwszy mnie choćby krótkim spojrzeniem. – Taj. T-A-J Barech. Złożył papiery w kwietniu.

Taj Barech. Tłumacz Sereny.

Przysiadłem na parapecie, plecami odwrócony do okna, skąd mogłem patrzeć na Izzy i jednocześnie obserwować drzwi wejściowe.

– Tak, zdaję sobie sprawę, że macie osiemnaście tysięcy oczekujących wniosków. – Izzy zacisnęła dłoń na słuchawce, nadal bez pierścionka, aż zbieła jej knykcie. Wolną ręką zebrała włosy i zarzuciła je sobie za ramię, żeby jej nie przeszkadzały.

Malutki fragment nagiej skóry na szyi, który wcześniej zakrywały włosy, od razu przykuł moją uwagę.

Isabeau uwielbiała, gdy całowałem jej szyję.

Co się takiego, do cholery, wydarzyło między nią a Gnojkiem, że facet odleciał stąd bez narzeczonej? A może nie byli już narzeczeństwem? Obiecałem sobie, że nie będę o nic pytał, że nie będę się pchał w nie swoje sprawy, ale to w końcu była Izzy.

– I świetnie to rozumiem – mówiła dalej, bębniąc palcami prawej dłoni o krawędź sofy. – Ale choć trudno jest wam przetwarzać te wnioski w odpowiednim tempie, zapewniam, że w obecnej sytuacji nieskończenie trudniej jest być afgańskim tłumaczem, który otwarcie współpracował z amerykańskim wojskiem, modlącym się, by jego wiza została w porę wydana, tak by zdążył się jeszcze ewakuować.

Jasna cholera, ależ ona pięknie wyglądała, gdy się wściekała. Cieszyłem się jednak, że ten gniew nie był skierowany przeciwko mnie. Jeszcze nie.

– Nie, nie uspokoję się. Nie dzwonię z wygodniejszego biura w Waszyngtonie. Jestem na miejscu, w ambasadzie w Kabulu. –

Izzy odsunęła gwałtownie słuchawkę od ucha, przymknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać.

– Mam cię zmienić? – zaproponowałem. – Z nas dwojga to ja jestem szkolonym zabójcą, zapomniałaś? Choć przyznam, że jestem pełen podziwu, patrząc, jak brutalnie rozprawiasz się z Departamentem Stanu.

Izzy tylko zgromiła mnie wzrokiem i przyłożyła słuchawkę z powrotem do ucha.

– O, jednak się znalazło! Świetnie. Czy mogę wiedzieć, z czego wynika to opóźnienie? Bo trzymam w ręku jego kompletną dokumentację. – Wysłuchała swojego rozmówcy i zrobiła wielkie oczy. – Czego wam brakuje? – zapytała, niedowierzając. Przekartkowała kciukiem akta rozłożone na stole. – Przebieg służby wojskowej mam u siebie. Dwanaście lat tłumaczenia dla różnych oddziałów... – urwała i opadły jej ramiona.

Odepchnąłem się od parapetu i podszedłem do Izzy, zerkając jej przez ramię na papiery Taja.

– List polecający. – Westchnęła i zaczęła jeszcze raz przetrząsać dokumenty. – Tutaj też go nie ma. Jak trudno coś takiego załatwić?

Dość trudno, pomyślałem, i nieprzyjemnie skrzyło mnie w żołądku.

– Lepiej przełącz tę rozmowę na głośnik – zasugerowałem cicho.

– Bo myślisz, że potrafisz...

– Bo potrzebny ci generał albo oficer w stopniu co najmniej kontradmirała – wtrąciłem. – Znasz jakiegoś?

Izzy już nic więcej nie powiedziała. Nacisnęła przycisk trybu głośnomówiącego i położyła słuchawkę na stole.

– ...i dopóki nie dostaniemy tego listu, cała procedura będzie wstrzymana, panno Astor. – Wyniosły ton urzędnika tylko mnie rozsierdził. – A mamy w kolejce tysiące wniosków, które są kompletne. Nawet jeśli dośle pani jego list polecający, przesunięcie go w górę kolejki byłoby nieuczciwe, a biorąc pod uwagę brak wolnych terminów na rozmowy weryfikacyjne...

– Jakoś ogarnę tę cholerną rozmowę – przerwała mu Izzy, coraz bardziej czerwona na policzkach.

– Czy jeśli dostarczę wam list polecający w ciągu następnych kilku godzin, będziecie mogli rozpatrzyć ten wniosek, czy nie? – zapytałem.

– Przepraszam, ale z kim rozmawiam? – chciał wiedzieć mężczyzna.

– Sierżant pierwszej klasy Green – odparłem. – Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych.

Izzy wbiła we mnie zaskoczone spojrzenie.

– Czy będziecie w stanie ruszyć i zamknąć sprawę w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeżeli dostaniecie ten list? – zapytałem jeszcze raz, zakładając ramiona na piersi.

– Niech pan wybaczy, ale sugeruje pan, że uda się wam dostarczyć nam list polecający w czasie krótszym niż doba? – Jego głos ociekał zjadliwością. – Bo ja się tu nie nudzę i nie bardzo mam czas, żeby odkładać czyjeś akta na bok w oczekiwaniu, aż za sprawą czarów zostaną uzupełnione o brakujący list polecający.

– Mogę go dostarczyć w ciągu... – spojrzałem na zegarek i policzyłem w myślach różnicę czasu – dwóch godzin. Możecie przepchnąć wniosek do etapu rozmowy czy nie?

– Jeśli będę miał list. – Facet powiedział to takim tonem, że z całą pewnością przewrócił przy tym oczami. – Dołączę do wniosku notatkę, że spodziewamy się uzupełnienia. Może pan powtórzyć, do jakiego oddziału pan należy?

– Trzydziesta trzecia brygada logistyczna z Bragg.

Izzy niemal opadła szczęka.

– Logistycy, co? – Z głośnika dobiegał stukot klawiatury.

– Wiadomo, jak to z nami jest. Ogarniamy nawet największy szajs.

– Racja. Od kogo mam się spodziewać tego listu?

– Od kogoś siedzącego dużo wyżej od ciebie – odpowiedziałem. – Zapisłaś jego e-mail? – zapytałem Izzy, na co pokiwała głową. – Dobrze, w takim razie załatwione – rzuciłem i nacisnąłem guzik, kończąc rozmowę.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Izzy, gdy zbierałem papiery Barecha i wkładałem je do teczki.

– Rozwiązać jedyny problem, jaki mogę rozwiązać. – Zabrałem dokumenty, podszedłem do drzwi i je otworzyłem. Na korytarzu czekali już Graham, Parker i Elston. – Zanieś to Apexowi – zwróciłem się do tego ostatniego, posługując się znakiem wywoławczym Webba. Wręczyłem rudzielcowi teczkę, po czym

dodałem: – I powiedz mu, że musimy obudzić generała, bo potrzebny jest list polecający.

– Się robi. – Elston wziął ode mnie dokumenty i zaraz zniknął w półmroku korytarza.

– Sierżancie Black. – Przeniosłem wzrok na naszego medyka. – Trzeba ustalić obecny status każdego z posterunków kontrolnych na drodze między Kabulem a Mazar-i-Szarif. Musimy też wiedzieć, gdzie będą gotowi przepuścić amerykańską fotoreporterkę bez dodatkowego... przekonywania.

– Jasne. – Black skinął mi głową i ruszył w ślad za Elstonem.

– Sierżancie Gray, trzeba znaleźć kogoś, kto będzie w stanie dostarczyć Serenie Astor sprawdzony telefon. – Cóż, zawsze warto próbować.

– Zajmę się tym – odparł krótko i dla odmiany poszedł w przeciwnym kierunku niż reszta. Korytarz opustoszał, choć piętro niżej wciąż panował nieopisany chaos.

Nagle czymś zaniepokojony, wróciłem do pokoju Isabeau i zatrasnąłem za sobą drzwi.

– Coś się stało? – zapytała Izzy. Wstała z kanapy i wygładziła wiązaną w pasie bluzkę. Szmaragdowa zieleń dodawała głębi jej oczom, ale zachowałem tę obserwację dla siebie.

– W ciągu ostatnich pięciu minut? – Mijał dziewiąty dzień. Oficjalnie pobiliśmy rekord długości nieprzerwanie spędzonego ze sobą czasu. – Nic.

– I to cię martwi – stwierdziła, po czym przeszła bosą do aneksu kuchennego, wyjęła z lodówki dwie butelki wody i jedną rzuciła w moją stronę. Złapałem ją. Musiałem przyznać, że podobało mi się, że zawsze o mnie pamiętała, nawet kiedy była na mnie wściekła. – Widzę to, bo masz tę swoją zmarszczkę. O, tutaj. – Przyłożyła sobie palec pomiędzy brwiami. – To cię zdradza.

– Nic mnie nie zdradza. A jeżeli nawet tak było, już dawno to ze mnie wytłukli. – Odkręciłem butelkę i wziąłem spory łyk, by oderwać wzrok od widoku pracującego przetyku Izzy, gdy sama piła wodę. Co takiego miała jej szyja, że budziła we mnie zwierzęcy instynkt?

– Hmm... – Postawiła butelkę na blacie szafki kuchennej. – W takim razie chyba znam cię lepiej niż *oni*. Więc o co chodzi? Poza oczywistym.

– Masz na myśli to, że postanowiłaś pomieszkać sobie w Kabulu akurat, gdy wroga armia szykuje się do obalenia rządu? – Odstawiłem swoją butelkę i przeszedłem w głąb apartamentu, żeby nie zrobić przypadkiem czegoś głupiego, jak na przykład posadzenie jej na tym blacie i całowanie jej, dopóki nie przypomni sobie, że kiedyś mnie kochała.

– No tak. Oprócz tego – odrzekła Izzy i przysiadła jednym pośladkiem na podłokietniku sofy.

– Mam takie przeczucie... – zacząłem, ale urwałem, wzruszając ramionami.

– Przeczucia, uczucia... Ależ my dojrzeliliśmy, że wreszcie możemy o nich rozmawiać. – Jej usta rozciągnął złośliwy uśmiešek.

Uwaga ta, ewidentnie prowokująca, uderzyła w czułą strunę.

– O ile dobrze pamiętam, gdy ostatnim razem się widzieliśmy, to ja otwarcie mówiłem o swoich uczuciach.

– A jeśli mnie pamięć nie myli, to właśnie ty prosiłaś mnie, żebyśmy zapomnieli o tym, co było kiedyś między nami, bo oboje mamy tu do wykonania swoją robotę – zripostowała Izzy, po czym wyprostowała nogi i skrzyżowała je w kostkach.

– No tak, tyle że z każdą godziną robi się to coraz trudniejsze – przyznałem, pilnując się, by nie patrzeć, jak materiał spodni opina jej uda i biodra. – A to dopiero cisza przed burzą – powiedziałem, przecinając pokój i zatrzymując się przy oknie wychodzącym na dziedziniec przed ambasadą. Dawny spokój i ład architektoniczny tego miejsca zaburzała wijąca się w nieskończoność kolejka zdesperowanych ludzi, którzy nie zmieścili się już w poczekalni wewnątrz.

Odwróciłem się do Izzy, przygotowując się na czekającą mnie walkę.

– To wszystko niedługo się wypieprzy, Iz. Nie możesz tu zostać.

– Jakoś nie widzę, żebyś ty się pakował – rzuciła swobodnie przez ramię.

– Ja to co innego.

– To akurat prawda – odparła i uciekła wzrokiem.

– Senatorka wyraziła zgodę na przedłużenie twojego pobytu pod warunkiem, że będę w stanie zapewnić ci bezpieczeństwo i zagwarantować twoją sprawną ewakuację. – Zrobiłem parę kroków,

żeby znaleźć się w jej polu widzenia. Spojrzenie, jakim mnie obrzuciła, sprawiło, że pożałowałem, że nie włożyłem kamizelki kuloodpornej. – Iz, sytuacja tylko się pogarsza. Widziałem mapy. Do jutra Kabul będzie jedynym punktem ucieczki z tego kraju.

Isabeau z drżeniem wciągnęła powietrze i wyprostowała ramiona.

– W takim razie dobrze, że już tu jesteśmy, czyż nie? Ale nie wyjeżdżam bez siostry.

Zacisnąłem szczękę.

– Robię wszystko, co mogę, żeby ją stąd wydostać, ale moje rozkazy dotyczą ciebie. Więc kiedy przyjdzie pora, właduję twój tyłek do samolotu bez względu na to, czy będziesz gotowa wyjechać.

– I jak zamierzasz to zrobić, Nate? – Wstała, splatając ręce na piersi. – Przerzucisz mnie sobie przez ramię i zaniesiesz na lotnisko, a ja będę krzyczeć i się wrywać?

Zrobiłem krok do przodu, naruszając jej przestrzeń osobistą. Staliśmy tak blisko siebie, że musiała się nieco odchylić, żeby nadal patrzeć mi w oczy.

– Jeśli będę musiał, jak najbardziej. Nie masz pojęcia, do czego jestem zdolny, by zadbać o twoje bezpieczeństwo.

– Bo takie dostałeś rozkazy – stwierdziła, stawiając mi jawny zarzut.

– Bo robię to, odkąd tylko cię poznałem, Isabeau.

Zaciskałem mocno dłonie, powstrzymując je przed niesubordynacją. Pragnąłem dotknąć Izzy, przyciągnąć ją do siebie i błagać, żeby pozwoliła odwieźć się na najbliższy samolot.

– Jest dla mnie wszystkim, Nate. – Szła w zaparte, nie cofając się nawet o pół kroku, choć powietrze między nami iskrzyło jak zawsze, gdy zbliżaliśmy się do siebie na tak małą odległość. – W oczach rodziców jestem trofeum na pokaz, dla ciebie tylko wspomnieniem, a... – Nie dokończyła, tylko potarła pusty od niedawna palec u swojej lewej dłoni. – Serena to jedyna osoba na całym świecie, która zawsze przy mnie była, która nigdy mnie nie opuściła, i prędzej sama zginę, niż zostawię ją tu na pewną śmierć. Jeśli wyjadę, nie zostanie tu nikt, komu będzie na niej zależało. A oboje dobrze wiemy, co się z nią wtedy stanie.

– Wolisz zginąć razem z nią? Bo to całkiem prawdopodobne. Trzeba będzie ją przedostać przez ponad sześćset kilometrów

wrogiego terytorium. O ile w ogóle zgodzi się uciekać. Poza tym wszystko, co lata, jest teraz w ciągłym ruchu. Nie mogę tak po prostu wysłać po nią śmigła. Nie mogę zamówić jej ubera. Nie możemy dłużej czekać. Ty nie możesz dłużej czekać.

Dolna warga Izzy zadrżała, a ja przekląłem pod nosem.

– Zasluguję na jeszcze jeden dzień – odezwała się po chwili milczenia.

– Jeden dzień? – powtórzyłem.

– Za te wszystkie lata, kiedy na ciebie czekałam, chyba możesz dać mi chociaż jeden pieprzony dzień, żebym spróbowała przekonać ją do wyjazdu. Dwadzieścia cztery godziny.

Wyprostowałem się i cofnąłem o krok, czując się, jakby uderzyła mnie w twarz.

– Przepraszam – dodała szybko Izzy, otwierając szeroko oczy i zakrywając usta dłonią. – Nate, przepraszam. Nie powinnam była tak mówić.

– Czy jeśli Serena nie zjawi się tu w ciągu doby, przestanieś być wrzodem na dupie i wyklócać się ze mną w kwestii wylotu z Afganistanu? – zapytałem, ignorując przeprosiny.

– A czy twój oddział wyleci stąd ze mną? – Jej błagalne spojrzenie, tak dobrze mi znane, sprawiło, że doświadczyłem déjà vu.

– Wiesz, że nie mogę.

I proszę bardzo. Na twarzy Isabeau zarysowały się smutek i rozczarowanie. Prędzej czy później zawsze doprowadzałem ją do tego stanu.

– Zostaniesz tu, mimo że za chwilę wszystko to szlag trafi... – powiedziała cicho.

– Ostrożnie, Iz. Mówisz to tak, jakby obchodziło cię, co się ze mną stanie.

Odsunąłem się jeszcze kawałek, ale Izzy zrobiła krok do przodu.

– Od zawsze obchodzi mnie, co się z tobą dzieje!

Z wyjątkiem chwil, kiedy wcale tak nie było.

– Więc chyba musisz sobie wreszcie odpuścić – skwitowałem, zmuszając się, by wrzucić ramionami. – Gdyby nie było mnie tutaj, siedziałbym w Iraku albo jeszcze gdzieś indziej, o czym nawet byś nie wiedziała. Słyszałem, co mówiła Serena. Że zatrudniłaś się u Lauren, bo chciała przepchnąć ustawę mającą zakończyć wojnę. –

W jednej chwili moje serce urosło i pękło. – I choć nie jestem na tyle zadufany w sobie, żeby sądzić, że miało to jakikolwiek związek ze mną, to na wypadek, gdyby jednak tak było, gdybyś nadal marnowała swoje życie, uganiając się za mną, to musisz wreszcie przestać, Izzy. Nawet ty nie jesteś w stanie zakończyć wszystkich wojen. Zawsze będą potrzebni tacy kolesie jak ja. Goście, którzy robią to, co robią, żebyś mogła spać spokojnie we własnym łóżku.

Nawet jeżeli miałyby spać obok faceta, który nie zasługiwałby choćby na jeden włos z jej głowy.

– Zasługujesz na własne życie – stwierdziła Izzy. Założyła sobie kosmyk włosów za ucho i spojrzała na mnie, jakby ostatecznie trzy lata nigdy się nie wydarzyły. Jakbyśmy nadal walczyli o każdy weekend, o każdą szansę, żeby się zobaczyć, usilnie twierdząc, że nie jesteśmy parą, choć oboje doskonale wiemy, że jest zupełnie na odwrót.

– Mam życie. – Takie, którego częścią nie chciała być.

– Prawdziwe życie, Nate. – Podeszła jeszcze bliżej, uniosła dłoń i położyła ją delikatnie tuż nad moim sercem. – Dom. Przyszłość u boku... – przygryzła dolną wargę i westchnęła – u boku kogoś, kogo wybierzesz.

W murach obronnych, które wokół siebie wzniosłem, pojawiło się pęknięcie. Niewielka wyrwa wystarczyła, żeby bolesne uczucia wydostały się na zewnątrz, topiąc złożone samemu sobie obietnice, by trzymać się na dystans i nie otwierać gęby, jeśli chodziło o jej życie miłosne.

– I to właśnie masz z Covingtonem? Wspólną przyszłość? Dom? Bo jakoś nie widzę w tym żadnego powabu.

To by było na tyle w kwestii zachowania profesjonalizmu.

– Powab? – Zabrała gwałtownie dłoń z mojej piersi. – On po prostu był tam, gdzie ja.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

IZZY

Nowy Jork Październik 2018

Był taki aspekt mieszkania w Nowym Jorku, o którym nikt ze znajomych nie raczył mnie wcześniej uprzedzić. Nie spodziewałam się, że pensja współpracowniczki kancelarii prawnej nie starczy na wynajęcie na Manhattanie czegokolwiek większego od pudełka po butach. A może wszyscy zakładali po prostu, że zawsze będę żyć za pieniądze mamy i taty.

Inaczej sytuacja wyglądała w Brooklynie. Tutaj starczało mi na niedużą kawalerkę z osobną sypialnią. Znajdowała się na trzecim piętrze pozbawionego windy budynku w dzielnicy Dumbo i miałam w niej nawet własną garderobę. Największą zaletą tego lokum był jednak słodki zapach wolności. Odcięłam się od oczekiwań rodziców i ich ciągłego przekonywania, że moje prawnicze wykształcenie przyniosłoby większy pożytek, gdybym wykorzystywała je do rozkręcania rodzinnego biznesu.

– Jeśli stanie się na kanapie, widać stąd rzekę! – Serena podzieliła się swoim odkryciem, chwiejąc się na podłokietniku sofy. Gościła u mnie dopiero od godziny, a już wdrapywała się po ścianach. Moja siostra nigdy nie potrafiła usiedzieć w miejscu.

– Uważałabym na twoim miejscu. To nie jest najsolidniejszy mebel – ostrzegłam ją.

Rzuciłam marynarkę na krzesło przy stole i wróciłam do rozpakowywania zakupów, które zostały przed chwilą dostarczone.

– Chcesz powiedzieć, że skręcałaś ją nożem do masła? – zapytała, zeskakując z sofy na podłogę wyłożoną drewnianymi panelami.

– Pudło. – Uniosłam lekko kącik ust. – Nate ją poskładał, kiedy odwiedził mnie jakieś... – Musiałam policzyć w myślach, ile to już czasu. – Osiem miesięcy temu.

– Nie wierzysz w jego zdolności techniczne? – Serena wcisnęła się między mnie a przeciwległy blat kuchni w kształcie litery U, wzięła do ręki śmietankę do kawy i wstawiła ją do lodówki.

– Wierzę. Ale widziałam też, jak ta kanapa wyglądała w częściach po wyjęciu z kartonu. – Wspięłam się na palce bosych stóp, żeby ustawić pudełka z suchą żywnością na najwyższej półce.

– Osiem miesięcy to szmat czasu – zauważyła Serena, opierając się tyłkiem o blat. – Od tamtego razu się nie widzieliście?

– Nie. – W piersi poczułam ucisk, jakby ktoś umieścił mnie w imadle i zaczął je dokręcać. – Rzadko bywa w domu, tak przynajmniej pisze w esemesach i listach. – Odłożyłam warzywa i owoce na ich miejsce. – Jeśli nie jest akurat na jakimś szkoleniu albo kursie, to... – urwałam i wzruszyłam ramionami, bo nie miałam pojęcia, gdzie się wtedy podziewał Nate.

– To normalne w siłach specjalnych czy czymkolwiek się tam teraz zajmuje?

– A skąd mam to wiedzieć? – Podałam siostrze opakowanie kawy. – Na półkę za tobą – poinstruowałam ją. Tak naprawdę to przez ostatnich siedem miesięcy prawie nie miałam z nim kontaktu, a gdy już się do mnie odzywał, pisał krótko i ogólnikowo.

Serena wykonała brawurową akrobację, odkładając kawę na półkę bez odrywania się od blatu.

– Ale chyba kontaktował się z tobą?

– No tak. – Właśnie skończyłam rozpakowywanie zakupów i też oparłam się o szafkę. – To znaczy od miesiąca nie, ale zapowiadał, że będzie zajęty. – Miał przystąpić do jakiegoś testu, tyle że nie wdawał się w szczegóły, a to znaczyło, że nie wolno mi było o tym nikomu wspominać.

– Zajęty? – Serena uniosła wysoko brew, akurat gdy Tybee, mój sześciomiesięczny kot rasy maine coon, wskoczył na kuchenny blat.

– Zapomniałeś, że nie wolno ci tu wchodzić? – zapytałam kocura, podrapałam go pod pyszczkiem i odstawiłam z powrotem na podłogę. Nie spodziewałam się jednak, że mnie posłucha. Tybee zdążył mi już pokazać, że koty robią, co im się żywnie podoba. Zazdrościłam im tego, że miały wszystko w dupie. Westchnęłam i wzruszyłam ramionami. – Napisał do mnie, że przez cały miesiąc będzie poza zasięgiem i że spotkamy się na lotnisku O’Hare.

Serena zamrugnęła, ewidentnie zaskoczona.

– A więc tak po prostu lecisz jutro na Palau, mając nadzieję, że spotkacie się podczas przesiadki w Chicago?

– Ostatnim razem nam się udało – skwitowałam i ponownie wzruszyłam ramionami. Ani trochę się nie martwiłam. Nate był jedną z niewielu osób w moim życiu, które zawsze robiły to, co powiedziały, że robią. – Wiesz, jak jest z Nate’em. Brak wiadomości to dobra wiadomość. Gdyby coś miało pójść nie tak, dałby mi znać. Kiedy był u mnie w walentynki, zaplanowaliśmy wyjazdy na kolejne cztery lata. Nie dało się kupić biletów ani zarezerwować hoteli z takim wyprzedzeniem, więc Nate zatrudnił biuro podróży i wyłożył taką kupę forsy, że nawet nie chcę o tym myśleć, żeby wszystko za niego pozałatwiali, kiedy tylko pojawi się taka możliwość. – Całe to planowanie było naprawdę romantyczne, wręcz oszałamiająco słodkie, a zarazem pokazało mi, że Nate zamierzał utrzymać nasz dotychczasowy układ przez co najmniej cztery kolejne lata. Chcąc mnie pocieszyć, zapewniał, że żony jego kolegów z oddziału równie rzadko ich widują. A ja nie byłam nawet jego dziewczyną, dodałam sobie wtedy w myślach. – Zresztą tak będzie łatwiej zmienić termin, gdyby kolidował z wyjazdem na misję, a jak twierdzi Nate, z całą pewnością tak będzie. Muszę tylko trzymać kciuki i modlić się, żebym dostała urlop akurat wtedy, kiedy Nate będzie miał przepustkę.

– I nie przeszkadza ci, że nie wiesz, gdzie on się przez większość czasu podziewa ani co robi? – zapytała Serena, mrużąc oczy.

– Oczywiście, że przeszkadza. – Uniosłam ramiona, by po chwili pozwolić im opaść. – Ale w zasadzie nie mam prawa tego wiedzieć.

– A co, jeśli coś... – przez moment szukała odpowiednich słów – jeśli coś mu się stanie?

– Mam nadzieję, że ktoś, któryś z jego przyjaciół, by mnie o tym powiadomił.

Serena przechyliła głowę, dokładnie mi się przyglądając.

– Mógłby mieć w tej Karolinie Północnej żonę i dzieci, a ty byś o tym nie wiedziała. – Nim zdążyłam jakkolwiek zareagować na jej słowa, siostra wskazała na mnie palcem i dodała: – I nawet nie próbuj znowu wzruszać ramionami.

Niech jej będzie. Ani drgnęłam.

– Nie ma – zaoponowałam. – Może nie mam pojęcia, dokąd go wysyłają, ale zawsze jest ze mną szczerzy, jeśli się z kimś spotyka. Zresztą ja też tego przed nim nie ukrywam.

– A ile minęło już czasu, odkąd umawiałaś się z jakimś facetem?

– Dwa miesiące – odparłam. Hugh był jedną wielką pomyłką. Nieudaną próbą wypełnienia pustki, chęcią przekonania się, czy potrafię żyć bez Nate'a. Odepchnęłam się od blatu i przeszłam z kuchni do jadalni połączonej z salonem. – Swoją drogą, myślałam, że jesteś tu na tygodniowym urlopie. Więc może przestań mnie maglować, jakbym miała być bohaterką twojego nowego artykułu.

– Wcale cię nie magluję! – Serena zeskoczyła z szafki i poszła za mną do sypialni. – Po prostu się o ciebie martwię.

A zatem było nas już dwie, tyle że nie mogłam się przed nią do tego przyznać. Weszłam do garderoby i zdjęłam z siebie resztę garnituru, zastępując go luźnymi spodniami od piżamy i bluzą z kapturem, którą dostałam od Nate'a na święta. Miała na sobie logo reprezentujące jego oddział.

– Dzięki, że wzięłaś wolne na cały tydzień, żeby zająć się Tybeem – powiedziałam, ściągając sznurek w pasie.

– Żaden problem. I tak nie miałam nic lepszego do roboty.

Gdy wyszłam z garderoby, zastałam siostrę rozwaloną na całe łóżko, wpatrzoną w sufit.

– Bez przesady, Serena. Przecież wiem, jak ciężko zasuwasz w nowej redakcji.

– Najwyraźniej niewystarczająco ciężko – rzuciła i westchnęła.

Położyłam się obok niej.

– Mów.

– Nie dostałam roboty, na której mi zależało. Zamiast mnie wysyłają fotoreportera z większym doświadczeniem – obniżyła głos, naśladowując mowę swojego szefa. – Ale to nic. Mogę przecież nadal relacjonować wydarzenia z Kapitolu i czekać, aż przyjdzie pora na mnie.

– Przykro mi – odparłam, wbijając wzrok w łopatki zawieszzonego nad nami wentylatora sufitowego, żeby Serena nie mogła dostrzec w moich oczach kłamstwa. Afganistan trzymał już w swoich zabójczych kleszczach mężczyznę, którego kochałam, i niespecjalnie mi się uśmiechało patrzeć, jak dodatkowo sięga mackami po moją siostrę. – Wiem, że ci zależało.

– Chcę po prostu pisać o istotnych sprawach. – Splotła dłonie na piersi.

– Afganistan nie jest jedynym miejscem, gdzie możesz to robić – odezwałam się cicho. – Jestem pewna, że w Kapitolu też ma miejsce wiele istotnych wydarzeń. To w końcu siedziba naszego rządu. – Choć wiedziałam, że Serena nie to chciała usłyszeć, nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Zdziwiłabyś się, jak bardzo się tam nic *nie dzieje*. – Odwróciła do mnie głowę. – Ustawa senatorki Lauren znowu trafiła do kosza. Nie wyszła nawet poza komisję.

Zmarszczyłam brew.

– Przypomnij mi, czego miała dotyczyć?

– Ustalenia daty wycofania naszych wojsk z Afganistanu.

– Aha... – Uniosłam dłoń i przykryłam nią serce, jakbym mogła w ten sposób ukoić jego ból. – Wielka szkoda.

– A skoro już mowa o szkodzie... – Serena położyła się na boku, podpierając ręką głowę. – Jak mama i tata przełknęli twoją decyzję o wyborze prawa korporacyjnego?

– Przepraszam bardzo! – zaprotestowałam i przewróciłam oczami.

– Co najmniej połowę każdego dnia poświęcam na ogarnianie umów dla non-profitów...

– Tych, które zakładają najbogatsze firmy w Nowym Jorku w celach podatkowych? – Zaśmiała się, a gdy zgromiłam ją wzrokiem, zagryzła usta. – Okej, dobra.

– To tylko na kilka lat. Dopóki nie spłacę rodziców za studia prawnicze.

– I robisz to, bo masz wyrzuty sumienia, że dorastałaś w zamożnej rodzinie? – droczyła się Serena, wymownie unosząc brwi.

– Robię to, bo nie zniosę ciągłego wypominania mi, że marnuję swoje wykształcenie, nie broniąc interesów rodziny – odpowiedziałam szczerze.

– Wiesz, Isa – zaczęła siostra, wcielając się w naszego ojca, czym od razu mnie rozbawiła. – Mogłabyś zrobić dla naszej rodziny tyle dobrego, gdybyś tylko poświęciła całe swoje życie na szukanie legalnych sposobów obniżania naszych podatków.

– Coś w tym stylu – śmiałam się. – Po prostu dłużej tego nie wytrzymam.

– Rozumiem cię. Odkąd się wyprowadziłaś, ledwo starcza mi na czynsz za mieszkanie w Waszyngtonie, ale nie mam zamiaru iść do nich po kasę. – Pokręciła mi palcem przed nosem. – Zawsze możesz wrócić do stolicy. Dla mnie. Zapomnij o gadaniu rodziców. W Waszyngtonie jest cała masa kancelarii. Nie musisz iść w politykę. W twoim pokoju jest tak pusto...

Parsknęłam.

– To skombinuj sobie jakiegoś współlokatora.

– Niegłupi pomysł. – Zapuściła nade mną żurawia i zerknęła na drugą stronę łóżka. – Jak sądzisz, czy to możliwe, żeby tamto zdjęcie na stoliku nocnym miało jakiś wpływ na to, że twoje kolejne związki nie wypalają?

Nie musiałam się nawet odwracać. Wiedziałam, że chodzi o fotografię z Fidżi, na której Nate całuje mnie w policzek.

– Wydaje mi się, że wynika to raczej z faktu, że trzymam go nie tylko na stoliku przy łóżku.

Siostra powoli przeniosła wzrok z powrotem na mnie.

– Wiem, że to, co was łączy, jest... trudne do zdefiniowania, ale jak długo tak można, Izzy? Ty tutaj, a on... wszędzie, tylko nie tu.

W gardle zaklinował mi się sporej wielkości głaz.

– Nate ma ku temu powody. – Tamta noc na Fidżi przestraszyła go bardziej niż mnie, ale wciąż za mało, żeby zdecydował się z kimś o tym porozmawiać. – I nie ma znaczenia, że się z nimi nie zgadzam. Nie pozwoli mi wybierać między sobą a moją karierą. Ja też nie mogę go zmusić do wybierania między mną a dalszą służbą w armii. Ale nie potrafię puścić go wolno, Serena.

– Wiem – odparła, przeczesując moje włosy. – Ale boli mnie, gdy patrzę, jak idziesz przez życie, jakbyś po raz pierwszy wsiadła do auta bez automatycznej skrzyni. Szarpnięcie do przodu, zdławienie silnika, ponowne odpalenie i od nowa. I tak w kółko.

– Kocham go. – Nie umiałam inaczej uzasadnić swojego postępowania.

– Tak. – Uśmiechnęła się do mnie smutno. – Ale czy on czuje do ciebie to samo?

Głaz z gardła opadł ciężko na dno żołądka. Nie dało się go ruszyć, przyprawiał mnie o mdłości.

– Nie wiem. Ale nie wrócę z Palau, dopóki nie poznam odpowiedzi. Nie będę dłużej tą, która ma najwięcej do stracenia.

Nate mnie nie zawiedzie. Tak podpowiadała mi dusza. Musiałam mu tylko wyraźnie dać do zrozumienia, że nasza szansa nadeszła właśnie *teraz*.

* * *

Następnego dnia czekałam na chicagowskim lotnisku O'Hare. Z głośników właśnie rozległ się komunikat wzywający pasażerów mojego lotu do wsiadania na pokład. Mój żołądek zaplątywał się w coraz ciaśniejszy supeł. Czy Nate czuł się tak samo, gdy mój samolot miał opóźnienie przed naszym wylotem na Fidżi?

Poprawiłam torbę na ramieniu, bo nagłe poczucie winy pociągnęło je w dół. Powinnam była wtedy znaleźć chwilę, żeby wysłać mu choć jakąkolwiek wiadomość i ukrócić jego cierpienia.

Widocznie los się teraz na mnie mścił.

Ustawiając się w kolejce do bramki, rozejrzałam się wokół w nadziei, że jedna głowa będzie wystawać ponad resztę moich współpodróżnych, a krystalicznie błękitne oczy Nate'a będą już spoglądać w moją stronę. Nadal jednak nigdzie go nie było.

Ale się zjawi. Nate ani razu mnie nie zawiódł. Owszem, zdarzało mu się odwoływać nasze plany, bo czekało go „czyszczenie basenu”, jak zwykł mówić, gdy przez telefon przekazywał mi, że wylatuje na misję. Zawsze jednak dzwonił.

Sprawdziłam telefon. Nic. Przesuwając się do przodu w kolejce, otworzyłam aplikację z kartą pokładową. Kobieta za biurkiem

poinformowała wszystkich, że bilety na nasz lot zostały wyprzedane. Zeskanowałam bilet i ruszyłam do samolotu.

Kręcąc głową z niedowierzania, że Nate wykosztował się na pierwszą klasę, zajęłam swoje miejsce, a torbę postawiłam sobie między nogami. Zapakowałam do niej cztery nowe powieści, oczywiście z pozaznaczanymi dla Nate'a fragmentami, i nie chciałam sięgać po nią do schowka, gdy już się pojawi i będzie mógł wybrać lekturę na czas lotu.

– Czy mogę coś pani podać, zanim wystartujemy? – zapytał mnie steward z grzecznym uśmiechem.

– Nie, dziękuję. Nie wie pan, czy wszyscy pasażerowie lecący w pierwszej klasie przeszli odprawę? Nie widziałam nigdzie mojego towarzysza podróży.

– Przykro mi, nie wiem. – Mężczyzna zerknął na niezajęty fotel. – Ale proszę się nie martwić. Mamy jeszcze prawie czterdzieści minut do zamknięcia drzwi. W tak dużym samolocie trochę trwa, zanim wszyscy znajdą się na swoich miejscach.

– Dziękuję. – Steward podszedł do następnego rzędu, a ja opadłam na siedzenie, dając sobie mentalnego kopniaka w tyłek za to, przez co kazałam Nate'owi przechodzić w drodze na Fidżi. Wyciągnęłam z torebki komórkę i wystukałam na niej wiadomość.

Izzy: Miejsce obok mnie jest okropnie puste.

Wysłałam ją i przez chwilę wpatrywałam się w ekran, czekając, aż pojawią się na nim trzy kropeczki oznaczające, że Nate pisze coś w odpowiedzi. Ale kropeczek nie było. W apce linii lotniczych sprawdziłam więc numer lotu, którym Nate miał się tu dostać.

Jego samolot wylądował zaledwie pięć minut wcześniej.

To by wszystko wyjaśniało. Najpewniej pędził teraz biegiem z bramki na drugim końcu lotniska i nie zdążył wyłączyć w telefonie trybu samolotowego. Lepiej, żeby tu zasuwał. Już na samą myśl, że za parę minut go zobaczę, moje serce mocniej zabiło, a puls przyspieszył.

Tyle że mijały kolejne minuty, a Nate'a nadal nie było.

Steward spojrział na mnie ze współczuciem, gdy przed startem zaproponował mi pomoc w umieszczeniu bagażu podręcznego

w schowku.

Zapięłam pas, a potem wychyliłam się ze swojego rzędu, bezwstydnie zaglądając ponad ściankami oddzielającymi fotele pozostałych pasażerów, by móc obserwować drzwi, którymi weszłam na pokład. Kiedy podszedł do nich steward, niemal wykręciło mi żołądek na lewą stronę. Zaczęłam w popłochu wybierać numer Nate'a, mało co nie zrzucając telefonu na podłogę.

Ani jednego sygnału. Od razu zostałam przekierowana na pocztę głosową, a to znaczyło, że jego komórka musiała być wyłączona. Nie mając innego wyjścia, nagrałam się na pocztę.

– Nate, chyba będą już zamykać drzwi. Naprawdę się martwię. Wygląda na to, że twój lot miał opóźnienie, a ja nie wiem, czy pozwolą mi jeszcze wylądować, więc pewnie spotkamy się podczas następnej przesiadki na Hawajach. Nie mogę się doczekać, aż cię zobaczę.

Nate przegapił nasz lot.

Następny zresztą też.

* * *

Dzień później, wyczerpana podróżą, zameldowałam się w ośrodku wypoczynkowym na Palau.

– Isabeau Astor, ale rezerwacja mogła być złożona na...

– Już panią znalazłem – oznajmił recepcjonista z uśmiechem, na który z braku sił nie udało mi się szczerze odpowiedzieć. – Zaprowadzimy panią do państwa domku.

– Może mi pan powiedzieć, czy przyjechał już Nathaniel Phelan?

– Jest pani pierwsza.

Skinęłam głową w podziękowaniu i ruszyłam za bagażowym. Kroczyłam jak maszyna, a z każdym pokonanym metrem robiło mi się coraz ciężiej na sercu.

– To tutaj. – Bagażowy otworzył drzwi domku i wstawił do środka moją walizkę. – Czy mogę pani w czymś jeszcze pomóc?

Co najwyżej powiedzieć mi, gdzie, do cholery, podziewał się Nate.

– Nie, dziękuję – odparłam i wręczyłam młodemu mężczyźnie napiwek.

Zostałam sama, za towarzystwo mając jedynie potworny jet lag i narastający niepokój. Usiadłam na ogromnym łóżku, które miałam dzielić z Nate'em, i wyciągnęłam telefon, od razu przeklinając siebie za to, że nie wykupiłam roamingu. Nie chciałam, by ktokolwiek nam tu przeszkadzał.

Na szczęście mogłam połączyć się z siecią wi-fi. Sprawdziłam pocztę, następnie konta w mediach społecznościowych, ale nigdzie nie było żadnych wieści od Nate'a.

Zajrzałam jeszcze na jego socjale. Ostatni post pochodził sprzed pięciu tygodni, kiedy razem z Torresem i Rowellem wybrali się na ryby. Obaj kumple mieli imiona zaczynające się na tę samą literę i nie potrafiłam zapamiętać, który z nich był Julianem, a który Justinem. Tym bardziej że Nate zwykle mówił o nich, posługując się ich nazwiskami. Nie było mi dane poznać ani faceta ze śmiejącymi się brązowymi oczami, ani wysokiego blondyna z tajemniczym uśmiechem, a ich socjale były widoczne tylko dla znajomych. Tak samo zresztą jak konto Nate'a. Obaj dołączyli z Nate'em do sił specjalnych, ale czwarty przyjaciel, o którym kiedyś wspominał, nie pojawiał się już na wspólnych fotografiach. Pamiętałam, że Nate zadzwonił do mnie po tym wędkowaniu. A potem znowu przepadł.

Rozejrzałam się po sporym bungalowie. Nate musiał niemało za to zapłacić. Nie było opcji, że tu nie dotrze. Zawsze się zjawiał. Zawsze.

Mimo wszystko wciąż trawiły mnie wątpliwości. W ciągu minionych ośmiu miesięcy nie rozmawialiśmy ze sobą tak często jak dawniej. Byłam pochłonięta pracą – jako świeży narybek w firmie musiałam wypracować odpowiednią liczbę godzin. Nate z kolei był nie wiadomo gdzie i robił nie wiadomo co.

Położyłam się na łóżku i rozpoczęłam nierówną walkę ze zmęczeniem. Co chwila szybko mrugałam oczami, obawiając się, że przegapię moment, w którym Nate wpadnie do środka i przywrze do moich ust.

Gdy się obudziłam, na zewnątrz wciąż było jasno, ale słońce świeciło z przeciwnej strony. Zgramoliłam się z łóżka, zeszywniała po drzemce w ubraniach. Drzemce, która najwyraźniej trwała prawie jednaście godzin.

– Nate? – zawołałam, w pierwszej kolejności zaglądając do łazienki.

Jeśli przyjechał, kiedy spałam, z pewnością by mnie nie obudził. Pod tym względem był irytująco wręcz altruistyczny.

W łazience było pusto, więc odblokowałam przesuwne szklane drzwi i wyszłam na taras.

– Nate? – zawołałam ponownie, zagłuszana przez wiatr i szum fal.

Chwileczkę. Drzwi były zamknięte od środka. A to znaczy, że Nate nie mógł nimi wyjść. Dojście do tego wniosku napełniło mnie lodowatym przerażeniem. Wróciłam do domku, podniosłam słuchawkę telefonu na stoliku nocnym i zadzwoniłam do recepcji.

– Dzień dobry, może mi pani powiedzieć, czy Nathaniel Phelan już się zameldował? – zapytałam kobietę na drugim końcu linii.

– Proszę chwilę poczekać. – Przez moment docierał do mnie tylko stukot klawiszy. – Nie, proszę pani. Przykro mi.

Targnęły mną nagłe mdłości.

– Dziękuję – wyszeptałam i odłożyłam słuchawkę.

Nate'a wciąż nie było.

Wzięłam do ręki komórkę i potwierdziłam, że zapoznałam się ze złodziejskimi stawkami za połączenia międzynarodowe. Ale jedynym e-mesem, jaki do mnie przyszedł, była wiadomość od Sereny. Życzyła mi udanej podróży.

To było... niemożliwe. Odszukałam Nate'a w kontaktach i wybrałam jego numer. Jeden sygnał. Drugi. I poczta. Poprzedniego dnia, a może jeszcze dzień wcześniej – trochę się w tym gubiłam – byłam pewna, że oznaczało to wyłączony telefon. Ale co, jeśli to Nate odrzucał połączenie i dlatego odzywała się jego poczta głosowa?

– Cześć, tu Nate. Zostaw mi wiadomość – usłyszałam w słuchawce. Krótka i na temat. Właśnie taki był Nate.

– Nie wiem, co mam robić – powiedziałam, gdy rozległo się charakterystyczne piknięcie. – Jestem na miejscu, ale ciebie tu nie ma. Nie napisałeś ani nie zadzwoniłeś, a ja zaczynam świrować. Boję się, że coś ci się stało, bo wiem, że nie wystawiłbyś mnie tak do wiatru... – Przełknęłam ślinę, choć z niemałym trudem. – Po prostu oddzwon, Nate. Nawet jeśli coś ci nagle wypadło, chcę wiedzieć, że jesteś cały i zdrowy.

Zakończyłam połączenie.

Wieczorem zjadłam kolację. Sama. Wciąż jednak nie opuszczała mnie nadzieja, że gdzieś po drodze coś go zatrzymało, że lada chwila się tu zjawi.

Następnego ranka usiadłam na krawędzi rozgrzanego słońcem tarasu. Moje nogi zwisały nad wodą, a dłoń kurczowo trzymała komórkę, jakby miała uratować mnie przed utonięciem.

Po każdym uderzeniu serca następowała salwa bólu. Znałam to uczucie. Zżerało mnie za każdym razem, gdy na zawodach pływackich szukałam na trybunach rodziców, zawsze trafiając na puste miejsca, które mieli zająć. Patroszyło mnie, kiedy Jeremy wybrał żonobranie na Yale zamiast przeprowadzki razem ze mną do Georgetown. I to po tym, jak ustawiłam pod niego *całe* swoje życie. Zatruiło mój krwiobieg, mroząc mnie od środka i pozbawiając uczucia, kiedy mama i tata postanowili kontynuować rejs wycieczkowcem i nie wracać wcześniej do domu, mimo że ich córka przeżyła katastrofę lotniczą. Znajdowałam się w tym położeniu zbyt wiele razy, żebym potrafiła je wszystkie zliczyć – czekając na kogoś bliskiego tylko po to, by boleśnie się przekonać, że nie byłam dla tej osoby priorytetem.

Walczyłam z myślami. Moje cierpiące serce obiecywało cynicznemu umysłowi, że Nate nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Ale im dalej przesuwawała się wskazówka zegara, tym bardziej oswajałam się z brutalną prawdą.

Nie zamierzał przyjechać.

Przełknęłam gorzką pigułkę i zadzwoniłam do Sereny.

– Szok i niedowierzanie. Dzwonisz do siostry ze swoich miłosnych wakacji? – zapytała, gdy tylko odebrała. – Masz pozdrowienia od Tybeego.

– Nie ma go tutaj – powiedziałam bezbarwnym głosem.

– Nate’a?

– Nie ma go tutaj – powtórzyłam, zmuszając się do wypowiedziania kolejnych słów. – Czy może ktoś przyszedł do mieszkania? Ktoś... w mundurze? – Język mi się plątał, ale nie było chyba innego wytłumaczenia.

– Nie, Izzy. Nikogo tu nie było – odparła Serena łagodniej i ciszej. – Wszystko dobrze?

– Nie. – Zwilgotniały mi oczy, a nos zaczął szczypać, gdy mrugałam, usiłując powstrzymać łzy. – Może wysłano go na misję? Tyle że zawsze uprzedzał mnie o tym jakimiś zakodowanymi słówkami w wiadomościach czy rozmowach. W dodatku nie znam żadnych jego przyjaciół. Nie przychodzi mi do głowy ani jedna osoba, do której mogłabym zadzwonić i o niego zapytać. – Wiedziałam o prawdziwym życiu Nate'a tak mało, że aż wstyd. Serena miała rację. Równie dobrze mógł być ojcem wielodzietnej rodziny, a ja nie miałabym o tym pojęcia. Zawsze trzymał mnie na obrzeżach swojego życia i nigdy nie wpuścił do środka.

A jednak nikt nie obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, gdy stanęłam u jego boku podczas pogrzebu jego mamy.

To nowa dziewczyna Nate'a? A może... kolejna żona?

– Och, skarbie. Tak mi przykro.

– Co ja mam teraz zrobić? Jeśli zostanę, wyjdę na idiotkę, a jeżeli wrócę... – urwałam, nie potrafiąc wypowiedzieć tego na głos.

– Przyjedź do domu albo zostań i złap trochę słońca. – Rozsądnie. W końcu to Serena.

– Nie chcę być tu bez niego.

– W takim razie wiesz, co robić.

Zaczęłam płakać i już nie przestałam. Gdy się wymeldowywałam, zaniepokoiłam obsługę ośrodka wypoczynkowego, a potem napędziłam strachu personelowi pokładowemu, kiedy łzy nie chciały przestać płynąć w kolejnych samolotach. Potok łez nie miał końca. Przekroczyłam linię daty zmiany, następnie kolejne strefy czasowe. Miałam wrażenie, że płaczę tak od wielu lat. Obcy ludzie przyglądali mi się z troską i podsuwali chusteczki, co tylko pogarszało sprawę.

Kiedy dotarłam wreszcie do mieszkania, moje oczy były tak spuchnięte i tak podrażnione, że ledwo co widziałam. A gdy stanęłam przed Sereną, ponownie się rozryczałam. Wydawało się, że łzy nigdy się nie skończą.

Starsza siostra mocno mnie przytuliła i kołysała mną, jakbyśmy znowu były małymi dziewczynkami.

– Już dobrze – szepnęła, gdy szlochałam z twarzą wciśniętą w jej ramię.

– Muszę o nim zapomnieć, prawda? – Moje słowa były postrzępione, popękane, niewyraźne. – Nie ma znaczenia, czy zrobił

to specjalnie, czy tak po prostu wyszło... Nie mogę tak dłużej żyć, Serena. Muszę o nim zapomnieć.

– Przykro mi – powiedziała krótko i objęła mnie jeszcze mocniej.

Nate i ja tak długo czekaliśmy na swoją szansę, że ją przegapiliśmy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

IZZY

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

Jak śmiała!

Nie dostrzegając *powabu* wyjścia za kogoś, kto miał tę zaletę, że był przynajmniej obecny?

– Widzę, że „tam” stało się dla ciebie punktem odniesienia? – Konsternacja malująca się na twarzy Nate’a była niemalże śmieszna.

– Żartujesz sobie?! – Miał cholerne szczęście, że nie trzymałam akurat niczego w rękach, bo mogłabym tym w niego cisnąć. – Ciekawe, kto ustanowił taki punkt odniesienia? – zapytałam, przechylając głowę w bok. – Jeśli uważasz, że radość z czyjegoś samego pojawienia się gdy trzeba, nie najlepiej świadczy o moich standardach, to może spójrz w lustro, a zobaczysz, dlaczego tak jest. Spośród wszystkich osób w moim życiu, to właśnie *tobie* ufałam najbardziej. Wierzyłam, że będziesz się zjawiał, kiedy będę cię potrzebowała. A ty tak po prostu *zniknąłeś*.

Nate uniósł ręce, jakby się poddawał, i powoli się cofnął.

– Chyba powinienem wyjść, zanim rozgrzebiemy sprawy, których lepiej nie ruszać.

Jego godny podziwu talent do rozdzielania spraw prywatnych od zawodowych oraz umiejętność zachowania spokoju i opanowania,

gdy we mnie już się gotowało, od zawsze wzbudzały moją zazdrość, a zarazem budziły wstręt.

– Rozgrzebiemy? – Pokręciłam głową. – Trudno rozgrzebywać coś, czego nigdy się nie zakopało. – Uczucia, z którymi nie potrafiłam sobie poradzić, runęły z siłą fali powodziowej, pochłaniającej każdy nędzny skrawek samokontroli, którego trzymałam się jak ostatniej deski ratunku. Emocjonalna kipiela porwała za sobą miłość, żal i wszystko, co pozostawiliśmy między sobą, by obumarło. – Poza tym prawo do jakichkolwiek informacji na temat mojego życia uczuciowego straciłeś *lata* temu.

– Myślisz, że tego nie wiem? – zapytał Nate, po czym odwrócił się i podszedł do blatu, na którym zostawił butelkę z wodą. Podniósł ją i wypił duszkiem resztę jej zawartości, jakby osuszał butelkę wódki. Nim z powrotem obrócił się w moją stronę, zmiażdżył plastik w pięści, ostatecznie tracąc nad sobą panowanie, choć na krótko. – Myślisz, że nie rwałam sobie włosów z głowy, walcząc ze wszystkich sił ze sobą, by nie zapytać cię, kogo uznałaś za wartego poślubienia, odkąd tylko zobaczyłem ten kawał świecidełka na twoim palcu?

– Cóż, to i tak nie ma już znaczenia, prawda? – Na dowód uniosłam lewą dłoń. – Już nie jest moim narzeczonym. Szczęśliwa?

– Lepszym pytaniem jest, czy ty jesteś z tego powodu szczęśliwa. – Nie był ani trochę zaskoczony brakiem pierścionka. Musiał zauważyć wcześniej. Oczywiście! Przecież Nate'owi nic nie mogło umknąć. Mimo to nie zapytał dlaczego. Nie chciał wiedzieć? Czy wyszedł z założenia, że nie ma prawa o to pytać?

Otworzyłam usta, ale po chwili je zamknęłam, nie wypowiedziawszy ani słowa.

– To skomplikowane – odezwałam się w końcu.

– Zechcesz rozwinąć? – dopytał Nate. Oparł się o kraniec blatu, zajmując sobą więcej przestrzeni, niż powinien. Wszystko, co się z nim wiązało, nadal wydawało mi się imponujące i wielkie. A choć myślałam, że przywykłam do oglądania go w bojowym wydaniu, ubranego w pozbawione oznaczeń umundurowanie polowe, wcale tak nie było.

– Niekoniecznie. – Opuściłam wreszcie dłoń.

– Okej. – Nie powiedział nic więcej, za to wpatrywał się we mnie w ciszy, z typową dla siebie cierpliwością, czym tylko podsycał mój

gniew.

– Przestań to robić, Nate.

– Co robić? – Podrapał się po szczecinie na brodzie. – Mam przestać robić wszystko, co mogę, żeby utrzymać cię przy życiu? Przestać pociągać za sznurki, żeby przepchnąć w urządzie papiery tłumacza twojej siostry? Przestać osłaniać cię własnym ciałem, kiedy ktoś próbuje cię zabić? A może chcesz, żebym przestał stawiać twoje potrzeby ponad zdrowy rozsądek? Poproszę trochę jaśniej.

– To – wybełkotałam, wskazując palcem na jego twarz. – Przestań tak na mnie patrzeć.

– Jestem zdolny do wielu rzeczy, ale na nieszczęście dla mojego zdrowia psychicznego nie potrafię na ciebie nie patrzeć. – Wzruszył ramionami. – To, czy chcesz, czy nie chcesz zdradzić mi, dlaczego jednak nie wychodzisz za Gnojka, nie ma żadnego związku z moją niezdolnością do ignorowania Isabeau Astor.

– Zdradzał mnie, okej? – *Ech*. Miałam tego *nie* mówić.

Ciało Nate'a się napięło, ale się nie odezwał.

– Słyszałeś, co powiedziałam? – Pokręciłam głową, starając się ogarnąć. Miałam ślęczeć nad dokumentami rozłożonymi na stoliku kawowym, a nie tracić cenny czas na ścieranie się z Nate'em.

– Pewnie, że słyszałem – odparł, zniżając głos. – Muszę tylko poukładać to sobie w głowie.

– A co tu jest do układania? – Założyłam włosy za uszy, żałując, że nie zebrałam ich wcześniej w bardziej praktyczny kok. – Był przekonany, że nie będę miała problemu z życiem w otwartym związku. Nie wystarczałam mu.

– Kretyn, jakich mało – stwierdził Nate z takim przekonaniem, że prawie w to uwierzyłam.

– Nie mów tak. Nie wiesz... – Moje serce wypadło z rytmu, a policzki oblała ciepła purpura.

– Wiem – nie zgodził się ze mną Nate. Na widok płomieni w jego oczach wstrzymałam oddech. – A jeśli mu nie wystarczałaś, typ spędzi resztę swojego żalospnego życia w emocjonalnej nędzy, bo nie ma na tym świecie drugiej osoby, która by się z tobą równała. Skoro cię zdradzał, to raczej nie dlatego, że miałaś mu za mało do zaoferowania, tylko dlatego, że nie dorastał ci do pięt.

Zakryłam dłonią brzuch, chcąc uspokoić szamoczące się w nim motyle. Dlaczego nigdy nie czułam się tak przy Jeremym? Czemu wszystkie moje pragnienia, całe moje pożądanie i nienasycony głód bliskości zarezerwowane były dla Nate'a? To nie tak, że seks z Jeremym nie dostarczał mi przyjemności. Dostarczał. Ale Jeremy nie sprawiał jednym dotykiem, że nagle znikał cały świat, nie naznaczał pocałunkiem mojej duszy.

Czułam się tak tylko z Nate'em. Czy właśnie nie to było od zawsze przyczyną problemu?

Z moich ust wydobył się irracjonalny śmiech.

– A mimo to był dokładnie w moim typie, prawda?

– Nie bardzo rozumiem.

– Niedostępny pod wszelkimi istotnymi względami. – Wzruszyłam ramionami, głaszcząc kciukiem nagi palec i rozkoszując się odzyskaną lekkością. – Nie zdawałam sobie sprawy, jak ciężki był ten obrzydliwy pierścionek, dopóki go nie oddałam. Jak bardzo ciążyło na mnie wszystko, z czym się wiązało.

Nate wziął głęboki wdech i odepchnął się od szafki, o którą przez cały czas się opierał. Minał mnie i skierował się do drzwi.

– Powinniśmy wracać do pracy.

– To nie przez jego niewierność zerwałam zaręczyny – rzuciłam.

Nate stanął jak wryty.

– Skoro już gramy w otwarte karty, to grajmy do końca – powiedziałam do jego pleców.

– Nie chcesz w to brnąć.

– Chcę.

Powoli się obrócił, a moje tętno oszalało. Nie wpatrywał się we mnie sierżant Green. Nie. Zażarta walka, jaką widziałam w jego spojrzeniu, toczyła się w oczach, które należały do *mojego* Nate'a. Nate'a, którego pamiętałam z Georgetown, z hotelu w Illinois, z plaży w Tybee.

– To nie przez jego niewierność – powtórzyłam, tym razem ciszej. – O tym dowiedziałam się sześć tygodni wcześniej, nim zajęłam miejsce Newcastle'a, i nie zrobiłam z tym absolutnie nic. Na spotkaniach wyborczych uśmiechałam się razem z nim do kamer, w domu wykopałam go co prawda z łóżka, ale nie z mojego życia. Zapytaj mnie, dlaczego z nim zerwałam, Nate.

Pokręcił głową.

– Zapytaj – nalegałam.

– Dlaczego? – wydusił przez ściśnięte gardło.

– Bo nie kochałam go tak, jak wiem, że potrafię kochać. – Przełknęłam z trudem ślinę, słysząc w uszach dudnienie serca. – Uświadomiłam to sobie, gdy tylko znów cię zobaczyłam.

Szczęka Nate'a lekko drgnęła, a jego ramiona się uniosły, co znaczyło, że próbował zapanować nad narastającym w nim gniewem. Nie zamierzałam się już wycofać. Wiedziałam, że Nate, choćby nie wiem jak był wściekły, w życiu by mnie nie skrzywdził, a tę rozmowę i tak odkładaliśmy już o dziewięć dni za długo.

– Powiedz to – odezwałam się, podchodząc bliżej. Nate cofnął się do aneksu kuchennego, utrzymując między nami bezpieczny dystans. – Chcę usłyszeć, o czym teraz myślisz. – Czy nie tego samego zażądał ode mnie pierwszej nocy w ambasadzie?

– Skoro wiedziałaś, że nie kochasz go tak, jak powinnaś, to dlaczego w ogóle przyjęłaś jego oświadczenia? – zapytał podniesionym głosem, niemalże krzyżąc i ostatecznie tracąc nad sobą legendarną wręcz kontrolę. – Wiesz co? Nie. Zapomnij, że o to pytałem. Wcale nie chcę wiedzieć dlaczego. Boże! – Trzasnęła otwartymi dłońmi o blat, oparł się na nich i zwiesił głowę. – Trzy jebane lata, a my wróciliśmy do punktu wyjścia.

– Ja nigdy z niego nie wyszłam! – Stukałam palcami tuż ponad sercem, czując potworny ucisk w piersi. – Utknęłam, Nate. Wciąż mam dwadzieścia pięć lat, zatrzymałam się w czasie i przestrzeni. Nadal stoję w tamtym korytarzu i czekam, aż wrócisz.

– Chrzanienie, i oboje o tym wiemy – rzucił Nate. Podniósł głowę, a ból widoczny w każdym szczególe jego twarzy scalił się z odczuwanym przeze mnie cierpieniem. – Nigdy tego nie chciałaś. Nie tak naprawdę. Nie, kiedy przyszło co do czego. Może i przekonywałaś mnie na Fidżi, żebyśmy dali sobie szansę, ale kiedy pociągnąłem za spust. Ani trochę. Mnie. Kurwa. Nie. Chciałaś. – Każde wypowiedane przez niego pojedynczo słowo wyrażało głęboki smutek.

– Nie to wydarzyło się w Nowym Jorku. Jak możesz w ogóle tak mówić? – Umilkłam, ale moje oniemiałe usta pozostały otwarte.

– Jak mogę tak mówić?! – Jedną ręką wyszarpnął nóż z futerału przytroczonego na udzie, drugą natomiast sięgnął pod koszulę i wyciągnął spod niej naszyjnik z owiniętym taśmą srebrnym nieśmiertelnikiem. Spojrzał w dół i sprawnym ruchem rozciął taśmę. Następnie schował ostrze do futerału i wydobyl coś z ciasno zaklejonego zawiniątka. – Oto dlaczego mogę tak mówić. – Usłyszałam delikatne stuknięcie, gdy Nate położył rękę na blacie między nami.

Wcisnął resztki swojego nieśmiertelnika pod koszulę, po czym zabrał dłoń z szafki.

Zobaczyłam pierścionek z diamentem.

Ten pierścionek z diamentem.

O mój Boże. Nie mogłam złapać tchu. Na całym świecie nie było chyba wystarczająco dużo tlenu, żeby napowietrzyć krew, której pompowania chwilowo odmawiało moje serce.

– Bo to ja nosiłem cię przy sobie każdego pieprzonego dnia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

NATHANIEL

Nowy Jork
Październik 2018

Gdy szedłem chodnikiem w brooklyńskiej dzielnicy zwanej Dumbo, prawie nie zauważałem lejącego deszczu. W mojej zaciśniętej dłoni tkwiło najważniejsze pudełko, jakie kiedykolwiek trzymałem.

A może jednak ważniejsze było to, które niosłem przed południem...

Czy to w ogóle było tego ranka? Ostatnie dni zlewały mi się w bezkształtną masę. Był już wieczór, a całe popołudnie spędziłem za kierownicą, byłem więc niemal pewien, że wciąż trwał ten sam dzień.

Przeciskałem się między ludźmi, przyspieszając kroku do typowo nowojorskiego tempa, wtapiając się w tłum, do czego zresztą szkolono mnie przez miniony rok. Gdy dotarłem pod właściwy budynek, przytrzymałem drzwi, przez które akurat wychodził jeden z mieszkańców, i wszedłem do środka, unikając tym sposobem konieczności dzwonienia domofonem.

Cholera wie, czy w ogóle wpuściłaby mnie na górę.

Wspiąłem się po schodach, co chwila zaciskając palce na pudełku. Cokolwiek bym robił, moje myśli nie przestawały wirować. Nieustannie wyobrażałem sobie, jak sprawy powinny być się potoczyć. Starłem się przewidzieć, co przyniesie następnych parę minut.

Ona będzie wiedziała, co zrobić. Była jedyną osobą na całym świecie, która kochała mnie bezwarunkowo, jedyną osobą, na którą mogłem liczyć, odkąd umarła moja mama. Izzy będzie wiedziała, jaką drogę powinniśmy obrać.

Stałem pod numerem dwadzieścia dwa czternaście. Pod drzwiami do jej mieszkania.

Nacisnąłem przycisk dzwonka i cofnąłem się o pół kroku. Gdy upłynęło kilka sekund, a drzwi nadal pozostawały zamknięte, zacząłem chodzić nerwowo w tę i w tę. Bałem się, że jeśli się zatrzymam, już nigdy nie ruszę się z miejsca.

Towarzyszyło mi poczucie, jakby przestała działać grawitacja. Nic nie trzymało mnie na ziemi. Wszystko mogło się wydarzyć, a zarazem nie dostrzegałem żadnych możliwości. To, którądy pójdę dalej, zależało wyłącznie od tego, co od niej usłyszę. Od tego, jaką decyzję podejmie.

Zastygłem na dźwięk odsuwania zamków w drzwiach.

Gdy się otworzyły, zobaczyłem w nich starszego mężczyznę z przyprószonymi siwizną naželowanymi włosami, ubranego w trzyczęściowy garnitur, który wyglądał, jakby kosztował więcej niż wynosił roczny czynsz za mieszkanie. Facet obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem. Musiał mnie rozpoznać, bo w jego ciemnych oczach – takich samych jak oczy Izzy – pojawił się chłód. Widziałem zdjęcia w jej mieszkaniu. Miałem przed sobą jej ojca.

– W czym mogę pomóc?

– Szukam...

– Już ja dobrze wiem, kogo szukasz. Pytałem, w czym *ja* mogę ci pomóc. – Posłał mi drwiący uśmiech. – Bo nie zobaczysz się z Isą. Zbyt długo utrzymywała ten wasz – wskazał na mnie – układ, o wiele lat za długo. I zanim zapytasz, owszem, rozpoznaję cię. Wiem, kim jesteś. Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę, jak zły masz na nią wpływ?

Zacisnąłem mocniej palce na pudełku. Nie mogłem dać się ponieść nerwom. Nie, gdy rozmawiałem z jej ojcem. Musiałem trzymać się kupy, nawet jeśli czułem, jakby świat obracał się pode mną szybciej i szybciej, coraz bardziej wytrącając mnie z równowagi.

– Za zerwanie umowy najmu zedrą z nas tysiące dolarów, ale wreszcie znajdzie się tam, gdzie jest potrzebna rodzinie – ciągnął

Astor. Mimo że był ode mnie niższy o dobrych dziesięć centymetrów, jakimś cudem patrzył na mnie z góry. – Rodzinie, do której, co wreszcie do niej dotarło, ty nie możesz należeć.

– Tato? – Głos Izzy dobiegający z mieszkania powstrzymał mnie przed wygłoszeniem jakiejkolwiek odpowiedzi. – Kto przyszedł?

– Zajmę się tym, Iso. Nie warto cię kłopotać. – Każde słowo wypowiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Nie warto, wiesz... – Dodał ciszej: – Marnowałeś tylko jej czas.

– Tato, z kim rozma... – Izzy urwała w pół zdania, gdy nagle pojawiła się u boku ojca, ubrana w kraciaste spodnie od piżamy i obszerną bluzę z kapturem. Spojrzała na mnie, jakbym był największym skurwielem na całej planecie. Jej piękne oczy były tak podpuchnięte, że chyba ledwo przez nie widziała. Za serce ścisnęło mnie nieopisane poczucie winy. Podejrzewałem, że to ja byłem przyczyną wylania przez Izzy tyłu łez.

– Wracaj do środka, Iso – nakazał jej ojciec.

– Daj nam pięć minut – odparła, spoglądając mu w oczy.

Wyraz twarzy mężczyzny nieco złagodniał.

– Pięć minut. I nie zapominaj o naszej umowie – przypomniał córce, mnie spiorunował spojrzeniem i zniknął w mieszkaniu, zostawiając Izzy w drzwiach.

– Dobrze wiedzieć, że żyj... – Reszta słowa utknęła w jej gardle, gdy porządnie mi się przyjrzała. Isabeau wyszła na korytarz i zatrzasnęła za sobą drzwi. – Nate? – Wypowiedziała moje imię tak, jakby nie była pewna, czy to na pewno ja. Co nawet by się zgadzało, bo sam nie miałem już co do tego pewności.

Spojrzałem na nią pustymi, zapadniętymi oczami, chłonąc jej widok. Tylko ona się w tym wszystkim liczyła. Była słońcem, które albo mnie ogrzeje, albo spopieli.

Isabeau Astor była dla mnie wszystkim. Od samego początku.

Z trudem przekuwałem niepokładane myśli w spójne słowa.

– Miałem to wszystko zaplanowane – rzuciłem bez namysłu. – Sześć godzin jazdy autem daje sporo czasu, żeby się zastanowić, co się chce powiedzieć.

– Jechałeś tu sześć godzin? – Izzy ściągnęła brwi.

– A co miałem zrobić? – Kurwa, co za bełkot. Nie potrafiłem zebrać myśli. – A teraz tu jestem, od twojego ojca dowiaduję się, że się

wyprowadzasz, a ty patrzysz na mnie, jakbym był ostatnią osobą, którą chciałabyś zobaczyć...

– Zostawiłeś mnie! – wybuchła, odzywając się zbolalym głosem. – Gorzej, nie raczyłeś się zjawić! Spędziłam na Palau dwa dni, zanim dotarło do mnie, że nie przyjedziesz. Dlaczego mi to zrobiłeś? Jesteś jedyną osobą, która nigdy... – urwała i wzięła głęboki wdech. – Co się z tobą, do cholery, stało? Dzwoniłam. Pisałam. Próbowałam...

– To właśnie próbuję ci powiedzieć. – Słowa wreszcie zaczęły układać się we właściwej kolejności. Rzecz w tym, że to, co miałem jej do powiedzenia, dotyczyło czegoś o wiele większego niż opuszczone wakacje. Jeśli nie wyrażę tego w odpowiedni sposób, nie znajdę idealnych słów, wszystko to może być na nic.

– W takim razie słucham. – Izzy zadrżała z chłodu i objęła się ramionami w pasie.

– Po prostu... Nie potrafię jasno myśleć, a przyznanie się do tego, perspektywa tego, że wykopią mnie, zanim na dobre zacznę, co jest ironią losu, bo to ja zawsze byłem tym trzeźwo myślącym w naszej paczce. Dlatego nie byłem zaskoczony, gdy Pierson zmył się już w drugim tygodniu. Kawał z niego nawigatora, ale jak tylko kadra się do niego dobrała, kwestionując jego wybory, chłop zaczął się gubić, całkiem się zamotał, no i wyleciał.

– Nate, nic z tego nie rozumiem – stwierdziła, kręcąc głową.

Z moich ust rozległ się krótki histeryczny śmiech.

– Oczywiście, że nie rozumiesz, bo chrzanię trzy po trzy. Ale nie wiem, gdzie leży granica, a przynajmniej nie dzisiaj. Czy mam prawo być rozpieprzony po tym, jak pochowałem rano Juliana? Czy jednak powinienem wziąć się w garść i udawać, że jego mama wcale nie szlochala w ławce przede mną?

– O Boże, Nate... – Izzy zrzędała mina. Wyciągnęła w moją stronę rękę, ale zrobiłem krok w tył.

– Nie rób tego. Jeśli mnie dotkniesz, wszystko się ze mnie wyleje. A jak widzisz, już teraz stąпам po cienkim lodzie. – Wolną dłonią otarłem mokrą od deszczu twarz. – Najgorsze jest to, że nigdy tak naprawdę nie myślałem o nim jak o Julianie, wiesz? Jasne, tak miał na imię, ale prawie się nie zdarzało, żebyśmy go tak nazywali. Ale jego mama wciąż powtarzała jego imię, nie przestawała płakać. Wciąż słyszę ją w myślach.

– Co się stało? – zapytała, zniżając głos niemal do szeptu. – Czy dlatego się nie pojawiłeś? Bo umarł Julian?

– Wycieczka. No tak. – Pokiwałem głową, starając się spędzić w jedno miejsce swoje rozbiegane myśli. Potrzebowałem jej, by wybrała dla nas dalszą drogę. Gdy znów poczuję grunt pod nogami, będę mógł ruszyć do przodu.

W życiu jeszcze nie czułem się tak zagubiony.

– Wycieczka – powtórzyła wolno Izzy, czym uświadomiła mi, że musiałem na chwilę odpłynąć.

– Miałem tam być – zacząłem, potakując ruchem głowy, jakbym odpowiadał na kolejne pytanie nigdy niekończącego się przesłuchania. – Terminy zgrały się tak idealnie, jakby dobry los wszystkiego przypilnował. Zupełnie jakby właśnie tak miało być.

– Jak?

– Po zaliczeniu selekcji miałem zaplanowanych dziesięć dni z tobą, żeby zorientować się, co będzie z nami dalej. Wtedy czekało mnie OTC.

– Nie wiem, co to znaczy.

– Oczywiście, że nie wiesz. Trudno, żebyś wiedziała. Cholera, wyjątkowo dobrze szło mi trzymanie gęby na kłódkę, nie sądzisz? Do niczego cię nie dopuszczałem, to i niczego nie wiesz. – Potarłem czoło wierzchnią stroną zaciśniętej w pięść dłoni, przymknąłem oczy i nabrałem solidny haust powietrza, izolując się od uporczywego szumu, od wszystkiego, co się stało tego dnia, by skoncentrować się na stojącej przede mną kobiecie. – Spieprzyłem to.

– Nie mam pojęcia, czym jest *to*, więc według mnie idzie ci całkiem dobrze. Nie powiem jednak, że mnie nie zmartwiłeś. – Zatrokanie wyłobiło między jej brwiami dwie zmarszczki. W jej oczach dostrzegałem tyle złości, tyle cierpienia, ale też, o ile dobrze widziałem, miłości? Chyba nie zabiłem jeszcze wszystkiego, co do mnie czuła, prawda?

– Zostaliśmy odcięci – powiedziałem, chwyciwszy się resztek swojego rozumu. – Dlatego nie mogłem do ciebie zadzwonić. Rodzice Juliana byli na wakacjach i nie mogli ich znaleźć, żeby ich powiadomić. Zabrali nam wszystkim telefony, żeby nikt się nie wysypał, nim jego rodzina nie dowie się oficjalnymi kanałami. – Małe niebieskie pudełeczko w mojej dłoni lekko się przesunęło. Jego

krawędzie nie wytrzymały nacisku, więc zluzowałem nieco chwyt. – Na początku im nie uwierzyłem, to znaczy dowództwu. Myślałem, że to część ostatniego testu, sprawdzenie, jak poradzę sobie z taką wiadomością. Dopiero co go widziałem i był... taki jak zawsze. Ale minęło parę dni i wciąż nikogo nie wypuszczali, nawet tych, którzy odpadli. I wtedy dotarło do mnie, że to wszystko moja wina.

– Nate – szepnęła Izzy, zerkając przez ramię na zamknięte drzwi do mieszkania. – Może gdzieś pójdziemy?

Nie chciała wpuszczać mnie do jednego pomieszczenia ze swoim ojcem.

– Nie mogę. Muszę załatwić to tu i teraz. Czekają na mnie i muszę się dowiedzieć, czego chcesz, Izzy, żebym wiedział, jaką podjąć decyzję. – W mojej głowie wszystko miało ręce i nogi, a przynajmniej ta konkretna część, ale po wypowiedzeniu tych myśli na głos wydawały mi się kompletnie poplątane.

Pudełko. No tak. Pudełko wyрęczy mnie w zadaniu tego pytania.

Rozłożyłem prawą dłoń, kciukiem otworzyłem pudełko i odwróciłem je w stronę Izzy.

– O mój Boże – rzuciła i natychmiast zakryła usta dłonią.

– Wiem, że to pewnie nie do końca to, czego oczekiwałaś. Wybrałem go jakiś rok temu, a potem chyba ze czternaście razy nachodziły mnie wątpliwości, czy będzie odpowiedni. Wywodzi się z bogatego domu, więc podejrzewam, że wolałabyś coś bardziej okazałego...

– Nate, czy to jest to, co myślę? – Przeniosła szeroko otwarte oczy z pierścionka na moją twarz.

– To pierścionek zaręczynowy.

Izzy otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale po chwili je zamknęła.

– Chyba nie zamierzasz mi się teraz na poważnie oświadczyć? – odezwała się wreszcie.

– Owszem – zapewniłem i pokiwałem głową. Czułem, jak mój żołądek skręca się w supel za supłem, przyprowadzając mnie o lekkie mdłości.

– Nie, wcale nie zamierzasz – upierała się Izzy, kręcąc stanowczo głową. – Wiem, że nie, bo obiecałeś mi przecież, że nigdy byś tego nie zrobił. „Nie wyskoczyłbym z pierścionkiem zaręczynowym i nie prosił cię o porzucenie wszystkiego, na co tak ciężko pracowałaś,

zanim nie damy sobie szansy na zbudowanie czegoś konkretnego”. Czy nie tak powiedziałaś mi wtedy na plaży?

– Nie rozumiesz? To jedyne wyjście, jeśli chcemy być razem. Walczyłem z tym przez tyle lat, upierając się, że to nie byłoby życie dla ciebie, że zasługujesz na o wiele więcej. Zresztą nadal tak uważam, ale kocham cię, Isabeau. Zawsze kochałem tylko ciebie. I zawsze będę kochał tylko ciebie. Miałem zrobić to w morzu, może nawet na pokładzie samolotu, wiesz, tak w nawiązaniu do tego, jak się poznaliśmy.

– Wiem – szepnęła Izzy i położyła sobie rękę na piersi, wpatrując się we mnie w szoku. A przynajmniej miałem nadzieję, że to był szok. Nie można było jednak wykluczyć, że była po prostu wystraszona, może nawet przerażona.

– Ale potem Julian... umarł, a do mnie dotarło, że równie dobrze mogłem to być ja. To *powinienem* być ja. Wiem, że zmarnowałem mnóstwo czasu, uparcie cię chroniąc, zamiast dać ci wybór. I bardzo cię za to przepraszam.

– Nate, chyba nie do końca to przemyślałeś. Naprawdę chcesz, żebyśmy się pobrali, skoro nie widziałam nawet, gdzie mieszkasz? Nie spędziliśmy ze sobą więcej niż siedem dni z rzędu...

– Dziewięciu dni – wtrąciłem.

– Nie mam pojęcia, gdzie się podziewasz przez większość czasu ani do czego zostałeś teraz wybrany. Posłuchaj tylko, co wygadujesz.

– No właśnie. – Ja pierdolę, wszystko szło nie tak, jak powinno. – Ale kochasz mnie, Iz. I chcę, żebyś wybrała. Zrobię, co tylko zechcesz. Całkowicie się przed tobą otworzę. Wtajemniczę cię we wszystko na tyle, na ile mi wolno. A potem pojedziemy razem do Karoliny Północnej. Albo zrezygnuję, jeśli tego będziesz chciała.

– Co takiego? – Izzy uniosła wysoko brwi. – Wcale nie chcesz rezygnować. Nigdy nie chciałeś.

– Zrezygnowałbym, jeśli miałoby od tego zależeć, czy będziemy razem. Dostałem się, Iz. Przyjęli mnie. Wiem, że nie masz pojęcia, co to tak naprawdę znaczy, ale wystarczy jedno twoje słowo, a odejdę. Odejdziemy razem. Powiedz tylko, czego ode mnie oczekujesz, a ja to zrobię – błagałem. Wybór należał do niej. Ja należałem do niej.

– Nie możesz prosić mnie o podjęcie takiej decyzji za ciebie, Nate.
– Pokręciła głową. – To nieuczciwe. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że tak długo trzymałeś mnie od siebie z dala, że nie wiem teraz o tobie wystarczająco dużo, żeby chociaż pomóc ci zdecydować.

Drzwi za plecami Izzy nagle się otworzyły.

– Isa...

Sięgnęła ręką do klamki i zatrzasnęła ojcu drzwi przed nosem.

Jej ojciec. Zamrugalem, gdy elementy układanki trafiały na swoje miejsce.

– Mówił, że wypowiadasz najem. Wyprowadzasz się?

– Tak. – W jej oczach toczyła się zażarta walka. – Nie. To znaczy... Jeszcze nie wiem. W zasadzie nie chcę się przeprowadzać, ale uszczęśliwiłabym rodziców. A wydaje mi się, że zastanowili się nad sobą i... się zmienili. Przyjechali, kiedy ich potrzebowałam.

– Nie rób tego. Nie rezygnuj z własnych ambicji tylko dlatego, że wreszcie się zjawili.

Izzy zrobiła wielkie oczy, a brwi wygięła w dwa imponujące łuki.

– Tak jak ty teraz?

– Nie. Ja pytam, czy chcesz, żebym to *ja* zrezygnował ze wszystkiego dla *ciebie*. – Czemu tego nie dostrzegają?

Izzy otworzyła usta, ale się nie odezwała.

Obleciał mnie strach. Brałem pod uwagę wiele możliwych scenariuszy: przeprowadzkę do Nowego Jorku, jej przeprowadzkę do Karoliny Północnej, wspólne zamieszkanie *gdzieś*, ale nie zakładałem, że może mnie nie zechcieć. Nie tak miało być.

– To dlatego, że źle się do tego zabrałem, tak? – Przyklęknąłem i wyciągnąłem do niej rękę z pudełkiem. – Wyjdź za mnie, Isabeau Astor. – Byliśmy sobie przeznaczeni. To miała być tylko kwestia czasu. Przekonanie o tym było fundamentem, na którym budowałem swoje życie od czasu naszego przypadkowego spotkania w Tybee.

– Nate... – wyszeptała Izzy, wpatrując się we mnie bez słowa. W tym czasie przez jej twarz przebiegło z tysiąc najróżniejszych emocji.

– Proszę – powiedziałem cicho. – Proszę, Izzy, wybierz mnie. Wybierz nas. Wybierz nas zamiast życia, które zaplanowali dla ciebie twoi rodzice. Wybierz nas, mimo że nie mieliśmy czasu ułożyć

sobie wspólnego życia. Wybierz nas, żeby dać nam potrzebny czas. Wybierz naszą przyszłość. Zrobię dla ciebie wszystko. Wystarczy, że za mnie wyjdiesz.

Czułem, jak w oczekiwaniu na jej odpowiedź każdy miesiąc w moim ciele napina się do granic możliwości. Jednak gdy ramiona Izzy opadły z rezygnacją, nadzieja ostatecznie mnie opuściła.

– Nie mogę, Nate. Nie w taki sposób.

Niewidzialna siła zmiażdżyła moją pierś, dociskając jedno żebro do drugiego, zupełnie jakby nie chciała dopuścić, by drobinki mojego potłuczonego serca rozsypały się wokół.

– Mówisz, że się nie zgadzasz – podsumowałem, każde słowo wypowiadając wyjątkowo starannie, żeby mieć pewność, że dobrze ją rozumiąłem. Następnie powoli wstałem z podłogi.

– Mówię, że to niewłaściwe – sprostowała, kręcąc głową.

Rzecz w tym, że Izzy była jedynym, co właściwe w moim życiu.

Zatrzasnąłem pudełeczko i wepchnąłem je do kieszeni w kurtce, gorączkowo szukając w myślach punktu oparcia, jakiegoś drogowskazu. Zostać w armii czy zrezygnować? Wstąpić do Delta Force czy się wycofać? Bez Izzy żadna z tych rzeczy nie miała znaczenia, a ona mnie nie wybrała. Nie chciała mnie.

Marnowałeś tylko jej czas. Jej ojciec miał rację.

Nadawałem się może na wakacyjne wypady i okazjonalne weekendy, ale kiepski był ze mnie materiał na męża.

– Przepraszam, że marnowałem twój czas – powiedziałem, po raz ostatni spoglądając w jej ciemnobrązowe oczy. Oczy, z których zbyt wiele razy płynęły wywołane przeze mnie łzy. Zabrałem jej tyle lat życia.

Pora dać jej wreszcie spokój.

– Nie marnowałeś... – zaczęła Izzy, ale szedłem już w stronę klatki schodowej. Z każdym krokiem wracała do mnie jasność umysłu. Wiedziałem przynajmniej, jaki kierunek obrało moje życie. – Nate! – zawołała za mną.

Musiałem stamtąd wyjść, zanim całkiem się posypię.

Otworzyłem z impetem drzwi frontowe i wyszedłem prosto w strugi deszczu. Ogarnę się jakoś, pomyślałem. Skoro wsiadłem do samolotu zaledwie parę godzin po katastrofie lotniczej, nie było powodu, żeby tym razem było inaczej. Co takiego mówiła Izzy

o pójściu na terapię? Opracowała dzięki niej mechanizmy obronne. Ale ja miałem robotę, za którą niejeden by zabił. Byłem wśród najlepszych. Innego mechanizmu obronnego nie potrzebowałem.

A może było wprost przeciwnie?

Ponownie wtapiając się w tłum, przemaszerowałem do następnej przecznicy, gdzie udało mi się jakimś cudem znaleźć wolne miejsce parkingowe. Sięgnąłem do klamki, otworzyłem drzwi, wsunąłem się za kierownicę i od razu odpaliłem silnik.

– Kurwa mać! – krzyknąłem do siebie i wszystkich innych. – A ty co byś zrobił? – zapytałem Torresa. – Gdybyś był na moim miejscu? – Czekając, aż kumpel mi odpowie, przymknąłem oczy, licząc na to, że choć na chwilę odetnę się od reszty świata.

– Domyślam się, że nie poszło tak, jakbyś sobie tego życzył – odezwał się Torres z fotela pasażera, unosząc lekko jedną powiekę. Skurczybyk słodko sobie drzemał, kiedy ja otwierałem przed Isabeau swoje serce. – Co ja gadam. Oczywiście, że nie. W przeciwnym wypadku nie wróciłbyś tak szybko.

– Co byś zrobił na moim miejscu? – powtórzyłem.

– Nie musisz pytać. Przecież znasz już odpowiedź.

– A mimo to pytam.

– Chcesz usłyszeć to ode mnie? Proszę bardzo. Wybrali tylko ośmiu kolesi z całej naszej grupy. – Sięgnął po logiczne argumenty. Typowy oręż Torresa.

– Wiem.

– Możesz się stamtąd zmyć i dołączyć do grona odrzuconych. Ale możemy też pojechać z powrotem do Bragg i być częścią tej ósemki. Jak dla mnie, druga opcja brzmi bardziej zajebiście niż pierwsza.

Miał rację. Jak zwykle.

– Wobec tego kierunek Bragg – postanowiłem.

Obróciłem pokrętło przy kierownicy, a wycieraczki ściągnęły z przedniej szyby nie tylko krople deszczu, ale również pozostałości mojego niezdecydowania.

Wrzuciłem bieg i włączyłem się do ruchu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

NATHANIEL

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

– Nate – szepnęła Izzy, wpatrzona w pierścionek, który nosiłem przy sobie od blisko trzech lat.

– Nie chciałaś mnie. Nie kochałaś. Nie tak naprawdę. Być może pokochałaś pewne wyobrażenie o mnie, ale nie człowieka, jakim w rzeczywistości jestem.

Była to naga prawda, którą powtarzałem sobie za każdym razem, gdy zakładałem ten naszyjnik albo zasznuroywałem go w bucie przed misjami, które nie wymagały całkowitej anonimowości. W ten sposób przypominałem sobie w duchu, dlaczego poświęciłem życie w służbie ojczyźnie, dlaczego nie powinienem zjawiać się pod drzwiami Izzy między kolejnymi turnusami w Afganistanie i błagać jej, by jeszcze raz rozważyła moją propozycję.

Błagać, by znów mnie pokochała.

– Nieprawda – odparła, odrywając osłupiałe spojrzenie od pierścionka i przenosząc je na mnie.

– Odmówiłaś mi. – Tyle razy wypowiadałem to krótkie zdanie w myślach, że nie wbijało się już we mnie ostrzem. Słowa te przypominały raczej arkusz papieru ściernego przesuwany po otwartej ranie, która za nic nie chce się zagoić.

– Nie odmówiłam! – zaprzeczyła i wyciągnęła do mnie rękę, ale odskoczyłem w bok.

Gdyby mnie dotknęła, byłoby pozamiatane. Stałem tuż nad krawędzią wyznaczającą granice samokontroli, rozdarty między determinacją, by tę kobietę odepchnąć, a pragnieniem przyciągnięcia jej do siebie. Nie była już zaręczona z Gnojkiem. Nie była już jego. A jednak powiedziała mu „tak”, którego ja niestety nie usłyszałem.

– „Nie mogę”, tak właśnie powiedziałaś – przypomniałem. – Może nie skończyłem prawa na Georgetown, ale jestem niemal pewien, że „nie mogę” i „nie” są pierdolonymi synonimami.

– Ale nie znaczą tego samego!

– Na serio chcesz teraz dyskutować nad semantyką? – Podszedłem do okna i ponownie wyjrzałem na dziedziniec. Odniosłem wrażenie, że tłoczyło się na nim jeszcze więcej ludzi niż wcześniej.

– W tej kwestii? Jak najbardziej – odparowała.

Odwróciłem się do niej.

– Okej, jeśli masz ochotę debatować o znaczeniu słów „nie mogę”, to proszę bardzo, ale pójdźmy dalej. Powiedziałem ci, że jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem i którą kiedykolwiek pokocham. Oświadczyłem ci się, żeby usłyszeć... Jak to szło? – podniosłem wzrok na sufit i zacząłem recytować z pamięci – „to niewłaściwe”. Zabolalo, ale nie zapominajmy o moim ulubionym „chyba nie zamierzasz mi się teraz na poważnie oświadczyć”.

Izzy zacisnęła usta.

– Tak, pamiętam każde twoje słowo, gdy mówiłaś mi wprost, że nie byłem tym, kogo chciałaś. Nie byłem tym, kogo zamierzałaś wybrać.

– Paskudne, wykręcające żołądek uczucia dobijały się od środka pudła, w którym trzymałem je zamknięte przez ostatnie trzy lata. – Czy to dlatego, że zrobiłem to w niewłaściwy sposób? Czyżby Covington bardziej się postarał? Urządził wielkie widowisko pod publiczność? Zabrał cię do ekskluzywnej restauracji, żeby godni i znakomici tego świata mogli być świadkami jego oświadczenia? Puścił to na jakimś telebimie, żeby mogła oglądać was cała ludzkość?

– Nie, Nate. – Izzy pokręciła głową i spojrzała na mnie tak, jakby to ona miała wszelkie prawo czuć się pokrzywdzoną stroną.

– Chodziło o większy pierścionek? – Dokładnie przyglądałem się mimice jej twarzy, próbując dopatrzeć się choćby najmniejszego śladu kłamstwa. – Więcej kasy na koncie? Koneksje rodzinne? Fakt, że podobał się twoim rodzicom? A może to, że mógł przylecieć ci na ratunek prywatnym odrzutowcem?

– Jak możesz w ogóle tak myśleć? – zapytała, ponownie się rumieniąc. Czerwień dotarła aż na płatki jej uszu. – Chyba znasz mnie wystarczająco dobrze!

– *Myślałem*, że znam cię wystarczająco dobrze – przyznałem. – Ale potem, na kabulskim lotnisku, kiedy dowiedziałem się, że moim zadaniem jest utrzymanie cię przy życiu, oślepiłaś mnie pierścionkiem tak wielkim, że jego błysk zauważyliby piloci samolotu na pułapie dziewięciu kilometrów, a przyleciałaś tu wykonywać pracę, od której zawsze się odżegnywałaś. – Czy to możliwe, żeby od tego czasu minęło zaledwie dziewięć dni? – Pogodziłbym się z tym, gdyby to był jakiś przyzwoity gość, ale Gnojek?

– O. Mój. Boże. Czy możesz się choć na chwilę przymknąć? – wtrąciła Izzy, uderzając w wysokie tony.

– Jasne. Cokolwiek masz mi do powiedzenia, nie może być gorsze niż to, co już od ciebie usłyszałem.

Zmrużyła oczy i zgromiła mnie wzrokiem.

– Nie odmówiłam ci – upierała się przy swoim.

– I znowu do tego wracamy. – Skrzyżowałem ramiona na piersi.

– I do jasnej cholery, z całą pewnością nie mówiłam, że cię nie kocham. – Powoli do mnie podeszła. – Wiem to, bo nigdy cię nie okłamałam. Ani razu. A czy ty, z ręką na sercu, możesz powiedzieć to samo?

Skrzywiłem się.

– Mówiłem ci tyle, ile mogłem.

– Odkąd się znamy, ile spędziliśmy razem czasu? Dwadzieścia dni? – zapytała Izzy i głośno przełknęła ślinę.

– Dwadzieścia siedem, żeby być dokładnym. I zanim zaczniesz mówić, że oświadczyły po tych dwudziestu paru dniach były nie na miejscu, przypomnę tylko, że znałem cię wtedy od siedmiu lat, a kochałem od czterech.

Otworzyła szeroko usta, ale odezwała się dopiero po chwili:

– Nie to chciałam powiedzieć. Spędziliśmy ze sobą jakieś dwadzieścia dni, a mimo to byłam w tobie tak zakochana, że nie wyobrażałam sobie życia bez ciebie.

– Kochałaś mnie, ale mnie odrzuciłaś? – Wpatrzony w Izzy, czekałem na wymówkę, ciekaw, co takiego wymyśli.

– To, że nie przyjąłem twoich oświadczeń, nie znaczyło, że cię nie kochałem, Nate. To akurat nigdy nie stanowiło problemu. Przynajmniej nie dla mnie. – Zmarszczyła brew.

– A więc dlaczego? Bo wystawiłem cię do wiatru na Palau? Bo nie wpuściłem cię do swojego życia, gdy na Fidżi pytałaś, na czym stoimy? – Poczulem nieprzyjemny ucisk w piersi. Po jakiego chuja domagałem się teraz odpowiedzi na te wszystkie pytania? Czyżbym niechący otworzył w swoim sercu szufladkę z etykietką *Isabeau Astor*?

– Nie... To nie miało z tym nic wspólnego. – Zrobiła w moją stronę jeden krok. – Czy chciałam, żebyś się przede mną otworzył? Oczywiście. Zawsze tego chciałam, ale to nie...

– Mam się otworzyć? Ależ proszę bardzo! Zabiłem jednego z moich najlepszych kumpli, Izzy. Co ty na to? – Wyrzuciłem w górę rękę.

Zastygła w miejscu i rozchyliła nieme usta.

– Pewnie już żałujesz, że chciałaś wszystko o mnie wiedzieć, co?

– Ręce opadły mi wzdłuż boków ciała.

– Nie rozumiem – odezwała się Izzy, dezorientowana, o czym świadczyły zmarszczki na jej czole. – Mówisz o Ju...

– Tak! – wszedłem jej w słowo. – To moja wina, że nie żyje. Odciągnął mnie na bok, gdy zaatakował nas grzechotnik tuż po tym, jak obaj ukończyliśmy czterdziestomilowy marszobieg z pełnym obciążeniem w trakcie selekcji. Ukąsił jego zamiast mnie. – Po raz pierwszy od trzech lat wypowiedziałem to na głos.

Izzy zamrugwała.

– Nate, to nie twoja wina.

– Nie? Bo widzisz, kiedy powiedziałem mu, że powinien zgłosić się po pomoc, odmówił i się uparł, że nie da się uziemić lekarzowi, dopóki nie odbędzie finalnej rozmowy kończącej proces selekcji. Zaliczenie pierwszych testów... – Nakryłem głowę dłońmi i przymknąłem oczy. – To była najcięższa próba w moim życiu.

Najcięższa próba w życiu każdego z nas. – Wziąłem dwa głębokie wdechy, żeby trochę się uspokoić przed dalszą częścią historii. – Więc się zgodziłem. Zapewniłem go, że nikomu o tym nie powiem, o ile obieca mi, że zgłosi się do lekarza zaraz po rozmowie. – Wyszczrzył się wtedy do mnie, absolutnie pewien, że obaj się dostaniemy. – Ukąsił go jadowity wąż, a ja pozwoliłem mu pójść na tę pieprzoną rozmowę. Kiedy była moja kolej, kiedy poinformowano mnie, że jeden z moich najlepszych przyjaciół właśnie zmarł w sąsiednim pokoju z powodu wstrząsu anafilaktycznego, nie przejąłem się tym, przekonany, że poddają mnie jakiejś pojebanej próbie. Że chcą mieć w oddziale opanowanych, zawsze skupionych na zadaniu żołnierzy. Pokazałem im, że właśnie taki jestem. Uznałem, że po wszystkim będziemy mieć z tego niezły ubaw, tylko że on naprawdę nie żył. – I już. Wyrzuciłem to z siebie.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Mój Boże. Nate, nie ty go zabiłeś. – W jej oczach weszła smutek. Niepotrzebnie, bo nie zasługiwałem ani na krzyknę jej współczucia.

– Owszem, to ja go zabiłem. Gdybym komuś o tym powiedział, gdyby w porę udzielono mu pomocy, wciąż by żył. Zamiast tego ja dołączyłem do oddziału, a on leży pod ziemią. Jak ci się to podoba, Izzy? Wreszcie masz, czego chciałaś.

Rozległo się ponowne pukanie.

– To dlatego byłeś taki wzburzony. Nie tylko z powodu jego śmierci. – Podeszła do mnie i wpatrywała się z takim zatroskaniem, że naszła mnie ochota, by cofnąć każde słowo, które padło z moich ust, i po prostu ją przytulić. – Wiedziałam, że coś było nie w porządku. Tak się o ciebie martwiłam, że wypatrywałam cię przez dobre pół godziny, przemoczona do suchej nitki...

– Byłaś w środku, kiedy ci się oświadczyłem.

– Ale wybiegłam za tobą!

– Co... co zrobiłaś? – Przewody w moim umyśle musiały się nagle zetknąć, bo poczułem się, jakby nastąpiło w nim potężne zwarcie.

Pukanie do drzwi zamieniło się w łomotanie.

– Nie chcę przeszkadzać, ale muszę z wami pogadać. Teraz! – Z korytarza dobiegł głos wydzierającego się Grahama.

– Wybiegłam za tobą – powtórzyła Izzy szeptem. Duszona desperacją, chwyciła rękoma mój mundur.

– Wejdz! – odpowiedziałem z niemałym trudem.

Drzwi się otworzyły i wszedł przez nie Graham. W dodatku z nietęgą miną.

– Co jest grane? – Napiąłem mięśnie brzucha, szykując się na złe wieści.

– Przykro mi, że to mówię, ale właśnie upada Mazar-i-Szarif.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

IZZY

Nowy Jork
Październik 2018

– Co zrobiłaś? – wykrzyknęła Serena, owijając się ciasno ręcznikiem i wbijając we mnie wzrok, jakbym postradała zmysły.

Swoją histerią wypędziłam ją z łazienki w połowie prysznic, zupełnie ignorując mamę i tatę, którzy stali nieruchomo w salonie, czekając na odpowiedzi, których nie potrafiłam im udzielić.

– Słyszałaś, co powiedziałam! – odparłam.

– I tak po prostu pozwoliłaś mu odejść? – Serena zrobiła wielkie oczy.

– A niby jak miałam go zatrzymać! – Boże, był taki... zagubiony. Moje obolałe serce domagało się, bym za nim pobiegła i dała mu to, czego potrzebował. – Co miałam według ciebie zrobić? Obezwładnić go?

– Myślałam, że powiesz mi „tak”, skoro bez niego ewidentnie jesteś nieszczęśliwa, a do tego miał całkiem konkretny powód, dla którego nie dotarł na wasze wakacje.

– Powiedzieć „tak”? Nie był sobą. To nie były prawdziwe, szczerze oświadczenia, Serena! Tylko reakcja na traumę wywołaną tym, że pochował dzisiaj Juliana.

– Chwila. Pochował *dzisiaj* swojego przyjaciela? O tym nie wspomniałaś. – Siostra zmarszczyła brwi. – Który to Julian?

Do głowy przyszedł mi wysoki jasnowłosy facet z lekko cwaniakowatym uśmiechem.

– Wydaje mi się, że nazywał się Rowell. To jeden z kumpli, razem z którymi starał się o przyjęcie do sił specjalnych. Jeden z jego najlepszych przyjaciół. – Potarłam twarz dłońmi. – Był tak dotknięty. I to ja go skrzywdziłam. Ale jak mogłam przyjąć te oświadczenia, jeśli z całą pewnością nie myślał przytomnie? Starałam się podważyć jego argumentację, mając nadzieję, że sam się zorientuje, jak nieracjonalnie się zachowywał. Nate, którego znam, nigdy by mi się nie oświadczył w taki sposób, a kiedy powiedziałam, że... – Gdy tylko przypomniałam sobie wyraz jego twarzy, gardło zaczęło mi się zaciskać. – Musi porządnie się wyspać albo zgłosić do kogoś po pomoc... Nie są mu teraz potrzebne zaręczyny.

Jeśli miałam być ze sobą szczerą, gdzieś w głębi ducha, na samiotkim dnie, pragnęłam w tamtej chwili rzucić mu się w ramiona i już nigdy nie wypuścić go z rąk.

– I myślisz, że uda się stąd prosto na kozetkę u terapeuty? – Serena chwyciła mnie za ramiona. – Kochasz go?

– Do utraty tchu. – Czegokolwiek bym nie robiła, nie potrafiłam zagłuszyć uczuć.

– W takim razie idź go poszukać i przyprowadź go tu z powrotem, żeby zapewnić mu pomoc, której potrzebuje. Leć, Izzy.

Pokiwałam siostrze głową i zerwałam się z miejsca. Ubrane w kapcie stopy ślizgały mi się na podłodze. Jak błyskawica przebiegłam przez salon.

– Mam nadzieję, że nie biegniesz za tym mężczyzną! – zawołała za mną mama.

– Mam nadzieję, że go nie oceniasz, mimo że niczego o nim nie wiesz! – odpyskowałam. Rodzice będą wkurzeni. No cóż. Bez Nate'a życie traciło kolory, a jeśli nie będą umieli tego zaakceptować, będzie to znaczyło, że nigdy tak naprawdę mnie nie kochali.

Wypadłam z mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi, i rzuciłam się w dół schodów.

– Nate! – zawołałam, z impetem otwierając ciężkie przeszkłone drzwi wejściowe i zbiegając po schodkach na chodnik przed budynkiem.

Na ulicy kręciły się dziesiątki ludzi.

Ale żadna z tych osób nie była Nate'em.

Wsadziłam rękę do obszernej kieszeni na środku mojej bluzy, wyjęłam z niej telefon i od razu wybrałam numer Nate'a.

– Odbierz, odbierz, odbierz – powtarzałam, wsłuchując się w sygnał połączenia.

Przekierował mnie na pocztę głosową. Albo miał wyłączoną komórkę. Obstawiałam jednak tę pierwszą opcję.

Wspięłam się z powrotem na schodki prowadzące do mojego budynku, żeby mieć lepszy widok, i rozglądałam się stamtąd na wszystkie strony. Jednocześnie po raz kolejny próbowałam się do niego dodzwonić. Nie odbierał.

Poczułam się, jakby ktoś zgniótł moje serce niczym niepotrzebną kartkę. Odesłałam go z kwitkiem w momencie, gdy oczekiwałam, że mocno go do siebie przytulę. Zawiodłam go, kiedy naprawdę mnie potrzebował. Zawaliłam pierwszą poważną próbę.

Po chwili dołączyła do mnie Serena i rozłożyła nad nami parasol. Stałyśmy tak przez następne pół godziny, przyglądając się każdemu przechodniowi. Moje serce wciąż nie chciało pogodzić się z tym, co umysł zdążył już przyjąć do wiadomości.

Nate odszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

IZZY

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

Usiadłam na kanapie, oglądając w telewizji relację z Mazar-i-Szarif w niezrozumiałym dla mnie języku, podczas gdy wokół kręcili się członkowie zespołu Nate'a.

– Jesteś głodna, Izzy? – zapytał sierżant Rose.

Jakąś godzinę wcześniej ostatecznie podarowali sobie „pannę Astor”, przynajmniej w obrębie mojego pokoju. Pokręciłam przecząco głową bez odrywania wzroku od ekranu. Gdzieś tam musiała być Serena.

– Te są już rozpatrzone i trzeba je odnieść do kancelarii na dole. – Nate poinformował sierżanta Blacka, wręczając mu stertę dokumentów, nad którymi osobiście przesiedział ostatnią godzinę.

– Nie wiem nawet, o czym mówią – mówiła cicho sama do siebie, przyciskając poduszkę do piersi.

– No tak. – sierżant Rose nachylił się do mnie. – To język dari. Ja akurat lepiej radzę sobie z paszto. – Obejrzał się przez ramię. – Green!

– Nate mówi w paszto – wyszeptałam, natychmiast się krzywiąc. Zapomniałam, że nie miałam go tak nazywać.

– Zgadza się, tak samo jak w dari, po persku, po francusku i po jakimkolwiek, jeśli jest mu to akurat potrzebne. Koleś nigdy nie

zwalnia tempa. – Rose zerknął na mnie kątem oka. – I nie przejmuj się. Wszyscy znamy jego prawdziwe imię.

Do kanapy podszedł Nate i usiadł po mojej lewej stronie. Zesztywniałam, żeby tylko się w niego nie wtulić. Na dobrą sprawę nie dokończyliśmy naszej wcześniejszej rozmowy i nie doszliśmy do żadnego porozumienia. Po prostu... przzerwaliśmy.

– Co mówią? – zapytałam.

– Talibowie przejęli kontrolę nad miastem w mniej niż godzinę od przzerwania barykad na jego obrzeżach – recytował Nate. – Gdy do tego doszło, siły rządowe i armia niezawodowa uciekły bez walki.

Sierżant Rose zaklął.

– Tym sposobem afgański rząd kontroluje już tylko Kabul i Dżalalabad. – Nate odwrócił się do mnie. – Nie powinnaś tego oglądać.

– Dlaczego nie? Ona doświadcza tego na własnej skórze. Pewnego razu powiedziała mi, że ignorowanie sytuacji nie sprawi, że dotkniętym nią ludziom będzie się żyło lepiej. – Mocniej przycisnęłam do siebie poduszkę. – Ona została tą sytuacją dotknięta.

Otworzyły się drzwi do pokoju i wszedł przez nie sierżant Black, który zdążył już wrócić po odniesieniu dokumentów. Udał się prosto do stołu, przy którym sierżant Gray zajmował się czymś, co pewnie należało do obowiązków radiooperatora.

– Zawaliłam – powiedziałam półgłosem.

Sierżant Rose spojrział ponad moją głowę na Nate'a, po czym wstał i dołączył do reszty.

– Wcale nie – pocieszył mnie Nate. – Serena sama podjęła tę decyzję. Miała do tego prawo, podobnie jak każde z nas. Za to udało ci się wydostać drużynę szachistek.

Parsknęłam.

– To ty je stamtąd wydostałaś. Ja tylko załatwiłam papiery. – Poczucie porażki opadło na dno mojego żołądka niczym kotwica okrętowa. – Odkąd tu przyjechałam, nie udało mi się nic poza nieprzekonaniem Sereny do wyjazdu i marnowaniem czasu twojego zespołu w momencie, kiedy z całą pewnością byliście potrzebni gdzie indziej. – Straciłam też narzeczonego, ale to akurat poczytywałam za sukces. Ani trochę się nie przejmowałam tym, że

będę musiała to jakoś wyjaśnić rodzicom. Nie bez powodu nie odzywałam się do nich od paru tygodni.

– Newcastle też pojechałby do Kandaharu – odezwał się Nate. – Też ominąłby go wielki powrót Covingtona do ojczyzny. A ja i tak siedziałbym w tym pokoju. – Jego cudowne usta niespodziewanie ozdobił uśmiech. – Nie pozwoliłbym mu jedynie spać z głową na moich kolanach. Istnieją pewne granice.

– Ale nie w moim przypadku?

– W twoim przypadku nie ma żadnych granic – stwierdził cicho. – Wiem, że nie ma to teraz wielkiego znaczenia, ale chciałem cię przeprosić za to, że wcześniej mnie poniosło.

Zerknęłam na niego ukradkiem.

– Wcale cię nie poniosło – odparłam.

– Poniosło. Tylko o tym nie wiedziałaś.

– Green – zawołał sierżant Gray. – Mamy coś.

Nate wstał, a ja wróciłam do oglądania obcojęzycznych wiadomości w telewizji.

– Izzy – usłyszałam jego głos po niecałej minucie.

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam Nate'a trzymającego w ręku toporną słuchawkę.

– Dzwoni Serena.

Zerwałam się z kanapy, mało co nie potykając się o stół, i dopadłam do radiotelefonu.

– Serena? – rzuciłam do słuchawki przekazanej mi przez Nate'a.

– Jestem w drodze, Izzy – odpowiedziała. – Nie mam pojęcia, jakie znajomości ma ten twój facet, ale siedzę w samochodzie z Tajem i tą odlotową komórką.

– Nic ci nie jest? – Zakryłam twarz i opuściłam głowę, czując, jak do oczu napływają mi łzy.

– Jestem cała. Ale od Kabulu dzieli nas sześćset kilometrów i cała masa posterunków kontrolnych. Z moimi dokumentami powinni nas wszędzie przepuszczać, ale nie możesz na mnie czekać.

Skręciło mnie w żołądku.

– Nie mogę wyjechać bez ciebie.

– Możesz i wyjedziesz. Wsiądę do pierwszego samolotu, w jakim znajdzie się dla mnie miejsce, ale nie czekaj na mnie. Obiecuj mi to.

– Nie wiem nawet, czy uda mi się stąd wylecieć, zanim tu dotrzesz, więc ta dyskusja może się okazać bezprzedmiotowa – próbowałam argumentować. Gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam Nate’a stanowczo kręcącego głową.

– Chcę oszczędzać baterię w tym urządzeniu, więc będę kończyć. Ale obiecaj mi, że nie będziesz czekać, Iz.

– Obiecuję – wyszeptałam. – Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Oddałam Nate’owi słuchawkę, którą od razu przyłożył do ucha.

– Znalazłem dla niej lot na jutro wieczorem. – Spojrzał mi w oczy. – Przerzucę ją sobie przez ramię, zaniosę na pokład i osobiście zapnę w fotelu.

Wściekła, zgromiłam go wzrokiem, ale on tylko błysnął swoim dołączkiem. Musiał!

– Serena, tylko nie daj się zabić. Izzy nigdy by sobie nie wybaczyła, że nie zapakowałaś swojego tyłka do helikoptera, kiedy miałaś okazję. – Zakończył połączenie i przekazał sprzęt w ręce Graya.

– Dziękuję – powiedziałam do Nate’a. – Za wszystko, co zrobiłeś. Dziękuję. – Nie byłam nawet blisko tego, co naprawdę powinnam była mu powiedzieć, ale na nic więcej nie potrafiłam się zdobyć.

Skinął mi głową.

– Nie żartowałem. Własnoręcznie załaduję cię jutro wieczorem do tego samolotu.

A to oznaczało, że pozostały mi z nim ostatnie dwadzieścia cztery godziny.

* * *

Przewróciłam się na drugi bok i spojrzałam na zegar. Jak co godzinę, odkąd chwilę po północy położyłam się do łóżka. Gdy minęły godziny urzędowania Departamentu Stanu, nie było już sensu dalej wydzwaniać w sprawie kolejnych wiz. Z samego rana będę mogła jednak pomóc w rozmowach weryfikacyjnych z wnioskodawcami. Zamierzałam się tym zajmować, dopóki Nate nie zdecyduje, że pora odwieźć mnie na lotnisko.

Dochodziła czwarta nad ranem, więc pewnie właśnie się budził.

Obróciłam się na plecy i zaczęłam wpatrywać w sufit, puszcżając wolno swoje myśli.

Nate był przekonany, że odrzuciłam jego zaręczyny, ponieważ go nie kochałam. A potem przykleił pierścionek zaręczynowy do swojego nieśmiertelnika i wszędzie go ze sobą nosił. Co miałam zrobić z taką wiedzą?

Jeśli będę tak leżeć, marnując ostatnie godziny, jakie nam pozostały, do niczego mnie to, a tym bardziej nas, nie doprowadzi.

Z wałącym sercem zsunęłam nogi z łóżka i przeszłam do salonu, gdzie zapaliłam światło, choć wewnątrz apartamentu rozjaśniał blask księżyca. Ruszyłam dalej, do aneksu kuchennego. Tam zatrzymałam się przy jednym z blatów i założywszy ramiona na piersi zakrytej koszulką na ramiączkach, utkwiałam wzrok w pierścionku. Był idealny. Prosty. Dokładnie taki sama bym wybrała, gdybym była razem z nim w sklepie jubilerskim. Kupił go po powrocie z Fidżi. Już po tym, jak postanowiłam żyć dla krótkich momentów, kiedy go dla siebie miałam. A zatem Nate widział dla nas przyszłość.

Udało mi się go podnieść dopiero za trzecim razem. Trochę się lepił od resztek kleju, co tylko czyniło go doskonalszym. Na myśl o życiu, które ten pierścionek reprezentował, o życiu, które mogłam wieść wspólnie z Nate'em, zrobiło mi się ciężko na sercu.

Chwyciłam swoją kartę-klucz i wyszłam z pokoju, nim zdążyłam się nad tym dobrze zastanowić. Tuż za drzwiami stanęłam jak wryta.

Sierżant Rose, stojący przy drzwiach do pokoju Nate'a, zamrugął na mój widok, chyba dość zaskoczony.

– Wszystko w porządku, panno Astor?

No tak. Cholera, że też wyobrażałam sobie, że tak po prostu przetnę korytarz i zapukam do Nate'a.

– Robisz za niańkę? – zagadałam, zasłaniając piersi skrzyżowanymi ramionami, nagle przypomniawszy sobie, że nie zwykłam kłaść się spać w staniku.

– Pełnię wartę, tak. – Zdusił uśmiech kryjący się w gęstej brodzie.

– Racja. To może ja po prostu... – *Wrócę do swojego pokoju i będziemy udawać, że wcale mnie tu nie było.*

– Chociaż w sumie... – odezwał się Rose, wyciągając z przedniej kieszeni plastikową kartę. – Mam ochotę trochę namieszać

z samego rana. Bo czemu nie. – Wzruszył ramionami i przyłożył kartę do zamka w drzwiach do pokoju Nate'a.

Gdy światelko nad klamką zmieniło kolor na zielony, ani chwili się nie wahałam.

– Dziękuję. – Posłałam sierżantowi uśmiech, sięgnęłam do klamki i szybko ją nacisnęłam, żeby zamek nie zdążył się samoczynnie zablokować.

– Tylko nie mów mu, że to moja sprawka.

Skinęłam głową, otworzyłam drzwi, weszłam do środka i od razu je za sobą zamknęłam, nie chcąc ryzykować, że opuści mnie odwaga i ucieknę. Słyszałam szum lejącej się wody, przez szczelinę pod drzwiami do łazienki wydostawał się snop światła, ale resztę pomieszczenia spowijał mrok.

– Nate? – zawołałam dość cicho, żeby go nie wystraszyć. Dobrze pamiętałam, jak sprawy się potoczyły, gdy poprzednim razem popełniłam ten błąd. Musiał mnie jednak nie usłyszeć spod prysznicza.

Na tę myśl mimowolnie rozchyliłam usta. Stał pod lejącą się na niego wodą. Zupełni nagi. Zrobiło mi się gorąco, więc zaczęłam się wachlować kartą do swojego pokoju. Gdy szum wody ucichł, odłożyłam ją na komodę. W przeciwieństwie do pierścionka, którego nie zamierzałam wypuszczać z rąk, tylko kurczowo się go trzymać, jakby był ostatnią szansą na przemówienie do Nate'a.

Nadal kochałam go całym sercem, więc zdecydowanie było o co walczyć.

– Nate? – odezwałam się łagodnie, stając między jego łóżkiem a biurkiem.

– Izzy? – Usłyszałam szelest materiału, a po chwili z łazienki wyłonił się Nate w ręczniku.

W ręczniku.

Samotny, najzwyczajniejszy w świecie ręcznik, który został pospiesznie przewiązany wokół jego szczupłego pasa. Nie zdążył się nim nawet wytrzeć. Oj, nie, kropelki wody wciąż ściekały po jego ciele, podążając tymi samymi ścieżkami, które kiedyś pokonywałam językiem. Na przykład tamta, o tam... Ta spływająca po jego umięśnionej piersi, łącząca siły z innymi kropelkami, by wspólnie pokonać płytkie kaniony wyrzeźbione w jego naprężonym brzuchu

i ostatecznie dotrzeć do wyraźnego V, na którego widok od razu chciałam ściągać majtki, do V, od którego już niedaleko było do...

– Izzy.

Szybko podniosłam wzrok na twarz Nate'a, cała się rumieniąc, nie tylko na policzkach.

– Cześć – wydusiłam.

Nate ściągnął brwi.

– Cześć? Jest... – zerknął na tarczę zegara – czwarta nad ranem, a ty wpadłaś powiedzieć mi „cześć”? Dziewczyna, która jeśli tylko może, nie wstaje przed dziesiątą?

– Jesteś w ręczniku. – Czy naprawdę nie było mnie stać na nic lepszego?

– Brałem prysznic. To naturalna kolej rzeczy. Prysznic. Ręcznik. Ubrania. A właściwie jak się, do cholery, dostałaś... – urwał i westchnął. – Nieważne. I tak wiem, kto cię wpuścił.

– Nie gniewaj się. – Pierścionek wbijał mi się w dłoń, ale w dalszym ciągu trzymałam go w zamkniętej pięści.

– Nie jestem zły. Trochę skołowany, ale nie zły.

– Nie mogłam spać. Nie, kiedy wiem, że zostało mi tylko parę godzin z tobą. – Ostatnich kilka słów opuściło usta bez pytania mnie o zgodę.

Jego spojrzenie nagle straciło wyraz. Wycofywał się za swój wysoki na parę kilometrów mur, gdzie znalazłby się poza moim zasięgiem. Nie mogłam na to pozwolić. Nie tym razem.

– Myślałam, że byłeś w szoku, kiedy mi się oświadczałeś – wypaliłam z gracją podobną do tej, z jaką odezwałam się do niego w dniu, w którym się poznaliśmy. *Fajnie, że z biegiem lat mądrzejemy.*

– Nie musimy do tego wracać.

– Musimy. – Podeszłam bliżej, bardzo blisko, ale nie wyciągnęłam do niego ręki. – Wciąż jeszcze nie pozbierałam się po tym, jak nie zjawiłeś się na Palau, a moi rodzice... zachowywali się jak przystało na rodziców, chyba po raz pierwszy. I wtedy stanąłeś pod moimi drzwiami, ewidentnie zrozpaczony po utracie przyjaciela, prosząc mnie, bym zdecydowała za ciebie, czy masz zostać w armii, czy zrezygnować. W dodatku nie byłeś... sobą. Słowa ci się plątały, wzrok miałeś błędny. Wciąż powtarzałeś, że to ja mam podjąć

decyzję, co z nami dalej będzie, mimo kolejnych argumentów, którymi próbowałam pokazać ci, że nie myślisz trzeźwo, że postępujesz irracjonalnie. Patrząc na to z perspektywy czasu, sama też nie myślałam wtedy trzeźwo, jednak wydało mi się to nieprawdziwe.

– Uklęknąłem przed tobą – wyszeptał.

– Uwierz mi, pamiętam. – Zrobiłam ostatni krok do przodu i przyłożyłam wolną dłoń do jego zarośniętego policzka. – W tamtej chwili myślałam tylko, że proponujesz mi wszystko, o czym zawsze marzyłam, a mimo to gdybym się zgodziła, nie opuszczałoby mnie poczucie, że wykorzystałam twój słaby moment. Pewnego dnia mógłbyś się obudzić i tego pożałować.

– Wybrałaś rodziców.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Jasne, posłużyłam się znajomościami taty, żeby zatrudniono mnie w biurze Lauren, ale zrobiłam to wyłącznie po to, żeby pomóc w pracach nad projektem ustawy, która i tak została wyrzucona do kosza. Serena powiedziała ci prawdę. Nie wyjechałam do Waszyngtonu dla rodziców. Pojechałam tam dla ciebie.

Nate delikatnie zmarszczył brew. Tylko odrobinę, ale to wystarczyło, żebym wiedziała, że idę we właściwym kierunku. Przełknęłam strach i parłam dalej:

– Zapytałeś, dlaczego zgodziłam się wyjść za Jeremy'ego.

– Nie dam rady, Izzy – odparł Nate, przymykając oczy. – Jestem już na skraju, jeszcze chwila i pęknę, ledwo mogę patrzeć na siebie w lustrze, więc jeśli zamierzasz wymieniać teraz moje wady i pomyłki...

– Przyjęłam jego oświadczenia, ponieważ był kimś, kogo już znałam, wygodną opcją. A zdążyłam wcześniej popełnić największy błąd w swoim życiu, mówiąc „nie” właściwemu mężczyźnie.

Oczy Nate'a nagle szeroko się otworzyły.

– Żałowałam tego każdego dnia. – Rozpostarłam drugą dłoń, odsłaniając trzymany w niej pierścionek. – Być może nosiłeś to przy sobie, za to ja przez cały ten czas miałam cię tutaj. – Przesunęłam rękę nad serce. – Powinnam była powiedzieć „tak” i już zawsze trzymać cię przy sobie z całych sił, chrzaniąc konsekwencje. I gdybym tylko wiedziała, że parę minut później rozpułniesz się

w powietrzu, właśnie tak bym zrobiła. Powinnam była powiedzieć „tak”. Nigdy nie przestałam cię kochać, Nate. Nawet na jedną sekundę.

W jego oczach pojawił się blask, jego dłoń spoczęła na moim karku, jego usta przywarły do moich.

Wreszcie.

Ten pocałunek był jak długo wyczekiwany powrót do domu.

Język Nate'a wślizgnął się między moje usta, a ja rozpląnęłam się w jego ramionach, czując, jak budzi się we mnie pożądanie, rozlewa się po całym ciele, płynąc żyłami i tętnicami niczym ognista lawa, docierając do każdego zakamarka, ożywiając wszystko, co pozostawało uśpione, odkąd ostatnim razem mnie dotykał. Jak udało mi się przetrwać cztery lata bez jego ust? Bez jego silnych ramion?

Wciąż smakował tak samo – miętą i Nate'em. Wycofał język, ale chciałam więcej. Tym razem to ja wsunęłam mu język do ust, przesuając nim wzdłuż wrażliwej wypukłości tuż za zębami. Napawałam się jego urywanym oddechem, delektowałam się mocnym dotykiem jego dłoni, gdy przesuwał nas oboje w bok.

Nate przysiadł na brzegu łóżka i wciągnął mnie między swoje uda. Korzystając z okazji, wypuściłam pierścionek z ręki na stolik nocny. Zaczęłam całować Nate'a tak, jakby miało to być ostatni raz, gdy mogę poczuć na sobie jego usta. Jeśli miało to być wszystko, co dostanę od losu, jeden bezcenny moment, w którym mogę go całować i dotykać, to chciałam w pełni go wykorzystać.

Jego dłoń zsunęła się na mój tyłek, który chwycił ze zdecydowaniem, i mocno mnie do siebie przyciągnął. Cienki materiał mojej podkoszulki nasiąkał kropelkami wody, gdy nasze usta poruszały się w tak dobrze mi znanym rytmie. Ogień pożądania podsycił niezaspokojony głód, tworząc przejmująco słodką miksturę emocji.

– Powiedz to jeszcze raz – zażądał, nie odrywając się ode mnie. Wsunął ręce pod tkaninę moich spodni od piżamy i objął moje nagie pośladki.

– Co dokładnie? – droczyłam się, pociągając delikatnie zębami jego dolną wargę. Boże, jak bardzo mi tego brakowało. Zapomniałam już, jak wspaniale czułam się w jego ramionach.

– Dobrze wiesz, co dokładnie. – Odsunął się, żeby spojrzeć mi w oczy, a serce niemal wyskoczyło mi z piersi.

– Zawsze cię kochałam. Jesteś miłością mojego życia, Nathanielu Phelanie. – Podniosłam ręce i przeczesalam nimi jego mokre włosy.

– A ty kochasz mnie.

– Skąd ta pewność? – Kącik jego ust powędrował lekko w górę.

– Kochasz. – Palcami obu dłoni sunęłam w dół po karku Nate'a, w pewnym momencie rozdzielając je na lewy i prawy bark. – Gdyby było inaczej, twój znak wywoławczy nie brzmiałby Navarre.

Ponownie przywarł do moich ust. Wystarczyło kilka ruchów jego języka, by mój świat zaczął wirować bez kontroli. Właśnie tego pragnęłam. Nie tylko tu i teraz, ale na całe życie. Nie wyobrażałam sobie ani jednego dnia więcej bez wtulania się w ramiona Nate'a.

– Potrzebuję cię. – Jeszcze nigdy wypowiedziane przeze mnie zdanie, choć tak krótkie, nie niosło ze sobą tylu znaczeń. A każde z nich było samą prawdą. Potrzebowałam go na każdy możliwy sposób.

– Wiem. Bóg mi świadkiem, że wiem. – Jego ręka nagle znalazła się między nami, palce tańczyły kusząco na cienkim materiale tuż poniżej gumki od spodni. – Czuję dokładnie to samo. – Pocałował mój podbródek, a potem policzek i miejsce pod uchem, muskając jego płatek. Usta Nate'a ruszyły następnie w wędrówkę po mojej szyi, subtelnym dotykiem warg przygotowując mnie o ciarki, wysyłając sygnał pożądania wzdłuż kręgosłupa, jeszcze bardziej podsycając podniecenie narastające między moimi udami.

Poddając się rozkoszy, odchyliłam głowę, gdy schodził coraz niżej, by wreszcie otoczyć wargami szczyt moich piersi wciąż ukrytych pod wilgotną tkaniną, delikatnie drażniąc zębami moje sutki.

– Marzyłem o tym, odkąd zobaczyłem, jak wysiadasz z samolotu – powiedział, w tej samej chwili ciągnąc moją podkoszulkę w dół, by obnażyć piersi i pieścić ich wierzchołki językiem.

Jęknęłam, wpijając się palcami w jego nagie ramiona, coraz bardziej pochylając się w jego stronę.

– Z całych sił powstrzymywałem się, żeby nie przyciągnąć cię do siebie i nie całować tak długo, aż ten pieprzony pierścienek nie spadłby ci z palca i nie przypomniałabyś sobie, jak dobrze było nam razem. – Drasnął zębami mój sutek, palcami sunął w dół po moim

brzuchu. – Nie było dnia, żebym o tobie nie myślał, nie tęsknił za tobą, nie pragnął cię i nie kochał.

Zmiękły mi kolana.

– Powiedz, proszę, że mogę cię mieć. – Opuszkami palców wodził wzdłuż krawędzi moich stringów.

– Jestem twoja, Nate.

Podniósł głowę, mocno przywarł do mnie ustami, jednocześnie docierając palcami do celu. Zaskomlałam. Objął mnie ramieniem na wysokości ud, by mnie przytrzymać, po czym wsunął we mnie dwa palce i zaczął nimi poruszać w pełnej synchronizacji z tym, co wyprawiał jego język w moich ustach.

Mój Boże! Od buzującego we mnie pożądania kręciło mi się w głowie. Uleciały z niej wszelkie myśli inne niż „bliżej”, „więcej” i „teraz”. Nate zawsze wiedział, jak bawić się moim ciałem. Potrafił godzinami doprowadzać mnie na skraj orgazmu, stopniowo zwiększać napięcie aż do momentu, gdy dłużej już nie mogłam i w końcu dawałam mu upust. Obawiałam się jednak, że tym razem nie wytrzymam aż tyle czasu.

Wsunęłam kciuki pod gumkę spodni od piżamy, przy okazji chwytając też majtki, i jednym ruchem zsunęłam je do kostek, po czym wystawiłam z nich jedną, a potem drugą nogę, i stopą odrzuciłam ubrania na bok.

– Izzy – stęknął Nate z ustami tuż przy moich wargach, po czym przerwał pocałunek, by wolną ręką ściągnąć ze mnie podkoszulkę. – Jak cholernie dobrze jest sprawiać ci przyjemność.

– Nie przestawaj – błagałam, gdy do gry włączył się jego kciuk. Pieścił mnie dokładnie tak, jak należało. Nate wiedział, co lubię i czego potrzebuję. Zalewana falami rozkoszy, dotykałam go wszędzie tam, gdzie tylko mogłam sięgnąć rękoma. Gładziłam jego ramiona, napierałam na umięśnioną klatkę piersiową, próbowałam objąć dłońmi jak największą część jego cudownie szerokich pleców.

– Ani mi się śni. – Wzbierająca we mnie latami żądza naprężyła każdy mięsień w moim ciele. Z każdym pocałunkiem unosiłam się wyżej, z każdym pchnięciem palców Nate’a byłam coraz bliżej końca.

Ale nie chciałam tak dochodzić, nie po tak długim czekaniu.

Zerwałam ręcznik z jego bioder i objęłam dłonią nabrzmiałą męskość. Nate głośno syknął, gdy przesunęłam ręką wzdłuż fiuta, zataczając kciukiem kręgi na gładkiej końcówce.

– Chcę poczuć cię w środku – mruknął.

– To dobrze, bo ja chcę poczuć cię od środka. – Gdy siadałam na nim okrakiem, unosząc się na zgiętych kolanach, by jego penis znalazł się we właściwym miejscu, Nate przez cały czas patrzył mi głęboko w oczy. – Kocham cię, Isabeau Astor.

Te słowa sprawiły, że urosło mi serce, a moją pierś zalało błogie ciepło. Całowałam usta Nate'a i powoli opuszczałam biodra, pochłaniając go centymetr po centymetrze. Gdy wsunął się we mnie do końca, wypełniając mnie w całości, moje ciało zacisnęło na nim mięśnie.

Oboje jęknęliśmy.

Właśnie tego mi brakowało. Nie tylko jego ciała, ale przede wszystkim *jego*. Tego, jak na mnie patrzył, jak mnie dotykał, jak przekonywał mnie, że na całym świecie nic nie liczyło się bardziej niż niewiarygodne wręcz dopasowanie naszych ciał i jednostajny rytm naszych serc.

– Ja pierdolę, Izzy. – Chwycił moje biodra i napinając bicepsy, uniósł mnie, by niemal od razu znów we mnie wejść. – Jest mi lepiej niż w jakimkolwiek śnie. Wspomnieniu. Fantazji. Jesteś nieprawdopodobna.

– Jeszcze raz – zażądałam i zarzuciwszy mu ramiona na szyję, zaczęłam napierać na jego penisa dokładnie wtedy, gdy się we mnie wsuwał, by spotykać się z nim w pół drogi. Co chwila wypełniał mnie sobą, sprawiając, że palce u moich rąk i stóp lekko drżały, wprawiane w ruch słodkim brzęczeniem czystej, niczym nieskażonej rozkoszy.

Nagle znieruchomiał, zastygając pode mną w bezruchu.

– Nate? – zapytałam, odchylając się tylko na tyle, by w słabym świetle dostrzec jego twarz.

– Nie możemy. – Ponownie mnie uniósł, tym razem niechętnie, z wyraźnym ociąganiem. Z jego twarzy można było odczytać, że robi to wbrew sobie, zaciekle walcząc z instynktem.

Ujęłam w dłonie jego twarz.

– Owszem, możemy. – Kołysząc biodrami, znów przyjąłem go w całości. Coś niebywałego, czuć go w sobie. Upojona błogością, przygryzłam dolną wargę.

– Nie mam prezerwatywy – oznajmił, każde słowo wypowiadając z bólem w oczach. – Jakoś tego nie przewidziałem.

– Aha. – Moje biodra skręcały się i wiły, wymykając mi się spod kontroli, zupełnie jakby moje ciało chciało jak najszybciej dostać to, co starałam się odwlec w czasie. – Nie szkodzi.

Uniósł wysoko brwi, a palcami zatopił się w moich biodrach.

– Biorę tabletki antykoncepcyjne. – Musnęłam wargami jego usta. – I nigdy nie uprawiałam seksu bez zabezpieczenia, więc jesteśmy kryci. – Nie wspominając o całym zestawie badań, jakim się poddałam po tym, jak dowiedziałam się o ponadprogramowej aktywności Jeremy'ego.

– Ja też nie – przyznał Nate. Poczułam, jak napinają się pode mną mięśnie jego ud. – Jesteś pewna?

– Nie jestem pewna, czy umiałabym przestać, nawet gdybym chciała. Ale nie chcę. Nie chcę przestawać. – Podniosłam się na zgiętych kolanach i pozwoliłam, by ponownie się we mnie wsunął. Z trudem stłumiłam głośny jęk.

– Jest mi lepiej, niż pamiętałam. A wierz mi, doskonale pamiętam, jak wspaniale było nam razem. – Przesunął rękę na mój pośladek, wpił się we mnie ustami i wrócił do przerwanej posuwania mnie, narzucając mi tempo, do którego ochoczo się dostosowałam.

Sprężyna rozkoszy napinała się we mnie coraz mocniej, napięcie nie przestawało narastać. Gdy poczułam, że zbliża się przełom, całą siłą woli odepchnęłam od siebie moment spełnienia.

Jeszcze nie teraz. Jeszcze trochę.

Nasze ciała poruszały się w mistrzowskiej synchronizacji. Jak perfekcyjnie dobrani partnerzy w tańcu, którego długo sobie odmawiali, ale nigdy nie zapomnieli kroków. Nate całował mnie, jakbym była oddechem, bez którego by nie przetrwał. Wbijał się we mnie, jakby każde pchnięcie tylko zwiększało jego głód.

– Nie ma na świecie niczego wspanialszego – zdołał powiedzieć między niekończącymi się pocałunkami. – Żar, dopasowanie, dotyk... Nic nie może się z tobą równać, Izzy. – Objął mnie ramieniem i obrócił tak, że wylądowałam plecami na łóżku. Nim moje

zmysły, zajęte zupełnie czym innym, odnotowały zmianę pozycji, Nate wszedł we mnie mocniej i głębiej niż do tej pory. – Pragnę cię na każdy możliwy sposób – wysapał.

Kiedy nagle się ze mnie wysunął, jęknęłam z frustracją. Niepotrzebnie, bo natychmiast obrócił mnie na brzuch, po czym podciągnął moje biodra tak, że znalazłam się na kolanach. O tak! Nie było na moim ciele miejsca, które nie płonęłoby z pożądania.

– Teraz! – domagałam się ciągu dalszego.

Każda sekunda, którą kazał mi na siebie czekać, była absolutną torturą.

Umieścił penisa między moimi udami i pchnął, wchodząc we mnie tak głęboko, aż przymknęłam oczy.

– Nate!

– Chwyć się łóżka. – Jego oddech był równie poszarpany co mój, wodzące po całym moim ciele dłonie tak samo wygłodniałe jak moje.

Złapawszy rękoma drewnianą ramę wezgłowia, odepchnęłam się od niej, gdy Nate znów się we mnie wsuwał. Nie dało się tego opisać. Z każdym jego pchnięciem płonęłam jaśniej, a świat wirował coraz szybciej.

– Jest mi tak cholernie dobrze – mruknął Nate, głaszcząc otwartą dłonią moje plecy, stale utrzymując rytm, który nie pozwalał mi nawet dobrze złapać oddechu. – Boże, brakowało mi tego. Brakowało mi *ciebie*.

Szukałam słów, ale bezskutecznie. Wstrząsające mną uderzenia rozkoszy musiały pozbawić mnie rozumu. Byłam tak blisko orgazmu, poczułam w sobie wzbierającą falę, która w każdej chwili groziła przerwaniem tamy.

– Jeszcze nie – zaskomlałam, czując, że zbliża się kulminacja. – Nate, nie chcę, żeby to się skończyło.

– Nie skończy się – obiecał, palcami stymulując moje brodawki. – Nie powstrzymuj się. Zrób to dla mnie.

Eksplodowałam, zalewana kolejnymi falami błogości. Krzyknęłam z twarzą zatopioną w poduszkę Nate'a. Dłonie zsunęły mi się z ramy łóżka i opadłam bezwładnie pod jego ciałem. Niebo. Trafiłam do nieba. I chciałam więcej.

Jak tylko będę mogła ruszyć się z miejsca, ma się rozumieć.

– Ja pierdolę – stęknął Nate, po czym silnymi rękoma przytrzymał moje biodra i powoli we mnie wszedł, na nowo rozpalając żarzący się węgielek pożądania, wywołując pożar większy niż za pierwszym razem. – Jesteś tak blisko, ale wciąż za daleko.

Jego dłonie ześlizgnęły się na moje piersi, a następnie Nate mnie podniósł, przyciągając plecami do swojego torsu. Ani na chwilę nie przestawał mnie penetrować.

Sięgnęłam za siebie ręką i objęłam nią jego kark, po czym odwróciłam głowę, żeby poszukać jego ust. Oboje zbyt łapczywie łapaliśmy powietrze, by namiętnie się całować. Pełen desperacji pocałunek był niechlujny i chaotyczny. Na więcej nie pozwalały nam nasze wilgotne od potu ciała, co chwila spajające się w jedną całość.

– Uwielbiam, gdy mam cię w sobie – zamruczałam, zostawiając czerwone ślady paznokci na karku Nate'a.

– Boże, jak ja cię kocham. – Wszedł we mnie głębiej, aż głośno jęknęłam. – Chcę cię dobrze widzieć.

Nagle wycofał penisa. Zbita z tropu, dopiero po paru sekundach się zorientowałam, że leżę na plecach. Zobaczyłam górującego nade mną Nate'a, ucieleśnienie moich najsłynniejszych erotycznych fantazji. Opierając swój ciężar na łokciach, wrócił do środka, a mi dosłownie zaparło dech w piersi – nasze ciała pasowały do siebie jak ulał. Zgięłam kolana i uniosłam biodra, zmieniając nieco kąt, pod jakim Nate na mnie napierał.

– Kogo ja widzę – rzucił żartobliwie, objął dłońmi moją twarz i patrząc mi prosto w oczy, zwiększył tempo. – Moją Isabeau.

Pokiwałam tylko głową, bo uleciały z niej wszystkie słowa, jakie znałam. Wyginałam się pod nim w łuk, czując, jak w moim podbrzuszu ponownie wzbiera napięcie. Narastało wraz z każdym pchnięciem i cofnięciem bioder Nate'a.

Był wszystkim, czego kiedykolwiek pragnęłam.

– Kocham cię – wyszeptałam, mocno oplatając go ramionami.

Tymi trzema krótkimi słowami musiałam najwyraźniej roztrzaskać nędzne resztki samokontroli Nate'a. Jego oczy pociemniały, zaczął posuwać mnie szybciej i mocniej, całkiem gubiąc dotychczasowy rytm. Palcami czułam, jak napinają się jego mięśnie. Jego dłoń zniknęła z mojego policzka, by zawędrować między nas.

Nate już niemal dotarł do celu. Gdy walczył z nadciągającym orgazmem, starając się jeszcze trochę odsunąć go w czasie, w surowych rysach jego twarzy było tyle piękna, że nie mogłam oderwać od niego oczu.

– Twoja kolej – wysapałam.

– Najpierw ty – odparł krótko i podrażnił palcami moją łechtaczkę. Tyle wystarczyło, by moim ciałem wstrząsnęła kolejna już eksplozja. Drugi szczyt nadszedł bez ostrzeżenia. Wciąż w lekkim szoku, wiałam się i naprężałam, aż Nate też doszedł. Drżał tuż nade mną, wbijając się we mnie trzy ostatnie razy. Po ostatnim pchnięciu szeroko otworzył oczy.

Nate opadł ciężko na łóżko obok mnie, natychmiast przekręcając się na bok i przyciągając mnie do siebie. Tak blisko, jak tylko się dało. Wpatrywał się we mnie spojrzeniem, w którym mieszały się zachwyty i... determinacja.

– Wszystko okej? – zapytałam, gładząc dłonią jego policzek, gdy mój oddech wreszcie się uspokoił.

– To ja powinienem o to pytać – odparł z uśmiechem.

Żadnym tam uśmieszkiem, tylko szczerym, chwytającym za serce uśmieszkiem.

– Nigdy nie czułam się lepiej. – Nachyliwszy się nad nim, delikatnie go pocałowałam. Na myśl, że już za parę godzin będę siedziała w samolocie wracającym do Stanów, zaczęły wilgotnieć mi oczy. – Nie mam pojęcia, jak bez ciebie żyć, Nate. Wiem, że to może nie najlepszy moment. Próbowałam. Naprawdę się starałam. Ale istnienie to nie to samo co życie.

– Wiem. – Zamknął mi usta pocałunkiem. – Żebyś wiedziała, że wiem.

Przełknęłam gulę wzbierającą mi w gardle.

– To co teraz zrobimy? – zapytałam.

Z czułością przeczesał dłonią moje włosy.

– Weźmiemy prysznic, wtedy jeszcze kilka razy doprowadzę cię do orgazmu, a potem stawimy czoła kolejnemu dniu.

Bez obietnic. Bez słodkich przyrzeczeń. Bez planów sięgających dalej niż do wschodu słońca. Po dziesięciu latach zawędrowaliśmy z powrotem na doskonale nam znane terytorium.

Jak zapowiedział, tak zrobił. Doszłam pod prysznicem, ani na chwilę nie odrywając ust od jego warg. A następnie jeszcze raz, ślizgając się plecami po mokrych płytkach na ścianie, gdy Nate zagłębił się we mnie, posuwając mnie z takim zapałem, jakby mógł zatrzymać czas, gdyby tylko wystarczająco się postarał.

Ledwo co owinęliśmy się ręcznikami, kiedy rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi.

– Zostań tutaj – powiedział Nate, złożył krótki pocałunek na moich opuchniętych ustach i wyszedł z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Przetarłam ręką zaparowane lustro i spojrzałam na widoczną w nim kobietę. Jej policzki pokrywały rumieńce, z oczu bił blask, a jej podrażniona męskim zarostem szyja była delikatnie zaczerwieniona. Wyglądała jak wersja mnie, którą najbardziej lubiłam. Taka, która istniała tylko w obecności Nate'a.

Po chwili znów otworzyły się drzwi łazienki i stanął w nich Nate z poważną miną.

– Co się dzieje? – Obróciłam się w jego stronę, obawiając się najgorszego. – Coś się stało z Sereną?

Pokręcił tylko głową.

– Ubieraj się. Są już pod miastem.

Otworzyłam szeroko usta.

– Pod Dżalalabadem?

Szczęka Nate'a lekko drgnęła.

– Nie. Dżalalabad poddał się w nocy, kiedy słodko spaliśmy. – Są tutaj, w Kabulu.

O jasna cholera.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

NATHANIEL

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

– To będą już trzy setki – stwierdził Elston, zamykając za nami drzwi prowadzące na dach, gdy chinook odlatywał z kolejnymi pięćdziesięcioma osobami ewakuowanymi z ambasady.

Poza granicami „zielonej strefy” miasto pogrążyło się w kompletnym chaosie. Zresztą tutaj wcale nie było dużo lepiej. Spanikowani ludzie to niebezpieczni ludzie, a mimo że ewakuacja szła póki co całkiem nieźle, to licho wie, jak poszczególne osoby w murach ambasady zareagują na widok podjeżdżających pod bramę pikapów obwieszonych białymi flagami.

– Zostało nam tylko kilka tysięcy – odparłem, kiedy schodziliśmy po schodach w pełnym ekwipunku bojowym. – Jak myślisz, ile mamy jeszcze czasu?

– Zanim prezydent wynegocjuje warunki kapitulacji, talibowie postanowią wpierdolić się z buciarami do „zielonej strefy”, czy przekonasz pannę Astor, żeby się stąd zawijała? – dopytał Elston przy akompaniamencie niosących się po klatce schodowej ciężkich kroków naszych wojskowych butów.

– Założę się, że będą w „zielonej” jeszcze przed kolacją – dorzucił Torres, który właśnie nas dogonił.

– Rozmowy z władzami trwają już od paru godzin, więc kapitulacja nastąpi prędzej niż później. Mamy szczęście, że bojownicy nie

weszli jeszcze do miasta, a co się tyczy panny Astor... – urwałem i westchnąłem. Właśnie mijaliśmy czwarte piętro. – Już jej powiedziałem, że zbieramy się o piątej, bez względu na to, czy będzie, czy nie będzie chciała jechać.

Izzy od samego rana siedziała zabunkrowana z personelem ambasady, rozpatrując na ostatnią chwilę tyle wniosków wizowych, ile tylko możliwe, i gromadząc puste paszporty do spalenia. Graham został poinstruowany, by nie odstępować jej na krok, choć gdyby wpadł na pomysł zastosowania zasady trzydziestu centymetrów, musiałbym skopać chłopu dupsko. I to porządnie.

Im niżej schodziliśmy, tym głośniej się robiło. W lobby musiały się dziać dantejskie sceny. Ten moment nadszedł szybciej, niż przewidywały jakiegokolwiek raporty wywiadowcze, a konsekwencje tego niedoszacowania napierdały w nas bez litości.

– Na pewno nie chcesz, żeby odleciała wcześniejszym śmigłowcem? – zapytał Elston, gdy opuszczaliśmy klatkę schodową na trzeciej kondygnacji. Drzwi do pokoju Izzy były szeroko otwarte, stał w nich Parker, a wzdłuż korytarza uformowała się kolejka cywilów.

– Dobre pytanie – wtrącił Torres.

– Widziałeś te zakorkowane ulice? – zapytałem.

– Zator widać pewnie z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej – odparł Elston, omiatając wzrokiem sytuację na korytarzu. – Całe miasto stoi w miejscu.

– Wszyscy ci ludzie porzucają swoje samochody i uciekają na lotnisko. Apex skierował tam już dwa zespoły i mówi, że to jakiś pojebany koszmar. Jeden wielki zamęt. Samolot Izzy startuje o dziesiątej i nie chcę, żeby siedziała w tamtym cyrku dłużej niż trzeba. Tutaj mamy przynajmniej wszystko pod kontrolą.

– Póki co – dodał Elston w chwili, gdy wchodziliśmy do apartamentu Izzy, mijając w drzwiach Parkera.

– Póki co – przyznałem. Ale jeśli się to zmieni, wsiądzie do następnego helikoptera. I w dupie miałem, kogo będę musiał z niego wyrzucić, żeby zrobić dla niej miejsce.

Ta strona mnie, której nigdy nie chciałem pokazywać Izzy, chwilowo przejęła nade mną władanie. Isabeau mogły nie spodobać

się moje metody działania, ale przynajmniej pozostałaby przy życiu, a to było dla mnie najważniejsze.

Zastąpiłem ją przy niewielkim stole jadalnianym, kiwającą głową w odpowiedzi na to, co mówiła do niej siedząca naprzeciwko kobieta. Izzy, jako samozwańcza urzędniczka konsulatu, starała się przeprowadzić możliwie najwięcej rozmów weryfikacyjnych.

– Siedzi tak od bitych dwóch godzin – powiedział cicho Graham, który właśnie do nas podszedł.

– Jadła lunch? – zapytałem, nie odrywając od niej oczu. Zaczerwieniona skóra na jej szyi, podrażniona wcześniej przez moją brodę, zjaśniała od rana do barwy bladego różu. Ale choć prezentowała się elegancko i profesjonalnie, ubrana w kremową bluzkę i ciemne spodnie, z włosami upiętymi nisko w praktyczny kok, wciąż widziałem ją pod sobą. Jej rozpuszczone włosy opadające na jej nagie ciało i usta mówiące, że mnie kocha.

Kochała. Mnie.

– Jadła.

Skinąłem głową. Dobrze. Trudno było przewidzieć, jak wyglądała sytuacja z prowiantem na lotnisku.

– Leci wojskowym czy cywilnym? – zapytał Graham, z niepokojem marszcząc brew.

– Cywilnym. – Moja szczeka lekko drgnęła. – Jeszcze parę godzin temu cywilnych lotów było najwięcej.

– Hmm... – Graham przyglądał się, jak kobieta siedząca przy stole z Izzy podnosi się i podaje jej rękę.

– Czyżbyś zdążył się przywiązać do panny Astor, sierżancie Gray? – skomentował Elston, układając ledwo widoczne pod bujną brodą usta w złośliwy uśmiezek.

– Bardziej jestem przywiązany do opanowanego jak skurwysyn Greena. – Przechylił głowę w bok, gdy mijała go rozmówczyni Izzy, niosąca pod pachą teczkę ze swoimi dokumentami. – Ale polubiłem ją. Jest w porządku.

Izzy wstała przed chwilą od stołu, żeby rozprostować ramiona. Podszedłem do niej.

– Wszystko okej? – zapytałem, pilnując się, by moje ręce nie wywinęły jakiegoś numeru. Nie mogłem jej pocałować. Nie tutaj. Nie, dopóki nie zostaniemy sami.

– Chcę po prostu pomóc jak największej liczbie osób – odpowiedziała, delikatnie się do mnie uśmiechając.

Ależ ja tęskniłem za tym uśmiechem. Uśmiechem, który wyrażał nie tylko radość czy rozbawienie, co wręcz zadowolenie z życia.

– Jesteś zaskakująco spokojna jak na kogoś, kto znalazł się w epicentrum strefy działań wojennych.

– Sierżant Gray skontaktował się na moją prośbę z Sereną. – Uśmiechnęła się szeroko. – Jest w połowie drogi.

– A posterunki kontrolne? – zapytałem.

– Do tej pory na każdym ich przepuszczano, a ja mogłam przypadkiem ... – urwała i zmarszczyła nos.

– Mogłaś przypadkiem co? – Poczułem nerwowy ucisk w żołądku.

– Mogłam przekonać ambasadora, żeby zgodził się przeprowadzenie rozmowy z Tajem przez telefon w zamian za moje usługi. – Skrzywiła się. – Usługi... to znaczy pomoc przy rozmowach weryfikacyjnych, nie... innego rodzaju usługi.

– Mam nadzieję, że nie. – Kącik moich ust powędrował w górę. – Czyli wiza Taja została wydana?

Izzy obróciła się na pięcie i pochyliła nad stołem.

Wcale nie zawiesiłem spojrzenia na jej tyłku.

Ale nie byłoby w tym nic złego, prawda? W końcu mnie kochała.

– Mam ją tutaj. – Pomachała dokumentami. – Schowam do torebki.

Odebrałem od niej papiery i włożyłem do jednej z kieszeni na swoim mundurze.

– Ja to wezmę. Jeśli wszystko nagle się zesra, możesz nie mieć czasu, żeby zabrać ze sobą torebkę, ale możesz być absolutnie pewna, że zdążysz zabrać ze sobą mnie.

Izzy opuściła wzrok na moje usta.

– Podoba mi się, że jedziesz ze mną.

Znów ten ucisk w żołądku.

– Na lotnisko – dodałem dla jasności. Gdy tylko odstawię ją w bezpieczne miejsce, będą czekały na mnie nowe rozkazy.

– Wiem. – Jej twarz posmutniała, a ja miałem ochotę trzepnąć się w łeb za to, że musiałem to za wszelką cenę podkreślać. Izzy spojrzała za mnie. – Jest kolejna osoba.

– W takim razie nie przeszkadzam. – Odruchowo chciałem unieść rękę i pogłodzić ją po policzku, ale w porę się opanowałem. –

Trzymaj się blisko sierżanta Graya. Muszę zaprowadzić kolejną grupę na dach. – Izzy pokiwała głową. Odwróciłem się i skierowałem do drzwi. – Nie spuszczaaj jej z oczu – poleciłem Grahamowi.

– Nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki nie nadejdzie czas odlotu – potwierdził.

Gdy wyszedłem na korytarz, napotkałem czekającego na mnie Torresa. Skinął w stronę drzwi do mojego pokoju.

Zerknąłem przez ramię na Elstona.

– Daj mi pięć minut.

Zgodził się, więc wszedłem do pokoju. Torres wślizgnął się do środka tuż za mną, w ostatnim momencie, nim zatrzasnąłem za sobą drzwi.

– W mieście robi się coraz większy gnój – powiedziałem do niego, wrzucając resztę swoich rzeczy do torby, żeby być w każdej chwili gotowym do wyjazdu.

– Na to wygląda – odparł z nietęgą miną, przysiadając na brzegu niewielkiego biurka.

– Co jest grane? – Poprawiłem łańcuszek na szyi, tak żeby lepiej ułożył się pod kevlarem.

– Sprawdzam tylko, czy u ciebie wszystko w porządku.

Spojrzałem na niego, mrużąc oczy. Do moich nozdrzy dotarł niewyraźny zapach dymu. Zaczęło się palenie dokumentów z wrażliwymi danymi.

– Wybacz... – Torres podniósł dłonie, jakby poddawał się podczas aresztowania. – Ale jeśli będziesz nie tyle skupiał się na Izzy, co będziesz nią pochłonięty, nikomu w tej sytuacji nie wyjdzie to na dobre.

– Isabeau mnie nie rozprasza, jeśli właśnie to sugerujesz. – Przeszedłem do łazienki i skorzystałem z jej dobrodziejstw, bo potem mogłem nie mieć ku temu okazji.

– Myślę, że moje podejrzenia są uzasadnione – usłyszałem, jak kumpel przekrzykuje szum spuszczonej w toalecie wody.

Umyłem ręce i pokręciłem przed lustrem głową.

– Mam to pod kontrolą – zapewniłem go.

– Za parę godzin będziesz się z nią żegnał, a z doświadczenia wiem, że zwykle jesteś nieco rozpieprzony po takich rozstaniach.

Otworzyłem gwałtownie drzwi i zgromiłem swojego najlepszego przyjaciela wzrokiem.

– Wcale nie jestem zwykle...

Torres uniósł wymownie ciemną brew.

– No dobra. Owszem, to jest... – Szukałem właściwego słowa, takiego, które nie sprawi, że wyląduję na kozetce i wyrzucą mnie z oddziału. – Jest to trochę *niepokojące* ponownie spotkać się z Izzy, mieć ją na wyciągnięcie ręki, a potem znowu ją odesłać, nie tylko z powrotem do kraju, ale do tego samego cyklu, w którym jesteśmy uwięzieni od dziesięciu lat.

– Otóż to. – Torres pokiwał głową, a ja zacząłem krążyć nerwowo po pokoju.

– Czy naprawdę tylko na tyle nas stać? – Wypuściłem frustrację z pudła, do którego tak długo ją upychałem, a ona pochłonęła mnie bez reszty. – Minęło dziesięć lat, a co ja mogę jej powiedzieć? Że świetnie było znowu się zobaczyć i że może znajdę jakiś wolny weekend za pół roku?

– Do tej pory tak to działało.

– To nigdy tak naprawdę nie działało. W tym cały pieprzony problem. Ona oczekuje więcej, a ja nie mogę jej tego dać. Oczekuje wspólnego życia, domu, spełniania marzeń...

– To zupełnie tak jak ty – wtrącił Torres, wzruszając ramionami.

Zatrzymałem się w pół kroku.

– Nie mam na to czasu.

– A weź spierdalaj z tym „nie mam czasu”. Sam zawsze chciałeś dokładnie tego samego. Armia miała być tylko narzędziem do osiągnięcia tego celu, pamiętasz? Bo ja tak. Studiowałeś filologię angielską, zdobyłeś dyplom konkretnie po to, żeby pewnego dnia, gdy skończysz już z wojskiem, uczyć w szkole. – Torres skrzyżował ramiona na piersi. – Nie przeszło ci kiedyś przez myśl, że być może jesteś nieszczęśliwy, bo prowadzisz życie, którego nigdy nie chciałeś?

– Nie – odparłem krótko, pokręciłem głową i spojrzałem na zegar. Śmigło przyleci za dwadzieścia minut, a trzeba było jeszcze zaprowadzić kolejną grupę ewakuowanych na dach.

– Tak długo okłamywałeś samego siebie, że zacząłeś w to wierzyć.

– Torres westchnął i potarł twarz rękoma. – Nosisz ze sobą ten

pierścionek, bo daje ci nadzieję, że któregoś dnia wreszcie wsuniesz go na jej palec. Że pewnego dnia zerwiesz z dotychczasowym życiem. Żyjesz dla dnia, w którym w końcu dacie sobie szansę.

– Może wcale nie ma dla nas szansy. – Staralem się mówić spokojnie, choć moje serce coraz bardziej się zaciskało. – Może Izzy zasługuje na więcej.

– Okeeej. Wskaż mi jednego faceta na tej planecie, który jest w stanie kochać ją bardziej niż ty, a uznam tę rozmowę za zakończoną. – Torres zwiesił ramiona, a nie doczekawszy się mojej odpowiedzi, dodał: – Sam widzisz. Wobec tego czas złożyć jej obietnicę.

– Jaką konkretnie obietnicę masz na myśli? – Podrapałem się po zapuszczanej od niedawna brodzie. Jeszcze parę dni i etap uporczywego swędzenia powinienem mieć za sobą.

– Obietnica, że tym razem zrezygnujesz. – W ustach Torresa zabrzmiało to dziecinnie prosto.

– Uważasz, że powinienem opuścić oddział. – Sama myśl o tym była... Kurwa, nawet nie wiedziałem, co o tym sądzić. Wolałem się w to nie zagłębiać, bo jeszcze nie spodobałyby mi się wnioski, do jakich bym doszedł.

– Myślę, że zajmowanie się tym – wskazał ręką dookoła nas – nie było nigdy twoim marzeniem. To ja zawsze o tym marzyłem. Nie powiem, daleko dzięki tobie zaszedłem, ale jasna cholera, gościu, stracisz tę kobietę raz na zawsze, jeżeli wreszcie nie odpuścisz.

Na tym należało zakończyć naszą rozmowę. Odwróciłem się i wyszedłem na korytarz. Za sobą słyszałem lekki krok Torresa.

Elston spojrzał na mnie badawczym wzrokiem.

– Wszystko w porządku?

– Nie – mruknął Torres.

– Jak najbardziej. Zbierzmy kolejną grupę.

Trzy godziny później nastroje panujące w murach ambasady znacząco się pogorszyły. Smród paniki i dobiegające z miasta odgłosy strzałów sprawiały, że atmosfera gęstniała z minuty na minutę. Wiadomość o poddaniu stolicy przez afgański rząd przetoczyła się przez placówkę niczym szybko rozprzestrzeniający się pożar.

W pewnym sensie dosłownie.

Z porozstawianych wszędzie metalowych wiader wypełnionych po brzegi płonącymi dokumentami buchały kłęby czarnego gęstego dymu.

Lada chwila miało się zjawić śmigło. Najwyższa pora się stąd zabierać.

– Zdążę przeprowadzić jeszcze parę rozmów – upierała się Izzy, gdy wkładałem jej przez głowę kamizelkę kuloodporną i zapinałem paski po bokach. W jej apartamencie nikogo już nie było.

– Nie ma sensu. Nie został tu nikt, kto zamieniał te rozmowy w wizy. – Na dachu lądował śmigłowiec za śmigłowcem, zabierając na lotnisko personel ambasady. Mieliśmy odlecieć stąd następnym kursem. W dupie miałem, kto będzie czekał na kolejny lot, pod warunkiem że nie będzie to Izzy.

– Nadal są tu tysiące ludzi! – zaprotestowała.

– I niewykluczone, że nie przeżyją. Nie ma opcji, żebyś umierała razem z nimi. – Objąłem jej twarz i ją pocałowałem, krótko, ale intensywnie, po czym poprawiłem hełm na jej głowie.

– Sama mogę to zrobić.

– Ale może sprawia mi to przyjemność. – Przesunąłem zewnętrzną stroną palców w dół jej policzka. – Zabierz swój plecak.

– Twój plecak – mruknęła, zakładając go na plecy.

– Oddałem ci go tak dawno temu, że już nigdy nie będzie mój. Masz swój paszport? – Musiałem mieć absolutną pewność, że wsiądzie do samolotu i nim odleci.

Obrzuciła mnie lekko urażonym spojrzeniem.

– Podróżowałam już *sama*, Nate.

– Słuszna uwaga. – Zaprowadziłem ją do drzwi, w pełni świadom hałasu dobiegającego z korytarza. – Trzydzieści centymetrów, Izzy.

– Wiem. – Jej oddech przyspieszył, a strach rozszerzył źrenice.

– Zabierzmy cię stąd. – Wyciągnąłem do niej lewą dłoń. Chwyciła ją, mocno splatając palce z moimi. Nie mogłem pozwolić, żebyśmy zostali rozdzieleni w chaosie, w którego sam środek za moment wejdziemy. Otworzyłem drzwi, pod którymi czekali na nas prawie wszyscy członkowie mojego zespołu.

Elston był już na dachu, gdzie wspierał drużynę snajperów.

– Idziemy – zakomenderowałem.

Otoczeni przez chłopaków, przesuwalismy się wzdłuż korytarza, przedzierając się przez tłum, który zdawał się nie mieć końca.

– Zostawiamy tylu ludzi – zauważyła Izzy, odwracając głowę za mężczyzną biegnącym w przeciwnym kierunku.

– To nie jest ostatni helikopter – zapewniłem.

– Zapchane – poinformował mnie Graham, gdy otworzył drzwi na klatkę schodową.

– Odsuną się – stwierdziłem tonem, który nie pozostawiał miejsca na jakąkolwiek interpretację. Na wszelki wypadek prawą dłoń trzymałem na karabinie, póki co przewieszonym przez ramię. Nie chciałem niepotrzebnie straszyć ludzi, jeśli sytuacja tego nie wymagała.

Skinął mi przez ramię i ruszyliśmy w górę schodów.

Graham przepychał się przez mrowie ludzi, robiąc nam miejsce. Im wyżej wchodziliśmy, tym gęstszy stawał się dym. W niemal każdej części budynku płonęły ważne dokumenty. Jeden czysty paszport w złych rękach i wróg mógłby dostać się na amerykańską ziemię. Na takie ryzyko nie można było sobie pozwolić.

Czując, jak serce bije mi coraz szybciej i coraz mniej rytmicznie, przyciągnąłem do siebie Izzy. Lustrowałem mijane twarze, wypatrując kogokolwiek, kto nie pasowałby do reszty, mimo że doskonale wiedziałem, że wszyscy ci ludzie zostali wcześniej wpuszczeni przez kogoś na teren ambasady. Strażnicy nadal pilnowali bram.

Wspinalismy się piętro po piętrze, aż dotarliśmy do wyjścia na dach, wymijając po drodze długą kolejkę ludzi czekających na nadlatującego chinooka. Może i byłem bezdusznym dupkiem, ale w tej chwili miałem tylko jeden priorytet i nie były nim setki osób wypełniających klatkę schodową.

A przynajmniej nie w tym momencie.

Stanęliśmy w wejściu. Izzy skuliła się na dźwięk strzałów, które nagle rozległy się gdzieś w dole.

– Pewnie świętują zwycięstwo – uspokoiłem ją.

– I dlatego trzymasz rękę na karabinie – odparła pod nosem, zerkając na resztę zespołu. – I dlatego wszyscy trzymacie ręce na karabinach.

– To na wypadek, gdyby jednak nie świętowali jeszcze zwycięstwa
– dorzucił od siebie Torres, który właśnie do nas dołączył, ustawiając się obok Parkera.

– Środek ostrożności – wyjaśnił Parker. – Nie ma się czym martwić.

– Pewnie. Dzień jak co dzień. Ewakuacja jakich wiele. – Izzy nie wyglądała na przekonaną. Ścisnęła moją dłoń, a ja pogładziłem kciukiem jej nadgarstek, wyraźnie czując jej przyspieszony puls.

Powietrze wypełnił ogłuszający łopot wirników chinooka.

– To chyba nasza gabłota – powiedziałem do Izzy.

Pilot posadził maszynę na dachu, posyłając w naszą stronę silne podmuchy powietrza. Zaczęto opuszczać tylną rampę.

– Chyba wołałam, jak startowaliśmy z boiska – stwierdziła.

– Ja też. – Ścisnąłem mocno jej dłoń i puściłem. – Idziesz tuż za mną. Trzydzieści centymetrów.

Pokiwała głową, a ja uniosłem karabin obiema rękoma.

Gdy wyszliśmy na nieosłoniętą część dachu, omiotłem wzrokiem sąsiednie budynki. Aby dostać się do helikoptera, musieliśmy przejść bliżej krawędzi, a skoro ja widziałem kawalkadę obwieszonych białymi flagami talibańskich pikapów z zamontowanymi na pakach karabinami maszynowymi, Izzy też mogła je zobaczyć.

Granice „zielonej strefy” zostały przerwane, a bojownicy zmierzali w stronę pałacu prezydenckiego Arg. Choć teren ambasady pozostawał pod amerykańską jurysdykcją, niewątpliwie znaleźliśmy się na obcym terytorium.

Szedłem wzdłuż brzegu dachu, prowadząc Izzy po wewnętrznej stronie. Z bronią wycelowaną w dół wypatrywałem na ulicach ewentualnych zagrożeń. Gdy wchodziliśmy po rampie do chinooka, dołączył do nas Elston.

Zaczekaliście przy wejściu, aż reszta ewakuowanych zostanie wprowadzona na pokład. Gdy śmigłowiec był już pełny, sami zajęliśmy miejsca. Kiedy siłowniki zaczęły podnosić rampę, docisnąłem Izzy do metalowego poszycia ładowni. Latałem już wieloma helikopterami, niejednokrotnie wokół nas świstały kule, ale w żadnej z tych sytuacji nie odczuwałem takiego niepokoju, jaki teraz ścisnął mnie za gardło.

Kiedy maszyna startowała, Torres rzucił mi wymowne spojrzenie w półmroku panującym wewnątrz helikoptera. Ledwo powstrzymałem się przed pokazaniem mu środkowego palca.

Obaj dobrze wiedzieliśmy, na czym polegał mój problem.

Zamartwiałem się o Izzy. To był mój problem.

* * *

Kabulskie lotnisko zamieniło się w istne piekło. Terminal wypełniały zapłakane dzieci, oszołomieni mężczyźni i zmartwione kobiety. Ci ludzie i tak mogli uważać się za szczęściarzy. W przeciwieństwie do tych, którzy gromadzili się za ogrodzeniem, krzykami błagając o to, by ich wypuścić.

Gdy dotarliśmy do bramki, z której miała odlecieć Izzy, aż skręciło mnie z nerwów.

Jej lot został odwołany.

Nie umiałem znaleźć wystarczająco wielu przekleństw, którymi mógłbym wyrazić myśli krążące mi po głowie. Izzy natomiast wzięła głęboki wdech i uniosła wysoko głowę. Tak po prostu.

– Wobec tego musimy chyba poszukać tymczasowej ambasady.

– Niegłupi pomysł – przyznał Elston.

Potaknąłem i ruszyliśmy przez powiększający się z każdą chwilą spanikowany tłum, nad którym starali się zapanować amerykańscy i natowscy żołnierze. Przy każdej kolejnej bramce powtarzano ten sam komunikat. Mało komu udawało się opuścić pogrążający się w chaosie kraj.

– O mój Boże – odezwała się Izzy, zatrzymawszy się nagle w pół kroku. Wpatrywała się w ekran telewizora.

Pałac prezydencki nie znajdował się już w rękach afgańskiego rządu.

– Sprawy pierdolą się szybciej, niż ktokolwiek myślał – stwierdził Graham.

– Chłopie, tu już nie ma się co pierdolić. Jest przejebane – poprawił go Parker. – Mówią, że kontrolujemy już tylko lotnisko i ambasadę.

W dodatku nikt nie wiedział, jak długo utrzyma się ten stan.

– Idziemy. – Złapałem Izzy za rękę, mając absolutnie w dupie, czy ktoś mógł to zobaczyć, i kierując się wskazówkami Webba, poprowadziłem nas przez lotnisko do miejsca, gdzie urzędowała tymczasowa ambasada.

Zostawiliśmy za sobą rozhisteryzowany tłum, za to wkroczyliśmy w sam środek jednego wielkiego administracyjnego chaosu. Przecinając długie kolejki zdesperowanych cywilów, przeszliśmy przez symboliczną barykadę, za którą pracował ewakuowany wcześniej personel ambasady.

– Zobaczę, w czym mogę im pomóc – oznajmiła Izzy, rzucając mi niepewny uśmiech. Nim puściła moją dłoń, pogładziła kciukiem jej wierzchnią stronę.

– Nie opuszczaj tego miejsca – zakazałem. – Zobaczę, jak wygląda sytuacja z lotami.

Izzy kiwnęła głową i upewniwszy się, że identyfikator ma przypięty tak, by był widoczny, podeszła do pierwszego z urzędników.

– Dowiedz się, co z jej siostrą – poinstruowałem Grahama.

Skinął i przystąpił do wykonywania rozkazu. Ja natomiast musiałem znaleźć dla Izzy miejsce w którymś z samolotów.

* * *

Zawsze uwielbiałem wschody słońca i nowe możliwości, jakie ze sobą niosły. Tego ranka nie opuszczało mnie jednak wrażenie, że poprzedni dzień nadal trwa, a zmieniło się oświetlenie.

Spędziliśmy tu trzydzieści sześć godzin, podczas gdy miasto pogrążało się w coraz większym chaosie. Informacje napływające spoza lotniska nie napawały optymizmem. Na ewakuację czekało ponad sto tysięcy osób, a samoloty nie startowały. Kilka ostatnich odleciało wieczorem, gdy zjawiliśmy się na lotnisku. Potem ruch został wstrzymany i maszyny utknęły na ziemi.

Izzy urabiała się po łokcie. Wycieńczona, z plecakiem podłożonym pod głowę, spała na podłodze w najbezpieczniejszym według mnie kącie tymczasowej ambasady.

– Znalazłeś dla naszej podopiecznej jakiś samolot? – zapytał Graham z mojej prawej, starając się mówić jak najciszej. Zaledwie

parę metrów od nas spała Izzy, której przyglądałem się od dłuższej chwili.

– Powiedzmy. – Chciałem podmienić ten plecak na własną pierś, trzymać ją w ramionach przez ostatnich parę minut, które nam zostały. Odprawa z Webbem, którą odbyliśmy przed godziną, nie potoczyła się zgodnie z moimi przewidywaniami. Co więcej, spełniły się moje najgorsze obawy.

– Trochę chujowa odpowiedź – wypalił Graham, ściągając brwi.

– Bo to chujowa sytuacja. – Delikatnie rzecz ujmując, dodałem w myślach. – Liczą na to, że dostaną dzisiaj oficjalną zgodę, ale dopóki nie otworzą pasów startowych i nie zabiorą z nich ludzi, nie ma prawie żadnych szans, żeby ktokolwiek stąd odleciał.

– Prawie? – Zerknął na mnie podejrzliwie kątem oka.

– Nie jesteśmy tu jedyną amerykańską *firmą*. – Skrzyżowałem ręce na piersi i starałem się zapamiętać od nowa każdy szczegół jej twarzy, włączając w to cienie pod oczami.

– Ahaaa. – Graham pokiwał głową. – Czaję. Wie o siostrze?

Pokręciłem głową, czując, jak na dno żołądka opada mi ciężki kamień.

– Nie. I się nie dowie.

– Nie zamierzasz jej mówić o posterunkach kontrolnych? Ani o podziurawionych kulami dziennikarzach? – Graham uniósł brwi i zrobił wielkie oczy.

– Nie. – Przełknąłem gulę rosnącą nieustannie mi w gardle, odkąd tylko Izzy postawiła nogę na afgańskiej ziemi. – W życiu nie wsiądzie do samolotu, jeśli będzie wiedziała, że istnieją spore szanse na to, że Serena do żadnego samolotu nie dotrze.

Ledwie przed godziną dowiedziałem się, że nie będę mógł tego osobiście dopilnować. Dostaliśmy nowe rozkazy. Pozostawało mi jedynie modlić się i wierzyć, że Izzy rzeczywiście wejdzie na pokład.

Izzy lekko się poruszyła, po chwili otworzyła oczy i natychmiast odwróciła wzrok w moją stronę. Zawsze miała szósty zmysł, dzięki któremu bez trudu mnie odnajdywała. Moje serce tak rozpychało się w piersi, że poważnie się obawiałem, czy nie skończy się to połamanymi żebrami.

Izzy powoli podniosła się do pozycji siedzącej. Luźno zapleciony warkocz zsunął się jej na ramię. Nie uśmiechała się. Cokolwiek

dostrzegła na mojej twarzy, musiało mnie zdradzić. Wiedziała, że coś jest nie w porządku.

Jak, do kurwy nędzy, miałem to zrobić?

– Pięć minut? – zapytał Graham.

– Dziesięć – wtrącił zza moich pleców Torres.

– Dziesięć – zgodziłem się z przyjacielem. Dziesięć minut to i tak o wiele za mało, ale musiało nam wystarczyć.

Graham klepnął mnie w ramię i odszedł do miejsca zbiórki.

Stałem nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w jej oczach, gorączkowo poszukując właściwych słów. Źle. Czuję się źle z tym, że musiałem ją zostawić. Czuję to każdą częścią mojego ciała. A mimo to gównem mogłem z tym zrobić. Rozkaz to rozkaz.

Miałem po dziurki w nosie bycia stawianym w położeniu, w którym Izzy nigdy nie mogła być moja, podczas gdy tak naprawdę była moja pod każdym istotnym względem.

Podszedłem do niej akurat, gdy z poważnym wyrazem twarzy podnosiła się z podłogi.

– Co się dzieje? – zapytała.

Położywszy jej dłoń na plecach, zaprowadziłem ją w róg pomieszczenia, gdzie mogłem zasłonić ją sobą przed wzrokiem pracowników ambasady w nadziei na chociaż parę minut prywatności.

– Muszę jechać. – Dwa krótkie słowa, a rozdarły moją duszę na strzępy.

Nieco skonsternowana, Izzy rozchyliła usta.

– Okej. Kiedy będziesz z powrotem?

– Nie będę.

Niemal utonąłem w brązowej głębi jej szeroko otwartych oczu.

– Dostaliśmy nowe rozkazy. Są pewne... – przełknąłem ślinę – ... są pewne miejsca, gdzie jesteśmy potrzebni. Pewne sprawy, którymi musimy się zająć. – Nawet gdybym mógł zdradzić jej, w co będę się pakował, nie zrobiłbym tego. Zamartwiałyby się na śmierć.

To, jak potoczą się wydarzenia w ciągu najbliższych kilku godzin, mogło zaważyć na dalszym życiu Izzy.

– Aha. – Zrezygnowana, opuściła ramiona. – To zrozumiałe. Jestem tu bezpieczna, a twoje umiejętności z pewnością się marnują, gdy snujesz się bez celu po lotnisku. – Podniosła głowę,

żeby na mnie spojrzeć, i zmusiła się do uśmiechu, który oglądałem zbyt wiele razy w ciągu minionej dekady. Malował się na jej twarzy zawsze, gdy musiałem ją zostawić.

– Posłuchaj mnie uważnie. – Chwyciłem ją za ramiona. – O trzeciej ktoś tu po ciebie przyjdzie. Facet jest średniej budowy, ma siwą brodę i będzie wiedział, jak się poznaliśmy. Nie jest może tak czarujący i dowcipny jak ja, ale wsadzi cię do samolotu, który cię stąd zabierze.

Izzy zmarszczyła brwi.

– Nate, żadne samoloty stąd nie odlatują.

– Nawet jeśli, ten akurat odleci. Firmowe samoloty mają w zwyczaju latać, gdzie tylko chcą i kiedy tylko chcą. Zabiorą cię do Stanów. – Zsunąłem dłoń na bok jej szyi. Miała tak cudownie miękką skórę.

Izzy zamrugła, wciąż nie do końca przekonana.

– I będą mieli dla mnie miejsce?

– Pracujesz w Kongresie. Możesz mi wierzyć, ci ludzie mają żywotny interes w tym, żeby odstawić cię do domu bez zbędnego szumu. – Izzy była PR-owym koszmarem, który lepiej było w porę zamieść pod dywan.

– A dla Sereny? – Nadzieja migocząca w jej oczach wydrążyła w moim sercu wielką dziurę.

– Mają miejsce dla Sereny. Dla Taja też. – Kosztowało mnie to każdą przysługę, jaką ktokolwiek mi wisiął, ale jej bezpieczeństwo było wszystkim, co się dla mnie liczyło. – Jeśli jednak twoja siostra nie dotrze tutaj do trzeciej, i tak będziesz musiała wsiąść do samolotu. – Spojrzałem jej głęboko w oczy, próbując siłą woli ją zmusić, by się zgodziła, by choć raz w życiu nie stawiała okoniem.

Otworzyła usta, cofając lekko podbródek. Przesunąłem po nim dłonią, muskając kciukiem jej aksamitne usta.

– Proszę, Izzy. Musisz stąd wylecieć. To może być najtrudniejsza chwila w całym twoim życiu, ale musisz wsiąść do tego samolotu. – Nachyliłem się do niej, tak że nasze twarze dzieliło nie więcej niż parę centymetrów, i objąłem dłonią tył jej głowy. – Prędzej czy później lotnisko też zostanie zajęte, a mnie tu nie będzie. Musisz stąd uciekać. Muszę wiedzieć, że stąd uciekniesz.

– Nie mogę jej zostawić – wyszeptała łamiącym się głosem.

– Możesz. I zrobisz to. Serena by tego chciała.
O ile w ogóle jeszcze żyła.

– Nie mogę zostawić *ciebie* – upierała się Izzy, kręcąc głową.

– Nie musisz. To ja, jak zawsze, jestem tym zostawiającym.

– Mogę zaczekać jeszcze jeden dzień – zaprotestowała, chwytając mnie za ramiona.

– Nie możesz. – Przyłożyłem do jej czoła własne i głęboko odetchnąłem. – Pamiętasz, jak zapytałem, co byś zrobiła, gdybyś wiedziała, że za dwadzieścia cztery godziny świat spotka wielki kataklizm? A ty odpowiedziałaś, że poszłabyś tam, gdzie mogłabyś zrobić jak najwięcej dobrego?

– To nie najlepszy moment na teleturnieje, Nate – odparła ze łzami w oczach, po czym przyciągnęła mnie bliżej.

– Ale pamiętasz?

– Tak. – Pokiwała głową. – Zadałeś mi to pytanie, gdy opuszczaliśmy Kandahar.

– Zapytaj mnie o to samo.
Jej dolna warga zadrżała.

– Co byś zrobił, gdybyś wiedział, że za dwadzieścia cztery godziny świat spotka wielki kataklizm? – zapytała.

– Poszedłbym dokądkolwiek, byle tylko być przy tobie. Zrozumiałem to już tamtego wieczoru w Tybee. Cholera, może nawet wiedziałem, odkąd sięgnęłaś po moją dłoń w tamtym przeklętym samolocie. Nie ma takiej siły na tym świecie, która utrzymałaby mnie z daleka od ciebie. – Delikatnie ją pocałowałem. – Właśnie dlatego musisz wsiąść do tego samolotu, Izzy. Jeśli nie będę wiedział, że polecisz w bezpieczne miejsce, nie będę w stanie myśleć, skupić się ani nawet odejść od ciebie na więcej niż trzydzieści centymetrów.

– Jesteśmy jak dwa magnesy, prawda? – Zarzuciła mi ramiona na szyję. – Zawsze nas do siebie ciągnie.

– I znowu nas do siebie przyciągnie. Obiecuję. – Jedną dłoń oparłem na delikatnej wypukłości jej biodra, walcząc z emocjami próbującymi wciągnąć mnie w ciemną otchłań. – Nie daliśmy sobie jeszcze szansy.

Wspinając się na palce, Izzy pocałowała mnie w usta.

Przechyliłem lekko głowę i odwzajemniłem pocałunek, ani trochę się nie hamując, jakby w poczuciu, że to może być ostatni raz. Gdy wreszcie znalazłem w sobie siłę, by oderwać od niej usta, oboje ciężko oddychaliśmy.

– Kocham cię, Isabeau Astor. Obiecuj mi, że ten samolot nie odleci bez ciebie. Wiem, że chciałabyś zostać dla Sereny, ale ja chcę, żebyś odleciała dla mnie.

– Obiecuj, że wrócisz do domu.

– Obiecuję, że wrócę do domu. Znajdę cię i damy sobie szansę. – Tak bardzo ją kochałem, tak ciężko byłoby mi ją zostawić w normalnych okolicznościach, a co dopiero w tym miejscu.

– Kocham cię. – Izzy jeszcze mocniej się we mnie wtuliła, a ja złożyłem długi pocałunek na jej czole, starając się z całych sił oddychać na tyle głęboko, by stłumić szczypanie w oczach.

– Kocham cię – wyszeptałem.

Wtedy wypuściłem ją z objęć, a gdy zrobiłem krok w tył, ramiona Izzy opadły smutno wzdłuż jej ciała. Spojrzałem na nią jeden ostatni raz, po czym odwróciłem się i zmuszając nogi do posłuszeństwa, ruszyłem w przeciwną stronę.

– Przykro mi, stary – odezwał się Torres, odpychając się od ściany, gdy przeszedłem obok niego. – Wiem, jak wiele ta dziewczyna dla ciebie znaczy.

Wszystko. Była wszystkim.

– Czy gdybym poprosił cię, żebyś poleciał z nią, zrobiłbyś to?

– Wiesz, że tak, gdybym tylko mógł. – Rzucił mi spojrzenie tak skruszone, że musiałem odwrócić wzrok. – Ale nie mogę, Nate, i dobrze wiesz dlaczego.

– Ano wiem. – Podniosłem z podłogi ekwipunek, który odłożyłem wcześniej przy wejściu do prowizorycznej ambasady, i założyłem go sobie na plecy, pakując do środka wszystkie targające mną emocje. Nie pora tracić zimnej krwi przez Izzy. Pora działać dla Izzy. – Niestety wiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

IZZY

Kabul, Afganistan Sierpień 2021

Po rozstaniu z Nate'em wpatrywałam się w tarczę zegara, którego wskazówki odliczały najpierw kolejne minuty, a potem godziny. Przez cały ten czas starałam się przywoływać samą siebie do porządku, by wspierać pozostałych, w czym tylko mogłam. Tych, którym trzeba było pomóc, było zbyt wielu. Z kolei tych, którzy mogli im pomóc, za mało.

Panika była namacalna, a gdy samoloty zaczęły znów startować, ta nerwowość zmieniła się w najczystszej formy desperację. Desperację, by odnaleźć swoich bliskich. Desperację, by otrzymać wizę, o którą wnioskowano już dawno temu. Desperację, by znalazło się miejsce w samolocie lecącym dokądkolwiek, byle poza granice tego kraju.

Gdy tylko mogłam, podnosiłam głowę i próbowałam wypatrzeć siostrę w morzu ludzkich twarzy, ale nigdzie jej nie widziałam. Nate opuścił lotnisko. Serena była nie wiadomo gdzie. A ja nie mogłam zrobić absolutnie nic, by pomóc któremukolwiek z nich.

Po tym, jak musiałam oznajmić dwunastemu już byłemu tłumaczowi wojskowemu – choć może było ich więcej, nie byłam pewna, bo straciłam rachubę – że nie jestem w stanie przyspieszyć obiegu dokumentów i tym samym wydania wizy, poczułam się przytłoczona klęską.

Trzecia wybiła, zanim zdążyłam się do tego przygotować. Już miałam poprosić do siebie następną osobę w kolejce, kiedy po mojej lewej stronie wyrósł mężczyzna.

Przyprószona siwizną broda, spodnie cargo z kaburą przytroczoną do uda, oczywiście z bronią, czarna koszula i kamizelka kuloodporna.

– Isabeau Astor? – zapytał.

– Wysłał pana sierżant Green – domyśliłam się, słysząc, jak pęka mi serce.

– Oboje wiemy, że wcale nie nazywa się Green, ale niech będzie. – Skinął mi głową i się uśmiechnął, choć dość sztywno. – Powiedział mi, że poznaliście się przy okazji katastrofy lotniczej.

Pokiwałam głową.

– Już pora, prawda?

– Tak, już czas. – W jego spojrzeniu dostrzegłam stosowną dozę współczucia, nie za dużo, nie za mało. – Jak sądzę, pani siostra się nie zjawiała?

Obrzuciłam wzrokiem tłum czekających w kolejkach ludzi i pokręciłam głową.

– Przykro mi, ale nie możemy czekać – dodał.

– Rozumiem. – Już chciałam mu podziękować i się wycofać. Zostać na lotnisku i robić, co tylko będę mogła, tak długo, jak będzie to możliwe. Ale w ostatniej chwili przed oczami mignął mi wyraz twarzy Nate'a.

„Jeśli nie będę wiedział, że polecisz w bezpieczne miejsce, nie będę w stanie myśleć, skupić się ani nawet odejść od ciebie na więcej niż trzydzieści centymetrów”.

Przez ostatnich jedenaście dni ryzykował dla mnie własnym życiem.

Może i zawałam sprawę. W końcu nie udało mi się sprowadzić Sereny do domu ani pomóc jej tłumaczowi czy... wszystkim tym ludziom. Ale nadal mogłam postąpić tak, by Nate nie musiał zawałać swoich spraw.

– W porządku. – Pokiwałam głową, następnie wyjęłam wizę Taja i dałam ją urzędnikowi przy sąsiednim biurku. Zakładając plecak, spojrzałam na mężczyznę, którego Nate po mnie wysłał. Mężczyznę,

któremu powierzył moje bezpieczeństwo. – Jestem gotowa – oznajmiłam.

Tak naprawdę nie byłam, ale mimo to zamierzałam polecieć. Robiłam to dla Nate'a. Bo mnie kochał. Bo przez trzy lata nosił przy sobie przeznaczony dla mnie pierścionek. Bo wyciągnął mnie z tonącego w rzece samolotu. Bo nie zatrzymałam go, kiedy powinnam była, i od tamtej pory nieustannie tego żałowałam.

Idąc przez lotnisko w ślad za bezimiennym człowiekiem, nie potrafiłam odwrócić oczu od wszechobecnego cierpienia i twarzy naznaczonych strachem. Pozwalałam, by widok każdej z tych osób zapadł mi w pamięć, dotknął mnie i nazaczył moją duszę. Pod nieobecność Sereny to ja stałam się świadkiem wydarzeń.

– Podejrzewam, że gdybym chciała odstąpić swoje miejsce komuś innemu, nie byłoby takiej opcji? – zapytałam, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

– Obiecałem mu, że osobiście przywiążę panią do siedzenia, jeśli miałby to być jedyny sposób na zatrzymanie pani w samolocie. – Uniósł kącik ust w półuśmiechu. – A zapewniam, że nie miewam takich rozterek moralnych jak on. Zrobię to bez mrugnięcia okiem.

Gdy szliśmy po piekielnie rozgrzanej betonowej nawierzchni, przyglądałam się przez falujące powietrze widocznym na horyzoncie szczytom gór, które wydawały się mi tak piękne, kiedy wylądowałam w Kabulu zaledwie jedenaście dni wcześniej.

Jedenaście dni wystarczyło, żeby moim światem wstrząsnęło, jakbym żyła w szklanej kuli śnieżnej. Teraz pozostawało jedynie czekać i obserwować, gdzie spadną płatki białego puchu, w nadziei, że rozpoznam ten zimowy krajobraz.

W zupełnej ciszy zbliżaliśmy się do wysokiego metalowego ogrodzenia zasłoniętego siatką maskującą. Zazdrościłam Nate'owi imponującej zdolności oddzielania jednych spraw od drugich. A ponieważ sama nie dysponowałam takimi umiejętnościami, wraz z każdym krokiem narastało we mnie bolesne poczucie straty. Oddalałam się od siostry i od Nate'a. Jak mogłam porzucić dwoje ludzi, których kochałam najbardziej na świecie?

Mężczyzna skinął strażnikowi, który otworzył lewe skrzydło masywnej bramy i pozwolił nam przejść. Za ogrodzeniem czekał nieoznakowany srebrny samolot.

– To zaadaptowany hercules – wyjaśnił mężczyzna, choć wcale o to nie pytałam.

– Uroczy – odparłam, nie za bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Facet się zaśmiał.

– Widać, że zajmuje się pani polityką.

– Nie do końca.

Zresztą nawet gdy się nią zajmowałam, robiłam to z niewłaściwych pobudek.

Nieznajomy poprowadził mnie po schodkach do samolotu, który wyposażono nie tylko w klimatyzację, ale również z kilkanaście rzędów foteli, po trzy na każdą stronę. Całkiem sporo, a i tak niemal wszystkie siedzenia były już zajęte.

– Proszę usiąść tam. – Wskazał ręką dwa wolne miejsca w pierwszym rzędzie po prawej stronie kabiny.

– Dziękuję.

– Nie ma o czym mówić. – Uniósł wymownie brwi i dodał: – Poważnie. Proszę o tym nikomu nie wspominać.

Skinęłam ze zrozumieniem głową. Nie byłam aż tak durna, żeby nie zwrócić uwagi na to, jak Nate kilkakrotnie podkreślał słowo „firma”, gdy mówił mi o załatwionym locie.

Miejsce przy oknie nie było zajęte, więc na nim usiadłam. Tak po prostu, by udowodnić samej sobie, że potrafię przełamać strach. Latałam nad afgańskimi prowincjami, wyglądając przez okno blackhawka, więc czemu miałabym nie siedzieć przy oknie w drodze powrotnej do domu.

Zapięłam pas na biodrach i próbowałam nie myśleć o tym, że Nate i Serena nadal gdzieś tam są. Tyle że sąsiednie miejsce pozostawało puste...

Moje serce zakrzyczało, rozdzierane tęsknotą. W ciągu minionych czterech lat zbyt często podróżowałam samolotami, nieustannie czekając, aż Nate wreszcie się pojawi i usiądzie w wolnym fotelu obok mnie. Wiedziałam, że tym razem nie było na to najmniejszych szans. Świadomość tego sprawiła, że zabolalo jeszcze mocniej.

Gdy rozpięłam plecak, żeby wyjąć z niego słuchawki, zauważyłam wciśniętą do środka książkę. Był to należący do Nate'a egzemplarz *Koloru purpury*. Ten sam, który czytał, kiedy przyjechałam do Afganistanu. Przycisnęłam powieść do piersi, ze wszelkich sił

próbując zdusić płacz. Gdzieś po mojej prawej rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Po minucie lub dwóch samolot zaczął się powoli toczyć do przodu, a moje gardło ścisnęło się tak mocno, że miałam trudności ze złapaniem oddechu.

– Wybacz – szepnęłam, nie mając pewności, kogo właściwie prosiłam o przebaczenie. Nate’a? Serenę? Wszystkich, którzy tu zostaną, bo nie było dla nich miejsca w tajemniczym samolocie?

I wtedy samolot nagle się zatrzymał. Wyrzałam przez okno, ale nie dostrzegłam niczego, co mogło przerwać kołowanie. Żadne inne samoloty nie czekały na start. Ktoś wyszedł z kabiny pilotów i zaczął majstrować przy drzwiach. Sprawnie je otworzył i opuścił schodki na beton.

– Szybko! – krzyknął pilot, wychylając się z samolotu.

Nie minęła chwila, a mężczyzna z powrotem blokował drzwi, wpuściwszy uprzednio do środka dwie zdyszane postaci.

Taja i Serenę.

Dzięki ci, Boże.

Serena miała podbite oko, a rękaw jej niebieskiej koszuli był zakrwawiony, ale była w jednym kawałku. Podeszła do mnie ze słabym uśmiechem i łzami w oczach. Taj wyglądał dużo gorzej, gdy szedł środkiem samolotu, by zająć wolne miejsce kilka rzędów za nami.

Opadła na fotel obok mnie, upuściła torbę na podłogę i dopiero wtedy odwróciła się w moją stronę i mocno mnie do siebie przyciągnęła.

– Udało ci się – wyszeptałam, odkładając książkę na kolana i przytulając ją z całych sił, gdy pilot ponownie zamykał drzwi.

– Dzięki Nate’owi i jego kumplom – odpowiedziała i odsunęła się ode mnie, żeby dobrze mnie obejrzeć, zupełnie jakby to nie ona była ofiarą pobicia.

– Co takiego?

– Zespół Nate’a zjawił się na posterunku kontrolnym, na którym nas przetrzymywano – wyjaśniła. – Gdyby nie oni, nie byłoby nas tu.

– Pogładziła moje włosy. – I gdybyście razem z Nate’em nie przepchnęli wizy Taja.

Samolot znów rozpoczął kołowanie, a Serena pochyliła się, by otworzyć swoją torbę, i coś z niej wyjęła. Włożyła tajemniczy przedmiot w moją otwartą dłoń i spojrzała mi prosto w oczy.

– Prosił, żeby przekazać ci, że cię kocha i że się odezwie, kiedy tylko nadejdzie czas, żebyście dali sobie szansę.

Serce zabiło mi szybciej. Opuściłam wzrok na swoją rękę.

Leżał na niej łańcuszek Nate'a z owiniętym taśmą nieśmiertelnikiem.

Opadłam na oparcie siedzenia, ostatecznie pozwalając łzom swobodnie płynąć po policzkach. Serena trzymała mnie za dłoń, gdy samolot rozpedzał się wzdłuż pasa startowego, aż wreszcie oderwał się od ziemi i wzniósł się w powietrze. Z nami, ale bez Nate'a.

– Nic mu nie będzie – obiecała Serena.

– Kocham go.

– Chyba każdy, kto znajdzie się z wami w jednym pomieszczeniu, by to zauważył. A o co chodzi z tym naszyjnikiem? – zapytała, po raz kolejny schylając się do torby, tym razem po swój aparat. Miała nieliczne szczęście, że w ogóle udało jej się stamtąd wydostać, i to ze sprzętem.

Ostrożnie odwijałam kolejne warstwy taśmy, aż zobaczyłam pierścionek.

– To jest nasza szansa – odpowiedziałam siostrze.

– Cudowny. – Najpierw zamrugała, a potem szeroko otworzyła oko, które nie było opuchnięte.

– To prawda.

– Czy to nie przypadkiem nieśmiertelnik? – dopytała, marszcząc brwi.

– Chyba tak... – urwałam i zaczęłam zdzierać taśmę z reszty metalowego zawiniątka. – Nate mówił, że zabierał ze sobą pierścionek tylko na te misje, które nie wymagały od niego całkowitej anonimowości, ale... – przełożyłam pierścionek do drugiej ręki, a następnie starłam z nazwiska na blaszce lepkie pozostałości kleju – to nie jego.

– Nie? – Serena zerknęła w moją stronę, zajęta przeglądaniem kolejnych zdjęć na ekranie aparatu.

– Nie. – Jak widać nie byłam jedyną osobą, którą nosił przy sobie Nate.

Z liter wybitych na nieśmiertelniku odczytałam: TORRES, JULIAN.

– Myliłam się – szepnęłam do siebie. Zawsze zakładałam, że Julian to Rowell, co tylko pokazywało mi, jak niewiele wiedziałam o tym, co się działo w życiu Nate'a przez te wszystkie lata, który spędziliśmy niby razem, a jednak osobno.

– Zobacz, co pstryknęłam jakąś godzinę temu – odezwała się Serena, przechylając ekran aparatu w moją stronę.

Ujęcie Nate'a z profilu. Serce zabiło mi mocniej na widok jego cudownie zaciętej miny i misternie wyrzeźbionych ust.

– Wiesz co... – zaczęła Serena, zniżając głos do szeptu. – Gdybym to opublikowała, wyleciałby z oddziału.

Spojrzałam na siostrę. Tak niewiele było trzeba, żeby zmienić... wszystko. Mielibyśmy szansę rzeczywiście być razem. Tylko jakim kosztem?

– Pewnie by się wkurzył... – ciągnęła.

– Nie. – Pokręciłam stanowczo głową, zaciskając palce na nieśmiertelniku. – Jeśli Nate ma zrezygnować ze służby, sam musi o tym zdecydować. – Nie chciałam dokonywać tego wyboru za niego w Nowym Jorku i nie zamierzałam robić tego teraz. Przyjmę go bez względu na to, z czym do mnie przyjdzie.

– A co do czasu, póki nie nadejdzie ten magiczny dzień? – zapytała Serena.

– Będę czekać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

NATHANIEL

Fort Bragg, Karolina Północna Wrzesień 2021

Wzięłem głęboki wdech. Stałem w pustym korytarzu pod drzwiami, za którymi czekała mnie wizyta umówiona dwa tygodnie wcześniej. W swojej naiwności myślałem, że najtrudniejsze będzie wykonanie telefonu, zrobienie pierwszego kroku, ale srogo się pomyliłem. Wpatrując się w szpitalną tabliczkę z nazwiskiem, zastanawiając się, czy sięgnąć do klamki, zrozumiałem, że ta część była o wiele cięższa.

W przychodni nie unosił się mdlący zapach środków dezynfekujących, tak charakterystyczny dla szpitali, ale też nie przyjmowali tu zwykli lekarze.

– Dasz radę – odezwał się Torres stojący po mojej lewej.

– Jeśli tam wejdziesz, to koniec – odparłem, starając się mówić jak najciszej. – Dobrze wiesz, że wykopią mnie z oddziału.

– Tak. Ale może wreszcie zaczniesz żyć po swojemu. Zrób też porządek z tymi koszmarami, żebyś nie bał się przy niej zasypiać. Nie jesteś jak twój ojciec. Nigdy się taki nie staniesz. Co nie zmienia faktu, że... potrzebna ci pomoc. I chyba powinieneś się zastanowić, co zrobić z farmą po mamie.

Zerknąłem na kumpla, wyciągając rękę do klamki.

– Musisz odpuścić, Nate – powiedział Torres, uśmiechając się do mnie. – Zbyt długo targasz nie swoje gówno. To poczucie winy? Nie

jest twoje. Robota, której tak naprawdę nie lubisz? Nie jest twoja. Ale Izzy? Ona akurat jest twoja. Więc jeśli nie zamierzasz wejść za te drzwi dla siebie, zrób to chociaż dla niej.

Izzy.

Minęło sześć tygodni, odkąd zostawiłem ją na lotnisku w Kabulu, żeby dać jej to, czego potrzebowała – odzyskać dla niej Serenę. Każdy mój oddech przepełniała tęsknota, ale nie miałem złudzeń. To jeszcze nie był odpowiedni czas.

Jeżeli mieliśmy tylko jedną szansę, nie mogłem tego schrzanić.

Spojrzałem ostatni raz na Torresę, po czym otworzyłem drzwi i wszedłem do gabinetu.

Doktor Williamson podniósł głowę znad dokumentów, przywołał na twarz profesjonalny uśmiech i wskazał otwartą dłonią na krzesła ustawione przed biurkiem.

– Jak leci, Phelan?

W normalnych okolicznościach powiedziałbym mu, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wysypiam się, nie brakuje mi apetytu, nie zapominam o relaksie i odpoczynku. Jest tak, jak powinno być.

Tyle że kłamstwo do niczego dobrego mnie nie doprowadziło, więc może nadeszła pora, by dla odmiany powiedzieć prawdę.

Opadłem na krzesło i spojrzałem doktorowi prosto w oczy.

– W ramach radzenia sobie ze stresem, trudnymi sytuacjami podczas misji i... w zasadzie wszystkim rozmawiam ze swoim najlepszym przyjacielem.

Lekarz skinął głową, opierając się na swoim fotelu.

– To dość normalne – ocenił.

– Może i tak, tylko że on nie żyje od czterech lat. Myśli doktor, że można mi jakoś pomóc? – W oczekiwaniu na odpowiedź zacisnąłem dłonie na kolanach.

– Tak – odezwał się po chwili. – Myślę, że jakoś temu zaradzimy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

IZZY

Waszyngton **Październik 2021**

Usiadłam na swoim miejscu, odłożyłam torbę i zapięłam pas. Do samolotu wciąż wsiadali kolejni pasażerowie.

Po raz pierwszy od wyjazdu na Palau zabierałam ze sobą pełną walizkę. Stroje kąpielowe, narzutki plażowe, sukienki, cała letnia garderoba. Nate nie kontaktował się ze mną, odkąd opuściłam Kabul. Na samą myśl, że być może zobaczę się z nim podczas przesiadki na następny lot, przyspieszał mi puls. Ale nawet gdyby się nie zjawił, co było więcej niż prawdopodobne, miałam zamiar rozgościć się w naszym domku na Malediwach, spać do południa, wylegiwać się na słońcu i śnić o nim każdej nocy.

Bo właśnie tego chciałby Nate.

Biorąc pod uwagę światową sytuację geopolityczną, byłam niemal pewna, że nie wrócił jeszcze do kraju. Sam zresztą mówił, że tacy goście jak on zawsze będą gdzieś potrzebni.

W ciągu minionych sześciu tygodni, gdzieś pomiędzy sięganiem co chwila po telefon w oczekiwaniu na połączenie, które nie nadchodziło, a wpatrywaniem się w drzwi wejściowe w chwilach, gdy moje myśli nagle czerniały, doszłam do pewnego wniosku – jeśli chciałam być z Nate'em, naprawdę z nim być, potrzebowałam dwóch rzeczy.

Siły, która nie pozwoli mi zapomnieć, że Nate mnie kocha, ani przestać wierzyć w to, że przyjdzie, gdy tylko będzie mógł. A do tego cierpliwości, dzięki której doczekam tego dnia.

No i nie zaszkodziłoby też uwolnić się od pracy, której na dobrą sprawę nie cierpiałam.

Wyciągnęłam z torby powieść kupioną w księgarni na lotnisku i otworzyłam świeżutki zakreślacz. Kątem oka dostrzegłam, jak jakaś para zajmuje miejsca po drugiej stronie przejścia między fotelami. Pomyślałam, że zanim Nate wróci do domu, będzie czekała na niego pełna biblioteczka pozakreślanych książek.

Kiedykolwiek wróci.

Słońce przebijające się przez zachmurzone niebo wpadło przez okrągłe okienko, rozświetlając swoimi promieniami diament na moim palcu. Takiego pierścionka nie należało zakrywać taśmą izolacyjną. Zdobiający go kamień powinien zachwycać swoim blaskiem i właśnie to będzie robił na mojej prawej dłoni, dopóki Nate go ode mnie nie odbierze albo nie wsunie na palec u mojej lewej dłoni.

Założyłam nogę na nogę, oparłam się wygodniej i zabrałam do lektury.

– Przepraszam, czy mogę przejść? – Niski głos mężczyzny owiał mnie niczym najdelikatniejszy aksamit. Serce zabiło mi mocniej, gdy opuszczałam książkę i podnosiłam wzrok.

To nie był on. To nie mógł być on.

A jednak!

– O, mam miejsce przy oknie – powiedział, czarując mnie swoim dołeczkiem. Szczeka mi opadła, kiedy przeciskał się między fotelami, by wreszcie opaść na miejsce po mojej prawej.

– Ty... przecież... – Wpatrując się w parę moich ulubionych niebieskich oczu, najwyraźniej zapomniałam, jak równomiernie oddychać. – Miałeś do mnie dołączyć dopiero w Bostonie.

– Zamieniłem loty – odparł, wzruszając ramionami, jak to on. – Uznałem, że skoro mamy spędzić tydzień na Malediwach, powinniśmy zacząć ten tydzień jak najszybciej.

Pokiwałam głową, ponieważ wydawało się to oczywiste... tyle że w świecie, w którym Nate'a nie posyłano ciągle na zagraniczne misje. W świecie, w którym Nate zawsze docierał na lotnisko, kiedy mieliśmy dokądś lecieć.

– Jest parę spraw, o których muszę ci powiedzieć – zapowiedział, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Wygląda na to, że mamy wystarczająco dużo czasu. – Zamknęłam książkę i odwróciłam się w jego stronę. – Ja też mam ci coś do powiedzenia.

– Czyżby? – Wyciągnął rękę ponad podłokietnikami i chwycił moją dłoń. Jego dotyk, tak niewinny, zabrał mnie prosto do nieba.

– Nienawidzę polityki – oznajmiłam i zmarszczyłam nos.

– To akurat nic nowego. – Kciukiem zataczał na mojej skórze malutkie, dodające otuchy okręgi.

– Możliwe, że zrezygnowałam z pracy – wymówiłam te słowa pospiesznie, niemal szeptem.

Nate się wyszczerzył.

– Zabawnie wyszło. Bo widzisz, możliwe, że ja też rzuciłem robotę.

Oniemiała, rozchyliłam usta, szukając właściwych słów. Jakichkolwiek słów.

– Musiałem – mówił dalej, unosząc dłoń do mojej twarzy i kładąc ją na moim policzku. – Kocham cię do szaleństwa i nie chcę dłużej być dla ciebie tylko możliwością. Nie pozwolę, żeby w dalszym ciągu decydował za nas nieprzewidywalny los.

Wtuliłam się w jego dłoń i wpatrywałam się w niego, bojąc się, że jeśli tylko na chwilę zamknę oczy, okaże się, że jedynie mi się to przyśniło, że obudzę się sama w łóżku, oszukana przez własną wyobraźnię.

– Chyba pora, żebyśmy dali sobie szansę. Jak myślisz? – Jego spojrzenie zsunęło się na moje usta. – Powinnaś jednak wiedzieć, że jestem w trakcie terapii, więc jeśli wolałabyś na razie nie...

– Tak – weszłam mu w słowo, gorączkowo kiwając głową. Serce waliło mi tak mocno, że nie zdziwiłabym się, gdyby miało wyskoczyć mi z piersi. – Zgadzam się. Dajmy sobie wreszcie szansę. Bez pośpiechu. Albo z pośpiechem. Zróbmy razem wszystko, o czym zawsze marzyliśmy, i obmyślajmy kolejne plany. Nie ma dla mnie znaczenia, gdzie będziemy mieszkać ani czym będziemy się zajmować, o ile tylko będę z tobą. Kocham cię.

– Izzy? – Nate nachylił się mocniej nad podłokietnikiem, akurat gdy samolot ruszył do tyłu, wycofując spod rękawa.

– Nate? – Przysunęłam się bliżej.

– Pocałuję cię teraz.

Uśmiechałam się, kiedy przywierał do mnie ustami, a potem westchnęłam, gdy zaczął mnie całować. Nie przestawał, dopóki samolot nie wystartował. Gdy w końcu zabrakło nam tchu i oderwaliśmy się od siebie, lecieliśmy już ponad chmurami.

Nie miałam pojęcia, co przyniesie przyszłość, za to wiedziałam, że zbudujemy ją razem.

Cała reszta nie miała znaczenia.

EPILOG

NATHANIEL

Maine

Pięć lat później

Wrześniowe słońce migotało pomiędzy kołyszącymi się na delikatnym wietrze sosnami, pod którymi rozłożyliśmy gruby koc.

Siedziałem z nogami wyciągniętymi przed siebie, z głową Izzy na kolanach. Nie znałem lepszego sposobu na nadrobienie zaległości w pracy.

Jesień w stanie Maine była moją ulubioną porą roku. Idealne miejsce, by wspólnie zacząć resztę życia. Szumiące sosny i wystarczająco dużo miejsca, by każde z nas mogło odetchnąć, by mogli odwiedzać nas bliscy. Wiedziałem, że Izzy tęskni za Sereną, ale jej siostra większość czasu i tak spędzała za granicą. Za to, gdy tylko wracała do Stanów, zawsze znalazły czas, żeby się ze sobą zobaczyć.

Oceniłem wypracowanie jednej z moich uczennic, dopisując na kartce komentarz, w którym chwaliłem jej niecodzienne podejście do analizy *Makbeta*. Izzy natomiast przeglądała dokumenty, które miała złożyć w imieniu jednej z miejscowych organizacji non-profit.

Spokój. Towarzyszące mi w takich chwilach uczucie było dokładnie tym, czego szukałem przez całe dotychczasowe życie. A tak się składało, że odnajdywałem je wszędzie tam, gdzie była Izzy.

Gdy skończyłem sprawdzać tę konkretną pracę, zrobiłem sobie krótką przerwę, żeby przeczesać palcami włosy Izzy. Nie miało

znaczenia, ile już czasu spędziliśmy razem. Każdego dnia wydawała mi się jeszcze piękniejsza niż dzień wcześniej.

Opuściła swoje papiery, przy okazji pozwalając diamentowi i złotej obrączce na lewej dłoni złapać trochę słońca, i uśmiechnęła się do mnie.

– Kończysz już? – zapytała.

– Jeszcze trzy prace. A ty?

Przekartkowała dokumenty, oceniając objętość tekstu.

– Góra dziesięć minut.

– A masz już jakieś plany na popołudnie? – Sunąłem palcami po jej odkrytym ramieniu. Dotykanie Isabeau ani trochę mi się nie znudziło. Na dobrą sprawę chyba nic nie sprawiało mi większej przyjemności. Może z wyjątkiem naszych rozmów. Albo całowania jej. W zasadzie pisałem się na wszystko, co w jakiś sposób wiązało się z Izzy.

– Jakoś nic nie przychodzi mi do głowy. – Wsunęła mi dłoń pod koszulę, a mięśnie mojego brzucha napięły się jak na komendę. – A czemu pytasz? Miałbyś ochotę coś porobić?

– Tak sobie pomyślałem, że mógłbym zanieść cię do łóżka i resztę dnia spędzić na oddawaniu czci twojemu nagiemu ciału.

Izzy rozchyliła usta i natychmiast zerwała się na równe nogi.

– Takie plany to rozumiem.

– Nie możesz poczekać dziesięciu minut? – zaśmiałem się, choć sam zbierałem już stertę wypracowań i koc, na którym siedzieliśmy.

– Nie bardzo. – Szła tyłem w stronę domu, obezwładniając mnie uśmiechem. – Za to praca może poczekać.

– Trudno się z tobą nie zgodzić. – Pobiegłem za nią, a kiedy ją dogoniłem, wziąłem ją na ręce i zaplątałem w koc.

Tuż za drzwiami prace uczniów i ważne dokumenty wylądowały na podłodze.

Obie ręce miałem zajęte Izzy.

Miała rację. Praca mogła poczekać.

Bo wreszcie nadszedł nasz czas.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Bogu za wszelkie błogosławieństwa, którymi mnie obdarzył. Lepszego życia nie mogłam sobie wymarzyć.

Dziękuję mojemu mężowi Jasonowi za to, że ogarniał naszą rodzinę, kiedy zaszywałam się w mojej twórczej jaskini. Praca nad tą książką przypomniła mi długie, przepelnione tęsknotą lata, gdy odbywałeś służbę w Afganistanie i Iraku. Jestem ci ogromnie wdzięczna za dwadzieścia dwa lata, które spędziłeś w mundurze, ale jeszcze bardziej cieszą mnie dni, które spędzamy razem, odkąd przeszedłeś na wojskową emeryturę. Dziękuję moim dzieciom, które nie mrugną nawet okiem, gdy ścigają mnie terminy, i zawsze są dla mnie inspiracją. Dziękuję mojej siostrze Kate – dorastanie jako wojskowy dzieciak było o wiele łatwiejsze z taką przyjaciółką u boku. Dziękuję też niezastąpionej Emily Byer za to, że zawsze do mnie dzwoni.

Dziękuję Lauren Plude, Lindsey Faber i całemu zespołowi imprintu Montlake, bez których by mnie tu nie było. Cudownie się z wami pracowało! Jestem też wdzięczna Louise Fury, mojej fenomenalnej agentce, która swoim nieustającym wsparciem czyni moje życie dużo prostszym.

Dziękuję również moim żonkom, Ginie L. Maxwell i Cindi Madsen, z którymi tworzymy niezbyt świętą trójkę, za to, że odbierają ode mnie telefony, choćby nie wiem, co się działo. Podziękowania należą się także Shelby i Cassie za dzielne znoszenie wybryków mojego nieokrzesanego umysłu i bycie najlepszymi na świecie literackimi

cheerleaderkami. Dziękuję K.P. Simmonowi za to, że okazał się nie tylko solidnym partnerem biznesowym, ale też dobrym przyjacielem. Dziękuję wszystkim blogerom i czytelnikom, którzy na przestrzeni lat dawali mi szansę – to wy nadajecie kształt tej branży. Bez podziękowań nie odejdzie też moja grupa czytelnicza Flygirls, zapewniająca mi bezpieczną przestrzeń na internetowym Dzikim Zachodzie.

Na koniec pragnę jeszcze raz podziękować Jasonowi, który jest całym moim światem, jego początkiem i końcem. Żadna z moich książek nie powstałaby bez twojej miłości i wsparcia. I choć w tej historii piloci śmigłowców nie odzywają się słowem, cząstkę ciebie można znaleźć w każdym z moich bohaterów.

O AUTORCE

Rebecca Yarros, uzależniona od kawy beznadziejna romantyczka, jest bestsellerową autorką dzienników „Wall Street Journal” i „USA Today”. W swoim dorobku ma ponad piętnaście tytułów, między innymi *Ostatni list* i *Rzeczy, których nie dokończyliśmy*. Za powieść *Ku niebu* otrzymała Award of Excellence, nagrodę przyznawaną przez towarzystwo literackie Colorado Romance Writers. Rebecca uwielbia wojskowych bohaterów do tego stopnia, że ponad dwadzieścia lat temu poślubiła własnego. Wychowuje sześcioro dzieci, a aktualnie stara się przetrwać okres dojrzewania czwórki nastoletnich hokeistów.

Poważnie. Czwórka nastolatków. W ramach wsparcia można nadsyłać butelki wina.

Kiedy akurat nie pisze, goni za krążkiem po lodowisku albo chwyta za gitarę. Mieszka w Kolorado z liczną rodziną, do której poza mężem i dziećmi należą też buldogi angielskie, kot rasy maine coon i zadziorne szynszyle, które uwielbiają ganiać za psami. Po tym, jak adoptowała swoją najmłodszą córkę, Rebecca założyła organizację non-profit One October, by wspierać dzieci trafiające do domów zastępczych.

Chcesz być na bieżąco z twórczością Rebeki? Zajrzyj na stronę www.rebeccayarros.com.

WROGOWIE. NIEUKOŃCZONY MASZYNOPIS.
PONADCZASOWY ROMANS



PRAWDZIWE ARCYDZIEŁO



HISTORIA MIŁOSNA NA MIARĘ WIECZNOŚCI



GLOBALNA SENSACJA TIKTOKA



SPIS TREŚCI

[Okladka](#)

[Blurby](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)
[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)
[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)
[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)
[EPILOG](#)
[PODZIĘKOWANIA](#)
[O AUTORCE](#)

[Reklama](#)
[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *In the Likely Event*

Text copyright © 2023 by Rebecca Yarros

All rights reserved

Translation copyright © 2023 by Grupa Wydawnicza FILIA

This edition is made possible under a license arrangement
originating with Amazon Publishing, www.apub.com, in collaboration
with GRAAL, SP. Z O.O.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez
wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz
rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Shasti O'Leary Soudant

Zdjęcia: © Angela Lumsden / Stocksy United

© Dacian Groza / Stocksy United

Redakcja: Olga Smolec-Kmoch

Korekta: Piotr Luberadzki, Agnieszka Luberadzka

Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-339-7

FILIA

Grupa Wydawnicza Folia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofolia.pl
kontakt@wydawnictwofolia.pl

SERIA: HYPE